



GORZKA  
CZEKOLADA

# GARD SVEEN

## OSTATNI PIELGRZYM



Media Rodzina

# **GARD SVEEN** **OSTATNI PIELGRZYM**

Tłumaczył z norweskiego  
Tadeusz Wojciech Lange

**Media Rodzina**

***Niedziela, 8 czerwca 2003***

*Dr. Holms vei*

*Oslo*

Dopiero po zaparkowaniu samochodu przed dużą willą z bali młoda pomoc domowa uzmysłowiła sobie, że bramę wjazdową zastała otwartą. Ale i tak jeszcze przez minutę siedziała w samochodzie, czekając, aż w radio skończy się piosenka. Dopiero wtedy je wyłączyła, wysiadła i spojrzała za siebie.

Brama z kutego żelaza była szeroko otwarta, ale to nie ona ją otworzyła. „Przecież zawsze była zamknięta” – pomyślała.

Jedną z cech Carla Oscara Krogha, które dobrze poznała, odkąd pojawił się na liście jej klientów, była wyjątkowa pedanteria. Kiedy do niego przyjeżdżała, zawsze pytał, czy aby nie zapomniała zamknąć za sobą bramy. Przypominał jej o konieczności zamknięcia bramy także za każdym razem, gdy po pracy zbierała się do wyjścia.

„A pies?” – pomyślała. „Gdzie jest pies?”

Zza domu nie dobiegało szczekanie pełnego energii angielskiego setera, którego nigdy nie przestała się trochę bać. Nie słyszała też brzęku jego łańcucha. Było to o tyle dziwne, że zawsze dawał o sobie znać, nie mogąc się doczekać długiego spaceru, na który go zabierała zaraz po przybyciu.

Obróciła się w stronę domu. Nieco za mocno zatrzęsnęła drzwiczki samochodu i w nienaturalnej ciszy, która tu panowała, metaliczny trzask jeszcze długo dźwięczał jej w uszach. Pomyślała też, że jest tu bardzo gorąco. Upał, który poprzedniego dnia zapanował w mieście, robił się nie do wytrzymania.

Kiedy po dwóch dzwonekach do drzwi nic nie nastąpiło, nie miała już wątpliwości – coś było nie tak.

Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że dopiero co, wręcz kilka minut wcześniej na tych schodach ktoś stał. Ktoś, kogo nie powinno tu być.

Zadzwoiła raz jeszcze.

– Panie Krogh? – odezwała się głośno. – Panie Carl?

W końcu położyła rękę na ciężkiej klamce – drzwi były zamknięte na klucz.

Odwróciła się i zaczęła szybko oddychać. Przeklinając tę wielką, odludną parcelę, zasłoniętą przed oczyma ciekawskich gęstym, świerkowym żywopłotem, poczuła się bardzo samotna. Gdyby zaczęła krzyczeć, nikt by jej nie usłyszał.

Daleko w dole leżało miasto. Mimochodem zarejestrowała uwijające się na wodzie łódki, które cięły fiord na małe kawałki.

Powoli ruszyła wzdłuż ściany domu. Przy oknie kuchennym stanęła, przyłożyła dłonie do szyby i zajrzała do środka. Pusto. Idąc najciszej jak potrafiła chodnikiem w stronę położonego z tyłu domu tarasu, minęła bibliotekę. Gdy dzielił ją metr od węgła domu, stanęła i ostrożnie dotknęła bali ściany – były mocno nagrzane od słońca. Normalnie odgoniłaby od twarzy natrętne owady, ale teraz nie zwracała na nie uwagi.

Doszła do rogu domostwa i skręciła.

W otwartych drzwiach tarasu poruszały się białe firany.

W dolnej krawędzi jej pola widzenia, na płytkach tarasu tuż obok stołu i krzeseł pojawił się jakiś kształt. Spod ciała martwego psa wypływał wachlarz czerwieni. W jego białej, nakrapianej czarnymi plamami szyi ział otwór, a krew dopiero krzepła.

W pierwszym odruchu chciała ruszyć z powrotem do samochodu, ale nogi same poniosły ją dalej w kierunku tarasu.

Przestąpiła martwego psa i powoli zmierzała w stronę poruszających się firan, modląc się cicho, by Pan Bóg miał ją w swojej opiece.

I nagle znalazła się w salonie.

Przed nią, na środku podłogi leżało to, co kiedyś było Carlem Oscarem Kroghem. A jego oczy...

„Jak?” – pomyślała. „Jak można było komuś coś takiego zrobić?”

# CZEŚĆ I

**Poniedziałek, 28 maja 1945**

*Stalag 303*

*Jørstadmoen*

Kapitan Milorgu <sup>1</sup> Kaj Holt przystanął na placu apelowym i przez chwilę przyglądał się barakom. Potem obrócił się i spojrział na bramę, którą właśnie przekroczył, jakby chciał się upewnić, że w razie czego może wyjść.

Czyż nie jest tak, że nie należy zadawać pytań, na które wcale nie pragniesz odpowiedzi? Może czasami najlepiej byłoby nie wiedzieć, zadowolić się istniejącym stanem rzeczy, tak jak to robią normalni ludzie, i po prostu żyć dalej? Tyle że on tego już nie potrafił; wojna wciąż trzymała go w żelaznym uścisku.

– Najlepiej byłoby, gdyby i ciebie wzięli – cicho powiedział sam do siebie Kaj, powtarzając słowa swojej żony.

A kilka minut później po prostu wyszedł z domu, zostawiając za sobą to wszystko, co trzymało go przy życiu przez ostatnie pięć lat: żonę, dziecko, wszystko. Pierwsza noc, którą spędził w lesie, była wyzwoleniem.

Otrząsnął się z tych wspomnień, z bocznej kieszeni munduru wyjął nakaz przesłuchania, rozprostował kartkę i odczytał litery, które sam wpisał w odpowiednie rubryki formularza: Hauptsturmführer Peter Waldhorst. Sipo <sup>2</sup> Abteilung IV. Aussendienststelle Lillehammer. Poniżej był jego, Holta, podpis. Tylko kilka osób wiedziało, że jest w Lillehammer, ale nikt nie znał celu jego wizyty... I tak było dobrze, przynajmniej na razie. Niewielu ludzi miało świadomość, że do tego obozu, w którym wciąż przebywało wielu sowieckich jeńców, przewieziono grupę niemieckich oficerów.

„Abteilung IV” – pomyślał. Oficjalna nazwa gestapo wydawała się całkiem niewinna. Jakie to typowo niemieckie: ubrać piekło w biurokratyczną formę...

Gdzieś z doliny dobiegł grzmot, rzecz nietypowa jak na późną norweską wiosnę.

Starannie złożył nakaz przesłuchania i schował go z powrotem do kieszeni. Rzęsisty deszcz zaczynał powoli przesiąkać przez mundur. Szybko poszedł w stronę budynku, ale zamiast wejść do środka, stanął pod daszkiem na schodach, żeby to wszystko jeszcze trochę odwlec. Wyłowił z kieszeni na piersi szwedzkiego papierosa i pomyślał, że chyba wszystko, co na sobie i przy sobie ma, jest szwedzkie. Nikotyna przywróciła mu równowagę,

uspokoiła tętno, które mocno przyspieszyło, gdy przeszedł przez bramę.

„Jak biblijny potop” – pomyślał, przyglądając się ulewie. Uderzająca o ziemię woda mocno się pieniała. Ten widok przywiódł mu na myśl zamiar Stwórcy, by utopić wszystkich za ich grzechy. Albowiem nikt, absolutnie nikt nie był wolny od winy. On sam, Kaj, zabijał ludzi i mimo że to wszystko już się skończyło, ci ludzie wciąż go w nocy prześladowali: młodzi, starzy, ojcowie, a nawet młoda, ledwie dziewiętnastoletnia matka. Gdy schodził wtedy po schodach, jej małe dziecko zaczęło płakać. Wciąż słyszał ten płacz, dobiegający zza cienkich drzwi, a oczyma wyobraźni widział samotne dziecko w łóżeczku, podczas gdy jego matka leżała w korytarzu w kałuży krwi.

„Nikt nie jest wolny od winy”.

Pomyślał, że to niezłe zdanie, że może powinien je zapisać na kartce papieru i dołączyć do innych kartek, które zgromadził przez te pięć lat, kartek, które – jak sobie wyobrażał – kiedyś miały się stać jego wspomnieniami, o ile kogoś w ogóle będą obchodzić... Jeśli w ogóle przeżyje – czyż nie tak właśnie myślał? Czy naprawdę wyszedł z domu, nie zabierając tych kartek? Dotychczas nie przyszło mu to do głowy. Musi je odzyskać! Nie pomyślał o nich, kiedy półtora tygodnia temu opuścił żonę i dziecko, a zarazem swoje dotychczasowe życie. I to w przeddzień święta 17 maja <sup>3</sup>, pierwszego wolnego święta od 1939 roku. Włożył te kartki do pudełka po butach, które ukrył na Thereses gate, w starym podróżnym kufrze na strychu. Będą tam leżeć, jeśli on nie wróci do domu.

Wzdrygnął się na dźwięk silnika. Zza rogu nagle wyskoczył wojskowy dodge i zahamował ostro przed schodami, na których stał Kaj. Młody amerykański kierowca odchylił głowę na oparcie fotela i zastygł we własnym świetle, żując gumę.

Kaj właśnie kończył papierosa, kiedy drzwi obok niego otworzyły się i wyszło przez nie dwóch mężczyzn. Stanęli jak wryci – najwyraźniej nie wiedzieli, że tymczasem zmieniła się pogoda. Jeden z nich, Amerykanin, był kapitanem jak Holt, drugi był w cywilu. Mijając Kaja, cywil otarł się o niego i wymamrotał po szwedzku przeprosiny. Schodząc po schodach, Amerykanin skinął Holtowi głową.

– *Get back in* – rzucił do kierowcy, który zaczął wysiadać, by otworzyć drzwi po stronie pasażera. Wsiadając, cywil o uderzająco dziecięcej twarzy rzucił Kajowi przeciągłe spojrzenie, a jemu wydało się, że pod mokrym rondem kapelusza widzi coś jak zaczątek uśmiechu.



Patrząc, jak samochód znika między drzewami, Kaj odniósł wrażenie, że już kiedyś spotkał tego cywila. Ta dziecinna twarz, te miękkie rysy... Gdzieś już musiał go widzieć. „Nie, to złudzenie” – zdecydował. Powinien może jakoś zareagować na pojawienie się tu w towarzystwie amerykańskiego oficera jakiegoś Szweda w cywilu, ale nie przejął się tym. Po wyzwoleniu zaczął się taki bałagan, że nic go już nie dziwiło.

Rzucił papierosa na ziemię i obrócił się. Na zbrojonym szkle drzwi wciąż widniał niemiecki orzeł ze swastyką w szponach. Poczłł nieprzyjemne ukłucie i stał przez chwilę z dłonią na klamce.

Włosy angielskiego porucznika za zaimprovizowanym kontuarem były gęste, czarne i lśniące. Wyglądał jak ktoś, kto całą wojnę spędził za biurkiem, a teraz przybył tu, żeby przejąć kraj po Niemcach. Obok niego z wyniosłą miną stał uzbrojony angielski żandarm. Po niecałym miesiącu pobytu Anglicy zachowywali się tak, jakby razem z Amerykanami byli właścicielami tego kraju. Ale o ile Amerykanów Kaj lubił, o tyle Anglicy przyprawiali go o niesmak. Nie czuli potrzeby ogłaszania całemu światu, że są rasą panów, bo zakładali, że i tak wszyscy to wiedzą. Gdyby parę tygodni temu ktoś powiedział Kajowi, że wkrótce zapragnie, by ci przekłęci Anglicy się wynieśli, pomyślałby, że ten ktoś zwariował. Jak bliski zwariowania był on, kiedy leżał pod podłogą w mieszkaniu na Valkyriegata i nadśluchiwał oddechu gestapowca w drugim końcu pokoju...

Z kieszeni kurtki wyjął nakaz przesłuchania. Kartka była w jednym rogu mokra i nieco naderwana. Anglik wziął ją, patrząc na Kaja jak na idiotę, a potem westchnął z rezygnacją i rozłożył. Holt powstrzymał się od złośliwego komentarza i po chwili otrzymał z powrotem nakaz z parafką porucznika. Żandarm w stopniu kaprała zszedł przed nim do piwnicy. Korytarz wypełniała ciężka woń stęchlizny, która przyprawiła Kaja o mdłości.

Przed celą, gdzie według kaprała żandarmerii przebywał Peter Waldhorst, stał na straży młody żołnierz Milorgu. Na widok oficera stanął na baczność, ale Kaj uspokoił go ruchem ręki i rzucił Anglikowi parę słów, po których tamten zrobił w tył zwrot i się oddalił. Kaj rozejrzał się. Schody w drugim końcu piwnicy zabite były szerokimi deskami. Przeciągnął ręką po włosach i spróbował zapomnieć, że znajduje się pod ziemią, w ciemnej i wilgotnej piwnicy, która ma tylko jedno wyjście. Lekkie drżenie rąk zdradzało jednak, że nie do końca mu się to udało.

Wyminął młodzika z Milorgu i nacisnął klamkę. Światło z małego

okienka na moment go poraziło i sprawiło, że dopiero po paru sekundach dostrzegł kontur człowieka, skulonego na podłodze w kącie pod okienkiem.

Zatrzymał się w drzwiach. Widok Niemca, skatowanego i leżącego na betonowej podłodze piwnicy, zupełnie zbił go z tropu.

Skinął głową młodemu żołnierzowi Milorgu, który bezwiednie majstrował przy lufie przewieszzonego przez pierś schmeissera. Dopiero teraz Kaj zauważył strach w oczach młodzika i jego białą jak papier twarz. Chłopak wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy przez szum deszczu do Niemca dotarł odgłos kroków, powoli, ale zapewne najszybciej jak mógł, uniósł ręce i zasłonił nimi głowę. Jedno z jego ramion wyglądało na częściowo bezwładne. W kącie panowała ciemność i trudno było to stwierdzić z pewnością, ale wyglądało na to, że płacze. „No i dobrze” – pomyślał Holt. „Ty draniu. Nieźle zasłużyłeś sobie na każde kopnięcie”. Po kilku sekundach jednak złość mu minęła i Kaj rozgniewał się na siebie za takie myśli.

– Hauptsturmführer Waldhorst? – spytał cicho.

Niemiec nie odpowiedział. Wciąż osłaniał rękami głowę. Przed chwilą musiał dokonać pewnego wyboru: jeśli zasłaniasz sobie pierś lub krocze, dostajesz kopniaka w głowę. A to oznacza pewną śmierć.

– Peter Waldhorst?

Usłyszał nieartykułowany dźwięk, w którym można było się domyślić potwierdzenia.

– *Möchten Sie nach Hause fahren?* – spytał Kaj.

Niespodziewanie ze strony Petera Waldhorsta dobiegł go cichy śmiech.

– Ja chyba nie z tych, co pojada...

– Spokojnie. Mam kontakty i mogę to panu załatwić – powiedział Kaj.

Nie miał pojęcia, czy to prawda, ale tego gestapowiec nie musiał wiedzieć. W najgorszym razie go rozwalą i tyle.

Raz jeszcze zadał pytanie, któremu nikt w sytuacji Waldhorsta nie mógłby się oprzeć:

– Więc chce pan jechać do domu?

Nastąpiła cisza. Odgłos bijącego w szybę deszczu nieco osłabł, być może zaczęło się rozjaśniać.

– Mam... małą córeczkę... – odezwał się w końcu Waldhorst z kąta.

– Czyż wszyscy nie mamy małych córeczek? – odparł gorzko Kaj.

– Widziałem ją tylko raz... – Deszcz znów zaczął mocno tłuc w szybę. –

Kim pan jest? – spytał po chwili Niemiec.



Kaj nie odpowiedział. Zamiast tego odwrócił się i przystawił sobie krzesło, które stało w drugim końcu celi. Smród stęchlizny znów go zemdlił i na moment ponownie znalazł się w swojej kryjówce pod podłogą na Valkyriegata. Mocno przytrzymał oparcie krzesła.

– Proszę mi powiedzieć, kim pan jest – powtórzył Waldhorst, tym razem doskonałym norweskim.

Kaj poczuł ciarki na plecach. Nie wiadomo dlaczego nie cierpiał Niemców mówiących po norwesku, zwłaszcza tak dobrze jak ten gestapowiec. To było tak, jakby chcieli powiedzieć: „Jesteśmy jak wy, a wy jesteście jak my, więc złożmy broń i żyjmy jak bracia”.

– Holt. Kaj Holt.

Waldhorst coś mruknął. A potem powiedział cicho:

– Ten, którego chronią anioły... A więc tak pan wygląda.

Kaj słyszał, że Niemcy przewalili go Anioł. Nie miało to dla niego znaczenia, nie wierzył w anioły, nie wierzył też już w siebie. Swego czasu Niemcy pastwili się nad nim przez cały tydzień, a potem nagle wyrzucili go na ulicę. Kto wie, może naprawdę coś go chroniło? Może powinien wierzyć w coś większego niż on sam? Ale to już nie miało znaczenia.

– Chce się panu pić, Hauptsturmführer?

– Ja chyba nie mogę... – Peter Waldhorst odjął dłonie od twarzy i wypluł jakiś krwawy strzęp. – ...pić.

Kaj wyszedł na korytarz.

– Przynieś wody.

Milorgowiec wyglądał na jeszcze bardziej przerażonego niż parę minut wcześniej. Zza którychś drzwi w korytarzu dobiegł ich odgłos głuchych uderzeń.

– No już! – krzyknął Kaj, żeby go obudzić. – I spróbuj znaleźć jakąś gazę, ręcznik, cokolwiek!

Po powrocie do celi wyjął z kieszeni papierosa. Znalazł dwa względnie suche, zapalił jednego i podał Waldhorstowi.

Niemiec usiłował unieść się na łokciu, ale szybko zrezygnował. Jego młoda twarz skrzywiła się z bólu, nie wydał jednak żadnego odgłosu. Kaj rozejrzał się po celi. W rogu były jeszcze dwa krzesła, z których jedno leżało na podłodze z odłamaną nogą. Pomyślał, że powinien porozmawiać z obozowym biurem Czerwonego Krzyża, ale natychmiast z tego zrezygnował. Bo co, ma bronić Niemca? Oficera gestapo? I to szczeniaka, dużo młodszego od siebie?

Przysunął całe krzesło, usadził na nim Waldhorsta i włożył mu do ust papierosa. Niemiec najpierw mocno się zaciągnął, a potem lewą ręką wyjął z ust papierosa i przesunął palcami po zakrwawionych wargach. Jego prawa ręka była albo zwichnięta, albo złamana. Kaj zdecydował, że musi przestać myśleć o jego stanie. Waldhorst z pewnością sobie na ten los zasłużył. Ktoś mu spuścił lanie, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Niemcy na przykład nie od razu zaczęli bić: pierwsze godziny przesłuchań to była bułka z masłem – jeśli człowiek nie znał ich metod, można było pomyśleć, że to pogawędka przy kawie. Do dzieła przystępowali po paru godzinach. „Nawet twoja matka nie rozpozna twojego trupa” – powiedzieli Kajowi. „Moja matka nie żyje” – odparł wtedy, a oni wpadli w szal. A teraz stał naprzeciw tego młodego gestapowca i myślał, że to wszystko na darmo. Te lata, ten ból, to, że bez sensu wyszedł z tego cało. Kaja torturowano, kiedy przez pomyłkę wzięto go za innego członka ruchu oporu, ale tortury nie były czymś najgorszym, co mu się przytrafiło. Najgorsze było tamto leżenie pod podłogą, jak w trumnie, niczym żywy trup, i bezsilne czekanie.

– No więc – zaczął Waldhorst i rzucił na wpół wypalonego papierosa na ziemię – skąd ta nagła życzliwość?

Kaj znów wyjął paczkę papierosów, odpalił nowego papierosa od starego i rzucił niedopałek na nierówny beton.

– Był pan w Oslo przez cały czterdziesty drugi, tak?

– Skoro pan wie, po co pan pyta?

– Nie mogę pana znaleźć w żadnych dokumentach z tamtego okresu.

Pracował pan dla Abwehry?

Waldhorst wykrzywił twarz w grymasie, który Kaj zinterpretował jako potwierdzenie.

– Kto panu o tym powiedział? – spytał po chwili.

– Taki jeden... Długo już nie pożyje – odparł Kaj. – Niech się pan o niego nie martwi.

– Od dawna o nic już się nie martwię – rzekł Waldhorst.

– Jeśli nie chce pan skończyć jak on, proszę ze mną współpracować.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, po czym Niemiec zamknął oczy i kiwnął głową.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział Kaj. Przez chwilę palił w milczeniu. – I coś mi się widzi, że tylko pan może mi pomóc to zrozumieć.

– Zawsze jest coś, czego człowiek nie rozumie – powiedział Waldhorst cicho.

– Jesienią czterdziestego drugiego – zaczął Kaj, jakby bardziej do siebie niż do Hauptsturmführera Waldhorsta, i przerwał, bo głos odmówił mu posłuszeństwa. Odchrząknął, potem jeszcze raz, ale niewiele to pomogło. Przez chwilę, która wydała się wiecznością, mężczyźni patrzyli na siebie.

– To nie była dobra jesień – powiedział w końcu Niemiec.

Z jego spojrzenia Kaj wyczytał, że Waldhorst już wie, o co on go spyta i jaka będzie odpowiedź. Na samą myśl o tym zebrało mu się na płacz. Nie, nie tu i nie teraz. Cóż by z niego był za zwycięzca, gdyby miał się rozpłakać u stóp pobitego?

– Wyhodowaliśmy wtedy na własnej piersi żmiję... Zdrajcę – zaczął wreszcie Kaj. – To był młody człowiek, nazywał się Gudbrand Svendstuen. Pan o tym naturalnie wie, ale mnie się wydaje...

– Panu się wydaje, że to nie on? – spytał Waldhorst, jak gdyby czytał w jego myślach.

Kaj prawie niedostrzegalnie skinął głową.

– A to był on? – wydusił wreszcie.

– Tego... panu nie mogę powiedzieć.

– Zatem i ja panu nie mogę pomóc.

– No trudno – powiedział Waldhorst. – Może jakoś dam sobie radę.

Nastąpiła cisza.

Kaj rozważał teraz różne możliwości. Pierwszy błąd zrobił, przyjeżdżając tu, a drugi, bo nie miał nic konkretnego do zaoferowania Waldhorstowi. Prawda była taka, że to nie Norwegowie wywalczyli ten pokój i tacy jak on niewiele mogli zrobić dla kogoś takiego jak Waldhorst.

– Głupio pan zrobił, przechodząc do gestapo – powiedział w końcu. – Mam nadzieję, że zobaczy pan kiedyś swoją córeczkę.

Twarz Niemca była nieruchoma, a zaschnięta krew wyglądała na niej jak jakaś maska.

Kaj nie miał już czym go zaszantażować, a Waldhorst był i tak wystarczająco zmaltretowany. Obrócił się więc na pięcie i ruszył ku drzwiom.

– Był pan kiedyś w Hiszpanii? – odezwał się nagle gestapowiec, kiedy Kaj kładł rękę na klamce. – W regionie o nazwie Galicja?

Kaj odwrócił się.

Niemiec siedział z opuszczoną głową. Uszkodzone ramię zwisało mu wzdłuż ciała, druga ręka leżała bezwładnie na kolanach. Światło z okienka padało tak, że Waldhorst rzucał na cementową podłogę długi, długi cień.

– W mieście ze znaną katedrą?  
– Hiszpania? Galicja? Katedra? O czym pan mówi? – Kaj potrząsnął głową, nic z tego nie rozumiał.

Waldhorst dźwignął sprawną rękę i uniósł wzrok. Przez jego wargi przewinął się smutny uśmiech, jak gdyby zrobiło mu się żal mężczyzny przy drzwiach.

– Jestem pewien, że zna pan nazwę miasta, o które mi chodzi... – powiedział cicho. – A jak pan sobie ją przypomni, może pan sam siebie spytać, kto do niego podąża, Herr Holt.

Kaj Holt bezwiednie wyszeptał to słowo.

1. Milorg (od *militær organisasjon*) – norweski odpowiednik Kedywu Armii Krajowej, tzn. ściśle wojskowa część podziemnej organizacji Hjemmefronten, zajmująca się sabotażem i dywersją; zaraz po wyzwoleniu wszedł w skład regularnej armii. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza]. [\[wróć\]](#)
2. Sipo, Sicherheitspolizei – hitlerowska służba bezpieczeństwa. [\[wróć\]](#)
3. 17 maja – Dzień Konstytucji, norweskie święto państwowe. [\[wróć\]](#)

***Piątek, 16 maja 2003 (trzy tygodnie przed Zielonymi Świątkami)***

*Komenda Policji*

*Oslo*

Tommy Bergmann nie jeden już raz się zastanawiał, ile naprawdę ma oleju w głowie. W zasadzie jego decyzja, żeby wziąć dodatkowy dyżur w Wydziale Kryminalnym 16 maja nie powinna pozostawić w tej kwestii jakiegokolwiek wątpliwości. Tradycyjnie bowiem do służby akurat w przeddzień święta nikt przy zdrowych zmysłach się nie palił, tak więc po komendzie biegali wtedy wyłącznie stażyści i kilku takich jak on sam naiwniaków, którzy wciąż jeszcze wierzyli, że to miasto da się uratować od zguby. Co więcej, byli skłonni poświęcić swoje własne szczątkowe życie prywatne dla dobra innych, by porządni obywatele, to znaczy tacy, którzy mają życie rodzinne, mogli się nim bez przeszkód nacieszyć. Kiedy Tommy słyszał ludzi utyskujących na brak czasu, zawsze miał dziwne uczucie, że są oni z jakiejś innej planety. Po odejściu Hege miał bowiem do dyspozycji tyle wolnego czasu, że nie wypełniłby go nawet, gdyby nie wiadomo jak się starał. Jedyne urlopy, jakie tego roku zaplanował, to tydzień w czerwcu poświęcony pilnowaniu stadka dwunastoletnich piłkarek ręcznych podczas wyjazdu do Göteborga.

„Ale zaraz” – pomyślał, otwierając drzwi na znajdujący się na dachu taras. „Przynajmniej nie wziąłem nocnego dyżuru. No i potrzebuję tych pieniędzy, więc takim zupełnym idiotą chyba nie jestem?”

Poza tym był pewien, że wygra zakład o przyczynę pierwszego ewentualnego zgonu na wieczornej zmianie. Tommy był mianowicie stuprocentowo pewien, że jeśli na jego dyżurze nastąpi jakieś nienaturalne zejście, to będzie to samobójstwo. Szef zmiany, Monsen, postawił dwie setki na to połączenie, co zawsze: świeży obywatel kraju plus jakiś rodzaj morderczego narzędzia.

– Bambus i nóż, jak nic – powiedział Monsen, wydłubując spomiędzy warg drobinę tytoniu. – Jakiś azylant z Rogu Afryki na przepustce z ośrodka.

– Skąd, pogoda jest w sam raz na samobójstwo – odparł Tommy, konstatając nagle, że nikt w komendzie nie zmartwiłby się zbytnio, gdyby to właśnie Monsen poczuł rzucony nóż we własnym brzuchu. Odnosił wrażenie, że kolega za każdym razem doskonale wie, że przegra te zakłady robione w zaufanym gronie, ale nie może sobie odmówić przyjemności użycia słów: „bambus”, „czarnuch” albo „negatyw” i nieodłącznego

chichotu.

Siadając pod wielkim parasolem przy zielonym, plastikowym stole na tarasie, Tommy zdał sobie sprawę, że nie irytuje go już ani infantylny rasizm Monsena, ani jego własna słabość do tych zakładów. W końcu tu, na górze, życie wydawało się o wiele znośniejsze niż na dole, w pomieszczeniu socjalnym sekcji dochodzeniowej, z tym jej sinym linoleum i pamiętajacymi lepsze czasy skórzanymi kanapami, które pozbawiłyby złudzeń największego optymistę. Widok miasta stąd, z góry, w dziwny sposób wpływał na niego kojąco.

Odchylił się na krześle, zamknął oczy i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pozwolił słońcu ogrzać sobie twarz. Na kilka minut udało mu się osiągnąć coś niemożliwego: stan zupełnej bezmyślności. W głowie miał pustkę, w której rezonowały tylko odgłosy rozpościerającego się na dole miasta. No i był tam też strzęp wspomnienia, który nieco zakłócał ten nieomal beztroski stan: Hege, jej włosy niemal białe latem, jej turkusowe oczy i brązowa skóra, sól, którą z niej zlizywał po południu w chłodnym hotelowym pokoju w tokańskim miasteczku, którego nazwy już nie pamiętał...

Tamtego lata miało być między nimi znów wszystko dobrze, jak kiedyś. Powiedział sobie wtedy z pełnym przekonaniem, że tak będzie: że już nigdy.

Ale kiedy wrócili do domu, znów ją pobił. Po prostu uderzył dwa, trzy, może cztery razy. Już nie pamiętał, o co wtedy poszło. Pewnie coś powiedziała, coś takiego, co tylko ona potrafiła powiedzieć, by doprowadzić go do białej gorączki. Pomyślał, że co prawda zrobił to tylko ten jeden jedyny raz po danej sobie obietnicy, ale co z tego? To był o ten jeden jedyny raz za dużo. Nie, to nie był jeden raz. Nie mógł sobie przypomnieć ile razy. Tommy nie chciał pamiętać nic z tego, co jej zrobił. Chciał pamiętać tylko jedno: żeby nigdy już nie zakochać się w kimś takim jak Hege, kimś o tyle lepszym niż on sam.

– Niech cię szlag trafi, Bergmann – wymamrotał.

Po jego lewej stronie rozległ się metaliczny szcęk i otwarły się czerwone drzwi, ale nie otworzył oczu.

Usłyszał znany głos – był to Dramstad z sekcji napadów, stary, cuchnący papierosami drań, który też wylądował w ten weekend w komendzie, najwidoczniej nie mając nic lepszego do roboty.

– Kurwa, niezła pogoda, co? – zagaił przybysz, który, jeśli wierzyć plotkom, bez kielicha nie zaczynał już dnia.



Tommy burknął coś w odpowiedzi, wściekły na siebie za to wspomnienie o Hege.

– Niezła – powtórzył Dramstad do siebie.

„Nie” – pomyślał Tommy, otwierając ostrożnie oczy i wpuszczając ostre słońce w głąb czaszki. „To pogoda dla samobójców”. Ale nie powiedział tego głośno, pozwalając, by stary Dramstad stał sobie dalej w ciszy i spokoju, oddając się złudzeniu, że pogoda jest ładna.

\*

Tego niespodziewanie spokojnego wieczoru 16 maja Tommy Bergmann siedział w swoim gabinecie, próbując dokończyć jakieś stare raporty, kiedy na jego komórcę nagle wyświetlił się numer Monsena.

Kolega chrząknął i przedstawił się jak gdyby z lekkim wahaniem w głosie, a Tommy w tym momencie zyskał już pewność, że skromna suma, o którą się założyli, jeszcze tego dnia trafi do jego kieszeni.

Pomyślał, że parę setek zawsze się przyda, i zdjął nogi z biurka, kierując wzrok na jeden z wysokich bloków stojących na Enerhaugen.

– Jacyś studenci znaleźli... kości.

Przez chwilę panowała cisza, a Tommy poczuł, że podświadomie marszczy czoło.

– W Nordmarce <sup>1</sup> – uzupełnił w końcu Monsen.

– Jakie znowu kości? – spytał Bergmann. Wyprostował się i przysłonił lewe ucho, żeby zagłuszyć dźwięki ulicy. Po chwili słyszał już tylko słaby szum.

– No, ludzkie – powiedział Monsen.

– Ludzkie kości? Na pewno nie jakiegoś psa?

Z drugiej strony usłyszał prychnięcie i odgłos zapalnego papierosa. Tommy mógł sobie teraz łatwo wyobrazić Monsena z papierosem zwisającym z wargi, jak przeciąga palcem między kołnierzykiem koszuli a tłustym karkiem.

– W takim razie musiałyby to być spore bydlę – powiedział. – Upierają się, że ludzkie.

– Nie mów mi, że to studenci medycyny?

– Bingo – odparł Monsen. – I to aż czworo. Przyjedź, to zobaczysz.

Tommy zamknął oczy

Nie miał wcale ochoty jechać do lasu. W 1988 roku widział w lesie martwego człowieka i to nim niezłe wstrząsnęło.

„No, ale to tylko kości” – pomyślał i wziął z blatu kluczyki do

samochodu. „Z kilkoma kośćmi chyba jakoś sobie poradzę”.

1. Nordmarka – porośnięte lasem tereny rekreacyjne za północną granicą miasta Oslo.  
[\[wróć\]](#)

**Wtorek, 29 maja 1945**

*Restauracja hotelu „Cecil”*

*Sztokholm*

Kaj Holt podążył wzrokiem za parą dziewcząt na chodniku po drugiej stronie ulicy. Idąc spacerowym krokiem, zatrzymały się przed sklepem z kapeluszami, a jedna z nich wskazała któryś palcem. Druga, śliczna brunetka, zaśmiała się, zasłaniając usta dłonią. Kaj wyobraził sobie, że dziewczyna pachnie tanimi perfumami, być może konwaliowymi. Spojrzał na jej nieduże, delikatne dłonie i przez moment wyobraził sobie, że mocno chwytają jego plecy... Ta dziewczyna mogłaby go pewnie uratować, skłonić do powrotu do rzeczywistości, ale dlaczego taka piękna istota miałaby zadać się z kimś takim jak on?

Oderwał od niej wzrok i znów skierował uwagę na Håkana Nordenstama po drugiej stronie stołu. Od czasu do czasu kiwał głową, pozwalając swojemu towarzyszowi wygadać się do cna. A ten opowiadał coś o Angliku, którego śledzili podczas wojny. Była to jakaś błaża, nieistotna historia, opowiadana wyłącznie po to, by nie poruszyć innego, niebezpiecznego tematu. Na przykład ludzi z SD <sup>1</sup>, którzy jakoś przedostali się przez tę granicę na kilka dni przed końcem niemieckiego panowania. Tak, jakby Nordenstam bał się, że Kaj może nagle spytać, gdzie oni właściwie się podzieli, kto im tu pomógł, kto ich wsadził na statek płynący do Portugalii, Hiszpanii albo jeszcze gdzieś dalej, do krajów, które znali tylko z nazwy?

„Wojna” – pomyślał Kaj. Od wyzwolenia minął już prawie miesiąc, a jemu, kiedy budził się rano, wciąż się wydawało, że trwa. W kieszeni marynarki nadal miał ampułkę z cyjankiem, a pod gumowym paskiem wokół łydki – schowanego pod szeroką nogawką małego colta llamę. W kieszeni płaszcza nosił tłumik do niego, na wypadek, gdyby któregoś dnia obudził się na odgłos podkutych butów w korytarzu. „Właśnie” – pomyślał. „Ta wojna nigdy się nie skończy”. Starannie wytarł usta serwetką. Była porządna, lniana. Nagle zdał sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy podczas wojny bywał w „Cecilu”, w tym pięknym mieście, dręczyły go wyrzuty sumienia. Te cholerne wyrzuty ogarniały go, ilekroć przekraczał granicę i przyjeżdżał do Sztokholmu po nowe rozkazy i na kilka tygodni odpoczynku. Bo wiedział, że kiedy znów przejdzie na drugą stronę granicy, przywita go wiadomość o tym, że właśnie zabito kilku jego przyjaciół. Czuł się winny, że jakoś przetrwał te najdłuższe lata w dziejach swojego kraju. Mawiano, że na wojnie największym zaszczytem, jaki cię może spotkać, jest jej przeżycie, ale teraz,

kilka tygodni po wyzwoleniu, Kaj czuł, że to fałsz. Na wojnie zaszczytem jest tylko śmierć. Taka, jaką ponieśli ci wszyscy mężczyźni i kobiety o tyle lepsi od niego. Stracili prawdziwe życie, nie takie, jak jego. Został tylko on, jedyny. Co przeżył i co zrobił ze swoim życiem w tych dniach wolności? Porzucił je, porzucając żonę i dziecko.

„Porzuciłem?” – spytał sam siebie. „Naprawdę?” W roztargnieniu popatrzył na grzbiet swojej dłoni. Przecięty był w poprzek dużą blizną, białą prześwitującą przez czarne włoski. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, skąd się wzięła. Na kilka sekund wydało mu się, że jest zupełnie gdzie indziej i że nie stało się nic złego, że nie było tej wojny, że to z Agnes w ogóle się nie wydarzyło. I nagle poczuł tępy ból. Taka była młoda, o wiele za młoda. Gdyby potrafił ją uratować, ta wojna miałaby choć odrobinę sensu. To była jego wina. Jak mógł być tak ślepy, tak bezgranicznie ufny!

Tę gonitwę myśli przerwał mu głos Nordenstama i lekki uścisk jego ręki na ramieniu.

– Co jest? – usłyszał z drugiej strony stolika. – Kaj, popatrz na mnie!

Kątem oka zobaczył, że Nordenstam przechyla się przez stolik.

– Waldhorst – powiedział Kaj.

– Peter Waldhorst? – spytał cicho Nordenstam.

Kaj skinął głową, bardziej sobie samemu niż swojemu towarzyszowi. Może powinien był zareagować na fakt, że Nordenstam wie, o kogo chodzi, ale jakoś się tym nie przejął. Szwedzi nieraz go już zaskoczyli swoją wiedzą.

Obaj odwrócili oczy. Kaj na moment spojrzął za okno, odnalazł wzrokiem brunetkę, która maszerowała teraz ulicą, trzymając się pod rękę z przyjaciółką, zadowolona i beztroska. Nordenstam wyjął srebrną papierośnicę, którą zawsze nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki, wydobyl z niej papierosa, postukał nim leciutko w wieczko i zapalił. Kaj popatrzył na opalonego Szweda, przyjaciela jego kraju w dużo większym stopniu niż przełożony Nordenstama w Referacie C, z którym miał się widzieć następnego dnia. Przez moment pożałował, że nie jest Szwedem – o ileż łatwiej byłoby mu teraz żyć, mając tylko trochę na sumieniu.

Nordenstam podsunął mu otwartą papierośnicę.

– Peter Waldhorst... a co z nim? – spytał, przypalając Kajowi papierosa.

– Ach, nic takiego. Siedzi w Jørstadmoen. Złożyłem mu wizytę, a on... zadał mi pewne pytanie.

Przez moment pomyślał, że posunął się za daleko. Ale nie, nie miał zamiaru tego w sobie dusić. Któż jak nie Nordenstam miał go zrozumieć? No

i skąd on, Kaj, miałby wiedzieć? Skąd w ogóle mogłoby komuś coś takiego przyjść do głowy?

Nordenstam wydmuchnął w górę kółko dymu. Przez gwar głosów próbowały się przebić dźwięki pianina na drugim końcu lokalu.

– On zadał pytanie tobie? – spytał Nordenstam, nachylając się do niego.

Kaj nie odpowiedział, patrzył tylko na przystojną twarz Szweda, widział tę isierkę w jego oczach, ten chłopięcy optymizm, którego zło tkwiące w ludzkiej naturze nie było w stanie zmącić. Przez moment zapragnął walnąć w tę piękną twarz młotem, żeby zobaczyć, jak się rozpada, ujrzeć kawałki kości, krew i mózg, a potem rzucić zmasakrowanego mężczyznę na schodach domu żony, by wszystko pojęła, żeby zrozumiała, co się działo po drugiej stronie granicy.

Kaj poczuł, że zbiera mu się na wymioty, i otrząsnął się z tej obrzydliwej myśli. Któregoś dnia, i to pewnie niedługo, zwariuje na dobre.

– Dadzą nam tu w końcu jeść? – zapytał obojętnym tonem, jakby w ogóle nie poruszyli tego tematu.

– Kaj, sądziłem, że to ty zadawałeś pytania?

Nordenstam nie spuszczał z niego wzroku. Pianista skończył numer, dłonią uciszył oklaski z jednego ze stolików i wesołe okrzyki rozbawionego towarzystwa.

– Byłeś kiedyś w Hiszpanii? – spytał Kaj. – W Galicji?

Nordenstam pokręcił głową, uśmiechnął się.

– O co chodzi, Kaj? O czym ty mówisz?

– Pojechałem do Lillehammer, żeby dostać odpowiedź na pewne pytanie. Nie dostałem. Za to mnie spytano, czy znam nazwę miasta w Galicji, gdzie jest słynna katedra.

Nordenstam zmarszczył brwi. Albo miał już dość tej rozmowy, albo był coraz bardziej zaniepokojony jej obrotem. Kajowi było już wszystko jedno.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Nordenstam.

Z pianina popłynęły pierwsze takty piosenki, której norwescy naziści tak bardzo nie cierpieli: *Jazzgossen*. Kaj sięgnął do kieszeni marynarki i znalazł pióro. Kiedy stawiał litery na serwetce, na jego wargach pojawił się przelotny uśmiech. A potem złożył starannie serwetkę i posunął ją w stronę Nordenstama.

– Więc – zaczął – pytanie, które postawiłem Waldhorstowi, dotyczyło Gudbranda. Myślę, że tu nastąpiła pomyłka.

Nordenstam nagle zeszywniał. Po chwili jednak opanował się i rozłożył

serwetkę.

– To coś w rodzaju odpowiedzi – powiedział Kaj, przyglądając się mężczyźnie przed sobą. – Kto tam jeździ, do tego miasta? – Skinął głową w kierunku serwetki, którą Nordenstam trzymał w ręku.

Jego towarzysz złożył w końcu serwetkę i zgasił na wpół wypalonego papierosa. Spróbował spojrzeć Kajowi w oczy, ale ten uciekł ze wzrokiem. W odbiciu w oknie zobaczył, jak Szwed wkłada serwetkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Co tu się dzieje, Kaj? – spytał Nordenstam, a w jego oczach widać było współczucie. – Co ci się stało? Gdzie jest ten Kaj, którego znałem? Pozwalasz, żeby jakiś gestapowiec sobie z ciebie kpił?

Kaj nie odpowiedział. Rozejrzał się tylko po lokalu i nagle zatrzymał wzrok na jednym z mężczyzn w rozbawionym towarzystwie kilka stolików dalej. Jego twarz była znajoma, dziwnie znajoma.

„Nie, nie” – pomyślał. „Tak dłużej już nie może być”. W uszach wciąż słyszał głos Waldhorsta, pamiętał jego ciemne oczy pod czarnymi, krzaczastymi brwiami. Może ten przeklęty gestapowiec to wszystko wymyślił, zrobił mu na koniec diabelski kawał? Kaj stwierdził, że już niczego nie rozumie, nie wie, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Poczuł, że kręci mu się w głowie, wydało mu się, że jest na jakiejś karuzeli, otoczonej martwymi ludźmi, że jest tam Agnes i Serek, i młoda matka, którą zabił, i Gudbrand... Poczuł, że galopujące myśli zaraz przyprawią go o szaleństwo.

– Kaj, pozwól, że załatwię ci na noc dziewczynę, dobra? Musisz się odprężyć.

Kaj potrząsnął głową. Przez moment miał ochotę chwycić Szweda za kłapy marynarki, potrząsnąć nim i krzyknąć: „Nie rozumiesz, co Waldhorst miał na myśli?!”.

– Gdzie nocujesz? – spytał Nordenstam.

– W mieszkaniu na Rindögatan.

Nordenstam skinął głową, odprowadził wzrokiem przechodzącą między stolikami dziewczynę.

– Odpręż się trochę – powiedział, uśmiechając się białymi, równymi zębami.

Przed Kajem postawiono talerz. Nareszcie.

– A potem – dodał Nordenstam – a potem się zabawimy. – I wybuchnął śmiechem.

Kaj też nie mógł się powstrzymać, bo dobrze wiedział, co Szwed ma na



myśli.

– Pokażę ci takie miejsce, że od razu zapomnisz o tych swoich zgadywankach.

Kaj właściwie już zapomniał. Rzucił się na jedzenie, nagle zdając sobie sprawę, że od wielu dni porządnie nie jadł, nie mówiąc już o spaniu.

– Dziś sobie pożyjemy! – oświadczył Nordenstam i położył rękę na ramieniu Kaja. – Pożyjemy jak nigdy!

Kaj skinął głową, pomyślał, że owszem, pożyje, choćby tylko po to, żeby zaprzeczyć słowom żony sprzed kilku dni: „Najlepiej byłoby, jakby i ciebie wzięli”.

A on jej wtedy cicho przytaknął. Na co ona równie cicho się rozplakała, jak za pierwszym razem, kiedy powiedziała, że go straciła.

Przytaknął wtedy raz jeszcze: tak, tak by było najlepiej. Stała z dzieckiem na ręku, z dziewczynką, do której nie potrafił niczego poczuć, nie potrafił się ucieszyć, że wreszcie może być jej ojcem.

– Uszczęśliwiłoby cię tylko jedno – wyszeptła, przytulając córeczkę jeszcze mocniej, jakby chcąc zaznaczyć, że jest tylko jej – gdybyś poszedł za tymi martwymi... Do domu.

I wtedy wyszedł bez słowa. Nie miał już nic.

Kaj odłożył sztućce na biały adamaszkowy obrus i jakby nigdy wcześniej nie widział świata, zagapił się na tłum ludzi, uśmiechnięte twarze, kłębiący się pod sufitem papierosowy dym, biały smoking piosenkarza, tyłek młodej kobiety zmierzającej ku toalecie, przylepione do niej spojrzenia mężczyzn, krwistoczerwony materiał marszczący się na jej pośladkach...

– Håkan... Ja już nie chcę żyć – powiedział nagle w przestrzeń.

Przez moment znów był tam, w Jørstadmoen. Kiedy po przesłuchaniu stał na schodach, napełniając płuca świeżym powietrzem, nie był do końca pewien, co się właściwie stało. Czy naprawdę trzymał Waldhorsta rękami za głowę i krzyczał? Wrzeszczał, że to nieprawda, że to wszystko kłamstwo?

– Nie mów takich rzeczy – odpowiedział miękko Nordenstam.

I wtedy, na samym skraju pola widzenia Kaja, na ułamek sekundy znów pojawiła się znajoma twarz. Odwrócił się. Tak, to na pewno on. Przy stole w głębi sali, w kącie tuż przy orkiestrze siedział on, ten cywil z Jørstadmoen. Siedział tam zupełnie sam z tą swoją dziecięcą twarzą i wyglądał, jakby od początku wieczoru czekał, aż zostanie przez Kaja rozpoznany.

Co on tu robi?

Kim jest?

Ich oczy się spotkały. Przez środek lokalu przeszła jakaś para i na moment przerwała ich kontakt wzrokowy. Kiedy go odzyskali, cywil uśmiechnął się do niego przyjaźnie, skinął leciutko głową i podniósł kieliszek.

– Kaj, co jest? – spytał zaniepokojony Nordenstam.

Kaj poczuł, że towarzysz chwyta go za ramię.

– Nic – szepnął.

– Nie gadaj, przecież widzę – powiedział Szwed.

– Wiesz, kim jest ten gość? – spytał Kaj.

Na środku sali pojawiła się grupa ludzi, zasłaniając kąt, gdzie siedział ten człowiek. Stanęli i wdali się w rozmowę z kelnerem.

Nordenstam obrócił się i spojrzał w kierunku, który wskazywał głową Kaj.

– Ja już go widziałem – powiedział Kaj. – Wczoraj, w Jørstadmoen. I wcześniej... też.

Nordenstam odwrócił głowę z powrotem do niego i ściągnął brwi.

– Który gość, Kaj? Nie rozumiem.

Tymczasem grupka ludzi ze środka sali odeszła, odsłaniając kąt przy orkiestrze.

Kaj zamarł i zamrugał – przy stoliku w rogu nikogo nie było.

Wyglądało wręcz tak, jakby nikt tam od dawna nie siedział: serweta była świeża, nakrycie nietknięte. Jeden z kelnerów właśnie prowadził tam czwórkę gości.

– Ale... – wyjąkał Kaj i wstał raptownie od stołu, przewracając szklankę, która poturlała się, spadła na podłogę i rozprysnęła w kawałki.

W lokalu zrobiło się nagle cicho. Orkiestra miała akurat przerwę między kawałkami i wszyscy muzycy spojrzeli na Kaja. Kelnerzy znieruchomieli w pół gestu i odwrócili głowy w jego stronę.

Kaj poczuł, że sala zaczyna się kręcić wokół niego, nieruchomy był tylko stolik w rogu przy orkiestrze. Serwety, kieliszki, kryształki żyrandoli wirowały, dźwięki brzęczącego szkła, *Jazzgossen*, kobiecego śmiechu, trzasku zapalanych zapalek zlewały się w jeden. Tamten mężczyzna znów tam siedział. Kaj był pewien, że ich oczy się spotkały, a wzrok nieznanego o dziecięcej twarzy sięgnął głęboko w niego i wszystko zobaczył.

Chwilę później ten człowiek zniknął.

– On tam jest! – wrzasnął Kaj, nieświadom panującej w sali ciszy. I raz jeszcze: – On tam jest!

– Już dobrze – usłyszał Kaj z oddali. – Już dobrze.

Następną rzeczą, jaką zapamiętał, był uścisk rąk na ramionach. Zamachał gwałtownie i podłoga uciekła mu spod nóg.

Twarz Håkana Nordenstama przeobraziła się w dziecięcą twarz człowieka z Lillehammer. Usta Szweda poruszały się, ale Kaj Holt niczego nie słyszał. Wokół niego znowu panowała ciemność, od lewej strony czuł wąty strumień powietrza, zamknął więc oczy i łapał je, oddychając słabiotko jak niemowlę, a za każdym razem, gdy nabierał powietrza, jego pierś dotykała wiszących nad nim desek podłogi. A potem zbiegał bezszelestnie klatką schodową. Za sobą słyszał płacz dziecka.

Kiedy stali na ulicy, zapytał szeptem Nordenstama:

– Czy w takim świecie można dalej żyć?

1. SD, Sicherheitsdienst – hitlerowska służba bezpieczeństwa. [\[wróć\]](#)

## **Piątek, 16 maja 2003**

*Nordmarka*

*Oslo*

Tommy Bergmann stanął na ścieżce i zadarł głowę do góry – nad sobą widział tylko zieloność i błękit. Na chwilę zamknął oczy i poczuł, jak krew mocniej pulsuje mu w żyłach. Może to i absurdalne, ale dobrze było wyrwać się z miasta choćby na ten jeden wieczór. Nawet jeśli trzeba przy okazji obejrzeć jakieś stare kości.

Wzruszył ramionami, wyjął z kieszeni na piersi papierosa i powoli się rozejrzał, przyglądając się grze promieni zachodzącego słońca wśród listowia. Głosy. „No tak” – pomyślał. Przez szum drzew, skądś z lewej strony doszedł do niego dźwięk głosów. Podniósł wzrok i jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów przed sobą zobaczył powiewającą na ścieżce czerwono-białą taśmę.

Ruszył z miejsca, nagle czując, że jest bardziej zmęczony, niż mu się wydawało. Jak tak dalej pójdzie, na treningu nie dotrzyma kroku nawet najbardziej ślamazarnym ze swoich szczypiornistek. Tej wiosny zauważył, że w biegu podczas rozgrzewki z najlepszymi z nich nie ma najmniejszych szans. A z interwałami 15/15 musiał dać sobie spokój już dawno.

Na jednym z pni po lewej stronie ścieżki zobaczył kawałek przywiązanej policyjnej taśmy i skręcił w wąską, niemal całkowicie zarośniętą ścieżkę. Co dziesięć metrów obwiązane taśmą drzewo pokazywało drogę do znaleziska.

Był tam już Georg Abrahamsen i drugi kolega, z którym usiłowali postawić jeden z tych białych namiotów nad miejscem, w którym Tommy widział tylko mech i paprocie. Na ziemi leżał duży akumulatorem reflektor, oświetlając kręcących się techników z sekcji kryminalistycznej. Kilka metrów dalej dwóch mundurowych cicho rozmawiało z jednym ze studentów, który co chwila nerwowo przeczesywał ręką włosy. Jeszcze kawałek dalej na ziemi leżał rozłożony namiot, a obok siedziała trójka studentów – dwie dziewczyny i chłopak. Patrzyli przed siebie bezmyślnie.

– Kurwa – powiedział Abrahamsen do Tommy’ego. – Dziesiątki razy się tędy biegało... O tam. – Pokazał głową szeroką ścieżkę, z której Tommy przed chwilą odbił w lewo.

– Mów za siebie – burknął Tommy, wkładając między wargi nowego papierosa. Już dawno powinien rzucić palenie, żeby nie dawać się wyprzedzić szczypiornistkom, jednak stale ten moment odkładał. No ale dzisiejszy dzień wyjątkowo kiepsko się nadawał na rozpoczęcie życia na

nowo.

– Kurde, uważaj, bo sfajczysz ten las – usłyszał za sobą.

Leif Monsen, gruby szef zmiany w Sekcji, ciężko dysząc, przedzierał się przez zarośla w ich stronę, kilka metrów od miejsca, z którego przed chwilą wyszedł Tommy. Jego czerwona twarz jakoś dobrze wpasowywała się w zachodzące między drzewami słońce.

– A niech to diabli – powiedział Monsen, przy czym jak na niego, były to mocne słowa.

Mimo że palił jak komin i był patologicznym rasistą, był także najwyraźniej bogobojnym człowiekiem, który rzadko miewał potrzebę ostrzejszego przyprawiania swojego języka przyzywaniem piekielnych mocy. Tommy swego czasu doszedł do wniosku, że Monsen po to tyle pali, żeby jak najbardziej przyspieszyć moment spotkania ze swoim Stwórcą.

– No, to żaden z nas nie wygrał – rzucił do Bergmanna i skinął głową Abrahamsenowi.

Tommy nie odpowiedział. Przyglądał się Abrahamsenowi, który tymczasem dał sobie spokój z ustawianiem białego namiotu i kucając, ostrożnie zdejmował z czegoś wierzchnią warstwę mchu. Przez chwilę Tommy widział w jego obciążonych lateksem dłoniach coś na kształt ludzkiej czaszki. Podeszedł dwa kroki bliżej, a Monsen za nim.

– No i co, stare kości? – upewnił się Monsen, wyjmując z kieszeni paczkę tytoniu do skrętów. – Zgadza się?

– Na to wygląda – potwierdził Tommy.

– Nie dość – zaczął Monsen, wyciągając rękę po zapalniczkę, którą podał mu Tommy – że mamy jeden koma trzy zejścia na każdym cholernym dyżurze, to jeszcze dorzucają nam jakieś gnaty. – Z niesmakiem popatrzył na Abrahamsena, który na czworakach grzebał rękami w ziemi kawałek dalej.

– Tam masz tych swoich studentów. – Tommy wskazał głową na wypytywaną aktualnie przez jednego z mundurowych, żywo gestykułującą dziewczynę i pomyślał, że ci studenci nieprędko zdecydują się na kolejny nocleg na łonie natury.

– Ale my ten bajzel przekazemy tym mądralom z Brynsalleen. – Monsen odchrząknął, splunął siarczyście w krzaki pod nogami, a potem mocno zaciągnął się swoim skrętem.

Stara niechęć do tych z Kripos <sup>1</sup> siedziała także w Tommym i w tym akurat zgadzał się z grubasem. Ludzie upierali się przy gwałtownych zajściach i zejściach poza godzinami urzędowania, a wtedy to oni, a nie tamci

musieli wyjeżdżać, by „babrać się we krwi, szarpać z dogorywającymi babami i skatowanymi bachorami”, jak mawiał Monsen. I to często do samej następnej zmiany.

– No więc tak. – Usłyszał głos przed sobą i obudził się z zamyślenia. Przed nimi stał Abrahamsen. – Guzik mnie obchodzi, jak bardzo nie lubisz tych gości z Brynsalleen, ale ja bez ich pomocy dalej grzebał tu nie będę.

– Naprawdę? – Monsen wyglądał na autentycznie zaskoczonego, co było u niego rzadkie.

– A tak – oświadczył Abrahamsen – nie będę ryzykował, że ta czaszka, tu pod mchem, rozsypie mi się w rękach.

I wyjął z kurtki komórkę.

– No więc tak... – zaczął Monsen, wyraźnie przedrzeźniając Abrahamsena. – Jeżeli te kości i ta czaszka leżą tu dłużej niż dwadzieścia pięć lat, to my od razu zamykamy sprawę i niech oni dalej się z nią pieprzą.

Pięć minut później już go tam nie było.

Po półtorej godzinie zniknęli też studenci, ale zjawilo się za to więcej mundurowych. Zeznania studentów niewiele do sprawy wniosły. Wbijali ostatniego śledzia, kiedy coś im przeszkodziło i nagle wyciągnęli spod mchu kość. Ludzką kość, przypuszczalnie piszczelową. A jako że znali się na kościach lepiej niż ktokolwiek z obecnych, nie było powodu, żeby im nie wierzyć.

Tommy włożył jednorazowe rękawiczki i wziął się do dzieła według instrukcji Abrahamsena. Tuż pod mchem natrafił na kość przedramienia i przeszedł go dreszcz. Płytko w ziemi spoczywał tu, na oko sądząc, kompletny ludzki szkielet. Żebra były w nim połamane, ale poza tym szkielet wydawał się nienaruszony. Jeśli nie liczyć dziury w kości czołowej.

– Ziemia je wypchnęła – powiedział Abrahamsen. – Leżą tu od ładnych paru lat.

Pokręcił głową, otarł wierzchem dłoni czoło.

– Dlatego chowamy ludzi sześć stóp pod ziemią... Wyobraź sobie, co by było, gdyby udało ci się przeżyć i pochować teściową, a ona myk i znów jest na powierzchni?

Tommy nie słuchał go. Wstał z klęczek i poczuł zawrót głowy. Stał teraz, patrząc na kości przedramion, złożone na połamanych żebrach. Poczul ostry zapach ziemi spod ściółki i zrobiło mu się niedobrze. Ściągnął rękawiczki i wyjął papierosa. Jak długo już tu był? Godzinę? Przechylił głowę na bok, jak zawsze, kiedy zapalał papierosa, ale znieruchomiał, zanim jeszcze



płomień zapalniczki dotarł do końca papierosa.

Słońce było teraz pod takim kątem, że jeden z promieni oświetlił koniec kości przedramienia, a może dłoni, a jemu się wydało, że coś tam w ziemi błyszczy.

Wyjął niezapalonego papierosa z ust.

– Georg – powiedział cicho i upuścił papierosa, a potem przyklęknął i zaczął ostrożnie odgarniać ziemię wokół czegoś, co musiało być lewą ręką.

Na nadgniłym paliczku tego, co kiedyś było serdecznym palcem, widniało matowe, mocno wytarte kółko.

Złota obrączka.

Kiedy wkładał palce między kosteczki, przebiegł go dreszcz.

– Zostaw to! – powiedział Abrahamsen za jego plecami.

Ale Tommy Bergmann go nie słuchał, zresztą i tak było już za późno. Jako że paliczki nie rozsypały się, delikatnie zsunął z nich obrączkę i podniósł do światła. Po chwili udało mu się odcyfrować wygrawerowane litery:

„Twój na zawsze Gustav”.

1. Kripos (akronim od KRiminalPOLitiSentralen) – norweski odpowiednik CBS. [\[wróć\]](#)

## ***Noc z 29 na 30 maja 1945***

*Duża sala hotelu „Berns”*

*Sztokholm*

Kiedy Kaj Holt został raptownie wyrwany ze snu, niczego nie pamiętał, nie wiedział nawet, gdzie jest. Czyjaś ręka szarpała go za ramię. Długa sala była jaskrawo oświetlona, ale z podium nie dobiegała żadna muzyka. Bardziej leżał, niż siedział, a przenikliwy ból głowy był jedynym doznaniem, które mówiło mu, że żyje. Przez moment miał wrażenie, że wielki żyrandol nad jego głową zaczyna na niego spadać, nie dobiegł go jednak żaden dźwięk. I nic nie było w stanie przebić się przez ten szatański ból głowy, nawet strach, że będzie musiał dalej leżeć pod deskami podłogi na Valkyriegata, ani lęk, że nie ma przy sobie dokumentów.

– Musi pan już wyjść – odezwał się jakiś głos.

Kaj automatycznie wstał, przewracając krzesło, a czyjaś ręka znów chwyciła go za ramię. W pierwszym odruchu chciał się szarpnąć i uderzyć, ale coś go powstrzymało – może był to brzęk szkła, a może dobiegający z oddali śmiech, który zabrzmiał przyjaźnie, a nie drwiąco?

Przed oczyma przesunął się szereg obrazów z wieczoru: twarze, śmiech, jakaś kobieta na jego kolanach, jej zapach, jej smak... Opalona twarz Nordenstama, jego białe zęby, klepięcie w plecy. I słowa: „Już koniec, wszystko się skończyło”.

„Ale gdzie?” – pomyślał Kaj, omiatając wzrokiem lokal. „Gdzie oni wszyscy się podziiali?”

– Przepraszam... – Usłyszał swój własny głos, a po chwili był już na ulicy z marynarką przewieszoną przez ramię, z kapeluszem w palcach. Ostrożnie, jakby bojąc się, że odpadnie mu głowa, uniósł twarz do góry, by upewnić się, że pada na nią skądś z ciemności drobny, prawie niewidoczny deszcz. Zerknął na zegarek, potem raz jeszcze, ale pozycja wskazówek niczego mu nie mówiła.

Stał tak i mókł, dopóki ktoś za nim nie powiedział, że zaraz przyjedzie taksówka. Niewyraźne mruknięcie było jedynym dźwiękiem, który był w stanie wydobyć z siebie w odpowiedzi. Na ulicy pojawiły się dwa światła.

– Gärdet – powiedział cicho do siebie, bo gdzieś w głowie zaczęło mu się coś przejaśniać, choć ostatnie godziny wciąż były jedną wielką niewiadomą. Najwyraźniej jego krótkotrwała pamięć uległa wymazaniu.

– Gdzie dokładnie?

– Rindögatan.

Wyjął z kieszeni tabletki nasenne, przeliczył je raz, a potem drugi. Zastanawiał się, czy ich wystarczy.

– Spokojnie – szepnął, ręce mu drżały, przeliczył tabletki raz jeszcze. Siedem. Za mało. – Spokojnie – powtórzył, zaskoczony, że tak głośno.

Następną rzeczą, którą zapamiętał, było klęczenie przed fontanną na Karlaplan i siorbanie wody z ręki. Przełknął jedną, drugą, trzecią tabletkę. Podniósł się i kiwając się, stał, jakby czekając, że za chwilę zwali się do wody, utonie i zniknie na zawsze.

Nic takiego się nie wydarzyło. Pomacał wewnętrzną kieszeń marynarki, szukając pierśiówki, ale jej nie znalazł. Zaklął kilka razy, deszcz z czarnego nieba wciąż padał i padał, a on był już zupełnie mokry.

W Tessinparken fontanna była nieczynna. Przez delikatny szum przejeżdżających gdzieś dalej samochodów na moment przebił się czyjś ostry głos. Kaj nie wiedział, jakim cudem znalazł właściwą ulicę, ale nie miało to większego znaczenia. Tą, którą teraz się włókł, była właśnie Rindögatan, i to jedno było pewne. Minął swój własny numer 42, przeciął ulicę, a kiedy prawie przejechała go taksówka, która nie wiadomo skąd się pojawiła, obrócił się wokół własnej osi. Przypomniał sobie, że kwartał dalej mieszka kobieta, z którą rok wcześniej spędził parę nocy. Pragnął wtedy, by to lato nigdy się nie skończyło, by już na zawsze mógł zostać w tym mieście i spać z nią co noc w jednym łóżku, i by zawsze była wojna, ale bez jego w niej udziału...

Odruchowo znalazł właściwy guzik dzwonka, czwarty od dołu.

Podniesiono słuchawkę.

– Pragnę cię – powiedział, zastanawiając się, czy tak jest naprawdę. Nie było. Mimo to powtórzył, a właściwie ledwo wymamrotał: – Pragnę cię...

– Kaj, wróć, jak wytrzeźwiejesz. Obudzisz całą ulicę!

– No co ty – powiedział Kaj. Nie pamiętał nawet jej imienia. Zaśmiał się sam z siebie, a parę sekund później poczuł, że w oczach zbierają się łzy. Pochylił się, dotknął nogawki na łydce, wyczuł kształt pistoletu. „Mój mały przyjaciel” – rozczulił się. „Mój mały przyjaciel...” .

– Wiesz, która jest godzina? Zaraz zadzwonię po policję! Kaj, idź do domu i się prześpij!

Odwiesiła słuchawkę.

Kaj oparł się o szklane drzwi. Zanim się zorientował, co się dzieje, miał na butach wymiociny.

– To nie może być prawda – powiedział cicho do siebie. Usiadł na

granitowych schodach, czując, jak przemakają mu spodnie na tyłku. – Powiedz, że to nieprawda. O Boże, mój Boże...

Po kilku minutach stanął przed wejściem do swojej kamienicy i oczyma pełnymi łez popatrzył na wymiociny na butach.

– Nawet nie wiem, czemu płaczę – wymamrotał do siebie.

Ale było mu z tym dobrze, było to wspaniałe uczucie. Jak lunatyk wdrapał się po schodach, nie zapalając światła.

Strzęp papieru, który wychodząc, włożył między drzwi a framugę, leżał teraz na podłodze.

Potknął się o własne nogi, opadł na czworaki i dopełznął do łóżka.

Nic nie było rzeczywiste. Nawet twarz człowieka, który stał nad nim z wypisanym na niej niewzruszonym spokojem.

„Wreszcie” – pomyślał Kaj. „Wreszcie tu jesteś. Co tu robisz?” Powinien był to wykrzyknąć, wystraszyć przybysza. „Co tu robisz?!” Nie miał władzy w nogach i choć wiedział, że gdzieś przy łydce ma swój mały pistolet, ba, czuł go, nie był w stanie się podnieść. A mężczyzna, ten sam, z dziecięcą twarzą, z miękkimi jak u dziewczyny rysami, sam mu go wyjął zza gumowej opaski. I uśmiechnął się do niego delikatnie.

– Ech, Kaj, Kaj – powiedział, gładząc palcem wylot lufy.

Powiedział to prawie bez obcego akcentu. Kaj wiedział, kto to, bo widział go wcześniej. To ta cholerna dziecięca twarz z Jørstadmoen!

Z kieszeni jego płaszcza na krześle przybysz wyciągnął tłumik.

„No tak” – pomyślał Kaj. „A więc jednak nie miałem tego przeżyć”. Co to powiedział do Waldhorsta? „Czyż wszyscy nie mamy małych córeczek?” Przez moment spróbował przypomnieć sobie zapach małej, ale mu się nie udało. To spowodowało nowy napływ łez, ale starał się je powstrzymać. Nie chciał, żeby ten człowiek pomyślał, że on, kapitan Kaj Holt, boi się dostać kulę w głowę!

Gdyby nie był tak pijany, tak owładnięty snem i tak na wszystko rozszalony... zabiłby tego gościa nad sobą gołymi rękami.

Dziecięca Bużka pochylił się nad nim z uśmiechem na ustach. I może ten uśmiech spowodował, że Kaj zerwał się, jakby nigdy w życiu się nie upił.

– Jak mam umrzeć, to z własnej ręki – szepnął.

Dziecięca Bużka najwyraźniej się zdziwił, bo nie pojął, co się dzieje, kiedy lewa pięść Kaja trafiła go w nerki. Zgiął się cicho w pół i cofnął, przewracając stojące pod ścianą krzesło, a z głowy spadł mu kapelusz. Kaj poczekał sekundę, o sekundę za długo, podłoga była chyba krzywa, a ściana

dziwnie pochyła... Ten drań będzie sikał krwią przez resztę lata, niezłe, co, Dziecięca Buźko?

Pomyślał, że to wszystko trwa najwyraźniej za długo i że już jest za późno.

Uderzenie głową przebiło mu chyba lewe płuco. Poczuł, jak łamie mu się mostek i wpada gdzieś do środka, ale z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Gdy znalazł się z powrotem na łóżku, było tak, jakby w ogóle się z niego nie ruszył.

Zamknął oczy i pomyślał, że zaraz będzie w domu.

## ***Noc z piątku na sobotę, 17 maja 2003***

*Nordmarka*

*Oslo*

Przez ostatnie pół godziny na las opadła gęsta mgła i wisiała teraz między drzewami jak brudna, wełniana przędza. Gdzieś nad Tommym Bergmannem, który stał i przyglądał się swojemu własnemu moczowi parującemu w zderzeniu z mchem, wrzasnęła sowa. Zapiął rozporek i wsłuchał się w ciszę wokół siebie. Ani jeden z nowo przybyłych techników z Kripos, ani Georg Abrahamsen, ani żaden z dwóch nowych mundurowych z komisariatu na Majorstuen, którzy zjawili się wieczorem, nie był skłonny do rozmowy.

Ciszę przerwał trzask z radiotelefonu, który mieli ze sobą mundurowi. Tommy złapał się na tym, że tęskni za służbą patrolową. Za więzią, bliskością, komitywą. Twierdzono, co prawda, że śledczy działają zespołowo, ale i tak wszyscy wiedzieli, że naprawdę każdy pracuje na własną rękę. Że każdy jest sam ze swoimi myślami.

Ostatnie godziny nie przyniosły wiele nowego, nikt nie był bliski odpowiedzi na pytanie, które stawiali sobie wszyscy. Kim był ów Gustav? Jedno tylko było pewne: że odkryte szczątki były kiedyś kobietą i że była ona zamężna lub zaręczona z jakimś Gustavem. Jeden z ludzi z Kripos utrzymywał, że w tym grobie na pewno jest więcej szkieletów i że widać to na pierwszy rzut oka. Tommy'emu nie podobała się taka stuprocentowa pewność, ale jeśli tak było, mogło to stanowić odpowiedź, co się stało z Gustavem.

Wrócił do pozostałych i popatrzył na scenę przed sobą. Dziesięć metrów od niego stał biały namiot, oświetlony jednym przenośnym reflektorem z zewnątrz i trzema od wewnątrz. Dodatkowo przed namiotem stało dwóch mundurowych z latarkami czołowymi. Zanim je odpowiednio ustawili, by oświetlały pnie drzew, omiatały ich korony niczym reflektory lotnicze. Tommy zatrzymał się oślepiony. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do nowego oświetlenia, zauważył oczy jakiegoś zwierzęcia w lesie na lewo od namiotu. W świetle reflektora stało jak skamieniałe.

– Tommy! – Głos Abrahamsena zmącił ciszę nocy, oczy zwierzęcia znikły, a Tommy usłyszał tylko szelest listowia.

Tuż przed nim pojawił się promień światła, a on ruszył w kierunku jego źródła. Abrahamsen stał w wejściu do namiotu, mrugając i nie widząc niczego poza ciemnością.

– Musisz to zobaczyć – powiedział.



– Co takiego? – spytał Tommy, który wyszedł z cienia tuż przed kolegą.

Ten uniósł dla niego płótno. Wewnątrz miało się uczucie, że w namiocie zużyto cały tlen. Pięciu mężczyzn kucąco lub stało wokół wykopaliska, zajmującego powierzchnię mniej więcej dwa na dwa metry. Tommy najpierw zobaczył całkiem już odkryte szczątki kobiety i powędrował wzrokiem od przedziurawionej czaszki poprzez zgniecione żebra, miednicę, kości udowe, goleniowe, aż po stopy, które wyglądały na zmiażdżone.

A potem przesunął wzrok na prawo od tych kości.

Abrahamsen pokiwał z powagą głową. Ubrany był cały na biało, a na brzuchu miał wielki cyfrowy aparat.

– A więc mamy Gustava? – spytał Bergmann, wskazując ręką na wykopywany właśnie szkielet. Widoczna już była druga czaszka. Człowiek leżał na lewym boku, z jakiegoś powodu jego żebra były nietknięte. Reszta kości jeszcze nie została odkryta.

– To nie wszystko – oznajmił jeden z ludzi od Kripos, a Tommy spojrzał na niego.

Gość miał siwe włosy i uważał się za nestora ekipy. Tommy’emu nigdy nie udało się zapamiętać jego nazwiska. Facet zdjął grube szkła w stalowej oprawie, wytarł je starannie w mankiet koszuli i wsadził z powrotem na nos.

– Chodźcie tu – rzucił do Tommy’ego i Georga Abrahamsena, kiwając na nich ręką.

Z lekkim ociąganiem Tommy podszedł bliżej i kucnął, a facet z Kripos kucnął obok. W rękę miał złotą miarkę. Abrahamsen pochylił się nad nimi, jakby miał za chwilę wpaść do płytkiego grobu. Po raz pierwszy tej nocy Tommy poczuł ogromną chęć, by zwymiotować. Może był to zgniły zapach wilgotnej ziemi i oczyszczonych przez robaki ludzkich kości, a może zbyt mocne było wspomnienie pierwszej martwej osoby, którą w swoim policyjnym życiu widział? Piętnaście lat temu znalazł w lesie, w worku na śmieci, zakatowaną dziewczynkę.

Gość z Kripos dłubał w wypełnionej ciemną ziemią klatce piersiowej szkieletu.

– O, tu – powiedział, pokazując palcem. – Tu, między żebrami.

Nad głową Tommy’ego błysnął flesz i mocno oświetlił złotą miarkę. Tommy dalej widział tylko te stare kości, nic innego.

Facet z Kripos postukał w coś końcem miarki, a Bergmann poczuł, że na przedramieniu stają mu włoski, a w płucach nagle brakuje tlenu. O mało nie zsunął się do grobu.

– Cholera jasna – sapnął Abrahamsen, stojąc obok Tommy’ego, i powiedział to, co obaj pomyśleli: – Ich jest troje!

Tommy patrzył szeroko otwartymi oczyma. Między zębami mężczyzny pokazała się piąta ręka. Powoli policzył zaciśnięte paluszki malutkiej dłoni. „No tak” – szepnął do siebie. „Pod spodem leży dziecko”.

Abrahamsen powiedział coś, ale Tommy nie dosłyszał, co. Poczuł jego dłoń na plecach.

– Kurwa mać! – Teraz usłyszał wyraźnie.

Tommy Bergmann doświadczył nagle czegoś, czego nigdy nie miewał, czegoś na kształt wizji. Wyraźnie zobaczył, że to dziecko stało wtedy dokładnie tam, gdzie on sam stał jakiś czas temu, kiedy między drzewami zobaczył oczy zwierzęcia.

– Dziecko – powiedział w przestrzeń. – Ktoś zabił tu dziecko.

**Środa, 30 maja 1945**

*Rindögatan 42*

*Gärdet*

*Sztokholm*

Stojąc z szeroko rozstawionymi nogami na chodniku przed numerem 42 na Rindögatan, inspektor kryminalny Gösta Persson poczuł, że burczy mu w brzuchu. Odchylił głowę i spojrzał na bladożółtą kamienicę. W oknie na wysokim parterze pojawiła się jakaś twarz, ale zaraz zniknęła. Ze stalowoszarego nieba zaczął padać deszcz, który po chwili zachlapał mu szkła okularów. Persson westchnął i zaczął szukać chusteczki.

Żeby tylko móc zatrzymać to burczenie! Persson był z tych, którzy nie stawiają życiu wielkich wymagań, o ile tylko są dobrze karmieni, i to o stałych porach. To jednak było absolutną, absolutną koniecznością. Jeśli więc zaraz nie zje lunchu, może wybuchnąć! Skinął głową posterunkowemu z okręgu Östermalm, który stał w drzwiach niczym portier. Ma sobie zepsuć lunch? I to dla kogo? Dla jakiegoś martwego Norwega? Przyglądając się skrzynkom pocztowym, pokręcił głową – Norwegów było na świecie i tak wystarczająco dużo, nawet po tej cholernej wojnie... Ale lunch, lunch był podstawą wszystkiego! To jedzenie, a nie cokolwiek innego wprawiało Ziemię w ruch. A on, kiedy zadzwonił ten przeklęty telefon, właśnie szedł na lunch. Już miał kapelusz na głowie i rękę na klamce! Przez kilka sekund rozważał wszystkie za i przeciw, ale że wciąż miał jakieś ambicje, odebrał telefon, zamiast wymknąć się z biura i udawać, że nic nie było. Dzwonił szef zmiany, żeby go poinformować, że jeden z patroli wpadł na pomysł użycia krótkofalówki celem zgłoszenia podejrzanego zgonu na Rindögatan, na Gärdet. Sprawa mogłaby równie dobrze poczekać do końca lunchu, ale nadgorliwy szef już zdążył sprawdzić, że mieszkanie jest własnością norweskiego poselstwa w Sztokholmie. A czegoś takiego nie można zignorować, nieprawdaż? Inspektor wciąż słyszał głos szefa w słuchawce. Cóż, Persson musiał myśleć o swojej dalszej karierze, kto wie, może zostanie kiedyś nadkomisarzem? Tak czy owak, tego żalosnego zgonu nie dało się zignorować.

„Po cholere komu ci Norwegowie?” – myślał Persson, stając na podeście pierwszego piętra. Pot z czoła wsiąkł mu chyba we wstążkę kapelusza, bo go nie czuł. Zero lunchu. A teraz ten pot... I na domiar złego jeszcze ci Norwegowie! Do diabła, kiedyś było lepiej, w Skandynawii panował pewien ustalony porządek. Persson zmobilizował resztki motywacji i wtaszczył

swoje nadliczbowe kilogramy na brakujące trzynaście stopni.

Przed otwartymi drzwiami na drugim piętrze stał jeszcze jeden posterunkowy, młodziak, którego Persson nigdy dotąd nie widział. Już otwierał dziób, ale Persson powstrzymał go machnięciem ręki i przeszedł przez próg. Chciał wiedzieć jak najmniej, zanim zobaczy denata na własne oczy. Z poleganiem w tej kwestii na innych skończył już wiele lat temu. W kuchni siedział trzeci posterunkowy i przemawiał cicho do trzęsącej się kobiety, która płakała, ukrywając twarz w dłoniach. Persson skinął głową posterunkowemu, staremu znajomemu, położył palec na ustach, minął kuchenne drzwi i pomaszerował w stronę salonu.

Zwłoki leżały na łóżku w sypialni i nawet inspektor kryminalny Persson musiałby przyznać, że przedstawiały żaloszny widok. W sztywniejącej prawej dłoni zmarły trzymał pistolet, który Persson rozpoznał jako colta llamę. Lufa skierowana była w sufit. W środku czoła denat miał dziurę, która nie wyglądała specjalnie atrakcyjnie. Czarna, zastygła krew wylała się z czaszki, pokrywając pół twarzy i część poduszki. Oczy Norwega skierowane były w tę samą stronę co lufa pistoletu, który wysłał go na tamten świat. W powietrzu wisiał zapach zestarzałych wymiocin. Persson stał przez chwilę, przyglądając się mężczyźnie przed sobą. Westchnął kilka razy, jak to miał w zwyczaju, kiedy nie dawała mu spokoju jakaś nieprzyjemna myśl. A potem zrobił kilka kroków i zaczął przeszukiwać kieszenie przewieszzonego przez krzesło pod drzwiami płaszcz. Jedynym interesującym obiektem, poza dokumentem tożsamości wystawionym na Kaja Holta, był jego wypchany portfel. Persson szybko przeliczył banknoty, a potem przyjrzał się fotografii na dokumencie nieboszczyka. Podrapał się w głowę. W końcu zdał sobie sprawę z tego, co go zaniepokoiło, i podszedł do łóżka. Zerknął na mężczyznę tam leżącego i wyraz jego twarzy przypawił go o dreszcz. Widywał już coś takiego, ale wcale mu to nie pomogło.

„Otóż to” – pomyślał i wyjął z kieszeni długopis. Myśl, która w nim zakiełkowała w momencie, kiedy dostrzegł tę zrobioną w Hiszpanii miniaturę colta, przybrała konkretny kształt. Podłubał w lufie pistoletu zakrętką długopisu. Wylot lufy był specjalnie wyfrezowany, by można było wien wkręcić tłumik. Gdzie, u licha, podział się tłumik? No ale czy ktoś odbierałby sobie życie pistoletem z tłumikiem?

Patrząc na czaszkę denata, Persson pomyślał, że rana wlotowa coś za elegancko wygląda. Ludzie odbierający sobie życie za pomocą broni palnej zazwyczaj wkładali sobie lufę do ust, bo w ten sposób nie było drogi

odwrotu. Ci, co przystawiali broń do czoła, na ogół w momencie strzału zmieniali zdanie, więc trafienie rzadko było tak czyste jak to, które zabiło Kaja Holta. Poza tym o wiele skuteczniej było przystawić lufę do skroni i skierować ją nieco do tyłu czaszki, a człowiek taki jak Holt powinien o tym wiedzieć.

Jakby tego nie było dosyć, inspektor Persson dobrze wiedział, że sąsiedzi według wszelkich znaków na niebie i ziemi obudziliby się na odgłos pocisku dziewięć milimetrów przekraczającego barierę dźwięku w drodze do wnętrza czaszki Holta... Ale gdyby użyto tłumika, ci sami sąsiedzi najwyżej obróciliby się na drugi bok.

Persson obszedł łóżko i obejrzał Kaja Holta z drugiej strony. Patrząc na denata o twarzy popielatej w chłodnym świetle z okna, ostrożnie położył kapelusz na nocnym stoliku i raz jeszcze wyjął chusteczkę, tym razem, by przetrzeć łysinę. Potem położył się na podłodze i zajrzał pod łóżko. Następnie wstał z niejakim trudem i delikatnie wsunął dłoń pod głowę Holta od prawej strony. Pokonując opór sztywniejącego karku nieboszczyka, uniósł lekko jego głowę. Miał rację: otworu wylotowego nie było, bo pocisk wciąż tkwił w czaszce denata. Tylko tłumik osłabiłby prędkość pocisku na tyle, że ten nie przebiłby czaszki z drugiej strony.

„Niech to szlag” – pomyślał inspektor Persson, czując, jak mu kiszki marsza grają głośniejsz niż kiedykolwiek. Jeśli ten nieszczęsny Kaj Holt odebrał sobie życie, to on, Persson, gotów był zjeść swój własny kapelusz!

Idąc z powrotem do kuchni, Persson przeklinał sam siebie. Dlaczego musiał odebrać ten cholerny telefon? Dlaczego waząc za i przeciw, dokonał właśnie tego wyboru?

Zanim dotarł do kuchni, skręcił do drzwi wejściowych i poddał je dokładnym oględzinom. Żadnych śladów włamania. „Ergo drzwi musiały być otwarte albo ten ktoś miał klucz” – pomyślał Persson. Albo też Holt przyszedł do domu z kimś lub wpuścił kogoś, kogo znał... Takie to wszystko było proste i zarazem skomplikowane.

A może by jednak uznać, że Holt odebrał sobie życie? Ale Persson znał siebie aż za dobrze. Był w mieszkaniu zaledwie kilka minut, a sprawa już mu śmierdziała, że hej. A on nie był z tych, co tak łatwo się poddają.

„Kapitan Kaj Holt...” – pomyślał Persson, mozolnie wstając z klęczek. Funkcjonariusz stojący przed drzwiami chciał mu podać pomocną dłoń, ale inspektor tylko machnął zniecierpliwioną ręką. Może i był nieco za gruby, ale wciąż potrafił sam wstać!

Oparł się o futrynę i napotkał niepewny wzrok posterunkowego.

– A więc wypytałicie już sąsiadów, tak?

Chłopaczek, wyraźnie ze wsi, kiwnął głową.

– I nikt niczego nie słyszał, co? – Persson jeszcze raz wytarł łysinę i zdał sobie sprawę, że jego kapelusz nadal leży w sypialni obok dziurawej czaszki Holta.

– Nie – odparł funkcjonariusz. – W mieszkaniu obok nikogo nie było, a na górze...

– To nie ma znaczenia – przerwał mu Persson.

W kuchni udało mu się trochę uspokoić siedzącą tam rozdygotaną kobietę i wydobyć z niej coś sensownego. Zanotował, że ma dwadzieścia pięć lat i że mieszka po drugiej stronie ulicy, kwartał dalej. Przyznała, że była „w czymś w rodzaju związku” z Kajem Holtem jeszcze parę miesięcy temu, ale że zrezygnowała, kiedy się dowiedziała, że zostanie ojcem. I że jest żonaty.

– Ach tak – powiedział inspektor.

Młoda kobieta starła z policzka łzę.

„Miejmy nadzieję, że to ostatnia” – pomyślał Persson z nadzieją.

– I on zadzwonił do pani w nocy?

Przytaknęła, a potem zaczęła bawić się kapeluszem leżącym na stole.

– Czy odniosła pani wrażenie, że jest... Jakby to powiedzieć...

Przygnębiony?

– No może tak... Ale on często taki był.

– Taki?

– No... przygnębiony.

– Aha. Ale pani nie otworzyła.

– Nie, bo słyszałam, że jest pijany.

– I dzisiaj poszła pani do pracy?

– Nie... Byłam chora.

Persson przyglądał się kobiecie. Nie wyglądała na specjalnie chorą. Może Holt nie był jedynym, z którym była „w czymś rodzaju związku”?

– I chciała pani się z nim zobaczyć?

– No, bo... Był taki smutny – powiedziała i znów wybuchnęła płaczem.

„No pewnie” – pomyślał Person. „To przecież smutni ludzie odbierają sobie życie. To właśnie taka sprawa”.

Kobieta kiwała głową do siebie samej. Persson wyciągnął rękę, żeby położyć na jej ramieniu, ale cofnął ją. Zamiast tego wstał bez słowa i wrócił do sypialni po swój kapelusz. Popatrzył jeszcze przez dłuższą chwilę na

martwego kapitana.

– Ohyda – powiedział do siebie. „Żona, dziecko i tak dalej”. W salonie podniósł za róg leżącą na stole karteczkę:

„Przepraszam. Kaj”.

Odłożył ją na miejsce i wyszedł na korytarz.

– Zejdź no do radiowozu, zadzwoń na komisariat i powiedz, żeby zawiadomili poselstwo norweskie – powiedział do posterunkowego.

Mogą przynajmniej go zidentyfikować. Równie dobrze mogą to zrobić od razu, choć nie jest to takie istotne. Mężczyzna na łóżku był przecież tym z dokumentu tożsamości.

Młodziak ruszył w dół po schodach.

– I zorganizuj mi coś do jedzenia! – zawołał Persson za nim.

Wróciwszy do salonu, zasiadł na kanapie.

Kiedy przyjaciółka Holta opuściła mieszkanie z drugim posterunkowym, podszedł do stolika pod ścianą i włączył stojące tam radio Sølvsuper 2.

Nastawione było na Akwizgran. Pokój wypełnił głos Zarah Leander <sup>1</sup>.

Perssonowi zdało się, że ma jakieś omamy. Czyżby Amerykanie uruchomili stację? Naprawdę?

„I ta cholerna hitlerowska dziwka” – pomyślał. „Ta cholerna hitlerowska dziwka”.

Ale i tak, wyjmując papierosa z paczki, której najwidoczniej zapomniał posterunkowy, zaczął nucić do wtóru.

*Sag' mir nicht Adieu, nur Auf Wiedersehen.*

1. Zarah Leander – właściwie Sara Stina Hedberg (1907-1981). Popularna (zwłaszcza w Niemczech) szwedzka gwiazda filmowa i piosenkarka. [\[wróć\]](#)

## ***Sobota, 17 maja 2003***

*Nordmarka*

*Oslo*

O świcie wszystkie szczegóły uzewnętrzniły się z wyjątkową ostrością. Tommy Bergmann rzucił po raz ostatni okiem na trzy szkielety, leżące teraz całkiem na wierzchu pod cienką, białą tkaniną namiotu. „Czy człowiek to naprawdę tylko tyle?” – zadał sobie pytanie, patrząc na czaszkę i wszystkie w niej otwory. Widok ten sprawiał, że czuł się bardzo nieswojo, ale tego można się chyba było spodziewać. Od czasu, kiedy ostatnio leżał w łóżku, minęły dwadzieścia cztery godziny, a dwanaście godzin grzebania tu w tym lesie nie przyniosło ani jemu, ani kolegom żadnych nowych śladów poza obręczką. Jedyne, co udało się stwierdzić, to to, że dorosłym strzelono w głowę. Przyczyna śmierci dziecka nie została ustalona. Tommy nachylił się nad wykopaliskiem i położył dłoń na małej, brązowej głowie. Według techników z Kripos było to dziecko w wieku siedmiu, ośmiu lat. Kobieta obok, której jakiś Gustav obiecał wieczną wierność i która szczerzyła się do dachu namiotu, była zapewne matką dziecka. Co do trzeciej osoby, nikt w namiocie nie miał żadnego pomysłu poza luźnymi przypuszczeniami, że może to być sam Gustav albo też kochanek żony Gustava. Dwanaście godzin poszukiwań nie dało jednak nic oprócz jednej obręczki, a jeżeli trzecia osoba była Gustavem, obręczkę powinien mieć i on. Dlatego też Tommy opowiadał się za teorią o kochanku.

Kiedy jednak słońce przebiło się przez poranną mgiełkę, stwierdził, że nie chce mu się już łamać nad tym głowy. Powinien zejść ze zmiany wiele godzin temu i mimo że spędzenie siedemnastego maja w całkowitej samotności w mieszkaniu na Lambertseter nie było może tym, o czym marzył, to spędzenie święta w towarzystwie trzech szkieletów daleko w Nordmarce było znacznie gorszym rozwiązaniem.

„Mimo że to dziecko nie daje mi spokoju” – pomyślał, wychodząc z namiotu.

Powietrze wypełnił trzask migawek aparatów. Tommy uniósł głowę i przez kilka chwil znajdował się w centrum uwagi prasy, jak zwykle nienasyconej i zawsze cierpiącej na głód tytułów donoszących o zbrodni.

Zamienił kilka słów z jednym z dziennikarzy, który wyglądał na bardzo przemarzniętego po kilku godzinach szwendania się po tutejszych lasach. Zaledwie parę nic nie znaczących zdań i skierowanie do służby prasowej komendy. Potem rozpoczął podróż do domu wąską ścieżką otoczoną



sięgającymi chmur świerkami.

Po kilku minutach zatrzymał się i obrócił, wyężając wzrok. Wydawało mu się, że między drzewami widzi jakiś ruch.

– Nie, nic tam nie ma – powiedział sam do siebie. Ostre światło słoneczne dało mu poczucie bezpieczeństwa, którego brakowało mu przez całą noc.

„Gustav...” – myślał Tommy, skręcając na główną drogę. Stanął i wytarł pot z szyi. „Co tam się zdarzyło?”

**Środa, 30 maja 1945**

*Rindögatan 42*

*Gärdet*

*Sztokholm*

Inspektor kryminalny Gösta Persson opryskliwie poprosił wszystkich, żeby mu nie przeszkadzać w jedzeniu, ale i tak, ledwo napoczął drugą połowę kanapki, do drzwi kuchennych ktoś zapukał. Wstał. Pukanie rozległo się ponownie, ale Persson tylko stał i patrzył w przestrzeń. „Jak oni mogą puszczać Zarah Leander?” – pytał sam siebie, mimo że dawno już wyłączył radio w salonie, a poza tym zawsze, bez wyjątku, jadał w ciszy.

Znów zapukano do drzwi.

Persson stanął przy oknie wychodzącym na podwórze.

– Wejść! – powiedział w końcu, ale nawet się nie odwrócił. Zamiast tego przyjrzał się nędznej brzoźce rosnącej na podwórzu i uznał, że wygląda równie martwo jak tamten Norweg w łóżku.

Ktoś za nim chrząknął.

– To pani Fredriksen z poselstwa – powiedział posterunkowy ze wsi.

– Następnym razem nie kupuj mi kanapki z szynką – powiedział inspektor, wycierając palce serwetką, którą nie wiadomo dlaczego wciąż trzymał w ręku. – O ile będzie jakiś następny raz.

Powoli odwrócił się. Stała przed nim młoda kobieta. Była to pewnie jedna z tych, które przeszły przez granicę rok czy dwa lata temu i zrobiły błyskawiczną karierę w poselstwie. Najwyraźniej nigdy nie miało dość ludzi. Wzrok miała chłodny, spojrzenie wręcz wyzywające. Należała do tych kobiet, od których Persson, gdyby był młodszy, trzymałby się z daleka.

– Właściwie nie powinienem pani tu wpuszczać – odezwał się inspektor.

– To mieszkanie należy do państwa norweskiego – odparła kobieta, przechylając głowę na bok, a jemu przez moment wydawało się, że spadnie jej kapelusz.

– To miejsce zbrodni – stwierdził Persson.

Na moment zapanowała cisza.

– A więc został zabity? – odezwała się w końcu, odrobinę za głośno, tak że jej głos odbił się echem w pustym korytarzu za jej plecami.

Persson westchnął.

– Zbyt wiele na to nie wskazuje.

„Nikommu tego oficjalnie nie powiem, zanim nie będę stuprocentowo pewien, że nikt mnie tu nie wciąga w pułapkę” – postanowił w duchu

Persson.

Wyciągnął swoją ogromną łapę. Mała, biała rączka kobiety całkiem w niej zginęła.

– Gösta Persson – powiedział. – Inspektor kryminalny – dodał z naciskiem.

Kobieta wytrzymała jego ostre spojrzenie i to Persson musiał odwrócić wzrok.

– Karen Eline Fredriksen. Referent. – Leciutko kpiący ton, jakim powiedziała „referent”, trafił go boleśnie.

Strząsnął to z siebie, wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza notes i zapisał jej personalia.

– Ka-ren Eli-ne Fre-drik-sen – powtórzył, pisząc.

– Niedługo Krogh – dodała.

Persson spojrzał znad notesu.

– Przepraszam?

– Niedługo Krogh – powtórzyła. – Za miesiąc wychodzę za mąż.

– Gratulacje – powiedział Persson, przyglądając się jej uważnie.

Z jakiegoś powodu Karen Eline Fredriksen uważała za istotne, by podkreślać ten fakt. Szeroki płaszcz, który miała na sobie, nasunął mu przypuszczenie, że może jest w ciąży.

„Szczęściarz i pechowiec” – pomyślał Persson o małżonku *in spe*, wkładając notes i pióro do wewnętrznej kieszeni. Lekkim dotknięciem w plecy wyprowadził ją z kuchni, poprowadził przez ciemny korytarz i spartańsko umeblowany salon, a potem bez ostrzeżenia otworzył przed nią drzwi do sypialni.

Karen Eline Fredriksen natychmiast schowała twarz w dłoniach i ledwo słyszalnym szeptem wymówiła imię nieboszczyka.

– Dobrze go pani znała? – spytał, kiedy już Karen Eline Fredriksen wytarła oczy chusteczką wyjętą z kosztownej torebki.

Minęło parę chwil bez żadnej reakcji z jej strony. Patrzyła martwo przez okno, nieświadoma, że inspektor zadał jej jakieś pytanie.

Persson już otwierał usta, by spytać raz jeszcze, ale ona go wyprzedziła.

– Tak. On... był tu przecież nieraz. To znaczy... mieszkał tu przez ostatni rok... półtora roku... On... pracował dla poselstwa...

– Więc pani go znała?

– Tak.

– I to jest Kaj Holt? – Persson wskazał na łóżko, gdzie zwłoki powoli

siniały.

Pojedyncza łza stoczyła się jej po policzku, malując na nim czarną smugę. Po chwili wzięła się w garść, a jej twarz przybrała inny wyraz, tak jakby fakt zgonu kolegi nie był niczym niespodziewanym.

Gösta Persson nie bardzo potrafił powiedzieć, co to jest, ale coś w jej zachowaniu mówiło mu, że była na to przygotowana. Jakby z góry wiedziała, co się stało, kiedy w norweskim poselstwie zadzwonił telefon.

Persson wskazał ręką drzwi do salonu.

Karen Eline Fredrikson nagle zrobiła coś całkowicie niespodziewanego: powoli podeszła do ciała Kaja Holta, wyciągnęła lewą rękę i pogłaskała go delikatnie po włosach po prawej stronie, a potem po tym policzku, który nie był pokryty zaschniętą krwią.

– Przepraszam – powiedziała, przechodząc przez salon i idąc w stronę kuchni. – Jemu... dopiero co urodziła się córka... A jego żona... – Nie dokończyła zdania.

– Rozumiem – odparł Persson. Ciekawe, dopiero co urodziła mu się córka. Dlaczego w takiej chwili odbierać sobie życie?

– Kaj miał... samobójcze ciągoty – powiedziała Karen Eline Fredriksen, jakby czytała w jego myślach. Pogłaskała stół odzianą w rękawiczkę prawą dłonią.

Persson patrzył na nią, myśląc, o ile piękniejsza jest od jego własnej żony. Złote włosy i błękitne oczy upodabniały ją do anioła, takiego, jakie widzi się na wyidealizowanych obrazkach. Kiedy spuściła głowę, rondo czarnego kapelusza przysłoniło jej oczy.

– Czyli można by przypuścić, że mógł odebrać sobie życie? – spytał.

Karen Eline Fredriksen podniosła na niego wzrok, a jej uszminkowane na czerwono usta rozchyliły się.

– O tym to już wy zawyrokujecie... Ja chciałam tylko zwrócić waszą uwagę na to, że w ostatnim roku Kaj był bardzo... przybity. Wojna bardzo mu się dała we znaki.

Wytrzymała jego wzrok i znów to on musiał spuścić oczy. Pokiwał głową. To wszystko brzmiało wiarygodnie. Podał jej kartkę z napisem „Przepraszam. Kaj”.

– Proszę mi powiedzieć, czy to wygląda na jego pismo?

Patrzyła długo na kartkę.

– Może tak być... ale pewności nie mam.

„Dobrze, żeś to powiedziała” – pomyślał Persson.

– Chętnie zobaczę coś, co Holt napisał w poselstwie, rozumie pani: list czy coś takiego.

– Chyba pan nie myśli... – Fredriksen potarła dłonią czoło. Jej spojrzenie przeniosło się na okno, gdzie jakaś mucha tłukła się o szybę.

– Chcę mieć całkowitą pewność – powiedział Persson.

Kobieta skinęła głową.

– I niech to zostanie między nami. Czy zawiadomiła pani Oslo, że znaleziono go martwego?

– Ja... to znaczy poselstwo, da znać jego żonie – odparła. – Jeśli to wszystko... – Wstała gwałtownie i poprawiła na sobie beżowy płaszcz.

– Zadzwoń do pani w sprawie tego listu Holta, czy co tam po nim macie.

– Tak jest – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

Kiedy spytała, czy może już iść, przytaknął, a po odprowadzeniu jej do drzwi wyjściowych dwukrotnie podkreślił słowa „pani Karen Eline Fredriksen” w swoim notesie. A potem napisał starannie i powoli, jakby papier stawiał opór: „tendencje samobójcze”. A jeszcze później pomyślał: „Dlaczego nie powiesz mi prawdy?”.

Przez dłuższą chwilę stał, przyglądając się załodze karetki, która przносиła Holta na nosze. Głowę owinęli mu bandażem. Kiedy już go wynieśli, stał przez jakiś czas na środku salonu i patrzył przez otwarte drzwi na opustoszałe łóżko. Krwawe zacieki na poduszce stały się czarne.

Jeszcze raz przeszedł się po mieszkaniu, ale nie było w nim nic, co mogłoby mu pomóc, żadnych papierów, teczek, nawet gazety. Tylko dwie zmiany pościeli, kilka ręczników, biblia w szufladzie nocnego stolika... Zupełnie jakby to był hotel.

W końcu znów znalazł się w ciasnej kuchni.

Mucha dalej bzyczała, tłukąc się o szybę. Persson przyniósł ze zlewu brudną szklankę i poczekał, aż mucha opadnie na parapet. Wtedy przykrył ją szklanką. Zamknął oczy i przywołał w pamięci obraz błękitnych tęczywek Karen Eline Fredriksen.

– Kto cię tu przysłał? – spytał cicho.

**Poniedziałek, 19 maja 2003**

*Komenda Policji*

*Oslo*

Czekając na kolejny telefon z Kripos, Tommy Bergmann oparł czoło o szybę. Daleko w dole na Åkebergveien ludzie jawili mu się jako figurki z klocków Lego, a samochody jako resoraki Matchboxa, które miał jako chłopiec. Przeniósł wzrok wyżej, na bloki Enerhaugen, które jak zawsze wyglądały, jakby były nie na swoim miejscu. Mimo że on sam wychował się wśród jeszcze wyższych budynków w Groruddalen, nigdy jakoś nie przyzwyczaił się do tego blokowiska w środku miasta, zaraz za oknem jego biura. Jediną okolicznością łagodzącą dla Enerhaugen było to, że gdy poznał Hege, mieszkała w kawalerce właśnie w jednym z tamtejszych budynków. Jeśli miał wyłącznie dobre wspomnienia z któregoś lat w życiu, to było to lato, kiedy się poznali. Rozgrzane mieszkanie, białe noce, dni, które nie miały końca, i to uczucie, że jest zbyt pięknie, by mogło trwać...

Było to dawno temu, w innym czasie i w innym życiu. Obrazy jego i Hege w tym jej wąskim łóżku zostały zastąpione innym obrazem – Hege leżącej na podłodze w łazience na Lambertseter i szepczącej: „Nie zabijaj mnie, Tommy, proszę cię, nie zabijaj mnie”.

Poklepał się lekko po policzkach i by odgonić myśli o Hege, spojrzął na zegarek. Odliczał godziny do treningu piłki ręcznej na Klementsrud i miał nadzieję, że będzie tam matka Sary. Jej spojrzenie, śmiech i radość życia powodowały, że w jakiś sposób czuł się normalny. Wyobrażał sobie, że ta kobieta mogłaby mu dać spokój duszy, którego tak rzadko doświadczał. Spokój, który mógłby mu pokazać, że bycie kochanym nie było znów takie niebezpieczne... Czyż nie to kiedyś powiedziała Hege? „Zachowujesz się, jakbyś wcale nie chciał być kochanym, jakby to było dla ciebie czymś groźnym”. W ostatnich tygodniach zaczął nawet fantazjować o sobie i o niej, matce Sary. „Mój Boże – pomyślał teraz – czyż można być bardziej naiwnym i żalonym?” Nie wiedział nawet, jak ona ma na imię, czy rzeczywiście jest samotna, w ostatnim półroczu zamieniał z nią zaledwie parę zdań dwa czy trzy razy na tydzień... A ona na pewno myślała, że on jest jak wszyscy inni faceci. Hege też tak się wydawało.

Raz jeszcze spojrzął na zegarek i spróbował dokładniej wyobrazić sobie rysy twarzy bezimiennej matki Sary, choć powinien myśleć o innych rzeczach. A potem zmusił się do powrotu do biurka i powiększył zdjęcie wewnętrznej części obrączki na komputerze. Wpatrywał się w literę za literą

pewnie już dziesiąty raz tego dnia, jakby za każdym razem spodziewał się odkryć coś nowego.

„Twój na zawsze Gustav”.

Kim był Gustav?

Sprawdził pocztę. Ile czasu ten gość z Kripos będzie jeszcze potrzebował?

Sprawa nie ruszy ani o krok, dopóki Kripos nie uzna za stosowne przesłać mu całej listy zaginionych. Była ich własnością i strzegli jej jak oka w głowie.

Bez względu na powód, dla którego zabito tę trójkę w Nordmarce, ktoś kiedyś musiał gdzieś zgłosić ich zaginięcie, zapewne wkrótce po ich zniknięciu. W tym momencie nieistotne było, czy to ów Gustav zabił kobietę z obrączką, czy sam był tą drugą dorosłą osobą w grobie. Trzy osoby zniknęły i już. Początkowo Tommy i w zasadzie wszyscy inni sądzili, że znaleźli rodzinę, ale w takim razie dlaczego ten mężczyzna nie miał obrączki? Tommy’emu coś jednak mówiło, że to nie Gustav tam leży obok żony. Tak czy owak, nic lepszego nikomu na piątym piętrze komendy na razie nie przyszło do głowy. A skoro sprawa na pewno uległa przedawnieniu, pozostawało tylko kwestią czasu, jak długo jeszcze Fredrik Reuter pozwoli Tommy’emu nad nią główkować. No chyba że będzie chciał to robić w swoim wolnym czasie.

– Nareszcie – powiedział Tommy do siebie, gdy zadzwonił telefon. A już stracił nadzieję, że lista zaginionych z Kripos kiedykolwiek się zmaterializuje.

Głos po drugiej stronie był nosowy i strasznie namaszczony.

Tommy uzbroił się w cierpliwość. Po raz pierwszy chyba on potrzebował ludzi z Kripos bardziej niż oni jego.

– Przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym rokiem nie mamy ani jednego aktywnego otwartego zgłoszenia – powiedział głos. – Pan chyba wie, co to znaczy: ani jednego aktywnego zgłoszenia?

– Wiem, wiem – odparł Bergmann, czując się jak uczeń w szkole. Tak jak wszyscy w policji doskonale wiedział, że jego firma to najzwyklejsza biurokracja, w której w gruncie rzeczy chodzi o zgaszenie największych pożarów, a potem znalezienie pretekstu, by przy najbliższej okazji odesłać do archiwum całą resztę. Z maksymalnym okresem przedawnienia dwudziestu pięciu lat nie było to wielką sztuką.

– Od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego mamy na liście

tysiąc stu dwudziestu jeden zaginionych. Ale ze wszystkimi sprzed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego może pan dać sobie spokój.

Tommy miał już na języku niezły bukiet przekleństw. Ile razy ten facet zamierzał dać mu to do zrozumienia?

– Wiem, wiem – powtórzył.

Kiedy gość z Kripos rozłączył się, poszedł na górę do kantyny, a potem na taras – musiał to wszystko przemyśleć. Zapalił papierosa. Szkielety leżały w Nordmarce tak długo, że mogły poczekać jeszcze parę minut.

Kiedy wrócił z tarasu, czekały na niego trzy nowe e-maile. Jeden z kadr, z przypomnieniem o zbliżającej się imprezie na powitanie lata, jeden z policyjnym biuletynem i jeden z Kripos, z załącznikiem w postaci arkusza Excel.

Zanim go otworzył, zmówił cichą modlitwę. Lista była dłuższa, niż się spodziewał, ale zgłoszenia o zaginięciach podane były, przynajmniej na pierwszy rzut oka, w kolejności chronologicznej. Jakaś bystra osoba pomyślała też o rubryce z komentarzem, co ułatwiało grzebanie w tych okropieństwach. Parę słów o sprawie wraz z jej numerem było lepsze niż nic. Tommy, który kilka razy wcześniej miał do czynienia z zaginionymi, słyszał, że ci, co zniknęli podczas wojny, często zostawali uznani za zmarłych na mocy tymczasowej ustawy, ale że wielu z nich z powrotem uznano za zaginionych po 1947 roku. W najgorszym razie trójka z Nordmarki mogła być uznana za zmarłych po tej dacie, a wtedy nie byłoby ich na tej liście. Chyba że... Zawahał się i sięgnął po słuchawkę, ale rozmyślił się i odłożył ją z powrotem na widełki.

Przez chwilę wpatrywał się w arkusz. Szukali trzech osób, które zniknęły jednocześnie, w Nordmarce – chyba że przywieziono je skądinąd i tam pochowano, ale to nie wydawało się prawdopodobne. Dlaczego ktoś miałby taszczyć ich ciała tak głęboko w las?

Musiał znaleźć trzy osoby, które zniknęły w tym samym czasie. Ile lat tam leżały? Co stwierdzili medycy sądowi? Tommy zajrzał do dokumentów, choć sam znał odpowiedź na to pytanie.

Kiedy egzekucja trzech osób w lesie była w tym kraju najbardziej prawdopodobna? Musiało to być w czasie wojny. Medycy sądowi powiedzieli, że takiej starej sprawie nie nadadzą wysokiego priorytetu, albo też wymyślił to Reuter. Tommy wiedział, że odłożenie sprawy *ad acta* jest kwestią czasu. O ile znał prasę, oni też to oleją. Za parę dni nikt nie będzie o tym pamiętał, chyba że zrobi się z tego jakaś większa afera.



Przewijał powoli stronę. Przed jego oczyma przesuwała się cała ohyda tego świata: samobójcy, ofiary mordów, dzieci, którym nie było dane dorosnąć. Na wszelki wypadek dojechał aż do 1950 roku.

Przez pół godziny nie znalazł niczego, co pasowało do jego wymagań. W czasie wojny zaginęło sporo dzieci, ale żadne w Nordmarce.

Wpatrywał się w litery przed sobą, dopóki nie zaczęły się zlewać. Coś nie dawało mu spokoju, ale nie bardzo wiedział, co to jest.

„Niech to szlag trafi” – pomyślał. „Przecież to nie może być aż tak trudne!”

Przez jakiś czas siedział i wyglądał przez okno. Spokój późnej wiosny, ciemnobłękitne niebo nad blokami Enerhaugen, ruszające się bezszelestnie liście na drzewach wprawiły go w melancholijny nastrój.

Nagle wstał z obrotowego krzesła i ruszył na górę, do kantyny, gdzie kupił zimną i trochę oślizłą bagietkę. Kiedy wyszedł na taras i usłyszał za swoimi plecami trzask zamykających się drzwi, nagle uświadomił sobie, co nie dawało mu spokoju. Szybko wepchnął papierosa z powrotem do paczki, jednym szarpnięciem otworzył czerwone drzwi i omal nie wpadł na mężczyznę, który właśnie chciał wyjść na taras.

– *Sorry* – mruknął Tommy, wsadzając bagietkę pod pachę.

Przebiegł obok windy, potrącił kogoś i zbiegł po schodach do siebie, na szóste piętro.

„Otóż to” – pomyślał, wrzucając bagietkę do kosza na śmieci pod biurkiem.

Przed oczami miał teraz trzy nazwiska, ale te osoby nie zaginęły w Nordmarce, tylko w Hurum. W rubryce „Komentarz” przy jednej z zaginionych osób, Agnes Gerner, było tylko „Okolice Hurum?”. Poza tym ta trójka z jakiegoś powodu było rozrzucona po całej liście, ale to musiały być te osoby. Przewinął arkusz raz jeszcze w górę i w dół, by się upewnić, że nigdzie nie ma innej trójki zgłoszonej jednego dnia. Nie, tylko tamte trzy osoby, z datą 28 września 1942.

Przejrzał raz jeszcze cały arkusz i raz jeszcze odczytał:

Cecilia Lande, ur. 16 marca 1934

Agnes Gerner, ur. 19 czerwca 1918

Johanne Caspersen, ur. 5 listopada 1915.

„To muszą być one” – pomyślał. Nerwowo zaczął szukać czegoś do pisania, strącił przy tym z biurka stos teczek, ale odgarnął je tylko nogą na bok.

Dwie dwudziestoparoletnie kobiety i dziewczynka. Zastrzelone z bliska. Zapisał te dane, sprawdził, czy wszystko się zgadza, potem sprawdził raz jeszcze. Następnie wydrukował arkusz dwa razy i włożył do nowej teczki, na której w polu adresu napisał NORDMARKA.

Pomyślał sobie, że w ten sposób rzecz zyskała rangę prawdziwej sprawy, po czym otworzył zdjęcia szczątków w Fotodoku. Teraz te trzy czaszki na ekranie miały imiona i nazwiska. Tyle że jedyną, której tożsamości był pewien, była ta najmniejsza.

– Cecilia Lande – powiedział do siebie cicho, przyglądając się zdjęciu na ekranie.

Była to jedyna czaszka z tych trzech, która nie uległa zniszczeniu. Dwie pozostałe były tak popękane, że należało je posklejać, ale nikt jak dotąd nie miał na to czasu. Zdaniem techników spękania nastąpiły wskutek strzału w głowę z bliskiej odległości. W czaszce dziewczynki nie widział jednak żadnego otworu po kuli.

„Cecilio” – myślał Tommy, patrząc w puste oczodoły, w których kiedyś były oczy dziecka. „Zdążyłaś przeżyć tylko osiem lat”. Przyjrzał się dokładnie wszystkim zdjęciom czaszki, a było ich trzydzieści, robionych z różnych kątów, tak więc mógł tę małą głowę obejrzeć ze wszystkich stron. Żadnego otworu po kuli.

Nasuwało mu się tylko jedno pytanie: „Czy pogrzebano cię żywcem?”.

## ***Czwartek, 31 maja 1945***

*Stallet*

*Okręg policyjny Östermalm*

*Sztokholm*

Do drzwi biura inspektora kryminalnego Gösty Perssona ktoś głośno zastukał. Persson rozpoznał charakterystyczne pukanie komendanta i pomyślał, że szef pewnie robi to, co zawsze, to znaczy, za moment wpadnie do środka, nie czekając na zaproszenie. Dlatego też nie przejął się zbyt, siedział dalej z nogami na biurku i teczką sprawy Holta na brzuchu, wyglądając przez staroświeckie okno. Komendant jednak nie wchodził, co zupełnie do niego nie pasowało. „Kolejny deszczowy dzień” – pomyślał inspektor, zdejmując w końcu nogi z masywnego biurka, wykonanego ze szlachetnego drewna.

Pojął, że szef ma ze sobą jakichś gości i chce na nich zrobić dobre wrażenie.

– Proszę! – powiedział więc, poprawiając węzeł krawata.

Ciężkie drzwi powoli się otworzyły.

Persson delikatnie odłożył teczkę Holta na prawie puste biurko. Komendant ostrożnie wkroczył do pokoju, prowadząc za sobą dwóch mężczyzn.

– Słuchaj, Gösta – zaczął, ale na tym na razie skończył. Kilka kroków przed biurkiem przystanął, a Persson uniósł brwi, by pokazać, że czeka na dalszy ciąg.

W głosie komendanta była sztuczna poufałość, która kiepsko do niego pasowała, i Persson domyślił się, że szef nie jest całkiem sobą z powodu faceta, który mu towarzyszy. Mocno opalony, wysoki bubek w wieku Perssona, w o wiele za drogim garniturze i prochowcu, który na pewno kosztował tyle, ile miesięczna pensja inspektora. Ten drugi miał zresztą podobny prochowiec i pewnie nie więcej niż dwadzieścia lat. Ze swoją dziecięcą twarzą mógłby się swobodnie wtopić w tłum uczniów szkoły podstawowej. Nie zrobił żadnego gestu, który sugerowałby przywitanie, nie zdjął też mokrego kapelusza. Rozglądał się tylko po pomieszczeniu.

– Słuchaj, Gösta. O co chodzi z tym Norwegiem, z tym... Holtem? – spytał wreszcie komendant, wskazując ruchem głowy teczkę leżącą na biurku przed inspektorem.

Persson westchnął.

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł.

Wyższy z gości podszedł do biurka i wyciągnął do Perssona rękę, a ten nieco się uniósł i podał mu, dość bezwładnie, swoją. Już zgadł, kim on jest i czego chce, choć gość przedstawił się tylko jako Håkan Nordenstam. Facet z dziecięcą twarzą stał cały czas przy półce z książkami, a teraz kiwnął głową w jego kierunku, nawet nie uchylając kapelusza. Zdjął z półki czarnego słonika z kości i niemal go upuścił. Lekko się uśmiechnął i nie spuszczać wzroku z inspektora, postawił słonika z powrotem na półce.

– Jadłem z Kajem wczoraj kolację – odezwał się Nordenstam. – Był mocno... przybity.

– Więc pan przypuszcza, że odebrał sobie życie? – spytał Persson.

Nordenstam zrobił nieokreślony ruch ręką, pozornie nie zwracając uwagi na nieco sarkastyczną intonację tego pytania. Wystarczająco sarkastyczną, by komendant zrobił zbolalą minę.

– No. Taki właśnie wniosek żeśmy wyciągnęli... – powiedział szef. – Do tego doszły oświadczenia poselstwa.

– Ja... – zaczął Persson.

Nordenstam powstrzymał go podniesioną dłonią i wyjął z ust świeżo zapalonego papierosa marki Sybir.

– Kaj Holt dla nas pracował, inspektorze Persson.

– Dla nas? – spytał inspektor.

Dziecięca Bużka przysiadł tymczasem na biurku.

– Dla Referatu C. Jak pan rozumie... – Nordenstam skrzywił twarz w próbie uśmiechu, jakim obdarzamy dziecko, które nie bardzo rozumie, o czym mowa.

– No tak. – Persson pokiwał głową. Jeśli miał przedtem jakieś wątpliwości, właśnie zostały rozwiane.

Håkan Nordenstam odetchnął głęboko, pocierając mocno zarysowany, gładko ogolony podbródek wierzchem dłoni.

– Kaj Holt kontaktował się... – zaczął i zrobił znaczącą pauzę – ...ze wszystkimi aliantami.

Persson skinął głową, czekając na dalszy ciąg.

– Miał też bliskie kontakty z... kilkoma rosyjskimi agentami w mieście.

– Więc teraz nie chcemy... – wtrącił się komendant, szukając spojrzenia Perssona.

– Niepotrzebnie nikogo prowokować – dokończył za niego Nordenstam.

Inspektor popatrzył mu w oczy i przez chwilę tak trwali, mierząc się wzrokiem. Ciszę, która nastała, przerwał dopiero jakiś samochód za oknem,

który najpierw ostro zahamował, a potem z chlupotem przejechał przez głęboką kałużę.

– Więc... gdzie pan wczoraj był z Holtem? – spytał na koniec Persson. – Czy to był przyjemny wieczór?

Komendant odchrząknął, odkaszlnął i zsunął okulary jeszcze niżej na czubek nosa. Persson przeniósł na niego wzrok.

– Chcę tylko powiedzieć, że przejmujemy tę sprawę – oświadczył Nordenstam. Niezręczną sytuację usiłował załagodzić pojednawczym tonem.

– Chętnie przeczytamy pana raport, a potem... zajmiemy się resztą. – Spojrzał w sufit. – Nawiasem mówiąc, byliśmy w „Cecilu”, potem w... ale to była prywatna wizyta. – Mrugnął do niego. – A na koniec w „Bernsie”. Miłego dnia, inspektorze.

Nordenstam zdusił papierosa w kryształowej popielniczce na biurku, spojrzał Perssonowi w oczy i uśmiechnął się po raz ostatni tym samym szczerym uśmiechem, który inspektorowi trudno było zinterpretować. Nie bardzo też wiedział, co ma w tej sytuacji powiedzieć.

Mężczyźni wyszli tak, jak przyszli, tyle że w odwrotnej kolejności.

Komendant odwrócił się jeszcze w progę i posłał mu spojrzenie, które mogło znaczyć tylko jedno. A potem zatrzasnął za nimi drzwi.

Dopiero teraz inspektor Persson poczuł, jak bardzo przyspieszył mu puls. W skroniach tętniło, w uszach szumiało. Z butonierki wyjął chustkę i przetarł czoło. Następnie z wewnętrznej kieszeni marynarki lekko drżącymi rękoma wyjął grzebyk i zaczesał te kilka kosmyków, które wciąż miał na głowie, od lewej ku prawej. A potem rozejrzał się po swoim biurze, najładniejszym w całym gmachu, ładniejszym nawet od biura komendanta. Spojrzał na mahoniową biblioteczkę, na czarną figurkę z kości słoniowej, którą odziedziczył po poprzedniku, na komplet wypoczynkowy dla interesantów pokryty skórą, na wiszący przy drzwiach obraz olejny przedstawiający wiosenny pejzaż. Pochodził on ponoć z roku, w którym wybudowano budynek, to znaczy z 1738.

„I to wszystko” – pomyślał inspektor, wodząc oczyma po biurze. Obrócił się do tyłu i zerknął na czarno-białe zdjęcie poważnego króla Gustawa V w pozłacanej ramce. I to wszystko oraz jeszcze więcej on, inspektor Gösta Persson, ma poświęcić dla jakiegoś martwego Norwega?

Zamknął oczy i trwał tak przez chwilę, wiedząc, że cała ta sprawa będzie już tylko czymś między nim samym a Panem Bogiem. Tylko on, Gösta Persson, inspektor kryminalny w siódmym okręgu policji w Sztokholmie

będzie wiedział, że temu nieszczęsnemu Kajowi Holtowi należało zrobić obdukcję, że mieszkanie powinno zostać zaplombowane, broń oddana do laboratorium, a wszystkie ściany, klamki, sztućce i framugi trzeba było pokryć drobnutkim węglowym pyłem.

Szybko wysunął najwyższą szufladę biurka i wyjął z niej kosztowne wieczne pióro firmy Caran d'Ache, które dostał od teścia na czterdzieste urodziny. Potem z jednego z trzech płaskich pojemników na biurku wydobył formularz raportu. Zwykle sam nie pisał swoich raportów, ale w tę sprawę nie pozwoliliby mieszać się nikomu innemu. Jeśli ma zaprzeczyć ewidentnej prawdzie, zrobi to własnoręcznie.

W prawym górnym rogu wpisał datę: „30 maja 1945. Kapitan Kaj Holt został znaleziony martwy na Rindögatan pod numerem 42. Oględziny miejsca wskazują na samobójstwo. Zeznania świadków potwierdzają przypuszczenie”. Persson otworzył teczkę i przyjrzał się karteczce ze słowami „Przepraszam. Kaj”. A potem dopisał kilka zdań o zeznaniach świadków: przyjaciółki denata, przypuszczalnie puszczańskiej, i Karen Eline Fredriksen z poselstwa norweskiego. Na koniec podpisał raport i energicznie zamknął teczkę.

Kiedy zakręcał pióro, jego dłoń już nie drżała. Zamknął oczy i zobaczył siebie, jak stoi w kuchni na Rindögatan 42 i patrzy na nędzną brzoźkę za oknem. *Sag' mir nicht Adieu*, zabrzmiało mu w głowie.

A potem otworzył oczy i wyjął z teczki to, co właśnie napisał.

Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego coś takiego musiało się przydarzyć akurat jemu. Krótki raport był kłamstwem, ale wyrzuty sumienia, które poczuł, były niewielkie, jakby jego kariera zawodowa była dużo, dużo ważniejsza niż uczciwość względem martwego, przypuszczalnie zamordowanego mężczyzny.

Prędko, by się nie rozmyślić, chwycił teczkę, szybko przeszedł przez pokój i zaniósł do pokoju obok. Sekretarka uniosła oczy znad maszyny, a Persson uśmiechnął się do niej blado. Potem ruszył korytarzem, mijając pokoje, gdzie siedzieli jego śledczy, i wszedł do toalety.

Sam nie wiedział, ile razy umył ręce w gorącej, prawie parzącej wodzie.

„Umywam ręce” – pomyślał Persson, patrząc na siebie w lustrze. Jeszcze wczoraj rano był rześki, wypoczęty, gotów na nadchodzący weekend na wodach fiordu. Ale teraz?

Prawie bezdźwięcznie wyszeptał do swojego odbicia:

– Wybacz mi, albowiem wiem, co uczyniłem.

**Poniedziałek, 19 maja 2003**

*Komenda Policji*

*Oslo*

Tommy Bergmann po raz któryś z kolei otworzył zdjęcie obrączki.

„Twój na zawsze Gustav”.

Następnie znalazł zdjęcia dorosłych czaszek, które odbijały się w wypolerowanej powierzchni metalowego stołu Instytutu Medycyny Sądowej.

„Więc której z was Gustav był na zawsze?” – spytał w myślach. „Agnes Gerner czy Johanne Caspersen?”

Sądząc z wieku, na wybrankę Gustava i matkę Cecylii bardziej pasowała Johanne Caspersen. Ale dlaczego miały różne nazwiska?

Tommy westchnął z rezygnacją. Co za galimatias! Trzeba zacząć od początku.

Wykręcił numer do archiwum, ale zanim ktoś tam podniósł słuchawkę, odłożył swoją. To nie miało sensu. Jeśli dokumenty tej sprawy w ogóle jeszcze istniały, i tak nie było ich tutaj. Ani nawet pewnie w archiwum centralnym. Postanowił spróbować rejestru ludności i wklepał tam po kolei imiona i nazwiska, ale nic to nie dało. Kolejno połączył nazwiska kobiet z imieniem „Gustav”. Nic z tego. Często słyszał, że ta baza danych znakomicie działa, ale że ma luki dla lat sprzed 1946 roku. Może nie miało to większego znaczenia, bo skoro ktoś był martwy, nie mógł ani łamać prawa, ani płacić podatków, więc prokuraturze i urzędowi skarbowemu było dokładnie wszystko jedno, kiedy się urodził. Najwyraźniej jednak nikt nie zadał sobie trudu, by doprowadzić do uznania tych osób za zmarłe, bo inaczej nie znajdowałyby się na liście. Mogło to znaczyć: albo rodzina chciała nadal wierzyć, że żyją, albo – co bardziej prawdopodobne – nikomu z ich rodzin, o ile takowe istniały, na tym nie zależało. Były tylko dwa powody, by chcieć uznać zaginionych za zmarłych: albo żeby zamknąć sprawę i mieć święty spokój, albo żeby położyć rękę na ich pieniądzech.

„Ale ktoś przecież wtedy zgłosił ich zaginięcie” – pomyślał Tommy Bergmann. To był jakiś początek. Najprawdopodobniej zrobił to ów tajemniczy Gustav. Zgłosił w każdym razie co najmniej zaginięcie kobiety z obrączką. Trzeba było tylko znaleźć jego nazwisko, i to bez dzwonięcia do każdej osoby w kraju o nazwisku Gerner albo Caspersen.

Wstał z krzesła i oklepał kieszenie marynarki. Zaklął cicho, nie znajdując papierosów, i usiłował sobie przypomnieć, gdzie mógł je zostawić. Doszedł

do wniosku, że w grę wchodzi taras – chyba położył je tam na stole.

Już kładł rękę na klamce, kiedy zadzwonił telefon. Zawahał się przez moment i wrócił do biurka. Na wyświetlaczu zobaczył, że oddzwania ktoś z archiwum, więc zignorował telefon, ale wiedziony nagłym impulsem otworzył wyszukiwarkę. Może jednak warto spróbować? Najpierw wpisał w nią „Agnes Gerner” i zamknął na moment oczy, jakby licząc na cud. Nie wydarzył się, nie było ani jednego trafienia. Wpisał więc „Johanne Caspersen” i znów nic. Bez efektu spróbował też połączeń obu nazwisk z imieniem „Gustav”, a na koniec wpisał jeszcze „Cecilia Lande”.

I wtedy przeglądarka zareagowała. Jej propozycja brzmiała: „Zamiast tego wyszukaj Cecilie Lande”.

– Nie – powiedział głośno Tommy. – Nie będę szukał żadnej Cecilie.

Raz jeszcze zadzwonił telefon. Patrząc na tekst na ekranie, podniósł słuchawkę.

– Ktoś stąd do nas dzwonił? – odezwał się głos z drugiej strony.

Tommy rozpoznał głos, rozmawiał z tą dziewczyną podczas którejś biurowej imprezy.

– Tak – powiedział tylko.

– A... w jakimś konkretnym celu?

– Owszem, szukam pewnej sprawy. Z tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku – odpowiedział matowym głosem.

Z drugiej strony usłyszał chichot.

– Tommy... – powiedziała.

Nie zareagował.

– Co to za sprawa? – spytała po chwili.

– Chodzi... o te trzy osoby – odparł z roztargnieniem – znalezione w Nordmarce.

– Archiwum Państwowe – oświadczyła.

– Państwowe?

– Tak, archiwum miasta Oslo jest na Sognsvann, razem z Państwowym.

– Kurde – powiedział w przestrzeń. – No pewno, jasne.

– Przepraszam, co? – odezwał się głos z drugiej strony, a on ostrożnie odłożył słuchawkę na widelki.

„Jasne” – pomyślał. „No pewno. Cecilia Lande...”. Jej nazwiska jeszcze z Gustavem nie połączył! Może warto spróbować?

– Gustav Lande – powiedział głośno do siebie i wpisał to w okienko wyszukiwarki.



Zamknął oczy, jak poprzednim razem. Nagle wyraźnie poczuł zapach rozkopanej ziemi w Nordmarce i zobaczył dziecięcą rękę wystającą spomiędzy żeber jednej z dorosłych, Gerner czy Caspersen.

Otworzył oczy i spojrział na ekran.

Cztery trafienia. Cztery małe trafienia... Ale imię i nazwisko się zgadzało.

– Bingo! – powiedział. – Gustav Lande...

A więc ten Gustav nazywał się Lande i był ojcem Cecilii. Zapewne był żonaty z jedną z tych dwóch kobiet.

Zaczął otwierać trafienia, w kolejności od dołu. Trzy z nich niewiele wniosły, ale ich kontekst upewnił go, że to właściwy trop.

Otworzył pierwsze trafienie i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, jakby odczytywany tekst potrzebował czasu, by przebyć drogę z siatkówki do wnętrza jego mózgu.

Gustav Lande (1905-1944). Hurtownik, patron NS <sup>1</sup>. Znany z dobrych kontaktów z władzami okupacyjnymi. Główny udziałowiec w firmie Kopalnie Molibdenu Knaben AS. Odebrał sobie życie w lipcu 1944. Źródło: „W służbie wroga”, Torgeir Moberg (1980).

1. NS, Nasjonal Samling (Jedność Narodowa) – norweska partia narodowosocjalistyczna Vidkuna Quislinga z lat 1933-1945. [\[wróć\]](#)

**Czwartek, 31 maja 1945**

*Stallet*

*Okręg policyjny Östermalm*

*Sztokholm*

Wychodząc z gmachu komendy, inspektor kryminalny Gösta Persson nagle pożałował swojego kroku. Co właściwie zrobił? Przez kilka sekund balansował na progu, mnąc kapelusz w dłoni. W kocie łby ulicy przed komendą tłukł deszcz i to pomogło mu podjąć decyzję.

„Właściwie to nawet nie jestem głodny” – pomyślał Persson, obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do budynku. Zdecydowanym krokiem przemierzył korytarz, patrząc prosto przed siebie i nie pozdrawiając nikogo, kogo spotkał na swojej drodze. Kiedy dotarł do sekretariatu, był tak bardzo spocony, że kołnierzyk koszuli i mankiety miał całkiem przemoczone. Od ciśnienia, które mu podskoczyło w momencie, gdy podjął decyzję, miał też purpurową twarz.

– Ma pani teczkę Holta? – spytał, opierając się całym ciałem o recepcyjny kontuar, aż niepokojąco zatrzeszczał.

Sekretarka przerwała pisanie na maszynie, obróciła się ku niemu i spojrzała znad okularów.

– Taaak – powiedziała takim tonem, jakby przemawiała do kogoś niespełna rozumu.

Wyciągnął rękę i zrobił niecierpliwy, ponaglący ruch, co spowodowało, że szybko podała mu jasnozieloną teczkę.

Wziął ją bez słowa, zdjął grubą gumkę ściągającą okładkę, poszperał w papierach i odetchnął z ulgą. Kartka, którą Holt rzekomo napisał, zanim odebrał sobie życie, nadal się tam znajdowała. Czy Nordenstam mógłby chcieć ją niepostrzeżenie usunąć, zanimteczka zostanie przesłana do Referatu C?

Spojrzał na pismo na kartce: „Przepraszam. Kaj”. Gdyby był bardziej asertywny, wróciłby na Rindögatan, zabrał stamtąd wszystkie długopisy, sprawdził na nich odciski palców, ustalił, czy najświeższe z nich mogłyby powstać przy pisaniu tej notki przez Holta...

A jednak zrobił coś zupełnie innego.

– Proszę mi zdobyć adres jego żony – powiedział do sekretarki. –  
W Oslo.

– Ale... – Spojrzała na niego zdumiona.

– Niech pani zadzwoni i się dowie. Poczekam u siebie w biurze.

– Mam dzwonić? Do jego żony?

Persson zastanowił się przez chwilę. Przywołał w pamięci oczy Karen Eline Fredriksen, załamania jej bluzki, początek wgłębienia między jej młodymi piersiami, zapach perfum. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że do mieszkania Holta posłał ją Nordenstam albo ten niemowlak, którego ze sobą przyprowadził.

Jeszcze raz oparł się o kontuar, a ten znów niebezpiecznie zatrzeszczał.

– Proszę zadzwonić do sekretarza poselstwa norweskiego, ale nie do referentki Fredriksen – powiedział cicho. – Proszę spytać o ostatni adres Holta w Oslo i powiedzieć, że potrzebujemy go do naszego raportu o jego tragicznym samobójstwie.

– To mogę zrobić.

– Dobrze – powiedział Persson. – Więc niech pani zrobi. A kiedy się pani dowie, proszę mi go dać.

Z półki po lewej stronie wziął szarą kopertę. Kiedy odwrócił się, by iść do siebie z teczką, poczuł na karku palący wzrok sekretarki.

W biurze oparł się o drzwi od środka i stał tak przez parę minut, czekając, aż tętno wróci mu do w miarę normalnego taktu. Jeśli ona zadzwoni do komendanta, jest skończony, w końcu sprawa była już dawno załatwiona. Próbował podsłuchać, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami, ale dochodził do niego tylko niewyraźny szmer głosu.

W końcu oderwał się od drzwi i z szuflady metalowej szafki wyjął butelkę likieru. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał ochotę się napić. Reimersholms Bäska Droppar zakreśliły mu w nosie jak kocia szczyna, a potem ostro zapiekły w gardle. Z piersiówką w ręku podszedł do regału z książkami, z którego Dziecięca Buźka wziął wtedy czarnego słonika. Zrobił to samo, co tamten, i obrócił się w kierunku biurka, wyobrażając sobie scenę, która rozegrała się niecałą godzinę wcześniej. Nagle ktoś zapukał do drzwi, na co wzdrygnął się, omal nie upuszczając słonika i piersiówki. Szybko odstawił oba przedmioty na regał i podszedł do okien po drugiej stronie biura.

– Wejść! – krzyknął tak dziarsko, jak potrafił.

Za plecami usłyszał drobne kroki sekretarki. Nie odwrócił się, tylko patrzył na widok za oknem: ciurkający deszcz i sylwetkę radiowozu o karoserii lśniącej od wody.

– Znalazła pani adres? – rzucił przez ramię.

– Tak – odparła cicho. – Zapisałam go dla pana.

– Proszę położyć na biurku – powiedział.  
Jej kroki zatrzymały się na środku pokoju.  
Persson nadal stał odwrócony.

Z jej ust wydobyło się jakieś mruknięcie, ale nie przybrało kształtu żadnego słowa. Po chwili usłyszał oddalające się kroki, a potem otwierane i zamykane drzwi.

Inspektor starannie przepisał adres na szarą kopertę i wsunął do niej kartkę z napisem „Przepraszam. Kaj” tak ostrożnie, jakby była najbardziej kruchą rzeczą na świecie. Żona Holta od razu zobaczy, że to nie jest pismo męża. I któregoś dnia wszyscy się dowiedzą, że on, inspektor kryminalny Gösta Persson, przesłał wdowie materiał dowodowy. Cóż, będzie, co będzie; przynajmniej wykonał jakiś gest. Więcej zrobić nie mógł.

Zanim wyszedł z biura, opróżnił piersiówkę z Bäska Droppar do końca. I tak na ten dzień skończył już pracę.

– Sam się tym zajmę – rzucił do sekretarki i wyszedł, zanim zdążyła zaprotestować. Zbiegł kręconymi schodami do piwnicy, jakby ktoś następował mu na pięty.

– Ma pan szczęście – powiedział młody pracownik z działu pocztowego.

Persson wymamrotał coś w odpowiedzi. Szczęście istotnie było mu potrzebne. Chciał stąd jak najszybciej wyjść, w tej piwnicy zawsze czuł się nieswojo.

– Do Norwegii, tak? – upewnił się pracownik, patrząc na inspektora, a on poczuł nieprzyjemne ukłucie w piersi. Mimo to udało mu się odwzajemnić jowialny uśmiech pracownika. Na własne oczy widział, jak wkłada list do maszyny frankującej, dwakroć go stempluje i wrzuca do stojącego obok brązowego worka.

– Ma pan szczęście – powtórzył chłopak i zarzucił sobie worek na plecy.

Drzwi za nim otwarły się i stanął w nich umundurowany funkcjonariusz służby pocztowej.

– Tak – powiedział Persson do siebie. – Trochę szczęścia dobrze jest w życiu mieć.

Stanął na zewnętrznej rampie, patrząc, jak worek ładowany jest do samochodu. Potem drzwi volvo trzasnęły, a inspektor odprowadził samochód wzrokiem, aż zniknął za rogiem.

## ***Poniedziałek, 19 maja 2003***

*Archiwum Państwowe*

*Oslo*

Parking na Sognsvann nie był nawet w połowie zapełniony. Tommy Bergmann zaparkował swój nowiutki służbowy samochód jak najbliżej chodnika. Przez chwilę przyglądał się schowanemu za drzewami budynkowi, a potem zebrał z siedzenia pasażera wydruki, opuścił szybę i zapalił papierosa. W końcu ktoś musiał pierwszy złamać zakaz palenia w tym zakichanym samochodzie.

Od strony Nordmarki powiał łagodny wietrzyk, a jasnozielone listki na brzożach przed samochodem wydały z siebie przeciągły szelest. Po chwili wietrzyk nagle zamarł, a liście znieruchomiały, spuszczać głowy, jakby lato skończyło się, zanim jeszcze się zaczęło.

– Gustav Lande... – powiedział do siebie głośno Tommy, patrząc na kartkę leżącą na jego kolanach. Wszystkie trafienia wyszukiwarki były podobne i pochodziły z czegoś, co nazywało się *Norweski leksykon drugiej wojny światowej*. Artykuły miały odnośnik do tego samego autora, profesora Torgeira Moberga, uznanego autorytetu.

Tommy przeczytał tekst kilka razy i spróbował połączyć to wszystko, co wiedział: we wrześniu 1942 roku ktoś morduje dziecko i żonę nazisty Gustava Lande, a także jeszcze jedną kobietę. Prawie dwa lata później Lande odbiera sobie życie.

„No cóż” – pomyślał Tommy Bergmann. „Za wiele tego nie ma”. Spokoju nie dawało mu dziecko, bo męczyła go myśl, że ktoś pogrzebał je żywcem. Dlaczego zastrzelono kobiety, ale nie dziewczynkę? Czy morderca po prostu wepchnął ją do grobu, a ona przyłgnęła do ciała matki?

Strząsnął z siebie tę myśl i raz jeszcze spojrzął na wydruk.

Cecilia Lande, ur. 16 marca 1934

Agnes Gerner, ur. 19 czerwca 1918

Johanne Caspersen, ur. 5 listopada 1915.

Pomyślał, że matką może być Caspersen. Właściwie był już pewien. Obiecał sobie, że nie będzie spekulował, dopóki nie dowie się na pewno, ale nie mógł się powstrzymać.

Wyraz twarzy młodego człowieka za kontuarem recepcji zdradzał, że wcale mu się nie podobają tacy, co przyłazą do archiwum, żeby w nim czegoś szukać.

– Trzeba się wcześniej umawiać – powiedział po raz drugi. – Mamy

mnóstwo interesantów i nie możemy...

Mężczyzna, który według identyfikatora miał na imię Rolf, nie skończył zdania.

– Słuchaj, Rolf – powiedział Tommy. – Jestem pewien, że jakoś się dogadamy. Może się okaże, że umówiłem się na mniej więcej tę godzinę? – I pokazał mu swoją legitymację.

Rolf westchnął ciężko, kiedy policjant położył na kontuarze wydruk ze spisu zaginionych razem z kserokopią artykułu z „Dagbladet” o szkieletach znalezionych w Nordmarce. Przez chwilę stał, cmokając z dezaprobatą, i wpatrywał się w personalia zaginionych.

– Wrzesień tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego – pomógł mu Tommy.

Młodzieniec raz jeszcze westchnął ciężko, podrapał się w rzadką brodę, którą jakoś udało mu się zapuścić. Tommy odwrócił się do jednego z wielkich okien, w które wyposażone była nowa część archiwum, i próbował odzyskać spokój.

– No... – odezwał się wreszcie Rolf. – To pewnie będzie gdzieś pod Komendą Policji okręgu Oslo i Aker, bo w czasie okupacji je połączono.

Mruknął coś jeszcze, czego Tommy nie zrozumiał, a potem zaczął stukać w klawiaturę pod kontuarem, z kwaśną miną wpatrując się w ekran.

– Popatrzmy... może ma pan szczęście – powiedział i uśmiechnął się w sposób, którego policjant nie miał ochoty interpretować. – Bo te rzeczy niszczone.

„To ty masz szczęście, że ciebie jeszcze nie zniszczono” – pomyślał Tommy.

– Chodźmy – powiedział w końcu Rolf. – Wygląda na to, że jednak miał pan szczęście.

Idąc z mężczyzną do wind, Tommy milczał zawzięcie. Na dole Rolf kazał mu usiąść, a sam zniknął w gąszczu przesuwanych regałów. Na niskim stole przed Tommym leżało „Dagbladet” z poprzedniego dnia, niedzieli 18 maja. Rozpoznał scenę na fotografii z prawej szpalty pierwszej strony. Zdjęcie zrobiono późnym wieczorem 16 maja: lampy z białego namiotu, przed którym stały dwie postacie w białych kitlach, rozświetlały na nim las. Podpis pod fotografią brzmiał „Zagadka w Nordmarce”. Odłożył gazetę, nie szukając nawet reportażu.

Rolf wrócił po dziesięciu minutach z miną jeszcze kwaśniejszą, o ile to w ogóle było możliwe.

– Do czytania na miejscu – burknął i położył na stole przed policjantem starą tekturową teczkę w kolorze beżu.

Tommy siedział przez chwilę, przesuając po teczce palcami, a potem zdjął z niej gumkę. W teczce były trzy skoroszyty. Wyjął je i położył przed sobą. Ten na wierzchu był z komendy okręgu Oslo-Aker, drugi z Komendy Głównej, a trzeci z prezydium policji Oslo, ze stemplem „Umorzono” i datą 15 kwietnia 1945.

Na trzy miesiące przed tym, kiedy Gustav Lande odebrał sobie życie.

Ułożył skoroszyty w pierwotnej kolejności i otworzył pierwszy z nich, z komendy okręgu Oslo-Aker. Dokument na wierzchu był zgłoszeniem o zaginięciu. Były w nim odpowiedzi na niektóre pytania, ale, niestety, nasuwał dalsze.

Funkcjonariusz Ragnar Dahl, komisariat Vinderen. O godzinie 23.55 w poniedziałek 28 września 1942 zgłoszono zaginięcie Cecilii Lande, Johanne Caspersen i Agnes Margarethy Gerner, wszystkie zamieszkałe na Tuengen allé 10 c. Zgłaszający: hurtownik Gustav Lande, ur. 8 marca 1905, stan cywilny wdowiec, miejsce zamieszkania jak wyżej. (Zaręczony z Agnes M. Gerner. P. Gerner ma zezwolenie od Der Höhere SS- und Polizeiführer Nord na przebywanie na ulicach od godz. 20.00 do 5.00. Służąca Johanne Caspersen nie posiada takiego zezwolenia, podlega zatem godzinie policyjnej.)

A więc Gustav Lande był wdowcem, a żadna z dwóch kobiet nie była matką Cecylii Lande. Był zaręczony z Agnes Gerner, a nie z Johanne Caspersen. Tommy poczuł ulgę, że pokonał pierwsze przeszkody na drodze, która – jak wiedział – była nimi najeżona. Pierwsza żona Landego, matka Cecylii, nie żyła, a Gerner była jego nową narzeczoną i tyle. To wszystko jednak nie tłumaczyło sprawy śmierci dziecka.

Kolejny dokument był krótkim raportem z następnego dnia, wtorku 29 września 1942.

Przeprowadzono przeszukanie wokół letniej rezydencji Landego na Rødtangen w Hurum. Według Landego, który podróżował wtedy w interesach do Berlina i powrócił do Oslo wieczorem 28 września, w niedzielę 27 września Agnes G. miała pomóc Johanne Caspersen (służąca u Landego) pozamykać na zimę letnią rezydencję na Rødtangen. Według świadków w domu tym nikogo wówczas jednak nie było. Rozpytanie 29 września na Rødtangen i wśród sąsiadów Landego na Vinderen nie przyniosło nowych informacji. Samochód Landego,

czarny Mercedes-Benz 170 V, model 1939, nie został odnaleziony.  
W załączeniu lista przesłuchanych świadków.

Tommy Bergmann szybko przeleciał wzrokiem załączoną listę; nie było tam nic ciekawego, tylko personalia przesłuchanych na Rødtangen i z tuzin nazwisk z adresem na Tuengen allé. Na spodzie wpięta była kartka, która zapewne stanowiła podstawę przy poszukiwaniach następnego dnia, w środę 30 września 1942. Tommy dokładnie przeczytał opis zaginionej trójki. Tylko jedno naprawdę przykuło jego uwagę: Cecilia Lande, ur. 16 marca 1934, wzrost 125 cm, oczy niebieskie, włosy ciemny blond, miała wrodzone zwichnięcie stawu biodrowego, które powodowało charakterystyczne utykanie. Przez chwilę Tommy wyobraził sobie dziewczynkę w Nordmarce. Być może ten, który ją później zamordował, wiedział, że ona i tak nie będzie w stanie uciec... Może dziecko było świadkiem zastrzelenia Gerner i służącej?

Po chwili otrząsnął się i otworzył drugi skoroszyt. Był jasnoniebieski, a tektura była lepszej jakości. Z dokumentów wynikało, że w środę 30 września 1942 roku, na żądanie Sipo, centrala rozpoczęła własne śledztwo. W raporcie wstępnym napisano, że policja nie może wykluczyć motywu politycznego. Pozycja Landego w Reichskommisariat Norwegen <sup>1</sup> mogła uczynić z jego rodziny cel ataku ze strony ruchu oporu. Było to o tyle prawdopodobne, że w poprzedni piątek wykonano wyrok na jednym z jego najbliższych współpracowników. Zarówno jego narzeczona Agnes Gerner, jak i służąca Johanne Caspersen były aktywnymi członkiniami Nasjonal Samling. Z kolejnego raportu wynikało też, że 1 i 2 września aresztowano i dostarczono na Møllergata 19 <sup>2</sup> pewną liczbę podejrzanych o przynależność do ruchu oporu. Dwóch z nich przewieziono następnie na Victoria Terrasse <sup>3</sup> celem przesłuchania przez Sipo.

Tommy przejrzał papiery i znalazł wyciąg z zeznań podejrzanych na Møllergata, ale nie tych z Victoria Terrasse. W żadnym z przesłuchań nie było nic interesującego, nie licząc tego, że jeden z domniemanych członków ruchu oporu odebrał sobie wtedy życie, skacząc z okna drugiego piętra komendy. Samochód Gustava Lande znaleziono w Madserud allé w czwartek 1 października 1942 roku, ale ani oględziny samochodu, ani przesłuchanie świadków z ulicy nie dało żadnych rezultatów. Ostatni dokument w skoroszycie świadczył o tym, że w maju 1943 roku centrala zamknęła własne dochodzenie i pozostawiła sprawę komendzie okręgu Oslo-Aker, prowadzącej równoległe śledztwo.



Tommy odłożył jasnoniebieski skoroszyt, czując się trochę nieswojo, że pracuje w tej samej policji.

Zanim otworzył ostatni, odmówił cichą modlitwę. Nie znalazł tam jednak wiele. Był tam tylko jeden dokument, z którego wynikało, że sprawę zaginionych Cecilii Lande, Agnes Gerner i Johanne Caspersen umorzono 15 kwietnia 1944 roku. Podpisany był przez inspektora policji C. Lida i opatrzony stemplem prezydium policji w Oslo.

Tommy Bergmann zauważył, że w żadnym ze skoroszytów nie ma zdjęć, i pomyślał, że chciałby wiedzieć, jak oni wszyscy wyglądali. Dlaczego samochód Gustava Lande odnalazł się na Madserud allé? Tę trójkę zabito w Nordmarce, ale one wybierały się do Hurum, a samochód, którym miały jechać, znaleziono na Skøyen... Tommy rozumiał z tego wszystkiego zapewne równie mało jak śledczy z czasu wojny.

Siedział tam jeszcze pół godziny, przepisując te kawałki z raportów, które uznał za istotne. Postanowił najszybciej, jak się da, pojechać na Rødtangen i stworzyć sobie obraz miejsca, do którego miała dotrzeć ta trójka. No i zdjęcia, koniecznie musiał znaleźć ich zdjęcia.

– Gazety? – spytał recepcjonistę, kładąc teczkę na kontuarze. – Macie je tu?

Mężczyzna wskazał na leżący obok stosik gazet.

Tommy postukał palcem w teczkę.

– Biblioteka Narodowa – powiedział recepcjonista. – Zamykają o siódmej.

Tommy podniósł wzrok na biały zegar wiszący na ścianie i zdecydował, że Biblioteka Narodowa może poczekać do jutra, a on zdąży na rozgrzewkę swoich piłkarek, zaczynając się za pół godziny.

Rozgrzewka polegała na przebieżce po Mortensrud – w tę i z powrotem wzdłuż Gamle Bygdevei, w dół Lofsrudveien, z powrotem w górę i na salę mieszczącą się w piwnicach Centrum Południe. I choć jak zawsze na rozgrzewce tempo było spokojne, po tym biegu Tommy musiał odleżeć swoje na parkiecie w sali. Dało to zawodniczkom Drużyny Żeńskiej Młodziczek asumpt do drażnienia się z nim. Leżąc na parkiecie i patrząc w światła sufitu, Tommy przeklinał swojego dobrego przyjaciela z dzieciństwa Erlenda Dybdahla, który trzy lata wcześniej namówił go na funkcję asystenta trenera. Rok później Erlend dostał intratną posadę menedżerską w azjatyckim oddziale firmy komputerowej, w której pracował, i zabrał swoją utalentowaną córkę oraz resztę rodziny do Singapuru. Sytuacja

w klubie zrobiła się rozpacзлиwa, więc Tommy nie miał serca go porzucić. Mianował się zatem głównym trenerem i awansował pomagiera Arnego Drabløsa, z którego Erlend zawsze się za jego plecami nabijał, na asystenta trenera.

Arnemu jedno trzeba było przyznać – choć ledwo odróżniał piłkę do szczypiorniaka od piłki lekarskiej, był w dużo lepszej formie fizycznej niż Tommy kiedykolwiek w swoim życiu. Nawet wtedy, gdy wraz z Dybdahlem grał w drużynie młodzików, a potem juniorów w Opsal. Sam był przyzwoitym graczem, ale to Erlend był gwiazdą drużyny. Tommy był mocno wyrosnięty i w swoich najlepszych latach twardy jak granitowy blok, co pozwalało mu czyścić sobą drogę dla graczy z tyłu. Był tak masywny, że kiedy decydował się na strzał, bramkarz drużyny przeciwnej zamykał oczy i cofał się przerażony. Niestety, kiedy był w wojsku, uszkodził sobie lewy staw kolanowy i mimo udanej operacji musiał pożegnać się z piłką. Tak czy owak nie miał talentu Erlenda i w drużynie A skazany byłby na ławkę rezerwowych. Zresztą w tamtym czasie miał serdecznie dość szczypiorniaka i wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek chwyci w ręce piłkę. Kiedy jednak tak leżał na parkiecie w hali sportowej Klemetsrud prawie dwadzieścia lat po tym, jak zrezygnował z gry, pomyślał, że ta nieodpłatna praca to właściwie dla niego zbawienie. Trzy, cztery razy w tygodniu przejaśniało mu się dzięki niej w mózgu, utrzymywał się w jako takiej formie fizycznej, a widok tych dziewcząt – zarówno wtedy, jak im coś wychodziło, jak i wtedy, gdy im nie szło – przywracał mu czasem wiarę w to, że świat nie jest może takim złym miejscem.

– Wstawaj! – odezwał się nad nim dziewczęcy głos.

Tommy głęboko odetchnął kilka razy, tętno wróciło mu do normy. Odślonił zakryte ramieniem oczy. Sara, która stała nad nim z wyciągniętą ręką i uśmiechem na twarzy, miała spojrzenie matki, chociaż była Mulatką, a jej rodzicielka przypuszczalnie pochodziła gdzieś z północnej Afryki, z Maghrebu, może z Maroka albo z Algierii.

Przyjął dłoń Sary i przez moment poczuł się głupio, bo przy niej prawie zawsze czuł się tak, jakby był jej ojcem. Kiedy dołączyła do drużyny jesienią poprzedniego roku, była słaba, niezgrabna i bezradna jak pisklę. W tamtym czasie Tommy był w zupełnym dołku, ale wziął ją pod swoje skrzydła i poprzysiągł sobie, że zrobi z niej przyzwoitą zawodniczkę. To pozwalało mu jakoś funkcjonować. Teraz Sara dawała już sobie na boisku radę, a nawet od czasu do czasu udawało jej się zdobyć punkt. Dodatkowym bonusem były

rozmowy z jej matką, które, choć zdawkowe, nadawały jego życiu jakiś sens.

– Myślałam, że jesteś dobry – powiedziała Sara i uśmiechnęła się zupełnie jak matka.

– Bo jestem dobry – odparł Tommy. – Tyle że jestem w bardzo kiepskiej formie, a to dwie różne rzeczy.

– No pewnie... – odpowiedziała z powątpiewaniem, pomagając mu wstać. A potem pobiegła do Arnego Drabløsa, który stał przy bramce w towarzystwie paru dziewczynek i szamotał się z siatką.

Odprowadzając Sarę spojrzeniem, Tommy opróżnił swoją butelkę z wodą. Czasami miał ochotę zapytać, czy jej matka jest samotna, po prostu krzyknąć na sali: „Hej, nigdy nie widziałem twojego ojca, czy twoja mama jest sama?”.

W chwili słabości podczas wielkanocnych zawodów w Larviku powiedział w gronie kilku rodziców, że właśnie zakończył długi związek i nie bardzo ma co ze sobą zrobić na Wielkanoc. Dopiero później zdał sobie sprawę, że jedna z tych matek dobrze zna matkę Sary.

Z torby wyjął gwizdek i dał sygnał do zbiórki przy bramce. Układ treningu Erlenda Dybdahla znał na pamięć. Nie był on zresztą tak bardzo różny od tego, który sami przechodzili dwadzieścia, trzydzieści lat wcześniej: rozgrzewka ramion, opanowanie piłki, zwody, trening rzutów w połączeniu z obroną, na koniec gra pozycyjna. Ostatnie pół godziny treningu należały do Arnego Drabløsa – był to bieg, który miał dziewczynkom dać poznać smak krwi w ustach, a Tommy z przyjemnością tę część sobie odpuszczał.

Przyglądając się treningowi gry pozycyjnej, czyli tego, co w tym sezonie wychodziło dziewczynkom najslabiej, wrócił myślami do trójki, która w czasie wojny wyzionęła ducha w Nordmarce. Nawet wizja matki Sary, która mogła się pojawić lada chwila, nie potrafiła przysłonić obrazu śmierci Cecilii Lande, który powstał w jego głowie.

Piłka mocno pacnęła w słupek, a dwie z dziewcząt zaczęły się kłócić. Tommy nie zauważył, co się stało, ale zgadł, że zapewne jedna z nich zbyt ostro zaatakowała drugą. Jakoś udało mu się je uspokoić, a kiedy podniósł głowę, zauważył, że na linii bocznej stoi matka Sary i rozmawia z ojcem jednej z Pakistanek z drużyny. Jej grube, czarne loki ściągnięte były szeroką, ciemną opaską. Pakistańczyk powiedział coś, co ją rozśmieszyło, i słysząc jej śmiech, Tommy poczuł ukłucie zazdrości. Mimo to w jego ciele rozeszło się ciepło, tak jakby nieprzyjemny osad dwunastoletniego związku z Hege gdzieś zniknął za każdym razem, kiedy matka Sary śmiała się lub patrzyła

w jego stronę.

Krok za krokiem Tommy przysunął się bliżej niej, a w końcu odgwizdał koniec treningu. Gdy dziewczęta zbierały piłki i po kolei oddawały kamizelki treningowe, wymienili spojrzenia i szybkie uśmiechy. Ona dalej rozmawiała z Pakistańczykiem i z jeszcze jednym ojcem, który tymczasem się pojawił. Rozmowa dotyczyła szkoły, zakończenia roku. Tommy przysiadł na ławeczce nieopodal i patrzył na matkę Sary bez skrępowania. Cóż, skoro mu się podobała, po co to ukrywać? Miała na sobie białą tunikę, obcisłe dżinsy i sandały na płaskim obcasie na bosych stopach, całkiem neutralny strój, który jednak sprawiał, że Tommy przez parę minut czuł się jak nastolatek.

Kiedy omawiał z dziewczętami grę pozycyjną, mówiąc im, co było dobrze, a co nie tak, wyobrażał sobie matkę Sary bez tej batystowej tuniki, wyobrażał sobie, jak obejmują go jej szczupłe ramiona, jak jej delikatne ręce głaszczą go po piersi. Jedna z dziewcząt zadała mu pytanie, chodziło jej o podanie jednorącz półgórne, ale on się tymczasem tak rozmarzył, że spojrzał na nią nieprzytomnie. Wszystkie wybuchnęły śmiechem, na koniec i on się do nich dołączył.

– Przepraszam, jestem dziś trochę zmęczony. Do zobaczenia w środę... Bawcie się dobrze z Arnem.

Arne Drabløs z entuzjazmem przejął dowodzenie, najwyraźniej nie mógł się doczekać, by dać zawodniczkom w kość. Tommy sprawdził komórkę i ukradkiem spojrzał na Sarę oraz jej matkę, która akurat pieszczotliwie zwichrzyła córce włosy. Sara odskoczyła na bok, mówiąc: „Mamo, no co ty”, po czym szybko zmieniła buty halowe na buty do biegania i wymaszerowała z sali razem z innymi dziewczętami. Jej matka zarzuciła dużą, elegancką torbę na ramię.

– Jestem trochę nadopiekuńcza, prawda? – powiedziała, zwracając się do Tommy’ego.

– Tego nie wiem – odparł. – Ale na boisku idzie jej coraz lepiej.

– To wspaniale. – Podniosła ręce i zdjęła z włosów opaskę. – Pan jest... Jesteście panowie bardzo skuteczni.

Tak jakoś wyszło, że opuścili salę razem. Na zewnątrz uderzył w nich mocny podmuch wiatru, a jej włosy podniosły się i stanęły na wszystkie strony.

– Ojej! – roześmiała się z siebie.

Tommy z przyjemnością patrzył, jak zbiera niesforne włosy i upycha z powrotem pod opaskę. Chciałby tak z nią stać cały wieczór. I żeby się do

niego uśmiechała, i żeby jej ciemne oczy iskrzyły się jak kryształki miki, i żeby to z Hege nigdy się nie zdarzyło...

– No, trzeba kupić coś na obiad – powiedziała, idąc w stronę schodów prowadzących do centrum handlowego.

– Właśnie, obiad... – powiedział jakby do siebie i poszedł za nią, w końcu raz mógł iść na parking inną drogą.

– Jeśli pan też idzie do marketu, to pomoże mi pan coś wybrać? – odezwała się, kiedy dotarli na szczyt schodów.

– Ja? Chyba nie chciałaby pani wiedzieć, co ja jadam na obiad. Poza tym już jadłem: dwie parówki na stacji Esso na Lambertseter.

– Jest aż tak źle? – spytała, zatrzymując się przed obrotowymi drzwiami wiodącymi do centrum i przechylając głowę na bok.

– Dzisiaj tak – przyznał.

– Mam na imię Hadja. – Wyciągnęła do niego rękę. Była miękka i ciepła.

– Tommy.

– Wiem – powiedziała z uśmiechem. – To pewnie do zobaczenia w środę?

„Nie odchodź” – pomyślał, kiedy weszła do środka.

1. Reichskommissariat Norwegen, Komisariat Rzeszy Norwegia – terytorium i jednocześnie administracja okupowanej Norwegii (1940-1945). [\[wróć\]](#)
2. Møllergata 19, dawna siedziba Komendy Policji w Kristianii/Oslo, połączona z aresztem. [\[wróć\]](#)
3. Victoria Terrasse – kompleks budynków w Oslo, w okupowanej Norwegii siedziba Sipo (i zarazem gestapo), norweski odpowiednik warszawskiej alei Szucha. [\[wróć\]](#)

## ***Piątek, 1 czerwca 1945***

*Stallet*

*Okręg policyjny Östermalm*

*Sztokholm*

Przez cały dzień inspektor kryminalny Gösta Persson cierpiał na silny ból głowy, który dopiero teraz z wolna ustępował. Mógł myśleć tylko o jednym: gdzie aktualnie znajduje się koperta z rzekomym listem pożegnalnym Kaja Holta. Persson miał nadzieję, że jeszcze tego dnia, a już na pewno następnego, jego żona go dostanie.

Za niecałą godzinę przestanie o tym wszystkim myśleć, bo razem z żoną znajdą się w salonie stateczku, który właśnie odbił od kei Blasieholm i podążał w stronę letniego domu jej rodziny, leżącego na jednej z wysepek Archipelagu Sztokholmskiego. Persson nie mógł się już doczekać. Ten weekend wszystko naprawi! Wszystko! Wymaże z pamięci głowę Kaja Holta, perfumy Karen Eline Fredriksen, jej błękitne oczy i krwistoczerwone wargi, pytanie, kto ją wysłał na Rindögatan, by mu opowiedziała, jak bardzo Holt palił się do samobójstwa... A także towarzyszącego Håkanowi Nordenstamowi niemowlaka, który omal nie upuścił jego drogiego słownika na podłogę. Wszystko to zniknie, kiedy już znajdą się na wyspie i nastąpi jego pierwsza poranna kąpiel w morzu, z żoną na pomoście, machającą do niego, palącą papierosa, śmiejącą się ze wszystkich jego figli w wodzie. Nie, nie mógł się już doczekać tych swoich powtórnych narodzin na szkiełkach archipelagu, budzenia przez wrzeszczące mewy i gry promieni słońca na starych, płóciennych zasłonach.

Nagle ocknął się z tych marzeń i spojrzał na drzwi. Czy to stamtąd dobiegł ten odgłos? Najszybciej jak mógł, zdjął nogi z biurka.

– Wejść! – zawołał.

Do pokoju wsunęła się sekretarka, spojrzała na niego przestraszona i szybko spuściła wzrok. Cóż, nie było w tym nic dziwnego, nieraz prosił ją, by mu nie przeszkadzała, gdy miał zaraz wyjść z biura.

– Dzwoni pańska żona... – powiedziała, nie podnosząc wzroku.

Persson walczył z irytacją. Ale nic, jego żona była dobrą kobietą. Nie mieli dzieci, ale jej nie mógł o to winić, a teraz i tak byli na to za starzy. Wciąż jednak mieli siebie.

– Dobrze – powiedział do sekretarki, która stała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Pomyślał, że ta dziewczyna dziwnie się ostatnio zachowuje. Cóż,

nieważne. Najważniejsze, żeby przestał się przejmować listem. Nordenstam go już nie przechwyci. A jeśli żona Holta zrobi jakąś aferę, to trudno, on, Persson, poniesie konsekwencje. W końcu jest mężczyzną.

– Proszę przełączyć – powiedział do sekretarki, a jej twarz rozjaśniła się, jakby kamień spadł jej z serca. – Drzwi proszę zostawić otwarte – dodał, gdy próbowała je za sobą zamknąć. Pod koniec tygodnia Persson czuł się trochę wspaniałomyślnie, bo był to parszywy tydzień, co tu ukrywać.

– Przyszły nowe bluzki... Nie mógłbyś mnie czymś zaskoczyć? – usłyszał w słuchawce. – I kup coś dobrego do jedzenia, dobrze? Dzwoniłam do rzeźnika w Östermalmshallen. On już wie, co będziesz chciał.

– Östermalmshallen – powtórzył Persson. – Więc Willy Ohlson już z góry wie, co będę chciał?

Po drugiej stronie rozległ się śmiech.

Godzinę później Persson był w znakomitym humorze, najlepszym od bardzo dawna, nawet słońce zaczynało się już przebijać przez chmury. „Czy życie może być cudowniejsze?” – pomyślał i na środku chodnika ściągnął z siebie płaszcz, bo nagle zrobiło się ciepło. Przewiesił płaszcz przez ramię i skręcił za róg na rynek.

Roiło się tam od ludzi. „Chyba gdzieś rzucili nowy towar” – pomyślał Persson i ruszył w poprzek placu. Co chwila kogoś potrącał, na pewno także zmęczonych urzędników, takich jak on sam.

Prawie nie zareagował, kiedy ktoś uderzył go w plecy. Nagle w piersiach i plecach coś eksplodowało ostrym bólem i pojął, że jego głowa zaraz uderzy w granitowe płyty, a idący za nim na niego nadepną. Usłyszał jeszcze wrzask jakiejś kobiety i zrozumiał nagle, że to ciepłe, lepkie pod marynarką to jego własna krew i że jego życie właśnie się kończy, bo wszystko z niego ucieka przez dziurę z lewej strony pleców.

Kiedy uderzył o granitowe płyty, już nie żył. Ktoś idący za nim potknął się o niego, ktoś inny głośno krzyknął, ale czy to mogło przywrócić inspektora kryminalnego Göstę Perssona do życia?

**Wtorek, 20 maja 2003**

Biblioteka Narodowa

Oslo

Wjeżdżając na skrzyżowanie Drammensveien i ulicy Frederika, tramwaj nagle przyspieszył, a Tommy Bergmann na moment stracił równowagę. Przypuszczalnie dlatego, że myślał o matce Sary. „Hadja” – powiedział sam do siebie. W wyobraźni jak w odtwarzaczu wideo odgrywał wciąż na nowo scenę, w której stoją przed wejściem do centrum handlowego na Mortensrud. Nie wykorzystał wtedy swojej szansy. Szansy? Czy w ogóle miał taką? Chyba sobie coś wymyślił. Że niby jest samotna i że jest nim zainteresowana. A tak właściwie, o co mu chodziło? Potrzebował pomocy, czyż nie to powiedział mu Bent, dawny kolega ze służby patrolowej? „Zanim pójdziesz dalej, będziesz potrzebował pomocy, Tommy”.

Odepchnął od siebie myśli o Hadji, jej śmiechu, oczach i włosach, ale też o Hege, Bencie i całym tym pobojuwisku. I przełączył mózg na aktualną sprawę. W końcu po to jechał do biblioteki, nie po to, by śnić na jawie. Był w pracy i musiał się dowiedzieć, co w czasie wojny stało się z tym dzieckiem i tymi dwoma kobietami. Cecilia... Dlaczego nie została zastrzelona jak tamte? Tramwaj ostro zahamował na placu Solli, a on znów stracił równowagę, jakby po raz pierwszy w życiu jechał tramwajem.

Zbiór gazet w Bibliotece Narodowej i łatwość, z jaką dało się znaleźć konkretne numery, mocno go zdziwiły. Już po dziesięciu minutach przebywania w budynku siedział przed ekranem czytnika, który miał na mikrofilmach wszystkie gazety wydane w Norwegii w czasie wojny.

„Aftenposten” z 30 września 1942 roku pokazał mu twarze, których szukał. Na pierwszej stronie był dwuszpaltowy artykuł dotyczący zaginionych, ciąg dalszy znajdował się na stronie 6.

Na pierwszym zdjęciu widniała narzeczona Gustava Lande. Była bardzo piękną kobietą i nie można było tego inaczej określić. Jej fryzura kojarzyła się Tommy’emu z *pin-up girls*. Włosy miała ciemne, rysy symetryczne, brwi wygięte w duży łuk, a rzęsy wyglądały na tak gęste, że niepotrzebny im był żaden tusz. Pod zdjęciem był podpis „Agnes Gerner, 24 lata”. Obok zamieszczono zdjęcie Cecilii, córki Gustava. Sercowatą w kształcie twarzyczkę miała otwartą, uśmiech przeznaczony dla fotografa, ale Tommy wyobraził sobie, że w równym stopniu dla kogoś, kto stał za jego plecami. Miała ciemne warkocze z wielkimi, białymi kokardami i dołeczek na policzku, ale tylko na lewym. Widać też było, że straciła jeden z mleczych



kiełków. Jeśli Agnes Gerner wyglądała na kobietę, dla której można by zabić, Cecilia wyglądała jak dziecko, za które można by dać się pokroić.

Z prawej strony był wizerunek służącej Johanne Caspersen. Tommy spróbował powiększyć ten fragment gazety, ale bezskutecznie. Zdjęcie było tak kiepskiej jakości, że na jego podstawie trudno byłoby ją rozpoznać. Miała nieciekawą twarz, w której było coś ptasiego. Jej skóra wyglądała na zupełnie przezroczystą, ale pewnie kiepska jakość zdjęcia powodowała to złudzenie.

Tommy przeczytał kilka razy dołączony tekst. „Charakterystyczne utykanie”. Studiując twarzyczkę Cecylii Lande, z tym jej dołeczkiem na policzku, myślał jednocześnie o małej czaszce z ziejącymi oczodołami.

„Kto ci to zrobił? I dlaczego samochód zaparkowany był na Madserud allé?”

Siedział przez chwilę, patrząc na zdjęcie Cecylii Lande, aż rozmazało mu się przed oczyma. A potem zaczął przeglądać zawartość gazety: ogłoszenia o racjonowaniu mydła, oświadczenia Reichskommissariat, pochwała norweskich frontowców <sup>1</sup>.

Przewinał stronę. Najpierw przeczytał jakiś artykuł, nie skupiając się na jego treści, ale jakieś niejasne skojarzenie sprawiło, że do niego wrócił i przeczytał uważniej.

Policja prowadzi energiczne śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego 25 września na dyrektorze działu badawczego w Kopalniach Molibdenu Knaben AS, Torfinnie Rolborgu. W dalszym ciągu poszukuje się dwudziestokilkuletniej blondynki o przypuszczalnie niebieskich oczach, znak charakterystyczny: małe znamię na górnej wardze po lewej stronie. Ustalono nagrodę w wysokości 25 000 koron za informacje, które pomogą aresztować zabójczynię.

Tommy pomyślał, że podczas wojny 25 000 koron musiało być ogromną sumą.

I wtedy nagle skojarzył.

Właścicielem Kopalni Molibdenu Knaben AS był Gustav Lande.

Najpierw zabity zostaje jeden z jego dyrektorów, a kilka dni później ktoś dokonuje regularnej egzekucji jego małej rodziny.

---

1. [Pewna liczba młodych Norwegów wzięła udział w wojnie po stronie niemieckiej.](#)  
[\[wróć\]](#)

**Piątek, 23 maja 2003**

*Komenda Policji*

*Oslo*

W to niezwykle ciepłe, piątkowe przedpołudnie Tommy Bergmann w dalszym ciągu nie miał odpowiedzi na pytanie, dlaczego we wrześniu 1942 roku ktoś zamordował narzeczoną, córkę i służącą Gustava Lande. Ale teraz już nie musiał szukać odpowiedzi dlaczego, a tym bardziej kto je zabił. Odrobina wiedzy, którą sobie przyswoił na temat molibdenu, też już nie miała znaczenia. Siedząc na cotygodniowej odprawie w Wydziale Przepływów Kryminalnych i Obyczajowych, Tommy pojął, że cała jego robota z zeszłego tygodnia była stratą czasu. Fredrik Reuter właśnie poinformował zgromadzonych o czymś, co Tommy przewidział już tamtego ranka, a mianowicie, że potrójne zabójstwo sprzed 61 lat nie może już być sprawą priorytetową i że sprawę przejmuje Kripos. Wszyscy doskonale wiedzieli, że to ostatnie jest zwykłym mydleniem oczu i wstępem do umorzenia śledztwa.

Tommy siedział więc przygnębiony, ale jego stan można było też złożyć na karb tego, że Hadja w środę nie pojawiła się na treningu. Stał potem przed salą przed kilka minut, patrząc, jak Sara i inne dziewczęta maszerują w stronę bloków, i mając nadzieję, że jej matka nagle się zmaterializuje. Usiadł nawet na schodach do centrum i poczekał na przyjazd następnej kolejki, ale kiedy nie przyjechała, przeczekał jeszcze kilka autobusów, i jeszcze jedną kolejkę. W końcu spytał sam siebie, co właściwie wyprawia, i powlókł się do domu. „Zapomnij o niej” – powiedział sam do siebie, biorąc prysznic. „Zapomnij o Hadji”.

Spojrzał teraz na wiszący na ścianie zegar i przez chwilę śledził wskazówkę jego sekundnika. Nie znoślił porzucać rozpoczętych spraw i mógł przysiąc, że między morderstwem tych trzech i zabójstwem dyrektora z firmy molibdenowej jest jakieś powiązanie. Ale to nie miało już znaczenia. Był Rok Pański 2003 i zdaniem Fredrika Reutera policja miała za mało czasu i środków, by je marnować na sprawę trzech starych szkieletów wykopanych gdzieś w Nordmarce. I nikt nie mógł go z tego powodu o nic winić.

O ile Tommy się orientował, jego sekcja dochodzeniowa liczyła sześćdziesięciu śledczych – przynajmniej taką liczbę z uporem podawały w swoich raportach kadry. Jeśli jednak od tej liczby odjąć pięć czy sześć wakatów wynikających z niedofinansowania komendy, zostawało pięćdziesięciu pięciu. Z tego co najmniej dziesięciu było każdorazowo na

zwolnieniach, a jeśli do nich dodać tych piętnastu, którzy zajmowali się wyłącznie kwestiami obyczajowymi, tzn. gwałtami, kazirodztwem, kontaktami seksualnymi z nieletnimi i całym tym innym możliwym świństwem, którym mogła zaowocować męska seksualność, liczba dostępnych na co dzień śledczych nagle topniała do trzydziestu. I ta trzydziestka wybrańców, czyli grupka niewiele większa od dowolnej pierwszej klasy z którejkolwiek z miejskich podstawówek, musiała się zajmować wszystkimi popełnionymi w mieście zabójstwami, usiłowaniami zabójstwa i tym, co eufemistycznie określano jako „ciężkie naruszenie nietykalności cielesnej”.

Reuter spacerował wte i wewte przed ekranem rzutnika, z jego ust wydobywał się potok słów, ale Tommy nie był w stanie ich pojąć, zlewały mu się w niezrozumiały bełkot. Nawet obrazy na ekranie, dotyczące sprawy sprzed czterech tygodni, czyli zabójstwa etiopskiej studentki w akademiku, nie łączyły się w żadną sensowną całość. Przez chwilę przyglądał się twarzom słuchaczy zwróconym w stronę Reutera. Pomyślał, że w zasadzie nie ma tu żadnych kolegów, że wszyscy są mu obcy, że na żadnego nie mógłby liczyć. Ale może sam chciał, żeby tak było? Może w tej pracy nie mogło być inaczej?

Po kilku minutach wziął do ręki „Dagbladet” z poprzedniego dnia, leżące na teczce sprawy, którą ze sobą przyniósł. Wyglądało na to, że w to majowe święto, poza zwykłym pijaństwem i przemocą z nim związaną, w mieście nie wydarzyło nic szczególnego. Tym razem wszyscy pobici wyszli z tego bez większych obrażeń. Poza tym w gazecie sporo uwagi poświęcono ludzkim szczątkom znalezionym w Nordmarce. Starszemu reporterowi kryminalnemu Frankowi Krokholowi, a może jakiemuś młodziakowi w redakcji, udało się już nadać sprawie chwytliwy tytuł *Zagadka w Nordmarce*.

Krokhol i jego koledzy wycisnęli aż cztery strony druku i zdjęć. Jedno z nich pokazywało Abrahamsena i techników z Kripos, jak stoją, patrząc na dziurę w ziemi, i drapią się w głowy. Następne dwie strony wypełnione były zdjęciami zaginionych: Agnes Gerner, Cecilii Lande i Johanne Caspersen. Krokhol nie był głupi i wpadł na ten sam pomysł, co Tommy, i to nawet nie dzwoniąc do niego, co zresztą nagminnie czynił. Tommy wpatrzył się, Bóg jeden wie który to raz, w te trzy twarze ze zdjęć z „Aftenposten” z 30 września 1942 roku. Pod nimi była notka z prośbą do wszystkich, którzy wiedzą coś o tej trójce albo w ogóle o sprawie, żeby zadzwonili albo przesłali staremu Krokholowi e-mail.

„Powodzenia” – pomyślał Tommy Bergmann i spojrzał na Reutera, który pokazując kolejne zdjęcie tej czarnej dziewczyny pchniętej nożem w swoim własnym mieszkaniu, grzmiał, że koniecznie muszą odnaleźć tego drania, który to zrobił. Tommy’emu przyszło do głowy, że jeśli nie udało się znaleźć zabójcy sprzed czterech tygodni, jak można liczyć na to, że uda się znaleźć mordercę sprzed sześćdziesięciu lat?

Doskonale wiedział, że rozwikłanie tak starej zagadki to rzecz właściwie niewykonalna. W większości przypadków po prostu by odpuścił i z przegródki „do załatwienia” wziął następną sprawę. Ale tej dziewczynki odpuścić jakoś nie mógł. Owszem, próbował, ale myśl o tym, jak zginęła, nie dawała mu spokoju. Z tymi dwoma dorosłymi kobietami sprawa była jasna: Agnes Gerner zabito przypuszczalnie z bliska, strzałem prosto w czoło, podczas gdy do Johanne Caspersen strzelono z boku, w skroń. Gerner pochowano z pociskiem 7,65 browning w głowie, kobieta postrzelona z boku miała otwór wylotowy w lewej skroni, na tej samej wysokości, co domniemany otwór wlotowy. Pocisk tego samego typu znaleziono kilka metrów za grobem.

„Ale to i tak tylko przypuszczenia” – myślał Tommy.

Podniósł wzrok na Reutera, udając, że śledzi dyskusję, która wywiązała się w pokoju, ale zaraz dał sobie z tym spokój i przejrzał końcowy raport, który zaczął pisać, a który miał być wysłany do Kripos razem ze sprawą. Tekst był kliniczny, urzędowy. Trzy kobiety zabite ponad 60 lat temu. Wtedy były to osoby, teraz tylko imiona i nazwiska, i prawie nikt w tym kraju nie wiedział już, kim były. Wśród 65 osób o nazwisku Gerner Tommy znalazł jedną, w Slemdal, która potrafiła nieco opowiedzieć o Agnes Gerner, ale niewiele to do sprawy wniosło. Ten człowiek twierdził, że Gerner była co prawda z jego rodziny, ale ta gałąź przeprowadziła się do Anglii jeszcze w latach dwudziestych. Wszyscy oni, z wyjątkiem ojca, który zmarł wcześniej, zostali nazistami, więc w rodzinie o nich nie wspominało. Agnes Gerner z siostrą wróciły do Norwegii przed samą wojną, ale krewni na miejscu nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego, i to nie tylko dlatego, że były nazistkami, ale także dlatego, że ich ojciec miał poważny zatarg z resztą rodziny. Staruszek ze Slemdal uważał, że to tragedia, ale stwierdził, że tak to już jest, jak się stanie po złej stronie. Siostra Agnes wyszła za Niemca i jeśli wciąż żyła, mieszkała zapewne w Niemczech. Ich matka zmarła w Anglii zaraz po wojnie.

Krokhol i jego koledzy z prasy dotarli z kolei do jakichś ludzi

w Hadeland, którzy ponoć byli spokrewnieni ze służącą Johanne Caspersen, ale głównie chodziło im o to, żeby znaleźć się w gazecie. Krokholo zainteresował też Gustav Lande, który powiesił się pewnego lipcowego dnia w 1944 roku i zostawił mnóstwo pieniędzy swojemu bratu. Ów jednak zmarł dwadzieścia lat temu, a jego dzieci odmówiły rozmowy z prasą, a kiedy Tommy do nich zadzwonił, zagroziły adwokatem. Doszedł do wniosku, że po prostu nie mają ochoty wnikać w to, w jaki sposób Gustav Lande doszedł do swoich pieniędzy.

Wyglądało na to, że on, Tommy Bergmann, jest jedyną osobą w kraju rzeczywiście zainteresowaną rozwikłaniem tej tajemnicy, choć aktualnie nie była już w jego gestii.

„Przecież wybieraliście się do Rødtangen, a nie do Nordmarki” – myślał. To była tylko jedna z wielu rzeczy, których tu nie rozumiał. Kto zabrał je do Nordmarki? Kto zaparkował samochód Landego w Madserud allé?

Nagle pokój eksplodował wrzawą wielu głosów naraz. Tommy rozejrzał się nieco nieprzytomnie, śmiech i szuranie krzesel wypełniły mu uszy, ale nie chwycił, o czym jest mowa, czuł się, jakby był na obcej planecie. Ktoś otworzył okno i pokój wypełnił ciepły powiew lata, a Tommy pomyślał, że na taki dzień ludzie czekają całą zimę. I że ośmioletniej Cecilii Lande nie dane było wielu takich dni doświadczyć.

Spojrzał raz jeszcze w gazetę, przewrócił stronę ze zdjęciem małej czaszki i skupił się na zdjęciu z „Aftenposten” z 30 września 1942 roku. Gdyby kiedykolwiek miał mieć dziecko, chciałby, żeby było właśnie takie. Z takimi warkoczykami, z dołeczkiem w lewym policzku, z takimi pięknymi brwiami.

Wróciwszy do biura, zajrzał jeszcze raz do teczki tej sprawy, a potem odniósł ją do sekretariatu, nie mogąc oprzeć się dziwnemu przeczuciu, że niedługo do niej powróci. Kiedy kolega, jeden z tych, których imienia nie był w stanie zapamiętać, zapukał dwie godziny później i spytał, czy idzie z resztą towarzystwa do „Azylu”, bez słowa pokręcił głową. Szedł wkrótce na trening i próbował nie spekulować, czy Hadja się zjawi, czy nie.

Tego wieczora znów nie przyszła, Sara zresztą też nie. Treningi zawsze wprawiały go w dobry humor, ale nie tym razem. Był w ponurym nastroju, dziewczęta to zauważyły, a trening wypadł kiepsko. Był piątek, wyjątkowo ciepły dzień, i żadna z nich właściwie nie miała ochoty tam być. Może powinien wyekspediować je wszystkie do zatoki Hverven, ale przynajmniej skończył ćwiczenia wcześniej i posłał dziewczęta na przebieżkę z Arnem

Drabløsem. Sam stanął przed salą i odprowadził całą ekipę wzrokiem, aż skręciła w Lofsrudveien. Przez chwilę stał, zastanawiając się, gdzie Hadja z Sarą mieszkają, czy może po drugiej stronie parkingu? Otrząsnął się i szybkim krokiem ruszył do samochodu.

W domu nastawił gramofon i położył się na podłodze. Kiedy skończyła się pierwsza strona starej, należącej jeszcze do jego matki płyty Joni Mitchell, usłyszał hałas z zewnątrz, z wyasfaltowanego placu między blokami. Najpierw o drewno kija piasnęła piłka do krykieta, a potem rozległy się krzyki. Mieszanka norweskiego i pendzabskiego odbiła się echem między blokami.

Tommy nie myślał już o Hadji i jej kręconych włosach, rozwianych przez wiatr przed halą sportową Klemetsrud. Zamiast tego pomyślał o Hege, w sposób, w jaki czasami myślał o niej i o sobie jako o normalnym człowieku, życzącym jej jak najlepiej. Pod koniec kwietnia spotkał ją przypadkowo na Bogstadveien i byli dla siebie jak obcy ludzie. Ledwo ją rozpoznał, bo z wielkim brzuchem wyglądała zupełnie inaczej, ale dotyk jej skóry na jego policzku palił tak samo, jak za pierwszym razem, kiedy go dotknęła.

Powtórzył głośno jej słowa, tak jak ona je wypowiedziała, z czymś, co odczytał jako ciepło w głosie, tak jakby nadal był jej bliski i zawsze miał być.

– Jak się masz?

## ***Niedziela 8 czerwca 2003 (Zielone Świątki)***

*Hala sportowa Sofienmyr*

*Oppegård*

Jacyś mądrale w świecie piłki ręcznej Oslo i okolic wymyślili, że zorganizuje się małe zawody dla tych drużyn, które nie pojedą na wielkie zielonoświątkowe zawody do Tønsberg. Tommy'emu Bergmannowi ta decyzja sprawiła wielką ulgę, bo nie musiał już myśleć, co zrobić ze sobą w ten długi świąteczny weekend. Był bowiem pewien limit w liczbie dyżurów w Wydziale Kryminalnym, które można było wziąć bez narażenia się na podejrzenie o socjalną dysfunkcję.

Najlepsza zawodniczka w drużynie, pochodząca z zasobnej rodziny Isabelle została zabrana przez rodziców do nowo wybudowanego domku letniego w Kragerø. W najslabsze dni potrafiła sama uratować młodziczki z Klemetsrud, a ten dzień zapowiadał się na jeden z nich. Bez Isabelle dziewczęta całkowicie straciły ducha. Już po dziesięciu minutach pierwszego meczu, przeciwko drugiej drużynie Kolbotn, wpuściły siedem goli, same zdobywając jednego. Kiedy Kolbotn wcisnęło im ósmego, Tommy podszedł do sekretariatu zawodów i poprosił o czas.

Poklepał bramkarkę Aatifę po plecach i powiedział, że idzie jej nieźle, a potem zebrał dziewczęta za linią boczną.

– Co jest, dziewczyny? Już zaczęłyście świętować?

– One są za dobre – powiedziała Sara, po czym wlała sobie do ust trochę wody, podała butelkę Martine, która w prywatnym rankingu Tommy'ego była numerem dwa, i mrugnęła do niego, jakby skądś wiedziała, że właśnie pomyślał o jej matce.

– One wcale nie są takie dobre, to my kiepsko gramy! Nie możecie stać z opuszczonymi rękami, trzeba się ruszać! Biednej Aatifie nikt nie pomaga! Kurczę, przecież już je łąłyśmy!

– Bez Isabelle... – zaczęła któraś z dziewcząt.

– Isabelle tu dziś nie ma i nie będzie – wtrącił się Tommy. – Takie jest życie, nie możemy zawsze liczyć na innych, że za nas odwalą całą robotę. Dzisiaj musicie to zrobić same, jasne?

Kazał Sarze ciasno kryć najlepszą zawodniczkę Kolbotn i to zadziało. Zanim odgwiszono przerwę, Kolbotn zdobyło tylko dwa gole, a Martine trafiła cztery razy i zaliczyła asystę przy piątym.

W drugiej połowie Klemetsrud dotrzymywało jakoś kroku Kolbotn, ale Tommy poświęcał grze tylko część uwagi, bo stale zerkał na to, co się dzieje

za bramką drużyny przeciwniczek. Mecz skończył się honorową przegraną i Tommy dał dziewczętom pół godziny wolnego. Publiczność na trybunach zmieniła się teraz na rodziców młodzieży z dwóch następnych drużyn. Tommy najdyskretniej jak umiał, rozglądał się za Hadją, ale zniknęła mu gdzieś w tłumie. Po krótkiej rozmowie ze swoim asystentem Drabløsem wyszedł na zewnątrz i przez kilka minut cieszył się słońcem. Rozwahał, czy nie pójść w stronę głównego wejścia do hali, gdzie stała większa grupka ludzi podobnie jak on próbująca złapać trochę słońca, ale zabrakło mu odwagi. Zamiast tego poszedł na tył budynku, gdzie jak przypuszczał, znajdował się kąciak dla palaczy przylegającej do hali szkoły. Usiadł tam na ziemi, oparł się o ścianę i spróbował o niczym nie myśleć.

Był w środku papierosa, gdy z lewej strony dobiegł go odgłos kroków.

– A więc tu się pan... tu się schowałeś, Tommy?

Hadja podeszła do niego z niemal przepraszającym uśmiechem, przesunęła okulary przeciwsłoneczne na włosy, a potem usiadła obok niego.

– Możesz mnie poczęstować? Jakoś nie potrafię rzucić...

Kiedy wyjmowała papierosa z paczki, przyglądał się jej dłoniom i paznokciom, które wydawały się białe na tle oliwkowej skóry palców. Kiedy zapalał papierosa, jej dłoń spoczęła na jego dłoni odrobinę dłużej, niż wypadało, tak sobie przynajmniej wyobraził.

– I co, zjadłeś już swój parówkowy obiad? – odezwała się, poprawiając okulary. – W tamtej budce? – Kiwnęła głową w stronę wejścia do hali.

Tommy parsknął śmiechem.

– Obiad jadam tylko na stacjach benzynowych – powiedział.

– Ach, zapomniałam – powiedziała, zaciągając się z widoczną przyjemnością.

– Byłaś na wakacjach? – spytał. – Jesteś bardzo opalona.

Uśmiechnęła się.

– Tak. Byłam w Maroku, wróciłam dopiero wczoraj... A Sara była u swojej ciotki, pewnie opuściła kilka treningów.

– Odwiedziny u rodziny?

– Poniekąd. – Spoważniała. – Można to tak nazwać. Mój ojciec... – przerwała i przez chwilę paliła w milczeniu, sprawiając wrażenie nieobecnej.

– To nie była udana wizyta, szczerze mówiąc. Ale to dłuższa historia...

Właściwie nie powinnam tam jechać.

– W porządku – powiedział Tommy.

Przerwał im dźwięk jego komórki. Wstał powoli i z wyraźną niechęcią



wyjął telefon z kieszeni dresu. Przez kilka sekund patrzył na dobrze znany numer centrali operacyjnej.

– Złe wiadomości? – spytała Hadja.

– Pewnie tak – odparł, a ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Tu Karlsvik, dyżurny... – usłyszał głos po drugiej stronie.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że odwrócił wzrok od Hadji.

– Tak?

– Adres to Dr. Holms vei. Rozmawiałem z Monsenem i on...

Zamilkł na chwilę.

– Co jest na tej ulicy?

– Wygląda na to, że jakiś gość stracił tam głowę... – przemówił wreszcie Karlsvik. – I nie tylko. Ponoć...

– Ponoć co?

– Koszmarna sprawa.

– Co za gość? – spytał niecierpliwie Tommy.

– Monsen z kryminalnego mówi, że to jakiś... Carl Oscar Krogh.

– Jakiś? Jakiś Carl Oscar Krogh? – spytał zirytowanym głosem Tommy.

Pomyślał, że zrobił się niezły gnój. I że pieprzony Monsen musiał z tym akurat do niego.

– Ja... nigdy o nim nie słyszałem, ale Monsen mówi... – znów przerwał.

„Co za idiota” – pomyślał Tommy.

– Zresztą wszystko jedno, bajzel się zrobił nie z tej ziemi. Faceta znalazła pomoc domowa. Reuter już jedzie ze Strömstad, prosił Monsena, żeby...

– Jaka znowu pomoc domowa? – przerwał mu Tommy. Spojrzał na Hadję.

Dyżurny odchrząknął, a potem zaczął opowiadać o pchnięciach nożem.

Tommy’emu wydawało się, że źle usłyszał.

– Co najmniej pięćdziesiąt pchnięć? – powtórzył cicho.

– On... nie ma oczu – dodał Karlsvik.

Tommy na chwilę zamknął własne.

– Muszę jechać – odwrócił się do Hadji.

Zmarszczyła brwi.

– Aż tak źle?

– Zanim nie będzie tego w gazetach, udawaj, że o niczym nie słyszałaś – poprosił i wyciągnął do niej paczkę papierosów.

Potrząsnęła głową.

– Nie, dzięki, na dziś wystarczy – powiedziała, wstając.

Tommy zapalił, zaciągnął się głęboko i mocno wydmuchnął dym przez nos.

– Mogłabyś coś dla mnie zrobić? – spytał i spojrzał na zegarek.

– Naturalnie.

– To znajdź Drabløsa, powiedz mu, że mnie wezwali i że musi wziąć na siebie te dwa ostatnie mecze. Jak będzie miał jakiś problem, może zadzwonić, ale musi to być coś naprawdę ważnego.

Hadja kiwnęła głową.

– Miło było cię znów zobaczyć – powiedziała.

## CZEŚĆ 2

**Czwartek, 24 sierpnia 1939**

*Sevenoaks Court*

*Kent*

*Wielka Brytania*

Gdyby ktoś spytał Agnes Gerner, ile w świecie istnieje odcieni zieleni, bez wahania odpowiedziałaby, że wystarczy pojechać do Stawów Westerham i spróbować samemu policzyć.

Agnes odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na otoczoną wierzbami ścieżkę, na migoczącą wśród listowia tafelę wody. Za jej plecami, na górze, czekała na nią Bess. Wiedziała, że tam przed nimi roztoczy się jeszcze więcej tego zielonego piękna: falujący krajobraz, pełne różnobarwnych motyli łąki, upstrzone białymi kwiatami rumianku i niebieskimi dzwonkami, a daleko na horyzoncie będzie majaczył Sevenoaks Court – kryty czerwoną dachówką dwór, w którym przez ostatnie pół roku spędziła tyle czasu.

– Pięknie, prawda? – usłyszała za sobą. W drodze powrotnej Christopher Bratchard szedł oczywiście przed nią, ponieważ dżentelmen nigdy nie idzie za damą w sukni ani po schodach, ani w ogóle pod górkę.

Agnes odwróciła się z powrotem ku niemu. Niekiedy jego spojrzenie było bardzo przenikliwe, jakby czegoś w niej szukał, najchętniej potwierdzenia czegoś, co mogło być tylko uczuciem. Uczuciem, którym oficer prowadzący nie może nikogo darzyć. A już zwłaszcza, jeśli jest żonaty.

Spędzenie ostatniego dnia tego ostatniego tygodnia właśnie w Sevenoaks Court było jego pomysłem. Nazwał to „wycieczką na niczym nieskażone łono natury”. Instynkt podpowiadał jej, że to bardzo zły pomysł być z nim sam na sam, daleko od ludzi... ale co miała zrobić? W końcu powierzyła temu mężczyźnie swoje życie!

Niewielu ludzi wiedziało, gdzie się przez ostatnie miesiące podziewała, a tylko kilku – czym się zajmowała. Niekiedy zresztą sama tego za bardzo nie wiedziała.

Coś, co niespełna rok wcześniej mogło wyglądać na świadomy wybór, równie dobrze można by postrzec jako serię przypadków. Była mianowicie na przyjęciu w norweskiej ambasadzie żeby uczcić coś, czego teraz nawet nie pamiętała, i pozwoliła sobie wygłosić parę szczerych uwag na temat własnej matki, która po śmierci jej norweskiego ojca wyszła za zagrożonego bankructwem angielskiego lorda. Mężczyzna ten, którego nienawidziła

z całego swojego na wpół brytyjskiego serca, był jednym z najwyższej postawionych zwolenników tego odrażającego Mosleya <sup>1</sup>. To, że siostra w Oslo dzieliła poglądy ich nowego ojczyma i ich matki, bynajmniej jej nie pomagało. W pobliżu znalazł się wtedy *attaché* z brytyjskiej ambasady w norweskiej stolicy, którego jej mimochodem przedstawiono, a który nalegał, by mówiła mu Richard. Późnym wieczorem Agnes i jej przyjaciółka, której ojciec był kimś ważnym w ambasadzie, znalazły się wraz z owym *attaché* i grupą jego znajomych z oksfordzkiego Magdalen College w nowo otwartej francuskiej restauracji na Mayfair. Gdyby ktoś powiedział, że wtedy straciła dla niego głowę, nie byłby daleki od prawdy. Kiedy uparł się, żeby odwieźć ją taksówką do domu, nie całkiem trzeźwą po tych wszystkich kieliszkach szampana, prawdę mówiąc, liczyła się z tym, że mogą wylądować w łóżku. Zamiast jednak iść za ciosem, Richard pocałował ją na pożegnanie w rękę już na pierwszym stopniu. Kiedy nieco zbита z tropu wkładała klucz do zamka, chrząknął nagle i spytał, czy nie mogliby się spotkać następnego dnia.

Teraz Christopher Bratchard podał jej ramię, mimo że Agnes nie miała kłopotów ze wspinaniem się po wyrównanej ścieżce. Uratowała ją Bess, która wyskoczyła z lasu z wywieszonym językiem i przeleciawszy między nimi, pognała w górę ścieżką. Agnes uwielbiała tę sukę. Nie mogła tylko pojąć, dlaczego Christopher tak ją namawiał, żeby na te trzy ostatnie tygodnie zabrała psa ze sobą. Pomyślała gorzko, że to jedyna zasługa jej matki, że zaraz po śmierci ojca kupiła jej malutkiego setera.

– Ech, gdyby życie mogło zawsze tak wyglądać... – odezwał się Christopher. – Wiele bym za to dał.

Zatrzymał się na chwilę, położył swój wojskowy plecak na ścieżce, z tweedowej marynarki wyjął chusteczkę i wytarł czoło pod kapeluszem, z którym nie rozstawał się nawet w największy upał.

Agnes mruknęła coś w odpowiedzi, patrząc na Bess czekającą na końcu ścieżki na górze. Pomyślała, że tam przejdą przez dębinę i wyjdą na łąkę, z której już zobaczą Sevenoaks Court, a wtedy zostanie im nie więcej niż pół godziny spaceru.

Przez ostatnie minuty wspinaczki ścieżką Christopher na szczęście zrobił jej powtórkę z procedur związanych z pobytem w Oslo, a w szczególności ze spotkaniem z jej tamtejszym norweskim kontaktem.

– To on cię rozpozna – wyjaśnił, jakby chciał powiedzieć: „Nie musisz sobie tym zaprzętać swojej ładnej główki”.

W końcu dotarli na szczyt zbocza. Bess leżała tam w cieniu drzewa. Agnes zawołała ją, zastanawiając się, jak ją przetransportuje do domu w Oslo. Do domu? Czy był tam jakiś jej dom? Ale czy jej domem była Anglia? Nie była tego pewna.

Bess przybiegła i kręciła się wokół nich. Agnes chciała jak najszybciej dotrzeć do dębiny, a potem do łąki z widokiem na czerwony dach dworu.

Tymczasem Christopher wydobył coś ze swojego plecaka i położył to na ziemi, a przypięta z boku saperka zadzwięczała o kamienie. Spodziewała się, że uśmiechnie się tym swoim porozumiewawczym uśmiechem, ale jego twarz była poważna i ściągnięta.

Agnes spojrzała na to, co trzymał w ręku. Była to czerwona piłeczka, psia zabawka. Przez chwilę stali, patrząc na siebie.

– Bess, tutaj! – krzyknął Christopher i przyklękawszy, rzucił piłeczkę najdalej, jak potrafił, w stronę dębiny. Pies pobiegł za nią.

Podeszli kawałek do przodu, a pies po chwili wrócił z piłeczką w pysku i wypuścił ją na ścieżkę przed Christopherem. Ten podniósł ją i znów rzucił w kierunku dębiny, a potem oboje niespiesznie ruszyli w tamtym kierunku. Agnes uspokoiła się. To była tylko zabawa. Wkrótce zobaczą dach dworu, a jak tam dotrą, pójdzie do pokoju, żeby odpocząć przed obiadem. Rano zaś wsiądzie do londyńskiego pociągu.

Zanim doszli do zagajnika, w którym pies szukał piłeczki, Agnes kątem oka zauważyła, że jej towarzysz ma w plecaku coś jeszcze.

Kiedy zobaczyła, co to takiego, zrobiło się tak, jakby nagle zaszło słońce. W ręku Christophera tkwił wielki wojskowy rewolwer.

– Kiedy wejdziemy w zagajnik – powiedział, pokazując kierunek głową – zastrzelisz ją.

Agnes Gerner otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ziemia pod nią zakołysała się.

– Nie sądzę, żebym... – zaczęła cicho.

Nic nie mówiąc, Christopher Bratchard wyciągnął webleya w jej stronę. W ramach szkolenia zastrzeliła już trzy świnię, żeby pokazać, że w razie potrzeby potrafi zabić, ale to tutaj było szaleństwem!

– Bo jeżeli nie, zrobię to sam – oświadczył.

Patrzyli na siebie, dopóki suka nie wróciła. Agnes myślała teraz tylko o jednym: żeby nie wybuchnąć płaczem.

Bratchard wyciągnął lewą rękę i wziął od psa piłeczkę, prawą zaś wsunął rewolwer w rękę Agnes. Ponacinana rękojeść była zimna, a przegub jej dłoni

zgiął się pod ciężarem. Kula z webleya mogła w ułamku sekundy położyć trupem szarżującego byka, a on chciał, żeby użyła go do tego wątego setera...

Bratchard raz jeszcze rzucił Bess piłeczkę. Ich spojrzenia spotkały się. Miał zaciśnięte usta, kapelusz rzucał cień na jego twarz.

– Jest już za późno, Agnes. Nie możesz odejść ze służby.

Agnes zagryzła od środka policzek. „Zabije mnie” – pomyślała.

Suka znów do nich przybiegła, a ona pochyliła się, żeby ją pogłaskać po raz ostatni. Sądziła, że będzie ją miała jeszcze z dziesięć lat, a wtedy będzie już miała męża i dzieci, i wszyscy będą razem szczęśliwi...

Pies spojrzał na nią, a potem na jej towarzysza, jakby czekał na nagrodę. Agnes pogłaskała go raz jeszcze, a po chwili zwierzę znów pobiegło za piłką.

Weszła do zagajnika, w którym pojedyncze promienie słońca z trudem przebijały się przez ciemnozielone listowie. Suka myszkowała, szukając zabawki.

– Siad! – zawołał Richard, który był tuż za plecami Agnes.

Znajdowali się może pięć metrów od psa. Agnes nie próbowała ustalić odległości, odmawiała cichą modlitwę.

Pies usiadł i podniósł wzrok na panią, przechylając łeb na bok.

„Tatusiu” – pomyślała. „Proszę, wybaczyć”.

Zrobiła krok do przodu, a potem jeszcze jeden. Suka przekrzywiła łeb jeszcze bardziej, jakby chcąc spytać: „Co ty robisz?”. Od zapachu wilgotnej ziemi Agnes poczuła nagle mdłości, pod jej stopami zaszeleściły zgniłe liście. Nie słyszała niczego innego, nawet ćwierkania ptaków.

Mały łeb znalazł się na muszce, a rewolwer już nie był taki ciężki. Rękę miała spokojną. Przeleciała jej myśl: „Chyba jestem chora, poważnie chora”.

– Teraz – syknął Bratchard. – Nie myśl! Nigdy nie myśl, bo sekunda zrobi się bardzo, bardzo długa!

Huk wystrzału spowodował potężne zamieszanie w koronach drzew, powietrze wypełnił przerażony wrzask ptaków, które poderwały się w jednym momencie do lotu.

Kula roztrzaskała pół pięknego, smukłego łba setera, a krew, jasna jak u świni, chlusnęła z resztek jego pyska. Przez ułamek sekundy patrzyło na nią jego ocalałe oko, a potem pies runął na ziemię.

Agnes opuściła broń.

– Jeszcze raz – odezwał się cicho Bratchard. – Ona żyje.

Agnes Gerner postąpiła krok do przodu. W ustach czuła krew, w gardle

metaliczny posmak, miała mdłości. Przełknęła tę krew, podniosła rewolwer i roztrzaskała resztę psiego łba. „Tylko nie becz, nigdy nie becz” – powiedziała do siebie. Tego w dzieciństwie nauczyła ją matka. „Agnes, nie wolno ci płakać, kiedy ktoś patrzy”.

Christopher wyjął rewolwer z jej dłoni i pokiwał głową, spoglądając na nią przenikliwym wzrokiem.

– Jesteś szaleńcem – powiedziała cicho i zamknęła oczy. Po policzkach nie spłynęła jej ani jedna łza.

Szepnął coś, ale nie słyszała co. Odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła w korony drzew. Nie było tam już ani jednego ptaka, może na zawsze.

– Co mówiłeś?

Położył ciężką rękę na jej ramieniu i mocno zacisnął, jakby chciał je zmiążdżyć.

– To już za parę tygodni, może nawet dni...

– A wtedy? – spytała.

– Kiedy Hitler przekroczy granicę Polski, nie będzie odwrotu. Jeśli naszemu krajowi została choć odrobina honoru, wypowiemy Niemcom wojnę.

Agnes nic nie powiedziała. Krew w jej ustach była teraz słodka i pomyślała o niej jako o czymś przyjemnym w smaku.

– I tylko szaleńcy przeżyją to, co się wtedy zacznie – dokończył.

– Puść mnie! – krzyknęła. – Puść mnie, ty draniu!

Bratchard chwycił jej twarz w dłonie i skierował w stronę zmasakrowanego psa.

– Tylko szaleńcy – powtórzył i puścił ją.

Poczuła, że wciska jej coś do ręki. Była to saperka.

– No już, zakop ją.

## ***Niedziela, 8 czerwca 2003 (Zielone Świątki)***

*Dr. Holms vei*

*Oslo*

Tommy Bergmann odstawił lewą nogę trochę dalej od prawej, by odzyskać równowagę, mocniej zacisnął komórkę w dłoni i sztywnymi palcami wybrał numer do centrali.

– Zejdźcie tam niżej i odgroźcie jakoś cały ten syf – rzucił do dwóch funkcjonariuszy, którzy łazili za nim jak dwójka dzieci za mamusią.

Twarze mieli białe jak papier, bo żaden z nich niczego takiego przedtem w życiu nie widział. Tommy natomiast widział i być może dlatego ulotniła się z niego cała energia.

– No już! – powiedział Tommy. – I ani słowa o tym przez radio!

Głośno tupiąc, wyszli z salonu. Tommy nawet nie krzyknął za nimi, żeby uważali na ślady, bo i tak już wcześniej łazili po salonie jak stado słoni, zupełnie nie pamiętając o instrukcji odnoszącej się do miejsca zbrodni.

Obszedł zabitego i wyszedł na taras, gdzie leżał pies. Wyglądał, jakby patrzył na niego swoimi brązowymi oczyma. Tommy przebiegł wzrokiem wzdłuż stalowej linki, niegdyś umożliwiającej zwierzęciu w miarę swobodne bieganie. Na drugim końcu, obok płotu sąsiada, zerwał się do lotu biały motyl. Odprowadził go wzrokiem.

Kiedy stanął z powrotem w salonie, poczuł mdłości. Już dawno mu się to nie zdarzyło, ale wiedział, że to uczucie tak łatwo nie ustąpi. Czuł, że słabnie, przeklinał zarwaną noc. Młoda pomoc domowa stała pośrodku dywanu i płakała, zasłaniając twarz rękoma. Stała w tej samej pozycji, odkąd wszedł do domu. Spodnie na kolanach miała poplamione na czerwono, musiała w pewnym momencie osunąć się na zalaną krwią podłogę.

Na środku salonu leżał znany deweloper i były minister handlu Carl Oscar Krogh. Gardło miał rozcięte, głowę nienaturalnie odchyłoną pod kątem prostym od drobnego, wychudzonego ciała, jasnobłękitna tenisowa koszulka zalana była krwią z wyjątkiem jednego jedyne miejsca. Nad trupem unosił się zapach uryny i odchodów. Twarz zmarłego była pocięta w kawałki, jakby rozdziobał ją jakiś ptak, oczy były jedną galaretowatą masą zmieszaną z krwią i czymś, co pewnie było kiedyś powiekami. Tommy musiał uwierzyć pomocy domowej na słowo, że to rzeczywiście Carl Oscar Krogh.

Najgorsza jednak była jego pierś. Widać było, że pchnięto go nożem w serce mnóstwo razy, bo lewa strona piersi wyglądała jak jedna krwawa pulpa. Na podłodze, obok lewej ręki Krogha, leżał stosunkowo niewielki nóż.



Tommy musiał szybko pobiec do toalety. Kiedy pochylał się nad klozetem, o dziwo pomyślał nagle o słowach Hadji, tuż zanim odjechał z hali na Sofienmyr: „Miło było cię znów zobaczyć”. Szkoda, że nie miał na tyle rozumu, by w swoje wolne dni wyłączać komórkę...

Kiedy skończył wymiotować, zauważył, że biała umywalka obok klozetu jest jasnoczerwona. Odkręcił kran, nie myśląc, że niszczy dowody, i spojrzął w lustro. To samo musiał zrobić morderca jakiś czas temu, może tuż przed przyjściem tej dziewczyny, kto wie, może nawet pomoc domowa spotkała go, jadąc tutaj? Ręcznik obok umywalki nosił ślady ledwo zaschniętej krwi, na kafelkach też była krew, a nawet odcisk wierzchu dłoni. Morderca musiał się oprzeć o ścianę, może od widoku krwi trochę zasłabł, może kiedy mu się przejaśniło w głowie, zobaczył całe okropieństwo tego, co zrobił?

Z tyłu za sobą usłyszał jakiś dźwięk i w lustrze zobaczył, że drzwi do łazienki powoli się otwierają i pojawia się w nich przerażona twarz pomocy domowej, najwyraźniej równie zaskoczonej widokiem jego, jak on był widokiem jej.

Kredowobiała twarz dziewczyny była jednym wielkim krzykiem. Ręka pokazywała krwawe ślady na białych kafelkach.

W końcu jej krzyk nagle się urwał, tak jakby i jej ktoś nagle poderznął gardło.

– Nóż – powiedziała tak cicho, że ledwo usłyszał to słowo. – Musi pan zobaczyć ten nóż.

## ***Niedziela, 3 września 1939***

*Stacja King's Cross*

*Londyn*

Kiedy pociąg ruszył, Agnes Gerner pomyślała tylko, że zawsze będzie nienawidzić stojącego bez ruchu na peronie mężczyznę.

W białym świetle lamp Christopher Bratchard patrzył tępo przed siebie. Może był zawstydzony tym, że jednak pojawił się tu dziesięć minut przed północą, a może po prostu miał taki sam wyraz twarzy jak wszyscy wokół – posepny i zatroskany w obliczu tego, czego już nie dało się uniknąć. Tego ostatniego dnia w Kent nie mylił się: nie było odwrotu, Wielka Brytania nie mogła się już cofnąć.

„A teraz niech was wszystkich Bóg błogosławi” – szepnęła do siebie, napotykając spojrzenie Bratcharda. Sekundę później zniknął jej z oczu, widziała tylko nieznanymi machających chusteczkami, biegnących wzdłuż peronu, płaczących... Agnes żałowała, że nie wybrała tych właśnie słów z radiowego przemówienia Chamberlaina przed południem. Kiedy przed chwilą przyciągnął ją do siebie, niejako wymuszając pożegnalny uścisk, zamiast nich wyszeptał w jej ucho co innego: „Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą”.

Wzdrygnęła się, bo ktoś nagle odsunął drzwi przedziału. Starszy konduktor uśmiechnął się do niej i włożył na półkę walizkę. Dziewczyna, mniej więcej w jej wieku, skinęła nieznacznie głową mężczyznom w przedziale, a potem usiadła naprzeciw niej. Wymieniły kilka grzecznościowych zdań o tym, jak jest ciepło, po czym Agnes znów zaczęła wyglądać przez okno, by uniknąć dalszej rozmowy. „Nienawidzę cię, Christopherze Bratchard” – pomyślała. Przed oczyma wciąż miała obraz Bess z roztrzaskanym łbem i tym okiem, które na nią patrzyło, jakby nie mogąc pojąć, że pani mogła jej coś takiego zrobić...

Łukowaty dach nad peronem King's Cross oddalał się szybko, on gdzieś tam stał, a ona zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie czuła na policzku pieczenie jego płynu po goleniu. W uszach wciąż dźwięczały jej jego słowa. I wciąż czuła ten nieświeży, alkoholowy oddech, kamuflowany wodą do ust. A w jego oczach widziała niczym niemaskowane uczucie. I to on, jej oficer prowadzący... Z własnej inicjatywy odprowadził ją do samych drzwi pociągu, jakby był jej narzeczonym, jakby miał zamiar szepnąć jej do ucha: „Będę na ciebie czekał”, a potem jak tyłu innych biec wzdłuż peronu albo co najmniej iść, machać na pożegnanie, zrobić cokolwiek... Ale nie, on stał

nieruchomo i patrzył tępo przed siebie z rękami w kieszeniach tweedowej marynarki, choć na taką marynarkę było o wiele za ciepło, bo przez cały weekend albo było duszno, albo grzmiało i lało jak z cebra, jakby Pan Bóg okazywał swoją złość na świat i na Chamberlaina.

Cała szóstka pasażerów w przedziale – czterech mężczyzn i dwie kobiety – wydawała się równie przygnębiona sytuacją. Wyglądali, jakby wszyscy nagle się dowiedzieli, że zachorowali na śmiertelną chorobę. Dwaj mężczyźni byli w średnim wieku, o wiele za starzy na to, by powołano ich do wojska i by trafili na front. Rozmawiali ściszymi głosami o przemówieniu Chamberlaina. Dwaj pozostali byli młodzi, mniej więcej w wieku Agnes, i tylko patrzyli bezmyślnie przed siebie. Agnes poczuła, że ten dzień ją wykończył. Nie było jednak szans, żeby zasnęła na takim siedzeniu, a wagon sypialny na końcu pociągu był już dawno wyprzedany. Cóż, pośpi sobie na MS „Ledzie”, ostatnim promie z Port of Tyne do Bergen w Norwegii.

Nigdy dotąd w tym mieście nie była. Była Norweżką, ale poza Oslo nosa specjalnie nie wychylała. Zamknęła oczy, próbując skupić się na metalicznym stukocie kół ty-ty, ty-ty, ty-ty i miarowych, lekkich drgnięciach całego ciała.

Kiedy otworzyła oczy, byli już na wsi, daleko do miasta. Czyżby jednak zasnęła? Od czasu do czasu mijali światła, które ukazywały pagórkowate tereny. Zawsze kochała widok angielskiego krajobrazu, a teraz nagle przyszła jej do głowy myśl, że już nigdy do tego kraju nie wróci. I że właśnie to Bratchard chciał jej powiedzieć.

Przeniosła wzrok na młodą kobietę naprzeciwko, a ona spuściła oczy i zaczęła strzepywać coś ze spódnicy. Ciemne loki przykrywały jej połowę twarzy, sprawiała wrażenie, jakby bała się zostać rozpoznana.

Znalazszy w torebce paczkę papierosów, Agnes odwróciła się znów do okna. Pociąg zaczął powoli zwalniać, zapewne zbliżali się do jakiegoś miasta, bo i światła było coraz więcej. Dopiero teraz dotarły do niej głosy współpasażerów: mówili o wojnie. Że naprawdę są teraz w stanie wojny.

Rozpamiętując to wszystko, co o wojnie próbował jej przekazać Christopher, pozwoliła tymczasem młodemu człowiekowi siedzącemu obok przypalić sobie papierosa. Jeśli wojna zawita do Norwegii, musi być przygotowana na śmierć, a w najlepszym razie na to, że już nigdy nie wróci do Anglii.

Sprężone w hamulcach powietrze wydało przeciągły syk.

Szkołono ją przecież, niby miała świadomość, że to, czego się podjęła,

może oznaczać dla niej koniec, ale ta nagła konstatacja przez chwilę była dla niej czymś nowym i niespodziewanym. I pewnie dlatego Christopher, jako pożegnanie, szepnął jej w ucho te właśnie słowa: „Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą”.

## ***Niedziela, 8 czerwca 2003 (Zielone Świątki)***

*Dr. Holms vei*

*Oslo*

Pomoc domowa dreptała obok Tommy'ego Bergmanna.

Próbował nie patrzeć na zwłoki Carla Oscara Krogha, leżące pomiędzy dwoma perskimi dywanami. Kałuża krwi dopełzła do jednego z nich i zrobił się na nim purpurowy zaciek. Przy komplecie wypoczynkowym stał chodzik-balkonik, a na środku podłogi, między ciałem a otwartymi drzwiami tarasu, leżała laska. Tommy spróbował wyobrazić sobie kolejność zdarzeń: morderca przypuszczalnie obszedł dom i wszedł drzwiami od tarasu, a Krogh próbował uciekać. „Tak musiało być” – pomyślał Tommy. „To jasne”. Gospodarz próbował zapewne uciec w głąb mieszkania, w stronę drzwi wejściowych lub telefonu w korytarzu. Z tego, co Tommy o nim czytał, denat był znany jako twardziel, ale zarówno balkonik, jak i laska wskazywały na to, że ostatnio podupadł na zdrowiu.

– Drzwi były zamknięte? – spytał dziewczynę.

Nadal wyglądała, jakby i z niej wypłynęła cała krew.

– Tak – odparła. – Były zamknięte... Wydaje mi się, że on próbował dojść do komody w korytarzu, w szufladzie miał taki... alarm osobisty. Zresztą komórkę też tam miał...

– Alarm osobisty? Czy tego nie nosi się na szyi? – spytał Tommy.

Po jej policzku spłynęła łza.

– Mówił, że go nie potrzebuje... Że to dla dziadków, a nie dla dziarskich osiemdziesięciopięciolatek jak on... A komórkę włączał tylko wieczorem, i to na dwie godziny. Ten balkonik przyjął, ale tylko dlatego, żeby syn i córka przestali marudzić, tak mi przynajmniej powiedział... Nigdy go nie używał, chociaż bardzo dokuczał mu staw biodrowy...

– Czy rzeczywiście był taki dziarski? – spytał Tommy, chociaż właściwie znał odpowiedź.

– Dość. Ale wszystkie siły wysysał mu ten pies – odparła. – Taki starzec nie powinien mieć setera, bo trzeba go wyprowadzać... Głównie ja to robiłam, ale on też chodził z nim na spacer.

– Rozumiem – powiedział Tommy, przyklękając przy zwłokach. – To pani ślady, tu, w tej krwi?

Pomoc domowa potwierdziła. Właściwie to pytanie było zbędne, bo plamy na jej kolanach wyraźnie to zdradzały.

– A co się stało?

– Ja... zrobiło mi się słabo.

Tommy kiwnął głową i przesunął się bliżej noża, który leżał we krwi obok Krogha. Swastyka. Mimo że nóż był uwalany krwią, nie dało się nie zauważyć swastyki na rękojeści.

Przeniósł wzrok na starca. W jakiś dziwny sposób przyzwyczył się już do jego widoku, mimo tej prawie odciętej głowy. Zastanawiał się, kto to mógł zrobić Carlowi Oscarowi Kroghowi. Nazista? Neonazista?

Swastyka znajdowała się w środku rombu, a on miał przekonanie, że już gdzieś ten emblemat widział. Przez kilka sekund szukał w pamięci, aż w końcu znalazł i ucieszył się, że jego mózg wciąż działa sprawnie, nawet w tej rzeźni.

– Hitlerjugend – wymamrotał i kiwnął głową. – Hitlerjugend.

Wiele lat temu widział kilka takich kordzików, zarekwirowanych neonazistom.

W oddali usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu. I jeszcze jednych. A potem doszły do niego głosy Monsena i Abrahamsena.

– Hitler co? – spytała niepewnie dziewczyna.

– Nic tu pani nie widziała – powiedział, szukając jej wzroku. – Rozumie pani?

Patrzyła przed siebie niewidzącymi oczyma.

– Worki na buty, panowie, worki – odezwał się od drzwi Abrahamsen zmęczonym tonem.

– Ten paw w kiblu to mój – powiedział Tommy.

Spodziewał się złośliwego komentarza, ale z ust Abrahamsena nie wydobył się żaden dźwięk. Patrzył. Monsen też miał szeroko otwarte oczy.

– Ściągnęliśmy Fredrika z letniska – odezwał się cicho.

– Cholera – powiedział Abrahamsen. – Taki staruszek...

– Brama była otwarta – powiedziała nagle pomoc domowa. Nadal patrzyła przed siebie.

– Jaka brama? – spytał Monsen. – O czym pani mówi?

Z jego głosu Tommy mógł wyczytać, że Monsen jest zupełnie wytrącony z równowagi, co było u niego niezmiernie rzadkie.

– Brama przy drodze jest zawsze zamknięta... Ale dziś była otwarta.

– Niech nikt jej nie dotyka! – powiedział Abrahamsen i obrócił się na pięcie. – Nikt, zrozumiano?

Chwycił jedną z metalowych walizeczek, które ze sobą przytaszczył, i wyszedł. Przeciąg z tarasu z hukiem zatrzasnął za nim drzwi.

– Znajdź dla niej jakiś koc – rzucił Tommy do Monsena, jakby to on był jego przełożonym w sekcji, a nie odwrotnie.

Trzy kwadranse później dowodzący akcją wysłał posterunkowych do najbliższych sąsiadów na Dr. Holms vei, by zebrali od nich wywiad. Śledczych nie przybyło, choć zaszlachtowano nie byle kogo, a samego Krogha. Zielone Świątki nie były najlepszym czasem na morderstwa, wszyscy o tym wiedzieli. Gorsza była chyba tylko Wielkanoc. Mało, że w komendzie prawie nikogo wtedy nie było, trudno było też o jakichkolwiek świadków. Przynajmniej w tej dzielnicy, Holmenkollåsen, bo kiedy tylko dzieci dostały wolne w szkole, wszyscy, którzy byli na chodzie, wyjechali do swoich dacz.

Kiedy na podjeździe pojawił się Fredrik Reuter, Tommy Bergmann znajdował się w największej sypialni na piętrze. Pomachał do niego z okna, a potem wrócił do oględzin zakurzonego zdjęcia Krogha z żoną, które trzymał w rękach. Na korytarzu zdjął z rąk niebieskie rękawiczki i raz jeszcze rzucił okiem na piętro: gabinet, cztery sypialnie, toaletę i łazienkę. Wszystko było na swoim miejscu i Tommy był pewien, że od śmierci żony starego rok temu niewiele tu ruszono. Wyglądało to tak, jakby nie bywał tu nawet sam Krogh. Kto wie, może nie był w stanie wejść po schodach?

Morderca prawdopodobnie tu nie dotarł. Gabinet Krogha – wielki pokój z kosztowną zieloną tapetą i ciężkimi półkami ze szlachetnego drewna – wyglądał na nienaruszony.

„Nie” – pomyślał Tommy. „Carl Oscar Krogh nie został zabity przez kogoś, kto szukał pieniędzy, nie zamordowali go złapani na gorącym uczynku włamywacze. Gotów jestem się też założyć, że nie zrobił tego przypadkowy świr”.

Nie, stary Krogh padł ofiarą przemocy tak bezsensownej i przesadnej, że mieli przypuszczalnie do czynienia z mordercą o silnym motywie osobistym.

Na dole w salonie zobaczył, że Reuter stoi oparty o ścianę i przygląda się Abrahamsenowi i jego odzianej w białe kombinezony ekipie, dokonującej szczegółowych oględzin miejsca zbrodni. Jeden z jego ludzi przeglądał zdjęcia w aparacie, cicho rozmawiając z drugim.

Fredrik Reuter musiał zauważyć, że do pokoju wszedł Tommy, ale nie odwrócił się w jego stronę.

– Kurwa mać – powiedział Reuter do siebie. – Jak on, kurwa, wygląda? Każcie tym z medycyny sądowej trochę go pozszywać, zanim pokażą go krewnym. Muszą się postarać, rozumiesz, Georg?

Abrahamsen stał w drzwiach tarasu, patrząc na rozciągający się tam widok.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Georg?

– Łatwe to nie będzie – odparł podwładny, nie odwracając się.

Wszedł Monsen.

– Fatalna sprawa... – powiedział. – Kurde, jaka fatalna sprawa. – Brzmiał jak chłopczyk, który stłukł ulubiony porcelanowy talerzyk mamusi.

– Sprawdźcie, czy nie dali ostatnio przepustki jakiemuś czubkowi – odezwał się znów Reuter, szukając wzroku Tommy'ego. Od przebywania na czerwcowym słońcu był spieczony na raka, najgorzej przedstawiała się jego łysina. W starych sandałach, spranej koszulce i szortach, które dziesięć lat temu z pewnością lepiej na nim leżały, wyglądał jak jakiś kloszard.

– Masz papierosa? – spytał, wyciągając rękę do Tommy'ego. Przez kilka sekund sceptycznie przyglądał się jego dresowi, a potem zamachał palcami. – Tommy, muszę zapalić. – W jego kieszeni zadzwoniła komórka. – Wiesz, że rozpęta się piekło? – Pozwolił komórce się wydzwonić.

Kilka metrów dalej Abrahamsen wziął się z powrotem do pracy. Stał z dyktafonem w ręku i komentował:

– Głowa prawie oddzielona od tułowia, przypuszczalnie nożem. Użyto znacznej siły, mordercą jest najprawdopodobniej mężczyzna. – Schylił się po nóż i mówił dalej: – Narzędzie zbrodni pokryte zaschniętą krwią, fragmentami tkanki i odłamkami kości zarówno na ostrzu, jak i rękojeści. Na ostrzu daje się zauważyć poziomo wygrawerowany napis *Blut und Ehre*. – Abrahamsen podniósł nóż do światła z okna. – Pionowo zaś R2 M M7/2 1937. Solingen.

– Solingen? – upewnił się Tommy.

– Solingen – odparł Abrahamsen. – A co, ktoś tu może nie ma noża z Solingen u siebie w kuchni?

– Zamknij się! – odezwał się z tarasu Reuter. – Przestań już gadać!

Tommy nie mógł sobie przypomnieć, żeby szef był kiedyś tak poruszony. Stał na zewnątrz i potrząsał głową, trzymając przy uchu telefon komórkowy.

– Hitlerjugend, co? – powiedział cicho Tommy do Abrahamsena.

Ten tylko kiwnął głową, wyraźnie zaskoczony wybuchem Reutera.

– Wsadź go do torebki – powiedział szef, wracając z tarasu i wkładając komórkę do kieszeni szortów. – Ile osób go widziało? – spytał podniesionym głosem.

– Tylko my dwaj, Bent, Anne-Lise, pomoc domowa i posterunkowy,



który przyszedł pierwszy, no i jego partner.

– No fajnie – powiedział Reuter. – Czyli wszyscy. Nieźle.

Pięć minut później salon wypełnił się ludźmi, co było absolutnie niezgodne z przepisami.

– Wszystko – zaczął Reuter, z twarzą jeszcze bardziej czerwoną niż przedtem – wszystko, co się dzieje tu, w tych czterech ścianach, a także w czterech ścianach komendy dziś, a także w następnych dniach, w tych czterech ścianach pozostaje. Zrozumiano? Ci, którzy nie widzieli narzędzia zbrodni, niech o nie nikogo nie pytają. Ci, którzy widzieli, rozmawiają o nim wyłącznie ze mną, w ostateczności ze sobą nawzajem, ale tylko w mojej obecności, rozumiano?

Tommy pomyślał, że wszyscy w pokoju czują to samo, co on: że z tej sprawy robi się jakiś totalny bajzel. I że nadkomisarz Fredrik Reuter traci nad nią kontrolę.

Kiedy zgromadzenie się rozeszło, Reuter pozostał sam, trzymając torebkę z kordzikiem w ręku.

– Chodź no tu – powiedział do Tommy’ego.

Pokazał palcem na rękojeść, a potem przeniósł wzrok na Carla Oscara Krogha, u którego na szyi krew tymczasem zupełnie poczerniała.

– Pełno odcisków – powiedział Reuter. – Co ci to mówi?

– Że to kompletny świrus – odparł Tommy.

– Albo że ma w dupie, czy go złapią, czy nie – powiedział Reuter.

**Wtorek, 10 czerwca 2003**

*Komenda Policji*

*Oslo*

Tommy Bergmann przeglądał gazetę. „Dagbladet” udało się wycisnąć ze sprawy Krogha aż dziesięć stron. Pomyślał, że to musiało się tak skończyć. W niedzielę po południu jakiś geniusz w którymś z radiowozów wspomniał to nazwisko przez radio i stało się. Czego innego mogli się spodziewać? Że to nie wycieknie? Może zresztą nie powinno się nikogo winić. Na szczęście szczegóły znał tylko on i kilkunastu innych policjantów, bo inaczej kraj zatrząsłby się w posadach: w końcu Krogh był po wojnie ministrem i czołową postacią wielkiej partii. „Brutalną i bezsensowną śmiercią zginął jeden z ojców narodu” – przeczytał Tommy w którymś nekrologu.

Przeniósł wzrok na Fredrika Reutera. Ten mówił teraz dużo głośniej, co sprawiło, że wszyscy w pokoju zwrócili ku niemu twarze. Na ekranie za szefem, który dla zwiększenia efektu zawiesił teraz głos, widniało zdjęcie zwłok Krogha. Poprawił się na krześle.

– Żeby podsumować: rozmawiałem z matką przełożoną. W tej sprawie tylko ona ma prawo oficjalnie się wypowiadać, my wszyscy mordy w kubeł.

– Tylko matka przełożona – powiedział Halgeir Sørvaag, zapisał coś i zachichotał. – Ja tam nie mam nic przeciw temu.

– Śledztwem pokieruję ja sam – ciągnął Reuter. – W tej sprawie łączymy zespoły Halgeira i Tommy’ego.

Halgeir Sørvaag westchnął głośno i znacząco. Podobnie jak Tommy kierował zespołem, ale za to miał wielkie ambicje. Tommy nigdy do końca nie pojął, dlaczego mianowano go kierownikiem, bo najbardziej lubił pracować sam, od biedy z jedną jeszcze osobą. Zarabiał teraz co prawda więcej niż przedtem, ale tracił mnóstwo czasu na organizowanie pracy czterem pozostałym, z którymi nie zawsze było mu po drodze. To, że na czele tego śledztwa miał stać Reuter, stanowiło pogwałcenie wszelkich zasad dobrego zarządzania, a poza tym w całej policji nie znalazłoby się gorszego kierownictwa. Tommy doświadczył już tego wcześniej: po prostu szef wydziału musiał się wykazać i choć wszyscy wiedzieli, że śledztwo na takich decyzjach zawsze traci, najwyraźniej nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko, żeby wszystko dobrze wyglądało w mediach. Tommy przyjął jednak decyzję szefa z ulgą. To, że zwalniano go w ten sposób z odpowiedzialności i dawano wolną rękę, wprawiło go w dobry humor. Odwrotnie niż Sørvaaga.

Jedną dobę już zmarnowali, bo Krogh udał się na łono Abrahama

w Zielone Świątki. Dopiero teraz, czterdzieści osiem godzin po fakcie, udało się zebrać całą grupę dochodzeniową, dopiero teraz też z letnisk i zagranicznych wyjazdów powrócili krewni ofiary i ewentualni świadkowie.

Na ekranie pojawiło się archiwalne, ale dość świeże zdjęcie Carla Oscara Krogha, pochodzące z wywiadu gazetowego w rocznicę 8 maja. Tommy zauważył, że zrobiono je na tym samym tarasie, na którym niedawno sam był. Na następnym slajdzie Reuter wypisał kilka punktów: były to, jak sam powiedział, podstawowe dane dla urodzonych po 1975 roku. Dał krótki wykład o historii drugiej wojny światowej, ze wskazaniem, kto był w niej po dobrej, a kto po złej stronie, i wyjaśnił zebranym, że między tymi stronami był swoisty stosunek zależności. Tommy słyszał to już od niego wcześniej, kiedy przeszedł ze służby patrolowej do kryminalnej: że bez łotrów nie ma bohaterów.

– Jakies pomysły, pytania? Bez obaw, wszystko może mieć więcej sensu, niż się wydaje – oświadczył. Chwycił się kciukiem i palcem wskazującym za grzbiet nosa i zamknął oczy, a Tommy pomyślał, że zapewne najchętniej otworzyłby je dopiero pod koniec dnia.

– Oto tymczasowy protokół z sekcji zwłok – powiedział Halgeir Sørvaag, pochylił się nad stołem i pokazał wszystkim otwartą teczkę sprawy. Zachichotał sam do siebie, odsłaniając przez moment zaniedbane zęby, a Tommy zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że ten typ jest żonaty, a on nie. – Za cholerę nie rozumiem, co może być tak ciekawego w zawartości żołądka gościa, któremu odcięto głowę – powiedział Sørvaag, a Reuter wyciągnął rękę w błagalnym geście. – Mamy znaleźć człowieka, który w Zielone Świątki zaszlachtował Carla Oscara Krogha, a medyków pasjonuje jedno: co denat miał w brzuchu. Czy komuś z was udało się wyjaśnić jakies morderstwo, ponieważ dowiedzieliście się, że nieboszczyk jakies dwie godziny przed zgonem zjadł jaja na bekonie?

I rzucił teczkę sprawy na stół.

– A może spróbowalibyśmy podejść do sprawy bardziej konstruktywnie? – Głos Reutera był niebezpiecznie blisko irytacji. Było jasne, że jeżeli Sørvaag zaraz nie odpuści, będzie mógł się pożegnać ze sprawą.

– Musi być jakies powiązanie – odezwał się Tommy. – Bo nic innego nie możemy na tego Krogha znaleźć: żadnych konfliktów, żadnego długu, nic, zero.

– Powiązanie? – spytał Reuter, trąc oczy. – Jakie znów powiązanie? – Spojrzał na bagietkę, którą tymczasem wziął do ręki, i niechętnie odgryzł

kawałek.

– Dwa tygodnie temu w lesie znaleźliśmy dwie kobiety i dziecko...

– I co z tego? – Reuter zamachał ręką.

– Mijają dwa tygodnie i ktoś zabija Krogha. Ktoś, kto nienawidzi go tak bardzo, że wykłuwa mu oczy, tnie serce na kawałki i prawie odcina głowę. Moim zdaniem zrobił to ktoś, kto miał jakiś związek z Agnes Gerner, dzieckiem albo służącą. Ktoś z kordzikiem Hitlerjugend.

– No dobrze, to jakiś początek, ale gdzie powiązanie? – spytał niecierpliwie Reuter.

– No właśnie, jaki byłby motyw zabójstwa Krogha? – chciał wiedzieć młodziak, świeżo zatrudniony w zespole Sørvaaga.

Tommy nie pamiętał jego imienia, ale coraz bardziej irytowały go jego celne pytania.

Sørvaag podniósł rękę, jakby chciał zwrócić na siebie jeszcze większą uwagę niż zwykle.

– A może to jakiś naziol? – zasugerował.

– Nazistów już nie ma – stwierdził Reuter.

– Neonazista, który kupił w sieci nóż Hitlerjugend... – nie dawał za wygraną Sørvaag.

– Daj spokój – zaproponował Tommy. – Może jakiś szurnięty naziol nienawidził Krogha za to, że zabijał w czasie wojny hitlerowców, ale nie sądzisz, że taki typ dziś rzuciłby się raczej na czarnego?

– Ile trzeba mieć lat, żeby kogoś zabić? – spytał Reuter.

Sørvaag zaczął chichotać.

– Że co? – spytał.

– Tylko pomyślcie – zaczął Reuter. – Ta trójka w lesie została przypuszczalnie zlikwidowana w czasie wojny, prawda? Wyobraźmy sobie, że Krogh wiedział, kto ich zabił. I że ich zabójca wciąż żyje.

– A teraz by zabił Krogha?

– Daj spokój – powiedział Tommy.

– A jednak – nie dawał za wygraną Reuter. – To wcale nie musi być takie absurdalne, jak się wydaje. – Uniósł kubek z kawą w stronę Sørvaaga, jakby czekając na odpowiedź, a ten zmarszczył czoło. – Jeśli Kroghowi udało się dociągnąć do osiemdziesięciu pięciu lat, to i ten, który wtedy zabił tę trójkę, wciąż może być przy życiu. Krogh może i podupadł na zdrowiu, ale jego dziarski i silny równolatek mógł go w taki sposób zabić.

– Ale dlaczego teraz? – Tommy skierował to pytanie bardziej do siebie

niż do innych.

– Może Krogh do gościa zadzwonił – spekulował Reuter – i czymś go zaszantażował?

– Wykluczyć tego nie można – powiedział Sørvaag.

Reuter zignorował go i zwrócił się do Bergmanna.

– Tommy, spisz mi biografię dziadka *first thing* jutro, reszta z was niech odwała czarną robotę w starym stylu – ogłosił.

Na ekranie pokazał ostatni slajd z zadaniami dla wszystkich obecnych po kolei, a potem zaklaskał w dłonie niczym trener piłki ręcznej w najniższej lidze.

Tommy wymamrotał coś, czytając prowizoryczny profil sprawcy, zamówiony u Wydziale Wywiadowczym u Kripos: „GMP sugeruje psychozę. Napad szału. Nadmiarową przemoc”.

– To nie może być przypadek – powiedział, zwracając się do Reutera. – W tym, co mówisz, coś jest.

Pomyślał, że być może człowiek, który zabił ośmioletnią Cecilie Lande i dwie kobiety powrócił?

Reuter raz jeszcze zaklaskał w dłonie.

– Zorganizujcie billing telefonu Krogha z ostatnich trzech tygodni. Sprawdźcie wszystkich, do których dzwonił, dokładnie, od przodu, od tyłu i z boku.

„Co będzie, jeżeli morderca powrócił?” – myślał Tommy. „Co teraz będzie?”

**Wtorek, 10 czerwca 2003**

*Bygdøy*

*Oslo*

Kiedy Tommy Bergmann studiował w Akademii Policyjnej, uważał, że pojęcie „taktyka śledcza” brzmi bardzo dobrze. Szesnaście lat później nie był już tego taki pewien, bo w rzeczywistości były to dość proste rozważania, i to często na papierze. Fredrik Reuter nauczył go, że generalnie taktyka śledcza sprowadzała się do wyznaczenia dwóch kręgów podejrzanych. Zabójstwo przez obcego zdarzało się rzadko, tak więc w przyjętej taktyce punktem wyjścia przy nieznanym sprawcy i całkowitym braku świadków było zidentyfikowanie wszystkich osób pozostających w bliskiej relacji z ofiarą. W praktyce oznaczało to najbliższą rodzinę i bliskich przyjaciół. Jeśli wśród nich nie udało się znaleźć mordercy (bo był to na ogół mężczyzna), ustalało się drugi krąg podejrzanych, który składał się z dalszych krewnych, kolegów i przyjaciół.

W przypadku mężczyzny w wieku osiemdziesięciu pięciu lat nie było już wielu osób, które dawało się zakwalifikować do któregoś z tych kręgów. Poza dziećmi, wnukami i prawnukami nie było prawie nikogo, bo pomarli.

Carl Oscar Krogh miał dwoje dzieci. Syn mieszkał w USA i Tommy odbył z nim dwie rozmowy. Człowiek ten potwierdził podejrzenia Bergmanna – Krogh nie miał już bliskich przyjaciół, przynajmniej takich, o których syn by wiedział. Jego matka, a żona zamordowanego, zmarła rok wcześniej.

Przez godzinę, którą jak dotąd spędził u córki Krogha, nie udało mu się z niej wydobyć niczego, czego by już nie wiedział. Poza tym strasznie się to wszystko ciągnęło. Co chwila przerywała rozmowę i płakała albo patrzyła tępo przed siebie. Siedział teraz na jej tarasie na Christian Benneches vei i czekał, aż Bente Bull-Krogh, z domu Krogh, ogarnie się i wypowie następne zdanie.

Zaczął dzwonić do niej w niedzielne popołudnie, ale skontaktować się z nią zdołał dopiero około północy. Prócz ogromnego domostwa w Oslo i kilku innych posiadłości w Norwegii miała wraz z mężem winnicę i stadninę koni nieopodal Rondy w Hiszpanii, gdzie przebywała przez większą część roku. Było to jej „oczko w głowie”, jak określił mąż. Z pewnością to piękne miejsce, ale zasięg komórki był tam bardzo słaby.

Tommy przeniósł wzrok na drzwi tarasu, w których stała filipińska gosposia. Wykonała dyskretny gest w kierunku jego szklanki, ale on pokręcił

głową – na ten dzień miał już dość ice tea.

– Przepraszam pana – powiedziała Bente Bull-Krogh. – To jest takie... niepojęte.

Tommy z reguły nie przepadał za ludźmi, którzy już urodzili się bogaci i na palcach nosili kapitał większy niż ten, o którym on mógł tylko pomarzyć, ale teraz zrobiło mu się tej kobiety autentycznie żal. Nikomu nie życzyłby konieczności identyfikacji rodzica, który był w takim stanie jak jej ojciec.

– Nie ma za co przepraszać – powiedział.

Bente Bull-Krogh spojrzała na niego i otarła policzki. Jej tusz do rzęs rozmazał się, przez co wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości. Ręką poszukała na stole designerskich okularów przeciwsłonecznych.

Właściwie omówili już wszystko, ale Tommy nie był z tych, co tak łatwo się poddają. Osiemdziesięcioletni mężczyzna musiał mieć swoje tajemnice, jakieś ciemne zakamarki duszy, które być może znał tylko on albo przynajmniej nie życzył sobie, żeby znał ktokolwiek inny.

– Nigdy nie miał nikogo innego? – spytał. – Pani ojciec, znaczy?

– Co pan ma na myśli?

– Wiem, że to może w tej sytuacji trochę nie na miejscu, ale jest pani pewna, że nigdy nie miał romansu?

Bente Bull-Krogh poprawiła ciemne okulary i odwróciła twarz.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Ten typ morderstwa – wyjaśnił Tommy – często się wiąże... z ekstremalną zazdrością.

Potrząsnęła głową.

– Boże, przecież ojciec miał osiemdziesiąt pięć lat... Jak pan może...

– Ale nie zawsze miał tyle lat – powiedział Tommy. – I w swoim czasie nieźle wyglądał, jak mi się zdaje.

Na ustach Bente Bull-Krogh pojawił się uśmiech, ale zaraz zniknął. Rozpłakała się.

Tommy cierpliwie czekał, przyglądając się domowi i próbując ocenić, ile może być wart. Zawsze kiedy był w takich miejscach, na przykład na Bygdøy albo na wzgórzu Holmenkollen, czuł, że między nim a osobą po drugiej stronie stołu znajduje się przepaść nie do pokonania. W tej dzielnicy było pewnie rzeczą normalną wyłożyć piętnaście czy dwadzieścia milionów za dom, ale tam, skąd on pochodził, dużą sumę wciąż stanowiło tysiąc koron. Sam dorastał na Tveita, w jednym z największych blokowisk miasta, w dwupokojowym mieszkaniu, w którym tylko on miał własny pokój. Był

dumny ze swojego pochodzenia i na ogół uważał, że ludziom żyje się tam nie najgorzej, bo nie potrzebują więcej, niż mają. Niekiedy jednak odkrywał, że istnieją tacy, jak Bente Bull-Krogh i jej mąż, którzy mają w ręku wszystkie asy, i że bogactwo kumuluje się u coraz węższej grupki ludzi.

– Dziwne, że pan o tym mówi... – odezwała się wreszcie córka Krogha. – Nie, właściwie to nic takiego... – Jej twarz znów skrzywiła się w smutnym uśmiechu. I nagle roześmiała się, po czym szybko zakryła usta dłonią.

– Tak?

– Pytał pan, czy ojciec... miał kogoś.

Tommy wyprostował się.

– Kiedyś mama wbiła sobie do głowy, że ojciec... ją zdradza. Pewnego razu był w górach, polował na pardwy, i zadzwonił telefon. Mama odebrała, ale nikt się nie odezwał, słychać było tylko oddech...

– Czy to... brzmiało jak groźba? – spytał cicho.

Bente Bull-Krogh potrząsnęła głową.

– Tego nie wiem. Mama odłożyła słuchawkę, mnie wtedy nie było w domu, ale następnego ranka powiedziała mi przy śniadaniu, że jakaś kobieta próbowała dodzwonić się do taty. Spytała, czy uważam, że ojciec jest z tych, którzy mieliby kogoś na boku.

– To była kobieta?

– Mama miała takie wrażenie. Byłam z nią bardzo blisko. Boże, gdyby ojciec... mama by tego nie przeżyła.

Córka Krogha zdjęła ciemne okulary i zakryła twarz dłońmi.

Tommy spojrzął na swoje notatki. Dużymi literami napisał tam „Romans?”, a pod spodem „mąż kochanki?”.

– Pamięta pani, kiedy to się zdarzyło?

– Byłam wtedy zaraz po maturze. – Odpowiedź padła od razu. Widać było, że nie raz o tym myślała.

– A więc to było... w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym? – Tommy pamiętał, że ta kobieta urodziła się w grudniu 1945 roku.

Pokręciła głową.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, zdałam maturę rok wcześniej.

– A więc matka pani uznała, że dzwoni kobieta.

– Bo ten ktoś tak oddychał. Pamiętam, że to powiedziała... Wie pan, druga kobieta to wyczuje.

– W porządku – powiedział Tommy.



- Ale co to ma wspólnego z tatą? Chyba nie zakładacie, że...
- Nie – uciął. – Czy to się powtórzyło?
- Nie...

Bente Bull-Krogh wyraźnie próbowała się opanować. Ciężko oddychając, nałożyła okulary z powrotem na nos.

- Myślę, że pani kłamie – stwierdził Tommy.
- O czym?
- O telefonach.

Kobieta odwróciła głowę.

– To się powtarzało... latami – powiedziała głosem tak cichym, że omal nie utonął w odległym warkocie motorówek we fiordzie.

– Zawsze w tym samym czasie? Jakaś osoba, prawdopodobnie kobieta, dzwoniła w tym samym czasie przez ileś lat?

- Zawsze, kiedy polował na pardwy...
- A kiedy jest sezon na pardwy?
- We wrześniu – odparła Bente Bull-Krogh.
- „Wrzesień” – pomyślał Tommy. „To wtedy je zabito”.

- Zawsze tego samego dnia?
- Że jak? Nie, tego to ja nie pamiętam...
- Czy to było na początku września czy na końcu?
- Chyba raczej pod koniec...
- Jak długo to trwało?

– Kilka lat, jak mi się zdaje. Ojciec przestał polować... Nigdy o tym w domu nie mówiono.

– Aha.

– Mama nie chciała o tym rozmawiać. Myślała, że on... ma inną, może nieźrównoważoną, zazdrosną... nie wiem. Ja nie chciałam o tym wiedzieć. Ale dlaczego to jest dla pana ważne? Jak coś takiego może w ogóle być ważne?

– Tego niestety nie mogę powiedzieć – odparł Tommy.

Prawda była taka, że nie miał żadnego konkretnego pomysłu, dlaczego to może być ważne. Poza tym, że ten czas wydawał się nieprzypadkowy.

„Zawsze we wrześniu” – pomyślał i wokół nazwy miesiąca narysował kółko.

– Więc nad czym pracujecie? Czy wy... – nie skończyła zdania.

– Między nami mówiąc, jesteśmy raczej pewni, że to ma coś wspólnego z wojną... Ja chcę tylko wyeliminować wszystkie inne możliwości, rozumie pani?

– Rozumiem.

– Pamięta pani te trzy szkielety znalezione w Nordmarce? – spytał. – W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim zabito tam trzy kobiety, najmniejsza była zaledwie ośmioletnia... To było w gazetach.

Bente Bull-Krogh ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową i odwróciła twarz w stronę fiordu, tak jakby w niebieskiej, migoczącej wodzie chciała znaleźć pocieszenie.

– Wspomniał o czymś takim? Że w czasie wojny zginęły trzy kobiety?  
Pokręciła głową.

– Dlaczego pan o to pyta? Czy to ma coś wspólnego z ojcem?

– Tego nie wiem – odparł Tommy. – Ale on był ważną postacią w ruchu oporu i jest prawdopodobne, że wiedział, co się wtedy działo.

– No tak.

– Wie pani, kiedy je zabito?

Kobieta potrząsnęła głową.

– We wrześniu.

Nie od razu odpowiedziała. Przez chwilę, która wydawała się trwać kilka minut, patrzyła przez te swoje ciemne okulary na fiord.

– Jest ktoś, kto wie dużo o ojcu w czasie wojny, na uniwersytecie, wie pan...

– Moberg – pomógł jej Tommy. – Torgeir Moberg.

Skinęła głową.

– On wie o ojcu więcej niż kiedykolwiek wiedzieliśmy my, to znaczy ja, mój brat czy mama.

– Z kim ze starych partyzantów najczęściej się kontaktował?

– Zdaje się, że jeszcze żyje tylko jeden z nich. Wiem, że ojciec odwiedzał go w domu opieki nie tak dawno temu... – Raz jeszcze Bente Bull-Krogh podniosła rękę do twarzy.

„Bingo” – pomyślał Tommy.

– Pamięta pani, jak się nazywał?

– Kolstad. Marius Kolstad.

– Mówił, w którym domu opieki?

Bente Bull-Krogh sięgnęła po swoją szklanę. Tommy przyglądał się jasnobrazowemu płynowi w szklance i jej czerwonym wargom.

– Gdzieś po wschodniej stronie miasta...

Zajrzała do swojej szklanki.

– W porządku – powiedział. – A gdzie dokładnie?

Przyglądając się złotej bransoletce na jej przegubie, pomyślał, że ta kobieta zapewne nigdy nie postawiła stopy po wschodniej stronie miasta.

– Nie pamiętam... Czy to ważne? Myśli pan, że ten Kolstad coś wie?

– Nie mam pojęcia, ale może warto spróbować. Czy to było na którymś z osiedli, czy bliżej centrum?

Bente Bull-Krogh zaczęła ciężko oddychać.

– Ja... nie znam tamtej części miasta za dobrze, ale to nie było blisko centrum, to wiem na pewno.

Tommy zamknął oczy, próbując sobie przypomnieć tamtejsze domy opieki. Nie grało to jednak większej roli, w końcu miał imię i nazwisko. Znalezienie Mariusa Kolstada nie było problemem.

– Może Langerud? – spytał.

– Tam była drużyna piłki ręcznej – powiedziała kobieta. – Pamiętam z dawnych czasów, z lat siedemdziesiątych...

– Oppsal. – Tommy pomyślał, że może jednak było dla niego miejsce w pierwszej drużynie. – On mieszka na Oppsal?

– Tak – prawie szepnęła. – To właśnie powiedział ojciec...

Tommy zerknął na zegarek. Przepełniło go jedyne w swoim rodzaju przeczucie, że oto znalazł nić, która zaprowadzi go do kłębka.

**Środa, 6 września 1939**

*Majorstua*

*Oslo*

Trzask rozrywanych płyt poszycia stał się po chwili tak głośny, że przestała słyszeć wszystkie inne dźwięki. Zanim zdążyła krzyknąć, już w swojej długiej, białej nocnej koszuli płynęła pod dnem statku, który wielki i ciemny powoli przesuwał się nad nią, mimo że przestała się obracać jego ogromna śruba. Po chwili zniknął. Pod sobą słyszała ciche bulgotanie, a kiedy odwróciła się twarzą w dół, w padającym od góry ostrym świetle zobaczyła płynące powoli nad samym dnem stado łodzi podwodnych. Po jej lewej stronie, kilka metrów od niej, szła na dno żydowska dziewczyna z jej kabiny. Agnes Gerner spróbowała chwycić ją za białą jak papier rękę, ale jej własna odmówiła posłuszeństwa. Przez chwilę widziała jeszcze oddalające się powoli czarne włosy dziewczyny.

Otworzyła oczy. Nad sobą nie miała wody, tylko biały sufit. Pomieszczenie nic jej nie mówiło, zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Przez chwilę trwała zawieszona między jawą a snem, w którym płynęła pod wodą i z którego wybudziły ją krzyki dzieci za oknem. Po kilku minutach wstała i zamknęła okno sypialni. Budzik na białym blacie nocnego stolika powiedział jej, że do wizyty u fryzjera została niecała godzina.

Chodziła przez chwilę po mieszkaniu na Hammerstads gate, które było dla niej równie obce jak jej własna matka. Podłoga w łazience była zimna, więc położyła na niej ręcznik. Uczesała swoje dość długie już włosy i uznała, że rzeczywiście trzeba je przyciąć. Ta myśl ją rozbawiła. W sypialni wyjęła spod podwójnego dna walizki ampułkę z cyjankiem, owinęła kawałkiem papieru toaletowego i schowała w torebce. Myśl o jej użyciu była bardzo odległa, tak odległa, że nie traktowała jej nawet jak czegoś realnego. Dopóki Norwegia była neutralna, musiałyby się wydarzyć nie wiadomo co, żeby zaryzykowała dla tej pracy własne życie. Mimo to postanowiła postępować według swojej, a właściwie Bratcharda, reguły, że ampułkę z trucizną trzeba mieć zawsze przy sobie. „Musiał mnie naprawdę skutecznie indoktrynować” – stwierdziła.

Stojąc na przystanku tramwajowym, pomyślała, że to wszystko jest absurdalne. Oto w jej imieniu zamówiono wizytę u fryzjera na godzinę dwunastą, a ona posłusznie tam idzie! Dokładnie za pięć dwunasta pchnęła drzwi zakładu fryzjerskiego Helge K. Moena, znajdującego się przy głównym skrzyżowaniu Majorstua, w pasażu między Kirkeveien a stacją

kolejki. Jak na takie małe miasto salon był duży, bardziej pasowałby do Londynu. Podeszła do kontuaru i przedstawiła się. Kiedy stojący za ladą mężczyzna w średnim wieku, zapewne sam Helge K. Moen, szukał w kalendarzu jej nazwiska, Agnes dyskretnie przyjrzała się podłużnemu lokalowi. Był tam rząd sześciu foteli, w połowie zajętych. W salonie znajdowało się siedem osób: łącznie z nią cztery klientki i trzech fryzjerów. Za plecami mężczyzny były drzwi prowadzące do jakichś pomieszczeń – toalet, biura, może wewnętrznej klatki schodowej? „Lokale z jednymi drzwiami są wynalazkiem szatana” – mawiano w służbie.

Agnes usiadła na jednym z krzeseł stojących pod oknami wychodzącymi na pasaż i zaczęła przeglądać „Aftenposten”. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i niepostrzeżenie przyglądała się fryzjerom, którzy kręcili się przy fotelach w białych kitlach, nadających im raczej wygląd lekarzy czy pielęgniarzy niż kogoś, kto układa i ścina włosy eleganckich dam tego miasta.

Podszedł do niej mężczyzna zza kontuaru.

– Gerner, mówi pani?

– Tak – powiedziała. – Agnes Gerner.

– Chyba tu pani wcześniej nie widziałem?

– Mój ojciec wyemigrował do Anglii dziesięć lat temu.

Mężczyzna skinął głową i wyciągnął rękę.

– Helge K. Moen – powiedział. W jego oczach było tyle spokoju, że natychmiast poczuła się jak zwykła klientka.

Zaprowadził ją do fotela w środku rzędu i zaczął zmywać jej włosy prysznicem.

Dyskretnie przyglądała się lokalowi. Cała ściana była jednym wielkim lustrem, ale widziała w nim tylko puste krzesła i ludzi przechodzących za oknami.

Moen w ciszy skrócił jej włosy, nie pytając nawet, ile ma ściąć. Wyglądały teraz na krótsze, niż chciała, żeby były, zakładając, że w ogóle miała na ten temat jakiś pogląd.

Po kilku minutach weszły dwie damy w jej wieku. Przyjrzała im się w lustrze, jak siadają, zakładają nogę na nogę i czekają na swoją kolej. Wyglądały, jakby miały mnóstwo czasu. I mnóstwo pieniędzy. Po mniej więcej dziesięciu minutach Agnes wzięła ze stolika przed sobą magazyn i zaczęła oglądać zdjęcia paryżan, którzy najwyraźniej żyli w innym świecie niż ona, świecie pełnym radości i piękna, w którym nikt nikogo nie chciał

skrzywdzić...

Kiedy Moen skończył, przyszedł fryzjerczyk z wózkiem z wałkami i przenośną suszarką i zaczął jej robić trwałą w stylu *pin-up girls*. Agnes wpatrzyła się w upstrzony jej własnymi loczkami wizerunek Gary'ego Coopera w magazynie, który miała na kolanach.

Nagle zeszywniała, a jej palce mocno zacisnęły się na kartkach czasopisma. Fryzjerczyk zauważył tę zmianę i na moment przerwał pracę, zastygając z wałkiem w każdej dłoni.

Podniosła głowę, spojrzała w lustro i tam, po prawej stronie zobaczyła to, na co zareagowało jej ciało. Najwyraźniej w ostatnich minutach za bardzo się zrelaksowała i przestała śledzić wchodzących. Kiedy fryzjerczyk podjął na nowo pracę, zatrzymała spojrzenie na mężczyźnie, który siedział między kobietami. Z kapeluszem na kolanie czytał „Aftenposten”, nie zwracając uwagi ani na Agnes, ani na nikogo innego w salonie.

„Co, u licha, on tu robi?” – zdziwiła się Agnes. „Przecież to fryzjer damski”. Mężczyzna przerzucał strony gazety, gładząc się w zamyśleniu po włosach. Był nieco starszy od niej, miał ciemne włosy zaczesane do tyłu i zakola. Agnes starała się rozluźnić, ale wiedziała, że jej to nie wychodzi.

– Już – powiedział fryzjerczyk, nakładając jej na głowę hełm suszarki.

Hałas, który wydawała suszarka, sprawił, że Agnes nie była w stanie się skupić. Mężczyzna z gazetą wstał, popatrzył wprost na nią, a ona, siedząc z pełną wałków głową w suszarce, czuła się jak stworzenie z innej planety. Mężczyzna z obojętną miną zdjął płaszcz z wieszaka, skinął głową w stronę Helge K. Moena, włożył szary kapelusz i wyszedł.

Agnes śledziła go wzrokiem i czuła, że płoną jej policzki. Jak długo będzie jeszcze tutaj siedzieć? Chwyciła asystenta fryzjera za rękę.

– Przepraszam... muszę już iść!

Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

Dopiero po jakichś pięciu minutach udało jej się wreszcie wydostać z fotela. Helge K. Moen osobiście zaprowadził ją do kontuaru, wypisał pokwitowanie, oderwał część przeznaczoną dla niej i włożył do eleganckiej, podłużnej koperty.

– Proszę bardzo! Polecamy się na przyszłość!

Jego szeroka twarz zdradzała źle ukrywane rozbawienie. Było ono widoczne w jego oczach, bo usta zachowały powagę.

Agnes zmarszczyła brwi. Fryzura jej się nie podobała, a zapach lakieru przyprawiał o mdłości. Czuła, że jeżeli natychmiast stamtąd nie wyjdzie,

może zemdleć.

– Do widzenia – mruknęła i z niechęcią wzięła kopertę.

Wyjście z zakładu było jak wyzwolenie, a powietrze w pasażu niosło obietnicę lata. Kiedy z niego wychodziła, czuła na sobie spojrzenie Helge K. Moena. Ale gdzie się podział ten mężczyzna? Na placu przed pasażem panował spory ruch, jeszcze większy widać było na Kirkeveien, Bogstadveien, na Valkyriegata.

Stała u szczytu schodów, przyglądając się tym wszystkim przechodniom, tramwajom, taksówkom. Wielu mężczyzn miało na sobie kapelusze i Agnes kilka razy wydawało się, że widzi człowieka z salonu.

Ale nie.

Nasunęła kapelusz bardziej na oczy, by osłonić je od słońca, i zaczęła schodzić ze schodów.

– Panno Gerner... – odezwał się męski głos za jej plecami.

Odwróciła się szybko.

– Chciałem sprawdzić, jak pani zareaguje – powiedział mężczyzna z salonu i wyciągnął ku niej paczkę cravenów.

Potrząsnęła głową.

Przez chwilę stali, przyglądając się sobie nawzajem. Agnes czekała na kolejny ruch mężczyzny, który miał poważną i nieprzenikniętą twarz, jak ktoś, kto nigdy, przenigdy nie zdradzi żadnej tajemnicy, zarówno własnej, jak i należącej do osób mu bliskich. Nie był szczególnie przystojny, ale w rysach jego twarzy było coś łagodnego, pojednawczego.

– Holt – powiedział wreszcie. – Kaj Holt. – Uniósł kapelusz i wyciągnął do niej silną dłoń o szerokich palcach.

Agnes nie przedstawiła się. I tak znał jej personalia.

– Christopher wystawił pani jak najlepsze świadectwo.

– Christopher...? – powtórzyła zaskoczona. Przed oczyma stanął jej roztrzaskany łeb Bess, na policzku poczuła pieczenie wody po goleniu Christophera Bratcharda.

Zapalił papierosa.

– Magdalen College, Oxford – wyjaśnił. – Tam go poznałem wiele, wiele lat temu.

– No tak, Magdalen College – powiedziała. – Wychodzi na to, że co najmniej połowa służby tam się poznała.

– Głodna?

I już był na ulicy, machając ręką do przejeżdżających taksówek.

Agnes była tak głodna, że rzuciła się na kanapki, które jej przyniesiono. Ileż to lat nie była w „Grand Café”? Nie mogła sobie przypomnieć. Dziesięć, jedenaście? A może więcej? Musiała być wtedy dzieckiem. Kaj Holt mówił, a ona patrzyła na Storting i plac Eidsvoll za oknem kawiarni. „Tak” – pomyślała. „Byłam wtedy dzieckiem. Tata i mama byli małżeństwem”. Przez chwilę znów miała dziesięć lat, żadnej troski, w lokalu brzmiał śmiech jej ojca, śmiał się jak zawsze, gdy interesy dobrze mu szły i nic nie było w stanie zakłócić jego dobrego samopoczucia...

– Dlaczego właśnie tam? – spytała, wracając wzrokiem do Holta.

On zaś zdmuchnął zapałkę i wyciągnął do niej płaską, czerwoną paczkę. Po raz wtóry odmówiła, ale teraz wydał jej się dużo sympatyczniejszy niż niecałą godzinę wcześniej, gdy zaproponował jej papierosa po raz pierwszy.

– Helge to przyjaciel.

– Zakład fryzjerski... – powiedziała z większą ironią, niż chciała.

Kaj Holt uśmiechnął się nieznacznie, z pobłażliwością, jakby była dzieckiem.

– Proszę o pokwitowanie – powiedział i wyciągnął rękę.

Niechętnie podała mu kopertę.

Holt otworzył ją i wyjął kwit.

– To będzie jedna z pani martwych skrzynek – powiedział cicho, trzymając kopertę między kciukiem i palcem wskazującym. – Raz w tygodniu pójdzie tam pani, żeby ułożyć włosy czy podciąć, czy co tam wy, kobiety, robicie. Teraz będzie to środa. Jeżeli będę miał coś dla pani, dołączę do pokwitowania. Wszyscy fryzjerzy odprowadzają swoją klientkę do kasy, a pokwitowanie zawsze wkładają do otwartej koperty, takiej jak ta. Panią zawsze będzie obsługiwał Helge. Jeśli któregoś dnia go tam nie będzie, natychmiast pani odwoła wizytę, OK?

Agnes ostrożnie skinęła głową.

– Helge jest jednym z nas, panno Agnes – powiedział szeptem, przechylając się ku niej przez stół, a lokal był tak pełny, że Agnes ledwo te słowa usłyszała. – Chodźmy, jesteśmy umówieni na drugą.

Kilka minut później Agnes Gerner znalazła się w niewielkiej grupce ludzi siedzących w biurze na pierwszym piętrze kamienicy nieopodal „Grandu”, właściwie tuż za rogiem, na Rosenkrantz gate. Starając się nie dotknąć filiżanki, pomieszała stojącą przed nią herbatę i wsłuchiwała się w słowa tego dziwaczного Anglika, siedzącego po drugiej stronie ciężkiego biurka. Brzmiał, jakby wcześniej umówił się z Holtem, co ma powiedzieć.



– Christopher Bratchard ciepło o pani mówił, *Miss Gerner* – mówiąc to, Archibald Lafton uśmiechnął się powściągliwie, jak na Anglika przystało, i rozluźnił krawat. Kiedy pochylił się nad biurkiem, jego łysina zalśniła od potu. Agnes szybko spojrziała na Holta, który siedział na krześle pod oknem, obok drugiego z Anglików.

Recepcja piętro niżej wyglądała tak, jak takie miejsce powinno wyglądać w normalnej firmie importowej: obwieszona było plakatami reklamującymi produkty bawełniane i maszyny tkackie, a młoda recepcjonistka sprawiała wrażenie, jakby nie potrafiła skrzywdzić muchy. Po obu stronach korytarza znajdowały się biura, co sugerowało, że Holt powiedział jej prawdę: Dominion Textile było najprawdziwszą firmą, ale jej szef Archibald Lafton kierował jednocześnie wywiadem brytyjskim w Oslo.

– Niemcy już tu są – powiedział Lafton. – Są tu od zeszłej jesieni. Tu u nas, a także w Bergen, w Haugesund i w Narwiku. Przyjeżdżają jako handlowcy i skupują rybę, prowadzą firmy importowe i działają jako *attaché* handlowi ambasady. Zwerbowali też kilku naszych, i to nawet na brytyjskiej ziemi!

Z szuflady wyjął obcinacz i odciął koniec niedużego cygara, po czym obejrzał je wnikliwie, jakby było czymś podrzuconym do jego biura przez Abwehrę.

– Naprawdę? – zdziwiła się Agnes.

– Na przykład pewnego przyjaciela Christophera. Ale to tajne, panno. W każdym razie nie słyszała pani tego ode mnie! Sprawa jest zbyt bolesna dla szefostwa, żeby o tym głośno mówiono. A ja chcę przez to tylko powiedzieć, że ci Niemcy to cwani dranie.

Archibald Lafton wyjął z ust niezapalone cygaro i przechylił się nad biurkiem.

– Oni są jak lisy, *Miss Gerner* – powiedział przyciszonym głosem. – Tu, w Oslo, nie mają jeszcze dużego potencjału. Jest on przynajmniej niewystarczający, żeby zacząć inwigilować firmy brytyjskie w mieście, nie mówiąc już o ambasadzie. Na razie urabiają tylko norweskie władze, ale poczekajmy jeszcze parę miesięcy, to się rozmnożą. Są jak lisy, a lis to sprytny myśliwy, potrafi nawet udawać martwego, żeby przynęcić inne zwierzęta... A biedny Christopher przeżył największy szok w życiu, kiedy dorwaliśmy jego kumpla. Ale o tym pani nigdy nie słyszała, rozumiemy się? Nigdy!

Nastała cisza. Holt patrzył nieruchomym wzrokiem przed siebie. Może

wiedział coś o tym przyjacielu Christophera, a może nie. Czy to dlatego jej oficer prowadzący z dnia na dzień robił się coraz bardziej ponury? Czyżby sam dawał się wciągnąć w pułapkę? Tak czy owak, Agnes nie po to zjawiała się w Oslo, żeby wysłuchiwać opowieści Laftona o zwierzętach!

– A jakie będzie moje zadanie?

Archibald Lafton zapalił zapałkę i zbliżył jej płomień do cygara. Kilka razy w zamyśleniu pociągnął, jakby był sam w pokoju. Agnes poczuła na sobie spojrzenie Holta, ich oczy się spotkały.

– Będzie pani dostawać rozkazy od Kaja i jego podkomendnych. Lubimy korzystać z Norwegów, którzy chcą coś zrobić dla Imperium, pewnie to pani zrozumiała. Powiem tak: z pani wyglądem nie zabraknie pani zadań do wykonania, panno Gerner.

– Co on chciał przez to powiedzieć? – spytała Agnes Holt, kiedy znów znaleźli się na ulicy.

– Nie przejmuj się tym. Laftona i tak pewnie już nigdy nie zobaczysz, będziesz się kontaktować ze mną i kilku innymi. Lafton chciał cię poznać, domyślasz się chyba, że to dowód zaufania? Skoro przyjął cię w biurze, oznacza to, że masz nadzwyczajne rekomendacje z Londynu. Jeśli powie coś, co ci się nie spodoba, cóż, musisz to jakoś znieść i tyle. Moim osobistym zdaniem on za dużo ryzykuje i chłapie jęzorem. Nie powinien nas przyjmować w biurze, ja sam byłem tam dopiero raz... Nie podoba mi się to wszystko, ale w końcu to szef.

A więc przeszli na ty.

Skręcili za róg i doszli do „Grandu”, a po chwili znaleźli się przy tym samym oknie, za którym nie tak dawno temu siedzieli. Agnes zatrzymała się, a Holt zrobił jeszcze kilka kroków, zanim się zorientował, że zgubił swoją współtowarzyszkę.

Staął i wyciągnął do niej rękę.

– Chcę, żebyś poznała swojego bezpośredniego przełożonego.

„Nie mam ochoty nikogo już dziś poznawać” – pomyślała Agnes.

– Myślałam, że to ty jesteś moim bezpośrednim przełożonym? – spytała.

Holt uśmiechnął się i przez chwilę jego oczy wyglądały jak oczy dziecka.

Stanęli na Egertorget, przed „Hornem”. Holt przeprosił i wszedł do sklepu z odzieżą męską, a Agnes cofnęła się nieco i przyjrzała nazwom firm mieszczącym się w tym najwyższym budynku w kraju. Na jego szczycie królował napis Metro-Goldwyn-Meyer, niczym sen z drugiego końca świata, gdzie słońce nigdy nie zachodzi. W tym budynku było coś nierzeczywistego,

kiedy wyjeżdżała z miasta, nawet jeszcze nie zaczęto go jeszcze budować. „Za wysoki na Oslo” – pomyślała.

Cukiernia „Floris” na pierwszym piętrze była prawie pełna. Lokal wypełniał gwar głosów, wybuchy śmiechu przeplatały się z dzwonekami kasy, a pod sufitem unosiła się mgiełka papierosowego dymu. Agnes poczuła na ramieniu rękę Holta, który lekko popychając, poprowadził ją ku stolikom przy oknach.

W samym rogu siedział młody człowiek mniej więcej w jej wieku, a przed nim leżało coś podobnego do notatnika akademickiego. W rękę trzymał srebrny widelczyk z nadzianym nań kawałkiem tortu. Na jego stoliku piętrzył się stosik podniszczonych książek.

Holt chrząknął. Młody człowiek podniósł głowę, spojrzał na nich lekko nieprzytomnym wzrokiem. A potem uśmiechnął się szerokim, rozbrajającym uśmiechem. Agnes poczuła, że zaczyna ją palić skóra na szyi.

– Agnes, oto Pielgrzym – powiedział Holt szeptem, który ledwo się przebił przez szmer głosów w lokalu.

Ów Pielgrzym, w swoim garniturku jeszcze pewnie z bierzmowania, na pierwszy rzut oka bardziej przypominał zagubionego harcerza niż mężczyznę z tajnej służby. Jego niebieskie oczy pod cienkimi, prawie prostymi brwiami nie pozostawiały jednak cienia wątpliwości, że swoje już w życiu przeszedł, a kiedy się uśmiechał, wrażenie chłopcęj niewinności natychmiast gdzieś zniknęło. Agnes usiadła naprzeciw niego. Jak przez mgłę dotarło do niej pytanie Holta, na co ma ochotę.

– Tylko kawę – usłyszała swoje własne słowa.

„Pielgrzym...” – pomyślała, podczas gdy blondyn przed nią składał razem notatnik i książki z przepaszającym, a jednocześnie pewnym siebie uśmiechem. „Co to za pseudonim? Dlaczego nadano mu właśnie taki?” Zerknęła szybko przez okno na Egertorget, nie po to jednak, by studiować życie miasta czy jego ruch samochodowy, ale żeby zaspokoić potrzebę znalezienia jakiegoś lustra.

Czuła, że włosy jej dziwnie odstają, mimo że schowane są pod kapeluszem. Czy w tej fryzurze jest jej dobrze? Nie miała pojęcia. Dlaczego to wszystko musiało się zdarzyć akurat dzisiaj? Bezgłośnie przeklinała zakład fryzjerski Helge K. Moena, żółte, końskie zęby Archibalda Laftona i jego kiepsko zawołowaną aluzję co do jej zadań w Oslo, które miały polegać raczej na oddawaniu się mężczyznom niż siedzeniu naprzeciw nich jak teraz, na równych prawach.

– A więc opowiedzieli ci już o tym, jak stoją sprawy w mieście? – spytał Pielgrzym. Jego spojrzenie błędziło po lokalu, zahaczając o kontuar, przy którym zapewne stał Kaj Holt.

– Prawie nic – odparła. To, co powiedział Lafton, nie było warte wzmianki.

– Śmieszny typ, nasz przyjaciel tam, za rogiem – powiedział Pielgrzym i raz jeszcze się uśmiechnął. Był z tych, co uśmiechają się bardzo często, a zęby, w przeciwieństwie do Archibalda Laftona, miał nienagane, takie, jakie mewają tylko dzieci dentystów. Próbowala znaleźć w jego twarzy jakiś defekt, jakieś zakłócenie proporcji, cokolwiek, co można by było określić jako niedoskonałość, ale jej się nie udało.

Kiwnęła głową. Zupełnie nie wiedziała, co ma powiedzieć i jak się zachować. Przeklinała swoją decyzję wstąpienia do służby, skoro tak łatwo ktoś mógł ją tak dokumentnie zbić z tropu! I to kto, jakiś harcerzyk!

– Pielgrzym studiował w Niemczech – powiedział Holt, powróciwszy do stolika. – Miałeś zostać inżynierem, prawda?

Pielgrzym kiwnął głową i przeczesał palcami włosy.

– Nie uwierzylibyście, co tam się teraz dzieje – powiedział. Przechylił się nad stolikiem, wyciągnął papierosa z paczki Holta, a jego spojrzenie stało się puste. Patrzył niewidzącymi oczyma w dół na Egertorget, a Agnes pomyślała, że znalazł się w świecie, którego nigdy nie będzie dzielił z nikim innym.

Pół godziny później Holt się zmył. Agnes wiele się tymczasem nie dowiedziała, bo rozmawiał z Pielgrzymem o ludziach, o których nie miała pojęcia, w dodatku używając czegoś w rodzaju szyfru.

Kiedy Holt wyszedł, odprowadzili go wzrokiem. Widzieli, jak znalazł się na Egertorget, a potem ruszył w dół ulicą Karla Johana.

– Powiedz mi, bo ja... – zaczęła, kiedy zniknął im z oczu. I przerwała, bo właściwie nie wiedziała, o co ma spytać.

Pielgrzym patrzył dalej przez szybę, na której widoczne w lustrzanym odbiciu litery na zewnątrz układały się w nazwę „Floris”.

– Przejdźmy się – powiedział nagle.

Powoli poszli w górę Akersgata, aż dotarli na opuszczony i cichy cmentarz Naszego Zbawiciela. Drzewa nad nagrobkiem Giny Krog poruszały się na wietrze.

– Podejrzewam, że wkrótce przejdziemy na poziom operacyjny „Charlie” – powiedział Pielgrzym. – Oznacza to, że odtąd Kaj będzie dla ciebie tylko Numerem jeden, a ty sama będziesz Numerem trzynaście. Nie możemy dalej

bawić się tak, jak dotąd. Obawiam się, że Lafton już złamał kilka reguł.

„Nie chcę być Numerem trzynaście” – pomyślała Agnes.

– Tylko mój szef, Numer jeden, wie, kto jest w której komórce i ilu nas w końcu będzie – powiedział Pielgrzym. – Na wypadek, gdyby stało się najgorsze. Więcej nie musisz wiedzieć, póki co kontaktujesz się tylko ze mną.

– A jak ty... – Agnes usiadła na najbliższej ławce. Właściwie to nie chciała wiedzieć.

Przez dłuższą chwilę siedzieli, patrząc na siebie, jakby oboje myśleli to samo: „Co my tu właściwie robimy?”.

– Nie jesteś tu sama – odezwał się w końcu Pielgrzym. – Ale tego się pewnie domyślasz?

Patrząc na popiersie Giny Krog, skinęła głową. Odwrócenie oczu od towarzysza sprawiło jej ulgę, jednocześnie jednak pragnęła patrzeć na niego dalej.

– Próbujcie się nie pozabijać.

Zaśmiała się.

– Jak masz właściwie na imię?

Zamiast odpowiedzieć, Pielgrzym wyciągnął przedostatniego papierosa z paczki cravenów, którą Holt zostawił we „Floris”, mimo wiatru jakoś go zapalił, a potem wyjął z aktówki jakiś papier i położył na ławce obok niej.

Nie musiała nawet brać go do rąk, by zrozumieć, co chce jej przekazać. Była to ulotka rekrutacyjna do Nasjonal Samling – żółty krzyż Odyna na czerwonym tle nie pozostawiał cienia wątpliwości. Pielgrzym wskazał palcem adres na dole.

Podał jej teraz wycinek z gazety. Było to ogłoszenie, w którym jakiś adwokat, o którym nigdy nie słyszała, szukał sekretarki. Nie zadając żadnych pytań, Agnes włożyła oba arkusze do torebki.

– Jutro pójdziesz na Storgata i zapiszesz się do partii. Zresztą twoja siostra już jest tam członkinią. Potem zadzwonisz na któryś z numerów adwokata Sądu Najwyższego Wilhelmsena. A potem zaczniesz chodzić do „Tęczy”, najlepiej codziennie.

– Jak masz właściwie na imię? – powtórzyła.

Ich spojrzenia się spotkały i wyraźnie zobaczyła czarne obwódki wokół jego ciemnoniebieskich tęczywek. Uśmiechnął się nieznacznie, wyjął paczkę cravenów i wyciągnął w jej stronę. Lekko drżącymi palcami Agnes wyjęła ostatniego papierosa i włożyła między wargi. Ostry dym omal jej nie udusił.

– Pielgrzym – powiedział cicho. – Po prostu Pielgrzym.

**Wtorek, 10 czerwca 2003**

*Oppsal*

*Oslo*

Światła na Tvetenveien zmieniły się na zielone. Tommy Bergmann usłyszał, że samochód za nim trąbi, ale dalej przeglądał papiery, które miał na kolanach. Kiedy usłyszał trąbienie po raz drugi, wrzucił bieg i zjechał do zatoczki autobusu na obwodnicy. Miał ze sobą w sumie trzy wydruki z komputera i kilka kopii artykułów gazetowych z ostatnich dziesięciu lat. Tyle tylko udało mu się zebrać informacji o Kroghu. Może nie było to przypadkowe? O ile Tommy wiedział, Carl Oscar Krogh był człowiekiem, który nigdy nie napisał żadnych wspomnień, nie brał udziału w debatach, ani też nie napisał nawet jednego małego artykułu o wojnie. Według gazetowego wywiadu z 1999 roku, do którego link znalazł w jednym z artykułów w sieci, zostawiał tego typu twórczość innym. Przedstawiał siebie jako prostego człowieka, w pierwszym rzędzie inżyniera, przedsiębiorcę i byłego polityka, a nie historyka, a zwłaszcza nie takiego, który by wydawał jakiegokolwiek sądy o kimś, kto w czasie wojny dokonał wyboru innego niż on sam.

Wszystkie trzy artykuły internetowe powoływały się na książki napisane przez Torgeira Moberga, znanego historyka, być może największego autorytetu w dziedzinie drugiej wojny światowej. Według Moberga, w latach 1941-1945 Krogh był w ruchu oporu, w Milorgu. Jednocześnie w książkach tych sugerowano, że Krogh był agentem brytyjskiego SIS w Oslo już przed wybuchem wojny i że gestapo zdemaskowało go w 1942 roku. W dramatycznych okolicznościach udało mu się wtedy uciec do Szwecji. W marcu 1943 roku wysłano go z powrotem do okupowanej Norwegii, gdzie według Moberga wykonywał wyroki na zdrajcach. Między innymi uważano, że to on zlikwidował Gudbranda Svendstuenta, który – według Brytyjczyków – wydał jego samego i jego komórkę gestapo. Później Krogh był ważną postacią wśród norweskich uczestników ruchu oporu w Szwecji, przebywał też kilka razy w Londynie.

Tommy nagle przerwał czytanie, bo oto znów ktoś za nim zatrąbił. Tym razem był to kierowca autobusu 69, który wymachiwał rękoma, jakby był w centrum Karaczi, a nie na peryferiach Oslo.

– Marius Kolstad – powiedział Tommy cicho do siebie. – Muszę znaleźć Mariusa Kolstada.

Stojąc przed blokiem, w którym mieścił się Dom Opieki Oppsal, Tommy Bergmann usiłował sobie przypomnieć, kiedy był tu po raz ostatni. To

musiało być kilkanaście lat temu, może dziesięć, na jakimś patrolu. Rozejrzał się dookoła, oglądając pejzaż blokowiska i centrum handlowego, które pamiętał jako mocno zaniedbane, a które zostało tak bardzo zmodernizowane, że w swojej dawnej dzielnicy poczuł się obco.

Już kiedy wszedł do budynku, postanowił, że nigdy nie trafi do domu opieki, nawet prywatnego, z pojedynczymi pokojami i winem do obiadu. Sam zapach miejsca wystarczył, żeby miał ochotę stąd uciec. W szpitalu było inaczej, tam obok śmierci była przynajmniej jakaś nadzieja na dalsze życie. Wydawało mu się, że duszne, wręcz stęchłe powietrze domu podkreślało tylko fakt, że nikt z tego bloku nie wyjdzie żywy. Niewiele rzeczy przerażało Tommy'ego bardziej niż myśl o powolnej, rozwleczonej śmierci w takim właśnie miejscu. Już lepsze było to, co zrobiła jego własna matka, mimo że odeszła o wiele lat za wcześniej. Trzy tygodnie od diagnozy do zgonu to było akurat dość czasu, żeby się ze wszystkim rozliczyć i jakoś pogodzić.

Kiedy młodej kobiecie w recepcji pokazywał legitymację służbową, usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się i zobaczył sinawe, drżące, kościste dłonie na rączkach balkoniku.

– Chciałbym porozmawiać z Mariusem Kolstadem – powiedział i nachylił się, aby mieć kontakt wzrokowy z pielęgniarką.

– Kolstad... zaraz... – Uśmiechnęła się do niego zawodowym, wyuczonym uśmiechem, ale i tak poczuł się od tego lepiej, zwłaszcza że bardzo ładnie pachniała. – A o co chodzi, jeśli można... – Wskazała ręką jego legitymację. Miała obgryzione paznokcie, a Tommy złapał się na tym, że ta skaza na jej perfekcjonizmie mu się podoba.

– Sprawa dotyczy morderstwa – powiedział.

Pielęgniarka Lise, jak wynikało z identyfikatora, przybrała przerażony wyraz twarzy. Przez kilka sekund patrzyła mu w oczy, a on kiwnął głową, chcąc podkreślić prawdziwość tego stwierdzenia.

– Aha... – powiedziała. – To niesamowite...

– Rozmowa z nim jest dla nas ważna. Jeśli potrzeba, wrócę z nakazem. Na jej twarzy nagle odmalowała się ulga.

– Tak, wszystko się zgadza... – powiedziała, patrząc na ekran komputera.

– Kolstad leży w Ullevål, wczoraj go tam przewieźli, na śmierć zapomniałam! Przedwczoraj w nocy bardzo mu się pogorszyło.

Tommy poczuł, że serce mu szybciej забиło. Kolstad może mu się wymknąć, kto wie, może już umarł?

– Prowadzicie rejestr odwiedzin?



Sięgnęła po niebieski skoroszyt.

Tommy wziął go od niej i przysiadł na jednym z niebieskich krzeseł pod ścianą. Po pięciu minutach zobaczył wpis „Carl Oscar Krogh”.

20 maja, cztery dni po znalezieniu trzech szkieletów, Carl Oscar Krogh odwiedził dawnego kolegę – Mariusa Kolstada.

**Wtorek, 10 czerwca 2003**

*Szpital Ullevål*

*Oslo*

Tommy Bergmann siedział na korytarzu przy OIOM-ie. Głowę miał opuszczoną, a wzrok wbity w świeżo wypastowane linoleum, bo mimo że Hege pracowała na gastrochirurgii, tkwił w nim strach, że nagle wyjdzie zza rogu i go zauważy. Z jakiegoś powodu nie chciał się z nią spotkać, nie chciał nic wiedzieć o jej nowym życiu. Powinien był jakoś to z nią załatwić, ale nie. „Nigdy więcej” – pomyślał.

W drzwiach obok szcęknał zamek, wyszedł z nich pielęgniarz, który idąc szybkim krokiem, skręcił gdzieś w lewo.

Przez jakiś czas siedział, patrząc na podwójne białe drzwi z okrągłymi okienkami, w końcu głośno westchnął, spojrzął na zegarek i otworzył teczkę sprawy, którą ze sobą przywiózł.

Krogh wykonał wyrok na Gudbrandzie Svendstuenie w marcu 1943 roku. Czy Svendstuen miał jakieś potomstwo? Zamierzał właśnie wyciągnąć komórkę, kiedy w drzwiach obok znów szcęknał zamek.

– Pan Bergmann? – spytała ciemnoskóra kobieta w bieli, stając w drzwiach.

Kilka metrów za nią dwie pielęgniarzki pogrążone były w cichej rozmowie. Na krześle pod ścianą siedziała starsza kobieta, z ruchów jej ciała było widać, że próbuje ukryć płacz. Jedna z pielęgniarek klękła przy niej.

Tommy zmówił cichą modlitwę, prosząc Boga, by Kolstad był jeszcze przy życiu.

Kobieta w bieli była może jakieś dziesięć lat starsza od niego. Uścisk dłoni miała miękki, ale stanowczy, przedstawiła się jako lekarz dyżurny.

– Jeden z wielu – dodała z uśmiechem.

Drzwi za nimi zatrzasnęły się. Tu, po tej stronie drzwi, wszystko wydawało się dziać dwa razy szybciej niż po tamtej. Kroki pielęgniarek były szybsze, twarze poważniejsze, droga między życiem a śmiercią o połowę krótsza.

Lekarka powiedziała przyciszonym głosem, że Kolstad nie śpi i że Tommy ma szczęście.

Starzec leżał sam w dwuosobowym pokoju, a na poduszce obok niego spoczywała maska tlenowa. Kolor twarzy miał żółtawy, ale jego skóra nie była gruba i jakby garbowana, co zdarza się u umierających starych ludzi – zamiast tego była cienka, wręcz papierowa, mocno naciągnięta na czaszkę

i kości policzkowe, prawie przezroczysta, miejscami tylko pokryta plamkami wątrobowymi i cienkimi, ciemnoniebieskimi żyłkami. Wokół oczu miał ciemne kręgi, w jednej dziurce nosa sondę tlenową, a do wychudzonego przedramienia podłączoną kroplówkę. Choć wszystko w Kolstadzie wskazywało, że jego godziny są policzone, jego niebieskie oczy były żywe, błyszczące, jak u młodego człowieka, który ma całe życie przed sobą.

Tommy stanął nad nim, a Kolstad skierował na niego wzrok, nie ruszywszy głową. Gęste, zaczesane włosy i cień kilkudniowego zarostu na policzkach w dziwny sposób świadczyły o tym, że jest w nim jeszcze sporo życia. Nagle jego oczy zamgliły się od morfiny.

– Palisz? – spytał nagle. Głos miał chropawy, ale gdzieś na dnie słychać było cichy bulgot, jakby pod gardło podchodziła mu ciemna smoła.

Tommy przytaknął.

– Nie rzucaj – powiedział Kolstad. – Nie boli tak bardzo, jak mówią... Poza tym podają ci mnóstwo morfiny, i to legalnie... Nawet policjant by nie protestował.

Zabrakło mu nagle tchu i wyciągnął rękę w stronę maski tlenowej, ale w pół drogi zrezygnował. Tommy Bergmann chciał mu ją podać, jednak Kolstad powstrzymał go ruchem dłoni. Przysunął więc sobie krzesło, które stało obok butli z tlenem.

– Chodzi o Carla Oscara, prawda? – spytał cicho stary.

Tommy skinął głową.

Teraz Kolstad obrócił głowę na bok, szukając jego spojrzenia.

– Paskudna sprawa...

„Gorsza, niż myślisz” – pomyślał Tommy.

– Kto mógłby chcieć zabić Carla Oscara?

Kolstad sięgnął jednak po maskę.

Przyglądając się kościstym palcom starego, Tommy stwierdził, że jego dłoń wygląda zupełnie jak pozbawiona skóry ręka Agnes Gerner.

Chory przez dłuższy czas napełniał resztkę płuc tlenem, a Tommy miał nadzieję, że nie wyzionie ducha na jego oczach.

– Umarli... – powiedział cicho Kolstad z zamkniętymi oczyma – ...nie mają historii. – I znów otworzył oczy.

– Nie – odparł Tommy, nie bardzo wiedząc, z czym właściwie się zgadza.

– Bardzo źle to wyglądało? – spytał stary i rozkaszał się, w płucach mu zagulgotało.

Tommy zastanowił się przez chwilę. Czym ryzykował? Kolstad mógł

przecież umrzeć w każdej chwili.

– Krogha... zasztyletowano – powiedział.

Kolstad zamknął oczy. Teraz sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego, może było tego wszystkiego za dużo.

– Za... sztyletowano? – spytał, oddychając coraz ciężiej.

– Tak. Kordzikiem Hitlerjugend – odparł Tommy.

Mariusz Kolstad leżał bez ruchu, sprawiając wrażenie, jakby nie pojął słów policjanta.

Tommy pomyślał, że to nie ma sensu, że Kolstad to fałszywy trop. Wyrzwał przez okno. Widok zielonych brzoź sprawił, że nagle zapragnął wyjść na świeże powietrze.

– Więc i jego w końcu dopadli, dranie... – odezwał się nagle stary, nie otwierając oczu.

– To znaczy? – spytał Tommy, prostując się na krześle, ale Kolstad wydawał się przebywać w innym świecie. Lekko uchylone powieki sugerowały jednak, że coś się za nimi dzieje. Co on miał na myśli?

– Umarli nie mają historii – powtórzył chory. – Wiedziałeś?

Tommy zerknął na zegar na ścianie, dyskretnie, jak mniemał. Kolstad bredził i tyle.

– Carl Oscar... zupełnie się załamał... po śmierci Karen.

– Żony?

Kolstad potwierdził, a Tommy wyjął notes. Nastąpiła jednak dłuższa cisza, w której słyhać było tylko cichy szmer wentylatora i od czasu do czasu jakieś stuknięcie na korytarzu.

– Kim byli ci dranie? – spytał w końcu Tommy. – Niemcy?

W notatniku zapisał „dranie”, potem „Niemcy” ze znakiem zapytania.

Uważnie patrzył na mężczyznę w łóżku. Ten poruszył ręką z kroplówką, a potem, ledwo dostrzegalnie, głową. Wyglądało to na przytaknięcie.

„Niemcy?” – pomyślał Tommy. „To dość mało prawdopodobne. Nóż Hitlerjugend każdy może sobie kupić w sieci”.

– Krogh odwiedził pana dwudziestego maja, prawda? – spytał. – Czy on... wspomniał coś o tych... w Nordmarce?

– O kim? – spytał cicho Kolstad, ale zanim Tommy zdążył otworzyć usta, powiedział: – Ach tak, tak, o nich, tak...

Przez moment wyglądało, jakby te kilka słów kosztowało go więcej sił, niż naprawdę miał. Jego głowa zatonęła w wielkiej poduszce i przez dłuższą chwilę leżał, łapiąc oddech. Po tlen jednak nie sięgał.

Kiedy wreszcie przestał się dusić, Tommy spytał:

– Nic pan o tym nie wie?

– Nie – zacharczał stary. – To... mogli być Niemcy. Byli... zdolni do wszystkiego.

Opadły mu powieki, znieruchomiał i tylko EKG świadczyło o tym, że wciąż żyje.

Tommy nie rozumiał jego logiki. Dlaczego niby Niemcy mieliby zabijać narzeczoną ważnego norweskiego nazisty?

– A o czym rozmawialiście? – spytał. – Pan i Krogh?

– O wojnie... – szepnął Kolstad. – A cóżeś myślał? Nigdy nie gadaliśmy o niczym innym...

Tommy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Marius Kolstad go wyprzedził:

– Zawsze tylko o tych starych sprawach... Ale ostatnio Carl Oscar nie powiedział niczego, co by ci mogło pomóc. Nic z tego nie rozumiem... Dlaczego ktoś miałby...

Jego głos nagle ścichł, a głowa zagłębiła się jeszcze bardziej w poduszce. Tommy przeszedł wzrokiem drogę glukozy od butli na statywie poprzez rurkę, aż do ręki tego żywego szkieletu, przyjrzał się jego pogrążonej we śnie twarzy, zerknął na ekran EKG, który sygnalizował równy rytm serca. Wstał. Na wiele więcej nie mógł tu dzisiaj liczyć. Nagle poczuł, że na ręce zaciska mu się dłoń Kolstada. Chwył był dość mocny, w palcach wciąż miał siłę.

– W związku z wojną... męczy mnie tylko jedno. Ze wszystkim innym jakoś się pogodziłem... – Głos starego był tak cichy, że Tommy musiał się mocno nachylić, by go usłyszeć. – Chodzi o... Kaja.

– Kaja? – powtórzył Tommy.

– Gdybyście tak mogli dojść, co się z nim stało... – Nagle zaczął kaszleć, a sygnał EKG zamigotał. – Niemcy go dorwali... Myślę, że to ci dranie w końcu go dopadli. A teraz dopadli też Carla Oscara... – Kolstad kurczowo zacisnął palce na ręce Tommy'ego. Zważywszy na jego stan, miał zdumiewająco dużo siły. – Kaj – dodał cicho.

– Kaj... kto?

– Kiedy usłyszeliśmy, że znaleźli jego trupa, pojechaliśmy z Carlem Oscarem do Sztokholmu...

Tommy kiwnął głową, starając się utrzymać kontakt wzrokowy ze starym. Ten jednak zamknął oczy.

– Próbowaliśmy wszystkiego, ale oni nam nie dali... – Ręka Kolstada

puściła dłoń Tommy'ego, ale sygnał EKG wciąż pokazywał szybki rytm. Pod białą koszulą Tommy widział przymocowany do lewej strony jego piersi czujnik.

– Czego nie dali?

Kolstad znów otworzył oczy, nagle zabrakło mu tchu i zrobił ruch ręką ku masce. Tommy chwycił ją.

– Kim jest Kaj? – spytał Tommy dużo głośniejszym głosem, niż zamierzał. Musiał tę sprawę wyjaśnić.

– Kaj... zapamiętaj to imię...

Kolstad położył dłoń na masce, przycisnął ją do ust, otworzył szeroko oczy, a aparatura wydała niepokojący dźwięk. Klnąc cicho, Tommy pociągnął za łańcuszek przy łóżku. Kim był ten Kaj, o którym on mówił?

Kolstad najwyraźniej dostał potrzebną mu porcję tlenu. Odjął maskę od twarzy, oczy miał załzawione. Zamrugał, podniósł rękę i otarł łzę, która pociekła z lewego oka.

– Jakie to... smutne – odezwał się – że już nikt nie wie, kim był Kaj... – Wyciągnął ku Tommy'emu pomarszczoną dłoń. – Nikt... – powtórzył. –

A on był największy, rozumiesz? Nikt nie był większy od niego, nawet Carl Oscar... Nawet Max <sup>1</sup>!

Tommy miał coś powiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi za jego plecami.

– Musi pan wyjść, nie wolno go denerwować! – Głos pielęgniarki był ostry, tak jakby sądziła, że gość próbuje zabić jej pacjenta.

Kolstad wyciągnął rękę w jej stronę, pociągając statyw z glukozą. Wykrzywił twarz.

– Zostaw nas... w spokoju – powiedział. – Bardzo proszę.

– Zostanę tu! – uparła się pielęgniarka.

Kolstad kiwnął palcem na Tommy'ego, przyzywając go bliżej. Tommy się nachylił.

– Cholerni Szwedzi... – zaczął mówić ledwo dosłyszalnym głosem – ... zmusili nas, żebyśmy zaniechali sprawy... Carl Oscar powiedział, że coś mu tam śmierdzi, że tu coś się mocno nie zgadza... Pojechałem z nim do Sztokholmu parę dni po tym, jak znaleźli Kaja. Odradzono nam grzebanie w tej sprawie... Carl Oscar bardzo to przeżył. Bardzo...

Kolstad zamknął oczy.

– Carl Oscar próbował, ale... – Z gardła starego wydobył się świszczący odgłos.

Nie trzeba było być lekarzem, żeby zrozumieć dźwięki, które docierały

z aparatury EKG: tętno Kolstada było z pewnością szybsze, niż jego serce było w stanie wytrzymać. Pojawiła się jeszcze jedna pielęgniarka, a za nią jeszcze ktoś, kto – jak Tommy zgadł – musiał być lekarzem. Widząc, co się dzieje, ten ktoś od razu się cofnął i wybiegł z pokoju.

– Poczekam na zewnątrz... – bąknął Tommy.

– Niech pan sobie idzie – powiedziała jedna z pielęgniarek, nawet na niego nie patrząc.

– Ale ja muszę wiedzieć, o czym on mówi! – usłyszał swój głos, o wiele zbyt donośny.

Nagle w pokoju jak spod ziemi wyrosła lekarka, która wprowadziła tu wcześniej Tommy'ego. Patrzyła na niego nienaturalnie szeroko otwartymi oczyma, jakby wzięła jakiś stymulant, by przetrwać trzeci dyżur pod rząd.

– Już – powiedziała. – Proszę natychmiast wyjść!

Przed tym, co niegdyś było największym szpitalem w północnej Europie, nie było żywej duszy, prócz jakiegoś nieszczęśnika w fotelu na kółkach, który próbował sobie skręcić papierosa. Tommy poszedł na mały skwer przed głównym wejściem, wyjął swoją paczkę, z niej papierosa, zapalił i zaciągnął się kilka razy. To go uspokoiło. Nie myślał o tym, że któregoś dnia sam będzie leżał tak jak Kolstad tam, na OIOM-ie, bo w głowie miał tylko imię, które zapisał w notesie z wielkim znakiem zapytania.

KAJ?

W sklepie Tommy włożył do wózka dużo więcej jedzenia, niż potrzebował, co było na wpół świadomą próbą ukrycia swojej samotności. W końcu kupował tylko dla siebie. Kiedy doszedł do kasy, nie wiedział już, kogo próbuje oszukać: siebie czy siedzącą tam dziewczynę? Może chciał jej pokazać, że w domu czeka go coś więcej niż mały notes, który go palił w wewnętrznej kieszeni marynarki? Notes, w którym dużymi literami wypisane było imię KAJ?

W kuchni wrzucił do garnka mieszankę warzyw z mięsem, postawił na kuchence i włączył komputer. Siatki z zakupami zostawił w korytarzu. Kupił więcej, niż był w stanie zjeść, a jaki był sens wkładać to do lodówki, skoro i tak przyjdzie mu wszystko wyrzucić? Nagle naszła go myśl o Kolstadzie, o szpitalu i o nim samym: kto będzie siedział przy jego łóżku, gdy kiedyś on będzie tam leżał tak, jak ten stary?

Odgonił tę myśl od siebie i w okno wyszukiwarki wpisał: Kaj + druga wojna światowa. Ekran zappełnił się trafieniami: Kaj Holt 1913-1945. To nie mógł być nikt inny.

Holt zmarł w tajemniczych okolicznościach w Sztokholmie w maju 1945 roku. Kiedy Oscar Krogh musiał ratować życie, uciekając do Szwecji jesienią 1942 roku, Holt był jedynym łącznikiem w Oslo między Milorgiem, wywiadem brytyjskim, grupą Osvalda i poselstwem norweskim w Sztokholmie. Kaj Holt był m.in. przełożonym Krogha w Oslo.

Przesłuchanie Kolstada nie poszło więc na marne! Te kilka linijek w pierwszym akapicie w połączeniu z opowieścią Kolstada o utrudnieniach, które z Kroghem napotkali przy badaniu zgonu Holta, sugerowało, że sprawa jest trefna. Kaj Holt mógł być kluczem do znalezienia mordercy Krogha. Ale te trzy szkielety w Nordmarce? To nie mógł być przypadek. Tommy Bergmann nie wierzył już w przypadki. Kilka razy w życiu uwierzył i za każdym razem wszystko mu się posypało.

Przewinął stronę w dół, a potem z powrotem w górę, bo któreś zdanie nie dawało mu spokoju.

„Kaj Holt był m.in. przełożonym Krogha w Oslo”.

Gdzieś w jego mieszkaniu zadzwoniła komórka. Próbował ją zignorować, ale ten ktoś był tak uparty, że w końcu się poddał. Poszedł do przedpokoju, gdzie na zielono jarzył się ekran jego nokii.

Przez chwilę ważył dzwoniącą komórkę w dłoni – dzwonił Bent, a on niespecjalnie miał ochotę z nim rozmawiać. Prawdę powiedziawszy, teraz nie miał ochoty z nikim rozmawiać, nawet z Hadją.

Komórka przestała dzwonić i Tommy wrócił do komputera, ale telefon zabrał ze sobą.

– Kaj Holt – przeczytał głośno, próbując wyprzeć z pamięci fakt, że Bent próbował się do niego dodzwonić.

Może między zabójstwem Krogha a zgonem Holta był jakiś związek? Hipoteza była może śmiała, ale nie absurdalna. Krogh szperał w sprawie śmierci Holta i...

Komórka znów zadzwoniła.

Tommy zaklął cicho – Bent nie był z tych, co się łatwo poddawali. Jak się przy czymś uparł, nie odpuszczał. Gdyby Tommy wyłączył telefon, wkrótce miałyby go za swoimi drzwiami.

Z niechęcią nacisnął przycisk odbioru.

– Jak leci? – spytał Bent. – Siedzisz w robocie?

Jego głos brzmiał przyjaźnie, sugerując, że znów chce zacieśnić kontakty. Odkąd Hege odeszła, niewiele ze sobą rozmawiali.



– W pewnym sensie.

– Jesteś w terenie?

– Właściwie... – Dopiero teraz do Tommy'ego doszedł zapach spalenizny z kuchni.

– Za godzinę będziemy jeść – powiedział Bent. – Maiken robi coś na ząb, wiesz, tapas, a potem siadamy na tarasie z piwem.

„Przecież on mówi o dzisiaj” – zorientował się nagle Tommy. Zerknął jeszcze raz na ekran komputera. „Carl Oscar Krogh” – przeczytał. Nie mógł się skupić.

– Może byś wpadł, Tommy? Przy okazji poznasz Maiken.

Co mu odpowiedzieć? Tommy właściwie już nie miał przyjaciół. Za dwa lata stuknie mu czterdziątka, a on żyje takim niby-życiem... jak pustelnik. Przeciągnął rękami po twarzy. Pamięć podsunęła mu kilka obrazków. Kiedyś spędzali razem sporo czasu, on z Hege, Bent i jego pierwsza żona Marianne. Niech to szlag, z Bentem znają się już siedemnaście czy osiemnaście lat, od samej Akademii Policyjnej, brali razem udział w bójkach. Może Bent, w odróżnieniu od innych, tak źle go nie ocenia? Tommy miał wyrzuty sumienia, bo nigdy nie szukał profesjonalnej pomocy, tak jak Bent mu doradzał, mówiąc: „Przemocy nie powinno się zabierać ze sobą do domu”.

Godzinę później Tommy stanął przed świeżo wyremontowanym, starym domem na Steinliveien, jakieś dziesięć, piętnaście minut piechotą od jego własnego mieszkania. W ręku miał butelkę wina, jedną z wielu, które pozostały po Hege.

Drzwi otworzyła mu kobieta z długimi, ciemnymi włosami upiętymi na czubku głowy. Była tak młoda, że Tommy nie od razu pojął, kim jest. Dopiero po paru sekundach domyślił się, że to owa Maiken. Podała mu miękką bezwładną rękę i nie przedstawiła się, mimo że on to zrobił. Tommy od razu wyczuł, co to za typ. Wiedziała z góry, kim on jest, i stwarzała dystans, sugerując, że była przeciwna zapraszaniu go. Dopiero gdy z góry zszedł Bent, Tommy poczuł się pożądanym gościem. Został uściskany, Bent klepnął go parę razy mocno w plecy i powiedział, że dobrze, że przyszedł. Biła z niego autentyczna radość i jego dziewczyna też się trochę od tego rozluźniła. Dopiero teraz Tommy zauważył, że pewnie jest w ciąży: niewielki brzusek pod obcisłym topem nie bardzo pasował do jej wysportowanej sylwetki.

– Piękny dom – powiedział Tommy, wchodząc za Bentem do salonu. Wnętrze stanowiło taki kontrast z jego własnym mieszkaniem, że zastanawiał

się, jak oni mogą sobie pozwolić na takie meble i dzieła sztuki.

– Kurde, dobrze cię znów zobaczyć, Tommy! – Bent objął go żyłastą łapą za ramiona i ścisnął, a potem wyprowadził na wykafelkowany taras jak z modnego magazynu.

Wszystko tam było na swoim miejscu, wszystko do wszystkiego pasowało, łącznie z kwiatami i meblami. Te ostatnie pokazywały, że właściciele doskonale wiedzą, jak połączyć nowoczesne umeblowanie ze starym domem.

Tylko sam Bent dziwnie jakoś do tego wszystkiego nie pasował. Kiedy przeszedł do sekcji operacji specjalnych, jak wszyscy tam pracujący zmienił wygląd i przypominał teraz pospolitego przestępcę. Miał przydługie włosy, był nieogolony, jego ramiona pokrywały tatuaże, zapewne fałszywe, ale jednak. Tylko uśmiech i zuchwały błysk w oku pozostały te same. Tommy nie rozumiał, jak on może znieść życie przykrywkowca, ale może wcale nie było ono gorsze niż jego własne jako śledczego?

Zapowiedziane przekąski jedli na ocienionym tarasie. Rozmowę podtrzymywał głównie Bent. Maiken zachowywała się poprawnie, ale tak, jakby miała ściśle profesjonalny stosunek do całej tej sytuacji – wyglądała na równie mało zainteresowaną Tommym jak on nią. Była pewnie przed trzydziestką lub zaraz po i chociaż była ładna, Tommy i tak nie rozumiał, dlaczego Bent odszedł od Marianny i ich syna. Uznał, że Maiken za bystra nie jest, ale kiedy powiedziała, że właśnie została oddziałową w szpitalu Aker i dziecko niespecjalnie jej teraz pasuje, szybko pojął, że może jej nie docenił.

– Ech, te pielęgniarki – powiedział Bent, biorąc ją za rękę. – Co byśmy bez nich zrobili?

„Właśnie” – pomyślał Tommy. „Co byśmy zrobili?”

Bent opowiedział parę historyjek z czasów, kiedy byli w służbie patrolowej i w prewencji, i to wystarczyło, żeby nastrój zrobił się przyjemny. Tommy patrzył raz po raz na Maiken i myślał, że to dobrze, że przyjaciel nie o wszystkim opowiada. O niektórych rzeczach lepiej nie wspominać, po co budzić lichy? Odpowiadało mu też, że omijany jest temat jego własnego życia.

Gdzieś po godzinie Maiken opróżniła szklanekę San Pellegrino i poszła się położyć.

Sprzątnęli ze stołu i Bent przyniósł kilka piw. Przez jakiś czas gawędzili o tym i owym, o dawnych kolegach, o sprawie, nad którą pracował Bent,

trochę o morderstwie Carla Oscara Krogha. Ogólne, dość powierzchowne stwierdzenia, wymieniane przez dwóch mężczyzn, którzy właściwie znali się nawzajem zbyt dobrze, by tracić czas na takie głupstwa. Tommy uznał jednak, że takie poruszanie się po orbitach coraz odleglejszych od jądra bardzo mu odpowiada. Dlatego też, gdy włożył do ust papierosa, jego kciuk na moment znieruchomiał na pokrętle zapalniczki. Bent nagle spytał:

– Rozmawiałeś ostatnio z Hege?

– Nie – odparł i zapalił papierosa.

Bent zebrał włosy w koński ogon, a potem z powrotem je rozpuścił.

– Była tu kilka razy z tym swoim nowym facetem. Mówię ci na wszelki wypadek.

– Aha.

– Miewa się dobrze.

Tommy nic nie powiedział. „A może byś spytał, jak ja się miewam?” – pomyślał. Potrząsnął głową. Koniec z uzalaniem się nad sobą, w końcu to on ponosi całą winę. Miał wrażenie, że Bent zaprosił go tylko po to, żeby mu przekazać, że nie wyrzeknie się przyjaźni z Hege.

– No, będę już leciał – powiedział Tommy, patrząc na zegarek. Miał już tego dosyć. Za chwilę Bent powie mu po raz kolejny, że powinien iść na terapię.

– Musisz zaakceptować, że się przyjaźnimy, ja i Hege.

Tommy westchnął z rezygnacją.

– Nie o to chodzi... Mam mnóstwo roboty.

– Jesteś pewien, że masz do czego wracać? – spytał Bent.

Tommy nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Nie możesz tak dalej żyć, Tommy...

Siedzieli w ciszy, każdy nad swoim piwem. Przez moment Tommy myślał, że dumają o tym samym: że wszystko powinno być jak przedtem, że on nigdy nie powinien uderzyć Hege i że Bent nigdy nie powinien spotkać innej kobiety.

W końcu gospodarz poszedł do kuchni i zaczął napełniać zmywarkę. Tommy jakoś nie mógł się zebrać. Przyjaciel miał w końcu rację: do czego miał wracać?

– *One for the road* – powiedział Bent, wychodząc na taras.

Na ogród padało miękkie światło popołudnia, a drzewa rzucały coraz dłuższe cienie. Szum z E6 zmieszał się ze śpiewem świstunek w pobliskiej brzezynie. Rzadki spokój spłynął na miasto, które Tommy kochał, a może

nienawidził, sam już nie był pewien. Wziął z rąk Benta małą puszkę Heinekena i postanowił już nigdy, przenigdy nie pomyśleć o Hege.

– Słyszałeś kiedyś o gościu z ostatniej wojny, który nazywał się Kaj Holt? – spytał, kiedy gospodarz wreszcie usiadł.

Bent pokręcił głową. Tommy zreferował mu to, co o nim wiedział, a nie było tego wiele. Przyjaciel słuchał w milczeniu.

– Może być, że coś sobie wymyśliłem z tym powiązaniem – powiedział na końcu Tommy.

– Tego nie wiem – odparł Bent. – Ale wiem o czymś, co może ci pomóc. Reuter kumpluje się mianowicie z jednym gościem w Rikskrim <sup>2</sup> w Sztokholmie. Jeśli dobrze zrozumiałem, ten facet to naprawdę *top brass*, więc może pociągnąć za parę sznurków.

Wypili za tę informację, choć chyba nie miała większego znaczenia. Tommy posiedział z Bentem jeszcze, aż zaczęło się robić ciemno. Kilka razy w ciągu tego wieczoru pomyślał, że kto wie, może jeszcze kiedyś w życiu będzie szczęśliwy? Kilka razy w ciągu tego wieczoru miał ochotę iść na górę do Maiken i powiedzieć jej: „Nie jestem taki, jak myślisz. Jestem inny niż ten gość, o którym słyszałaś”.

Kiedy wrócił do domu, stanął w kwadratowym przedpokoju, nie zapalając światła.

„Jeśli postoję tak bez ruchu, to może się okazać, że ona nigdy nie odeszła” – pomyślał.

Po jakimś czasie zapalił światło. Halogeny w suficie świeciły zbyt mocno, a może to tylko on za dużo wypił? Spojrzał na zegar, było wpół do dwunastej, wystarczająco wcześnie, żeby odespać to małe pijaństwo.

Kiedy po umyciu zębów zakręcił wodę, usłyszał z przedpokoju sygnał swojej komórki.

Przez moment myślał, że to może Hege, ale po chwili potrząsnął głową nad własną niedorzecznością i otworzył wiadomość.

*Cześć, Tommy! Chciałam Ci tylko powiedzieć, że zrobiłeś fantastyczną robotę z dziewczynkami. Sara nie może się doczekać wyjazdu do Göteborga, o niczym innym nie mówi ù Mam taką śmieszną propozycję: masz jakieś plany na jutrzejszy wieczór? Tyle rozmawialiśmy o obiedzie... Jeśli nie masz, schodzę z dyżuru o 19.00. Może kolacja po treningu, ok. 20.00-20.30, żeby się lepiej poznać? Hadja*

---

1. Max – Maximo Guillermo 'Max' Manus (1914-1996) – legendarny bohater norweskiego podziemia. [\[wróć\]](#)
2. Rikskrim (Rikskriminalpolisen) – szwedzki odpowiednik Scotland Yardu. [\[wróć\]](#)

**Piątek, 7 maja 1942**

*Restauracja „Tęcza”*

*Klingenberggata*

*Oslo*

Agnes Gerner miała stolik na dole, tuż przy parkiecie. Prowadząc ją tam, kierownik sali zręcznie manewrował w tłumie Niemców i norweskich nazistów. Przyzwoitych Norwegów bywało w tym lokalu coraz mniej, chociaż w dalszym ciągu był on jednym z tych niewielu miejsc, gdzie obie strony mogły się spotkać na stosunkowo neutralnym gruncie.

„Niemcy są tu już od dwóch lat, a ja się tu marnuję” – pomyślała, ale uśmiechnęła się, kiedy kierownik sali odsunął dla niej krzesło i nazywał ją „naszą kochaną panną Gerner”, z naciskiem na „pannę”. Helge Schreiner, który za hitlerowców został adwokatem Sądu Najwyższego, położył rękę na jej dłoni i zapewnił ją po raz kolejny, że jest najpiękniejszą kobietą świata. Jego ślubna obrączka błyszczała w świetle żyrandola i powinna mu przypominać, że w domu ma żonę, która zresztą znakomicie się orientowała, co on wyczynia ze swoją osobistą sekretarką.

– Jesteś najpiękniejsza w świecie – powtórzył tak głośno, że gdyby nie grała orkiestra, z pewnością usłyszałyby go cały lokal.

Gdyby komplement ten pochodził od innego mężczyzny, w innym czasie, w innym miejscu, kto wie, być może z przyjemnością by się zgodziła? Bo rzeczywiście w tej nowej czarnej sukience, którą sprowadził z Paryża przez swoje kontakty – jak twierdził w sztabie Terbovena <sup>1</sup> – było jej do twarzy i doskonale o tym wiedziała. Istniał pewien powód, dla którego chciała dobrze wyglądać, ale o nim Schreiner nie mógł się nigdy dowiedzieć.

Przez chwilę bawiła się brylantowym pierścieniem, który jej kupił, myśląc jednocześnie, że cały ten układ jest mocno upokarzający. Przybyła tu, żeby wykonać pewną misję, a nie po to, aby doskonale wyglądać i sypiać z niewiele znaczącymi nazistami, takimi jak adwokat Schreiner, a przed nim adwokat Wilhelmsen – jako źródło informacji dla wywiadu równie kiepski... Co prawda Schreiner miał pewne znajomości w kręgach władzy, ale ona miała coraz silniejsze wrażenie, że cały czas, który dotychczas spędziła w Oslo, to czas całkowicie stracony. Zarówno Numer 1, jak i Pielgrzym zdawali się z niej zadowoleni, ale ona nie mogła pojąć, które z jej informacji wydobytych z adwokata-nazisty mogły mieć znaczenie dla aliantów.

Helge Schreiner był głupcem, który jednak był zaprzyjaźniony z szefem NS na okręg Oslo i kilkoma hitlerowcami wyższej rangi, ale ona mogła

przekazać do centrali jedynie plotki i informacje, które zdobyłaby jakakolwiek inna kobieta, gotowa iść do łóżka z kim trzeba. Agnes bała się, że jak będzie miała pecha, zajdzie w ciążę. I kto ją wtedy wyratuje? Czy wywiad, który zrobił z niej prostytutkę, weźmie na siebie tę odpowiedzialność? Miała wątpliwości co do jego wiarygodności, bała się, że ją po prostu poświęci.

Prawda była taka, że wcale nie czuła się częścią służby. Nie wiedziała nawet, czy ona w ogóle jeszcze istnieje, czy nie została z niej wyłącznie cieniutka niteczka rozciągnięta między Oslo a Londynem. Archibald Lafton i jego ludzie uciekli na łeb na szyję dwa lata wcześniej. Ostatnich z nich wystawiono do wiatru podczas katastrofalnej kampanii w dolinie Gudbrandsdalen. Tylko tacy ignoranci jak Christopher Bratchard i jemu podobni mogli wpaść na pomysł, żeby próbować się bić w ciasnej dolinie. Nawet dziecko by zrozumiało, że to bez sensu! Czy naprawdę banda podtatusiałych gości z fajkami w gębach i sztucerkami to było wszystko, co Chamberlainowi udało się skrzyknąć po drugiej stronie Morza Północnego? <sup>2</sup> Czy to takie dziwne, że wkrótce cały świat padnie przed Hitlerem na kolana? Jak tak dalej pójdzie, w Londynie też niedługo będą mówić po niemiecku...

A ona, Agnes Gerner, biega jak jakiś goniec między lokalami kontaktowymi, no i obsługuje tego Schreiner na wszelkie obrzydliwe sposoby... Niekiedy przeklinała Numer 1 i Pielgrzyma, nie mówiąc już o Christopherze Bratchardzie. Czy oni naprawdę uważali, że kobieta nadaje się tylko do tego? Ten drań Bratchard upokarzał ją miesiącami, ćwiczył i szkolił, zmusił do zabicia Bess, jedynej prawdziwej przyjaciółki, a potem porzucił ją na łaskę losu tu, w Oslo. Gdyby spotkała go znów, parę razy by mu przyłożyła.

Wzięła od kelnera menu i w roztargnieniu zamówiła kieliszek szampana. „Butelkę!” – usłyszała głos Schreiner z drugiej strony stołu. Dziś miał to szczególne spojrzenie. Właściwie zawsze miał to spojrzenie... Wkrótce zejdzie się ich stałe towarzystwo: dobrodusznicy, naiwni Norwescy naziści. Boże, tkwiła w tym teraz po uszy. Pielgrzym mówił coś o wyjeździe do Londynu przez Sztokholm. „Może i ja mogłabym?” – pomyślała, posyłając swój fałszywy, ale wiarygodny uśmiech kochanki Schreinerowi, który właśnie poczęstował ją tymi swoimi tureckimi papierosami.

Orkiestra skończyła grać jeden kawałek i przeszła do następnego, jazzującego. Helge Schreiner co prawda nazywał taką muzykę murzyńską, ale najwyraźniej działała na niego pobudzająco, bo chwycił swój kieliszek

szampana, wychylił go i z niedwuznacznym uśmiechem nalał im obojgu. Ta muzyka skłoniła Agnes do zastanowienia się, dlaczego właściwie Niemcy jeszcze nie zamknęli tego miejsca? Może zresztą była to kwestia czasu, mogli przecież w każdej chwili przejść lokal i wyrzucić z niego wszystkich przyzwoitych Norwegów. A wtedy w „Tęczy” będą już tylko wojskowe marsze i kiszona kapusta. Trzeba to natychmiast przekazać Churchillowi i Trygvemu Lie! <sup>3</sup>

Agnes cicho zachichotała na tę myśl, ale od razu spoważniała, bo pojawili się ich goście. Schreiner szybko wstał i zasypał komplementami swojego kolegę Rolfa Jordala i jego nierozgarniętą przyjaciółkę Bjørg. Chociaż robiło jej się od tego wszystkiego niedobrze, Agnes natychmiast weszła w rolę drugiej Bjørg: pustego dziewczątka, któremu imponują pieniądze i światowy szyk starzejących się nazistów.

Spojrzała na zapełniony co najmniej do połowy lokal, w którym stoliki stały amfiteatralnie na podestach, a orkiestra królowała pod jedną z długich ścian. Widziała rozbawioną mieszankę norweskich nazistów, kilku przyzwoitych Norwegów, którzy oszczędzali pieniądze, by spędzić piątkowy wieczór na najlepszym dansingu w mieście, i niemieckich oficerów w towarzystwie takich jak ona dziewcząt.

Swego czasu musiała z trudem hamować nieracjonalne pragnienie, żeby wstać i krzyknąć, że nic z tego, co oni w niej widzą, nie jest prawdą. Że powinni zrozumieć, że ona wcale nie jest taka, że jest tu po to, żeby im pomóc! Musiała jednak tyle razy przełknąć wstyd, na który nic nie mogła poradzić, że teraz nie było to już większym problemem. Dawniejsi znajomi udawali, że jej nie widzą, a jej jedyną tutejszą rodziną była siostra, która w swoim obłędzie podziwiała ją za to, że dokonała tego wyboru i została zdeklarowaną nazistką. Chociaż zdarzyło się rok temu, że pewien mężczyzna, który mienił się jej kuzynem, napluł jej w twarz tu, w „Tęczy”. Reszty krewnych na szczęście nie widziała od czasu, kiedy pod koniec lat dwudziestych wyemigrowała do Anglii. Jej ojciec zerwał z rodziną, gdy była mała; z jakiego powodu, nie wiedziała, ale w obecnej sytuacji znacznie ułatwiło jej to życie. Na szczęście mieszkała w tym mieście tak dawno temu, że miała w nim zaledwie garść znajomych. Poza tym bardzo niewielu przyzwoitych Norwegów było stać na nocne życie, jakie prowadziła.

Jednym uchem słuchała rozmowy przy stole, wtrącając od czasu do czasu jakieś zdanie, ale była coraz bardziej nieobecna duchem. Potem już tylko obojętnie dłubała widelcem w talerzu, zupełnie nie interesując się rozmową.



„Pielgrzym” – pomyślała. „Londyn... Gdyby tak móc tam naprawdę żyć, mieszkać, kochać! Być z nim w Londynie, bez wojny, bez Niemców, tylko z nim”.

Prawie dwa lata próbowała z tym walczyć, ale w końcu poddała się i było już tylko kwestią czasu, kiedy nastąpi zbliżenie. To wszystko nie powinno się zdarzyć, ale miała przeciwko sobie siły, którym nie potrafiła się oprzeć, cóż więc miała zrobić? Pewnego ranka zeszłej jesieni po prostu obudzili się obok siebie. Poprzedniego wieczoru upili się wraz z Numerem 1 w kontaktowym mieszkaniu na Sagene. Była to jedna z nielicznych okazji po kwietniu 1940 roku, kiedy widziała Numer 1. Sprawiał wtedy wrażenie zgaszonego i znerwicowanego, ale nie przejęła się tym, bo potrafiła myśleć tylko o jednym: jak zwabić Pielgrzyma do łóżka, kiedy Numer 1 już zaśnie na kanapie... Poszło gładko, Pielgrzym powiedział jej, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia tam, we „Floris”. Agnes Gerner była na tyle dorosła, żeby wiedzieć, że mężczyźni często mówią takie rzeczy, ale akurat w to naprawdę chciała wierzyć, a i on sprawiał wrażenie, że w to wierzy...

„Niezły pasztet” – myślała teraz. „Dwóch mężczyzn i ta cholerna wojna”. A Pielgrzyma nie widziała już od dwóch miesięcy. Całe dwa miesiące bez niego! Pierwszy miesiąc był nie do wytrzymania: musiała oddawać się Schreinerowi w poniedziałki, środy i piątki, a Pielgrzyma nie było i nie było, od marca nie dał najmniejszego znaku życia. A Numeru 1 nie mogła o niego zapytać.

Może i lepiej, że już go nie ma w mieście, bo ten romans to było więcej niż szaleństwo – to było samobójstwo.

Najgorsze, że zaczynała przyzwyczajać się do myśli, że już nigdy go nie zobaczy. Może nie żyje, a może jest w Londynie?

– Kochanie, co się dzieje? – spytał Schreiner.

Musiało być już późno, bo światła były przygaszone, przed Agnes stał na stole jakiś deser, a parkiet był pełen eleganckich sukni. Tu i ówdzie widać było smoking lub niemiecki mundur.

Czekoladowy tort na talerzyku miał ostry posmak maślanego ersatzu, którym był zapewne tłuszcz wielorybi. Kucharz usiłował zamaskować go ogromną ilością waniliowej polewy, ale ta smakowała jak wszystko, tylko nie wanilia.

– Nic takiego – odparła Agnes, odepchnęła od siebie talerzyk i sięgnęła po papierosy Schreiner'a.

Podsunał jej zapalniczkę z udaną zmartwioną miną, okraszoną

głupkowskim uśmiechem. Zaciągnęła się i nagle poczuła, że jest przez kogoś obserwowana. Nie zmieniając wyrazu twarzy, odchyliła się na krzesło i ucisnęła rękę Schreiner, który położył ją na stole właśnie w tym celu. A potem dyskretnie przebiegła wzrokiem po sali. Stoliki ustawione były półkolem wokół parkietu, a ona siedziała w najniższym rzędzie i dlatego miała nie najlepszy widok na resztę sali, ale była pewna, że ktoś na nią patrzy. Do męskich spojrzeń była przyzwyczajona, ale w tym było coś innego.

– Chodź – powiedziała do Schreiner. – Nie zaprosisz mnie do tańca?

Wstała i pociągnęła go za sobą. O adwokacie Sądu Najwyższego Helge Schreinerze można było powiedzieć wiele, ale nie to, że jest dobrym tancerzem. Był wręcz niezdatny, ale Agnes miała w tym tańcu swój cel. Zakręciła się po parkiecie kilka razy, ignorując niestosownie nisko położoną rękę partnera, i w końcu wypatrzyła mężczyznę, który tak się w nią wgapił. Siedział w drugim rzędzie stolików w liczonym towarzystwie składającym się z niemieckich oficerów, kilku cywilów i stadka młodziutkich dziewcząt. Miał szpakowate, gładko zaczesane do tyłu włosy i nowiutki smoking o lśniących klapach.

Siedział jak posąg i śledził każdy jej ruch. Napotykała jego spojrzenie za każdym razem, gdy Schreiner kierował ją w tamtą stronę. Mimo papierosowego dymu zasłaniającego stół wyraźnie widziała melancholię na jego twarzy. Odsunęła partnera nieco dalej od siebie i zaczęła manewrować tak, by lepiej przyjrzeć się swojemu adoratorowi. Jak na klienta „Tęczy” wyglądał na mocno przygaszonego, ale Agnes odnosiła wrażenie, że jego świat nieco się rozjaśnia za każdym razem, gdy ona na niego spogląda. A niemieccy oficerowie przy jego stole mieli dystynkcje, o jakich teutońscy znajomi Schreiner mogli tylko pomarzyć. Coś jej powiedziało, że to ci oficerowie krążą po orbicie nieznajomego, a nie odwrotnie. Naturalnie mógł być Niemcem, ale to nie grało większej roli – najważniejsze u niego było nieklamane zainteresowanie jej osobą. Była to szansa, której nie mogła pozwolić przejść koło nosa.

Gdy orkiestra przestała grać, jeszcze przez chwilę stali na parkiecie. Agnes stała twarzą do nieznajomego, który nieznacznie podniósł kieliszek w jej stronę i przez ułamek sekundy wyglądało, jakby miał się uśmiechnąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Za to Agnes zdążyła posłać mu szybki uśmiech, zanim partner sprowadził ją z parkietu.

Wrócili do stolika, gdzie towarzystwo Schreiner stawało się coraz

nieznośniejsze.

„To moja wielka szansa” – pomyślała. „Ten mężczyzna to nie byle kto”. Adwokat chciał wciągnąć ją w rozmowę, ale stawiała opór. Po jakimś czasie orkiestra zrobiła sobie dłuższą przerwę, co dało jej lepszy widok na salę, ponieważ część gości udała się do położonego wyżej baru. Teraz dobrze widziała stolik mężczyzny w smokingu.

Raz jeszcze podniósł w jej stronę kieliszek, ale tym razem też się uśmiechnął. Mimo że siedzący przy nim Niemiec coś do niego mówił, nieznamy, kiwając od czasu do czasu głową, nie spuszczał Agnes z oczu.

W końcu i Schreiner zauważył, że jego partnerka wymienia spojrzenia z innym mężczyzną.

Położył rękę na jej dłoni, a ona spojrzała na słodką idiotkę Bjørg, która patrzyła na nią z podniesionymi brwiami, jakby nie mogła zrozumieć, jak można patrzeć na innego mężczyznę niż Helge Schreiner.

– Jesteś tu ze mną – powiedział adwokat przez zaciśnięte zęby – więc nie gap się w taki sposób na innego faceta!

– A kim on jest? – spytała Agnes niezmiernie, przechyliła się nad stolikiem i wskazała ręką na drugą stronę zadymionego lokalu, gdzie dwóch niemieckich oficerów wysokiej rangi właśnie wstało ze swoich miejsc i ruszyło ze swoimi dziewczątkami w górę do baru.

Schreinerowi pociemniała twarz, zupełnie jakby czytał w jej myślach. Uważał ją najwyraźniej za trzpiotkę, której imponują tylko dystynkcje u oficerów i przystojni mężczyźni w smokingach.

„Ech, żebyś ty tylko wiedział” – pomyślała Agnes, ujmując dwadzieścia lat starszego od siebie Schreinerza za rękę. Gdyby przeszukał jej torebkę, znalazłby tam owiniętą w papier toaletowy ampułkę z cyjankiem. Czasami w przypływie paniki chowała ją sobie w majtkach. Na szczęście adwokat był na tyle dżentelmenem, że nigdy nie wkładał jej ręki między nogi, zanim się nie rozebrała.

– Tragedia – odezwał się Rolf Jordal. – To Gustav Lande, pewnie o nim słyszałaś? Parę lat temu jego żona zmarła w porożu, a córka ledwo żyła. Teraz mieszka z nią sam w tym wielgachnym domu na Vinderen. Sam ze swoimi pieniędzmi.

Agnes starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo ją to podekscytowało. Udało jej się uśmiechnąć, ale zauważyła, że na nagich ramionach ma gęsią skórę. Nie wierzyła własnym uszom! O Gustavie Lande nieraz słyszała na niezliczonych zebraniach NS, na które chcąc nie chcąc,

musiała przez te lata ucześnieć. Na ogół była to sentymentalna gadanina, ale szybko pojęła, że ten człowiek, o którym z szacunkiem mówią wszyscy norwescy naziści, to nie byle kto, że nie da się wodzić za nos nikomu, nawet Niemcom. Pomagał partii już wtedy, gdy była w opałach parę lat wcześniej, kiedy nic nie szło po myśli Quislinga, podobno też bywał stałym gościem u Terbovena i tych wszystkich, którzy jedli okruchy z jego stołu.

Mężczyzna, który okazał się Gustavem Lande, uśmiechnął się do niej, a jego twarz na chwilę odzyskała blask, który kiedyś musiała mieć. Nie był zabójczo przystojny, ale miał o wiele więcej klasy niż Schreiner.

– Jesteś tu ze mną – powtórzył Schreiner, położył rękę na jej udzie i mocno, boleśnie ścisnął.

Próbowała odsunąć nogę, ale on zacisnął dłoń jeszcze mocniej.

– Przejdziemy się – powiedział Jordal i pociągnął Bjørg za sobą.

Agnes zdjęła dłoń Schreiner'a ze swojego uda i, o dziwo, adwokat nie zaoponował. Pomyślała, że nadeszła jej szansa.

– Helge – powiedziała cicho i lekko uściśnęła jego dłoń. – Tak dłużej już być nie może, wiesz o tym.

Nie wiedziała, jaka będzie jego reakcja. W ostatnim czasie Schreiner'a męczyło wrażenie, że jego żona staje się coraz bardziej podejrzliwa.

„Zupełnie jakby nic nie wiedziała...” – pomyślała Agnes.

W jego oczach nagle stanęły łzy. Ten czterdziestopięcioletni mężczyzna był na krawędzi płaczu, jak małe dziecko.

„No, nieźle” – pomyślała Agnes. „Czy tak łatwo wyprowadzić go z równowagi?” Schreiner zamrugał kilka razy i zaczął ją przeproszać, ale było już za późno: Gustav Lande podniósł się ze swojego miejsca i ruszył przez parkiet. Agnes poczuła, że pod czarną sukienką mocno zabiło jej serce.

Kiedy podszedł do nich, stwierdziła, że z bliska wygląda jeszcze lepiej. Zwróciwszy się do adwokata, spytał po prostu:

– Czy mogę poprosić pańską przyjaciółkę do tańca?

I nie czekając na odpowiedź, wyciągnął do niej rękę.

Kiedy jej dłoń zniknęła w jego dłoni, poczuła nagłą ulgę, ale jak wiele razy wcześniej powróciła myśl, jaki smak będzie miał cyjanek, kiedy ją w końcu zdemaskują? Stwierdziła, że jakkolwiek paskudny byłby ten smak, oszczędzi jej wiele bólu. Szybko jednak odepchnęła tę myśl od siebie, jakby była niebezpieczna, jakby jej obawy mogły się ziścić tylko dlatego, że za długo je roztrząsa.

– Czy on nie jest dla pani za stary? – spytał Lande, gdy znaleźli się na

parkiecie.

Orkiestra zagrała walca, pewnie na prośbę, a może wręcz rozkaz któregoś z niemieckich oficerów. Lande uśmiechnął się do niej, świadom, że sam jest niewiele młodszy od Schreinerera.

Tańczyli długo w milczeniu, a Gustav Lande w przeciwieństwie do Schreinerera był dobrym, pewnie prowadzącym partnerkę tancerzem. Agnes przestała myśleć o tym, co będzie, jeśli adwokat przeszuka jej torebkę i znajdzie ampułkę z cyjankiem, przestała też myśleć o tym, że być może w poniedziałek straci pracę. Zamiast tego zamknęła oczy, przytuliła się lekko do Landego i wyobraziła sobie, że to wszystko już się skończyło, że jej tancerz to Pielgrzym, że jej matka nie była jej matką, że jej ojciec żyje, że ona mieszka sobie z Pielgrzymem w małym domku na wsi, może gdzieś w Kent albo w Westerham Ponds...

– Lata całe nie tańczyłem – powiedział Lande w jej ucho, kiedy kawałek zbliżał się do końca.

Pachniał wodą po goleniu, cygarami i wódką, ale w sposób, który jej nie przeszkadzał.

– Aż trudno uwierzyć – odparła.

– Zatańczy pani ze mną następny kawałek?

Agnes skinęła głową.

– Cały czas mam wrażenie, że już panią kiedyś widziałem – stwierdził Lande, a Agnes pomyślała: „Boże zlituj się nade mną”.

– Nie sądzę.

– Może w snach... – powiedział Lande.

Niezwykłe było to, że podobał jej się jego uśmiech. Uśmiechał się rozbijając, jakby chciał jej przekazać, że nie jest dla niej niebezpieczny, że akurat jego nie musi się bać.

Kwadrans później Schreiner zniknął, a Agnes powiedziała sobie, że nie wolno jej się bać. Siedziała przy stole Landego, czuła jego dłoń dyskretnie spoczywającą na swoich plecach i konwersowała z jakimś Sturbannführerem SS o tym, że także z Norwegii wskazana jest deportacja Żydów, by oczyścić kraj z wewnętrznego wroga.

– Dzięki pani chce mi się dalej żyć – Lande szepnął Agnes w ucho.

Z sąsiedniego stolika dał się słyszeć perlisty śmiech jednej z dziewcząt w reakcji na coś, co powiedziała inna. Niemieccy oficerowie przyłączyli się głośnym rechotem, który lepiej pasowałby do okopów niż do „Tęczy”.

Agnes uśmiechnęła się z zadowoleniem, położyła rękę na dłoni Landego

i lekko ścisnęła. On na chwilę odwrócił twarz, jakby się zawstydził własnej słabości. Agnes przyjrzała się profilowi Landego. Jego włosy były szpakowate, choć nie mógł mieć więcej niż czterdziestkę, a na jego łagodnej twarzy prawie nie było zmarszczek. Choć przystojny nie był, wyglądał dobrze. „Mimo że nazista” – pomyślała.

Gdy znalazła się na zaciemnionej Hammerstads gate, z czarnego nieba zaczęło mżyć. Taksówka, która ją tu przywiozła, już odjechała i na ulicy zapadła cisza. Zaczęła szukać w torebce kluczy, ale nagle znieruchomiała, bo oto usłyszała nadjeżdżający samochód. Czyżby ktoś ją śledził? Światła zapalił dopiero, kiedy był dziesięć, dwanaście metrów od niej, przez miasto musiał więc jechać ze zgaszonymi. Wróciła do poszukiwania kluczy i ruszyła w stronę furtki, przy której – wskutek upojenia alkoholowego – znalazła się dużo szybciej, niż zamierzała. Odwróciła się i spojrzała na światła samochodu, stłumione przez zaciemniające nakładki. Rozpoznała markę: dzięki Bogu nie był to samochód niemiecki, bo oni nigdy nie jeździliby dodge'em. Nie była to też jednak taksówka. Podjęła rozpaczliwą próbę osłonięcia twarzy rondem kapelusza i odwróciła się z powrotem do furtki. Przez cichy szum deszczu usłyszała, że mijając ją, samochód mocno zwolnił, a potem nagle przyspieszył i skręcił w kierunku Kirkeveien.

Wreszcie odnalazły się klucze.

Ostrożnie stawiając stopy, weszła na piętro i wyczerpana stanęła na podeście. Chwiejąc się na zmęczonych nogach, stała przez chwilę przed drzwiami opatrzonymi kosztowną, mosiężną tabliczką z wygrawerowanym nazwiskiem „Gerner”, pomysłem jej matki. Przed oczyma wciąż miała wrażenia z wieczoru: blask żyrandoli, zapach Landego, całkowitą szczerość Niemców w stosunku do niej, strach przed reakcją Schreiner... Najważniejszy był jednak jej nowy znajomy, który ani przez moment nie zachował się w stosunku do niej niestosownie, do niczego nie próbował jej nakłonić, a kiedy powiedziała, że ma dość, nie próbował jej zatrzymać czy namawiać na zakończenie wieczoru w jego willi na Vinderen. Tyle że po opłaceniu taksówki pogłaskał ją po policzku i podziękował za miły wieczór. Agnes niemal zapomniała, że Lande to nazista, który właściwie uratował karierę Quislinga i finanse jego partii.

Kiedy w końcu otworzyła sobie drzwi i weszła do przedpokoju, wybuchnęła płaczem. W jakiś dziwny sposób ten płacz był tam, pod powierzchnią cały czas od momentu, kiedy przytuliła się do Landego w pierwszym tańcu i wyobraziła sobie, że to Pielgrzym.

„Przestań!” – pomyślała. „Przestań, sentymentalna gówniario!” Zagryzła wewnętrzną część policzka tak jak wtedy, kiedy przeklęty Bratchard zmusił ją, żeby zastrzeliła Bess. Szybkim i pewnym krokiem, jakby nagle wytrzeźwiała, przeszła przez przedpokój, weszła do salonu, zrzuciła szpilki i zaciągnęła story na wielkich oknach wychodzących na Hammerstads gate. Światło ze stojącej obok kanapy lampy na moment ją oślepiło, jakby dla przypomnienia, dlaczego znalazła się przy stoliku Landego.

Dopiero gdy zrobiła parę kroków ku drzwiom do przedpokoju, zdała sobie sprawę, że nie zamknęła za sobą drzwi wejściowych.

Ale co to? Jakiś dźwięk. Od strony klatki schodowej.

I nagle zobaczyła, że z zewnątrz na deski podłogi przedpokoju pada jakiś cień.

Otworzyła usta, by krzyknąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Drzwi wypełniła sylwetka mężczyzny, jednakże światło padające ze stojącej w salonie lampy było za słabe, żeby zobaczyć jego twarz.

„Torebka” – pomyślała, kiedy postać zrobiła krok do przodu. „Muszę mieć moją torebkę”. O dziwo jednak nie potrafiła ruszyć się z miejsca, stała jak skamieniała. Wiedziała już, że nie jest to ani Helge Schreiner, ani Gustav Lande.

– Nie widziałas mnie? – spytał cicho mężczyzna, zamykając za sobą drzwi. Jego głos miał w sobie znajomy ton, który trafił ją prosto w splot słoneczny. Nie mogła uwierzyć własnym zmysłom... Nie było go dwa miesiące i pojawił się w jej przedpokoju akurat dziś, po tym niezwykłym wieczorze!

– Gdzie byłeś? – spytała tak cicho, że ledwo usłyszała swój głos. A może te słowa zagłuszyła tętniąca w jej skroniach krew, nawrót alkoholowego upojenia?

Twarz Pielgrzyma wydawała się odmieniona, tak jak przez te dwa miesiące odmieniło się wszystko inne dookoła. Ostatnim razem, kiedy tu był, zakradłszy się w nocy jak złodziej, panowała jeszcze zima. Teraz jednak podmuchy wiatru w mieście były ciepłe, na brzożach wykluwały się listki i oczywiste było, że któregoś dnia wszystko, co złe, przeminie.

Stanął przed nią, wciąż bez słowa.

– Wróciłeś... – powiedziała.

Ni stąd, ni zowąd zaczął ją całować. A potem zerwał z niej suknię.

Agnes pogryzła go niemal do krwi i wpuściła w siebie tak głęboko, jak tylko potrafiła, jakby pragnęła tylko jednego: urodzić jego dziecko. Kiedy

doszedł, przez dłuższy czas leżał jeszcze na niej, a Agnes zdawało się, że uderzenia ich serc zlały się w jedno. Próbowwała go przytrzymać, ale sturlał się z kanapy i poszedł po swój płaszcz leżący na ziemi. Patrzyła na jego chłopięce, niezgrabnie poruszające się ciało, kiedy przeszukał kieszenie płaszcza, znalazł paczkę papierosów i nie odwracając się, zapalił. Kiedy przez długi czas tak stał, Agnes stwierdziła, że leżąc nago na kanapie, zmarła, więc podeszła do niego i objęła od tyłu jego szczupłe ciało.

– Pachniesz wodą po goleniu – powiedział nagle cicho. – I to... nie Schreiner.

Agnes odwróciła go siłą.

W oczach miał łzy i był to pierwszy raz, kiedy zobaczyła go płaczącego. Uświadomiła sobie nagle, że to pierwszy raz, kiedy w ogóle okazał jakieś uczucia.

– Gdzie byłeś? – spytała.

– Masz innego? – odpowiedział pytaniem.

Agnes ujęła jego twarz w dłonie. Twarz miał nadal piękną, tak samo uderzająco symetryczną, prawie kobiecą. Tylko ciemne kręgi pod oczyma i coś nieobecnego w spojrzeniu zdradzało, że coś mu się przydarzyło. Coś, o czym nie wiedziała i o czym chyba nie chciała wiedzieć.

– Spędziłam wieczór z Gustavem Lande – szepnęła, jakby obawiając się, że usłyszy ją cała kamienica.

Coś stuknęło w rurach wodociągowych. Zza otwartych drzwi łazienki dobiegł ich odgłos oddawanego gdzieś wyżej nad nimi moczu.

Pielgrzym otarł łzy, a Agnes wyjęła z jego palców papierosa i poszła do sypialni. Naga położyła się pod kołdrą i wypaliła jego papierosa do końca. Patrzyła na niego, jak stoi w drzwiach i przesuwa dłonią po włosach. Przyszło jej do głowy, że w porównaniu z Gustavem Lande, Pielgrzym to jeszcze dziecko.

– Spędziłam ten wieczór z Gustavem Lande – powtórzyła. – Rozumiesz, co to znaczy?

Pielgrzym podszedł powoli do łóżka i usiadł obok niej. Przez chwilę, która wydała się wiecznością, głąaskał ją po włosach, a potem położył się na niej i jak dziecko przylgnął do jej ciała, jakby chciał się w nim zatopić, zniknąć i na ten świat już nie wracać. Głaszcząc go po plecach, Agnes zapaliła jeszcze jednego papierosa, a w stłumionym świetle wpadającym z salonu widać było, jak dym z niego powoli wznosi się pod sufit.

– Jak masz na imię? – spytała nagle.



Spodziewała się, że gwałtownie nabierze powietrza w ten swój zwykły dramatyczny sposób, ale nic takiego nie nastąpiło. Wyglądało, jakby wręcz wstrzymał oddech. W końcu jego plecy znów się uniosły.

– Zapomniałaś, kim on jest? – szepnął. – Jeśli cię wezmą, a ty będziesz znała moje imię...

– Powiedz.

– Carl... Przez C.

Agnes zaczęła się śmiać, najpierw cicho i ostrożnie, potem coraz głośniej. Nie mogła się powstrzymać, choć bardzo się starała. Ze wszystkich imion, które sobie wyobrażała, które próbowała do niego dopasować, Carl było z pewnością ostatnim.

– Czy to takie zabawne? – skierował pytanie w zagłębienie jej szyi. – Tak naprawdę to Carl Oscar – powiedział, wstając.

Agnes znów zaczęła się śmiać, w końcu musiała się schować pod kołdrę.

Pielgrzym powiedział tam nad nią coś, czego nie dosłyszała. Nagle zdarł z niej kołdrę.

– Carl Oscar Krogh – powiedział cicho do siebie, patrząc na nią pustym wzrokiem. – Carl Oscar Krogh.

Agnes przestała się śmiać. Sprawiał wrażenie, jakby siedząc na brzegu łóżka i powtarzając to, sam siebie próbował przekonać, że naprawdę tak się nazywa.

Siedział tak długo, patrząc na nią. W końcu przykrył jej nagie ciało kołdrą.

– Słuchaj – zaczęła i podniosła ramię, sięgając do jego twarzy. – Nie śmieję się z ciebie. Kocham cię, Carlu Oscarze.

Zanim zdążyła pogłaskać go po nieogolonym policzku, odwrócił głowę.

– Co się z tobą działo? – spytała Agnes, siadając na łóżku i nie zakrywając kołdrą piersi.

Deszcz nasilił się i zaczął tłuc o szybę. Z paczki leżącej na nocnym stoliku Carl Oscar Krogh wyjął papierosa, zapalił go i podszedł do okna. Story nie były zaciągnięte, ale nie przejmował się tym. Przez kilka minut stał tak z zapalonym papierosem w ustach, patrząc na deszczowy świat.

Agnes wstała z łóżka, podeszła do niego i objęła. Od stania przy oknie jego skóra zrobiła się chłodna.

– Nie stój tak, ktoś może cię zobaczyć – szepnęła mu w ucho.

Wzruszył ramionami i zdjął z siebie jej ramiona. Agnes westchnęła z rezygnacją i zaciągnęła story, a Carl Oscar znów je rozsunął.

– Dlaczego tak długo cię nie było? – spytała, krzyżując ręce na piersiach. Wypuścił dym nosem i pokręcił lekko głową.

– Numer jeden – powiedział, zaciągnął się i znów wypuścił dym nosem – uważał, że przez parę tygodni nie powinienem się pokazywać.

– Osiem tygodni... – powiedziała Agnes. Już miała wypowiedzieć jego imię, ale zrezygnowała, bo wydało jej się to nienaturalne. Jednak wciąż myślała o nim jako o Pielgrzymie.

– Zabiłem człowieka – powiedział głuchym, bezbarwnym głosem, jakby przeczytał obwieszczenie, którego sam nie rozumiał. – Dlatego musiałem wyjechać... I cię zostawić.

Otworzył okno i wyrzucił niedopałek. Agnes nic nie powiedziała, przytuliła się tylko do jego pleców.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Zabiłem człowieka.

– Nie chcę o tym słyszeć – odparła i pogłaskała jego pierś, gładką jak u dziecka.

„Jesteśmy dziećmi” – pomyślała. „A teraz Kaj, Numer 1, kazał temu dziecku kogoś zabić”. Pokręciła głową. „To było konieczne” – powiedziała sobie w myślach uroczyście. Więcej nie chciała wiedzieć, nie chciała też myśleć o tym, że jeśli będzie tak dalej, Numer 1 zgubi Pielgrzyma, Carla Oscara, jej Carla Oscara...

– Jednego z naszych... – powiedział bardziej do siebie niż do niej. – Miał dwójkę dzieci... Zwabiłem go w pułapkę, Agnes. A teraz... leży pochowany w Østmarce... Nie ma go, zniknął.

– Nie chcę nic wiedzieć – oznajmiła.

Wiedziała aż za dobrze, że tracą coraz więcej ludzi, że dla zdrajców nie ma litości, ale nie chciała, żeby jej o tym opowiadał.

– Numer jeden dał mi rozkaz, a ja go wypełniłem... Sam go zakopałem – mówił teraz tylko do siebie.

– Chodź – powiedziała i obróciła go do siebie.

Nie patrzył jej w oczy, wbił wzrok w promień światła padający przez uchylone drzwi do salonu. A potem krokiem lunatyka pozwolił się zaprowadzić do łóżka.

Agnes leżała z głową na jego ramieniu, aż przyszedł świt i do sypialni zaczęło się sączyć szare światło. Żadne z nich nie spało, ale żadne nie powiedziało słowa do momentu, kiedy z ulicy dobiegł dźwięk pierwszego przejeżdżającego samochodu.

– Carl Oscar... – zaczęła, opierając się na łokciu i przyglądając mu się

dokładnie w świetle dnia po raz pierwszy od marca. Przesunęła palcem po jego prostym nosie, a potem po mocno zarysowanym podbródku. – Ożenisz się ze mną, kiedy to się wreszcie skończy?

– Ta wojna nigdy się nie skończy – szepnął, nie otwierając oczu.

---

1. Josef Terboven – komisarz Rzeszy w okupowanej Norwegii. [\[wróć\]](#)
2. Chodzi o źle wyszkoloną i słabo wyposażoną brytyjską brygadę obrony terytorialnej, wspomagającą Norwegów w walkach z Niemcami w dolinie Gudbrandsdalen 21-23 kwietnia 1940 r. [\[wróć\]](#)
3. Trygve Lie – minister spraw zagranicznych w emigracyjnym rządzie norweskim podczas drugiej wojny światowej. [\[wróć\]](#)

**Środa, 11 czerwca 2003**

*Komenda Policji*

*Oslo*

Duża sala konferencyjna w czerwonej strefie piątego piętra komendy pełna była śledczych, którzy wciąż nie mieli zielonego pojęcia, dlaczego deweloperowi i byłemu ministrowi handlu Carlowi Oscarowi Kroghowi zadano dokładnie 62 ciosy nożem. Po naprędce zwołanej poprzedniego wieczoru konferencji prasowej akurat ten szczegół już znała cała ludność kraju. Na konferencji wystąpił komendant, który z pewnością działał na polecenie szefowej policji, która z kolei zapewne konsultowała się w tej sprawie z ministrem sprawiedliwości.

– Jak pewnie rozumiecie – zaczął Fredrik Reuter, zgarbiony obok ekranu projektora – w tej sprawie są... naciski. – Tu pozwolił sobie na krzywy uśmiech.

Tommy Bergmann mógł się założyć, że szef nie spał tej nocy więcej niż dwie, trzy godziny, a sądząc po jego pomiętym mundurze, w użyciu było łóżko polowe w jego gabinecie.

– Właściwie to ludzie nie wiedzą jeszcze tylko jednej rzeczy: jak wyglądało narzędzie zbrodni. – Tu Reuter stłumił ziewnięcie i rzucił na ekran powiększenie leżącego w kałuży krwi kordzika Hitlerjugend. – Jak im pokażemy to tutaj, obawiam się, że te informacje od społeczeństwa, które dotychczas dostaliśmy, nagle objawią się nam jako niezwykle, ale to niezwykle interesujące i godne rozważenia.

Sala zareagowała przytłumionym śmiechem, ale był to ten rodzaj śmiechu, którym ludzie będący w wielkim stresie mają nadzieję odwrócić uwagę innych od faktu, że zapędzono ich w kozi róg.

Kiedy Georg Abrahamsen zaczął zdawać relację z sekcji zwłok Krogha, Tommy się wyłączył. Stary Krogh został zabity i był po temu jakiś powód. Wszystko wskazywało na to, że z domu nic nie zginęło, nie ruszono tam żadnej rzeczy, morderca nie szukał żadnych tajnych dokumentów, zabójcą nie był też narkoman polujący na pieniądze i lekarstwa. Jedyne, czego mogli się ucześcić, to trzy stare szkielety w Nordmarce i ledwo żywy dziadek w szpitalu Ullevål...

Tommy miał świadomość, że kiedy przyjdzie jego kolej na sprawozdanie, nie będzie mógł powiedzieć zebranym wiele więcej. Abrahamsen gadał, a on patrzył na kartkę przed sobą. Jego wzrok stale wracał do dwóch zdań: „Holt zmarł w tajemniczych okolicznościach w Sztokholmie w maju 1945” i „Kaj

Holt był m.in. przełożonym Krogha w Oslo”. Artykuł miał ten sam odsyłacz, co poprzednie, do profesora Torgeira Moberga, ale poza nim także do niejakiego Finna Nystrøma, o którym Tommy dotąd nie słyszał. Otoczył te nazwiska kółkami. Z jednym i drugim musi porozmawiać, i to im szybciej, tym lepiej. Może ten Moberg wie więcej o sprawie, o której mówił Kolstad, to znaczy o trudnościach, jakie im robiono w trakcie wyjaśniania tajemniczego zgonu Kaja Holta? Przewrócił kilka arkuszy i zobaczył przed sobą żółtobrązową dziecięcą czaszkę Cecilii Lande. Przez chwilę siedział, wpatrując się w widoczne na zdjęciu ciemne oczodoły. Miał przeczucie, że odpowiedź na pytanie, kto ją zabił, a być może także, kto zabił Krogha, ukryta jest w tych kilkunastu kartkach, które przyniósł ze sobą na odprawę.

Gdzieś z oddali usłyszał swoje nazwisko. Wstał i napotkał spojrzenie Reutera. Mały wykład, który Tommy wygłosił, nie zawierał wiele, czego by obecni już nie wiedzieli. Krogh był jedną z istotnych postaci ruchu oporu, ale nad wyraz niechętnie mówił o roli, jaką odgrywał w Oslo i w Sztokholmie, a szczególnie o swoim udziale w wykonaniu wyroków na pewnej liczbie nazistów i zdrajców. Choć sam pochodził z solidnej, mieszczańskiej rodziny, po wojnie był jedną z ważnych figur w Partii Pracy. Później został szefem w Ministerstwie Handlu, a jeszcze później ministrem. Po odejściu z rządu przez czterdzieści lat prowadził własną firmę deweloperską. Pod koniec lat osiemdziesiątych sprzedał firmę potężnemu fińskiemu deweloperowi za sumę na tyle znaczną, że w momencie zgonu miał o wiele więcej pieniędzy, niż było mu potrzeba.

– A co zeznał ten Marius Kolstad? – spytał Reuter.

Tommy przerzucił kilka kartek.

– Niewiele – odparł. Było to kłamstwo, ale tym się specjalnie nie przejmował. Swoje hipotezy chciał sprawdzać na własną rękę i miał zamiar uzgodnić to z Reuterem w cztery oczy po zebraniu. – Aktualnie... najbardziej interesującym wątkiem jest rzekomy udział Krogha w wykonaniu wyroku na zdrajcy Gustavie Svendstuenie w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

– Bo może to któryś z jego potomków sześćdziesiąt lat później zarznął go nożem Hitlerjugend? – spytał z ironią Reuter.

Tommy wzruszył ramionami.

– W porządku, Halgeir, sprawdź to – powiedział szef z ciężkim westchnieniem. – Dowiedz się, czy Svendstuen miał potomstwo, ale na miłość boską dyskretnie.

Halgeir Sørvaag zapisał coś w swoim notatniku tak uroczyście, jakby na jego ramionach właśnie spoczęła odpowiedzialność za losy śledztwa.

– A te trzy w Nordmarce, co to miały być kluczem do całej sprawy? – zwrócił się szef do Tommy’ego.

Teraz z kolei on ciężko westchnął.

– Znaczą Agnes Gerner, Cecilia Lande i Johanne Caspersen? Nie wiem – przyznał. – Po prostu nie wiem. Kolstad twierdzi, że ani on, ani Krogh nic o tych trzech nie wiedzieli.

Resztę przemilczał: Kaj Holt to był jego własny wątek.

Reuter zmełł w ustach przekleństwo i zaczął trzeć rękoma oczy. Kiedy w końcu odsłonił twarz, rysował się na niej wyraz rezygnacji. Tommy po raz któryś z kolei stwierdził, że dobrze mu na tym stanowisku, które ma. Nigdy w życiu nie chciałby być w skórze Reutera, którego kariera kilka razy do roku wisiła na włosku.

– A jak tam billingi, Halgeir? – spytał Reuter. – Pewnie ekscytujące jak cholera?

Sørvaag nachylił się nad blatem stołu i na wszelki wypadek przybrał namaszczone ton głosu, co zawsze robił, gdy słuchały go więcej niż dwie osoby.

– Krogh najwyraźniej należał do tych, co nie przepadają za rozmowami przez telefon. Przez ostatnie siedem tygodni zarejestrowano tylko dziesięć rozmów przez telefon stacjonarny i pięć przez komórkowy. Dwie z tych rozmów to telemarketing. Nawet dzieci do niego nie dzwoniły.

– No, tu się nie pożywimy – powiedział Reuter.

Tommy absolutnie się z nim zgadzał. Jedyne, co mieli, to profil sprawcy, w którym wyraźnie stwierdzono, że mają do czynienia z osobnikiem w mowie potocznej określanym jako świr. Czyli, jak to Reuter neutralnie wyraził, „Morderstwo mogło być popełnione przez osobę w stanie ostrej psychozy”.

Tommy przerzucił swoje papiery i znalazł prowizoryczny profil sprawcy sporządzony przez Kripos, na który powoływał się Reuter. Pomyślał o swoim założeniu, że zbieżność między znalezieniem w Nordmarce szkieletów trzech kobiet i mordzie na Kroghu parę tygodni później nie może być przypadkowa.

Napad ostrej, przemijającej psychozy spowodowany jest często urazem psychicznym, który nastąpił 1 do 2 tygodni wcześniej. Dlatego też stan ten był kiedyś nazywany psychozą reaktywną, to znaczy psychozą jako reakcją na silny stres. Napad ostrej, przemijającej

psychozy może być więc wyzwolony przez wydarzenie, które spowodowało znaczny uraz psychiczny. Może to być utrata osoby bliskiej, bankructwo, utrata pracy, pożar, drastyczny wypadek drogowy lub rozwód w dramatycznych okolicznościach.

Czy to o tym wcześniej mówił Reuter? Że ten, kto zabił te trzy kobiety w Nordmarce, powrócił, by zabić Krogha, żeby nie zaczął w tej sprawie grzebać? Nie był to fałszywy trop, właściwie nie był to żaden trop... Tommy zamknął oczy.

„Psychoza reaktywna”. Hm... Kolstad podsunął mu myśl, że śmierć Kaja Holta mogła mieć coś wspólnego z zabójstwem Krogha. Czy to właśnie Holt zabił tę trójkę? I dlaczego sam „zmarł w tajemniczych okolicznościach”? Mogło to znaczyć, że autor artykułu podejrzewał morderstwo.

Tommy znalazł czystą kartkę papieru i narysował na niej trójkąt. W jednym rogu napisał „Nordmarka”, w drugim „Kaj Holt”, a w trzecim „Carl Oscar Krogh”. Był raczej pewien, że Krogha zabito w związku z Kajem Holtem lub tą trójką z Nordmarki. Albo i jednym, i drugim. Z tą trójką jednak daleko nie zaszedł, musi więc zbadać ten drugi wątek, Kaja Holta. „Czego to Kolstad nie chce mi powiedzieć?” – zastanawiał się. Gotów był zjeść własny krawat, jeśli 20 maja, gdy Krogh odwiedził Kolstada w Domu Opieki Oppsal, ci dwaj wspominali tylko dawne czasy.

Siedział, patrząc na swój trójkąt i wodząc długopisem od rogu z napisem „Holt” do rogu z napisem „Krogh”.

Kiedy podniósł głowę, w sali był już tylko Reuter. Siedział u szczytu długiego stołu, przypatrując mu się wyczekująco.

– No więc? – zagadnął, dopił kawę i otarł usta wierzchem dłoni. – Co masz dla mnie? Bo coś masz, nie?

– Muszę jeszcze raz pogadać z Kolstadem – odezwał się Tommy.

– Tak? A wydawało mi się, że niewiele ma do powiedzenia.

– Słyszałeś o Kaju Holcie?

– To i owo – odparł szef.

Tommy opowiedział mu wszystko, co sam wiedział o tym człowieku.

– Więc co z tym Holtem? Martwy gość nie może przecież zabić innego gościa? – Na twarzy Reutera wreszcie zagościł uśmiech.

– Nie wiem, co z tym Holtem. Ale zaraz po wojnie Kroghowi i Kolstadowi utrudniano zbadanie sprawy jego nagłego zgonu. Szwedzi bardzo, ale to bardzo nie chcieli im pomóc.

Reuter pokiwał głową.

– To musi zostać między nami, rozumiesz? – powiedział.

– Niby dlaczego? – spytał niewinnie Tommy.

– Bo coś mi mówi, że ta śmierć Holta to wyjątkowo śmierdząca sprawa.

Jeżeli komuś takiemu jak Carl Oscar Krogh nie pozwolono grzebać w tajemniczym zejściu kolegi z ruchu oporu, to myślisz, że nam pozwolą? Wiesz, jaką pozycję miał po wojnie Krogh? My przy nim wyglądalibyśmy jak... Somalijscy myjący sracze w stołecznym areszcie, rozumiesz?

– A... nie znasz przypadkiem jednego gościa w Rikskrim w Sztokholmie? – spytał niewinnie Tommy.

Reuter nabrał w płuca powietrza, a potem je wypuścił. A potem potrząsnął głową.

– O tym nawet nie myśl!

„Nie będę o tym myślał” – powiedział sobie Tommy, wróciwszy do biura. Po raz pewnie już dziesiąty tego dnia wyjął komórkę i odczytał SMS-a od Hadji. Tamtej nocy nie spał prawie do świtu, a kiedy wyszedł spod prysznic, odpowiedział:

*Chętnie przyjdę na obiad. Do zobaczenia wieczorem. Tommy*

Spojrzał teraz na swojego SMS-a i pomyślał, że powinien odpisać milej.

A może nie? Nie wiedział. W ogóle coraz mniej o tych sprawach wiedział. „Będzie, co będzie” – pomyślał i zaczął szukać kluczyków do samochodu.

Marius Kolstad mógł w każdej chwili umrzeć, a Tommy mógłby przysiąc, że stary zabierze ze sobą do grobu parę tajemnic. O ile on ich z niego wcześniej nie wyciśnie.



## ***Piątek, 21 maja 1942***

*Salon fryzjerski Helge K. Moena*

*Majorstua*

*Oslo*

Helge K. Moen zerknął na Agnes Gerner w lustrze i ledwo dostrzegalnie mrugnął do niej, jakby był jej ojcem, a ona dziesięcioletnią dziewczynką, która ma z ojcem wspólną tajemnicę.

„Chyba zwariowałaś” – pomyślała.

Moen uśmiechnął się do siebie i gwizdząc przez zęby jakąś melodyjkę, udał się z powrotem do kontuaru.

Agnes oparła się wygodnie w skórzanym fotelu i zamknęła oczy, podczas gdy asystent fryzjera nakręcał jej włosy na wałki.

A może to ona zwariowała? Wszyscy wokół niej w tych wojennych latach wydawali się tracić rozum. Jej własna siostra nie tylko była gorliwą członkinią NS, ale wręcz zaręczyła się z niemieckim sierżantem, zaciągnęła się do służby frontowej jako sanitariuszka i obecnie przebywała gdzieś na bezkresnych rosyjskich stepach. Agnes niemal zwymiotowała, gdy się o tym dowiedziała, czuła się potem źle przez całą sobotę i niedzielę.

Dało jej to jednak doskonałe alibi. Nie można było sobie wyobrazić bardziej fanatycznych nazistek, jak jej matka i siostra. Bawiła ją nawet myśl, że obłęd rodziny może być tak użyteczny...

Kiedy fryzjerczyk skończył nakręcać jej włosy na wałki, Agnes otworzyła oczy i spojrzała na odbite w lustrze okna wychodzące na pasaż, w którym jedni ludzie spieszyli się do wyjścia na główny plac Majorstua, a inni w dół, na stację kolejki Holmenkollbanen. O czym myśleli w ten pierwszy gorący dzień wiosny, kiedy miasto nurzało się w zieleni, a życie wydawało się nie mieć końca? Czy o tym samym, co Agnes, a mianowicie o tym, że właśnie tego dnia, 21 maja 1942 roku, perspektywy były coraz gorsze? Przypuszczalnie było tylko kwestią czasu, kiedy Niemcy zajmą Sewastopol, ich diabelskie łodzie podwodne zatapiały amerykańskie statki, zanim te jeszcze minęły Long Island, a tysiącletnia Rzesza rozciągała się od Przylądka Północnego po Saharę i od Brestu po Krym... „Czy to się nigdy nie skończy?” – pytała samą siebie Agnes. Zmusiła się, żeby odszukać w tym dniu coś pozytywnego: w końcu była piękna wiosna, Helge Schreiner nie tylko pozwolił jej zatrzymać pracę, ale sam usunął się w cień, Pielgrzym powrócił, a w jej tutejszym życiu być może wkrótce nastąpi przełom, który był trudny do wyobrażenia...

Na fotelu obok siedziała pewna członkini NS w średnim wieku. Kiedy tylko fizjerczyk odszedł, odłożyła magazyn, który czytała, i obróciła się w stronę Agnes. Panie z tego środowiska pojawiły się w salonie Moena już wiosną 1940 roku, kiedy pieniądze w kraju zaczęły zmieniać właścicieli. Początkowo Agnes robiło się niedobrze na widok takich nazistek jak pani obok, ale teraz, dwa lata później, wiedziała już, jakie mogą być pożyteczne.

– Czy to na jakąś specjalną okazję, panno Gerner? – Ton głosu nazistki był oschły, wręcz arogancki, spojrzenie co najmniej protekcjonalne.

– Mam na wieczór zaproszenie do Gustava Lande.

Mina jej sąsiadki nagle się wydłużyła. Być może spodziewała się, że Agnes udzieli wymijającej odpowiedzi albo wręcz powie, że nie ma w planach niczego specjalnego? Wiele z tych pań wiedziało, że Agnes idzie do łóżka z Helge Schreinerem na każde jego żądanie, ale Gustav Lande... no, to był ktoś z zupełnie innej półki.

Agnes obróciła się w stronę nazistki i posłała jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

Agnes miała pewien kłopot – akurat w ten piątkowy wieczór umówiła się w Stensparken z Pielgrzymem. Tydzień wcześniej powiedział jej, że dopóki nie uda mu się pożyczyć mieszkania od kogoś nieświadomego, czym on się zajmuje, będą musieli spotykać się w parkach i po bramach. Problem polegał na tym, że takich znajomych pozostało mu niewiele.

Numer 1 zabronił mu spotykania się z nią. Przełożonemu do tego stopnia zależało na przerwaniu ich romansu, że nakazał obserwację nie tylko jej mieszkania, ale także wszystkich mieszkań kontaktowych – przynajmniej tak twierdził Pielgrzym. Numer 1 powiedział mu, że ten związek jest zbyt niebezpieczny, że w czasie wojny nie ma miejsca na miłość. I że w ten sposób wszyscy są narażeni.

„Tak, jakby trzeba było nam to tłumaczyć” – pomyślała Agnes, wchodząc do mieszkania. Zza ramy lustra w przedpokoju wyjęła zaproszenie od Gustava Lande. Przesunęła palcem po grubym kartoniku. Najwyraźniej nawet w tych czasach Landego stać było na zaproszenia na satynowym papierze ze złoconym brzegiem. „Droga Agnes”, napisał u góry. „Dzięki za niezapomniany wieczór. Gustav”. Elegancki, wręcz artystyczny podpis wykonany był pewną ręką. Agnes odłożyła zaproszenie na tekową komódkę pod lustrem i szybko spojrzała na zegarek, żeby obliczyć, ile czasu potrzebuje na przygotowanie się. Potem otworzyła torebkę i wyjęła kopertę od Moena. Pokwitowanie zmięła i położyła na komódcę, a z dna koperty

wydobyła cienki, złożony pasek papieru. Przez kilka sekund przyglądała się sobie w lustrze, potem zdjęła kapelusz i zerknęła na włosy sztywne od lakieru. Ciemny przedpokój sprawił, że przy ciemnych włosach jej twarz wyglądała na białą. „Jak maska pośmiertna” – pomyślała. Rozłożyła pasek i powoli przeszła do kuchni, starając się zapamiętać po drodze tekst krótkiego, szyfrowanego meldunku. Używając kuchennego noża, podważyła i zdjęła luźną listwę podłogową. W ciemnej szparze za nią leżała książka kodowa. Siadła przy kuchennym stole i trzymając pasek papieru, jakby to była najcenniejsza rzecz na świecie, rozkodowała wiadomość.

„Lis to sprytny myśliwy.  
Numer 1”.

Podpaliła pasek i wrzuciła do zlewu. Przez te kilka sekund, które zajęło spopielenie papierka, udało jej się nie myśleć o niczym. A potem prychnęła. Co to niby za wiadomość? Ale kiedy odkręciła kran, żeby spłukać popiół, nagle przypomniała sobie, kto użył tych słów.

„Lis to sprytny myśliwy”. Zdanie to wypowiedział szef ekspozytury służby w Oslo, Archibald Lafton, jesienią 1939 roku. Mówił wtedy, że Niemcy są jak lisy i że lis jest tak cwany, że potrafi udawać martwego, by zwabić zdobycz...

Ostatnio wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyła zapytać Numeru 1, czy może zawrzeć bliższą znajomość z Gustavem Lande. Dostała na to tylko błogosławieństwo i zielone światło od Pielgrzyma.

To musiało być ostrzeżenie ze strony Numeru 1. Jako kochanka Schreinerka nie była dla niemieckiego wywiadu szczególnie interesująca, ale jeśli nie przestanie o nią zabiegać Lande, będzie musiała na siebie bardzo uważać. Niby było to oczywiste, ale te kilka słów od Numeru 1 dało jej dodatkowy bodziec.

„No, gra się zaczyna” – pomyślała.

Wiedziała, że ostatnio stracili sporo ludzi, najwięcej w zeszłym tygodniu. Opowiedział jej o tym Pielgrzym, mimo że pytała go tylko o zielone światło dla nowego romansu i nie chciała wiedzieć o niczym innym. Załóżmy jednak, że Niemcy zaczną ją podejrzewać. Czy organizacja umożliwi jej wydostanie się z miasta, a potem z kraju? Raz już mieli ją na celowniku i wyszła z tego cało. Była wówczas jednym z wielu obywateli brytyjskich, których w kwietniu 1940 przesłuchiowano na Møllergata 19, ale wypuszczono ją po godzinie, a nawet przeproszono. A teraz, dwa lata później, z taką matką i siostrą, z nazistą i zagorzałym członkiem NS jako kochankiem, jej

podwójne obywatelstwo nie grało dla nikogo żadnej roli.

„Tyle, że teraz żarty się skończyły, Agnes” – powiedziała sobie. To, że Niemcy wiedzieli o zainteresowaniu Gustava Lande jej osobą, było oczywiste. „Co my byśmy na ich miejscu zrobili?” – spytała samą siebie. „Ulokowalibyśmy kogoś przy nim” – odpowiedziała.

Kogoś, kto udawałby martwego.

Od momentu, kiedy przekroczy próg domu Landego, będzie obserwowana. Może zresztą już była?

Gorąca woda w prysznicu zaczęła ją parzyć, ale uwolniło ją to od zimnego dreszczu, który poczuła, gdy przypomniała sobie autora użytych na pasku papieru słów. Ależ była głupia, że dała się zwerbować!

Zakręciła wodę i oparła głowę o ścianę.

– Lis to sprytny myśliwy – powiedziała do siebie głośno.

Mokra wyszła spod prysznicza i przeszła do sypialni. Nie zaciągając zasłon, pozwoliła opaść białemu ręcznikowi, którym była owinięta, i stanęła przed lustrem naga. Przyglądając się sobie, ostrożnie ściągnęła z głowy prysznicowy czepek: na włosach miała tyle lakieru, że jej fryzura zachowała kształt.

Po chwili zastanowienia włożyła tę samą czarną koktajlową sukienkę, którą miała na sobie w „Tęczy” dwa tygodnie wcześniej. W przedpokoju jeszcze raz spojrzała na zaproszenie, odręcznie wypisane przez samego Landego. Jeśli najpierw podadzą koktajle, sukienka będzie jak znalazł. Powiedziała sobie, że dodatkowo podkreśla ona wszystko to, co w jej figurze najlepsze. Mimo że pokazywała także, że ma za wąskie biodra.

– Starczy – powiedziała do siebie w lustrze i wyjąwszy puderniczkę, rozpoczęła czynności, dzięki którym kobieta-maską pośmiertna miała się przemienić w istotę zdolną owinąć sobie Gustava Lande dookoła palca.

Funkcjonalistyczna willa w Tuengen allé była jak z bajki. Nie mogła mieć więcej niż jakieś dziesięć lat, była dwupiętrowa, a w piwnicy miała podwójny garaż. Duże fragmenty ścian wykonane były z luksferów, ułożonych między innymi w kształt wpasowanego w jedną ze ścian szczytowych półkola. Dom otoczony był wielkim ogrodem, w którym Agnes wypatrzyła kort tenisowy. Zapłaciła taksówkarzowi i ruszyła wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką ku wejściu do willi, czując, że cała dziwnie drży. Kiedy dotarła do otwartych drzwi, usłyszała, że przed furtką zatrzymuje się samochód. Obróciła się i zobaczyła, że wysiada z niego niemiecki oficer. Zrobił to tak szybko, że jego adiutant nie zdążył otworzyć mu drzwiczek. Oficer warknął jakiś rozkaz

i odesłał adiutanta machnięciem dłoni, a ten zasalutował. Czarny mundur SS nie pozostawiał wątpliwości co do formacji. Agnes nie widziała stopnia, ale nie trzeba było wywiadowczego przeszkolenia, by od razu pojąć, że nie jest to zwykły sztabowiec.

„O Boże” – pomyślała Agnes i upewniła się, że owinięta papierem toaletowym ampułka cyjanku wciąż spoczywa w wewnętrznej kieszonce jej kurczowo ściskanej torebki.

W progu przyjęła ją dość strasznie wyglądająca służąca o ptasiej twarzy i oczach tak całkowicie pozbawionych wyrazu, że Agnes nigdy nie widziała czegoś podobnego. Wypełniony gwarem głosów hol pełen był ludzi stojących w małych grupkach. W tle słychać było fortepianową muzykę, a wynajęci kelnerzy uwijali się ze srebrnymi tacami pełnymi kieliszków na wysokich nóżkach. Drzwi do czegoś, co najwyraźniej było salonem, były szeroko otwarte. Widać tam było grupkę ludzi o uśmiechniętych twarzach. Jakiś mężczyzna w ciemnym garniturze zgięty był wpół ze śmiechu. Po obu stronach drzwi stały stoliki z bukietami kwiatów. W jednym z nich umieszczony był proporczyk NS, w drugim swastyka.

W tłumie ludzi, być może mniejszym, niż jej się na początku wydawało, dostrzegła teraz służącą o ptasiej twarzy. Przy niej zobaczyła pierwszą tego wieczoru znajomą twarz: Gustav Lande miał opalone policzki, a na sobie biały garnitur. W dalszym ciągu daleko mu było do urody Pielgrzyma, ale Agnes uznała, że i tak wygląda bardzo dobrze. Powitała go jako wybawcę, który uwolni ją od myśli o zdemaskowaniu.

– Panna Gerner! – powiedział, całując ją w oba policzki.

Pachniał wodą kolońską, a jego oczy zdradzały, że pił. Albo płakał. Albo i jedno, i drugie.

– Nie pojmuje pani, jak wiele to dla mnie znaczy – powiedział, lekko dotykając jej dłoni.

– Proszę mi mówić Agnes – zaproponowała, obdarzając go spojrzeniem dotąd zarezerwowanym dla Pielgrzyma.

– Agnes – powiedział Lande, a ona kątem oka zauważyła, jak idący za nią oficer SS w drzwiach zostaje porwany przez innych Niemców. Przez moment patrzył jednak w jej kierunku. Szybko zwróciła twarz do Landego i uśmiechnęła się, a on położył dłoń na jej odkrytym ramieniu. Dotyk jego dużej dłoni spowodował, że jej tętno natychmiast się uspokoiło i była znów w stanie myśleć – może nie do końca racjonalnie, ale przynajmniej w jako tako uporządkowany sposób. Ten esesman przebywał w tym domu może

niecałą minutę, ale to wystarczyło, że coś w niej przykuło jego uwagę. Jego spojrzenie było zupełnie inne niż pozostałych mężczyzn: nie było w nim pożądania. „Nerwowość” – pomyślała. „On ją wyczuwa”. Szybko porzuciła tę myśl. Ten oficer na pewno był taki jak inni mężczyźni. Przecież to ona szykowała się do ataku i nie mogła sobie pozwolić na rozkojarzenie. Na szczęście Lande poprowadził ją w kierunku przeciwnym do tego, w którym udał się esesman.

Przedstawiono jej około czterdziestu osób, z których wiele było jej rodaczkami i rodakami, a ona starała się zapamiętać ich nazwiska najlepiej, jak umiała. Rozpoznała wśród nich kilka nazistek spośród tych, które bywały w zakładzie Helge K. Moena, ale nikogo z kręgu Schreinerów. Wylewnie przywitała się z kilkoma oficerami Wehrmachtu imponująco wysokich rang. Nie zdziwiłoby jej, gdyby któryś okazał się samym Terbovenem.

Zanim Lande zdążył przedstawić jej ostatnich gości, między innymi owego wysokiego rangą oficera SS, przeprosiła go i udała się do toalety. Tam stwierdziła, że drżą jej ręce, więc żeby je uspokoić, odkręciła lodowatą wodę i pozwoliła jej przez jakiś czas spływać po przedramionach.

Korytarz prowadzący z powrotem ku salom recepcyjnym kończył się wychodzącą na ogród szklaną ścianą, był długi i cały obwieszony czarno-białymi litografiami w wąskich, drewnianych ramkach. Już dochodziła do jego końca, kiedy za sobą usłyszała dziwny dźwięk. Odwróciła się. Jedne z drzwi po lewej stronie wyraźnie się otworzyły. Kiedy położyła dłoń na klamce, by wyjść do holu, usłyszała za sobą głos:

– Czy mogę pani w czymś pomóc?

Agnes wzdrygnęła się tak mocno, że niemal upuściła torebkę.

W środku korytarza stała służąca. Na tle szklanej ściany w drugim końcu korytarza przypominała ciemną zjawę z piekieł. „Co za ptaszysko” – pomyślała Agnes, zastanawiając się, jak Gustav Lande może z kimś takim wytrzymać pod jednym dachem. W czarnym mundurku służącej kobieta wyglądała upiornie.

– Pan Lande... skierował mnie tu do toalety – wyjaśniła i otworzyła drzwi, z ulgą zostawiając za sobą tę kobietę, tego stwora. Jak kiedyś, gdy była dzieckiem, czuła w całym ciele ciarki i przez moment miała wrażenie, że śni sen, w którym nadaremno próbuje otworzyć drzwi, podczas gdy odziana na czarno służąca o ptasiej twarzy bezszelestnie zbliża się do niej od tyłu.

O ironio losu – powrót do salonu odebrała z ulgą. Ale kiedy wracała z toalety, zaszło to, czego nie dało się uniknąć: zobaczyła mianowicie, jak

Gustav Lande zdejmuje z tacy przechodzącego kelnera dwa kieliszki i podaje jeden z nich oficerowi SS. Trzy dębowe liście na mundurze Niemca upewniły ją, że jest on w generalskim stopniu SS-Brigadeführera. Lande i esesman stali z jakimś oficerem Wehrmachtu i parą Norwegów w średnim wieku. „Nie mam wyjścia” – pomyślała Agnes i podeszła do nich. Twarz Landego rozjaśniła się w uśmiechu.

– Agnes – powiedział, wyciągając rękę w jej stronę. – Poznaj Brigadeführera Seeholza!

– Miło mi – odparła Agnes, podając Niemcowi rękę. „Lis to sprytny myśliwy...” – pomyślała. „Więc uważaj, co mówisz”. Esesman podniósł jej szczupłą dłoń do warg i lekko ucałował, cały czas patrząc jej prosto w oczy, jakby próbował, czy wytrzyma jego wzrok.

– *Freu' mich, Fräulein* – powiedział i puścił jej rękę, podczas gdy Agnes starała się nie patrzeć na pierścień z trupa główką na jego prawej dłoni. Zauważyła, że w lewej brakowało mu małego palca. Nagle przypomniała sobie to nazwisko: Seeholz był prawą ręką Fehlisa <sup>1</sup> i przybył do Norwegii zeszłej jesieni, żeby zarządzać finansami i interesami SS w Norwegii. „No tak” – pomyślała. „Albo pójdę do nieba, albo otworzą się przede mną bramy piekieł”.

– Pani tutaj pierwszy raz? – spytał Seeholz, gdy Agnes już przedstawiono małżeństwu w średnim wieku.

Zrozumiała, że współuczestniczą w jednym z wielu biznesowych przedsięwzięć Landego i że są członkami NS, być może nawet jednymi z założycieli partii.

Agnes skinęła głową, czując, że ręka Landego nagle puszcza jej plecy. Brigadeführer powiedział coś do małżeństwa Norwegów, ale ona nie słuchała. Lande przeprosił towarzystwo i ruszył za służącą schodami prowadzącymi na piętra.

„Jak możesz mnie tak zostawiać, rzucać na pożarcie wilkom?” – pomyślała.

– A jak się miewa pani matka? – spytał Seeholz, kiedy Lande zniknął im z oczu.

Agnes poczuła, że podłoga wymyka jej się spod nóg, jakby poślizgnęła się na lodzie i przez moment nic nie ważyła. Przez ten krótki czas jej znajomości z Landem wywiad Niemców naprawdę nie próżnował i po raz kolejny udowodnił swoją skuteczność... Przechyliła głowę na bok i zagrała pierwszą naiwną, udając, że nie rozumie implikacji tego pytania.

– Mam nadzieję, że Churchill nie internował jej męża – ciągnął Seeholz, wypijając resztę szampana. – Nasze bomby nauczą go wkrótce rozumu, wspomni pani moje słowa! – Wziął od kelnera dwa nowe kieliszki, jeden podał Agnes i podniósł drugi, jakby wznosząc toast.

Ich szklanki brzęknęły. Stojący razem z nimi sprawiali wrażenie, jakby nie śmieli się odezwać.

– Nie mają łatwo, panie Brigadeführerze... – powiedziała Agnes. – Jest im naprawdę ciężko. – Seeholz nic nie powiedział, zazgrzytał tylko zębami. – Najlepiej by było, gdyby Churchill nabrał rozumu i pojął, że walka Führera z bolszewizmem leży w interesie Wielkiej Brytanii. Ale musi pan zrozumieć, że nie jest mi łatwo patrzeć, jak Anglicy cierpią.

Agnes zdało się nagle, że wszystkie rozmowy w salonie cichną i przechodzą w jednostajny szmer. „Nie, nie” – pomyślała. „To złudzenie”. Wszystko było jak przedtem, nikt się nie przejmował tym, że ona, Agnes Gerner, właśnie dostaje się w krzyżowy ogień pytań Brigadeführera Seeholza, człowieka, który pstryknięciem palców mógł ją kazać aresztować, torturować i zgładzić.

Esesman przewiercał ją wzrokiem, ale jego spojrzenie nie było nieprzyjazne. Agnes nie wiedziała, jak ma je sobie tłumaczyć.

– Doskonale rozumiem, co pani ma na myśli, panno Gerner – odezwał się w końcu Seeholz. – I proszę mi wierzyć, gdyby Mosley był przy władzy, nowy mąż pani matki dostałby bardzo dobre stanowisko w jego rządzie. Mogę to pani zagwarantować. Ale skąd pani przyszło do głowy, żeby wracać do Norwegii? Dlaczego nie pojechała pani do Niemiec, jak panna Mitford?

Unity Mitford była jedną z największych adoratek Hitlera, a jej siostra Diana była żoną Mosleya. Te dwie kobiety były najgorszymi faszystkami w Wielkiej Brytanii i Agnes miała je w głębokiej pogardzie. Niestety, obie znajdowały się w bliskim kręgu towarzyskim jej matki. Seeholz przemilczał jednak, że gdy Chamberlain wypowiedział Niemcom wojnę, Unity w Monachium próbowała odebrać sobie życie.

– Do Norwegii wysłała mnie moja matka – powiedziała i natychmiast tego pożałowała, bo nie brzmiało to zbyt przekonująco. Chociaż kto wie?

Esesman przyglądał się jej przez chwilę, starając się patrzeć w oczy. Agnes dopiero teraz poczuła, że jej tętno przyspieszyło, obawiała się też, że mocno zbladła. Mimo to przybrała pewną siebie minę i posłała mu uśmiech, z gatunku tych, którym jak dotąd żaden mężczyzna nie mógł się oprzeć.

– Przepraszam, *Herr Brigadeführer*, czyżby pan wątpił w moją lojalność



w stosunku do Niemiec? – spytała. I zmartwiała.

Tym razem rzeczywiście zapadła wokół niej cisza, która koncentrycznie rozchodziła się po salonie, aż dotarła do pianisty, który wyczuł, że coś się stało, i przestał grać. Ktoś obok niej nerwowo chrząknął.

Seeholz wyglądał tak, jakby to, co usłyszał, było ostatnią rzeczą, której się spodziewał.

– Rodzina mojego ojca przywędrowała z Niemiec do Norwegii w roku tysiąc sześćset czterdziestym piątym... Może nawet wcześniej, niż do Niemiec przybyła pańska rodzina, *Herr Brigadeführer*? – brnęła dalej.

Zadźwięczało gdzieś szkło. Gdzieś pstryknęła zapalniczka.

Brigadeführer Seeholz patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem ściągnął brwi i prychnął, jak byk szykujący się do szarży. W końcu jednak wargi skrzywiły mu się w coś na kształt uśmiechu.

– Kochana panno Gerner, pani mi się naprawdę podoba – oświadczył. – Nie próbuje mi się pani przypodobać. Pani się mnie nie boi, a ja nie znoszę ludzi, którzy mnie się boją. – Uśmiechnął się i po raz pierwszy ten uśmiech wyglądał na prawdziwy. A potem zaśmiał się w sposób, który można było zinterpretować jako dobroduszny, zupełnie jakby pod tym czarnym mundurem było coś na kształt człowieka.

Stopniowo do salonu zaczęły wracać różne dźwięki, nawet pianista się ocknął. Agnes odniosła wrażenie, że wszystkim nagle ulżyło, fortepian zagrał przepięknie i cała ta sytuacja teraz stała się nierealna.

– Będąc narodowym socjalistą, człowiek jest w Anglii prześladowany – powiedziała szybko, sama nie wiedziała dlaczego, być może by podtrzymać jego dobry nastrój. – Powinien pan to wiedzieć, *Herr Brigadeführer*. Jeśli zaś chodzi o mnie i Norwegię... Niech mi pan zaoferuje dobrą pracę w Niemczech, a pojedę tam już jutro. – Uśmiechnęła się, delikatnie położyła rękę na jego dłoni i zobaczyła, że natychmiast odniosło to pożądany skutek. Coś takiego musiało mu pochlebić. „W końcu to tylko mężczyzna” – pomyślała.

– Już dobrze, dobrze – powiedział Seeholz i lekko uściśnął jej rękę. – Proszę się na mnie nie gniewać. – Teraz położył dłoń na jej ramieniu. Nie sprawiała wrażenia ręki urzędnika: była ciężka, sucha, ze skórą jak papier ścierny. – To z ciekawości. Anglia jest mi obca – powiedział z uśmiechem. – Przynajmniej na razie – dodał i zaśmiał się z własnego żartu.

Agnes rozluźniła się całkowicie, z otwartych drzwi doleciał do niej powiew świeżego powietrza.

– Jeśli zaś chodzi o Anglików, panno Gerner, boli mnie jedna rzecz: że nie rozumiem, że przeciwko bolszewikom jesteśmy po jednej stronie. Że jeśli nie pójdziemy razem, wszyscy możemy źle skończyć! Rozumie pani chyba, że głównym celem Führera jest zjednoczyć wszystkich dobrych ludzi i przeciwstawić się temu potworowi w Moskwie oraz wszystkim jego pomagierom?

Stojące z nimi małżeństwo pokiwało z aprobatą głowami. Zanim jednak Agnes zdążyła coś powiedzieć, Seeholz skierował wzrok ku schodom. Schodził z nich Gustav Lande, trzymając na ręku dziecko w nocnej koszuli. „Córka” – pomyślała Agnes i przez moment roztkliwiła się na widok dziewczynki. Przez pół wieczoru w „Tęczy” Lande o niczym innym jej nie opowiadał.

– *Ah, das schöne Kind* – powiedział Seeholz i pogłaskał dziecko po policzku, a Agnes patrzyła na wędrującego w górę i w dół pierścień z trupią główką.

Mała przytuliła główkę do lśniącej klapy smokingu ojca.

– Cecilio, przywitaj się z Agnes – powiedział Lande, a dziewczynka odwróciła głowę i jeszcze mocniej przytuliła twarz do ojca.

– Cześć – powiedziała Agnes. – A więc to ty jesteś Cecilia?

Mała skinęła głową, ale twarzyczkę dalej miała odwróconą.

– Cześć, Cecilio, nie możesz zasnąć? – spytał Seeholz łamanym norweskim.

Lande pokołysał małą w ramionach i szepnął jej coś na ucho. Tymczasem dziecko zwróciło na siebie uwagę całego salonu i dały się słyszeć ochy i achy, zupełnie jakby Lande pokazywał światu świeżo nabytego kotka czy pieska.

Dziewczynka patrzyła teraz wprost na Agnes, która zwietrzyła okazję, żeby wkraść się jeszcze bardziej w łaski Landego.

– Jak byłam mała, miałam taką samą nocną jak ty – powiedziała.

Mała uśmiechnęła się niepewnie.

– Wszyscy ci ludzie jedzą dziś u nas obiad – powiedział Lande, zwracając się do dziewczynki. – Musisz więc być grzeczna i robić, co każe Johanne.

– Och, nie, niech mała z nami zostanie – powiedział śmiejąc się Seeholz, tym razem po niemiecku.

Cecilia szepnęła coś ojcu na ucho. Agnes zauważyła służącą, która zeszła tymczasem z piętra i stała przy schodach. Przyglądała się Agnes świdrującym wzrokiem.

Lande zastanowił się przez chwilę, a potem zerknął na Agnes z niepewnym uśmiechem.

– Cecilio, nie da rady, zaraz będzie kolacja... Johanne położy cię do łóżka.

Cecilia odgarnęła z czoła swoje długie, ciemne włosy i wyciągnęła palec w stronę Agnes.

– Chcę, żeby ta pani mi poczytała – powiedziała cicho i znów schowała twarz na ramieniu ojca.

– Ależ, kochanie, właśnie siadamy do stołu! – powiedział Lande.

Cecilia jeszcze raz pokazała palcem na Agnes i uśmiechnęła się tym samym zawstydzonym uśmiechem.

– Oczywiście, że ci poczytam – odparła Agnes, zerkając na służącą przy schodach.

Lande westchnął z rezygnacją, ale coś w jego oczach powiedziało Agnes, że w głębi serca na to liczył.

– Ernest, przepraszam cię na moment – powiedział do Seeholza.

– Gustavie kochany, mamy przed sobą cały wieczór! – odparł esesman.

„Ernest... Gustavie...” – pomyślała Agnes, idąc w górę po schodach.

„Gustav Lande jest z Brigadeführerem Seeholzem na ty, a ja idę położyć spać jego córkę”. Prześlizgnęła się obok służącej, nie patrząc jej w twarz, wyczuła jednak u niej źle maskowaną zawiść.

Kiedy weszli na piętro, Cecilia wyrwała się z objęć ojca i pomaszerowała między nimi długim, jasno oświetlonym korytarzem. Utykała, ale nie tak mocno, jak Agnes sobie wyobraziła na podstawie tego, co Lande jej w „Tęczy” opowiedział. Na ścianach wisiały modernistyczne obrazy, w zasadzie zbyt postępowe, jak na takiego nazistę. Zastanawiała się właśnie, ile to wszystko jest warte, kiedy minęli na wpół otwarte drzwi do łazienki.

– Pokój tatusia – powiedziała Cecilia, wybiegając przed Agnes i Landego. Ten zerknął na towarzyszkę i wymienił z nią uśmiech.

– Za długo jej nie czytaj, Agnes – powiedział. – Dwie strony wystarczy.

– Damy sobie jakoś radę – odparła, wypychając go leciutko za drzwi pokoju małej.

– Ona jest taka ufna – szepnął. – Ja...

Agnes położyła palec na wargach, a on chwycił ją za lewą rękę i uściskał. Posłała mu uśmiech przeznaczony tylko dla niego i zamknęła drzwi przed nosem.

W pokoju Cecylii promienie wieczornego słońca wciąż leżały na parkiecie

przykrytym dwoma perskimi dywanami. Na regałach pod ścianami piętrzyło się mnóstwo misiów i porcelanowych lalek. Nad biurkiem, stojącym między wychodzącymi na ogród oknami, wisiało zdjęcie kobiety, może trzydziestokilkuletniej. Uśmiechała się do fotografa spod ronda wielkiego, białego kapelusza. W jej twarzy Agnes od razu rozpoznała rysy Cecilii: ten sam kształtny nos, ostre brwi, krągłe policzki, nieduże usta.

– Więc co będziemy czytać? – spytała.

Cecilia z przekrzywioną głową już siedziała w łożu z baldachimem, trzymając w ręku stary, podniszczony zbiór baśni. Kiedy Agnes przysiadła na brzegu łoża i przykryła ją kołdrą, mała wręczyła jej książkę. Agnes otworzyła ją i jej wzrok padł na dziecinne pismo na stronie tytułowej. W prawym górnym rogu dużymi literami napisane było „Sonja Bratberg”.

– To stara książka mamy, prawda?

Cecilia skinęła głową.

– A pani mama żyje? – spytała.

– Tak – odparła Agnes. Wolałaby, żeby było odwrotnie.

Kiedy doczytała baśń do końca i zły troll wreszcie zginął, posiedziała na łóżku Cecilii, dopóki mała nie zasnęła. Patrząc na nią, odczekała jeszcze trochę, aż miarowy rytm oddechu dziewczynki zrównał się z jej własnym. Potem pogłaskała małą po głowie.

Z otwartych drzwi tarasu na dole doszła do niej kakofonia dźwięków: brzęk szkła i stukanie sztućców o ponad trzydzieści porcelanowych talerzyków powiedziały jej, że goście zajęli się przystawkami, rechot Seeholza zlewał się z chichotem kobiet, do pokoju dochodziły też niewyraźne fragmenty rozmów, przeplatane wyraźnymi niemieckimi i norwesкими frazami. Agnes zaciągnęła story, ale na wszelki wypadek drzwi na korytarz zostawiła uchylone.

Kiedy weszła do jadalni, przyjęto ją prawie jak bohaterkę. Kobiety, które poznała ledwie pół godziny wcześniej, pozdrowiały ją kiwnięciem głowy i uśmiechem, mężczyźni spoglądali na nią, jakby była prawowitą małżonką gospodarza i matką jego dziecka, a Lande przedstawił ją zebrany jeszcze raz i wzniosł za nią toast. Naturalnie usadził ją naprzeciw siebie, obok kogóż, jak nie Brigadeführera Seeholza. Ten odpowiedział na toast, mówiąc, że nigdy nie zdarzyło mu się czekać na towarzyszkę przy stole, która miałaby równie szlachetny powód spóźnienia. Agnes już wcześniej podejrzewała, że esesman potrafi być niezwykle szarmancki, i okazało się, że tak jest w istocie. Z czterdziestu osób przy stole zaangażował w rozmowę co

najmniej dziesięć, opowiadając anegdoty i pozwalając sobie na żarty – czasem nieco ryzykowne, ale zawsze na tyle kulturalne, że nikt nie poczuł się urażony. Cały czas też wychwalał pod niebiosa kobiety z rodziny Gernerów. Agnes robiła dobrą minę do złej gry. Kilka dni wcześniej dostała pierwszy list od siostry, która służyła jako sanitariuszka na rosyjskich stepach, i żaden esesman nie musiał jej przypominać, jak bardzo się poświęciła dla sprawy.

Za każdym razem, gdy spoglądała prosto przed siebie, napotykała wzrok Landego. Sprawiał wrażenie, jakby od czasu ich ostatniego spotkania odmłodził o dziesięć lat. Musiała sobie cały czas przypominać, dlaczego tu jest i że nie wolno jej przesadzić z alkoholem. Z drugiej strony zbyt wstrzeźliwość też nie była wskazana, bo pewnie niewiele było trzeba, by wzbudzić u Seeholza podejrzenia.

Kiedy kolacja się skończyła, przeprosiła towarzystwo i zamiast udać się do toalety, przeszła przez przylegającą do jadalni bibliotekę i pomaszzerowała na drugą stronę domu, gdzie było wyjście na taras. Usiadła tam na jednym z krzeseł, zapaliła papierosa i próbowała zebrać myśli.

„Jakże tu wszystko piękne” – pomyślała, patrząc na ogród skąpany w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. „Ten ogród, ten dom”. Łagodny wietrzyk pieścił jej policzki, a ona zaciągnęła się głęboko papierosem i zamknęła oczy, napawając się przerwą w staraniach, by nie dać się Seeholzowi na niczym przyłapać.

Z tyłu za nią otwarły się drzwi.

„Pewnie Gustav” – pomyślała i odwróciła się powoli.

Ale nie. Jakiś mężczyzna wszedł na taras i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Nie był to jednak Gustav Lande. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie jego twarz wśród twarzy innych przedstawianych jej przez Landego panów. Był to niewysoki, szczupły osobnik z gęstymi, ciemnymi, zaczesanymi do tyłu włosami lśniącymi od pomady. Choć nie zamieniła z nim tego wieczoru ani słowa, pomyślała, że musi być bardzo nieśmiały. Był jednym z tych gości, których nazwiska nawet nie starała się zapamiętać.

– Piękny mamy wieczór, prawda? – powiedział prawie bez obcego akcentu i tylko coś w intonacji podpowiedziało jej, że nie jest Norwegiem.

„Ciekawe, żaden Niemiec nie mówi tak dobrze po norwesku” – pomyślała.

– No, ale zaraz trzeba będzie zaciemnić okna – ciągnął, nie czekając na odpowiedź. Spojrzał przy tym w niebo, jakby były tam setki brytyjskich

samolotów.

„Swoją drogą szkoda, że ich tam nie ma” – pomyślała Agnes. „Oby wkrótce przyleciały i wyzwoliły nas wszystkich, uwolniły mnie i Pielgrzyma, żebym mogła mu udowodnić, że nie jesteśmy na straty, że mamy przed sobą życie”.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki smokingu mężczyzna wyjął srebrną papierośnicę. Marynarka ta w dziwny sposób skojarzyła jej się z Anglią, może uszyto ją tam przed wojną? Boże, jak ona tęskniła za Anglią...

Ale Pielgrzyma nigdy nie zostawi, nawet gdyby to oznaczało śmierć.

Poczuła nagłą tęsknotę za nim. Musi go dzisiaj mieć, po prostu musi!

– Naprawdę śliczny wieczór – odezwał się znów mężczyzna.

Stojąc metr od Agnes, zrobił ręką gest w stronę krzesła obok niej.

– Istotnie, piękny – powiedziała i dała znak, że może usiąść.

– Muszę przyznać, że pan Lande wydał bardzo sympatyczne przyjęcie.

Dla mnie jedyny mankament to tylu zaproszonych oficerów, bo to znaczy, że później będzie za dużo tańczenia i śpiewania.

Agnes zaśmiała się cicho.

– Niech pani nie da się zwieść Brigadeführerowi Seeholzowi. Jego tutejszym zadaniem jest zorganizowanie jeńców dla fabryk *Herr Landego*. Poza tym, kiedy nie ma w pobliżu kobiet, jest aroganckim gburem.

Agnes potrząsnęła w zdziwieniu głową. Jak on mógł mówić coś takiego?

– Proszę mi przypomnieć, w jakiej firmie pan pracuje? Pan Lande to powiedział, ale ja tak łatwo zapominam...

Młody człowiek, bo nie mógł być wiele od niej starszy, lekko się uśmiechnął. Agnes dyskretnie zerknęła na jego rękę, ale nie było tam pierścienia SS, nie miał też niczego w klapie.

– Taka mała zagadka – powiedział, nachylając się ku niej i kręcąc kółkiem srebrnej zapalniczki.

Agnes zaciągnęła się, przez sekundę patrzyli sobie w oczy, potem on odwrócił wzrok.

Od strony jadalni dobiegł ich głośny wybuch śmiechu, a kilku oficerów spontanicznie zaintonowało jakąś pieśń.

– Uwielbiam zagadki – odparła Agnes.

– No więc – zaczął, strzepując z nogawki odrobinę popiołu – jestem dyrektorem w firmie, która importuje stąd do Niemiec coś, czego w tym kraju jest mnóstwo. To znaczy, importujemy coś, co robi się z tego, czego tu jest tak dużo.

– Rybę? – spytała.

Zaśmiał się i zgasił niedopałek.

– No, nie całkiem. Niech pani nie da się zwieść, firma jest cywilna, ale pod kontrolą wojska. A więc? – Wyjął znów swoją srebrną papierośnicę, a z niej nowego papierosa.

– Powiedział pan, że jest pod kontrolą wojska? – Agnes przechyliła głowę na bok i wybrała ze swojego repertuaru minę słodkiej idiotki. – Nie mam pojęcia!

– Proszę spróbować jeszcze raz – powiedział mężczyzna i uśmiechnął się ujmującym, chłopięcym wręcz uśmiechem.

Co jednak kryło się za tą budzącą zaufanie maską? „Ciemność. Śmierć” – pomyślała nagle, ale szybko odgoniła tę myśl od siebie.

– Zgadnie pani na pewno – powiedział on i przeciągnął po włosach dłonią, w której trzymał papierosa, jakby sprawdzając, czy jego fryzura jest równie doskonała, jak niewątpliwie była przed przyjęciem u Landego.

– Nie, nie zgadnę – westchnęła Agnes.

– No to podpowiem. My, Niemcy, uwielbiamy rozkazy, a rozkaz trzeba na...

– Las! – wykrzyknęła Agnes. – Papier. Importuje pan papier!

Nachyliła się do niego, położyła mu dłoń na przedramieniu i zaśmiała się swoim najbardziej rozbajającym śmiechem.

– Doskonale! – powiedział.

Agnes pozwoliła swojemu śmiechowi wybrzmieć i dopiero wtedy zdjęła dłoń z jego ręki.

– A pańskie nazwisko, bo niestety zapomniałam?

– Waldhorst – odparł, wyciągając do niej rękę. – Peter Waldhorst.

– Papier... Bardzo interesujące – powiedziała. – Od dawna w Norwegii?

– Od jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego.

– No to mówi pan doskonale po norwesku – zauważyła.

– Bo język to klucz do interesów w obcym kraju.

– No to myślę, że pańskie interesy idą znakomicie, *Herr Waldhorst!*

Podziękował jej i znów się uśmiechnął tym swoim budzącym zaufanie uśmiechem.

Na taras weszła roześmiana grupa osób, a Waldhorst obrócił się w ich stronę.

„Waldhorst...” – pomyślała Agnes. „To właśnie przed takimi jak ty ostrzegał mnie Archibald Lafton”.

---

- 
1. Heinrich Fehlis – Oberführer SS, współpracownik Terbovena i szef SD na okupowaną Norwegię. [\[wróć\]](#)



**Środa, 11 czerwca 2003**

*Szpital Ullevål*

*Oslo*

Tommy Bergmann utknął w korku już na Finnmarksgata, przy przejściu dla pieszych między Muzeum Muncha a parkiem Tøyen. Pewnie na wysokości placu Carla Bernera była jakaś stłuczka. Zapalił papierosa i jeszcze raz spojrzął na SMS-a od Hadji. To dobrze, że tak szybko odpowiedział, bo gdyby ociągał się do południa, zaproszenie pewnie by odrzucił. A przecież musiał żyć dalej, nie mógł tak dłużej wegetować.

Kiedy się przedstawił, pielęgniarka w recepcji lekko przechyliła głowę na bok. Tommy poczuł nadciągający ból głowy. Po obu stronach mijali go ludzie, a on stał przed kontuarem jak turysta zagubiony w swoim własnym mieście, oniemiały na widok tego tłumu w szpitalu, który jeszcze wczoraj był całkiem pusty. A najgorsza była ta pielęgniarka z przechyloną głową i uśmiechem na twarzy...

– Tommy? Nie poznajesz mnie? – spytała z lekkim akcentem z północy.

Kruczoczarne włosy miała zebrane w koński ogon, okulary bez oprawek, a oczy ciemne i przyjazne.

„No pewnie” – pomyślał. „Gdzieś cię już widziałem”.

I nagle całkiem stracił pewność siebie. Spotkał ją przecież mnóstwo razy, ba, kilka razy był u niej w domu na obiedzie... Była jedną z przyjaciółek Hege, może nie jedną z najbliższych, ale w każdym razie z jej bliskiego kręgu. Nastąpiła niezręczna cisza, po pierwsze dlatego, że za Boga nie mógł sobie przypomnieć jej imienia, a po drugie dlatego, że to on był tym porzuconym, a co gorsza, kobieta przed nim wiedziała o tym, że maltretował Hege. Kiedyś obiecał dziecku, i to martwemu dziecku, sponiewieranemu i zabitemu, że on nigdy nie będzie z tych, co maltretują kobiety, a teraz stał przed tą ciemnowłosą pielęgniarką, którą spotkał tyle razy w życiu, i oboje wiedzieli, że on, Tommy Bergmann, jest właśnie z tych... A to jest niewybaczalne. Mógł przysiąc, że w jej twarzy widzi rozczarowanie. Na pewno w czasach, kiedy się spotykali, pokazywał się ze swojej najlepszej strony, był zabawny, czarujący i ujmujący. Ale to była tylko maska, a kiedy została zerwana, pod spodem był potwór. Kto mógłby wybaczyć takiemu człowiekowi?

– Pewnie – powiedział. – Oczywiście, że cię poznaję.

Udało mu się nawet przywołać na twarz coś na kształt uśmiechu. Ktoś potrącił go od tyłu, był to dziadek, który wyszedł ze stołówki, popychając

przed sobą balkonik. To przypomniało Tommy'emu podobny obiekt stojący kilka metrów dalej od ciała zaszlachtowanego Carla Oscara Krogha.

– Czy może chcesz... – zaczęła pielęgniarka, której imienia nie pamiętał.

Tommy energicznie pokręcił głową, mimo że nie całkiem wiedział, do czego ona zmierza.

– Nie, chcę teraz pogadać z Mariusem Kolstadem, leży na OIOM-ie...

Rozmawiałem z nim wczoraj.

Znów się uśmiechnęła, w sposób, który go onieśmielił.

– Prowadzisz sprawę? – spytała, kierując wzrok na ekran komputera.

– Mam do niego kilka pytań... – powiedział Tommy.

Jej palce nagle oderwały się od klawiatury.

„Nie, tylko nie to” – pomyślał Tommy.

– Kolstad nie żyje – powiedziała. – Umarł dziś w nocy.

Tommy jęknął. A więc Marius Kolstad opuścił ten padół i przypuszczalnie zabrał ze sobą kilka tajemnic, za których znajomość Tommy wiele by dał.

– Przynajmniej przestał cierpieć – powiedział, a pielęgniarka kiwnęła głową. Otworzyła potem usta, żeby coś dodać, ale rozmyśliła się. Przez chwilę stali w niezręcznej ciszy.

– Pozdrów Hege, jak ją zobaczysz – powiedział Tommy i odszedł od kontuaru.

Przy wyjściu zmienił zamiar, wrócił do holu, minął recepcję i poszedł do stołówki. Fatalnie, że Kolstad go tak wykiwał. „Co to on powiedział? »Zawsze tylko o tych starych sprawach«. Akurat. Cholerne kłamstwo” – pomyślał Tommy.

W kiosku w stołówce kupił jednorazową zapalniczkę i „Dagbladet”. Na okładce wołami napisano SZOK. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie szefowej policji i Reutera z wczorajszej konferencji prasowej. Tommy przebiegł oczyma tekst. „Krogh został zabity 62 pchnięciami noża”. Jakie to żałosne: szefowa policji prosiła społeczeństwo o informacje i twierdziła, że bez nich nie nastąpi postęp w śledztwie, ale ze względu na jego dobro nie mogła ujawnić innych szczegółów.

Wrzucił gazetę do kosza na śmieci dwa metry od kiosku, w którym ją kupił. Kiedy palił papierosa na tej samej ławce, na której siedział po poprzedniej wizycie w szpitalu, przypomniał sobie, co powiedziała mu córka zamordowanego – że jest mianowicie ktoś, kto wie o Kroghu więcej niż jego własne dzieci: profesor historii Torgeir Moberg. A on był przecież kilka ulic

dalej.

Kiedy znów trafił na korek, tym razem przed skrzyżowaniem Kirkeveien z Sognsveien, wyłącznie dla złośliwej uciechy pstryknął w klawisz włączający koguta. Gdy samochody przed nim się rozstały, pomyślał, że po raz pierwszy w tej cholernej sprawie ktoś mu pomaga.

**Środa, 11 czerwca 2003**

Wydział Humanistyczny

Uniwersytet w Oslo

Oslo

– Bzdura! – oświadczył Torgeir Moberg. – Wierutna bzdura. Znajomość między Carlem Oscarem Kroghem a Kajem Holtem nie ma tu nic do rzeczy. Musicie szukać gdzie indziej, rozumie pan?

Kiepsko skrywane zdenerwowanie powodowało, że głos miał wyższy niż zwykle. Tommy Bergmann pokręcił głową z niedowierzaniem: nieraz widywał Moberga w telewizji i profesor zawsze sprawiał wrażenie człowieka powściągliwego i pozbawionego agresywności typowej dla ludzi broniących jakiejś sprawy, na ogół zresztą wątpliwej.

Profesor stał przy oknie i patrzył na plac między budynkami Wydziału Humanistycznego i Wydziału Nauk Społecznych. Trzy piętra niżej po wyłożonym kostką placu niespiesznie podążała trójka studentów. Tommy przez moment zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby złożył papiery właśnie tutaj, a nie, powodowany impulsem, do Akademii Policyjnej.

– Więc pańskim zdaniem – zaczął Tommy, ale i tym razem profesor mu przerwał, tonem nie tyle wrogim, ile zrezygnowanym.

– Moim zdaniem powinno się przestać grzebać w trumnie człowieka, który nie żyje od niemal sześćdziesięciu lat. Jaki z tego dla kogokolwiek pożytek? Kiedy ten biedny Kaj Holt zazna wreszcie spokoju? – Odwrócił się znów ku Tommy'emu. Na twarzy miał smutny uśmiech, taki, jaki mają ludzie starający się na próżno przekonać innych w kwestii, o której ci inni niewiele wiedzą. Po raz kolejny pogładził się po wypiełgnowanej brodzie, równie siwej jak reszta jego włosów. – Kawy? – spytał. Jego głos znów był przyjazny, wręcz serdeczny.

„Co on kombinuje?” – zastanawiał się Tommy. Kiwnął głową i zerknął do notatnika, ale wszystko, co dotąd zanotował, sprowadzało się do jednego słowa: „bzdura”.

– Więc dlaczego Kroghowi nie pozwolono przeprowadzić śledztwa w sprawie zgonu Holta? – spytał.

– Bo Krogh był na pograniczu hysterii. Nie ma cudów, musisz przeżyć wstrząs, kiedy jeden z twoich najbliższych przyjaciół, z którym nieraz byłeś o krok od śmierci, zaraz po zwycięstwie odbiera sobie życie.

– Wydawało mi się, że była mowa u jakichś tajemniczych okolicznościach? – nie dawał za wygraną Tommy.

Moberg podniósł dłoń, zmarszczył czoło, a jedna z jego krzaczastych brwi uniosła się wysoko, wysoko w górę, co nadało jego twarzy osobliwy wygląd.

– A gdzie pan to wyczytał?

– W jednym miejscu... – odparł Tommy. – W Internecie.

Profesor na pewien czas wstrzymał oddech, a potem wypuścił powietrze nosem.

– Tajemnicze okoliczności... – powiedział, podkreślając pierwsze słowo.

– To dość mało konkretne?

– Ja bym to może nazwał „podejrzanyimi okolicznościami zgonu” – sprecyzował Tommy.

– No więc gdzie pan to przeczytał? – powtórzył Moberg, szukając spojrzenia Tommy’ego, które już dawno powędrowało gdzie indziej, mianowicie do wiszących na ścianie fotografii w ramach. O ile się nie mylił, na kilku z nich widniał Carl Oscar Krogh. Postanowił zignorować zaczepkę profesora.

– Domyślam się, że ktoś taki jak Krogh musiał mieć niejednego wroga?

– Wroga? Niech pan posłucha: człowiek taki jak Krogh zawsze ma wrogów. Ludzi o innych poglądach, nazistów, Bóg raczy wiedzieć kogo jeszcze, ale nie takich, o jakich pan myśli. Nikogo, kto by chciał... No wie pan.

Tommy znów zerknął do notatnika, ale nie widział powodu, żeby dodać coś do słowa, które już tam było. „Bzdura” – pomyślał. „Używając tego słowa, Moberg sam się zdradził. Sprawa Holta to wszystko, tylko nie bzdura”.

– A więc pan uważa, że Holt nie został zamordowany, a Krogh nie powinien się do tego mieszać?

– Otóż – zaczął profesor cierpliwie – Kaj Holt cierpiał na coś, co jeszcze parę lat temu nazywano psychozą maniakalno–depresyjną, dziś pewnie określono by to jako dwubiegunowość... Odszedł od żony w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, sypiał na ławkach w parku albo u znajomych, ostro pił i diabli wiedzą, co jeszcze robił, a ja mogę panu pokazać naukową pracę o Holcie, w której wykorzystano jego kartoteki lekarskie jeszcze z czasów przedwojennych, aż do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. – Moberg zamachał rękami. – Ten gość był jedyny w swoim rodzaju, ale miał skłonności samobójcze, ma pan to jak w banku.

– Ale... – zaczął Tommy. Opadł głębiej w fotel.  
– Ale co? – spytał Moberg, uśmiechając się lekko.  
– Ale dlaczego Krogh skontaktował się z Kolstadem, kiedy w Nordmarce znaleziono te trzy szkielety?

Moberg otworzył usta, jednak nie wydał żadnego dźwięku.

– Przecież utrzymywali ze sobą kontakty? – spytał po chwili, ale zabrzmiało to mniej pewnie, niżby sobie zapewne życzył.

– Wie pan o kim, moim zdaniem, rozmawiali? – spytał Tommy.

Moberg westchnął ciężko, tym razem jakby miał do czynienia z dzieckiem, które należałoby posłać do poprawczaka.

– O Kaju Holcie?

– Czy pan coś wie o tej trójce znalezionej w Nordmarce? – zmienił temat Tommy. – O Agnes Gerner, córce Gustava Lande i jego służącej?

– Nie – powiedział Moberg. – Nic nie wiem.

– A więc pan też nie?

– A co to ma wspólnego z tą sprawą? – zniecierpliwił się Moberg.

Tommy zawahał się przez chwilę.

– Uważamy... – zaczął, ale się rozmyślił.

– Że istnieje jakiś związek między zabójstwem Carla Oscara, tą trójką w Nordmarce i tak zwanymi podejrzanymi okolicznościami śmierci Holta? – wyrzucił z siebie szybko Moberg, a Tommy uznał, że może jednak go nie docenił. – Szczerze radzę, niech pan da sobie spokój z Holtem – powiedział profesor. – Nigdzie by was to nie zaprowadziło. – Znów pogładził się po brodzie, której absolutnie perfekcyjne utrzymanie zdradzało próżność jej właściciela.

– Nie podoba się panu to dopytywanie o Holta, co? – zaryzykował Tommy.

– Skąd, ja... ja tylko chcę wam pomóc... naprawdę... – to ostatnie słowo wypowiedział dużo ciszej.

– Czy zastanowił się pan nad tym, kto ewentualnie mógłby mieć jakiś powód, żeby zabić Krogha?

– Nie – powiedział Moberg.

Miał teraz rozbiegany wzrok i dla Tommy'ego było jasne, że profesor nie należał do tych, którzy potrafią coś skutecznie ukryć. Zdradzała to mowa jego ciała. Zerwał się z krzesła, jakby ktoś wbił w nie od spodu gwóźdź, obszedł swoje potężne biurko, stanął i popatrzył na Tommy'ego ze zboląłą miną. W końcu usiadł na blacie.

– Podobno wyglądało to paskudnie, u Carla Oscara...  
– Istotnie, zamordowano go w dość brutalny sposób – zgodził się Tommy. – Tyle mogę panu powiedzieć. Nigdy z niczym takim nie miałem do czynienia, a to i owo już widziałem... Niestety.

Moberg wyglądał na autentycznie przygnębionego. Przez dłuższą chwilę siedział na biurku, patrząc w podłogę.

– Rozmawiałem z Carlem Oscarem nie dalej, jak kilka tygodni temu – odezwał się w końcu, po czym wstał i podszedł do okna. – A on... znów maniakalnie nawracał do Holta...

Tommy szybko wyciągnął długopis, przekreślił „bzdura” i napisał „Holt”. Promyczek nadziei, który nagle rozbłysnął, sprawił, że nieco poweselał.

– Rozmawiał pan z Kroghem?

– Często rozmawiałem z Carlem Oscarem Kroghem – powiedział profesor z lekkim oburzeniem w głosie.

– A kto zadzwonił: on czy pan?

– Ja! Carl Oscar nie wydzwaniał do ludzi. Zawsze to ja dzwoniłem do niego.

– A kiedy to było? Co znaczy „kilka tygodni”?

– No... Może ze dwa tygodnie temu?

– Zanim znaleziono te trzy szkielety w Nordmarce czy po tym?

Moberg zmarszczył czoło. Po raz kolejny wykonał swoje ćwiczenie z oddechem: zatrzymał powietrze i po chwili je wypuścił.

– Przed siedemnastym maja, kiedy znaleziono te trzy, czy po tym?

– Później.

Tommy przekartkował swój notatnik i doszedł do trójkąta, który swego czasu narysował. „Dużo dalej dziś nie jesteśmy” – pomyślał, patrząc na jego dolne rogi, przy których napisał „Krogh” i „Nordmarka”, i górny, gdzie dopisał „Kaj Holt”.

– I znów „maniakalnie nawracał do Holta”?

Moberg skinął głową.

– Myślicie, że to się... jakoś wiąże? – spytał z rezygnacją, jakby przestał negować fakt, że w świecie istnieją różne niewygodne powiązania.

– Aktualnie niczego nie myślimy – odparł Tommy.

Profesor sprawiał wrażenie, jakby za wszelką cenę nie chciał zdradzić zainteresowania szkieletami z Nordmarki, przynajmniej Tommy tak sobie wyobrażał.

– A więc pan nie wie absolutnie nic o tych kobietach z Nordmarki? –

spytał. – I kto mógł je zabić?

– Nie.

– A Krogh o nich nie wspomniał?

Moberg energicznie pokręcił głową.

– Nigdy!

– A Gustav Lande... wie pan coś o nim?

– Niewiele ponad to, co było w gazetach, a czego zresztą sam byłem źródłem... Lande był adwokatem i hurtownikiem, patronem NS, silnie powiązany z biznesową działalnością SS, a także z niemieckim *attaché* handlowym, i to zarówno przed, jak i w czasie wojny. Był też właścicielem kopalni Knaben i mnóstwa innych rzeczy... Dla Niemców był bardzo cennym nabytkiem: otworzył im wiele drzwi i autentycznie wierzył w tysiącletnią Rzeszę. Czego Niemcy jeszcze mogli pragnąć? Lande był ważny, dopóki nie odebrał sobie życia i sam się nie strącił w niebyt.

– Ale ktoś przecież zabił jego narzeczoną, jego córkę i jego służącą?

Moberg kiwnął parę razy głową, pogłaskał brodę. Tommy widział wyraźnie, że profesor czuje się bardzo nieswojo.

– Czy Lande był tak ważny dla Niemców, że jego rodzina mogła się dostać na muszkę podziemia?

Moberg kręcił się na krześle.

– Niby tak...

– Policja państwowa prowadziła tę sprawę jako prawdopodobną zbrodnię na tle politycznym. Podczas przesłuchań na Møllergata jakiś człowiek popełnił samobójstwo... Nie jest więc całkiem nieprawdopodobne, że to podziemie wykończyło tę trójkę w Nordmarce?

Profesor nie odpowiedział. Zamiast tego zdjął okulary i zaczął mocno trzeć osadzone blisko siebie oczy.

– Sądzi pan, że Krogh mógł wiedzieć, kto zlikwidował te kobiety? – naciskał Tommy.

Moberg raz jeszcze wykonał swoje ćwiczenie oddechowe, jakby uprawiał swobodne nurkowanie, a teraz przygotowywał się do zanurzenia w nieznanym akwenu. Oddech wstrzymywał wyjątkowo długo. Kiedy go wypuścił, twarz miał czerwoną i zaczął szybko oddychać.

– To sprawa bardzo delikatna, sam pan rozumie. Właściwie to u nas ostatnie tabu... Carl Oscar nigdy tego nie zdemontował, kiedy w latach siedemdziesiątych napisałem w pewnej książce, że to on wykonał wyrok na Gudbrandzie Svendstuenie... Ale z wyjątkiem tego pośredniego



potwierdzenia, milczał na ten temat jak grób. Nikt nie chodzi i się nie chwali, że zabił ludzi, panie Bergmann. Ja sam bardzo niewiele o tym wiem. Sprawa wyroków podziemia jest w Norwegii bardzo słabo przebadana, a w porównaniu z taką Danią – prawie w ogóle. Oczywiście, jeśli mamy tu do czynienia z wykonaniem wyroku!

– Wszystko na to wskazuje – powiedział Tommy. – A Carl Oscar Krogh został zamordowany, i to też delikatna sprawa. A stanie się jeszcze delikatniejsza, jeśli wezwę pana na formalne przesłuchanie.

Moberg wyciągnął przed siebie ręce obronnym gestem.

– Już dobrze, dobrze – powiedział. – Jeżeli, ale tylko jeżeli te trzy kobiety zlikwidowało podziemie, to jest wysoce prawdopodobne, że Carl Oscar wiedział, kto to zrobił.

– Czy Kaj Holt mógł wiedzieć, kto wykonał ten wyrok?

Moberg skinął głową, a potem usiadł do komputera. Kilkadziesiąt sekund później stojąca za nim drukarka wypuła pojedynczy arkusz.

– Proszę – powiedział. – Oto lista pięciu osób z kręgu Carla Oscara, które jeszcze żyją. Nie sądzę jednak, żeby mogły albo chciały coś powiedzieć.

Tommy wziął listę i spojrzał na nazwiska. Miał przy tym uczucie, że o czymś zapomniał.

– Kaj Holt zabrał ze sobą do grobu bardzo wiele. Bardzo wiele – powiedział Moberg ze smutną miną. – Każdy historyk dałby sobie rękę uciąć, żeby móc go przywrócić do życia... Ale owszem, jest na sto procent pewne, że Holt wiedział, kto wykonał ten wyrok, to znaczy, o ile to był wyrok.

– Co pan powiedział Kroghowi o Holcie, kiedy rozmawialiście przez telefon po raz ostatni?

– To, co zawsze mówię, kiedy ktoś do czegoś tak maniakalnie powraca – powiedział Moberg z lekkim uśmiechem.

– To znaczy?

– Że mania nie pozwala widzieć rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

– No i?

– Niech pan nie wpada w tę samą pułapkę, co Carl Oscar, niech pan nie marnuje czasu na Kaja Holta. To, że odebrał sobie życie, było tragedią, niech pan nie robi z tego jeszcze większej.

Tommy popatrzył mu prosto w oczy, a potem spojrzał na listę. A więc przy życiu zostało ich tylko pięciu. Obok nazwisk wszystkich pozostałych widniał czerwony krzyżyk.

„To może być jeden z tej piątki” – pomyślał. Zanotował, że ktoś ma pod

tym kątem sprawdzić listy odwiedzin w Domu Opieki Oppsal, a także bilingi Krogha. Zaczął przerzucać kartki notatnika. Od pół godziny miał wrażenie, że o czymś zapomniał.

„Jest!” – pomyślał i dokładnie przeczytał jeden z wydruków z Internetu, który utkwiał między oprawą notesu i jego pierwszą kartką. W artykule o Kaju Holcie cytowano co prawda Torgeira Moberga, ale znajdował się tam także odnośnik do innego autora, Finna Nystrøma.

– No właśnie – powiedział. – Widzę tu, że w związku tym, co napisano o Holcie, cytuje się niejakiego Nystrøma.

Podniósł wzrok na Moberga. Ten oparł głowę na wysokim oparciu biurowego fotela. Promienie słońca, które wdarły się przez okno po prawej stronie, oświetliły mu twarz, która i tak mocno pociemniała. Tommy nie wiedział, czy to złość, czy ogromny żal, ale z pewnością coś było z nim nie tak.

– Czy on też tu pracuje? – spytał.

Profesor nie odpowiedział, wpatrywał się w jakiś punkt na ścianie obok Tommy’ego. Nastąpiła długa chwila ciszy. Znikąd, nawet z korytarza, nie dobiegał żaden dźwięk.

– Nie – powiedział w końcu Moberg. – Finn tu nie pracuje.

– A gdzie...

– Nie pracuje od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. – Profesor był już opanowany. Zwrócił oczy na Tommy’ego. – Ale to z nim powinien pan o tym rozmawiać, nie ze mną.

– Rozmawiać o czym? – spytał Tommy, gryzmołąc trzy wykrzykniki obok nazwiska „Nystrøm”.

– O Holcie.

Tommy poczuł, że coś zaczyna mu tętnić w lewej skroni. Pochylił się do przodu na krześle, nagle stwierdzając, że nie ma za dużo czasu.

– Gdzie znajdę...

– Gdzie pan znajdzie Finna? – dokończył Moberg i skrzywił twarz w smutnym uśmiechu, który zaraz zniknął. – Napisał doktorat o Holcie, ale nikogo poza mną ten doktorat nie zainteresował. Kapitan Kaj Holt nie pasował bowiem do narracji o drugiej wojnie światowej obowiązującej w tym kraju, i nigdy nie będzie pasował. Teraz ta praca doktorska zbiera kurz gdzieś w Bibliotece Uniwersyteckiej, o ile Finn jej nie wy dostał i nie wrzucił do niszczarki. To cud, że udało mu się wydusić cały doktorat z tak skąpych źródeł, choć ileś tam razy pojechał do Moskwy, Sztokholmu, Londynu, you

*name it.*

– A gdzie jest teraz?

Moberg podniósł do góry rękę, a Tommy pod pachą jego błękitnej koszuli zauważył ciemną plamę potu.

– Finn był najwybitniejszym studentem, jakiego miałem. Sam zostałem wcześniej profesorem, ale Finn... Finn był fenomenem. Wziąłem go sobie na asystenta, zrobiłem z niego współautora moich dwóch książek. Po prawdzie, to on napisał większą część tej drugiej... Ale rozmieniał się trochę na drobne: po doktoracie został adiunktem, uczył studentów, pisał razem ze mną, a obok tego miał swój własny, duży projekt badawczy.

– I gdzie jest teraz?

– Nie wiem – powiedział Moberg. Wstał z krzesła, wyraźnie wyczerpany, teraz wyglądał na emeryta, którym miał zostać za kilka tygodni. Jeszcze raz podszedł do okna. – Pamięta pan, jak cholernie zimne było lato tamtego roku, znaczy osiemdziesiątego pierwszego?

– Nie – powiedział Tommy.

– Tamtej jesieni pomyślałem sobie, że go to lato wykończyło. Załatwiło jego badawczy projekt i całe jego życie. Nie, nie mam pojęcia, gdzie on teraz jest, nie widziałem go od dwudziestu dwóch lat, bo po tym lecie już tu nie wrócił. Jego gabinet był wysprzątany, więc jakiś plan musiał wcześniej mieć... Pojechałem kilka razy do jego mieszkania, dzwoniłem do niego, oboje jego rodzice nie żyli, nie miał rodzeństwa, a związki z kobietami przelotne. Zapadł się pod ziemię i tyle. Chodziłem jego ścieżkami, ale go tam nie spotkałem.

– Jego ścieżkami? To znaczy?

– Wszyscy mają jakieś słabości... i Finn też swoje miał.

Zapadła cisza, a Tommy postanowił nie drażnić kwestii słabości Nystrøma.

– Więc pan nie wie, gdzie jest?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł profesor, nie odwracając się. Oparł czoło o szybę i stał tak z zamkniętymi oczyma. – Miałem do niego ogromną słabość, był z tych ludzi, do których inni się przywiązują... Robiłem dla niego wszystko, a on po prostu zniknął. Zabrał ze sobą wszystko – papiery, ten projekt, który kosztował go trzy lata pracy, wszystko...

Tommy wstał. Profesor wyglądał, jakby zrzucił z serca wszystko, co na nim miał.

– Spróbujemy go odnaleźć – oświadczył Tommy. – Jeśli nie żyje,

będziemy o tym wiedzieli.

Stali, patrząc na siebie. Tommy pomyślał, że Moberg nie za bardzo umie kłamać.

– No dobrze – westchnął profesor, odwracając się znów do okna. –

Finn... mieszka gdzieś w górach. I jest mu tam dobrze... Ale pewnie nie będzie chciał się w to wszystko mieszać. Chociaż kto wie... może wróci do pracy?

Sądząc z wyrazu jego twarzy, wstydził się. Tego, że próbował odciągnąć Tommy'ego od Kaja Holta i śledztwa Krogha w Sztokholmie, bo było to jedynie kiepską próbą oszczędzenia Nystrøma.

– W górach, mówi pan?

– Tak, w Vågå czy w Lom, czy jak to się tam nazywa, na pewno pan znajdzie.

Tommy położył rękę na klamce. Obok drzwi na gwoździu wisiał stary kalendarz z roku 1998.

– Jeszcze jedno: jaki był temat projektu badawczego Nystrøma? Nad czym pracował, kiedy zniknął?

– Nad wyrokami wydanymi przez podziemie.

## ***Noc z piątku na sobotę 22 maja 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Oslo*

Agnes Gerner poczuła, jak dłonie Gustava Lande muskają jej nagie ramiona. Już dwa razy to zrobił, pogłaskał ją, jakby byli tu tylko we dwoje. Na moment zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że to Pielgrzym stoi z nią na schodkach w tę ciepłą wiosenną noc.

– Dziękuję za piękny wieczór – powiedział Lande, cofając ręce. Głos miał zdumiewająco trzeźwy jak na kogoś, kto tyle wypił. – Jesteś pewna, że nie masz ochoty na strzebiennego?

– Naprawdę muszę już iść. – Agnes położyła dłoń na jego dłoni, a on natychmiast przykrył ją drugą.

Z któregoś domu niżej dobiegł ich głośny gwar, a jacyś Niemcy zaintonowali coś, co brzmiało jak pieśń biesiadna. Wskazując ręką w tamtym kierunku, Lande pokręcił głową.

Agnes doszła do wniosku, że on ma tylko dwie wady: że jest aż o trzynaście lat starszy od niej i że jest zdeklarowanym nazistą.

On tymczasem nie puszczał jej ręki.

– W przyszły piątek jedziemy na lotnisko, a w sobotę urządzam tam małe przyjęcie. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś przyszła. – Wziął ją za drugą rękę, ale zaraz puścił. – Cecilia też byłaby zadowolona... Chyba że Schreiner miałby coś przeciwko temu?

Agnes westchnęła cicho i objęła go w pasie.

– Skończyłam z nim, Gustavie.

Lande patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem nachylił się i pocałował ją w policzek.

– To dobrze – powiedział. – To dobrze.

– A więc w sobotę?

– Możesz jechać razem z nami w piątek wieczorem, Cecilia byłaby szczęśliwa. Ale to twoja decyzja.

Stała na palcach, pocałowała go leciutko w usta i pogłaskała po plecach.

– Chętnie pojedę – powiedziała i zeszła o stopień niżej.

Lande głęboko odetchnął i przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał ją zatrzymać, ale w końcu puścił jej rękę i wyszedł razem z nią na ulicę.

– Zadzwon do mnie, dobrze? – powiedziała, odwracając się i chwytając

klamkę taksówki, która od kilku minut czekała przed furtką. Jeśli dobrze odgadła po sylwetce, był to Ford, model 68. Usiadła z tyłu i zamknęła oczy.

– Hammerstads gate – powiedział Lande do szofera, dał mu banknot i klepnął dwa razy dłonią w dach samochodu.

„Jedź” – przynaglała szofera w myślach Agnes. „Na miłość boską, jedź już!”

Szofer przekręcił kluczyk zapłonu i ośmiocylindrowy silnik zawarczał tak głośno, że pewnie obudził całą ulicę.

Agnes zagłębiła się mocniej w siedzenie i poczuła, jak zwalnia jej tętno. „No, niebezpieczeństwo minęło” – pomyślała i zamknawszy oczy, zaczęła przypominać sobie sceny z przyjęcia.

Ledwo przejechali kilkadziesiąt metrów, szofer głośno westchnął z rezygnacją. Agnes otworzyła oczy i w bocznym lusterku zobaczyła z tyłu parę świateł.

„To było zbyt piękne, żeby mogło trwać” – pomyślała i w ułamku sekundy zobaczyła film z całego swojego życia. „Spokojnie, to tylko jakiś samochód” – pomyślała chwilę później. Ale nie, nie było wątpliwości, samochód był niemiecki i czekał na moment, kiedy ona wsiądzie do taksówki, a poczekałby na ten moment nawet całą noc, gdyby zdecydowała się spędzić ją z Landem. Była zresztą taka chwila, gdy pod wpływem alkoholu brała to pod uwagę.

We wstecznym lusterku widziała, jak samochód za nimi daje sygnały światłami. Agnes poczuła, że jej serce zatrzymuje się na moment. Drżącymi i nagle zlodowaciałymi rękoma zaczęła gmerać w torebce, szukając fiołki z cyjankiem. Mocno zacisnęła ją w dłoni.

Taksówka zatrzymała się u wylotu Borgenveien.

– Przepustka... Licencja... Dowód... – wymamrotał do siebie szofer, a potem obrócił się do niej. – Mam nadzieję, że ma pani przy sobie dokumenty?

Kiedy od strony szofera podszedł do samochodu jakiś cień, Agnes na moment zamknęła oczy. Do okna nachylił się niemiecki żołnierz. Jednocześnie ktoś spróbował otworzyć przednie drzwiczki od strony pasażera.

– *Öffnen Sie bitte* – odezwał się żołnierz.

„Bitte?” – zdziwiła się Agnes. Taka uprzejmość u Niemca zatrzymującego w nocy taksówkę?

Szofer nachylił się i odblokował drzwi od strony pasażera.

– *Danke* – powiedział jakiś głos w ciemności.

Agnes rozpoznała ten głos i mocniej zacisnęła ampułkę w rękę.

Do taksówki wsiadł Brigadeführer Seeholz. Szofer podał mu dokumenty.

– *Nein, nein, weiter* – powiedział do niego Niemiec i dał ręką znak, że mają jechać.

Z kamienną twarzą szofer wrzucił bieg, gwałtowne szarpnięcie zdradziło jednak, że jest mocno wyprowadzony z równowagi.

Agnes uśmiechnęła się do esesmana.

– To pan, panie Brigadeführer! – Położyła lewą rękę na jego ramieniu i przechyliła głowę na bok. – Jaka miła niespodzianka!

Popatrzył na nią oczyma bez wyrazu, a potem wbił wzrok w drogę przed sobą.

Wymieniła spojrzenia z szoferem. Nawet w ciemnościach kabiny widziała, że zmarszczył czoło, usiłując to wszystko zrozumieć.

– Jestem żonaty – odezwał się nagle Seeholz, kiedy wyjechali na Slemdalsveien. – Z mojej strony nie musi się pani niczego obawiać, panno Gerner.

Agnes nic z tego nie rozumiała, ale te kilka słów i ton, jakim je wypowiedział, spowodowały, że ogarnął ją spokój.

W ciszy jechali wzdłuż Slemdalsveien z jej pograżonymi w śnie mieszczkańskimi willami po lewej stronie i czarnymi szynami kolejki na Holmenkollen po prawej.

– Który to numer na Hammerstads gate? – spytał szofer, zwalnając.

Ręka Agnes, w której trzymała ampułkę z cyjankiem, nagle się spociła, a jej serce znów zaczęło mocno bić. Może Seeholz wcisnął się do jej taksówki właśnie po to, żeby się dowiedzieć, gdzie mieszka?

– Dwadzieścia cztery – odparła.

Esesman obrócił się ku niej i kiwnął głową, a potem zajął się wyglądaniem przez okno. Jak przestraszone dziecko, Agnes zaczęła liczyć. Policzyła do dziesięciu, potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Taksówka zatrzymała się pod bramą kamienicy, a Agnes poczuła rękę Seeholza na swojej lewej dłoni. W panice zastanawiała się, czy prawą ręką udałoby się jej wystarczająco szybko włożyć fiolkę do ust.

– Ostrożnie z *Herr Landem*, panno Gerner – powiedział Seeholz. – Nie chciałbym, żeby się załamał. To taki wrażliwy człowiek... Jeśli dla pani to tylko zabawa, to... Rozumie pani, prawda?

Agnes spróbowała uśmiechnąć się swobodnie.

– Tyle tylko chciałem pani powiedzieć. – Jego wargi skrzywiły się w uśmiechu, ale tym razem był to inny uśmiech: po raz pierwszy widziała, ile w tym człowieku jest cynizmu. Nagle wydał jej się wcielonym diabłem. – A więc tu pani mieszka, panno Gerner?

Skinęła głową z rozbijającym uśmiechem. Seeholz nachylił się ku szybie, żeby lepiej obejrzeć kamienicę.

– Niech zgadnę... Na pierwszym piętrze?

Jej serce na moment stanęło. Szybko przybrała radośnie zaskoczony wyraz twarzy, jakby to rzeczywiście była tylko zabawa. Z twarzy Seeholza widziała, że jej się udało.

– Przepraszam panią, ja po prostu lubię takie zgadywanki, a pani wygląda na... dziewczynę z pierwszego piętra. – Raz jeszcze się uśmiechnął tym swoim bladym uśmiechem.

I nagle Agnes pojęła, że Seeholz chce zrobić coś, co może ją zdradzić: puścił oto jej spoczywającą na fotelu lewą dłoń, a jego ręka powoli powędrowała do prawej, zaciśniętej na fiolce z cyjankiem. Dopiero teraz przypomniała sobie, jak ją pocałował w rękę, kiedy wychodził z przyjęcia. Najwyraźniej teraz chciał zrobić to samo! Jeśli odkryje ampułkę, to koniec.

„*Have mercy on my soul*” – pomyślała Agnes.

Esesman już dotykał jej prawej ręki.

„Panie Boże, tylko ten jeden raz. Muszę go mieć ten jeden, ostatni raz” – pomyślała.

– Nie, proszę poczekać – powiedział nagle Seeholz, podniósł z siedzenia swoją czarną czapkę i otworzył drzwi auta.

Nawet nie myśląc, co robi, Agnes błyskawicznie otworzyła torebkę i wrzuciła do niej ampułkę. Chwilę później udawała, że szuka tam klucza.

„Wreszcie” – pomyślała. Jej palce wymacały klucz.

Seeholz otworzył drzwi z jej strony, a Agnes spokojnym ruchem zatrasnęła torebkę.

Dokładnie tak, jak zrobił to poprzednim razem, Seeholz chwycił ją za prawą rękę. Jej spocone palce, które jeszcze parę sekund temu obejmowały fiolkę z cyjankiem, omal nie wyslizgnęły się z jego dłoni. Na ułamek sekundy Seeholz znieruchomiał jak drapieżnik, który wyczuwa strach u swojej przyszej zdobyczy, a potem podniósł jej dłoń do ust i lekko ucałował.

„Dwie sekundy od śmierci” – pomyślała Agnes, idąc do bramy krokiem tak pewnym, jak tylko potrafiła. Była pewna, że jest obserwowana, bo wciąż



nie usłyszała za sobą trzaśnięcia drzwi samochodu. Ulica była cicha, jakby wstrzymała oddech.

Klucz wszedł w zamek za pierwszą próbą. Siłą woli zmusiła ręce, by nie drżały, zęby zacisnęła tak, że prawie popękało na nich szkliwo.

Po drugiej stronie furtki omal nie zemdląła. Jej wysokie obcasy nagle zrobiły się wysokie jak wieże, krew uciekła jej nagle z głowy. Przez chwilę stała oparta plecami o bramę z drugiej strony, a potem zmusiła się do wejścia na piętro. Seeholz na pewno będzie wypatrywał mieszkania, w którym nie zaciągnięto zaciemniających zasłon. Mimo że było w nim ciemno, jeśli tylko uważnie się im przyglądać, okna bez zaciemnienia i tak będą się odróżniać od innych.

Nie od razu zrozumiała, co w mieszkaniu jest nie tak. Rozejrzała się w ciemnym przedpokoju i niby wszystko było jak wcześniej: buty stały na podłodze pod półką na kapelusze, oba płaszcze wisiały na swoim miejscu, kapelusze leżały jak przedtem, drzwi do jadalni były otwarte.

„Ale ciemność” – pomyślała. „Ciemność jest jakaś inna”. Mimo że miasto pogrążone było w mroku, w maju noce nie były całkiem czarne i na podłodze przedpokoju widać byłoby nieco światła.

Czy zasłony w jadalni były wcześniej zaciągnięte? Nie była całkiem pewna, czy tego przypadkiem nie zrobiła. Stała na środku przedpokoju i nadśluchiwała dźwięków, które by jej powiedziały, że w mieszkaniu ktoś jest. Czy Seeholz ją oszukał? Bawił się z nią w kotka i myszkę?

Na ulicy ktoś uruchomił silnik motocykla, a potem mercedesa Brigadeführera Seeholza. Kiedy mała kawalkada odjechała w kierunku miasta, wokół niej nastąpiła cisza, jakby esesman zabrał ze sobą wszystkie dźwięki tego świata.

Zdjęła prawy but, chwyciła się ściany, by utrzymać równowagę, potem lewy. Idąc w samych pończochach ku jadalni, przeklinała Pielgrzyma i jego szefa za to, że nie dali jej broni. Gdyba miała pistolet, może wyszłaby ze wszystkiego cało?

Stała w drzwiach salonu. Kiedy upewniła się, że i tu zasłony są zaciągnięte, serce zaczęło się kołatać w piersi. W uszach tętniło jej tak głośno, że nie usłyszałaby nawet własnego krzyku.

„Kto to, do diabła, zrobił?!” – myślała. „Kto?” Nagle wyczuła zapach czegoś znajomego: wody po goleniu.

– Dlaczego dziś nie przyszłaś? – spytał głos z ciemności.

Cofnęła się i przez ułamek sekundy myślała, że parkiet ucieknie jej spod

nóg, ale rozpoznała ten głos i wrócił jej cały rozsądek.

Poszukała ręką przełącznika, a kiedy na suficie rozbłysło światło, rozejrzała się po kwadratowym pokoju. Pianino, komplet wypoczynkowy, biblioteczka, krzesło... Nikogo tam nie było. W końcu zobaczyła go z lewej strony – stał i zasłaniał oczy od ostrego światła. Miał na sobie garnitur, w jakim go nigdy dotąd nie widziała, świeżo obcięte włosy, gładką skórę, wypoczęte oczy i zawadiacki uśmiech.

– Uwielbiam siadywać w parku – oświadczył Pielgrzym – ale nie zupełnie sam!

– Boże! – wykrzyknęła Agnes. – Carl Oscar... – Ruszyła niepewnie w stronę kanapy i położyła się na niej.

Pielgrzym stał bez ruchu.

– Od kilku dni próbowałam się z tobą skontaktować – powiedziała.

– Byliśmy umówieni!

– W środę zadzwonił do mnie Gustav Lande.

– Lande? – Carl Oscar szybko przeszedł pokój i usiadł na krześle.

Agnes opowiedziała, jak było, łącznie z tym, że została zaproszona na weekend do jego domu. Powiedziała mu, że wkrótce będzie jadł jej z ręki.

Pielgrzym wstał z krzesła, ukląkł przy niej, wziął jej twarz w dłonie i uśmiechnął się.

– To fantastyczne. Jesteś wspaniała!

„A ty jesteś szalony” – pomyślała. „I ja, która cię kocham, też”.

– Nie wolno ci tu nigdy przychodzić – powiedziała tak cicho, że sama się ledwo usłyszała. – Rozumiesz? Nigdy!

Pogłaskał ją po policzku, jakby była dzieckiem, które trzeba pocieszyć.

– Kochanie, to nie jest takie niebezpieczne. Naprawdę nie chciałem cię przestraszyć. To tylko Numer jeden... On histeryzuje. Martwię się o niego. Zapomnij, co teraz powiedziałem, dobrze?

– Carl Oscar, obiecaj mi to. – Agnes odjęła jego rękę od swojej twarzy i usiadła. Potem wyjęła papierosa z leżącej na stoliku papierośnicy.

– Dlaczego?

– Nieważne, po prostu obiecaj. – Zapaliła zapałkę i przyjrzała się płomieniowi.

Kiwnął głową.

– Nie, musisz to powiedzieć.

– Obiecuję – powiedział Carl Oscar. – Zaufaj mi. Obiecuję.

– Brigadeführer Seeholz wie, gdzie mieszkam, a nawet, w którym

mieszkanu.

Agnes wzięła papierosa oraz popielniczkę i przeszła do sypialni. Leżała na łóżku, słuchając szumu wody, kiedy Pielgrzym brał prysznic. Rękę z papierosem oparła o nocny stolik, lewym przedramieniem zasłoniła oczy. „Byłam bliska śmierci” – pomyślała.

Kiedy obudziła się następnego ranka, Pielgrzyma już nie było, został po nim tylko zapach w pościeli. Poczowała, że raz jeszcze pozwoliła mu dojść w sobie, obróciła się na obok i znów zasnęła.

Obudziła się około południa i po paru sekundach przypomniała sobie swój sen. Ten młody Niemiec na tarasie, ten niby dyrektor od papieru. We śnie tańczyli i tańczyli, ale nie było tam nikogo innego, tylko ten ciemny pokój bez muzyki... W końcu położył ręce na jej szyi i zacisnął. Co było w nim takiego dziwnego? Te delikatne ręce, jak u urzędnika, te dziwne, świdrujące, ale mimo wszystko namacalnie piękne oczy.

Zaraz, jak on się nazywał?

W szufladce nocnego stolika znalazła arkusz papieru, z torebki wyjęła pióro.

„Peter Waldhorst” – napisała na nim, a potem zmięła arkusz w kulkę i rzuciła na środek parkietu. „Jak długo będziesz udawał martwego, żeby mnie przynęcić?” – pomyślała.

Jej spojrzenie powędrowało na sufit, który ostatnio malowano wiele lat temu. W rogu zauważyła pajęczynę. Szarpała się w niej mucha.

„Skazana na śmierć” – pomyślała. „Jesteś skazana”.

**Środa, 11 czerwca 2003**

*Lofrudshøgda*

*Mortensrud*

*Oslo*

Tommy Bergmann nacisnął guzik przy nazwisku „Torkildssen Hajd-Said”. Nikt nie odpowiedział. „Trudno” – pomyślał i wślizgnął się do klatki za starszym Pakistańczykiem z kluczem. Może jeszcze nie wróciła? Spojrzał na zegarek, było pięć po ósmej. Zatrzymał się na podeście pierwszego piętra i sprawdził pierwszego SMS-a, którego od niej dostał: napisała tam „20.00-20.30”. Poszedł więc dalej, na czwarte. Kiedy wchodził na ostatnie stopnie, tętno miał szybsze niż na rozgrzewkach z Arne Drabløsem.

Mieszkanie znajdowało się mniej więcej w środku korytarza, a na jego drzwiach wisiała ceramiczna tabliczka z napisem „Sara i Hadja”, którą Sara wykonała na pracach ręcznych w szkole. Naciskając guzik dzwonka i czując jego wibrację pod palcem, Tommy zamknął oczy i wciągnął nosem powietrze pełne egzotycznych zapachów gotowanych na tym piętrze obiadów.

Wzdrygnął się, kiedy drzwi się nagle otworzyły.

Hadja stała w nich ubrana w krótki, biały szlafrok, a na głowie miała zwinięty jak turban różowy ręcznik. Na podłodze widać było mokre ślady stóp prowadzące z pomieszczenia, które – jak Tommy zgadł – musiało być łazienką. Przedpokój wypełniał świeży zapach mydła i perfum.

– Przepraszam – powiedziała i wybuchnęła śmiechem.

Tommy też się roześmiał.

– Normalnie nie otwieram tak drzwi, ale druga zmiana się dziś spóźniła, a ja musiałam jeszcze zrobić zakupy i wziąć prysznic – wyjaśniła.

Za nią na podłodze leżało kilka reklamówek z ICA i cienka siatka ze sklepu prowadzonego przez imigrantów. Z torby Monopolu wystawały szyjki dwóch butelek wina.

– Czy... mogę? – spytał Tommy, pokazując na drzwi.

– Boże, oczywiście, wejdz! – powiedziała, cofając się w głąb przedpokoju. – W końcu cię zaprosiłam!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, jakby oboje myśleli o tym samym: że na coś takiego nie znają się wystarczająco dobrze. Podeszła bliżej i jakoś tak się stało, że się objęli. Hadja mocno przycisnęła rękę do jego pleców i przesunęła ją w górę i w dół.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Tommy.

Puściła jego plecy. Jej oczy tak błyszczały, że przez chwilę Tommy

myślał, czy przyjście tu było dobrym pomysłem. Zastanawiał się, czy jest w stanie zaspokoić oczekiwania, które najwyraźniej miała.

– Pewnie myślisz, że jestem stuknięta – powiedziała Hadja, zdejmując turban. Roześmiała się znów, a Tommy poczuł, że jego napięcie ustąpiło.

– Nie jesteś stuknięta – oznajmił.

„Jesteś za to fantastyczna” – pomyślał, przyglądając się jej, gdy szła w stronę łazienki.

– Napij się wina, a ja coś na siebie narzucę, OK? – Wzięła jedną z butelek i mu podała. – A potem zrobimy obiad, bo ja nie zdążyłam nawet zacząć... Ty dobrze gotujesz, prawda? – dodała, znikając w łazience.

– Znakomicie – powiedział Tommy, oglądając drzwi do pokoju Sary, oklejone plakatami z wizerunkami najnowszych idoli nastolatków. Nie miał pojęcia, kim oni wszyscy są.

Hadja wyszła z łazienki i przeszła obok niego, wchodząc do pokoju córki.

– Tu mamy wszystkie ubrania – wyjaśniła.

Tommy kiwnął głową, mocniej chwycił butelkę i przeszedł do pokoju dziennego. Było to dwupokojowe mieszkanie z dużym, jasnym pokojem dziennym i przestronnym balkonem, z którego roztaczał się piękny widok na fiord Bunne i na Nesoddladet. Nad kanapą wisiała wielka, czarno-biała, ekspresjonistyczna litografia. Przyglądając się jej, Tommy zdał sobie nagłe sprawę, że w mieszkaniu gra muzyka. Na półce w rogu stał dość nowoczesny gramofon, a ze starych głośników firmy JBL niósł się cichy dźwięk *My Funny Valentine* w wersji Radki Toneff. Na podłodze leżała koperta płyty *Fairytales* <sup>1</sup>. Tommy pokręcił głową.

– Co jest? – spytała Hadja.

Była bosa i miała na sobie jasną, letnią sukienkę. Patrzyła na niego z głową przechyloną na bok.

– Nic takiego – odparł. – Coś mi to przypomniało.

– A co takiego?

– Ta półka, ta muzyka, ten gramofon... przy czymś takim dorastałem.

Prawda była taka, że ta muzyka przypominała mu dzieciństwo w mieszkaniu takim jak to, gdzie na obiad dostawał płucka i kaszanekę, gdzie na półce leżały egzemplarze „Sirene”, gdzie słuchało się Radki Toneff i Joni Mitchell, gdzie pachniało papierosami, gdzie na ścianach wisiały grafiki, na których kupno oszczędzało się latami... I gdzie była jego matka, o włosach prawie tak ciemnych, jak Hadji. Uśmiechnął się do samego siebie.

– *Sorry*, moja mama tego słuchała, mogę nastawić coś innego, bo to

trochę smętne, prawda? – I już szła w stronę gramofonu.

– Nie, nie – zaprotestował Tommy, chwytając ją za rękę. – Niech sobie śpiewa, ja ją lubię.

„O kurczę” – pomyślał, zerkając na nią, gdy znów szła do łazienki. „Czyżby to nasze matki miały nas połączyć?” Jego wzrok przykuło teraz stojące przy jednym z głośników wyblakłe zdjęcie z lat siedemdziesiątych. Była na nim ciemnowłosa kobieta przy pomoście, zapewne gdzieś na południowym wybrzeżu, z trzy- lub czteroletnią Hadją na ręku. Uśmiechała się do fotografa.

Zanim usiedli do obiadu, na który były jagnięce kotlety, poprzedniego wieczoru zamarynowane w czymś, co Hadja nazwała „szermula”, opróżnili po kilka kieliszków wina. Idąc do łazienki, by skropić twarz zimną wodą, Tommy poczuł, że jest lekko wstawiony. Z Hege byli w wielu rzeczach podobni, ale w innych zasadniczo odmienni; z Hadją niby byli zupełnie różni, ale gdzieś w głębi serca czuł, że są pokrewnymi duszami. A może to tylko w jej sposobie bycia było coś takiego, co sprawiało, że czuł się przy niej dobrze? Sposób, w jaki do niego mówiła, i spokój, którym emanowała, sprawiały, że czuł się, jakby był jakimś innym człowiekiem, może nawet lepszym... Wytarł twarz ręcznikiem wiszącym przy umywalce i zanim się wyprostował, na półeczce pod lustrem zauważył dwa opakowania imovanu. Powiedział sobie, że nie ma w tym nic niezwykłego. Kiedy miał staż w służbie patrolowej, zdarzało się, że brał od Hege tabletkę, by przespać dzień. Hadja była pielęgniarką, więc lekarstwa u niej nie były niczym dziwnym.

Zjedli na balkonie, a Hadja opowiadała mu o swoim życiu, jakby byli dobrymi znajomymi. To głównie ona prowadziła rozmowę, on tylko od czasu do czasu zadał jakieś pytanie, czasem powiedział coś o sobie, lukrując i pudrując swoje życie znacznie bardziej niż ona. Pomyślał, że zaufanie, które mu okazywała, z jednej strony czyniło ją piękniejszą, z drugiej budziło u niego lekki niepokój. Korzyść z jej otwartości była taka, że nie musiał wiele mówić o sobie.

– Moja mama odebrała sobie życie, kiedy miałam piętnaście lat, zostałam tylko z tatą... Kiedy wróciłam z USA, w ciąży z czarnym mężczyzną, odtrącił mnie. To hipokryta – jak mu to pasuje, jest muzułmaninem, chodzi do meczetu, bo wypada, a po powrocie do domu lubi się napić, rozumiesz, co mam na myśli?

Tommy zapalił dla niej papierosa.

– No, nie będę ci już zwracać głowy moimi problemami – powiedziała.

Potrząsnął głową, napił się jeszcze wina. Było już wpół do dwunastej, ale dalej na tyle ciepło, że dało się siedzieć na zewnątrz. Cztery piętra niżej wciąż bawiły się dzieci. Tommy poczuł, że szumi mu w głowie od wina, od zapachu rosnących na balkonie jaśminu i lawendy, od jej widoku, od tego, że położyła mu na kolanach swoje nogi. Zaczął delikatnie głaskać jej łydki. I ani przez chwilę nie pomyślał, że to wszystko dzieje się zbyt szybko.

– Kiedy mama żyła, ojciec był liberalny. Był to dom artystów, on prowadził restaurację, ona malowała, on patrzył przez palce na jej romanse, dom był stale pełen ludzi... Kiedy odeszła, całkiem się zmienił. Tak, jakby się bał, że będę taka jak ona. Teraz miałam zostać posłuszną muzulantką... Wyprowadziłam się do ciotki, poszłam do Katty <sup>2</sup>... – przerwała, patrząc w dal.

Przez dłuższą chwilę siedziała tak, nieobecna duchem, a papieros dopalał jej się w palcach.

– Jak długo byłeś żonaty? – spytała w końcu.

– Nigdy nie byłem.

– To ona odeszła?

– Tak – odparł, ale dopiero po chwili.

– Głupio zrobiła – powiedziała Hadja. Wzięła go za rękę, tę, którą głaskał jej łydkę.

Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, kiedy całował się po raz ostatni. Hege odeszła w sierpniu poprzedniego roku. „Rok...” – pomyślał.

– Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy... – zaczęła cicho, ale nie skończyła. Siadła mu na kolanach, pochyliła się i mocno go objęła, głośno oddychając.

Tommy przestał myśleć o czymkolwiek.

Nawet wtedy, kiedy leżał na pościelonej kanapie. Patrzył tylko na tę energiczną kobietę, która kręciła się półnaga po pokoju, gasząc światło za światłem, aż została tylko jasność letniej nocy.

1. Radka Toneff – urodzona w 1952 roku legendarna norweska wokalistka jazzowa pochodzenia bułgarskiego. Jej płytę *Fairytales* uznano w Norwegii za najlepszą norweską płytę wszech czasów. W roku 1982, w wieku trzydziestu lat popełniła samobójstwo. [\[wróć\]](#)

2. Katta – potoczna nazwa Katedralskole, elitarnego liceum w Oslo. [\[wróć\]](#)

## **Piątek, 28 maja 1942**

*Kristian Augusts gate*

*Oslo*

Z okna widziała zmierzający ku pałacowi patrol policji. Ubrany na czarno oficer szedł przodem zdecydowanym krokiem, jakby w świecie nie było już nadziei, obietnicy lata, niedzieli przeznaczonych na wypoczynek. Młodzi członkowie Hirdu <sup>1</sup> szli za nim jak stadko kaczuszek, gotowi spełnić każdy jego rozkaz. Z przeciwnego kierunku nadjechała niewielka wojskowa kolumna, składająca się z trzech ciężarówek. Jedna z nich wypełniona była po brzegi żołnierzami Wehrmachtu, którzy machali do dziewcząt na chodniku. Oficer policji podniósł ramię w faszystowskim pozdrowieniu, a kawałek dalej zaczął czepiać się dwóch młodych ludzi, którzy stali sobie i palili papierosy.

Agnes przycisnęła twarz do szyby, modląc się, by tych dwóch miało przy sobie dokumenty. Jeden z nich, blondynek w starym swetrze i znoszonych butach, zrobił gest, jakby chciał uciekać.

„Nie rób tego” – powiedziała w duchu Agnes. Norweska policja miała rozkaz otwierać ogień do wszystkich, którzy w takiej sytuacji próbują uciekać, a ten oficer wyglądał na kogoś, kto chętnie ten rozkaz wykona.

Jakżeby chciała móc rozwalić któregoś z tych nazistów, zamiast kłaść się z nim do łóżka! Ileż to razy pytała Pielgrzyma, a nawet Numeru 1, kiedy miała z nim rzadki kontakt, czy naprawdę tylko tego od niej wymagają? Czy naprawdę tylko do tego jest im potrzebna?

Drgnęła, bo na biurku głównej sekretarki zadzwonił telefon. Drzwi do gabinetu Helge Schreinerera były otwarte, a on sam nie wyszedł na lunch, więc nie musiała tego telefonu odbierać.

Zdążył zadzwonić cztery razy, zanim Schreiner pokazał się w drzwiach. Jego zachowanie w stosunku do niej było poprawne, choć nie ukrywał, że zerwanie sprawiło mu ból.

– Odbierzesz? – spytał.

Agnes kiwnęła głową i przeszła na drugą stronę biurka.

– Biuro adwokackie Schreinerera i Willumsa, słucham? – Wyjrzała znów przez okno, choćby tylko po to, żeby uniknąć błagalnego spojrzenia stojącego w drzwiach Schreinerera. Był jak pies, gotów wypełnić każdą zachciankę pani. Policjanci musieli zabrać ze sobą dwóch młodzieńców, bo nigdzie nie było ich widać.

– Nic lepszego niż ty nie mogło mi się przydarzyć – powiedział głos po



drugiej stronie.

– Gustav! – wypaliła.

Mina Schreiner wydużyła się. Przez chwilę patrzył na nią błagalnym wzrokiem, a potem wycofał się z godnością.

– Każę szoferowi po ciebie podjechać – powiedział Gustav. – To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Nastąpiła chwila ciszy.

– A co... mam ze sobą zabrać?

– Spakuj się na weekend – odparł. – Chcę, żebyś czuła się tam jak w domu.

– Myślałam o tobie.

Lande chyba nie wiedział, co powiedzieć.

– A ja o tobie – odezwał się w końcu.

„W innym czasie” – pomyślała. „I w innym miejscu”.

Umówili się, że będzie gotowa na wpół do czwartej, a Agnes była w takim buńczucznym nastroju, że nie zawahała się wejść do gabinetu Schreiner i poinformować go, że musi niestety wyjść godzinę wcześniej.

A on zrobił tylko minę zbitego psa i kiwnął głową.

– Gustav Lande, co? – westchnął.

Tuż przed wpół do czwartej ktoś mocno zapukał do drzwi. Agnes skuliła się, czy to aby nie gestapo? „Bzdura” – powiedziała sama do siebie i dokończyła malować usta przed toaletką. Zapukano raz jeszcze.

W drzwiach pokazała się młoda, blada twarz. Naszywka na rękawie munduru powiedziała jej, że to kapral, a sam mundur, że to dzięki Bogu Wehrmacht, a nie SS.

– *Fräulein* Gerner – szczechnął, strzelając obcasami. – Mam rozkaz zawieźć panią do wiejskiej posiadłości *Herr* Gustava Lande!

– W porządku – odparła Agnes.

– Pani pozwoli – powiedział i wziął jej walizkę.

„Szkoda, że Christopher Bratchard tego nie widzi” – pomyślała, kiedy zatrzymano ich na punkcie kontrolnym na Skøyen. Kapral nonszalanckim gestem wręczył papiery żołnierzowi, który wsunął głowę do kabiny, żeby upewnić się, że BMW naprawdę jest własnością Niemców. Podając swoje dokumenty, Agnes rzuciła mu senne i obojętne spojrzenie.

W drodze na Rødtangen kapral nie odezwał się ani słowem, nie spojrzął nawet we wsteczne lusterko. Agnes w zupełności to odpowiadało.

Zdrzemnęła się i spała aż do momentu, gdy samochód wjechał na nierówną

drogę. Obróciła się i wyjrzała przez tylną szybę: musieli już przejechać Holmsbu. Nagle zaczęli ostro zjeżdżać w dół, gdzie w gęstym lesie zobaczyła białą willę w stylu szwajcarskim i przycumowany do pomostu, lekko kołyszący się jacht.

To miejsce było bajeczne i Agnes nie miała na nie innego słowa. Kiedy stanęła na końcu pomostu z ręką Gustava na ramieniu i rączką Cecیلی w swojej dłoni, miała wrażenie, że to wszystko jest nierealne. Na moment odwróciła się ku temu białemu domowi, dwóm domkom kąpielowym i czerwonej skale między pomostem a ogrodem z wszelkimi możliwymi owocami. Szybko wyobraziła sobie, że to mogłoby być jej i Pielgrzyma, a dziewczynka, którą trzymała za rękę, mogłaby być ich córeczką.

– Tam – odezwał się Lande – jest Holmestrand, między wyspami Langøya i Bleikøya. – Poglaskała Agnes jedną ręką po ramieniu, a drugą wyjął z ust fajkę, żeby nią wskazać kierunek. – A za Bleikøya leży...

– Kaczy Kuper! – wykrzyknęła Cecilia, puszczając rękę Agnes, zasłaniając nią usta i parszcząc śmiechem.

– To prawda? – spytała ją Agnes. – Naprawdę jest wyspa, która tak się nazywa?

– Tak! – odparła Cecilia.

– A może to ty jesteś Kaczy Kuperek?

Cecilia zaśmiała się jeszcze głośniej i w końcu śmiali się wszyscy troje. Widząc, jak oczy Landego błyszczą, Agnes poczuła lekki wyrzut sumienia. On naprawdę wierzył, że patrzy na przyszłość, że widzi siebie, jak się śmieje na pomoście, że od otwartego fiordu ciągnie świeża bryza, że łupkowy dach na białym domu lśni w ostrych promieniach słońca, że norweska flaga łopocze na ciepłym wietrze, a kobieta u jego boku zostanie z nim na zawsze...

„Bogu dzięki, nareszcie” – pomyślała Agnes godzinę później, kiedy pojawili się pierwsi goście. Swoją rolę odgrywała doskonale, ale kiedy Cecilia patrzyła w jej stronę albo wręcz się do niej tuliła, myśl o tym, że nic tu nie jest prawdziwe, stawała się nieznośna.

Właśnie wyszły z Cecilią z wody na małą plażę przy pomoście, kiedy zza domu pojawił się Brigadeführer Seeholz, ubrany w jasny garnitur i fatalnie na nim wyglądający słomkowy kapelusz. Agnes pomachała do niego i do jego towarzyszk, o wiele za młodej, żeby była jego żoną, narzuciła płaszcz kąpielowy, który kiedyś należał do matki Cecیلی, i wytarła gęste włosy małej. Potem owinęła ją w ręcznik, przytuliła do siebie, czując zapach słonej wody

w jej włosach, i roztarła jej zimne stopy.

– Kąpiel godna córki wikingów, panno Gerner – odezwał się Seeholz, który tymczasem zszedł na pomost i uniósł kapelusz. Potem przedstawił jej kobietę, z którą przyszedł: była to Niemka mniej więcej w jej wieku, sekretarka, równie nieważna jak Agnes. Po chwili Seeholz poszedł obejrzeć jacht przycumowany na końcu pomostu, a kobieta poszła za nim. Zapiszczała z radości, kiedy pociągnął ją za sobą na pokład, by go dokładniej obejrzeć.

Na łączce pojawił się Lande, prowadząc ze sobą kilka osób, a Agnes dźwignęła Cecilie i poszła, niosąc ją, w kierunku domu. Na końcu grupki szedł mężczyzna, którego Agnes miała nadzieję już nigdy nie spotkać, ale nadzieja okazała się płonna. Gospodarz, wyglądający na szczęśliwszego, niż z pewnością był przez te ostatnie osiem lat, poprowadził gości na pomost, ale postać w granatowym blezerze i jasnych spodniach, idąca kilka kroków z tyłu za innymi, sprowadziła rozmarzoną Agnes na ziemię. Mężczyzna bowiem zatrzymał się przed wejściem na pomost, a następnie oderwał od grupki i lekkim krokiem podszedł do domku kąpielowego, gdzie Agnes rozwieszała ręczniki na pomalowanej na biało balustradce.

Błysk słońca odbijającego się w ciemnych okularach Petera Waldhorsta walczył o lepsze ze lśnieniem pomady na jego włosach. Kiedy jednak zbliżył się do Agnes, zdjął je i włożył do kieszeni na piersi. Agnes rzadko czuła się równie nieubrana i zastanawiała się, czy aby nie właśnie dlatego do niej akurat teraz podszedł. Stała tak w mokrym płaszczu kąpielowym żony Landego, z jego córką obejmującą jej udo.

– A więc, panno Gerner, znów się spotykamy – powiedział przybysz, biorąc ją za rękę. – A ty pewnie jesteś Cecilia?

– Przywitaj się z panem Waldhorstem, Cecilio – powiedziała Agnes to dziecka.

– Mam na imię Peter – przedstawił się Niemiec, kucając przed dziewczynką. Dziwne było to, że sprawiał wrażenie autentycznie zadowolonego, jakby przed przybyciem tu zdążył wypić już ze dwa drinki. Agnes uspokoiła się nieco i spojrzała w dół – wszyscy goście byli już na pokładzie jachtu. Była to spora jednostka rzadkiej klasy „J”, którą przed wojną Lande kupił w USA.

Waldhorst tymczasem włożył rękę do kieszeni granatowego blezera.

– Popatrz – powiedział do Cecylii, która cofnęła się i mocniej objęła udo Agnes. – O, co to masz w uchu? – spytał, sięgając do uszka dziewczynki, a po chwili pokazał jej otwartą dłoń, na której pojawiła się moneta 50 øre.

Cecilia pisnęła z radości i puściła udo Agnes.

– Nie wiedziałaś, że w uszach rosną ci pieniądze? – zdziwił się Niemiec. Cecilia pokręciła głową, aż zatańczyły jej mokre włoski.

– Ten pieniążek jest twój – oznajmił Waldhorst. – W końcu wyszedł z twojego ucha! – I położył monetę na dłoni małej. – Myślisz, że w drugim też coś ci wyrosło?

– Nie... – powiedziała nieśmiało Cecilia, zerkając na Agnes, która po raz kolejny poczuła ukłucie w sercu. Nie chciała tego, ale wesołe spojrzenie małej za każdym razem ją rozczulało. Szybko pogłaskała ją po włoskach.

– Teraz uważaj! – powiedziała.

– Ooo – zdziwił się Waldhorst, wyczarowując kolejny pieniążek. – Widziałaś coś podobnego?

Kiedy się wyprostował i zapalił papierosa tym samym gestem, który Agnes zapamiętała z tarasu willi Landego, pomyślała, że jak na dyrektora od papieru, radzi sobie wszędzie całkiem nieźle.

– No, do obiadu pewnie włoży pani coś innego? – powiedział do Agnes, mrugnął do niej, a potem lekko uszczypnął Cecilie w nos, co wywołało u niej radosny pisk.

– Tobie też coś takiego robił? – spytała Cecilia, kiedy stały już rozebrane w domku kąpielowym i wyglądały przez okno w stronę jachtu, gdzie Waldhorst właśnie oglądał przedni pomost razem z innymi.

– Nie – odparła Agnes.

„Dla mnie ma pewnie przygotowane inne sztuczki. I to nie monety chce wyciągnąć z mojej głowy” – pomyślała. Wciągnęła suknię i pomogła małej włożyć jej sukieneczkę. Kiedy boso szły w kierunku domu, dziewczynka wydawała się Agnes najlepszą obroną przed każdym atakiem. „Nie dopadniesz mnie tak długo, jak będę z nią” – pomyślała, nalewając Cecilii soku i patrząc na towarzystwo powracające z pomostu. Został tam tylko Waldhorst, patrzący w stronę domku kąpielowego. Po paru sekundach wypatrzył je na tarasie, a Agnes obróciła się na pięcie i weszła do wnętrza domu.

Kiedy wieczorem, nie zważając na gorące protesty Cecilii, kładła ją do łóżka, zadała sobie pytanie, które – miała nadzieję – nigdy nie przyjdzie jej do głowy: „Czy nie mogłoby tak zostać?”.

Leżała na łóżku razem z Cecilą w białym pokoiku, firanki poruszały się w otwartym oknie, na horyzoncie zaczęło się różowić niebo, a szmer głosów z tarasu zmieszał się z terkotem silnika rybackiej łodzi wracającej na noc do

Holmsbu. Kiedy ostrożnie wyjęła ramię spod Cecylii, dziewczynka otworzyła oczy.

– Śpij, malutka – szepnęła Agnes.

– Chcę, żebyś została tu na zawsze – szepnęła Cecilia.

Agnes poczuła, że coś dławi ją w gardle. Była w stanie tylko kiwnąć głową, ale po chwili zdołała wydusić:

– Zobaczymy... może...

„Chcę stąd natychmiast wyjechać” – pomyślała, gładząc małą po czole. „I to z kimś innym niż twój tatuś”. W tym momencie zdała sobie sprawę, że przypuszczalnie nie istnieje żaden plan wydostania jej stąd. No bo ile było takich komórek jak ta ich? Czy byłyby one w stanie przerzucić ją przez granicę ze Szwecją albo na Zachodnie Wybrzeże, a stamtąd jakąś łodzią do Anglii, gdyby się okazało, że to, w co się właśnie pakuje, okazało się zbyt trudne?

Podeszła do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Na dole, na tarasie, zobaczyła Petera Waldhorsta pogrążonego w rozmowie z jakimś niemieckim cywilem, którego jeszcze nie poznała.

Kiedy wąskimi, kręconymi schodami zeszła na dół, stwierdziła, że Lande i Seeholz musieli wejść z tarasu do domu, bo usłyszała ich głosy. Stała pod schodami i zaczęła nadśłuchiwać. Głosy dobiegały z gabinetu Landego, znajdującego się obok salonu. Kiedy podeszła do okna, zobaczyła, że młoda towarzyszka Seeholza siedzi na kolanach Waldhorsta, czym Brigadeführer najwyraźniej wcale się nie przejmował. Z gabinetu dochodził jego gruby głos, od czasu do czasu też słychać było łagodne słowa Landego. Upewniwszy się, że nikt z tarasu jej nie zobaczył, wślizgnęła się do kuchni.

– No dobrze, Gustavie. Musimy tam rozłokować jedną kompanię, rozumiesz? – dał się słyszeć głos Seeholza dochodzący z otwartych drzwi gabinetu.

Któryś z nich szeleścił papierami. Kuchnię oświetlał tylko padający z gabinetu słaby promień światła, na którym widać było poruszające się cienie obu mężczyzn.

– Popatrz – odezwał się znów Seeholz. – Tu musimy rozmieścić obronę przeciwlotniczą. O, tu i tu. – Agnes wyraźnie usłyszała drapanie ołówka na papierze, jakby esesman rysował budynki otoczone stanowiskami Flaku. – I nie mamy na to za dużo czasu.

– Ale to kosztuje... – odezwał się Lande.

– Tym się nie przejmuj – odparł Seeholz. – Chcę tam jeszcze mieć

podziemną płukalnię, teraz jest za bardzo widoczna. Anglicy rozpirzą to wszystko błyskawicznie, to tylko kwestia czasu. I co wtedy? To cofnęłoby nas o kilka lat!

Lande nie odpowiedział.

Agnes wstrzymała oddech. Bała się, że tętnienie w jej skroniach jest tak głośne, że usłyszą je w gabinecie. Nie mogła już dłużej tak stać. „Uciekaj stąd!” – pomyślała. „Zrób coś!”

– To największa kopalnia molibdenu w całej Europie, masz tego świadomość? – ciągnął esesman.

– Mam nadzieję, że któregoś dnia cię ucieszę – odezwał się Lande. – Tutaj procentowa zawartość jest niska, ale jak sam mówisz, obecnie jest to największa kopalnia w Europie. Może niedługo będę miał dla ciebie dobrą wiadomość.

Mówił teraz cicho, bo nikt nie miał tego usłyszeć, a zwłaszcza ona. Ale usłyszała już dość. Jeśli uda jej się to przekazać dalej, będzie z tego o wiele większy pożytek niż z jej dwóch lat ze Schreinerem.

Ostrożnie zrobiła krok do tyłu i nagle usłyszała trzeszczenie w progu. Przez moment stała jak skamieniała, wpatrując się w ciemność, a potem w widoczne za oknem samochody. Mężczyźni w gabinecie mówili teraz bardzo przyciszonymi głosami, ale na tyle głośno, że Agnes usłyszała coś o dyrektorze działu badań.

Ktoś wszedł do środka, bo skrzypnęła jedna z desek w podłodze.

„Co mam mu powiedzieć? To Waldhorst. Przyłapał mnie. A torebka leży w salonie. Jak ja mogłam...”

Lecz nie, było to ciche chrząknięcie kobiety. Agnes miała nadzieję, że to któraś z wynajętych pomocy kuchennych z Holmsbru.

Obróciła się szybko i zobaczyła przed sobą ptasią twarz służącej.

Mężczyźni w gabinecie rozmawiali dalej.

Ani Agnes, ani służąca nie odezwały się nawet słowem. Johanne Caspersen milcząco przeszła obok Agnes ze zirytowaną miną, zaciągnęła zasłony i zaczęła wyjmować na stół moczące się w zlewie talerze.

Agnes wyszła na taras, zanim Lande zdążył wysunąć głowę z gabinetu. „Ktoś musi mnie z tego wydostać” – pomyślała.

Chwyciła lewą ręką poręcz i zamiast myśleć o tym, że służąca coś podejrzewa, spróbowała skupić się na pięknym widoku. Ptasia Twarz pewnie zrozumiała, że Agnes specjalnie podsłuchiwała rozmowę Landego z Seeholzem. Agnes pomyślała, że oto podjęła ryzyko i złapano ją na

gorącym uczynku. Jak drogo będzie ją to kosztować? Jeśli Johanne Caspersen była idiotką, sprawa przyschnie. Niestety, nie wyglądała na idiotkę...

Kiedy tak stała, ktoś się do niej przysunął. Za sobą usłyszała odgłos spuszcanych żaluzji. Wystarczyło to, by nastrój na tarasie nieco opadł, głosy przycichły, stały się poważniejsze.

– Piękny wieczór – odezwał się Waldhorst, stawiając szklanekę whisky na poręczu. W zapadającym zmroku jego twarz była czarno-biała. – Nikt nie może pani winić za uczucie do pana Landego, skoro ma taki piękny letni dom. – Szukał jej wzroku, ale ona nie śmiała popatrzeć mu w oczy. Zamiast tego przyglądała się krzakowi bzu kwitnącemu obok tarasu.

– Bez – powiedział Waldhorst, zauważywszy, na co patrzy. – Jak Pan Bóg mógł stworzyć takie uwodzicielskie kwiaty i pozwolić im żyć tylko kilka tygodni?

W nocy Agnes zrobiła jedyne, co było w tej sytuacji sensowne. Kiedy nocujący tu goście chrapali cicho za drzwiami nieopodal, zrzuciła majteczki, rozpięła guziki w nocnej koszuli, zamknęła za sobą drzwi pokoju i ostrożnie poszła korytarzem. Przez okno na jego końcu widziała, że zaraz zacznie się wschód słońca. Wślizgnęła się do sypialni Landego, zdjęła przez głowę koszulę i położyła się obok jego nagiego ciała.

---

1. Hird – paramilitarna organizacja podporządkowana partii Quislinga. [\[wróć\]](#)

## **Czwartek, 12 czerwca 2003**

*Schronisko Steinbu*

*Vågå*

Tommy Bergmann już dawno nie przejechał jednym ciągiem aż trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Kiedy nad jeziorem Vågavatnet podjeżdżał pod górkę do miejsca, gdzie droga krajowa nr 51 odchodzi od drogi krajowej nr 15, bardzo musiał się starać, żeby nie zasnąć. Niestety, taka długa jazda wcale nie zmniejszała uczucia, że dzień idzie na straty. Dopiero co zużył cały jeden dzień na odnalezienie tych pięciu z kręgu Krogha, którzy jeszcze żyją, i do tej pory udało mu się zlokalizować trójkę. Niewiele z nich wydobył, poza ciasteczkami i filiżanką kawy u jednego z nich, byłego pracownika z branży żeglugowej, mieszkającego na Ullernåsen.

Przed serią ostrych zakrętów drogi wiodącej w góry zwolnił, zastanawiając się, jak wysoko go ona jeszcze zaprowadzi, czy aby nie do gwiazd? W końcu jednak znalazł zjazd na schronisko Steinbu i szutrową drogą dojechał do celu.

Zaparkował przed jednym z mniejszych budynków kompleksu, a kiedy wysiadł z samochodu, w twarz uderzyło go ostre górskie powietrze. Było wpół do dwunastej, a temperatura nie przekraczała sześciu stopni. Czując gęsią skórę na całym ciele, pomyślał, że te sześć stopni to chyba tylko na termometrze. Stanął i popatrzył na odbicie światła księżyca w czarnym jeziorze leżącym u stóp góry niczym przed wysokim budynkiem. Było cicho, jak makiem zasiał. Na parkingu stało kilka samochodów, ale ludzie, którzy tu przyjechali na „jedzenie i wypoczynek”, jak zachwalano schronisko na stronie internetowej, najwyraźniej wcześniej poszli spać. W żadnym oknie nie było widać świateł i poza dwoma lampami przed drzwiami oraz oświetlonym szyldem witającym w schronisku Steinbu nic bardziej nie rozjaśniało typowej dla kraju letniej nocy. Potężny nieboskłon wprowadził Tommy'ego w sentymentalny nastrój, jakby wciąż był dzieckiem – otwartym, skłonny do zadziwienia, ale przerażonym na myśl, że ludzie są w świecie całkiem sami.

Odwrócił się, bo od strony głównego budynku dobiegł go jakiś dźwięk. O okazałe bale stanowiące kolumny przed wejściem opierała się jakaś wielka postać.

– Miastowy? – spytał mężczyzna, wychodząc mu naprzeciw.

Za nim przybiegły dwa angielskie setery, które ufnie podeszły do Tommy'ego, żeby się przywitać. Finn Nystrøm był barczysty, o pól głowy



wyższy od Tommy'ego, uścisk dłoni miał pewny i krzepki. W słabym świetle wyglądał na mniej niż sześćdziesiąt lat, o których wspomniał Moberg na uniwersytecie, ale być może wrażenie to powodowały jego długie, zebrane w kucyk włosy.

– Z daleka? – spytał Nystrøm.

Tommy skinął głową.

– Niech pan się wpisze do księgi gości, jak każe prawo – powiedział gospodarz. – Chociaż... to pan jest tu teraz prawem.

– Właściwie chciałem wracać jeszcze dzisiaj – zastrzegł się Tommy.

– Pogadamy o tym w środku, ale ostrzegam, że ja się niedługo położę, więc całą noc nie przegadamy.

Tommy poszedł za nim krokiem lunatyka, starając się nie stracić z oczu islandzkiego swetra gospodarza, aby nie zboczyć z kursu. Za nim dyszały psy.

Kiedy weszli do dobrze utrzymanego wnętrza z wiszącymi na belkach ścian dyskretnymi grafikami i tablicą w recepcji w połowie zapełnioną kluczami, Tommy stanął na środku, chwiejąc się jak pijany.

– Proszę – powiedział Nystrøm, kładąc na kontuarze klucz. – Wygląda pan na zmęczonego. Pokój ma pan w aneksie, tam, gdzie pan zaparkował.

Tommy był więcej niż zmęczony, był tak zmordowany, że ledwo mógł utrzymać klucz w ręku. W człowieku przed nim było jednak coś, co mimo całego zmęczenia nie dawało mu spokoju.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc? – spytał Nystrøm, nie podnosząc głowy znad papierów.

W tym słabym świetle Tommy miał nieodparte wrażenie, że gdzieś już go widział. Potrząsnął głową, czując, jak bardzo jest wykończony. Gospodarz uśmiechnął się przyjaźnie, nie traktował go jak przygłupka, tak jak to początkowo robił Moberg na uniwersytecie.

– Będzie pan dobrze spał w tym górskim powietrzu – powiedział i skierował wzrok na swoje papiery. – Niech pan zostawi okno uchylone, a padnie pan jak renifer w porze uboju i obudzi się jutro jak nowo narodzony!

– Czy pan był kiedyś w telewizji? – spytał Tommy. – Znaczący, w ostatnich latach?

Nystrøm roześmiał się cicho.

– W telewizji... – powiedział jakby do siebie. – Takiego kanału to nie ma, panie Bergmann. Chociaż, skoro pan bardzo chce... Może kiedyś, pod koniec lat siedemdziesiątych, ale to tak dawno temu, że nie za bardzo

pamiętam.

Kiedy w zimnym pokoju Tommy naciągnął na siebie kołdrę, nagle zdał sobie sprawę, jak mało ostatnio spał. Kiedy ostatni raz przespał całą noc? Nie pamiętał. Przykrył ramieniem twarz i wciągnął nosem coś, co może tylko sobie wyobrażał: zapach szyi Hadji.

Obudziło go szczekanie psów na podwórzu. Przez częściowo odsłonięte okno słońce świeciło mu prosto w twarz. Pokój był urządzony skromnie, wręcz spartańsko. Ściany były cieniutkie i z pokoju obok słyszał jakąś kobietę, która śpiewała pod prysznicem przy akompaniamencie męskiego chrapania. Tommy leżał, nie ruszając się i patrząc w okno, kiedy z drugiej strony domu usłyszał ciężkie kroki na żwirze. Potem otworzyły się drzwi wejściowe, kroki zbliżyły się korytarzem, a w końcu ktoś załomotał do jego drzwi.

– *Rise and shine* – usłyszał. – Już dziewiąta!

Do pokoju wkroczył Nystrøm.

– Proszę mi dać parę minut – mruknął Tommy.

Spojrzał na twarz przybysza: była poorana bruzdami i już nie wyglądała tak młodo, jak poprzedniego dnia. Przypomniał sobie nagle, że pytał go o występ w telewizji, i aż się zaczerwienił. W świetle dnia mężczyzna z nikim znajomym już mu się nie kojarzył, a dopóki nie zaczął prowadzić śledztwa w sprawie zabójstwa Carla Oscara Krogha, nie słyszał przecież nawet jego nazwiska.

Nystrøm miał na sobie te same spodnie i sweter co poprzedniego dnia, na pasku lapoński nóż, a na nogach górskie buty, i przypominał nieco próżnego turystę z odrobiną cygańskiej krwi w żyłach, a nie kogoś, kogo by Tommy kojarzył z telewizji czy kolorowych magazynów.

– Lubi pan ryby? – spytał Nystrøm, przesuwając dłonią po świeżo ogolonej brodzie.

Pokój wypełnił zapach wody kolońskiej, która przypomniła Tommy'emu chwile z dzieciństwa, kiedy nocował u Erlenda Dybdahla, a ojciec przyjaciela się golił, rozprowadzając pędzlem po twarzy pianę z biało-czerwonej puszki Gillette. Zastanawiał się wtedy, jak to jest mieć ojca i codziennie czuć ten zapach.

– No dobra – powiedział Nystrøm – śniadanie kończy się o dziesiątej, ale jeżeli pan nie zdąży, coś wymyślimy.

– Kaj Holt – powiedział Tommy, wstał i poszukał paczki papierosów, leżącej na lodowato zimnej, krytej linoleum podłodze. – Niech pan mi

opowie o Kaju Holcie.

Pokój był wciąż wypełniony zimnym nocnym powietrzem, które przyprawiało go o szczękanie zębami.

– Nie przed śniadaniem – odparł gospodarz. – Mogę panu pożyczyć wędkę, nawet moją najlepszą!

– Aha – wymamrotał Tommy i obrócił się do okna, gdzie promienie słoneczne igrały na firankach.

– W czymś takim nie można tu chodzić – usłyszał za sobą. Tommy odwrócił się i zobaczył, że Nystrøm swoją wielką łapą podnosi do góry jego stare kalosze. – Jaki ma pan rozmiar? – spytał, upuszczając gumowce na podłogę.

– Czterdzieści trzy – bąknął Tommy.

– Czterdzieści trzy... no tak – powtórzył Nystrøm nieco zrezygnowanym tonem, jakby taki rozmiar buta bardziej pasował do dyrygenta szkolnego chóru niż do porządnego policjanta z samej stolicy. – Włóż pan coś i zjedz, za pół godziny wyruszamy.

Tommy patrzył na szerokie plecy w islandzkim swetrze znikające w drzwiach, które z trzaskiem się za nimi zamknęły. „Co za typ” – pomyślał i wyszedł z łóżka. „Adiunkt historii, protegowany Moberga, który porzuca karierę naukową, żeni się z kucharką dla smakoszy i prowadzi schronisko gdzieś na ziemi niczyjej...”

Wychylił się przez okno, lustrując gospodarstwo byłego historyka, który zmierzał tymczasem do głównego budynku schroniska. Wyglądało na bardzo porządnie prowadzone. Nystrøm stanął tymczasem pod porośniętą trawą daszkiem, włożył palce do ust i gwizdnął, a angielskie setery wypadły z za rogu budynku, w którym spał Tommy. Aż się cofnął, kiedy pędem przebiegły pół metra od niego. Chcąc nie chcąc, skojarzyły mu się z widokiem tarasu na Dr. Holms vei i martwego setera Carla Oscara Krogha.

Dopiero po piętnastu czy dwudziestu minutach do Tommy’ego dotarło, że właściwie nie ma czasu na takie ekstrawagancje. Nystrøm najwyraźniej planował spędzić z nim cały dzień, a on, Tommy, był przecież największą nadzieją Fredrika Reutera na szybkie znalezienie tego, który prawie oderznął Carlowi Oscarowi Kroghowi głowę i wykłuł mu oczy. Im więcej czasu upłynie od chwili zabójstwa, tym dalej będą od jego wyjaśnienia. Był to niekwestionowany przez nikogo pewnik. Z drugiej jednak strony ryzykowne byłoby dać sobie całkiem spokój z Finnem Nystrømem. Poza tym Tommy złapał się na tym, że coraz bardziej mu się ten facet podoba, odwrotnie niż

w przypadku Moberga, który tylko stracił na bliższym poznaniu.

– Ładnie tu, co? – spytał Nystrøm, kiedy wreszcie dotarli na szczyt wzniesienia, które Tommy’emu wydawało się nie mieć końca.

Dawno już zeszli z szutrowej drogi i idąc coraz wyżej i wyżej, przebili się przez halę pokrytą porostami. Daleko w dole widać było schronisko i leżące obok niego niewielkie jezioro.

– Rondane – obwieścił Nystrøm, pokazując na pasmo górskie po lewej stronie ręką, w której trzymał pudełko tabaki.

Tommy wciąż nie mógł złapać oddechu. Na szczęście Nystrøm znalazł dla niego parę znoszonych górskich butów w rozmiarze 44, które należały ponoć do syna jego żony.

– Piękna kraina, co? – powiedział Nystrøm, zerkając na Tommy’ego. – A tam niżej jest to fajne jezioro!

Dwa setery były już daleko w dole, gnając ku owemu słynącemu z ryb akwenowi. Tommy wyprostował się w końcu i po raz pierwszy przyjrzał się krajobrazowi. Mimo że nieźle wiało, a słońce schowało się za jakimiś groźnie wyglądającymi chmurami, był niewiarygodnie piękny. Widok tej zielonej wyżyny, wysokiego nieba i pozornie nieskończonej liczby szczytów wokół nich przyprawił go o dziwną melancholię.

– Idzie pan? – zawołał Nystrøm, który ruszył za psami i był już spory kawałek niżej.

– Co pan wie o Kaju Holcie?! – krzyknął w odpowiedzi Tommy, uznając, że nie mogą tak dalej gadać o byle czym. Ale Nystrøm nawet się nie odwrócił, więc Tommy zaczął zbiegać w dół pokrytym porostami zboczem. – Kaj Holt! – wrzasnął.

Nystrøm zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów od niego, więc Tommy zwolnił. Plecak, którym obarczył go gospodarz schroniska, wrzynał mu się w ramiona. Było w nim tylko trochę drewna opałowego, ale i tak miał wrażenie, że jego szelki zaraz przetną mu skórę na obojczykach.

– Czemu pana tak cholernie interesuje ten Holt? – spytał Nystrøm, kiedy Tommy do niego dotarł, zrzucił z ramion plecak i uwalnił się w porostach. Jego towarzysz pokręcił głową, zachichotał i z bocznej kieszeni zielonych turystycznych spodni wyciągnął paczkę tytoniu.

– Bo ostatnią rzeczą, o którą mnie prosił Marius Kolstad – zaczął Tommy, kiedy Nystrøm skończył skręcać sobie papierosa – było wyjaśnienie, co się z nim stało... Bo Carl Oscar Krogh skontaktował się z Torgeirem Mobergiem zaraz po tym, gdy w Nordmarce znaleziono te trzy szkielety,

i chciał z nim rozmawiać o Holcie... Bo Moberg z najwyższą niechęcią przyznał, że kiedy pan w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym postanowił po prostu zniknąć, prowadził pan akurat badania nad wyrokami wydanymi przez podziemie... Dlatego tak cholernie interesuje mnie ten Holt!

– Nie mogę pana o to obwiniać – powiedział Nystrøm, otworzył kapturek swojego Zippo i zapalił skręta.

– Więc niech mi pan opowie o Kaju Holcie.

– Łowił pan kiedyś ryby? – spytał Nystrøm, wążąc w rękę dwie czerwone wędkę. Patrzył na jezioro, sprawiając wrażenie kompletnie niezainteresowanego niczym, co dotyczyło Kaja Holta.

– Nie – odparł Tommy, znów rzucając plecak na ziemię. Sposób, w jaki jego interlokutor kierował ich rozmową, zaczynał działać mu na nerwy.

– Niech mi pan poda colę – powiedział Nystrøm, wskazując na swój plecak – a sam weźmie sobie piwo... Pewnie już dawno nie był pan tak daleko od swojego szefa, jak teraz, co?

Tommy przez chwilę stał nieruchomo. Nie trzeba było być geniuszem, żeby pojąć, o jakiej słabości mówił Moberg, opowiadając wtedy o Nystrømie. Otworzył zielonego Bergansa swojego towarzysza. Były w nim trzy półlitrowe butelki coli, termos, trzy puszki piwa, butelka wody, dwa kubki i butelka spirytusu. Właściciel plecaka upchnął też w nim starą patelnię, łopatkę do smażenia i pudełko masła.

– Ten spirytus nie jest do picia, mówię na wszelki wypadek – powiedział Nystrøm, wyciągając rękę po colę.

– Ostatni raz łowiłem ryby, jak miałem dziesięć, dwanaście lat – przyznał się Tommy.

Łowił ryby na letnim obozie, na który wysłała go matka. Obóz był jednym długim koszmarem, ale o tym Nystrøm nie musiał wiedzieć.

– No dobra. Pan mówi, ja łowią – zawyrokował Nystrøm, otwierając colę.

– Skoro jest pan policjantem – dodał, kiepsko maskując beknięcie – niech mi pan powie, czy to jest wiarygodne, czy nie, skoro pana tak cholernie interesuje ten Holt. – Z plecaka wyjął pudełko z błyskami. – Oficjalną przyczyną śmierci Holta było samobójstwo – zaczął, obcinając koniec żyłki finką – ale o ile wiem, nigdy nie przeprowadzono sekcji, a jego teczki w archiwum Säpo <sup>1</sup> w ogóle nie ma. Byłem tam wiele razy, strasznie dawno temu. Säpo ma teczki setek Norwegów, ale o Kaju Holcie jako żywo nie słyszeli. Poza tym wszystkim odmówiono mi udostępnienia zwykłego raportu policyjnego z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, który podobno

wciąż istnieje. Niech mi pan teraz powie, czy to nie śmierdzi? Teczke Holta usunięto z archiwum Säpo, dostępu do archiwum policji Sztokholmu mi odmówiono, a poza tym...

– Poza tym co? – spytał Tommy. Mimo że słuchał bardzo uważnie opowieści Nystrøma, nie mógł nie zauważyć pewnej osobliwości w jego akcencie, wtrętu z innego języka?

– Policjant, który przeprowadzał dochodzenie w sprawie samobójstwa Holta, został zastrzelony na ulicy w Sztokholmie parę dni po tym, jak znaleziono naszego nieboszczyka.

– Więc pan myśli, że go zabito?

– Nic nie myślę – powiedział Nystrøm, podniósł wędkę i zaczął zwijać kołowrotek. – Ale żeby robić tyle zamieszania o najzwyklejsze samobójstwo?

– A co o tym sądził Krogh? Według Kolstada to on nalegał na wyjaśnienie sprawy z Holtem.

– No właśnie – powiedział Nystrøm i wyciągnął na brzeg pstrąga, zdjął go z haczyka, obciął mu łeb i włożył do plastikowego worka. Nie wyglądało na to, żeby miał zamiar powiedzieć coś więcej.

– Spotkał pan kiedy Krogha?

– Parę razy. – Nystrøm wytarł pokryte śluzem ręce o spodnie. – Kilka razy z Torgeirem, raz w związku z moim ostatnim projektem badawczym... Nie wiem, ile profesor panu opowiedział?

– Moberg powiedział mi w każdym razie, nad czym pan siedział w osiemdziesiątym pierwszym, kiedy pan zniknął.

Nystrøm zarzucił wędkę.

– Zniknął... Tak to określił? – Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu i Tommy nagle zobaczył w nim chłopca, którym kiedyś był.

– Więc pan nie zniknął?

Nystrøm przygładził włosy, a potem potrząsnął głową.

– Torgeir zawsze trochę dramatyzował. Przecież zadzwoniłem do niego po kilku dniach i powiedziałem wyraźnie, że mam dosyć.

Tommy skinął głową.

– Torgeir nic więcej nie powiedział?

– Bardzo, bardzo ogólnie.

Nystrøm uśmiechnął się nieznacznie i znów potrząsnął głową.

– Pan pewnie zaczął jak wszyscy w policji, od służby patrolowej?

– Gdzieś trzeba było zacząć. Ale dlaczego...

– Storgata trzydzieści osiem, wejście od Hausmanns gate, mówi to coś panu?

Tommy nie odpowiedział. Szybko stracił rachubę, ilu pijaków przywiózł tam w dawnych czasach na wytrzeźwienie i odwyk.

– Torgeir woził mnie tam regularnie od czasu, kiedy byłem studentem, do czasu, kiedy to się skończyło – powiedział Nystrøm. – Od maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego starałem się nie pić. Co rano, kiedy przychodziłem do pracy, Torgeir zmuszał mnie, żebym brał ten cholerny antabus. A ja, kiedy jeszcze piłem, lepiej pracowałem, lepiej prowadziłem zajęcia, lepiej pisałem...

– Powiedział, że był pan jego najwybitniejszym studentem, potem asystentem, potem adiunktem, i...

– Miał pewnie rację. – Nystrøm opróżnił do końca butelkę coli i uśmiechnął się krzywo. – Ale byłem też wybitnym alkoholikiem. Kiedy rano nie było Torgeira z tymi jego cholernymi pigułkami, to... działo się to, co się musiało dziać.

Siedząc obok niego z na wpół opróżnioną puszką piwa, Tommy poczuł wyrzuty sumienia. Zapatrzył się w horyzont i po chwili poczuł, że oczy pieką go od słońca.

Zaklął w duszy.

Ta cała opowieść o uzależnieniu przypomniała mu matkę, a Tommy wcale nie chciał o niej myśleć. Zawsze histeryzowała, gdy się napił, nie dlatego, że to samo w sobie było czymś strasznym, ale dlatego, że – jak twierdziła – od alkoholu jest się łatwiej uzależnić niż od narkotyków. Była pielęgniarką i utrzymywała, że się na tym zna. Nie chciał jej zawieść, a może po prostu bał się jej postawić? W każdym razie pił niewiele aż do ostatnich lat jej życia. Dopiero kiedy skończył Akademię Policijną, zaczął pojmować, że na jej stosunek do alkoholu musiało wpłynąć coś w przeszłości.

Przypuszczalnie uciekła od alkoholika, uciekła tak daleko jak się dało, żeby nie mógł jej odnaleźć. Była z północy, ale nigdy tam nie pojechali. Właściwie nigdzie nie jeździli, jakby się bała, że poza granicami miasta z jego gęstwiną dróg, budynków i ludzi mogłaby zostać łatwiej odnaleziona. A kiedy Tommy wyładował na Hege swoją wściekłość, wściekłość, którą dotąd odreagowywał wyłącznie na przedmiotach, wtedy pojął, że matka musiała uciec od mężczyzny, który omal jej nie zabił. No bo skąd mogła się wziąć jego własna wściekłość?

Tommy doszedł do wniosku, że jest patologicznym damskim bokserem,

to musiało być wpisane w jego DNA, bo przecież nie mógł tego zwalić na wychowanie. Brutalna prawda była taka, że nie wiedział, skąd się wziął, i to z roku na rok męczyło go coraz bardziej. Któregoś dnia musi się z tym zmierzyć, dowiedzieć się, dlaczego matka wyprowadziła się na południe, co zostawiła za sobą na północy, dlaczego nerwowo oglądała się za siebie przez resztę swojego życia. W tym, co tam zostawiła, tkwił klucz do niego samego, a on musi odważyć się go odnaleźć, inaczej nigdy nie będzie w stanie pójść w życiu dalej.

Odstawił puszkę na ziemię, a ona od razu się przewróciła. Siedział i patrzył, jak jej zawartość powoli wsiąka w glebę. Nystrøm coś do niego powiedział, wyrwał go z zamyślenia, ale jego słowa do Tommy'ego nie dotarły.

– Więc tamtego lata w osiemdziesiątym pierwszym coś pękło? – spytał, zgniatając puszkę prawą ręką.

– Tak – odparł cicho jego towarzysz. – Byłem wtedy w Sztokholmie, odmówiono mi dostępu do archiwów Säpo o jeden raz za dużo i to... była chyba ostatnia kropla. Za dużo mnie to wszystko kosztowało. Piłem przez cały tydzień, przepiłem każdą zaoszczędzoną koronę. Kiedy się obudziłem w tamtejszym szpitalu, moją pierwszą myślą było, że już nigdy nie wrócę na uniwersytet i że nigdy nie skończę tego pieprzonego projektu.

– O wyrokach podziemia? – upewnił się Tommy.

Nystrøm nie odpowiedział, patrzył bezmyślnie na jezioro.

– I wszyłem sobie ten cholerny antabus – odezwał się w końcu, podnosząc do góry lewe ramię, jakby to miało stanowić jakiś dowód.

– A więc spotkał się pan parę razy z Kroghem? – spytał Tommy, by sprowadzić go z powrotem na właściwą ścieżkę.

Nystrøm kiwnął głową.

– Czy on panu groził, kazał porzucić projekt?

– Krogh nie był taki – powiedział Nystrøm, ale nie od razu. – Po prostu... nie chciał mówić.

– Myślę, że jednak groził – upierał się Tommy.

– A nie spyta mnie pan, gdzie byłem w Zielone Świątki? – spytał z ironią Nystrøm, zarzucając wędkę. – Krogh mógł sobie być zimnym i cynicznym draniem, ale w gruncie rzeczy był w porządku gościem. Po prostu nie chciał, żeby ludzie tymi wyrokami za bardzo się podniecali, uważał, że to zamknięty rozdział. Nie, nigdy mi nie groził.

– A materiały z projektu, te wszystkie papiery... Wyrzucił je pan?



– A jak pan sądzi? – odpowiedział pytaniem Nystrøm, wyciągając jeszcze jednego pstrąga i odcinając mu łeb lapońskim nożykiem. – Może i jestem alkoholikiem, ale nigdy nie byłem idiotą!

Tommy przyglądał się, jak mężczyzna patroszy rybę. Siedzące obok niego setery zaskowywały cicho, a Nystrøm rzucił chudym zwierzakom wnętrzości.

– A co pan myśli o tych szkieletach w Nordmarce? – spytał Tommy, głaszcząc psy, które sceptycznie obwąchiwały rybnie flaki. – Czy w pana materiałach jest coś o tej trójce?

– Nie, ale też nigdy tej pracy nie skończyłem – odparł Nystrøm. – To pewnie jakiś wyrok? Podziemie zakopało przecież żywcem kobietę z dzieckiem w Østmarce w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym. Więc dlaczego nie całą rodzinę kilka lat wcześniej w Nordmarce?

– To nie była żadna rodzinka. Agnes Gerner była zaręczona z Gustavem Lande, ale nie zdążyła za niego wyjść.

– Może miała kochanka – powiedział Nystrøm. – Najprostszy ze wszystkich motywów, chora zazdrość, a dziecko i służąca na nieszczęście po prostu się napatoczyły. Ale to w końcu pan jest policjantem, nie ja! – Nystrøm wyszczerzył zęby. Niedopałek co prawda zgasł mu w ustach, ale za to wyciągnął jeszcze jedną rybę.

– A ludzie z kręgu Krogha pomarli – westchnął Tommy. – Poza pięcioma, których spis dostałem od Moberga.

Nie powiedział, że większość już odnalazł, ale wyjął z portfela listę i podał Nystrømowi. Ten rzucił okiem na nazwiska, na które Tommy zmarnował cały jeden dzień.

– Ci panu wiele nie pomogą, mogę się założyć – stwierdził. – A jaka jest pańska teoria, o Kroghu, znaczy się?

– Że między nim, Holtem i tą trójką, na której dokonano morderstwa w Nordmarce, jest jakieś powiązanie.

– Chyba: na której wykonano wyrok?

– Na której wykonano wyrok – zgodził się Tommy.

– Jakie powiązanie?

Tommy nie odpowiedział od razu. Głaskał setera, który ułożył się koło jego nóg.

– Zarówno Krogh, jak i Holt wiedzieli, kto dokonał egzekucji na tych kobietach... i dziecku.

– Być może – mruknął Nystrøm do siebie i znów zarzucił wędkę. Potem

spojrzał na tego psa, który jako obiekt miłości wybrał Tommy'ego i sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie miał zamiaru od niego odejść. – Dziwne, jak różne mogą być dwa psy z jednego miotu. Jego brat nie znosił obcych, skończyło się na tym, że pogryzł listonosza, który zaplątał się do Steinbu. Musiałem go zastrzelić, psa znaczy.

Znów miał branie.

– Jest jeszcze jeden – oznajmił nagle. – O ile się nie zapił na śmierć...

– To znaczy?

– Żyje pewnie jeszcze jeden, który był w tym kręgu, nazywa się Iver Faalund. Ze mną nie chciał rozmawiać, ale to było trzydzieści lat temu. Wtedy mieszkał w Uddevalli.

– Iver Faalund – powiedział Tommy do siebie.

– Będzie pan miał szczęście, jeśli ten gość jeszcze żyje. Bo drugiego takiego moczymordy w życiu nie spotkałem.

Z kieszeni znoszonej kurtki, którą Nystrøm gdzieś dla niego wynalazł, Tommy wyjął notatnik i zanotował nazwisko. Nic mu nie mówiło.

– Więc czym właściwie Kaj Holt się w czasie wojny zajmował? – spytał.

– Musi pan wiedzieć jedno – zaczął Nystrøm. – Holt był absolutnie najważniejszym członkiem ruchu oporu w tym kraju. Stąd zresztą wziął się jego pseudonim: Numer jeden.

– Więc Holta nazywali Numer jeden?

– On był Numerem jeden – odparł Nystrøm. – Ale był też najbardziej zagadkowym z członków podziemia, nikogo w nic nie wtajemniczał. Nie istnieje żadne jego zdjęcie, żadne. Poza tym czuwał nad nim stale Anioł Stróż... Niemcy nawet go aresztowali, podejrzewali, że to Raymond Gulbjørnsen, zwany Serkiem. Wypuścili go po paru tygodniach trzymania na Victoria Terrasse jesienią czterdziestego trzeciego, bo Serka zabiła przypadkowa eksplozja miny magnetycznej. Ten cholerny Holt miał pięć różnych tożsamości, a w każdej biografii, do której nikt nie byłby w stanie się przyczepić. I sam je wszystkie wymyślał.

– To dlaczego tak skończył w tym Sztokholmie? Moberg twierdzi, że miewał depresję – powiedział Tommy i przerwał, bo przypomniał sobie, że to pewnie był tylko wybieg Moberga, mający na celu trzymanie go z dala od Nystrøma.

Ten tylko machnął ręką i zajął się wyskrobywaniem resztek ryby z patelni, która leżała krzywo w żarze ogniska.

– Torgeir ma silnie rozwinięty instynkt matczyzny. Bał się, że mi odbije,

jak pan tu do mnie przyjedzie. – Nystrøm uśmiechnął się sam do siebie. – Czy on naprawdę myślał, że poświęciłbym wszystko, co tu mam, tylko dlatego, że chciał ze mną rozmawiać policjant? – zaśmiał się, ale szybko spoważniał. – Jednak w tym, co powiedział Torgeir, coś jest, choć to ja napisałem ten doktorat, a on był tylko promotorem. Problem w tym, że nikt właściwie nie wie, czym Holt się zajmował. Po tym, jak jesienią czterdziestego drugiego nastąpiła wsypa i rozpadło się kilkanaście komórek Milorgu, a także siatka wywiadu brytyjskiego w Oslo, Holt był jedynym, który miał kontakty ze wszystkimi: z Brytyjczykami, z Osvaldem i Rosjanami, z wywiadem szwedzkim. W zasadzie zabić go w Sztokholmie mógł każdy: Szwedzi, Rosjanie, Niemcy, Amerykanie, *you name it*.

– I ostatnia rzecz, którą o nim wiadomo, to że znaleziono go martwego w Sztokholmie trzydziestego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego?

– Ostatnia rzecz, którą wiemy – powiedział Nystrøm, starannie oblizując kciuk. – I Moberg też to wie, to jego wizyta w Lillehammer w poniedziałek dwudziestego ósmego maja, ale nikt nie wie, co właściwie tam robił. Dwa dni później znaleźli go nieżywego w Sztokholmie, a po paru dniach ktoś zastrzelił na ulicy śledczego, który badał jego sprawę.

Tommy nic nie powiedział, dłużył tylko widelcem w plastikowym talerzu. Nystrøm najwyraźniej czytał mu w myślach.

– Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, to Holta zabito nie dlatego, że czegoś się dowiedział w Lillehammer. Myślę, że chodziło o coś innego.

Tommy skinął głową.

– O tę trójkę w Nordmarce – powiedział. – W Lillehammer Holt dowiedział się, kto wykonał wyrok na tej trójce.

– Nie – zaproponował Nystrøm. – Jak mógłby się tego dowiedzieć w Lillehammer? Tam siedzieli tylko niemieccy i rosyjscy jeńcy wojenni, a skąd oni mogliby to wiedzieć?

– No tak, ma pan rację...

– Ale jak pan myśli, co się stało w Nordmarce? – spytał Nystrøm, wbijając wzrok w Tommy'ego.

On zaś pomyślał, że jednak gdzieś już tego gościa widział. W kościach policzkowych, wykroju oczu Nystrøma zdecydowanie było coś znajomego. A może to złudzenie – teraz wywołane alkoholem, a poprzedniego dnia zmęczeniem?

– Jak pan sądzi, kto był zdolny do zamordowania dwóch kobiet i małej dziewczynki? – Nystrøm wstał i rzucił daleko od siebie jakiś patyk, a setery

natychmiast skoczyły za nim, jakby je gonił sam diabeł.

Tommy spojrział na niego. Jego towarzysz był bardzo poważny, jakby było to coś, nad czym się zastanawiał od wielu lat.

– Zadam panu pytanie – ciągnął Nystrøm. – Jak pan sądzi, ile wiadomo z tego, co się zdarzyło w Norwegii podczas wojny?

– A bo ja wiem? Z osiemdziesiąt procent? – odpowiedział Tommy. Rozważał przez chwilę poinformowanie go o tym, że Krogha zabito kordzikiem Hitlerjugend, ale zrezygnował: Bóg raczy wiedzieć, co by z tego wynikło.

– Powiedzmy siedemdziesiąt. A jak pan myśli, ile brudnych tajemnic kryje się w tych pozostałych trzydziestu?

– Pewnie sporo – powiedział Tommy.

– Ta trójka zabita w Nordmarce należy do tego nieznanego procentu, tak jak i ich zabójca... Chociaż mnie się wydaje, że pan już wie, kto to był, ale nie odważył się pan jeszcze tego do końca sformułować.

– Doprawdy? – spytał z powątpiewaniem Tommy.

– Carl Oscar Krogh był tym, który w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku na schodach domu w Bolteløkka strzelił jednemu ze swoich przyjaciół raz w głowę i dwa razy w pierś. Nie mam wątpliwości, że miał na sumieniu co najmniej dziesięć osób, bo był z tych, którzy zrobiliby absolutnie wszystko, żeby przyczynić się do wygrania tej wojny. Kiedy się dowiedział, że jeden z jego przyjaciół zdradził, zgłosił się na ochotnika, żeby go wysłali na drugą stronę granicy i pozwolili wykonać wyrok. Jeśli Pielgrzym, bo taki miał pseudonim, dostał rozkaz zlikwidowania narzeczonej wybitnego nazisty, to to zrobił. A jeśli miała mu w tym przeszkodzić mała dziewczynka i służąca, to je też zlikwidował – o ile wręcz nie miał takiego rozkazu. Zrobiliby wszystko, żeby uwolnić ojczyznę od Niemców, absolutnie wszystko.

– To niemożliwe – powiedział Tommy.

– A niby dlaczego? Kiedy one zostały zabite? – pytał Nystrøm. – I kiedy Krogh zbiegł do Szwecji? Tego samego dnia, a może następnego. Kiedyś myślałem, że uciekł, bo w Milorgu nastąpiła wsypa, ale mógł mieć dużo ważniejszy powód: Niemcy dwoili się i troili, żeby odnaleźć narzeczoną Landego Agnes Gerner i jego córkę Cecilie.

– Naprawdę pan sądzi... – zaczął Tommy.

– Przyjemnie jest mieć gości – powiedział Nystrøm, wyjmując patyk z pyska dyszącego ciężko setera – ale doprawdy nie pojmuję, po co pan

musiał przyjechać aż tutaj, skoro od początku było jasne, kto je zabił!  
– A więc pan uważa, że to Carl Oscar Krogh zabił te trzy – powiedział Tommy bardziej do siebie niż do swojego towarzysza. – Agnes Gerner, Cecilie i służącą...

---

1. Säpo, Säkerhetspolisen (dosł. Policja Bezpieczeństwa) – szwedzka służba specjalna odpowiadająca m.in. za kontrwywiad. [\[wróć\]](#)

## ***Piątek, 13 czerwca 2003***

*Skogslyckan*

*Uddevalla*

Uddevalla może i nie była na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO, ale miasto było ładniejsze, niż Tommy Bergmann się spodziewał. Zatrzymał się w zatoczce autobusowej przy cmentarzu i spojrzął na plan miasta, który dostał w hotelu. To powinno być gdzieś tutaj. Według recepcjonistki, Östanvindsvägen było blokowiskiem, które zbudowano na północ od miasta, żeby dać mieszkania robotnikom z obecnie zlikwidowanej stoczni.

Wrzucił pierwszy bieg, a pamięć podsuwała mu fragmenty rozmowy z Hadją poprzedniego wieczoru. To on do niej zadzwonił. Po godzinie spędzonej samotnie w hotelu dopadła go nagła tęsknota – nie za Hege, ale za Hadją. Powiedziała mu, że stale o nim myśli, a to mu wystarczyło, żeby spokojnie zasnąć i przespać całą noc. Teraz zastanawiał się, czy propozycja spotkania, jak tylko wróci do Oslo, to był dobry pomysł. Że ona była w sam raz dla niego, nie miał wątpliwości. Ale czy on był w sam raz dla niej, pozostawało kwestią otwartą.

W przeciwieństwie do tego, do czego przyzwyczał się w Norwegii, tutejsze bloki nie były zamykane na klucz. W holu znalazł tablicę informującą, kto mieszka na którym piętrze. Nie było tam przycisków domofonu, tylko nazwiska mieszkańców zrobione z białych plastikowych literek. Od strony wind, na prawo od niego, dał się słyszeć gong i z jednej z nich wysiadła starsza pani. Bez pozdrowienia, szurając nogami, wyszła z budynku.

Jeszcze raz przyjrzał się tablicy i jadąc palcem po zakrywającej ją szybie, odnalazł nazwisko Faalund. „A więc dalej żyjesz” – pomyślał. Na piątym piętrze korytarz pomalowany był na jasnożółto, ze szlaczkiem przedstawiającym niebieskie żaglówki pochylone pod naporem wiatru. Z mieszkania po prawej stronie dobiegał odgłos włączonego telewizora. Tommy ruszył korytarzem, czując mrowienie w końcach palców i leciutką zadyszkę.

Iver Faalund mieszkał w lokalu pośrodku korytarza. Na starych drzwiach widniało jego nazwisko wykonane z takich samych literek jak te na dole. Przypominało to wszystko nieco staroświecki gabinet lekarski, tyle że bez medycznego zapachu. Zza drzwi dobiegł go ostry dźwięk dzwonka.

Gadanie telewizora z mieszkania na początku korytarza było jedynym dźwiękiem, który słyszał, bo w mieszkaniu Faalunda panowała martwa cisza.

Nacisnął raz jeszcze guzik dzwonka. Nadal cisza. Kucnął i zajrzał przez szparę na listy. Ciemno. Ledwo się wyprostował, otworzyły się drzwi windy. Obróciwszy się, Tommy zobaczył starszego mężczyznę w granatowej, popelinowej wiatrówce, wyprasowanej białej koszuli, beżowych spodniach z ostrym kantem i białej marynarskiej czapce. Twarz miał pokrytą siatką popękanych naczynek, nos raczej siny niż czerwony. W ręku niósł dwie siatki z monopolowego.

– Kogo pan szuka? – spytał po szwedzku mężczyzna, idąc ku niemu.

– Pana – odparł Tommy – jeśli pan jest Iverem Faalundem.

Mężczyzna stanął, przypatrując się Tommy'emu. Zamrugnął, potem jeszcze raz. Tommy wiele by dał, żeby wiedzieć, co się dzieje w jego głowie, chociaż właściwie miał to wypisane na twarzy: Carl Oscar Krogh.

– A bo co?

– Pan znał dobrze Carla Oscara Krogha – powiedział Tommy. –

Przynajmniej tak mi mówiono. – I z kieszeni spodni wydobyl legitymację.

Faalund nawet na nią nie spojrzal. Przeniósł tylko siatki do lewej ręki, wyminął Tommy'ego, bez słowa wyjął klucz i włożył go do zamka. Ręce mu nie drżały, jak na alkoholika ruchy miał zadziwiająco pewne. Jego oczy nie pozostawiały jednak cienia wątpliwości, czym wypełniał swoje dni: błyszcząły mu, jakby miał się za moment rozplakać.

Faalund otworzył drzwi zewnętrzne, potem wewnętrzne i wszedł do malutkiego przedpokoju. Za nim Tommy zobaczył kuchenkę, w której na stoliku stały trzy puste butelki po „Stolicznej”.

– Nie chcę z panem rozmawiać – powiedział Faalund, zdjął czapkę, powiesił na kołku i przeczesal palcami przylepioną do różowej czaszki resztkę siwych włosów. Przez spuszczoną roletę przedzierały się promienie słońca, tworząc delikatny wzór na parkiecie. Mieszkanko było dobrze utrzymane, ale panował w nim zaduch papierosowego dymu i powolnego, bezdenne go pijaństwa. Nawet Tommy, który palił o wiele, wiele za dużo, na podstawie tego zaduchu wyczuł, jaki jest cel życia tego człowieka: zapic się i zapalic na śmierć.

Faalund zdjął z siebie wiatrówkę. Jego biała koszula była całkiem przeupocona na plecach. Wszedł z siatkami do kuchni i Tommy usłyszał, jak wkłada coś do lodówki. Potem zobaczył, jak mężczyzna z pomalowanej na niebiesko szafki wyjmuje kieliszek, odkręca wyjętą z lodówki butelkę, napełnia kieliszek po brzegi i wypija jednym haustem. A potem jeszcze jeden.

– Tak czy owak nie mam nic do powiedzenia – odezwał się z kuchni Faalund. – Ani panu, ani nikomu innemu, nieważne kto by to był.

– No to będę musiał wezwać pana na oficjalne przesłuchanie w sprawie Krogha. Pan jest jedynym jeszcze żyjącym, który nie opowiedział swojej historii. Marius Kolstad zmarł dwa dni temu, słyszał pan o tym?

– Jestem obywatelem szwedzkim – powiedział Faalund. Podeszedł do zewnętrznych drzwi i próbował je zamknąć. – Nie może mnie pan mieszać w norweską sprawę karną.

Tommy się stropił – o tym nie pomyślał. Ten gość zrobił z siebie Szweda!

– Potrzebujemy pana pomocy – powiedział, przytrzymując drzwi.

– Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku nikt nie potrzebował mojej pomocy – oświadczył Faalund. – Wtedy pożegnało się ze mną wojsko, a ja od tego czasu już nie oglądam się za siebie. A teraz, jeśli pan pozwoli... – I spojrział Tommy'emu prosto w oczy. Jego tęczówki były dziwną mieszanką zieleni i brązu, gałki oczne miał prawie żółte, porysowane czerwonymi żyłkami.

– Ale pan dobrze znał Krogha – nie dawał za wygraną Tommy, słysząc w swoim głosie desperację. Nie mógł pozwolić Faalundowi tak się wymknąć! – A Kolstad mi mówił, że razem z nim szukali pewnej informacji...

– A teraz obaj nie żyją – skwitował Faalund, nie patrząc na Tommy'ego, szarpnął za drzwi i je zatrzasnął.

Piętro wyżej ktoś otworzył zsymp na śmieci. Tommy zamknął oczy i usłyszał, jak worek ze śmieciami sunie w dół.

Podniósł rękę, żeby zapukać, ale po chwili opuścił ją, słysząc, jak Faalund zamyka drzwi na zasuwę, a potem zamyka jeszcze drugie drzwi, wewnętrzne.

Tommy Bergmann oparł dłonie o kierownicę, a potem uderzył w nią z całej siły. Był piątek po południu, świeciło słońce, siedział na parkingu w pieprzonym centrum Uddevalli, nie mogąc uwierzyć w swoją klęskę. Żeby nic, ale to nic ze starego pijaka nie wyciągnąć? Kiedy wysiadł z samochodu, uderzyła w niego fala upału, jakby był bliżej zwrotnika niż bieguna północnego. Ruszył przez parking ku hotelowi.

Najpierw zadzwonił do Arnego Drabløsa i poprosił, by wziął za niego trening. Mógłby dojechać do domu w dwie godziny i zdążyć zarówno na trening, jak i wieczór lub noc z Hadją, ale nawet nie chciał o tym myśleć. Nie miał ochoty na żadne towarzystwo, nawet swoje własne. Wysłał jej SMS-a,



że musi niestety zostać w Szwecji na weekend. Od razu odpowiedziała, że pewnie robi coś ekscytującego i że czeka na niego z niecierpliwością. Wiadomości towarzyszył emotikon z uśmiechniętą buźką.

Przeleżał pewnie z godzinę na łóżku, patrząc w sufit, kiedy zadzwoniła komórka. Spojrzał na zegar. Wziął telefon z nocnego stolika i – tak jak podejrzewał – był to Fredrik Reuter. Akurat z nim niespecjalnie miał ochotę rozmawiać. Z trudem dostał jego błogosławieństwo na wyjazd do Szwecji, teraz na koszt podatnika planował zostać tu przez cały weekend.

Reuter nie odniósł się z entuzjazmem do teorii Nystrøma o Kroghu jako zabójcy Agnes Gerner, służącej i dziewczynki w Nordmarce. Równie mało entuzjazmu wykazał w stosunku do kandydatury Ivera Faalunda jako kluczowego świadka w tej sprawie. Z drugiej jednak strony Reuter bardzo potrzebował motywu zabójstwa Krogha. Wyszło na jaw, że Gudbrand Svendstuen, którego Krogh zlikwidował w 1943 roku, nie zostawił potomstwa, została więc tylko wątpliwa nadzieja, że Krogh miał coś wspólnego z trójką z Nordmarki. Wyjaśnienie zagadki zgonu Kaja Holta było zaś osobnym wątkiem.

– Zostanę tu, dopóki tego nie załatwisz – powiedział Tommy do Reutera.

– Jest trzecia i jest piątek! – wypalił Reuter.

– To zostanę tu do poniedziałku.

– W Uddevalli? – zdziwił się Reuter. – Chyba ci odbiło!

– Zadzwoń do Sztokholmu – powiedział Tommy. – Jak teraz zadzwonisz do tego swojego kumpla, zdobędzie dla nas to, co mają o Holcie, i wyślą nam to w poniedziałek. Co w tym trudnego? A ile czasu zajęłoby mi pojechanie z Uddevalli do Sztokholmu?

Własną teorią na temat tego, jak istotny jest Kaj Holt dla sprawy Krogha, nie odważył się z Reuterem teraz podzielić. Nie udało mu się nawet skłonić do rozmowy Faalunda, więc nie był to odpowiedni dzień na wygłoszenie teorii, która postawiłaby Carla Oscara Krogha w bardzo złym świetle.

Reuter zaczął zdanie, ale go nie dokończył.

– Zadzwoń – nalegał Tommy. – Czy nie mówiłeś, że od tej sprawy być może zależy twoje stanowisko?

– Potrzebuję cię tutaj, a nie w Szwecji. Ścigasz duchy, Tommy. My tu mamy miejsce zbrodni, narzędzie zbrodni, prawie doskonały odcisk palca, który naturalnie nie pasuje do nikogo w naszym rejestrze, odcisk buta w rozmiarze czterdzieści jeden albo czterdzieści dwa... Potrzebujemy tylko zabójcy!

– Beze mnie go nie znajdziesz – powiedział Tommy.  
– Nie znajdę go bez ciebie tu, w biurze!  
– Rozwiązanie nie znajduje się w Oslo. Potrzebuję paru dni poza miastem.  
– I wybierasz do tego Uddevallę? No pewnie, pewnie.  
– Zanim stąd wyjadę, zmuszę Faalunda, żeby śpiewał.  
– Oby – westchnął Reuter. – Myślisz, że coś wie?  
– Owszem.  
– No dobra. Ale co do teorii, że to Krogh zabił tę trójkę w Nordmarce, to gębę na kłódkę. Chyba że ten tam Faalund sam coś na ten temat napomknie.  
Tommy nie odpowiedział. „To, że to Krogh ich zabił, to tylko początek...” – pomyślał.

– Aha... twój kolega Halgeir Sørvaag znalazł dziś rano w domu Krogha pewną ciekawostkę.

To akurat Tommy'ego nie zaskoczyło, bo do Sørvaaga można było mieć mnóstwo zastrzeżeń, ale akurat w tym był dobry. Potrafił rozebrać każde miejsce przestępstwa na czynniki pierwsze i tylko jego chora wyobraźnia wyznaczała granice tego, co potrafił z niego wygrzebać.

– Ciekawostkę?  
– Na piętrze, w gabinecie Krogha w karniszu była karteczka.  
– Rozebrał karnisz? – zdziwił się Tommy.  
– Rozebrał wszystkie karnisze i zdemontował spłuczki we wszystkich kiblach. Przecież go znasz.

– No i co to za ciekawostka?  
– Na karteczce były cyfry. Dokładnie szesnaście.  
– Szesnaście cyfr?  
– A w karniszu w kuchni znalazł jeszcze jedną karteczkę z szesnastoma cyframi.

– Jakiś kod? – spytał Tommy, siadając na łóżku. Był to krok do przodu, pytanie tylko, w jakim kierunku.

– Szesnaście cyfr wskazuje na konto bankowe, takie na hasło – wyjaśnił Reuter.

Zniechęcony Tommy położył się z powrotem. Przez moment myślał, że w śledztwie nastąpi przełom, bo te szesnaście cyfr to zaszyfrowany meldunek czy coś w tym rodzaju, ale konto bankowe? Jaki mogło mieć związek z Kroghem?

– W Szwajcarii, Liechtensteinie albo na Kajmanach – powiedział Reuter.

– To sprawdź, czy dyrektor Izby Skarbowej ma alibi na Zielone Świątki. Reuter zaśmiał się nieco sztucznie, a jego śmiech zlał się w jedno z jazgotem mew za oknem hotelu.

Tommy zszedł do recepcji, zapłacił za dostęp do Internetu i po raz kolejny wczytał się w dobrze znane artykuły o Kroghu i o Holcie. Kto nienawidził Krogha na tyle mocno, żeby go zmasakrować kordzikiem Hitlerjugend? Czy Kaj Holt miał jakieś potomstwo?

Wyjął z kieszeni komórkę i wystukał numer do Reutera, ale zanim nacisnął na zielony guziczek, rozmyślił się. Bo co miał mu powiedzieć? Że przyszło mu do głowy, że to Krogh sprzątnął Kaja Holta, żeby ten nikomu nie pisał o egzekucji w Nordmarce? Sam też za bardzo w to nie wierzył...

Raz jeszcze przebiegł wzrokiem po tekście o Holcie na ekranie.

„Tu coś jest” – pomyślał, czytając tekst powoli, litera za literą. „Mam to tuż przed oczami, ale nie potrafię tego dostrzec, choć jest tak blisko. Jestem ślepy, bo to jest zbyt oczywiste”.

Kiedy skończył mu się wykupiony czas połączenia, na ekranie pojawiły się informacje turystyczne o Uddevalli. „Plaża” – pomyślał Tommy. „Muszę się ochłodzić i na parę godzin przestać o tym wszystkim myśleć”.

Dowiedział się od recepcjonistki, w którą stronę jest plaża. Znajdowała się w zatoce na południowy zachód od hotelu, otoczona malowniczo starymi dębami, i nie było tam zbyt wielu ludzi. Kupił sobie okulary przeciwsłoneczne, dwie puszki piwa i położywszy się z papierosem w ręce, poczuł się znakomicie. Niestety, idylla nie trwała zbyt długo. Po wypiciu pierwszego piwa zauważył piękną blondynkę w zaawansowanej ciąży, brodzącą w płytkiej wodzie i prowadzącą za rękę gołego chłopaczka. Tak bardzo przypominała Hege, że po prostu nie mógł tam zostać. Wrócił do centrum i zainstalował się w ogródku kawiarni położonej naprzeciw hotelu. Okularów nie zdjął, mimo że ulica pogrążona była w cieniu.

„Czy jestem mniej samotny niż stary Faalund tam, w bloku?” – pomyślał.

Przez pół nocy leżał, nie mogąc zasnąć. Myślał o tym, że nie może żyć z Hege ani z żadną inną. Z Hadją też nie. Zasnął dopiero, gdy na dworze zaczęło szarzeć.

Śniło mu się szesnaście cyfr, które przesuwały mu się przed oczyma, jakby w automacie do gry.

O dwunastej obudził się z koszmarnym bólem głowy.

Z zewnątrz dobiegły go dźwięki z wesołego miasteczka.

„Szesnaście cyfr” – pomyślał, przyglądając się wędrówce słońca po

pokoju, które zaczęło od biurka, potem wdrapało się na krzesło i ubranie, które tam rzucił poprzedniego wieczoru. Carl Oscar Krogh schował kartkę z szesnastoma cyframi, przypuszczalnie do konta na hasło. Konta, do którego dostęp miał tylko jego właściciel i jeden czy dwóch pracowników banku. I to nie było jakiegoś, ale banku w Szwajcarii albo w Liechtensteinie. Albo jeszcze dalej.

Carl Oscar Krogh ukrył w nim jakieś pieniądze.

## ***Sobota, 14 czerwca 2003***

*Skogslyckan*

*Uddevalla*

Przy plastikowym ogrodowym stole siedziało kilku emerytów, którzy kiwnęli Tommy'emu Bergmannowi głowami, kiedy koło nich przechodził.

Zamiast wejść od razu do bloku, Tommy obszedł go dookoła i znalazł sobie punkt obserwacyjny na wysokości pierwszego piętra między blokiem Faalunda i następnym. Tam odchylił głowę, przysłonił sobie oczy od palącego słońca, policzył piętra i poszukał mieszkania starego. Musiało to być drugie od lewej. Rolety w oknach opuszczone, ale drzwi na mały balkon były uchylone. Tommy cofnął się kilka metrów, żeby mieć lepszy kąt widzenia. W końcu zobaczył głowę Faalunda ledwie widoczną nad brzegiem balkonu.

Tym razem długo dzwonił do jego drzwi. Także i tym razem słychać było telewizor w mieszkaniu obok.

Przyłożył ucho do drzwi, ale niczego nie usłyszał. Judasza w drzwiach nie było.

– Co się stało z Kajem Holtem? – spytał głośno, a jego pytanie odbiło się echem w korytarzu. – ...Holtem – powtórzyło.

Nagle z głębi mieszkania usłyszał szuranie, a potem odgłos otwieranych drzwi wewnętrznych.

– Nie chcę z panem rozmawiać – powiedział Faalund. – Idź pan, bo zadzwonię po policję.

– Usiądę sobie w korytarzu – odparł Tommy. – Proszę dzwonić, ja się stąd nie ruszę!

Kucnął przy drzwiach i spojrzał na zegarek. Postanowił dać staremu pięć minut.

W drzwiach obok ktoś przekręcił gałkę zamka i uchylił je. Tommy zobaczył w nich przerażone oczy jakiejś starszej pani.

– Dzień dobry – powiedział Tommy, bo i co miał powiedzieć? Staruszka bez słowa zamknęła drzwi.

Dokładnie po pięciu minutach Tommy otworzył klapkę szpary na listy. Tym razem pijak nie zamknął wewnętrznych drzwi, więc widać było wnętrze spartańsko urządzonego mieszkania. Nie było tam tych wszystkich bibelotów i pamiątek, które się często widuje w mieszkaniach ludzi po osiemdziesiątce. Faalunda nie było widać, pewnie znów usiadł sobie na balkonie.

– Kto zabił Kaja Holta?! – krzyknął Tommy prosto w szparę na listy

i wstrzymał oddech. Przeciąg w szparze powiedział mu, że drzwi na balkon są otwarte, więc stary musiał go dobrze słyszeć.

Drzwi na balkon się zamknęły, potem usłyszał dźwięk szklanki wstawianej do zlewu, szum odkręconej na chwilę wody. Następnie zobaczył spodnie Faalunda wychodzące z kuchni i zmierzające ku niemu, a potem w szparze zrobiło się ciemno – najwidoczniej stary zamknął wewnętrzne drzwi.

„Kurwa” – pomyślał Tommy. „Twardy zawodnik”.

Usiadł z powrotem na podłodze i oparł się o drzwi, które nagle się otworzyły. Tommy skoczył na równe nogi, zakręciło mu się w głowie i musiał się oprzeć o framugę. Faalund popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Dzięki, że chce pan ze mną rozmawiać – powiedział Tommy.

– Nie powiedziałem, że chcę rozmawiać, ale nie może mi pan tu siedzieć i wrzeszczeć cały dzień! – powiedział stary, odwrócił się i wszedł do mieszkania, zostawiając drzwi szeroko otwarte. – W życiu bym nie przypuścił... – powiedział.

– Czego by pan w życiu nie przypuścił? – spytał Tommy, wchodząc za nim i zamykając za sobą drzwi.

– Że przylezie tu norweski policjant i będzie mnie pytał o Kaja. Bo dotąd gównem to wszystkich obchodziło. – Przez chwilę stali w pokoju i patrzyli na siebie. Pijak przechylił głowę na bok, jakby chciał mu się przyjrzeć dokładniej. – Dlaczego pyta pan o Kaja Holta? – spytał w końcu.

Tommy patrzył na mężczyznę przed sobą. Jego wzrok był dziwnie klarowny, chociaż gość zapewne wypił już tego dnia więcej, niż Tommy dałby radę wypić na większej biurowej imprezie.

– Uważamy, że to może mieć związek z tą trójką, którą znaleźliśmy w Nordmarce. Słyszał pan o nich?

Faalund kiwnął głową.

– Czytać jeszcze umiem – wymamrotał.

Tommy wyjął z kieszeni kartkę i głośno odczytał:

– Agnes Gerner, Cecilia Lande i Johanne Caspersen.

Wyraz twarzy Faalunda się nie zmienił. Podeszedł do starego fotela stojącego przy oknie ze spuszczoneymi roletami, zapalił stojącą lampę i usadowił się w nim z cichym stęknięciem.

– Więc dlaczego pan pyta właśnie o Holta?

– Czy to możliwe, że to Krogh je zlikwidował? Tę trójkę w Nordmarce? – zaryzykował Tommy.

Na ustach Faalunda pojawił się prawie niewidoczny uśmieszek. Przygładził te kilka włosów, które mu zostały, potem pogłaskał się po brodzie.

– A dlaczego Carl Oscar miałby zabijać te trzy baby? – spytał, napił się czystej wódki i zajrzał do pustego kieliszka.

Z mieszkania nad nimi dobiegała cicha muzyka, na trawniku przed blokiem śmiały się głośno jakieś dzieci. Tommy patrzył staremu prosto w twarz, a on kiwał pustym kieliszkiem. W końcu podniósł wzrok i napotkał spojrzenie swojego gościa. „On coś wie” – pomyślał Tommy. „Za tymi błyszczącymi oczyma coś się chowa”. Rzadko w takich sprawach się mylił, ale ten stary pijak był kiedyś oficerem wywiadu, więc sztukę maskowania swoich słabości miał zapewne lepiej opanowaną niż Tommy.

– Bo Agnes Gerner była zaręczona z bardzo ważnym nazistą – powiedział Tommy.

Na wargi Faalunda znów wypełził ten uśmieszek. Odstawił kieliszek na stolik obok fotela, wziął butelkę wódki i pewną ręką napełnił kieliszek po brzegi. Ręce mu drżały zapewne tylko wtedy, kiedy nie pił. Tommy patrzył na jego wielkie palce trzymające kieliszek, na szybki ruch, jakim go wychylił, na precyzję, z jaką powtórzył rytuał. Potem Faalund wziął ze stolika paczkę tytoniu Egberts, wyciągnął bibułkę i skrzył sobie wzorcowego skręta.

Tommy pomyślał, że też zapali, sięgnął po świeżo zakupioną paczkę prince'ów i zdjął z niej celofan. Nagle Faalund znów otworzył usta.

– Agnes Gerner nie była żadną nazistką – powiedział, zapalając skręta. Tommy znieruchomiał z celofanem w ręku.

– Co pan powiedział?

– To, co pan słyszał. Gerner nie była żadną nazistką.

Tommy wyciągnął z paczki papierosa i potrząsnął głową. Ta sprawa od początku przyprawiała go o ból głowy; po tym, co Faalund właśnie powiedział, ten ból mu się pogłębił.

– Nie wiem, czym się zajmowała, ale coś z nią było nie tak. Nie była żadną nazistką. Kaj wspomniał o niej zaraz po wojnie, ale sam niewiele o niej wiedział.

Tommy nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Czyli to było łgarstwo.

„Agnes Gerner nie była żadną nazistką” – pomyślał. „Ale była członkinią NS”. Nie było tu wielu możliwości. Zaciągnął się kilka razy i przejaśniło mu

się trochę w głowie. Jeśli Faalund mówił prawdę, wiele spraw nagle wyglądało inaczej. Co to on w tej sprawie już słyszał o Agnes Gerner i Niemcach? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Dlaczego nikomu pan o tym dotąd nie powiedział? – spytał.

– A dlaczego miałbym coś mówić?

– Ale przecież...

– Nikt mnie nie pytał poza tym... Kto uwierzyłby komuś, kogo wylali z wywiadu wojskowego pięćdziesiąt lat temu? – Faalund raz jeszcze napełnił kieliszek wódką. – Co by to dało, panie Bergmann? – Podniósł do niego kieliszek.

– Krogh nie żyje, zabili go – odezwał się Tommy.

– Poza tym – ciągnął Faalund – chcę mieć święty spokój. Chcę mieć święty spokój od chwili, kiedy tu przyjechałem w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym. Znalazłem robotę w biurze stoczni, pracowałem do samej emerytury, ale z nikim się tam nie zaprzyjaźniłem.

– Dlaczego?

– Bo może pan już zrozumiał – powiedział Faalund – że ja nie przepadam za ludźmi.

Wstał i pewnym krokiem wyminął Tommy'ego.

„A jednak” – pomyślał Tommy. „A jednak mnie tu wpuściłeś, kiedy spytałem o Kaja Holta. A to znaczy, że gotów jesteś zrobić wyjątek zarówno dla Kaja Holta, jak i dla mnie”.

Marius Kolstad! Przyszło mu do głowy w tym samym momencie, kiedy strumień moczu Faalunda trafił w lustro wody w sedesie. Tommy zgasił papierosa w kryształowej popielnicy. Nie musiał nawet zaglądać do notesu, żeby pamiętać, co powiedział Kolstad: że to może sami Niemcy zastrzelili Agnes Gerner, Cecilie i służącą w Nordmarce. Może Nystrøm się mylił? Może miał Kroghowi coś tak bardzo za złe, że próbował go zrobić w zabójstwo tej trójki?

Tommy wstał z krzesła, podszedł do okna i podniósł roletę tak, żeby dało się wyjrzeć. Po lewej stronie stał budynek podobny do tego, w którym się znajdował, po drugiej stronie ulicy – rząd niskich bloków, natomiast po prawej stronie widać było stary dębowy las. Wyobraził sobie, że gdyby ten blok był o parę pięter wyższy, widać by z niego było Skagerrak.

Faalund długo nie wychodził z toalety, więc Tommy podszedł do półki z książkami. Była tam encyklopedia, jakieś stare powieści, wspomnienia Gerhardsena <sup>1</sup>. Tu i ówdzie stały oprawione w ramki zdjęcia. Na jednym



z nich, zrobionym dawno temu, widniał Faalund z jakąś kobietą, zapewne żoną; na innym, dużo późniejszym, młoda para. Sądząc z rysów pana młodego, był wnukiem Faalunda. Pod półką stała komoda. Tommy już wyciągał rękę do uchwytu jednej z szuflad, kiedy w toalecie spuszczone wodę. Po chwili usłyszał za sobą szuranie stóp gospodarza, który szedł teraz jakoś mozolniej niż kilka minut wcześniej, jakby obarczony był jakimś ciężarem.

– Jeśli nie była nazistką, to kim była? – spytał Tommy, gdy Faalund usadowił się z powrotem w swoim fotelu.

– A kto to wie... – odparł stary. – Ale dlaczego właściwie pytał pan o Kaja?

– Bo wydawało mi się, że pan mi pomoże.

– Nie mogę – wymamrotał Faalund.

– Ale drzwi pan otworzył.

Stary odwrócił twarz, a Tommy dopiero teraz pojął, że jego błyszczące oczy nie były wynikiem wyłącznie picia wódki.

– Niech mi pan opowie o Kaju Holcie – powiedział cicho.

– Kaj Holt nie żyje – wymamrotał Faalund – i... nic z tym nie da się już zrobić.

– Przez całe pięć lat był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Norwegii. A w niecałe trzy tygodnie po wyzwoleniu ktoś go w Sztokholmie zabił. Ja myślę, że pan wie dlaczego.

– Nie – powiedział Faalund.

– To niech mi pan powie, co o nim wie.

Faalund znów zwrócił twarz ku Tommy'emu. Wyglądało na to, że już odzyskał kontrolę nad emocjami.

– No więc Kaj był przełożonym Carla Oscara i więcej właściwie nie wiem. On go wyszkolił. Zorganizował komórki, w każdej były tylko cztery osoby, żeby zmniejszyć ryzyko w razie wpadki i tortur. Im mniej osób każdy znał, tym bezpieczniejsza była reszta.

Tommy kiwał głową.

– No i? Pan przecież wie o nim więcej. Przecież nie siedzi pan tu od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego, nie dowiedziawszy się po drodze niczego więcej. – Czekał na odpowiedź, ale nie wyglądało na to, że Faalund ma zamiar jej udzielić. – No to dlaczego pan otworzył drzwi, kiedy spytałem, kto zabił Kaja Holta? – ciągnął zdesperowany Tommy. – Bo przecież ktoś go zabił, prawda?

Siedzieli i patrzyli na siebie, Tommy stracił rachubę, jak długo. Przebiwszy się przez roletę, światło słońca wąskimi paskami padało na tego wielkiego mężczyznę przed nim. Stary zaciskał dłonie na poręczach fotela, aż zbieleły mu nadgarstki.

– To dziwne – odezwał się w końcu – pan jest pierwszy, który odważył się to powiedzieć wprost...

– Co powiedzieć?

– Że Carl Oscar... że to Krogh zabił w lesie te dwie kobiety i dziewczynkę.

Tommy poczuł, że na plecach jeżą mu się włoski. W ostatnich dniach dwóch ludzi powiedziało dokładnie to samo.

– Ja raczej zadałem pytanie – powiedział.

– A ja na nie odpowiadam – sapnął stary. – To on, to Krogh, jeżeli był ktoś, kto był w stanie to zrobić, to był to Carl Oscar Krogh!

– Wydawało mi się, że pan wątpił, czy Krogh mógłby to zrobić, jako że ona nie była nazistką...

– Nie. Ja jestem tylko raczej pewien, że Agnes Gerner pracowała dla Kaja.

Tommy odłożył długopis na stół obok. Potrząsnął nieznacznie głową – nic już z tego nie rozumiał.

– I Kaj Holt wiedział, że Krogh je zabił?

– Przypuszczam, że tak – powiedział cicho Faalund.

Tommy czekał.

– Ja myślę, że to ja... – stary zaczął tak cicho, że Tommy ledwo go usłyszał.

– Tak?

– Byłem chyba ostatnim, który z Kajem rozmawiał... Był tego dnia w Lillehammer i wieczorem miał jechać do Sztokholmu. Spotkałem go przypadkowo w biurze i znałem go na tyle dobrze, żeby widzieć, że... zaszło coś poważnego.

Faalund zamilkł na dłuższy czas i Tommy w końcu dał mu znak ręką, że czeka na dalszy ciąg.

– Nieoficjalnie przesłuchał w Lillehammer jednego Niemca, niejakiego Petera Waldhorsta. Więcej nie chciał mi powiedzieć. Obiecałem mu, że nikomu nic o tym przesłuchaniu nie wspomnę, ale po paru latach dyskretnie spróbowałem tego Niemca odnaleźć.

I Faalund zrelacjonował Tommy'emu swoje odkrycia. Waldhorst był

swego czasu w gestapo w Kirkenes, ale potem wszelki ślad po nim zagał. Tommy mechanicznie notował, pozwalając staremu się wygadać. Wyglądało mu na to, że Faalund poświęcił parę lat życia na znalezienie tego gestapowca.

– A jak pan sądzi, czego on się od tego... Waldhorsta dowiedział?

– Że Krogh zabił tę trójkę... – odparł stary, ale intonacja tego zdania wskazywała raczej na pytanie niż odpowiedź.

– Ale dlaczego... nie bardzo rozumiem... Mówi pan, że Gerner nie była nazistką i że przypuszczalnie pracowała dla Kaja Holta?

Faalund odchrząknął, ale nic nie powiedział. Raz jeszcze napełnił swój kieliszek aż po brzeg, ale tym razem ręka mu mocno drżała. Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, w końcu stary wybuchnął:

– Tylko z takim wytłumaczeniem to wszystko trzyma się kupy, nie rozumiesz pan?! – Przez chwilę patrzył na Tommy'ego, ściskając kieliszek w swojej wielkiej dłoni, a potem zamknął oczy i wychylił go.

– Nie rozumiem czego? – spytał cicho Tommy.

Wyglądało na to, że coś w Faalundzie pękło. Oczy miał wciąż zamknięte, a w dłoni ścisnął pusty kieliszek, ale odetchnął głęboko i zaczął:

– Powiem panu, co ja naprawdę o tym myślę, panie Bergmann, a nie sądziłem, że z kimkolwiek kiedykolwiek się tym podzielę. Otóż ja myślę, że Kaj nie wierzył w winę Gudbranda Svendstuena... Bo jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, kiedy nastąpiła ta wielka wyspa, Gudbrand po prostu nie wiedział wystarczająco dużo, żeby wyrządzić nam aż tak wielkie szkody. Ale potrzebowaliśmy kozła ofiarnego, Londyn też potrzebował, a egzekucja Gudbranda miała być na tyle przerażająca, żeby przez długi czas nikomu nie przyszło do głowy zdradzić. Tak wtedy myśleliśmy. Był to błąd, ale panowała panika, panie Bergmann, straszna panika. Nie potrafiliśmy zachować zimnej krwi. Dlatego myślę, że Kaj – albo pod koniec wojny, albo zaraz potem – zrobił sobie listę tych wszystkich, którzy wiedzieli wystarczająco dużo, żeby wyrządzić nam takie szkody. –

Faalund otworzył oczy i spojrzał na Tommy'ego, który ściągnął brwi. – A Waldhorsta przesłuchiwał, żeby się dowiedzieć, kim był zdrajca.

– Co pan mi próbuje powiedzieć? – spytał Tommy.

– A jak pan sądzi, co panu próbuję powiedzieć? – Faalund uśmiechnął się gorzko.

– A to nie Krogh zlikwidował Svendstuena?

– Ironia losu, co? To Gudbrand powinien trzymać ten pistolet...

– A więc pan uważa... – zaczął cicho Tommy.

– Dlaczego w Lillehammer nie mają teczki Krogha? – spytał Faalund. – Akurat jego jedyne? Wiedział pan, że nie istnieje teczka tylko jednego członka ruchu oporu i że to jest Krogh?

– A więc pan twierdzi... – powiedział Tommy, potrząsając głową z niedowierzaniem. Nie był w stanie kontynuować.

– Twierdę, że Carl Oscar Krogh był tym podwójnym agentem, którego szukał Kaj. – Tu uderzył wielką dłoń w poręcz fotela. – No, powiedziałem to wreszcie. Ale ja jestem tylko starym pijakiem, prawda?

– Nie.

Faalund prychnął.

– No powiedz pan, że nie jestem starym alkoholikiem, Bergmann! – Iver Faalund opróżnił kolejny kieliszek i gdzieś odpłynął. Patrzył niewidzącymi oczyma, jakby sygnalizując, że ta rozmowa się skończyła. Na zawsze.

---

1. Einar Gerhardsen – norweski socjaldemokrata, trzykrotny premier w latach 1945-1965. [\[wróć\]](#)

## CZEŚĆ 3

***Sobota, 22 sierpnia 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Vinderen*

*Oslo*

Gustav Lande zastukał widelcem w kryształowy kieliszek i wstał, trzymając w ręku jakąś karteczkę. Widząc, jak bardzo jest spięty, Agnes Gerner uśmiechnęła się do niego łagodnie, żeby go uspokoić. On jednak był tak zdenerwowany, że wypuścił kartkę z palców, a tę natychmiast porwał przeciąg z otwartego tarasu. Zawirowała i opadła mu do stóp.

Niespełna trzydziestu zgromadzonych gości parsknęło śmiechem. W końcu uśmiechnął się sam Lande, z początku niepewnie, a potem coś jakby w nim puściło i także wybuchnął śmiechem. Karteczki nie podniósł.

Patrząc na zgromadzonych, Agnes splotła palce z paluszkami Cecilii. Dziewczynka zeszła do nich z piętra na prośbę Brigadeführera Seeholza, który stwierdził, że w taki piękny letni wieczór szkoda spać. Agnes musiała przyznać, że ten zwalisty grubianin ma rację. Siedziała teraz, przyglądając się małej łapce w swojej dłoni. Po lecie spędzonym na Rødtangen obie były podobnie opalone. Włosy Cecilii pojaśniały i zdaniem Agnes wciąż pachniały słońcem i nadzieją. „Jeśli nazista może mieć tak cudowne dziecko, być może jednak jest jakaś nadzieja dla ludzi na tej ziemi. Kto wie, może nawet dla mnie?” – pomyślała. Tego lata nawet bioderko Cecilii mniej jej dokuczało, jak gdyby wspólne pływanie z Agnes sprawiło jakiś cud.

Gospodarz raz jeszcze zastukał w kieliszek. Agnes wiedziała, co teraz nastąpi. Jej żyły zwęziły się i wzrosło tętno. Lande posłał jej uśmiech, który odwzajemniła, ale zaraz opuściła wzrok. Obok niej pod ciężarem Seeholza zatrzęszczało krzesło. Podniosła wzrok, by na niego spojrzeć, ale zaraz pożałowała, bo z drugiej strony stołu napotkała wzrok Petera Waldhorsta. Niemiec uśmiechnął się nieznacznie i podniósł kieliszek, wznosząc ku niej niemy toast. Wypiwszy wino, zaczął się rozglądać po salonie i skinął na kelnera, który bezszelestnie wysunął się zza krzesła Agnes, okrążył stół i ze stojącego przed nim coolera wyjął butelkę białego wina. Waldhorst nachylił się do swojej towarzyszki i szepnął jej coś do ucha. Tymczasem gwar w salonie stopniowo ucichł.

– Przyjaciele – zaczął Lande i głos mu się leciutko załamał, świadcząc

o tym, że gospodarz nie do końca nad sobą panuje. – My... Nie wiem, jak to powiedzieć. Zbieramy się tu często, choć moim zdaniem o wiele za rzadko, ale dziś... Więc oficjalnie zaprosiłem was po to, żeby oddać cześć von Mansteinowi i Führerowi z okazji upadku Sewastopola.

Towarzystwo zaczęło spontanicznie klaskać, chcąc podziękować Wodzowi i każdemu żołnierzowi, który oddał życie w walce z bolszewikami. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy Agnes pomyślała o swojej siostrze, przebywającej gdzieś między Wilczym Szańcem Führera a Moskwą lub Sewastopolem.

– Ale jest coś więcej... Tak, jest jeszcze coś! – Lande zrobił ruch ręką, potem podniósł kieliszek z czeskiego kryształu. – Są dwa specjalne powody, dla których zaprosiłem was do mojego... wywrotowego domu. – Tu uniósł kieliszek w stronę Seeholza, który wcześniej tego wieczora pół żartem, pół serio stwierdził, że willa jest w stylu tego podejrzanego Bauhausu. – Pierwszym powodem są interesy.

– Interesy – powiedział Seeholz, trącając Agnes w bok. – Zawsze te interesy, co?

Komentarz Brigadeführera sprowokował przy stole cichy chichot, który miał zapewne za zadanie okazać mu, że został usłyszany. Cecilia wzięła za rękę Agnes i spojrzała na nią. Zielone oczy dziewczynki błyszcząły. Agnes przygarnęła ją i posadziła sobie na kolanach.

– Drugim zaś... uczucie.

– No, nareszcie – sapnął Seeholz, wywołując tym razem głośny śmiech wokół stołu.

– Ale najpierw coś o... molibdenie – ciągnął Lande.

– Czyli o naszym uczuciu – skomentował z końca stołu Waldhorst, wychylając kieliszek.

W podłużnym salonie rozległ się głośny śmiech zebranych. Z otwartego tarasu znów powiało tak mocno, że lniana zasłona na przesuwanych drzwiach załopotała i na chwilę wdarła się w głąb pomieszczenia. Agnes powiodła wzrokiem po zebranych i jej spojrzenie znów zatrzymało się na Waldhorście. Patrzył wprost na nią, a jej się zdało, że przejrzał ją na wylot i sięgnął spojrzeniem w głąb jej duszy. Zmusiła się, żeby o nim nie myśleć, i nachyliwszy się do Cecylii, pogłaskała ją po policzku. Potem wciągnęła nosem zapach jej świeżo umytych włosów. Poczwała, że tętno znów jej wzrasta, i pomyślała, że szkoda, że nie ma z Pielgrzymem takiego dziecka. „Ach, gdybyś tak była moja...” – powiedziała do siebie i po raz kolejny

wzięła małą za rączkę.

– Jak zapewne wiecie – mówił dalej Lande i cofnął się o krok – jako inwestor miałem z kopalniami Knaben dużo szczęścia. I to dzięki przychylności mojego przyjaciela Ernsta.

– Daj spokój – powiedział Seeholz.

– Knaben to cenny wkład do naszej wspólnej sprawy, ale jak doskonale wiemy, niewystarczający – ciągnął Lande. – Aby złamać bolszewików, Wódz potrzebuje więcej tego cudownego metalu, inaczej nie pogrzebie Stalina i jego popleczników na wieki wieków. Pozwólcie, że coś wam opowiem. Wczoraj miałem spotkanie z dyrektorem działu badawczego w Spółce Górniczej Landego, Rolborgiem. Jak już kiedyś wspominałem, dałem temu genialnemu geologowi za zadanie zlokalizowanie wszelkich możliwych pokładów molibdenu w kraju. Natrafił on na znalezisko, uważane za jedno z największych w historii, i to o dziwo, w Hurdal. Rolborg twierdzi, że można tam wydobywać trzy razy tyle, ile w Knaben. Tylko on zna wszystkie szczegóły. Ja nie wiem dokładnie, gdzie te pokłady leżą i ile tego tam jest, ale wiem jedno: Rolborg to jeden z najbardziej godnych zaufania ludzi, jakich znam, więc nie mam powodów, aby wątpić w jego słowa. – Tu Lande wyciągnął rękę po kieliszek. Zgromadzeni czekali w napięciu. – Rolborg utrzymuje, że jest tam dość molibdenu, by opancerzyć dwa tysiące czołgów rocznie. To wystarczy, żeby zrównoważyć nasze straty, powodowane użyciem przez Rosjan wolframu. To dla nas lekarstwo zesłane z nieba! Rozważam zatem możliwość, żeby porozmawiać z moim kochanym przyjacielem Ernstem Seeholzem... o przyjęciu go do spółki.

Lande uśmiechnął się tym swoim łobuzerskim uśmiechem, który niegdyś zapewne często gościł na jego twarzy, uśmiechem, dzięki któremu Agnes z nim wytrzymała i wciąż była w stanie wykonywać swoją misję.

„Stop” – pomyślała. „Stop”. Wiedziała, co za chwilę nastąpi. A tu jeszcze ten molibden: dwa tysiące czołgów rocznie opancerzone najrzadszym metalem na ziemi, wystarczająco odpornym, żeby pozwolić niemieckim czołgom sforsować rosyjską obronę przeciwczołgową. Dzięki niemu front wschodni może zostać przełamany.

Agnes już nie słyszała rozmowy, która wywiązała się teraz przy stole, a która dotyczyła tego magicznego metalu i jego nieograniczonych możliwości dla wspólnej sprawy. Nie miała ona dla niej większego znaczenia. Nic, co się działo przed kolejnym dźwiękiem uderzenia w kieliszek, już jej specjalnie nie dotyczyło.

– Cecilio, kiedy zmarła twoja matka Sonja... – Głos Landego znów się trochę załamał. Spojrzał na córeczkę wielkimi oczyma smutnego psa, a ona mocno, bardzo mocno ścisnęła rękę Agnes. Ta przytuliła twarz do główki małej, wdychając jej zapach i czując po raz któryś z rzędu ukłucie zazdrości, że to dziecko nie jest jej, że to nie ona dała mu życie, że nie ona wydała je na świat – ...myślałem, że los już się do mnie nigdy nie uśmiechnie. –

Odchrząknął, a Agnes kątem oka zobaczyła, jak norweska przyjaciółka Seeholza lnianą serwetką ociera oczy. – Aż do pewnego wieczora, kiedy to jak grom z jasnego nieba... Kiedy poznałem tę kobietę, to piękne boskie stworzenie...

Lande obszedł gości i stanął za Agnes. Nie chciała się zaczerwienić, nie było to w jej stylu, ale kiedy położył ręce na jej ramionach, spłonęła rumieńcem.

„Nie wiesz, kim jestem” – pomyślała. „Nie masz pojęcia”.

Oklaskom nie było końca. Agnes wstała i pocałowała gospodarza, myśląc: „Kocham go, naprawdę kocham Pielgrzyma, ucieknę z tą dziewczynką, ucieknę z nią i z nim”.

Objęła Gustava Lande, a on uściśnął ją i szepnął jej w ucho: „Kocham cię”.

Dopiero teraz zauważyła stojącą w drzwiach Johanne Caspersen. Obrzydliwa istota, która nigdy nie będzie nikim innym niż niezamężną służącą, patrzyła na nią wzrokiem bazyliuszka. Agnes z powrotem usiadła i przyjrzała się grubej złotej obrączce na palcu. Potem zerknęła na Petera Waldhorsta, trochę wyzywająco, jakby chciała mu pokazać, że się go nie boi. To, co zobaczyła, bardzo ją zaskoczyło – Niemiec wyglądał, jakby za chwilę miał paść trupem. Na jego twarzy malowała się męka, jakby poddawano go najstraszliwszym torturom. Po chwili przeprosił swoją towarzyszkę przy stole i szybkim krokiem wyszedł z salonu.



## ***Sobota, 14 czerwca 2003***

*Hotel „Złoty Lew”*

*Uddevalla*

– Peter Waldhorst? – powtórzył głos Finna Nystrøma w słuchawce.

Tommy Bergmann stał przy oknie na drugim piętrze hotelu „Złoty Lew”, patrząc w dół na deptak prowadzący do centrum. Wolną ręką otworzył puszkę mocnego piwa Norrlands Guld, które kupił w Systembolaget dziesięć minut wcześniej. Wizyta u Ivera Faalunda przyprawiła go o ogromne pragnienie i jednocześnie zamęt w głowie. Wiedział teraz jednak więcej, a przynajmniej tak mu się wydawało. Piwo było ciepłe, ale nie przejmował się tym. Zanim się obejrzał, pół puszki już nie było.

– Hauptsturmführer SS łamane przez Kriminaldirektor w gestapo, Peter Waldhorst – sprecyzował. Ten podwójny tytuł Petera Waldhorsta był jedną z ostatnich rzeczy, które usłyszał od Faalunda.

Stary powiedział mu jednak coś ważniejszego.

Tommy nie mógł się pozbyć myśli o tym, że Carl Oscar Krogh skrywał tajemnicę, i to tajemnicę, która po wojnie mogła zniszczyć mu życie. Dlaczego w Lillehammer nie było teczki Krogha? Miał co prawda na to tylko słowo Faalunda, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to prawda. Jeśli stary miał rację, łamigłówka zaczynała się układać.

– Skąd pan wie o jego stopniu? – spytał Nystrøm.

Próbował ukryć podniecenie, ale mu się to nie udawało. Przez moment Tommy pożałował swojego wyboru: mógł przecież zadzwonić do Torgeira Moberga. Nie miał jednak do Moberga zaufania, profesor nie sprawiał bowiem wrażenia, jakby mu tak bardzo na wyjaśnieniu zagadki zależało. A do wyjaśnienia pozostało jeszcze całkiem sporo.

– Wygląda na to, że Faalund był ostatnim, który rozmawiał z Kajem Holtem. – Zawiesił głos i przez chwilę panowała cisza.

– Aha.

– Holt powiedział mu, że nieoficjalnie przesłuchał niejakiego Petera Waldhorsta.

– No i?

– No i Holt więcej mu nie powiedział, prosił tylko o zorganizowanie samochodu do Sztokholmu. Faalund więcej go już nie widział.

– A więc... Holt przesłuchał Waldhorsta w poniedziałek dwudziestego ósmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Dwa dni później nie żył – podsumował Nystrøm.

- Na to wygląda – powiedział Tommy.
- Czy Faalund powtórzył to Kroghowi? – spytał cicho Nystrøm. – Czy Krogh wiedział o tym przesłuchaniu Waldhorsta?
- Wygląda na to, że nie. Faalund i Krogh raczej nie byli dobrymi kumplami.
- O cholera – powiedział cicho Nystrøm. Tommy mógł sobie łatwo go wyobrazić tam, w górach, w islandzkim swetrze, z psami, wędką, z palącym zachodem słońca w tle. – Więc czego Holt się dowiedział? Faalund na pewno wie coś więcej!
- Dla dobra śledztwa...
- Akurat mnie nie może pan powiedzieć? Naprawdę? – Nystrøm roześmiał się cicho.
- Tommy opróżnił puszkę do końca, stłumił beknięcie i pomyślał, że po prostu nie miałyby nic więcej do powiedzenia Nystrømowi, nawet gdyby chciał.
- Musi mi pan pomóc – powiedział. – Musi pan dla mnie zdobyć informacje o tym Waldhorście.
- A mnie się wydawało, że to pan jest policjantem? – parsknął Nystrøm. Tommy postanowił udąć, że nie słyszał kpiny w jego głosie, i raz jeszcze pożałował, że nie zadzwonił do Moberga.
- I ten pijaczyna siedział cicho przez prawie sześćdziesiąt lat? – Nystrøm zadał pytanie, jakby skierowane do siebie.
- Niech to zostanie między nami – poprosił Tommy, myśląc jednocześnie: „To i tak tylko pierwsza część tej historii...”.
- Waldhorst... – powtórzył Nystrøm, jakby smakując to nazwisko.
- Aha, nie muszę mówić, że nikogo takiego nie ma – dodał Tommy.
- A więc już nie żyje – stwierdził Nystrøm.
- Być może. Faalund dowiedział się tylko, że Waldhorst był w gestapo w Kirkenes od początku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, a po wycofaniu się z północnej Norwegii pojawił się jako zastępca komendanta w biurze gestapo w Lillehammer.
- Jeśli był gestapowcem, musiał po wojnie stanąć przed naszym sądem. A potem został deportowany, bo go nie stracono, akurat to bym pamiętał.
- Z przesłuchania Waldhorsta przez Holta nie został żaden ślad. Ale były jakieś inne przesłuchania. Faalund datuje ostatni ślad po Waldhorście na dwudziestego ósmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Tyle że jego papiery gdzieś zniknęły.

Nystrøm gwizdnął.

– *Operation Paperclip* – powiedział do siebie.

– *Operation* co? – zdziwił się Tommy.

– *Paperclip*. Spinacz. Amerykańska operacja, która zaczęła się jeszcze przed końcem wojny. Jankesi próbowali dotrzeć do najcenniejszych hitlerowców, zanim dostaną ich Rosjanie. Niech pan nie zapomina, że to Niemcy zbudowali Amerykanom program kosmiczny! W Norwegii było tak, że dawnych gestapowców i ludzi z Abwehry, o ile nie mieli za dużo krwi na rękach, zgarnęli Szwedzi. Tych, którzy nie rzucali się w oczy: specjalistów od szyfrów, Rosji, kontrwywiadu, technik przesłuchań. I sprzedali ich Amerykanom za plecami Brytyjczyków.

Tommy nic nie powiedział.

– Wyszperam coś o nim, jeśli jeszcze żyje – obiecał Nystrøm.

Tommy milczał dalej. Pomyślał, że Kaj Holt niechcący wdepnął w gniazdo os. I to kosztowało go życie.

– Jest jeszcze coś – odezwał się po chwili Nystrøm. – Coś, czego mi pan nie chce powiedzieć. Ale myślę, że ma pan rację. Właściwie jestem tego pewien.

– O czym pan mówi? – spytał Tommy, ale nie od razu. To zawahanie było dla Nystrøma wiele mówiące.

– O tym, że jest jakiś związek między tą trójką z Nordmarki a zabójstwem Holta.

– A jaki to miałyby być związek?

– Załóżmy, że to Krogh zabija tę trójkę w Nordmarce – zaczął Nystrøm. – Kaj Holt o tym się dowiaduje, ale jest po wojnie w tak złym stanie psychicznym, że nie potrafi zatrzymać tej informacji dla siebie. Ze swej strony Krogh nie chce, żeby wyszło na jaw, że to on stoi za wykonaniem najbrutalniejszych wyroków w Norwegii. W końcu ma odegrać kluczową rolę w powojennej odbudowie kraju. Krogh ma długie ręce i wpływy w Szwecji. Można sobie łatwo wyobrazić, że to Szwedzi uciszają Holta. Niech pan nie zapomni, że Krogh po wojnie był ich człowiekiem, a oni nie mogli ryzykować, że ktoś taki zostanie skompromitowany!

Tommy się zamyślił. Nystrøm nie był głupi, ale nie wiedział tego, co wiedział on. Powiedział więc coś, czego zaraz pożałował:

– Jest pewien dodatkowy czynnik, który komplikuje sytuację... Jest coś znacznie gorszego.

– Co takiego?

– Wszystko wskazuje na to, że Agnes Gerner wcale nie była nazistką, mimo że była narzeczoną Gustava Lande. A Faalund uważa, że ta egzekucja w Nordmarce nie była wcale pomyłką.

– O czym pan mówi?

– Faalund twierdzi, że Gerner nie była nazistką, chociaż była związana z Landem. I ponoć Holt o tym doskonale wiedział... Faalund utrzymuje, że Gerner pracowała dla niego.

Nystrøm milczał przez chwilę.

– Więc Krogh miałby zlikwidować swoich? – spytał w końcu. – To chce pan powiedzieć?

Tommy zamknął oczy. Nie miał wyboru, musiał mu zaufać. Bo kto inny pomoże mu znaleźć Waldhorsta? Może Moberg mógłby, ale po rozmowie, którą z nim odbył, nie miał do niego specjalnie zaufania.

– To... – zaczął Tommy i zaciął się na chwilę. – To, co panu powiem, musi pozostać między nami. Innymi słowy, wszystko, o czym mówimy, to sprawa poufna.

– Poufna – powtórzył Nystrøm. – Naturalnie!

– W domu Krogha znaleźliśmy dwa szesnastocyfrowe numery, przypuszczalnie jakichś kont. Wie pan, takich, jakie mają w Lichtensteinie czy w Szwajcarii.

Z drugiej strony nastąpiła cisza.

– No, w jego dzielnicy to nic nadzwyczajnego – powiedział w końcu Nystrøm. – Choć ja bym się osobiście zdziwił, gdyby akurat on w taki sposób kisił gdzieś pieniądze.

– Mam przeczucie, że te pieniądze pochodziły z innych źródeł niż jego firma. I że to konto założono dawno, dawno temu – powiedział Tommy.

– Co pan ma na myśli?

– Faalund... może mieć tu rację. Ciężko w to uwierzyć, sprawa jest paskudna, ale...

– Ale co? – spytał Nystrøm. – W czym Faalund może mieć rację?

– On uważa, że Agnes Gerner... go przejrzała.

– Przejrzała? – powtórzył cicho Nystrøm.

– Jak pan sądzi, czego Holt dowiedział się od Waldhorsta? Faalund powiedział mi, że Krogh nie ma w Lillehammer swojej teczki. Niemcy jakoby nigdy mu takiej nie założyli. Co to panu mówi?

Nystrøm przez chwilę milczał, a potem szepnął w słuchawkę:

– Wiedziałem, że nie ma swojej teczki, ale Boże... To może być

prawda...

– Jeżeli to prawda, najgorsze jest to, że wszystko zaczyna do siebie pasować. Egzekucja na Agnes Gerner, konto numeryczne... Nie było przypadkiem tak, że Niemcy często zakładali dla swoich agentów takie konta? Gdzieś coś o tym czytałem.

– O Boże... – wybąkał Nystrøm. – Jest tylko jedno... Nie, Boże.... To nie do uwierzenia!

– Nie ma pan teorii, która mogłaby potwierdzić te twierdzenia Faalunda?

– Teorii? – spytał cicho Nystrøm.

– No, czegoś w życiu Krogha, co uzasadniałoby, że był w czasie wojny podwójnym agentem? Kłopoty pieniężne, ukryte nazistowskie sympatie, zdemaskowanie jako członka podziemia, coś takiego?

– Kłopoty finansowe? Nie... – powiedział cicho Nystrøm. –

Wiedziałbym coś o tym. Przecież pochodził z zamożnej rodziny...

– Musimy odnaleźć Waldhorsta – oznajmił Tommy. – O ile jeszcze żyje.

– Mogę spróbować... mam dobre kontakty w Niemczech.

– Niech go pan znajdzie – rzekł Tommy. – Koniecznie.

Odłożywszy słuchawkę, położył się na łóżku i poczuł, że do głowy napływa mu krew.

Na bloczku z hotelowym logo napisał dwa słowa:

„Podwójny agent”.

Jeśli to była prawda, któż inny jak nie Iver Faalund miałby to wiedzieć? Któż?

## **Czwartek, 27 sierpnia 1942**

*Hammerstads gate*

Oslo

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Agnes Gerner od razu pomyślała, że rytm tego pukania jest jakiś inny niż u prywatnego szofera Landego. To pukanie było łżejsze i ostrożniejsze. Poza tym – o półtorej godziny za wcześniej: była dopiero druga, a ona umówiła się, że będzie gotowa na wpół do czwartej.

Kiedy podniosła się na łóżku, w którym leżała, na wpół drzemiąc w zapachu swoim i Pielgrzyma, nagle opanowało ją uczucie, że popełniła błąd. Intuicja mówiła jej, że tym razem się im nie upiecze. Ale przecież w tym, że może mieć z nim dziecko, nie było nic złego? W następnej sekundzie powiedziała sobie, że owszem, w każdej innej sytuacji, tylko nie w tej. Co miała zrobić? Pielgrzym znów na nią w mieszkaniu czekał... Oczywiście, było to szaleństwo, ale jednocześnie był w tym jakiś sens. Spoglądając na zaręczynową obrączkę od Landego, pomyślała raz jeszcze, że to nie jego szofer puka teraz do jej drzwi. Jeśli Lande dowie się o niej i Pielgrzymie, ona tej jesieni nie przeżyje. Jednak za każdym razem kiedy Pielgrzym, jej własny Carl Oscar w nią wchodził, modliła się, żeby było z tego dziecko takie jak Cecilia.

„Może popadam w obłąd?” – pomyślała, zmierzając przez salon do drzwi. „Może już popadłam?”

Kiedy kładła dłoń na klamce, przyszło jej do głowy, że nie, że przecież jej nikt nic nie robi, że wszystko musi się jakoś ułożyć. Widok podoficera SS za drzwiami natychmiast ją otrzeźwił.

– *Fräulein* Gerner? – spytał sierżant.

Przyjazny ton jego głosu nasunął Agnes natychmiast podejrzenie, że sobie z niej kpi. Serce jej stanęło, ale on ciągnął dalej:

– *Herr* Waldhorst chciałby się z panią spotkać.

„Dopał mnie” – pomyślała natychmiast. „Już mnie ma”.

– Spotkać się? – spytała z udawanym zdziwieniem. – Nie byliśmy umówieni. Mam zaraz jechać do posiadłości mojego narzeczonego! Niech go pan poprosi, żeby zadzwonił.

Kiedy esesman nie pozwolił jej zamknąć drzwi, wpadła w panikę.

– Jadę zaraz do Rødtangen i...

– *Bitte*. Bardzo panią proszę!

– A o co chodzi?

– Niech pani ze mną pojedzie, *Fräulein*, proszę. – Zrobił zapraszający ruch ręką w kierunku schodów.

– Chwileczkę. Muszę... pójść do toalety.

Chwyliła torebkę leżącą na mahoniowej komódce i spojrzała na siebie w lustrze. Odłożyła torebkę.

Sierżant wszedł tymczasem do przedpokoju.

– Muszę się przebrać – powiedziała.

Esesman skinął głową, ale wszedł za nią do salonu.

W sypialni przebrała się, myśląc tylko o tym, żeby wyglądać normalnie, i próbując zapomnieć, że już, już szła do łazienki z torebką i ukrytą w niej ampulką cyjanku.

Schodząc schodami, odgoniła od siebie chęć, żeby już w samochodzie włożyć sobie kapsułkę z kwasem pruskim do ust. Będzie jeszcze na to czas, wystarczy, że będzie trzymała rękę w torebce. Na samą myśl o możliwym smaku tego proszku zrobiło jej się niedobrze.

Samochód przejechał przez skrzyżowanie na Majorstua, potem minął kilka blokad i barykad z worków z piaskiem.

„Chyba zwariowałam” – pomyślała, gdy skręcili w Bygdøy allé.

Kiedy sierżant nacisnął guzik dzwonka w stojącym na górcie, podobnym do tortu białym budynku o numerze 51, była już o wiele spokojniejsza. Obok dzwonka widniała elegancka, świeżo wypolerowana mosiężna tabliczka z nazwiskiem „Berkowitz”. Idąc za sierżantem w górę po schodach, czuła, że nogi pod nią drżą. „No, nieźle” – pomyślała. Kiedy masywne drzwi otworzyły się, zapach prania z klatki schodowej zmieszał się z zapachem świeżych kwiatów stojących na stoliku tuż za drzwiami mieszkania. W ustach poczuła smak krwi.

Sierżant strzelił obcasami.

– *Herr Kriminalinspektor Hauptsturmführer, Fräulein Gerner!*

„Kriminalinspektor Hauptsturmführer Waldhorst” – pomyślała Agnes.

Przez moment była w szoku. Czyżby po prostu wyparła myśl o tym, jak niebezpieczny jest ten człowiek? Może jej się wydawało, że zbliżający się ślub z Gustavem Lande czyni ją nietykalną? Czy naprawdę udało mu się ją oszukać? Czy zrobiła jakiś błąd? Kapitan Waldhorst... inspektor kryminalny. Przecież był na to za młody? Nie, przecież wiedziała, że nie. Ale nie był z gestapo, bo wiedziałyby o tym, Numer 1 podałyby jej to nazwisko. To oczywiste, ludzie z Abwehry nie chodzili w mundurach.

Wiedziała, co się święci, już za pierwszym razem, kiedy rozmawiała

z tym Waldhorstem. Szkoda, że spotkała Pielgrzyma, bardzo tego żałowała, bo gdyby nie spotkała, nie miałyby teraz tyle do stracenia...

„Boże, zmiłuj się nade mną” – poprosiła w myślach.

– Kochana panno Gerner – zaczął Waldhorst, zamknawszy za nią drzwi.

Agnes stała w wielkim holu wyłożonym parkietem. Na ścianach, na ciemnoczerwonej tapecie wisiały rzędy portretów i krajobrazów. O ile Agnes mogła się zorientować, były tam Krohgi, Astrupy i Hertervigi <sup>1</sup>. „Fortuna” – pomyślała, widząc za podwójnymi drzwiami piękny salon. Rodzinę, która tu mieszkała, zapewne wyrzucono stąd z dnia na dzień. Pozostawiła za sobą fortunę w dziełach sztuki, meblach, pewnie także w gotówce, akcjach i Bóg jeden wie w czym jeszcze.

Skądś w mieszkaniu dobiegała muzyka z gramofonu.

– Niech pani się niczego nie obawia, proszę się uspokoić – ciągnął Waldhorst u jej boku.

Pachniał wodą po goleniu i pastą do zębów, ale Agnes czuła także ślad mocnego alkoholu, jakby przed jej przyjściem to i owo wypił. Myśl, że on denerwuje się bardziej niż ona, spowodowała, że jej tętno spadło do normalnego poziomu. Rozluźniła nieco dłoń kurczowo zaciśniętą na torebce i przestała myśleć o zawiniętej w papier toaletowy ampułce cyjanku.

Waldhorst położył dłoń na jej plecach i delikatnie skierował ją do salonu. Umebłowany był w stylu Ludwika XVI, z oknami częściowo zasłoniętymi grubymi, podszytymi jedwabiem kotarami. Stamtąd przeszli do biblioteki, gdzie właśnie przestała grać muzyka. Ściany pomieszczenia pokryte były regałami z książkami, wisiały tam również obrazy. Pod jednym z okien stało mahoniowe biurko, na nim popielnica ze zgaszonym cygarem, rozrzucone na blacie papiery, pojedyncza fotografia w ramce, przedstawiająca jakiegoś młodego mężczyznę.

Dopiero teraz dotarło do Agnes, czego Waldhorst słuchał z gramofonu stojącego w rogu. Byli to „Comedian Harmonists”. Wiedziała dobrze, że to muzyka zakazana. Sekstet ostatni raz występował w Niemczech na początku lat trzydziestych, i o ile się orientowała, większość jego członków wkrótce po tym uciekła za granicę. Albo Waldhorst przywiózł tę płytę ze sobą, albo też zostawiła ją tu rodzina Berkowiczów. Samo jednak to, że hitlerowiec grał piosenki sześcioro Żydów, kazało jej się pilnować.

Waldhorst podszedł do gramofonu i przełożył igłę na początek płyty. Z głośników rozległ się *Mein Kleiner grüne Kaktus*. Piosenka ta sprawiła, że Agnes mimowolnie się uśmiechnęła. Może zresztą tylko odwzajemniła



uśmiech Waldhorsta, który tymczasem kręcił się po bibliotece, szukając jakiegoś nieznanego przedmiotu. Możliwe też, że uśmiechnęła się ze zdenerwowania, bo uświadomiła sobie, że Waldhorst nie zagrałby tej płyty, nie mając ku temu wyraźnego powodu. Najwyraźniej chciał sprowokować jakąś jej reakcję. Na podłodze leżało kilka okładek i Agnes spróbowała dociec, co to za płyty, ale udało jej się rozpoznać tylko twarz Zarah Leander.

– Mieszka pan tu całkiem sam? – spytała.

Waldhorst uśmiechnął się i wskazał ręką na dwie skórzane kanapy, oddzielone od siebie niskim, staromodnym stolikiem.

– Całkiem sam – odparł. – Drinka?

– Nie, dziękuję.

– A może jednak? – nalegał Niemiec. – Małego? Przecież już po lunchu. Sherry?

Kiedy Agnes usiadła na chłodnej skórce, zrobiło jej się nagle zimno. Torebkę położyła sobie na kolanach i lekko skinęła głową. Twarz Niemca była blada, jakby przez cały dzień nie wychodził z domu, w którym światło wpadało jedynie przez to jedno okno przy biurku. Reszta pomieszczenia pogrążona była w lekkim półmroku, jakby już było po zachodzie słońca.

Agnes przyjęła od niego kryształowy kieliszek i zauważyła, że ręka Waldhorsta lekko drży, niczym liść kasztana na ulicy, trącany przez słaby wiaterek. Niemiec nalał sobie dużą porcję whisky i odstawił karafkę do barku w kształcie otwieranego globusa, jaki Agnes pamiętała z dzieciństwa.

– Na zdrowie – powiedział gospodarz i usiadł na drugiej kanapie. Przez chwilę w milczeniu patrzył przez okno.

Agnes otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale on ją ubiegł.

– Papierosa? – spytał, nie patrząc w jej stronę. Włożył rękę do kieszeni marynarki i wyjął papierosnicę.

Przypaliwszy jej papierosa, wypełnionego mocnym, drapiącym w gardło tureckim tytoniem, podszedł do gramofonu, zdjął z niego płytę „Comedian Harmonists” i rzucił na podłogę.

Następną płytą, którą nastawił, była Zarah Leander. Przez chwilę słyhać było chrobotanie, a potem Agnes rozpoznała *Bei mir bist du schön*. Ta płyta też była zakazana, bo piosenka była w jidysz, choć sama Leander była nazistką. Paradoks, nie tylko zresztą dla Agnes.

– Jest pan świadom, że gra pan zabronioną muzykę, panie Waldhorst?

On tylko prychnął i lekko potrząsnął głową.

– A może powinnam powiedzieć Kriminalinspektor Waldhorst? Dlaczego

mi pan nie powiedział, że jest pan policjantem? Mam nadzieję, że Gustavowi powiedział pan prawdę? Bo on nie cierpi, jak ktoś robi z niego idiotę.

Waldhorst popatrzył na nią oczyma bez wyrazu, jakby nie rozumiał, co do niego mówi. Potem zapalił papierosa i opróżnił szklaneczkę whisky. Podszedł do okna za biurkiem.

– Przegramy tę wojnę – oznajmił.

Agnes odruchowo odchrząknęła. Strzepnęła popiół do popielnicy i lekko drżącą ręką podniosła papieros do warg.

– Ktoś powinien tego człowieka zlikwidować – powiedział Waldhorst jakby do siebie. – Tego małego czeskiego kaprała.

Agnes poczuła, że na jej przedramionach jeżą się włoski.

Przeciwko czemuś takiemu bardzo ich wszystkich ostrzegano. Po incydencie w Venlo <sup>2</sup>, trzy lata wcześniej, wywiad brytyjski wydał instrukcję, żeby zachować szczególną ostrożność w stosunku do niemieckich oficerów, deklarujących swoje antynazistowskie poglądy. Wiele miesięcy temu Pielgrzym powiedział jej, że nie wszyscy agenci w terenie wzięli sobie tę instrukcję do serca, co dla większości źle się skończyło. Powiedział, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż zaufanie Niemcowi, który jakoby ma dość Führera i chce konspirować dla obalenia Rzeszy.

– Powinien pan chyba być ostrożniejszy w tym, co pan mówi – powiedziała w końcu Agnes. – Co by na to powiedział Brigadeführer Seeholz? Nie dość, że słucha pan zakazanej muzyki, to jeszcze mówi pan z pogardą o Führerze!

Waldhorst obrócił się ku niej. Twarz miał jeszcze bledszą niż przedtem, wyglądał na poważnie chorego. Tylko jego żywe oczy, pasujące do ciemnych, gęstych włosów i równie ciemnych, symetrycznych brwi wskazywały, że nic mu nie jest.

– Seeholzem proszę się nie przejmować, to dureń. A Führer... No cóż, jedno trzeba temu Czechowi przyznać. Żeby czynić cuda, trzeba tak zaczarować widownię, żeby w nie uwierzyła. I on to wciąż potrafi. Zgodzi się pani ze mną, panno Gerner?

– Dla pana Agnes, proszę – odparła.

Waldhorst potrząsnął głową, mocno potarł dłonią twarz, przeczesał palcami lśniące od pomady włosy.

– Dlaczego pan mnie tu sprowadził? – spytała.

Parkiet zaskrzypiał pod jego krokami i nastąpiła nieznośna cisza, zakłócana jedynie równym tykaniem wielkiego zegara w salonie. Waldhorst znów stał

przy gramofonie, gdzie płyta tymczasem dobiegła końca. Zdjął z niej ramię z igłą, potem zdjął z talerza samą płytę.

– Podobała się pani? – spytał, wyciągając krążek w jej stronę.

– To żydowska piosenka – powiedziała Agnes.

– No to ją zniszczymy. – Waldhorst złamał płytę i rzucił jej kawałki na podłogę. – Znalazłem ją w tym mieszkaniu, należała do... Berkowitzów... Berkowitzów! – Posmakował to nazwisko, by potem je wypluć.

Agnes podniosła kieliszek sherry do ust, mocno zaciskając na nim palce, bo przez moment miała wrażenie, że zaraz jej się wyślizgnie.

– Dlaczego uczepliła się pani Landego? – spytał nagle Waldhorst cicho, przysiadając na podłokietniku kanapy po drugiej stronie stolika.

– Muszę już iść – powiedziała Agnes, pochylając się i odstawiając kieliszek na stolik.

– Niech mi pani powie. Dla pieniędzy?

Agnes wstała, ale nogi miała jak z waty, cała krew odpłynęła jej z głowy, zachwiała się. „Toaleta” – pomyślała i ruszyła w stronę salonu. „Zwymiotuję. Albo włożę ampułkę do ust”.

– Przepraszam – powiedział Waldhorst, idąc za nią. – Nie chciałem pani wyprowadzić z równowagi.

– Ale pan to zrobił – wypaliła Agnes, stając w drzwiach wiodących do salonu.

– Jest pani bardzo piękna... – wymamrotał Waldhorst. – A Gustav Lande ma pieniądze i władzę...

Agnes odzyskała panowanie nad sobą.

– Dlaczego pan mnie tu sprowadził? – spytała, odwracając do niego głowę.

Waldhorst przysiadł tym razem na blacie biurka z lekko zawstydzoną miną.

– To mój brat – powiedział, wskazując ręką na fotografię na biurku.

Agnes cofnęła się i podeszła bliżej. Zobaczyła kogoś podobnego do Waldhorsta, ale zdjęcie musiało być stare, bo wyglądało na szkolne. Chłopiec miał może ze czternaście lat, ale ten sam krzywy uśmiech na surowej twarzy, w której był jednak jakiś miękki rys.

Waldhorst podniósł z biurka jakiś arkusik, trzymając go do góry nogami, ale Agnes zdołała coś odczytać. „No tak, padł za Führera” – pomyślała i spojrziała jeszcze raz na zdjęcie.

– Musiałem się z panią zobaczyć – powiedział Waldhorst tak cicho, że

Agnes ledwo to usłyszała. – Jestem żonaty, ale kiedy jest mi ciężko, łapię się na myślach o pani. – Wzrok miał wbity w podłogę.

Agnes zdjęła kapelusz i odłożyła go na kanapę. Wzięła go za rękę, a potem chwyciła lekko za podbródek i podniosła jego twarz do góry. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem on pochylił się ku niej.

Pozwoliła mu się pocałować.

– Nie powinienem był tego mówić – powiedział. – Pani jest zaręczona.

Pogłaskała go po policzku, czując, jak wzbiera w niej radość. Czy to naprawdę było takie proste?

– Niech pani już idzie – powiedział Waldhorst.

Dopiero na ulicy, czekając, aż wróci jego szofer, pomyślała, że nic na świecie nie jest tak proste, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. A kiedy wkładała klucz do zamka na Hammerstads gate, znów opanowało ją to dziwne uczucie, że zrobiła jakiś błąd, nie wiedziała tylko jaki.

W przedpokoju, nie wiedząc sama dlaczego, usiadła na podłodze i się rozpłakała.

1. Christian Krogh, Nikolai Astrup, Lars Hertervig – znani norwescy malarze z XIX wieku. [\[wróć\]](#)
2. Incydent w Venlo – prowokacja SD w Holandii w listopadzie 1939 roku, w wyniku której Niemcy schwyтали dwóch oficerów wywiadu brytyjskiego sądzących, że kontaktują się z uczestnikami antyhitlerowskiego spisku w armii. [\[wróć\]](#)

## **Niedziela, 15 czerwca 2003**

### *Uddevalla*

Nad przecinającym miasto kanałem nisko leżały chmury, wyglądające jak kłęбки szarej waty. Od czasu do czasu zsyłały na Tommy'ego Bergmanna i jemu podobnych, ignorujących pogodę, krótkie, ale obfite ulewy. Tommy nie mógł pojąć, dlaczego zaraz po śniadaniu nie wsiadł w samochód i nie pojechał prosto do Sztokholmu, tylko z pożyczonym parasolem snuł się po tej zapomnianej przez Boga miejscinie.

Obserwując taplającą się w czarnej wodzie kanału parę kaczek, wyglądających na męża i żonę, wypalił dwa papierosy, a potem udał się na rynek, żeby zjeść wczesny lunch i może nawet pozwolić sobie na piwo czy dwa. Zasiadł właśnie w „Ratuszowej”, kiedy zadzwoniła komórka.

– Rozmawiałem z jednym kolegą z Niemiec – zaczął Finn Nystrøm.

– Tak? – odparł Tommy, wskazując jednocześnie młodej kelnerce palcem jakąś pozycję w menu. – I to w niedzielę? Nieźle.

– My, wykolejeńcy, trzymamy się razem – zachichotał Nystrøm.

– A co, on też wypadł z gry?

– Nie, ale koledzy za nim nie przepadają – odparł Nystrøm. – Rudolf Braun, historyk, może pan o nim słyszał?

– Niech pan zgadnie.

– No dobra... On jest raczej pewien, że Waldhorst żyje sobie w Berlinie pod innym nazwiskiem, przypuszczalnie brzmiącym z angielska. Braun jutro skontaktuje się z innym kolegą.

– Niech pan coś zrobi, żeby trzymał gębę na kłódkę, nie chcę mieć tego wszystkiego w gazetach. A o tym, co Faalund powiedział o Kroghu, ani słowa. Nawet do pańskich piesków.

– Spokojnie, Tommy, spokojnie. Niech pan słucha: ten Waldhorst od jesieni tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku był osobistym sekretarzem niemieckiego *attaché* handlowego w Oslo.

– *Attaché* handlowego? – zdziwił się Tommy. – Ale przecież...

Z drugiej strony nastąpiła krótka, pełna politowania cisza.

– Abwehra – wyjaśnił Nystrøm. – Stosunki między Abwehrą a gestapo nie były najlepsze, ale w Norwegii te granice były dość płynne. To może tłumaczyć, dlaczego Waldhorst nagle, w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, objawił się w gestapo. Co robił przedtem w Norwegii, diabli wiedzą. Większość archiwów Abwehry szlag trafił po zamachu na Hitlera w czterdziestym czwartym. To i owo wiadomo, ale SD przejęło większość

papierów i zniszczyło to, co im nie odpowiadało. Poszły z dymem, niestety. Ciekawostką jest jednak to, że Waldhorsta nie ma na żadnej liście skazanych po wojnie! Podejrzewam, że w którymś momencie musiał się znaleźć w Finlandii albo na froncie na półwyspie Kola. Inaczej by się nie załapał na *Paperclip*.

– A co myśli pański kolega?

– Niewiele ponad to, co i ja myślę. Jak już mówiłem wczoraj, Szwedzi po wojnie dopadli całą masę ludzi z Abwehry i częściowo z gestapo. Waldhorst przypuszczalnie wylądował w USA – albo za pośrednictwem Szwedów, albo bezpośrednio.

Tommy’emu postawiono na stół duże piwo. Nic nie odpowiedział Nystrømowi, który zresztą i tak się powtarzał, ale zaczął się przyglądać starszemu małżeństwu, które w milczeniu siedziało przy stoliku pod oknem.

– I wie pan co? Trochę wczoraj pogrzebałem w swoim archiwum. Wiedziałem, że gdzieś na tego Waldhorsta już się natknąłem.

– W pańskim archiwum?

– Wszyscy poważni historycy mają własne archiwum. Ludzie dają ci je gratis albo sprzedają za grosze. Ja tam niczego z dawnych czasów nie wyrzuciłem, a nawet to i owo dołożyłem. Wie pan, co wyszperałem? Zdjęcie z przyjęcia w domu Landego!

– Gustava Lande? – zdziwił się Tommy.

– Dostałem prywatne archiwum starego nazisty, który zmarł dwadzieścia lat temu. Był adwokatem w Asker. Zapisał mi je w testamencie, bo ponoć kiedyś, pod koniec lat siedemdziesiątych, czymś mu tam zaimponowałem.

– A po co mi zdjęcie Landego?

– Myśli pan, że nikogo poza nim tam nie ma? – spytał cicho Nystrøm. Tommy czekał.

– To był obiad w noc świętojańską tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Tam z samego brzegu siedzi Waldhorst i...

– Nie wie pan, czy on był w Hitlerjugend? – przerwał mu Tommy.

Nystrøma najwyraźniej zatkało. Teraz słychać było tylko szum linii, otwały się drzwi kawiarni, gdzieś na zewnątrz ktoś coś głośno krzyknął... Tommy patrzył na ostatnie promienie słońca na szczycie budynku *vis-à-vis*.

– A czemu pan pyta?

– Może pan odpowiedzieć?

– Nie mam pojęcia!

– To i tak nie ma znaczenia – powiedział zmęczonym głosem Tommy.

Nystrøm milczał przez chwilę.

– Nie umie pan kłamać – stwierdził w końcu.

Tommy nic nie powiedział.

– A wie pan, kto siedzi obok Landego, na drugim końcu stołu?

– Nie – westchnął Tommy.

– Waldhorst gapi się na nią, jakby zaraz miał umrzeć...

Tommy chwycił szklanę.

– Agnes Gerner – powiedział, zanim doniósł ją do ust.

– Bingo!

– Znajdź mi pan Waldhorsta. Zeskanuj pan to zdjęcie i przyślij mi e-mailem – poprosił.

„No, coś się ruszyło” – pomyślał. „Wreszcie”.

– I niech pan się dowie, czy był w Hitlerjugend.

– Ale...

– Niech pan to zrobi i już.

Nystrøm milczał przez chwilę.

– To niewiarygodne... – powiedział jakby sam do siebie. – Z tym Kroghem... Jeśli to prawda, to będzie trudne do uwierzenia.

„Nie” – pomyślał Tommy. „Jeśli to prawda, to będzie zupełnie nie do uwierzenia”.

Właśnie regulował rachunek, kiedy zadzwonił Reuter. Z nim nigdy nie było wiadomo. Wczoraj słuchał w milczeniu, kiedy Tommy opowiadał mu o rozmowie z Faalundem. Najwyraźniej potrzebował całego dnia na przetrwanie tych informacji.

– Jedziesz do Sztokholmu – zakomunikował, zanim Tommy zdążył powiedzieć „cześć”. – Jutro o dziesiątej rano stawiasz się w Rikskrim i pytasz o Claesa Tossmana.

„Jeden zero dla mnie” – pomyślał Tommy, zapłacił i położył trochę po centrum, żeby jakoś pozbyć się tego piwa z organizmu.

Po mniej więcej pół godzinie jazdy zadzwonił do Drabløsa, musiał mu przekazać, że z kolejnego treningu nici. Kolega nie wydawał się ani zaskoczony, ani zmartwiony. Przez chwilę Tommy dumał, że chciałby być jak asystent trenera Arne Drabløs: nieskomplikowany i pozytywnie nastawiony do życia, nawet jeżeli to życie czasem dało w mordę.

Rozmowa o szczypiorniaku przywiodła mu na myśl Hadję. Na stacji Preem zatankował i zadzwonił do niej. W jej głosie słychać było ulgę.

– Myślałam o tobie – powiedziała.

Tommy'emu wydało się, że zaskrzypiało łóżko, pewnie miała nocną zmianę.

– A ja o tobie – powiedział i zaraz pożałował. Mówił sobie, że jest za stary na te gierki, za stary na trzymanie jej w niepewności. Wolał, żeby to wszystko było łatwiejsze.

Umówili się na spotkanie, gdy będzie z powrotem w Oslo.



## ***Niedziela, 6 września 1942***

*Park Vigelanda*

*Oslo*

Wokół granitowej bramy parku Vigelanda ganiała się grupka dzieci. Kiedy mijaly Agnes Gerner, jeden z chłopców potknął się, przewrócił i zgubił czapkę. Agnes pochyliła się i podniosła ją, a chłopiec ukląkł i popatrzył na swoje dłonie: na lewej miał otarcie, poza tym nic mu nie było.

– Proszę – powiedziała Agnes, podając mu czapkę.

Chłopca, który miał dziesięć czy jedenaście lat, z pewnością bolało, ale zacisnąwszy zęby, wyciągnął rękę i cicho podziękował. Oczy szklily mu się od łez.

Kiedy przechodziła przez bramę, pozdrowił ją jakiś wychodzący z parku starszy mężczyzna, a Agnes z trudem powściągnęła chęć obejrzenia się. Nigdy wcześniej nie czuła się tak śledzona. Wydawało jej się, że Kirkeveien to jedna wielka kolejka czarnych mercedesów, a w oknie każdego z nich majaczy twarz Petera Waldhorsta. Człowieka, który w ubiegły czwartek łatwo mógł zastawić na nią pułapkę. Może tylko czekał, aż popełni jakiś nieodwracalny błąd, żeby wbić w nią swoje szpony?

Rozmawiała o tym z Pielgrzymem już następnego dnia w Stensparken i poprosiła go o zawiadomienie Numeru 1, ale on wydawał się trochę nieobecny i sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał powagi sytuacji. Naturalnie nie powiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło, ale powinien chyba zrozumieć? Agnes najchętniej sama porozmawiałaby z Kajem, ale nie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Jedyne kontakty do niego były przez Helge K. Moena, poza tym wszystko przechodziło przez Pielgrzyma. „Carla Oscara” – pomyślała przez chwilę i zrobiło jej się ciepło na sercu, ale za chwilę znów ogarnął ją chłód. Przypomniała sobie, że wcześniej rano wymiotowała, choć wcale nie czuła się chora. Może trochę osłabiona, ale nie chora.

Weszła w głąb parku i zobaczyła chłopca, który się przed chwilą przewrócił. Stał teraz z opuszczoną głową, mnąc czapkę w rękę. Pozostałe dzieci były już daleko.

– Coś nie tak? – spytała Agnes, kładąc rękę na jego ramieniu.

Chłopiec się odwrócił.

– Tata mnie zabije – powiedział i z oczu popłynęły mu łzy. Dopiero teraz Agnes zauważyła dziury w jego spodniach. – Mówi, że nie ma pieniędzy...

Otworzyła torebkę i wyjęła pięć jednokoronówek. Dałaby mu więcej, ale nie chciała ściągać na siebie uwagi. Wzięła go szybko za prawą dłoń, tę bez

otarć, włożyła w nią monety i zacisnęła mu na nich palce.

– Idź już – powiedziała – bo ci uciekną.

Kiwnęła w kierunku dzieci, które tymczasem były już przy mostku. Roilo się tam od ludzi, mimo że okolica mostku bardziej przypominała plac budowy aniżeli park.

– Dziękuję, proszę pani – bąknął chłopiec, obrócił się na pięcie i pognął do dzieci.

Jakiś niemiecki żołnierz spacerujący z norweską przyjaciółką odwrócił się za nim i roześmiał, a potem szepnął jej coś do ucha. Agnes zignorowała jego spojrzenie i powoli poszła do mostku, gdzie mimo tłumu spacerowiczów wysledziła już Pielgrzyma. Stał oparty o balustradę i patrzył w dół na stawy.

Idąc ku niemu, odprowadziła spojrzeniem chłopca, który lekko utykając, pobiegł do dzieci. Dłoń z pieniędzmi miał wciąż zaciśniętą.

„Któregoś dnia to wszystko się skończy” – pomyślała.

Kiedy stanęła obok Pielgrzyma, wiedziała, czego się spodziewać. Był sztucznie obojętny, jakby specjalnie hartował się, żeby móc nałożyć na nią kolejne brzemie. Brzemie ponad siły.

– Dużo tu dziś ludzi – powiedziała cicho. – Za dużo.

– Skąd, to świetnie – odparł, nie patrząc na nią.

Agnes spojrzała w dół na śluzę, łączącą północny staw z południowym. Wrzask dzieci po drugiej stronie mostku sprawiał, że mogli rozmawiać swobodnie, mimo że kilka metrów od nich stała jakaś para.

– Poznałeś go już? – spytał Pielgrzym.

Agnes odwróciła się i powoli ruszyła w stronę budowanej nieopodal fontanny. Kiedy do niej doszła, stanęła i udała, że przygląda się rusztowaniu rozstawionemu wokół ogromnej misy, stanowiącej zwieńczenie fontanny.

– Kogo? – spytała, jakby nie wiedziała, o co pyta.

– Rolborga – syknął Pielgrzym.

– Carl Oscar... ile jeszcze razy będziesz o to pytał?

I nagle pojęła, na czym polegał nieodwracalny błąd, który popełniła – nie powinna opowiadać mu o dyrektorze badawczym Rolborgu z Kopalń Knabena i znalezisku w Hurdal.

Pielgrzym przysunął się teraz bardzo blisko niej.

– Londyn podjął decyzję.

Agnes milczała.

– Musimy jakoś do niego dotrzeć – oświadczył. – I to szybko.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała, nie potrafiąc się powstrzymać.

Pielgrzym nie zareagował od razu, naciągnął tylko kapelusz o szerokim rondzie bardziej na oczy.

– Weź się w garść – burknął w końcu.

Ich oczy spotkały się na moment, ale on zaraz odwrócił wzrok, zrobił dwa kroki w bok i ukłonił się starszemu małżeństwu, które przystanęło przy rusztowaniu.

– Waldhorst... – szepnęła. – On mnie przeraża. Rozmawiałeś z Numerem jeden?

Pielgrzym pokręcił głową.

– Ale przecież on...

– Wielu z nich to robi. Znaczy, źle mówi o swoim Wodzu – odparł i wzruszył ramionami.

– A instrukcja po Venlo? – spytała.

– Przecież się nie wsypałaś? – wycedził Pielgrzym.

Potrząsnęła głową.

– No to o co chodzi?

Agnes nie odpowiedziała. Bolał ją brzuch, to pewnie z tego powodu wymiotowała. Za dużo już było tego wszystkiego. Jeśli Waldhorst zechce ją dopaść, po prostu ją poświęca. Pielgrzym nie chciał potraktować jej poważnie. Przez chwilę zrobiło jej się czarno przed oczyma. On tymczasem zamienił parę słów ze starszym małżeństwem, które podeszło bliżej. Agnes nie słuchała ich rozmowy, otworzyła tylko torebkę i upewniła się, że ampułka z cyjankiem jest na miejscu. Przez chwilę głaskała ją palcami, potem cofnęła rękę i zahaczyła o kopertę z listem od siostry.

W końcu starsza para sobie poszła.

– On cię sprawdza – powiedział Pielgrzym. – Prowokuje. Gdyby naprawdę sądził, że jesteś trefna, już by cię przyskrzynył.

– Może masz rację.

– Wiesz, co ja myślę? – ciągnął Pielgrzym. – Świat nie jest taki skomplikowany. Waldhorst się w tobie zakochał i tyle, nie ma w tym nic podejrzanego.

Oderwał z kartonika zapałkę i zapalił papierosa. Wzrok miał pusty i nieobecny, jakby był z kimś nieznanym. Jakby mu na Agnes zupełnie nie zależało.

„A ty skąd o tym wiesz?” – pomyślała Agnes.

– Numer jeden chce się z tobą spotkać – powiedział nagle Pielgrzym.

– Dlaczego?

– Myślę, że wiesz dlaczego.

Agnes nic nie powiedziała, ale przez chwilę park wokół niej zawirował.

– Skontaktuję się z tobą.

To ją ostatecznie przygnębiło. „Skontaktuję się z tobą”. Co to za sformułowanie?

Podreptała chwilę to tu, to tam, a potem stanęła kilka metrów od niego.

– Dlaczego?

Pielgrzym nie odpowiedział, ale podszedł do niej. Na ułamek sekundy ich ręce się zetknęły, ale minął ją z nieobecny spojrzeniem. Zatrzymał się jednak na moment, a ona skinęła mu głową, patrząc na jego rękę i pragnąc, by na oczach wszystkich pogłaskał ją po policzku. By mogła z nim uciec, zabierając też Cecilię. Uciec od wszystkiego.

Stała, patrząc bezmyślnie na rusztowanie.

Z tyłu za nią przebiegła grupka dzieci, obiegła fontannę, a potem zrobiła wokół niej kółko. Poczuli na sobie wzrok chłopca, któremu dała pieniądze: ścisnął je nadal w rękę, ale na jego buzię wrócił uśmiech. Zerknął na nią kilka razy. „No cóż” – pomyślała. „Więc muszę to zrobić. Dla ciebie i twoich kolegów”.

**Wtorek, 17 czerwca 2003**

*Rikskriminalpolisen*

*Polhemsgatan*

*Sztokholm*

Zanim wszedł w ulicę Polhemsgatan, Tommy Bergmann dokładnie przyjrzał się fiordowi. Wiele razy słyszał, że Sztokholm to ładne miasto, a ten widok naprawdę był nieopisanie piękny. Nie wiadomo dlaczego takie panoramy wywoływały w nim melancholię i poczucie osamotnienia, i nie był to nastrój, za którym przepadał. Dobrze zatem, że za często nie podróżował. Poprzedniego dnia rano zadzwoniła do niego sekretarka Claesa Tossmanna z informacją, że spotkanie trzeba będzie niestety przełożyć na wtorek, więc Tommy miał dość czasu, żeby nacieszyć się miastem. Jak to brzmiało: „Sztokholm zbudował Bóg, Kopenhagę król, a Oslo zbudowała gmina”?

Zgubiwszy się kilka razy – bo ulica Polhemsgatan okazała się mniej przejrzysta, niż pokazywał to plan miasta – odnalazł w końcu podobny do labiryntu budynek Rikskrim. Ze swoimi rdzawoczerwonymi, lśniącymi płaszczyznami wyglądał na fort nie do zdobycia, a Tommy poczuł się w nim intruzem, jeszcze zanim otworzyły się drzwi pod szklanym baldachimem.

Biuro dobrego przyjaciela Reutera, komisarza kryminalnego Claesa Tossmanna, nie było specjalnie imponujące. Pomieszczenie było długie i ciasne, okno wychodziło na wewnętrzny dziedziniec położony między dwoma skrzydłami kompleksu, więc widok był raczej nieciekawym.

– Persson nie żyje pewnie od kilkudziesięciu lat – powiedział Tommy.

– Pewnie tak – odparł Szwed, a jego spojrzenie powędrowało do okna, jakby na zewnątrz znajdowało się coś interesującego. Drapał się bez przerwy po łysym placku na czubku głowy.

Tommy otworzył tekturową teczkę, którą Tossmann z ledwo maskowaną niechęcią przesunął mu na drugą stronę biurka, i zaczął przewracać kartki dokumentów. Był tam raport z miejsca zdarzenia na pożółkłym papierze. Sprowadzał się do kilku napisanych na maszynie linijek. Tu i ówdzie litery prawie przebiły papier na wylot. Miał cztery załączniki i to w nich Tommy pokładał jakąś nadzieję. Pierwszy to protokół tak zwanych wstępnych oględzin, który od pierwszej linijki dowodził, że Kaj Holt zdecydował się własnoręcznie skrócić swój żywot. Ślady prochu na głowie, odciski palców na broni i kąt wlotu pocisku jednoznacznie wskazywały na samobójstwo.

Następnie był tam protokół przesłuchania świadka w postaci panny Barbro Wilén, która najwyraźniej miała coś wspólnego z denatem. Zeznała,

że w noc poprzedzającą znalezienie zwłok Holt obudził ją dzwonkiem do drzwi. Ponieważ wyraźnie był nietrzeźwy – a kiedy był nietrzeźwy, miewał chandrę – panna Wilén poprosiła go, żeby wrócił następnego dnia. Załącznik numer 3 był protokołem przesłuchania panny Karen Eline Fredriksen, sekretarza poselstwa norweskiego w Sztokholmie, wydziału wojskowego IV. Panna Fredriksen potwierdziła, że mieszkanie jest wynajmowane przez poselstwo. Kiedy doszedł do ostatniej linijki, w mózgu zapaliła mu się czerwona lampka: „Panna Fredriksen dobrze znała denata i potwierdza, że okresowo miewał myśli samobójcze”.

Tommy odłożył arkusz na bok, żeby zająć się ostatnim załącznikiem, ale nic więcej w teczce nie znalazł. Spojrzał na Tossmanna, ale jego fotel był pusty. Tommy odwrócił się – komisarz stał odwrócony do niego plecami i zrywał zwiędnięte listki z rośliny stojącej na stole konferencyjnym. Wciąż drapał się w głowę. Po chwili wrócił za swoje biurko, napotkał wzrok Tommy’ego i zrobił sztucznie życzliwą minę. Tommy wrócił do raportu inspektora kryminalnego Gösty Perssona. Już miał spytać, czy Tossmann wie o zamachu na inspektora, ale zrezygnował. I tak by się niczego nie dowiedział.

„A czwarty załącznik?” – pomyślał, sprawdzając spis pod raportem. Według spisu miała to być karteczka ze słowami „Przepraszam. Kaj”. I to jej właśnie brakowało. Wziął do ręki dokumenty Holta, przypięte spinaczem z tyłu raportu. Przez moment trzymał w ręku poźółkły kartonik i patrzył na jego fotografię. W tym człowieku było coś smutnego, jakby niósł na barkach wielki ciężar.

Czyż Nystrøm nie powiedział mu, że nie istnieje żadne zdjęcie Holta? Wyglądało więc na to, że on, Tommy Bergmann, był jednym z bardzo niewielu ludzi, którym dane było zobaczyć tę teczkę.

– A ta karteczka gdzie? – spytał, podnosząc wzrok na Tossmanna, który tymczasem znów zasiadł w swoim fotelu.

Na biurku zadzwonił telefon.

– *Förlåt* – wymamrotał Tossmann.

Tommy podszedł do okna. Słońce biło w szklany dach poniżej, przez co jego powierzchnia była oślepiająco biała.

– Tak. Aha – powiedział Tossmann do telefonu.

Przez kilka minut komunikował się z kimś monosylabami i chrząknięciami.

– Daj mi pięć minut – poprosił w końcu i odłożył słuchawkę.

Tommy odwrócił się do niego.

– A co u Fredrika? – spytał Tossmann.

– W porządku – odparł Tommy.

Zegar za komisarzem wybił trzecią.

– Wie pan, co się stało z tą karteczką? – spytał. – Tą od Holta.

Z „Przepraszam, kropka, Kaj”? – Podsunął Tossmannowi raport pod oczy.

Claes Tossmann wypuścił powietrze nosem. Potem przez kilka sekund tał oczy, a kiedy je znów otworzył, były przekrwione, jakby od tygodni pił, żeby zapomnieć o czymś, o czym nie chciał pamiętać.

– Mówią, że wysłano ją do Norwegii. Ale nikt nie jest tego pewien.

– Do Norwegii? – zdziwił się Tommy.

Tossmann przytaknął.

– Nie wie pan, dokąd w Norwegii?

Potrząsnął głową.

– *Tyvärr*.

– Na policję?

Tossmann rozłożył ręce.

„*Tyvärr*” – pomyślał Tommy.

– Bergmann – odezwał się Tossmann, mozolnie wstając z fotela. – Mam teraz zebranie, przykro mi. – Znów rozłożył ręce.

Tommy skinął głową i szybko zanotował kilka punktów związanych z raportem. Nie bardzo rozumiejąc, dlaczego to robi, zanotował też dane panny sekretarz poselstwa Karen Eline Fredriksen. A potem dopisał: „Przepraszam. Kaj”.

– Peter Waldhorst – powiedział Tommy. – Mówi to panu coś?

Raz jeszcze „*Tyvärr*”.

– Jest pan pewien?

– Kochany – jęknął Tossmann. – Wszystko, co wiem o tej sprawie, to to, co pan właśnie ma w ręku.

Tommy kiwnął głową.

– Myśli pan, że coś może leżeć w archiwum Säpo?

– O tym... jak on się nazywał? Waldhorst?

Tommy przytaknął.

– Może, o ile w czasie wojny przebywał w Szwecji. – Tossmann wzruszył ramionami. – Muszę już iść, naprawdę. – Spojrzał na zegarek.

– Bardzo nam pan pomógł – powiedział Tommy.

– Dużo tego nie było i naprawdę nie mam pojęcia, po co to Fredrikowi. –

Tossmann podniósł do góry teczkę, a potem wrzucił ją do szuflady pod biurkiem.

„A skąd miałbyś mieć” – pomyślał Tommy.

Podróż do domu trwała o wiele dłużej, niż sobie wyobrażał, ale dała mu dużo czasu na przemyślenia. Może nawet więcej, niż potrzebował.

Kiedy po jakimś czasie wychodził z budynku stacji benzynowej w Karlskoga i spojrzał na leżące na statywie „Aftonbladet”, nagle znieruchomiał.

Dlaczego ktoś miałby wysyłać karteczkę z „Przepraszam. Kaj” do Norwegii? Zastanawiał się nad tym od co najmniej pół godziny. Teraz doszedł do wniosku, że została tylko jedna możliwość. Dokąd sam by coś takiego wysłał?

Musiał wreszcie znaleźć się w domu. I tak już za długo tam na niego czekali.

Jeszcze przed granicą zadzwonił do Halgeira Sørvaaga.

– Dowiedz się, czy Kaj Holt miał jakieś dzieci – powiedział.

– O czym ty mówisz, do cholery?!

– Po prostu się dowiedz.

– Wiesz, która jest godzina? Myślisz, że siedzę w pracy? W odróżnieniu od ciebie nie muszę brać nadgodzin, jeszcze trochę kasy mam!

Gdzieś w tle słychać było telewizor. Tommy już otwierał usta, ale Sørvaag się wyłączył.

Zerknął na czas wyświetlony na desce rozdzielczej, było wpół do siódmej. Naprawdę zrobiło się już tak późno? Zjechał na lewy pas i wyprzedził tira z przyczepą. Kiedy ledwo uniknąwszy zderzenia z jakąś ciężarówką, wracał na prawy pas, miał na liczniku 150 na godzinę.

Zanim dojechał do Ørje, przysłała mu do głowy pewna myśl. Zjechał z drogi i zaparkował przy wlocie do śluzy, obok pomalowanej na czerwono kafejki, a potem przeszedł kilkanaście metrów do małej plaży przy jeziorze. Jakieś dzieci wrzeszczały, spychając się nawzajem z pływającego pomostu. Tommy popatrzył na nie i gdzieś w głęboko ukrytym zakamarku siebie rozpoznał taką właśnie dziecięcą radość. Zachodzące słońce tańczyło po powierzchni wody długą, sięgającego drugiego brzegu poświatą, przerwana jedynie przez przecinającą jezioro motorówkę.

Miał już absolutną jasność, co należy zrobić.

Wyjął notatnik i przekartkował go. Były tam krótkie notatki, które tylko on potrafił rozszyfrować. Zatrzymał się przy wpisie: „Krogh załamał się po



śmierci żony Karen”. Potem szybko przekartkował notes do przodu, aż do ostatniej zapisanej strony. Było tam linijka napisana w trakcie wizyty u Tossmanna w Rikskrim:

„Świadek z poselstwa norweskiego: Karen Eline Fredriksen”.

Czyż nie czytał gdzieś, że żona Krogha w czasie wojny pracowała właśnie w poselstwie norweskim w Sztokholmie?

Wrócił do samochodu, żeby przemyśleć to wszystko. Odłożył notatnik na siedzenie pasażera i wyjechał z powrotem na E18, ale nagle opanowało go poczucie, że ma coraz mniej czasu. Kiedy po kilku minutach zobaczył przydrożny parking, zjechał tam, żeby poświęcić sprawie 100 procent uwagi.

Czy naprawdę było właśnie tak? Czy Carl Oscar Krogh sam zabił Kaja Holta w Sztokholmie, a potem wysłał swoją przyszłą żonę do mieszkania na Rindögatan, żeby upewnić policję sztokholmską o samobójczych tendencjach u Holta? Tommy przekartkował notatnik i znalazł notatki z przesłuchania Bente Bull-Krogh. Na marginesie jednej ze stron był zapisany numer jej komórki. Włożył do ust papierosa, wygramolił się z samochodu, przysiadł na ławce, zapalił i wystukał numer. Na czole poczuł kilka kropel deszczu, więc odchylił głowę do tyłu, żeby sprawdzić, skąd te krople. Niebo nad nim było jednak równie błękitne jak przez resztę dnia.

Jedyne, co mu się nie zgadzało, to tak mocne zaangażowanie Krogha w kwestię wyjaśnienia zgonu Holta. Czyżby był aż tak cyniczny?

„Zaraz, zaraz” – pomyślał, odprowadzając wzrokiem przelatującą drogą ciężarówkę z dłużycami. Przez dłuższą chwilę potem nic nie jechało.

Zrezygnował z rozmowy i schował komórkę z powrotem do kieszeni.

Najlepiej będzie rzucić Bente Bull-Krogh jakiś trop, ale nie bardzo wiedział jaki. Tak czy owak najpierw musiał sprawdzić, czy Karen Eline Fredriksen była tożsama z Karen Krogh. Spojrzał na zegarek.

Pozostawała jeszcze sprawa ewentualnych dzieci Holta. Klął Sørvaaga, ale nie mógł specjalnie winić go o niechęć do poszukiwania być może nieistniejących osób akurat tego wieczora. Mógł co prawda zadzwonić do Nystrøma i od razu otrzymać odpowiedź, ale coś go od tego powstrzymało – i tak już za wiele mu powiedział. Ten odludek mógł łatwo połączyć jedno z drugim i zorientować się, dokąd śledztwo zmierza. Ale profesor Torgeir Moberg by tego nie pojął, przynajmniej jeszcze nie teraz. Tommy znalazł jego wizytówkę, którą przypiął kiedyś spinaczem do jednej ze stron notatnika. Najpierw zadzwonił na numer biurowy, bo Moberg wyglądał mu na gościa, który nawet w piękny letni wieczór może siedzieć w pracy.

Już miał się rozłączyć, kiedy podniesiono słuchawkę.

– Pan Moberg?

– Bardziej interesujące jest, kim jest pan – odezwał się głos po drugiej stronie. Po głosie Tommy rozpoznał profesora.

– Tu Bergmann, poli...

Moberg przerwał mu głośnym westchnieniem.

– Wydawało mi się, panie Bergmann, że załatwiliśmy wszystko ostatnim razem? No, ale niech pan pyta.

– Tylko jedna rzecz – zaczął Tommy. – Chodzi o Kaja...

– Holta? – dokończył za niego profesor.

– Proste pytanie, żeby uzupełnić jego profil... – W swoim głosie słyszał wyraźnie, że kłamanie mu nieszczególnie wychodzi, ale trudno.

– Taaak? – Moberg przeciągnął samogłoskę, jakby chciał podkreślić, że to wszystko strata czasu.

– Czy Kaj Holt miał jakieś dzieci? Wie pan może, czy żyje jego żona?

Moberg prychnął.

– Pierwsze pytanie – tak, o ile wiem jedno; drugie pytanie – nie. Panie Bergmann, naprawdę wciąż marnujecie na to czas?

– Syn czy córka?

– To chyba nie ma znaczenia. Kiedy Holt umarł, to dziecko jeszcze nie chodziło!

– Bardzo proszę o krótką odpowiedź – nalegał Tommy.

– Córka – powiedział profesor.

– Czy pan ją kiedyś...

– Spotkał, rozmawiał z nią? Nie! – uciął Moberg.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Dziękuję panu – powiedział w końcu Tommy.

Z łatwością mógł sobie wyobrazić Moberga w jego gabinecie. Zapewne myślał on, że ten policjant jest całkowicie niekompetentny i podąża fałszywym tropem, ale trudno.

– Może chce pan wiedzieć, jak się nazywa?

– Chętnie.

– Vera – powiedział Moberg. – Czy dalej ma nazwisko Holt, musi pan sprawdzić sam.

Tommy podziękował raz jeszcze i zawiesił głos, by dać profesorowi szansę na pytanie, skąd to nagle zainteresowanie potomstwem Holta, ale Moberg tylko zamruczał coś, życzył mu przyjemnego wieczora i się

rozłączył.

„Vera Holt” – pomyślał Tommy. „Muszę ją odnaleźć”.

Ile zabierze mu jazda do Oslo? Pewnie nie więcej niż godzinę.

Mógł otrzymać odpowiedź, dzwoniąc do dyżurnego i prosząc o sprawdzenie, ale nie zrobił tego. Ta sprawa mogła trochę poczekać.

Karta magnetyczna do policyjnego garażu nie działała. Tommy nacisnął kwadratowy klawisz dzwonka z pewnym ociąganiem, bo wydało mu się to zbędnym wysiłkiem.

Przez pięć minut spał w samochodzie i obudził go dopiero radiowóz na sygnale, który wyjechał z bramy. Przez kilka sekund był oszołomiony, nie rozumiejąc, dlaczego budzi się w nieoznakowanym samochodzie służbowym.

Na szóstym piętrze nie było nikogo prócz kilku głupców, którzy wciąż podejmowali próby uratowania tego miasta przed ostatecznym potępieniem. Tommy spojrzął na zegar i stwierdził, że musi być jednym z nich. Pocieszył się tym, że jest dopiero za piętnaście dziewiąta wieczorem i że ze swojego gabinetu ma lepszy widok niż Claes Tossmann ze swojego w Rikskrim w Sztokholmie.

Pierwsza kwerenda w rejestrze ludności dała szybką odpowiedź: Karen Krogh nie żyła już od niespełna roku. I rzeczywiście, z domu była Karen Eline Fredriksen, urodzona 24 listopada 1917, zmarła jako żona Krogha 25 lutego 2002.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że pojawienie się akurat przyszłej żony Krogha jako reprezentanta poselstwa norweskiego na miejscu zgonu Holta nie mogło być przypadkowe.

„Weź się w garść” – powiedział sobie. Czy nie budował przypadkiem domku z kart na podstawie słabych poszlak, które sam stworzył? Koniecznie musiał się dowiedzieć, czy Karen Krogh kiedykolwiek wspomniała o Kaju Holcie coś, co mogłoby dać podstawy do przypuszczenia, że z jego zgonem było coś nie tak. A najbliższą dla niej osobą, przynajmniej z tych, co wciąż żyli, była jej córka.

Raz jeszcze odnalazł numer telefonu Bente Bull-Krogh, ale wstukawszy go do telefonu, po raz kolejny nie zdecydował się wcisnąć klawisza wywołania. Zamiast tego postanowił pojawić się u niej bez zapowiedzi następnego dnia. Jeśli nie zawodziła go intuicja, kobieta coś przed nim ukrywała, więc lepiej było ją zaskoczyć, niż dać czas na przygotowanie się. Najpierw jednak musiał sam pozbierać wszystkie myśli. Nie zgadzało mu się to, że Krogh, który jakoby był zamieszany w zabójstwo Holta, w następnych

latach robił tyle zamętu, próbując dociec, kto go zabił. Mało kto byłby na tyle cyniczny, żeby odstawić taki teatr. Tommy wziął żółty bloczek „Post it” i zapisał tam, że ma zadzwonić do psychologa Rune Flatangera z zespołu profilerów Kripas.

Podejrzewał, że druga kwerenda w rejestrze będzie trudniejsza niż w przypadku Karen Krogh, ale nie: w całym kraju była jedna tylko osoba nazywająca się Vera Holt, w dodatku mieszkała nieopodal Komendy Policji! Przeczytał informacje o niej powoli, żeby upewnić się, że wszystko się zgadza. Vera Holt urodziła się 6 stycznia 1945 w Sztokholmie, Szwecja. Ojciec: Kaj Holt, kapitan. Matka: Signe Holt, gospodyni domowa. Stan cywilny: wolny. Miejsce zamieszkania: Kolstadgata 7, 0652 Oslo. Szybko sprawdził żonę Holta, Signe, ale ta zmarła w 1997 roku. Było więc prawdopodobne, że to Vera Holt miała w posiadaniu materiał dowodowy policji sztokholmskiej, o ile te rzekome samobójcze gryzmoły Kaja Holta wciąż jeszcze istniały...

Tommy zamknął na parę sekund oczy i poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Pomyślał, że cała ta konstrukcja to tylko produkt jego wyobraźni, myślenie życzeniowe śledczego. Zgasił lampę i usiadł na brzegu krzesła.

– Vera Holt – powiedział głośno – miałem cię cały czas tu, pod nosem.

Kolstadgata 7... najwyraźniej córce Holta w życiu się nie powiodło. W tym obłąkanym mieście niewiele było adresów gorszych niż ten: komunalny blok, leżący o rzut kamieniem od komendy, był slumsem, i tyle.

Odruchowo sprawdził pesel kobiety w tak zwanym rejestrze agentów, wyszukiwarce osób, które w taki czy inny sposób miały kontakt z policją.

„Co jest?” – pomyślał, wpatrując się w litery, a właściwie w symbol, który pojawił się na ekranie.

Vera Holt, urodzona 6 stycznia 1945, nie miała przy swoim nazwisku żadnych uwag; nie występowała ani jako poszkodowana, ani jako świadek, ani jako karana. Jednak w polu komentarza widniała gwiazdka. Tommy wiedział, że rejestr agentów podpięty jest zarówno pod rejestr skazanych, jak i kontaktów w pewnej części rejonów, ale tylko od czasu, kiedy zaczęto wprowadzać dane do systemu komputerowego, czyli od około dziesięciu lat.

A więc Vera Holt miała związek z jakąś starą sprawą. Tak czy owak, powinna już dawno zniknąć z tego systemu.

Albo więc ktoś tę gwiazdkę zapomniał usunąć, albo sprawa była poważna.

„Bardzo poważna” – pomyślał Tommy.

Te rozważania przerwał dźwięk jego komórki.

– Wróciłeś już? – usłyszał głos Hadji z drugiej strony.

– Tak – odparł cicho i zrobił wydruk z rejestru agentów.

Dotarcie do Very Holt na Kolstadgata zajęłoby mu kilka minut, ale uzasadnienie takiej wizyty byłoby nader wątpliwe. Poza tym miał większą ochotę na spotkanie z Hadją niż z córką Holta.

– Gdzie jesteś?

– W pracy.

– O – usłyszał. Było w tym rozczarowanie. – U Sary śpi dzisiaj Martine, więc mam wolny wieczór... Jeżeli masz czas.

– A mogłabyś tu przyjść?

– Na komendę?

Roześmiał się, ona także.

– Weź taksówkę – powiedział, wyłączając komputer. – Tęsknię za tobą.

Nie było to w jego stylu, ale tak naprawdę było. Idąc w kierunku kawiarni „Oliwka” na Nordbygata, nie mógł się doczekać spotkania z nią, chociaż miał świadomość, że to wcale nie jest rozsądne z jego strony.

Pół godziny później siedzieli w kawiarni, ale po kilku minutach nijakiej rozmowy nagle oboje stracili pewność siebie i znaleźli się dokładnie w tym samym punkcie, w którym byli tydzień wcześniej. Po raz kolejny Tommy’ego ogarnęło uczucie, że ona naprawdę do niego pasuje, że mogliby być razem. Na moment chwycił ją za rękę, żeby jej pokazać, że tego chce. Uśmiech, który mu posłała, zanim zamieniła z kelnerem parę słów po arabsku, na krótką chwilę przepełnił go szczęściem, jakby był promieniem rozświetlającym ciemność, którą w sobie nosił. Podglądał ją z profilu i zauważył, że jest mocniej umalowana niż zwykle oraz że mężczyźni w lokalu co rusz na nią spoglądają. Widząc, że pociąga innych mężczyzn, czuł dziwny spokój, a nawet dumę, że to z nim siedzi. Zupełnie nie było w nim tej strasznej złości, która go czasem nagle ogarniała zupełnie nie wiadomo skąd.

– Szczęściarz z pana, skoro ma pan taką przyjaciółkę – powiedział kelner do Tommy’ego. – Mówi, że nie jest Palestynką, ale ja jej nie wierzę... Takie piękne są tylko Palestynki! – Zaśmiał się i zebrał karty z menu.

Tommy i Hadja uśmiechnęli się do siebie niepewnie, nieco zawstydzeni.

– Opowiedz mi o tej wyprawie do Szwecji – poprosiła.

Powiedział jej tyle, ile mógł, a ona zrelacjonowała mu przebieg treningów, w większości w wersji Sary. Jej imitacja gestów i dialektu

Drabløsa setnie go ubawiła.

– Masz prawdziwy talent – powiedział z uznaniem.

Skrzywiła się.

– Powiedz to komisji egzaminacyjnej w szkole teatralnej... Próbowałam dwa razy i dałam sobie spokój. Jak myślisz, może powinniśmy wystawić coś razem z pielęgniarkami i pacjentami w domu starców na Sagene? Na przykład jakąś komedię romantyczną?

Zjedli na spółkę sporą porcję *mezzeh* i wypili butelkę wina.

– To był najdłuższy tydzień w moim życiu – powiedziała nagle cicho i pogłaskała go po ramieniu.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz całował się z kimś w taksówce. Robiąc to teraz, poczuł się znacznie młodszy, niż był. Włączywszy muzykę *bhangra*, pakistański taksówkarz jechał powoli, jakby chciał im dać jak najwięcej czasu. Tommy wolałby, żeby pojechał na złamanie karku.

Właśnie dochodził, kiedy ona, oplótłszy go mocno nogami, szepnęła mu w ucho: „Kocham cię”, on zaś omal nie powiedział jej tego samego.

Potem leżeli i fantazjowali na temat tego, co mogliby razem zrobić. Zaczęło się od podróży do Szwecji, potem na południe, do Hiszpanii, a stamtąd przez Cieśninę Gibraltarską do Tangeru.

– Maroko – powiedziała. – Chciałabym ci kiedyś pokazać Maroko...

Potem już nic nie mówili, ona leżała na nim, aż ich oddechy splotły się we wspólny rytm.

Kiedy poszła dwie godziny później, a warkot diesla jej taksówki roztopił się w szumie E6, Tommy oparł łokcie na parapecie okna. Patrząc w ten punkt Glimmerveien, gdzie znikły czerwone tylne światła samochodu, pomyślał, że nic z tego nie będzie. Po chwili wrócił do łóżka i wciągnął nosem zapach jej perfum, jej potu, czerwonego wina i ostrych przypraw. Kiedy zamknął oczy i pomyślał, że nie powinien tego robić i że musi szybko zasnąć, głowę wypełnił mu głos Hege i poczuł wyrzuty sumienia, że ukrywa przed Hadją swoje prawdziwe ja.

Wstał, położył się na kanapie w pokoju dziennym i palił jednego papierosa za drugim, dopóki między blokami nie wstało słońce.

**Środa, 18 czerwca 2003**

*Komenda Policji*

*Oslo*

Było zaledwie parę minut po ósmej, a Tommy Bergmann, chcąc być lepiej przygotowany na poranną odprawę z Reuterem, już zdążył wydać sekretarce w recepcji dwa polecenia. Jedno dotyczyło odnalezienia w archiwum teczki Very Holt celem wyjaśnienia kwestii gwiazdki w rejestrze, drugie – zakupu biletu lotniczego do Berlina i zarezerwowania tam jakiegoś średniej klasy hotelu.

Starannie przepisał do komórki dwanaście cyfr stanowiące numer telefonu w Berlinie, a potem szeroko otworzył okno wychodzące na ulicę Åkebergveien i zapalił papierosa. Po raz kolejny przeczytał e-mail, który Finn Nystrøm przesłał mu o wpół do drugiej w nocy:

Tommy, zgodnie z umową przesyłam zdjęcie. I coś, co może cię zainteresować: Peter Waldhorst mieszka w Berlinie jako obywatel amerykański, Peter Ward. Adres: Gustav Freytag Strasse 5. Według mojego kolegi to stary dom rodziny Waldhorstów, a jest tajemnicą poliszynela, że Waldhorst powrócił do niego jakieś 10-15 lat temu (nawiasem mówiąc, ten dom stoi w jednej z lepszych dzielnic Berlina, więc jeżeli masz rakietę tenisową, zabierz ją ze sobą). Co do Ivera Faalunda: przez ostatnich kilkadziesiąt lat tylko pił, więc mam wielkie wątpliwości co do jego wymysłów. Pozdrawiam, Finn. *Keep me posted.*

„*Keep me posted*” – pomyślał Tommy. „Już ja ci dam *posted*”. Musiał jednak przyznać, że sam zaczynał nabierać wątpliwości co do Ivera Faalunda.

Załącznikiem w e-mailu było zdjęcie z wieczoru świętojańskiego w 1942 roku. Otworzył najpierw plik pokazujący odwrotną stronę fotografii, gdzie ktoś opisał, kto jest kto. Byli tam: Peter Waldhorst, Gustav, Agnes, Brigadeführer Seeholz i inni.

Teraz otworzył JPEG, który był zeskanowanym zdjęciem. Gustav Lande widniał na nim w smokingu, twarz miał odwróconą od aparatu. Peter Waldhorst miał ciemne włosy i oczy osadzone zbyt blisko siebie, żeby można go uznać za przystojnego. Wzrok miał wbity w Agnes Gerner. Na jej widok z kolei Tommy poczuł coś na kształt zazdrości, mimo że od dawna nie żyła. Może to tak właśnie było? Że Agnes Gerner była kobietą, dla której można było zabić, a te dwie pozostałe, Johanne Caspersen i mała Cecilia, stanowiły tylko przeszkodę? Może Krogh był chorobliwie zazdrosny, a Holt nie miał z tą sprawą nic wspólnego? Bo to właśnie tu Tommy’emu coś się nie

zgadzało. Jeśli Iver Faalund miał rację i to Krogh zabił tę trójkę, robienie przez niego tyle szumu o śmierć Holta byłoby idiotyzmem. Jedną rzeczą było to, że dzięki temu sam mógł chcieć wyjść na niewinnego, jednocześnie jednak mógł ściągnąć na siebie podejrzenie o morderstwo...

Kiedy weszła sekretarka, Tommy ruchem ręki dał jej znak, żeby nie przeszkadzała, i wystukał numer do Rune Flatangera z zespołu profilerów Kripos. Sekretarka zignorowała go, weszła do gabinetu i położyła mu na blacie kilka kartek. Czekał, aż Flatanger podniesie słuchawkę, Tommy szybko je przejrzał. Była tam rezerwacja hotelu i plan podróży z popołudniowym lotem do Berlina via kopenhaskie Kastrup.

Flatanger odebrał w momencie, gdy Tommy już chciał odkładać słuchawkę. W gruncie rzeczy nigdy nie miał wielkiej ochoty rozmawiać z psychologiem, choć nie raz się zdarzyło, że w skomplikowanych sprawach pomógł policji miasta Oslo. Był sympatyczny, ale obcując z nim, Tommy zawsze czuł się jak nagi i w jakiś sposób nie na swoim miejscu. Tak jakby psycholog potrafił przejrzeć go na wylot i odrzeć ze wszystkich kłamstw, którymi się opancerzał... Kto wie, może w życiu potrzebny był mu właśnie psycholog taki jak Flatanger?

Przez moment przypomniał sobie kontakt swojej skóry ze skórą Hadji i zaklął. Miał już tego dosyć.

– Dawno pana tu u nas nie było – powiedział Flatanger w słuchawce.

– To chyba dobrze? – spytał Tommy.

Szybko wprowadził psychologa w sprawę.

– Nasza teoria jest taka – zaczął, mając świadomość, że jest ona mocno wątpliwa – że Krogh zlikwidował tę trójkę, ale że to może była pomyłka. Albo że sam miał coś za uszami.

– Tak? – odpowiedział Flatanger w tym swoim nieco rozwlekłym dialekcie, którego nie dało się przypasować do żadnego miejsca w kraju.

Jedynym dźwiękiem, jaki słychać było w gabinecie, był dobiegający z zewnątrz szum z Åkebergveien. Tommy'emu wydawało się, że zna odpowiedź, ale chciał potwierdzenia od drugiej osoby, i to takiej, która nie tkwiła w tej sprawie po uszy. Nie bardzo wiedział, jakiej reakcji spodziewać się od psychologa – że będzie wstrząśnięty albo powie, że to skandal czy coś w tym sensie, ale on, jak to psychologowie mają w zwyczaju, powiedział tylko „Tak?”, zostawiając wszystko w rękach policjanta.

– Ten Kaj Holt przesłuchiwał pewnego oficera gestapo w Lillehammer dwa dni przedtem, zanim znaleziono jego zwłoki. – Tommy zaciął się na chwilę,



poczuł się zagubiony w swoim własnym rozumowaniu, sam nie był już pewien, o co mu chodzi.

– Więc w Lillehammer dowiedział się czegoś, co okazało się brzemienne w skutki, to pan chce powiedzieć?

Tommy odchrząknął, a potem zaryzykował:

– Musi to zostać między nami... Mnie się wydaje, że to Krogh kazał sprzątnąć Kaja Holta w Sztokholmie. Przypuszczalnie dlatego, że Holt zaczął coś opowiadać o roli Krogha w zabójstwie tych dwóch kobiet i dziewczynki w Nordmarce. Albo jeszcze gorzej, że Krogh pracował dla Niemców. Nie wiem, kiedy Holt się dowiedział, że Krogh je zabił. Normalnie dowiedziałby się o tym wtedy, kiedy to się stało, albo wręcz sam przekazał mu rozkaz likwidacji z Londynu, ale mnie się coś widzi, że może Holt dowiedział się tego dopiero w Lillehammer, a to go tak poruszyło, że zaczął o tym głośno mówić... A że Krogh miał przyjaciół w szwedzkich służbach...

Psycholog milczał dalej.

– Jednego tylko nie rozumiem – ciągnął Tommy – dlaczego to właśnie Krogh był najbardziej aktywny w próbach wyjaśnienia zabójstwa Holta, jeśli to on kazał go sprzątnąć albo wręcz sam załatwił?

W słuchawce usłyszał chrząknięcie.

– A kto najbardziej pomaga przy gaszeniu pożaru? – spytał psycholog.

– Piroman... – powiedział Tommy sam do siebie.

Zapanowała cisza. W końcu przerwał ją Flatanger:

– Jeśli ta teoria jest słuszna, to dość oczywisty motyw zbrodni, nad którą pracujecie, mógłby mieć ktoś powiązany z Holtem, prawda?

Tommy nie zdążył dokończyć tej myśli, kiedy jego wzrok padł na słowa widniejące na ekranie komputera:

„Vera Holt”.

\*

Tommy wyszedł szybkim krokiem z dużej sali konferencyjnej w czerwonej strefie komendy i spojrzał na zegarek. Było pięć po dziesiątej. Sam nie wiedząc dlaczego, postanowił dać Waldhorstowi jeszcze trochę czasu. A może to sobie postanowił dać trochę więcej czasu, żeby wrócić do równowagi? Zebranie nie poszło po jego myśli: szef pionu śledczego naciskał go, żeby wytłumaczył związek między sprawą Kaja Holta a morderstwem na Carlu Oscarze Kroghu, i Tommy ledwo się wybronił. Oskarżenia Ivera Faalunda były poważne, ale nie miały solidnego pokrycia i Tommy doskonale o tym wiedział.

Poza tym przygnębiała go sytuacja z Hadją. Powinna wprawiać go w dobry nastrój, ale wcale tak nie było: choć chciał jak najszybciej się z nią spotkać, miał przekonanie, że to się dobrze nie skończy. Przynajmniej nie teraz. W gabinecie wziął z biurka komórkę i znalazł jej numer. Nie, jednak wolał się z nią spotkać twarzą w twarz. Zrobi to później, po wizycie w Berlinie.

Patrzył w notatnik, gdzie widniał numer telefonu Petera Warda, Gustav Freytag Strasse, Berlin. Nie miał już pretekstu, by zwlekać. Zadzwoił.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i już miał odłożyć słuchawkę, kiedy odebrała jakaś kobieta. Tommy pamiętał dość niemieckiego ze szkoły, żeby zrozumieć nie tylko, co powiedziała, ale także i to, że jest imigrantką, zapewne z Azji.

– Chciałbym rozmawiać z Peterem Wardem – powiedział po angielsku.

Usłyszał, że kobieta coś mówi, ale zasłaniała przy tym słuchawkę ręką. Przez chwilę panowała cisza.

– Z kim rozmawiam? – spytał męski głos doskonałą angielszczyzną.

– Peter Ward?

– A kto mówi? – odezwał się głos, tym razem prawie perfekcyjnym norweskim. Ślad niemieckiego akcentu zdradzał jednak, że to nie Norweg.

Tommy potrzebował kilku sekund, żeby zebrać myśli. Niemiec na pewno miał telefon z wyświetlaczem i zobaczył, że numer zaczyna się od 47 – prefiksu Norwegii – ale i tak tą zmianą języka Waldhorst mocno go zaskoczył. Jakim sposobem, tyle lat po wojnie, wciąż tak dobrze mówi po norwesku?

– Tommy Bergmann, policja w Oslo.

Mężczyzna po drugiej stronie przez chwilę nic nie mówił, a Tommy nie wiedział, jak ma to sobie tłumaczyć.

– Czy rozmawiam z Peterem Waldhorstem? – zapytał w końcu.

– Rozmawia pan z Peterem Wardem – odezwał się głos, ale intonacja tego zdania sugerowała potwierdzenie.

– Wiem, że pan to Peter Waldhorst.

– A skąd pan to wie?

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa i pewien norweski naukowiec pomógł mi pana odnaleźć.

– Naukowiec? – zdziwił się głos. – Nie znam w Norwegii żadnego naukowca!

– Był kiedyś docentem na uniwersytecie w Oslo i ma kolegów w Berlinie.

Nastąpiła długa cisza i tylko cichy szum na linii świadczył o tym, że po drugiej stronie wciąż ktoś jest.

– Chciałbym poprosić... – zaczął Tommy.

– Chciałby pan poprosić, żebym odpowiedział na kilka pytań – dokończył za niego Niemiec. – Bo po co innego by pan dzwonił?

Tommy nie odpowiedział. Zastanawiał się nad spokojem tego człowieka, jego opanowaniem i w gruncie rzeczy brakiem zdziwienia.

– A czego dotyczyłyby te pytania? – odezwał się w końcu znów Waldhorst.

– Myślę, że pan wie, czego by dotyczyły – odparł Tommy. – Chyba że już pan nie czyta norweskich gazet?

– Niech mi pan wierzy, panie Bergmann, nie miałem w ręku norweskiej gazety od lata tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

– Chodzi o...

– Czytam natomiast gazety niemieckie. Nawet one piszą o Carlu Oscarze Kroghu – powiedział Waldhorst. – No i?

– Co pan powiedział Kajowi Holtowi w Lillehammer? – wypalił Tommy. Peter Waldhorst nabrał dużo powietrza, a potem wypuścił je przez nos.

– Bywa pan w Berlinie? Wolę... widzieć osobę, z którą rozmawiam.

– Będę w Berlinie jutro – powiedział Tommy.

– Dobrze... – odezwał się Waldhorst, ale dopiero po chwili.

– Więc co pan powiedział Holtowi w Lillehammer? – spytał Tommy raz jeszcze. Wiedział, że nie powinien o to pytać teraz, ale nie potrafił się powstrzymać. Położył fotografię z wieczoru świętojańskiego 1942 roku na blacie biurka i spojrzał na twarz młodego Petera Waldhorsta i jego oczy wpatrzone w Agnes Gerner. Pomyślał, że musiała być skończoną pięknnością.

Waldhorst nie odpowiadał.

– Powiem tak: wiem, że w czasie wojny stacjonował pan w Norwegii, że zanim zaczął pan pracować w tutejszym gestapo, przypuszczalnie był pan w Abwehrze, i mam nadzieję, że pan mi pomoże w śledztwie. Musimy dociec, w jakim stopniu zabójstwo Krogha może mieć związek z jego działalnością w czasie wojny.

Z Berlina nadal nie dobiegał żaden głos. Kiedy się w końcu odezwał, był cichy.

– Porozmawiajmy o tym jutro, panie Bergmann. Wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Tommy odłożył słuchawkę dopiero wtedy, gdy sygnał zajętej linii stał się

zbyt natrętny. Miał poczucie, że popełnił kolosalny błąd – powinien polecieć do Berlina bez uprzedniego kontaktowania się z Waldhorstem, iść do niego i po prostu zadzwonić do drzwi. Dał staremu gestapowcowi dobrą czasówkę na myślenie. Dużo za dużo.

Uczucie, że Waldhorst ma nad nim przewagę, osłabło nieco dopiero, gdy wypalił na tarasie papierosa.

Wróciwszy do biura, odbył krótką rozmowę z Arne Drabløsem i powiedział mu, że w tym tygodniu musi dalej prowadzić treningi z dziewczętami, bo on sam nie wie, jak długo zejdzie mu w Berlinie. Że na zawodach w Göteborgu czeka je kilka razy solidne lanie, było nie do uniknięcia, ale co on mógł na to poradzić? Jeżeli nie załatwi tej sprawy w Berlinie, o urlopie nie ma co marzyć.

Kiedy odłożył słuchawkę, otworzył notes. Karen Eline Krogh była naprawdę tą Karen Eline Fredriksen. Podniósł słuchawkę i wystukał numer córki, Bente Bull-Krogh.

Czekając na rozmowę, zerknął na zegar, a następnie raz jeszcze sprawdził godzinę odlotu do Berlina.

Bull-Krogh nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej na dźwięk głosu Tommy'ego, ale nie miała wyboru: musiała się zgodzić na jego wizytę na Bygdøy celem odpowiedzi na kilka pytań.

– Czy mówi coś pani... – zaczął pod koniec ich krótkiej rozmowy, ale nie dokończył.

– Co takiego? – spytała córka Krogha z roztargnieniem.

– Nieważne, porozmawiamy, kiedy przyjadę.

Na dole w garażu siedział przez chwilę w samochodzie, nie mogąc się zdecydować. Kolstadgata leżała zaledwie kilka kwartałów dalej. Vera Holt, musi odnaleźć Verę Holt! Ale Tommy Bergmann nie należał do tych, co tak łatwo zmieniają plany. Skoro już postanowił, że najpierw porozmawia z Bull-Krogh, trzeba było tam jechać. Przekręcając kluczyk w stacyjce, miał jednak uczucie, że przeoczył coś bardzo podstawowego, wręcz banalnego.

Przeciągnął kartę służbowego samochodu przez czytnik i rzucił ją na siedzenie pasażera. „Czego nie widzę?” – spytał sam siebie. Zgasił radio, które ktoś przed nim nastawił na program IV, potem włączył radiostację i skręcił w prawo w Hollendergata. Wzywano patrol do jakiegoś napadu na Sagene. Odpowiedział natychmiast F-34. Głos był młody, nieco spięty, ale czysty. Przez krótką chwilę Tommy zatęsknił do życia w mundurze, do koleżeństwa, do dumy z pracy. Po kilku sekundach wyłączył jednak

radiostację.

Kwadrans później stał na stopniach okazałego domostwa na ulicy Christiana Bennecha. Filipińska służąca otworzyła drzwi i bez słowa skinęła mu głową. W holu przy schodach prowadzących na piętro stały dwie duże walizy Samsonite.

Bente Bull-Krogh siedziała w większym z salonów, patrząc przez okno na padający deszcz. Tommy też widział tam fiord z powierzchnią wody dziurawioną przez spadające z nieba krople. Przy prywatnej plaży smętnie kołysał się na wodzie pływający pomost. Nawet sosny w ogrodzie wyglądały, jakby zwiesiły głowy.

– Zrobiliście jakiś postęp? – spytała córka Krogha, nawet nie odwracając głowy ku niemu.

Pytanie wytrąciło go na moment z równowagi. Bo co miał odpowiedzieć? Że być może dryfuje coraz dalej od sedna sprawy, które udało mu się w końcu ustalić? Że w Uddevalla siedzi stary, zapijaczony gość i twierdzi, że jej ojciec był w czasie wojny podwójnym agentem?

– Kto wie – odparł.

Była to kiepska odpowiedź, ale lepszej nie miał.

Gospodyni siedziała równie apatycznie jak przedtem. Nie wydawało się, żeby cokolwiek mogło stanowić bodziec zdolny ją ożywić.

– To pytanie może się pani wydać dość osobliwe, ale... Czy pani ojciec miał może konto w innym kraju: w Szwajcarii, Liechtensteinie albo w jakimś innym miejscu?

W twarzy Bente Bull-Krogh wreszcie nastąpiła jakaś zmiana – między brwiami pojawiła się zmarszczka, mogąca świadczyć o zaniepokojeniu lub urazie. Jej głos zdradził jednak, że nie tyle czuła się obrażona, ile po prostu nie zrozumiała celowości pytania.

– Nie wiem, musi pan spytać jego adwokata, ale...

– Ale?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nic.

– A jaki miał stosunek do pieniędzy?

Bente Bull-Krogh patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Teraz nie było już wątpliwości: pytanie uraziło ją, a Tommy nie mógł jej za to potępić.

– Dlaczego, u licha, pan mnie o to pyta?

Tommy Bergmann westchnął. Właściwie mógł powiedzieć jej prawdę.

– Próbujemy... stworzyć pełniejszy obraz.

– Pełniejszy obraz. – Gospodyni pokręciła głową.

– OK, nie musi pani odpowiadać – powiedział. – To nie jest takie ważne.

Nastąpiła chwila ciszy. Wyglądało, jakby chciała coś powiedzieć: otworzyła nawet usta, ale rozmyśliła się.

– To już wszystko? – spytała w końcu.

– Mam jeszcze pytanie dotyczące pani matki – powiedział Tommy.

Córka Krogha nic nie powiedziała, była już tak dalece nieobecna, że nie spytała nawet co, u diabła, jej matka mogła mieć wspólnego z zabójstwem jej ojca. Siedziała nieruchomo w tej samej pozycji co przedtem, wpatrując się w deszcz za oknem.

– Ona z domu była Fredriksen, prawda?

Bull-Krogh ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

– I pracowała w czasie wojny w poselstwie norweskim w Sztokholmie, prawda?

– Tak, poznała ojca w Sztokholmie po tym, jak musiał uciekać z Oslo – powiedziała gospodyni tak cicho, że Tommy z trudem wyłowił jej głos ze szmeru deszczu, tłukącego o płytki tarasu.

– Czy mówi pani coś nazwisko Holt, Kaj Holt?

Bente Bull-Krogh podniosła wzrok i przyjrzała mu się po raz pierwszy, odkąd przekroczył próg salonu. Twarz miała bladą i nieumalowaną. Teraz Tommy widział wyraźnie, że zbliża się do sześćdziesiątki, zupełnie jakby w ostatnich dniach postarzała się o dziesięć lat.

Po chwili potrząsnęła lekko głową.

– Niech się pani dobrze zastanowi – nalegał Tommy. – Pod koniec maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego Kaja Holta, kapitana Milorgu, który także pracował dla Brytyjczyków, znaleziono martwego w mieszkaniu należącym do poselstwa. Pani matkę przesłuchano w tej sprawie, to ona tamtego dnia zidentyfikowała zmarłego, a szwedzka policja bardzo poważnie potraktowała jej zeznanie o samobójczych ciągach Holta.

– Aha – powiedziała Bull-Krogh – ale to nazwisko nadal nic mi nie mówi.

– Czy jest pani absolutnie pewna, że matka nigdy o nim nie wspomniała? Pracowali w poselstwie razem przez półtora roku, więc musiała go dobrze znać, nie sądzi pani? Podczas wojny Holt był też bezpośrednim przełożonym pani ojca w Oslo. A on poruszył niebo i ziemię, żeby się dowiedzieć, co właściwie przydarzyło się Holtowi. Matka naprawdę nigdy o nim nie wspomniała?

- Przykro mi.
- A pani ojciec?

Gdzieś w domu stojący zegar wybił połowę godziny.

- Niczego takiego nie pamiętam. Czy to coś ważnego?

Tommy sam spojrzął na zegarek. Przed wylotem do Berlina musiał jeszcze zajrzeć na Kolstadgata.

Dwa razy otworzył usta, żeby zadać to samo pytanie, ale za każdym razem się rozmyślił. Bente Bull-Krogh odprowadziła go do holu. Tommy zatrzymał się przy drzwiach wyjściowych i skinął głową w stronę waliz.

- Mój brat – powiedziała gospodyni. – Przyjechał dzisiaj rano.

- Jest tutaj? – spytał Tommy.

Bente Bull-Krogh pokręciła głową.

- Jest w zakładzie pogrzebowym.

Tommy skinął głową.

- Chciałbym z nim porozmawiać.

Ona zamknęła oczy i oparła głowę o framugę drzwi.

- Może pani poprosić, żeby do mnie zadzwonił?

- Tak – odparła.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu – powiedział Tommy i podniósł kołnierz, aby odgradzić się od deszczu.

Kiedy drzwi się zamknęły, stał przez chwilę na schodach, wahając się, bo zapomniał ją spytać o coś ważnego. W momencie, kiedy położył palec na guziku dzwonka, masywne drzwi nagle się otworzyły.

Bente Bull-Krogh popatrzyła mu prosto w oczy.

– Tam, w salonie... nie byłam całkiem sobą – powiedziała i spuściła wzrok.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – Tommy pochylił się nad nią i patrzył, nie ruszając się, jakby zwietrzył przed sobą zdobycz.

- Mama... kiedyś, wiele lat temu, był taki program w telewizji...

Byłyśmy w domu same... – Nerwowym ruchem przygładziła włosy.

- Program o czym?

– O martwym oficerze, którego znaleziono w jakimś mieście, nie pamiętam...

- W Sztokholmie – podpowiedział Tommy.

– To było tak dawno temu, miałam może dwadzieścia pięć czy sześć lat, byłam w domu na wakacjach. Ojca wtedy nie było. Weszłam do salonu, nigdy nie widziałam... żeby moja mama tak płakała... Usiadłam przy niej

i siedziałam, dopóki program się nie skończył.

– I...?

– Przypomniałam sobie, jak tylko pan wyszedł. Mama powiedziała coś dziwnego... Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego to powiedziała.

– A co takiego powiedziała? – spytał Tommy, wbiwszy wzrok w walizy. Nie chciał na nią teraz patrzeć.

– Czy to źle robić wszystko dla kogoś, kogo się kocha?

– Co pani ma na myśli?

– To właśnie powiedziała mama: „Czy to źle robić wszystko dla kogoś, kogo się kocha?”.

Bente Bull-Krogh podniosła wzrok na Tommy’ego, jakby spodziewała się, że on jej te słowa wytłumaczy. Miała wyraz twarzy niewinnego dziecka, przy którym ktoś powiedział coś niezrozumiałego, a dziecko w swojej naiwności i miłości nie mogło pojąć, że świat jest dogłębnie zły, a rodzice grzeszni...

– Vera Holt – odezwał się Tommy. – Czy pani kiedyś spotkała kogoś takiego?

Między brwiami Bente Bull-Krogh znów pojawiła się ta zmarszczka. Popatrzyła na Tommy’ego pustym wzrokiem i potrząsnęła głową.

– Jak pan myśli, o co mamie wtedy chodziło? – szepnęła.

– Nie wiem – odparł Tommy. – Naprawdę nie wiem.

Usiadł w samochodzie i wypalił jednego po drugim dwa papierosy, podczas gdy deszcz młócił w szybę samochodu.

„A więc to może być prawda” – pomyślał. „Może Carl Oscar Krogh naprawdę kazał zabić Kaja Holta. A w najgorszym razie zrobił to sam”.

Tommy poczuł się spokojniejszy, jakby wszystko w jego głowie wróciło na swoje miejsce i ułożyło się z powrotem w logiczny ciąg wydarzeń. Tak musiało być, to właśnie musiało się zdarzyć. Wątpliwości zniknęły. W taki czy inny sposób Agnes, dziewczynka i służąca zostały przez Carla Oscara Krogha zlikwidowane, po wojnie Kaj Holt zaczął o tym za dużo mówić, więc Krogh go usunął. Teraz zaś ktoś go za to zaszlachtował. Albo dlatego, że zabił Gerner i te dwie pozostałe, albo za to, że sprzątnął Holta. Albo i za to, i za to.

Na kilka minut zamknął oczy, wsłuchując się w stukot deszczu o dach samochodu. Iver Faalund musiał więc mieć rację, coś innego wyprowadziłoby Kaja Holta tak bardzo z równowagi, coś innego mógł mu powiedzieć Waldhorst o Kroghu niż to, że był podwójnym agentem?



Tommy spojrział na godzinę wyświetloną na desce rozdzielczej służbowego samochodu. Miał jeszcze dość czasu, żeby zajechać na Kolstadgata.

Musiał znaleźć Verę Holt.

**Środa, 18 czerwca 2003**

*Kolstadgata 7*

*Oslo*

Niżej niż na Kolstadgata 7 w tym najbogatszym kraju świata upaść się nie dało – niezależnie od przyjmowanych kryteriów był to ewidentny i niezaprzeczalny slums. Za czasów swojej służby patrolowej wiele lat temu Tommy Bergmann bywał w tym miejscu częstym gościem, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wyglądało ono równie parszywie jak teraz. Przed drzwiami wejściowymi kilka somalijskich dzieci bawiło się workami śmieci, które ktoś zrzucił ze swojego balkonu. Śmieci wały się zresztą wszędzie dookoła. Jakieś dzieci tłukły się na placu zabaw z drugiej strony bloku, ale ich wrzask słychać było także po tej stronie.

Winda nie działała. Nie działała już wtedy, kiedy Tommy był tu po raz ostatni, a było to wiele lat temu. Na pierwszym piętrze cuchnęło moczem nawet bardziej niż za dawnych czasów. Szedł powoli na czwarte piętro, oglądając graffiti na ścianach.

Mocno zapukał do drzwi, do których przymocowano kawałek taśmy klejącej z nazwiskiem Holt wypisanym długopisem, w którym kończył się tusz.

Trzasnęły drzwi wiodące na klatkę schodową i pojawiła się w nich jakaś Somalijka z trójką dzieci. Zobaczyła Tommy'ego i szybko skierowała wzrok w głąb korytarza. Największe z dzieci obdarzyło go spojrzeniem, z którego wynikało, że od razu rozpoznało w nim policjanta. Najmłodszy chłopczyk odwrócił się i wyszczerzył, a matka piskliwym głosem krzyknęła do niego coś niezrozumiałego i szybko pociągnęła za sobą.

Zapukał raz jeszcze.

– Vera Holt? – głośno zadał pytanie prosto we framugę, nieco wystrzępioną po czymś, co wyglądało na próbę włamania, a może nawet kilka.

Poczekał jeszcze chwilę, a potem spojrzął na zegarek. „Kurde, muszę zdążyć na lotnisko” – pomyślał. Obrócił się i popatrzył na rząd drzwi po drugiej stronie korytarza, po czym ruszył do tych, które znajdowały się na wprost mieszkania Very Holt.

Judasz w drzwiach był zaciemniony, więc ktoś musiał go stamtąd cały czas obserwować.

Kiedy podchodził do drzwi, otwarły się na tyle, na ile pozwolił łańcuch.

– Czego?

Tommy wskazał na identyfikator, który miał zawieszony na szyi.

– Chciałbym porozmawiać z Verą Holt.

Drzwi zamknęły się i Tommy usłyszał, że kobieta za nimi majstruje przy łańcuchu.

Twarz, która ukazała się w drzwiach, nosiła oznaki niełatwego życia. Z jej niezliczonych zmarszczek Tommy wyczytał ślady długotrwałego pijaństwa. Kobieta ciasniej owinęła się szlafrokiem. Z warg zwisał jej skręt, ze starych leczniczych sandałów wystawały palce.

Zdjęła coś z języka i przyjrzała się temu. Wyraźnie było słycać głos z telewizora, w którym jakaś podniecona Amerykanka głośno omawiała zalety takiego czy innego przyrzędu gimnastycznego.

– Wzięli ją w niedzielę do szpitala. Leżała i darła się przez cały dzień, w końcu zadzwoniłam.

– Dokąd? – spytał Tommy.

– Nie wiem, gdzie takich zawożą. To niesłychane, że pozwalają jej tu mieszkać, bo wszyscy się jej boją. Mimo że to straszna rudera, nie chciałabym od sąsiadki zarobić nożem w plecy!

„Nożem w plecy?” – pomyślał Tommy.

– O czym pani mówi?

– Jak się tu wprowadziła dziesięć lat temu, jedna znajoma powiedziała mi, że ona wiele lat temu zadźgała swojego ojczyma. Nożem.

Tommy osłupiał. Natychmiastowe skojarzenia: gwiazdka w rejestrze, profil sprawcy. Ostra psychoza.

Vera Holt przypuszczalnie już kiedyś zabiła, a o ile jego teoria była słuszna, miała też motyw, żeby zabić Krogha. Czy Vera Holt pozbawiła życia Krogha, aby pomścić ojca? Bo dowiedziała się, że to Krogh go zabił? Ale jak się mogła tego dowiedzieć?

Tommy zbiegł po schodach i wypadł na zewnątrz. Szybkim krokiem poszedł do samochodu, wsiadł do niego i zadzwonił do Reutera.

– Znajdźcie mi Verę Holt.

– Verę Holt?

– Żyje córka Kaja Holta. Zabrali ją gdzieś do szpitala, na oddział psychiatryczny.

Z drugiej strony zapadła cisza.

– Jesteś pewien? – spytał Reuter. – Myślisz, że była w to zamieszana? Kurde, dziwna sprawa, mnie też to dzisiaj przyszło do głowy. Ale łatwo się możemy kropnąć. Mamy komplet odcisków palców, ale nic poza tym. No

i ten cholerny odcisk buta Ecco, rozmiar czterdzieści jeden. Może to być męski but...

– ...ale może też być damski – dokończył za niego Tommy.

– Jesteś pewien? – powtórzył Reuter. – Uważasz, że to ona?

– W każdym razie ma motyw – powiedział Tommy. – O ile moja teoria jest słuszna.

Gończkowo przewracał kartki notatnika. Gdzie popełnił błąd? Być może Bente Bull-Krogh podała mu mordercę na tacy już jakiś czas temu.

– Co jest?

– To kobieta... Żona Krogha uważała, że to była kobieta. – Tommy znalazł stronę, gdzie miał notatki z pierwszego przesłuchania córki Krogha, kiedy siedzieli razem na tarasie na Bygdøy, a on spytał ją, czy jej ojciec miał jakiś romans. Patrzył na swoje własne notatki:

„Związek z inną kobietą? Żona twierdziła, że wydzwaniała do niego jakaś kobieta. Zaczęła w 1963. Dzwoniła przez kilka lat. Ojciec przestał jeździć na polowania. Z reguły to on odbierał telefon”.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – spytał Reuter.

– Wiele lat temu zadzwonił do nich ktoś i się nie odezwał. Żona Krogha uważała, że to kobieta. To było jesienią, w sezonie łowieckim.

– Sezonie na co?

– Na pardwy.

– Wrzesień – powiedział Reuter.

– Tę trójkę: Agnes, Cecilie i służącą zabito we wrześniu.

– O cholera ... Kiedy to było?

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim – odparł Tommy. – Te głuche telefony powtarzały się przez kilka lat. No i Krogh przestał jeździć na polowania.

– Ile Vera Holt miała lat w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim?

– Osiemnaście.

– Boże... – powiedział Reuter. – Naprawdę myślisz, że to Vera Holt?

– Zdobądź jej odciski palców – powiedział Tommy – i znajdź jej akta.

– Akta?

– Według sąsiadki Vera Holt w młodości zabiła swojego ojczyrna nożem. Żona Kaja Holta musiała wyjść powtórnie za mąż, a jej córka zabiła tego gościa. W rejestrze agentów ma gwiazdkę, a to znaczy, że w archiwum są gdzieś akta jej sprawy, pewnie tej o zabójstwo.

Tommy Bergmann wyobraził sobie, jak szczeka Fredrika Reutera opada na kołnierzyk koszuli.

– Rozumiesz, co mówisz? – upewnił się Reuter. – Krogha zabito właśnie nożem!

– Znajdźcie ją – powtórzył Tommy.

– To daj sobie spokój z Berlinem – powiedział Reuter. – Krogha być może zabiła Vera Holt. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– No nie wiem...

– Nie lecisz do Berlina, Tommy. Słyszysz mnie? Przyjeżdżasz tutaj. I to natychmiast.

Tommy włączył koguta i minąwszy „Smart Club”, przejechał na lewy pas. Prędkościomierz w jego samochodzie wkrótce pokazał 150 kilometrów na godzinę.

– Nie – powiedział. – Nie mogę odpuścić Berlina.

– Nie możesz?

– Jeżeli Verę Holt zabrano na ostry dyżur w psychiatryku, i tak poleży tam co najmniej tydzień.

Reuter westchnął z rezygnacją.

Tommy błysnął długimi światłami jakiemuś nieszczęśnikowi, który najwyraźniej nie zorientował się w sytuacji. Zbliżał się szybko, o wiele za szybko, więc Tommy stanął na hamulcach, wręcz poczuł buchające od nich gorąco. Samochód przed nim schował się na prawym pasie dosłownie w ostatniej chwili, inaczej Tommy by przez niego po prostu przejechał.

– Brakuje mi tylko jednej rzeczy – powiedział. – Skąd Vera Holt wiedziała, kto ponosi winę za śmierć jej ojca?

– A Peter Waldhorst? – spytał Reuter.

**Czwartek, 19 czerwca 2003**

*Hotel „Intercontinental”*

*Budapester Strasse*

*Berlin*

Seria przenikliwych gwizdków wyrwała Tommy'ego Bergmanna ze snu. Po chwili rozpoznał sygnał cofającej na ulicy ciężarówka. Podciągnął kołdrę i odwrócił się tyłem do okna, żeby uniknąć sączącego się spomiędzy zasłon ostrego światła. Kiedy ciężarówka wreszcie się wycofała i odjechała, szum Budapester Strasse koł jego uszy, dopóki na nocnym stoliku nie rozdzwoniła się komórka. Tommy zaklął i wyciągnął rękę do budzika. Była dziesiąta, musiał więc przespać alarm. Zaraz, przecież nie nastawiał żadnego alarmu? Przed oczyma przesunęła mu się seria obrazów z poprzedniego dnia. Był na spacerze na Kurfürstendamm, oglądał oświetlone ruiny kościoła, kupił kilka piw, potem nie chciał już oglądać więcej ludzi, w końcu zasnął w ubraniu.

Zanim oddzwonił, przyjrzał się dokładnie temu, co widniało na wyświetlaczu telefonu. Poprzedniego wieczoru zadzwoniła do niego Hadja, ale nie odebrał. Nie wiedział, jak ma jej powiedzieć, że może nikogo nie potrzebuje bardziej niż jej, ale że nie chce jej zniszczyć, nie chce pociągnąć jej za sobą na dno tak, jak omal nie pociągnął Hege.

Pozwolił, żeby komórka się wydzwoniła, a potem czekał, aż Fredrik Reuter zadzwoni raz jeszcze. Nie trwało to długo. Tommy nagle przypomniał sobie swój ostatni sen, nieludzki koszmar, który nachodził go kilka razy w roku.

– No i jak się dziś czujemy? – spytał Reuter prosto w jego ucho.

Tommy nie uznał za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

– Znalazłeś Verę Holt? – spytał spod wielkiej poduszki.

– W Ullevål. Ładnie tam, na psychiatrycznym. Nie, żebym sam chciał się tam znaleźć, ale...

– I?

– Zupełnie nie jest w stanie umożliwiającym przesłuchanie. Według lekarzy właśnie wychodzi z psychozy, więc wiesz...

– Przeszukanie mieszkania?

– Nakaz będę miał jutro. Jak się uda, może dziś po południu.

– W którym dniu tygodnia Pan Bóg stworzył prawników? – zastanowił się głośno Tommy.

– Demokracja nie jest doskonała, ale... jak to było dalej?

„Dobra, już się zamknij” – pomyślał Tommy. Przeniósł wzrok na otwarte

okno i leżącą w dole Budapester Strasse. Pokój wypełniał niekończący się, ciągły szum, jaki mogło generować tylko miasto wielkości Berlina. Popatrzył teraz na swój pokój i zatrzymał wzrok na obrotowym telewizorze, wpasowanym w ścianę łazienki w taki sposób, że ekran za szybą z pleksiglasu mogła widzieć także osoba leżąca w wannie.

– Nie wchodźcie do mieszkania beze mnie – poprosił. – Poczekajcie, aż wrócę.

– Dobra. Ale ją chyba stamtąd zgarniemy. Mam tu jej akta, nawiasem mówiąc.

Tommy poczuł, że wzrasta mu tętno.

– Kiedy zabiła ojczyma, miała czternaście lat.

Tommy nic nie powiedział. Odchylił wieczko kupionego w Duty Free pudełka prince'ów. Wzrok, który widział w lustrze, należał do kogoś innego. Tłuste włosy i podbite oczy też.

– „W nocy na pierwszą niedzielę Adwentu, dwudziestego dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego, Vera Holt pozbawiła życia swojego ojczyma dziewięcioma pchnięciami noża w mieszkaniu na Normannsgate. Kiedy patrol zatrzymał ją na schodkach kościoła na Kampen, siedziała z zakrwawionym nożem w ręku, ubrana w koszulę nocną” – przeczytał Reuter.

Tommy zapalił papierosa i mocno się zaciągnął. Oczyma wyobraźni zobaczył Verę Holt, bosą dziewczynkę w nocnej koszuli, z kuchennym nożem w ręku. „Jaki to Bóg dał nam takie życie?” – pomyślał.

– „Została uznana za zaburzoną, niezdolną do oceny swojego postępowania w chwili czynu i przez to nie podlegającą odpowiedzialności karnej” – dokończył Reuter. – Chociaż jako czternastolatkę mogli ją wsadzić do Bredtveit <sup>1</sup> – skomentował.

– To co zrobili?

– Spędziła kilka lat w Dikemark <sup>2</sup>.

– Kilka lat?

– Dobrze się sprawowała, uznano ją za wyleczoną.

– Kiedy?

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim – powtórzył Tommy, zgasił papierosa i poszedł do łazienki.

– Chyba ją mamy, Tommy.

– Przecież ją wyleczyli?

– Sam wiesz, jak to jest z psychozą... Mało to razy zawiozłeś kogoś na pogotowie, a kilka miesięcy później spotkałeś w tym samym stanie?

– Nie ruszajcie tego mieszkania – poprosił znów Tommy.

Prysznic zadziałał na niego jak rodzaj oczyszczenia, ale dźwięk telewizora z wiadomościami po niemiecku przypomniał mu, co go czeka.

Turecki taksówkarz jechał powoli wzdłuż Kurfürstendamm. Tommy wystawił ramię przez okno i czuł, jak wiatr pieści włoski na nagiej skórze. Był w tym mieście po raz pierwszy, ale już mu się podobało, ze swoimi kamienicami i niekończącymi się, obsadzonymi zielenią bulwarami. Mimo że nie miał żadnych podstaw, żeby mieć na ten temat jakiegokolwiek zdanie, czuł, że to miasto jakoś zrzuciło z siebie brzemień tamtej klęski. Na zdjęciach Berlina, które widywał przez lata, wydawało się wynędzniałe i na wpół zrujnowane, teraz pomyślał, że z tych popiołów rodzi się coś nowego, nieznanego. Na moment przeraziła go myśl, że któregoś dnia Niemcy znów mocno staną na nogi.

„Daj już spokój” – powiedział sobie, kiedy taksówka zatrzymała się na skrzyżowaniu przy KaDeWe.

Zlustrował ubranie, które miał na sobie, i pomyślał, że na spotkanie z Waldhorstem powinien ubrać się bardziej formalnie. Norweski policjant w wytartych dżinsach i żeglarskich butach, które lata świetności miały już za sobą, nie był może kimś, kto byłby w stanie wzbudzić szacunek starego niemieckiego oficera. Szybko pomacał materiał błękitnej koszuli kupionej poprzedniego dnia na lotnisku Gardermoen i stwierdził, że ujdzie. Nagle zreflektował się i aż pokręcił głową, bo takie myśli mu się dotychczas nie zdarzały – najwyraźniej po rozmowie z Waldhorstem bardzo dużo się spodziewał. Rozparł się wygodnie na siedzeniu taksówki, czując zapach nowiutkiej skóry podgłówek i słuchając sączącej się z głośnika w drzwiach muzyki. Rozpoznał stary niemiecki kabaretowy przebój, rozchylił powieki i wpuścił między nie promienie słoneczne oraz zielone migotanie liści mijanych drzew.

Domostwo Petera Waldhorsta bardziej przypominało pałacyk niż dom mieszkalny. Tommy zapłacił szoferowi banknotem 20 euro, prosząc go o paragon i 5 euro reszty. Przyjrzał się dokładnie stojącemu frontem do ulicy domowi, z jego jasnobrązowymi ścianami i porośniętym dzikim winem ogrodzeniem z kutego żelaza. Stając na chodniku, stwierdził, że nie jest on jednak tak okazały, jak pozostałe domy w okolicy.

Ostrożnie nacisnął klamkę furtki. Zamknięte. Uderzyła go myśl, że może



była tu kiedyś Vera Holt. No bo jak inaczej by się dowiedziała, kto stał za śmiercią jej ojca?

Obok furtki znalazł guzik dzwonka i nacisnął go. Po dłuższej chwili w głośniku odezwał się kobiecy głos.

– Bergmann – przedstawił się Tommy. – Mam... – Przerwał mu dźwięk brzęczyka w zamku.

Na schodach odwrócił się i rozejrzał. „Co za dzielnica” – pomyślał. Jak to możliwe, że nie została w czasie wojny zbombardowana? Trudno mu było w to uwierzyć, ale musiało tak właśnie być. Stare, patrycjuszowskie wille, największe, jakie kiedykolwiek widział, stały rzędem, osłonięte drzewami, które najwyraźniej nie miały zamiaru przestać rosnąć, dopóki nie dosięgną nieba.

W drzwiach pokazała się młoda dziewczyna. Tommy zgadł, że jest rodem z Turcji, jak taksówkarz.

– Pana Waldhorsta nie ma w domu, ale spodziewaliśmy się pana.

Wprowadziła go do wielkiego, ciemnego holu.

– A kiedy wróci?

– Wkrótce – odparła, przeprowadziła Tommy’ego przez cały parter, a na koniec wyprowadziła na taras z tyłu domu i zaproponowała, żeby zaczekał.

Tommy spodziewał się, że wewnątrz domu będzie ciemne jak hol, ale bynajmniej tak nie było. Ciemny był tylko parkiet, kontrastujący z białymi ścianami i sufitami.

Turczynka przyniosła srebrną tacę z kawą, a widząc, że zapalił papierosa, pospieszyła z kryształową popielnicą. Zasiadł na krześle, patrząc na leżące za ogrodem jezioro o gładkiej powierzchni, ale nie potrafił się rozluźnić. Słońce mocno grzało i nie pomagał nawet wielki parasol stojący na tarasie. Tommy zerknął na zegarek, a potem wstał i wszedł do środka. Przez chwilę rozkoszował się panującym tam miłym chłodem, potem uważnie przyjrzał się pomieszczeniu. Była to jadalnia ze stołem na dwanaście osób w jednym końcu i kompletem wypoczynkowym w drugim, z kilkoma komodami i bufetami. Na ścianach wisało parę olejnych, modernistycznych obrazów.

Coś mu się w tym pomieszczeniu nie zgadzało. Poszedł na drugi koniec pokoju i otworzył podwójne drzwi. Zobaczył ciemny salon z ciężkimi, krytymi skórą meblami. Pokój rozświetlał pojedynczy promień słońca, w którym tańczyły tysiące drobinek kurzu. Jedną ze ścian pokrywały szafy z książkami, a między nimi stał mahoniowy, wykończony na wysoki połysk bufet.

„To tam” – pomyślał Tommy, widząc stojące na nim fotografie w niemal identycznych srebrnych ramkach. Brał je kolejno do ręki. Na większości czarno-białych zdjęć rozpoznawał rysy Waldhorsta, choć żadne z nich go nie przedstawiało. Na może dwudziestu fotografiach doliczył się trzech twarzy dzieci, reszta – na kolorowych zdjęciach z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – to zapewne były wnuki. Jedna mała ramka mieściła zdjęcie niemieckiego żołnierza i Tommy zgadł, że to jego brat. W czarnym mundurze był tylko dzieckiem, ale w rysach miał coś twardego. Postawił fotografię z powrotem na swoim miejscu, zupełnie z tyłu.

Zrobił krok do tyłu i przyjrzał się jednemu zdjęciu, które zrobiło na nim jakieś wrażenie. Obejrzał je dokładnie z pewnej odległości, a potem wziął do ręki. Była to czarno-biała fotografia przedstawiająca dość młodego mężczyznę i kobietę w zaawansowanej ciąży, siedzących na płaskiej skale, zapewne gdzieś w Europie północnej, może nawet w Norwegii. Oboje uśmiechali się do fotografa. Mężczyzna, którego Tommy gdzieś już kiedyś chyba widział, obejmował kobietę ramieniem. Ona miała nieznanne Tommy’emu rysy twarzy. W ręku trzymała papierosa. Chociaż... czy w tym lekkim skrzywieniu ust nie było czegoś znajomego?

Zaraz, zaraz, ten mężczyzna... Miał to na końcu języka.

– Panie Bergmann – odezwał się głos z jego lewej strony.

Tommy odwrócił się szybko. Nagle zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręce tamto zdjęcie, i poczuł, że mocno się czerwieni. Odstawił ramkę na miejsce, nie spuszczając wzroku z przybyłego. Był to niewysoki mężczyzna o delikatnych rysach twarzy, który stał w drzwiach wiodących do holu, ubrany całkowicie na biało: miał na sobie tenisową koszulkę, szorty, białe sportowe buty ze śladami czerwonej glinki. Siwe włosy były zaczesane do tyłu, na twarzy widoczne ślady zaschniętego potu. Mimo że był stary i lekko przygarbiony, łatwo było go rozpoznać. Nadal miał te gęste brwi i oczy, które były osadzone odrobinę zbyt głęboko i zbyt blisko siebie, by można go nazwać przystojnym, tak jak na przykład Carla Oscara Krogha.

– Pan Bergmann – powtórzył, ruszając mu na spotkanie. Uśmiechał się pobłaźliwie, jakby chciał powiedzieć: „Proszę bardzo, myśkuj sobie, ile chcesz”.

Mimo że jego dłoń była szczupła, wręcz chuda i pełna wątrobowych plamek, Tommy’emu dawno nikt tak mocno nie uścisnął ręki. Waldhorst spojrział mu prosto w oczy i powiedział tym swoim wyraźnym norweskim:

– Tak, panie Bergmann, jestem Peter Waldhorst.

„Co tu się nie zgadza?” – zastanawiał się wciąż Tommy.

---

1. Bredtveit – więzienie kobiece nieopodal Oslo. [\[wróć\]](#)
2. Dikemark – szpital psychiatryczny na 170 miejsc w Asker nieopodal Oslo. [\[wróć\]](#)

## ***Poniedziałek, 14 września 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Vinderen*

*Oslo*

Agnes Gerner siedziała na parapecie w pokoju Cecylii, a dziewczynka przy swoim biurku czytała książkę. Mała lubiła mieć Agnes blisko siebie nawet wtedy, kiedy zajmowała się swoimi sprawami. Od czasu do czasu podnosiła wzrok na fotografię matki i bezgłośnie wypowiadała kilka słów. Agnes na kilka sekund opanowało poczucie winy, że oszukuje dziewczynkę, bo pozwala jej wierzyć, że one dwie mają przed sobą jakąś przyszłość.

Odwróciła twarz i oparła policzek o chłodną szybę. Przez grubą warstwę chmur nagle przedarł się promyk jesiennego słońca, oświetlił leżący piętro niżej taras, po czym zniknął. Dzień, w którym Agnes siedziała tam na dole razem z Peterem Waldhorstem, wydawał się jej nieskończenie odległy. Czy to naprawdę było takie proste, jak widział to Pielgrzym, że Waldhorst po prostu był w niej zakochany? Wyglądało na to, że zarówno on, jak i Numer 1 zadowolili się takim wytłumaczeniem. Sama nie bardzo w to wierzyła. Uważała, że Waldhorst ją łudzi, że czeka, aż ona popełni jakiś błąd. Przecież ktoś w kręgu znajomych Gustava Lande musiał być jego strażnikiem, tym osławionym, przeklętym lisem, przed którym ostrzegał ją Archibald Lafton, tym pozornie martwym zwierzęciem, które leży i czeka, aż ona uwierzy w jego zgon, by potem rzucić się i przegryźć jej gardło... Bo jeśli to nie Waldhorst, jeśli on jest – jak utrzymywali ci dwaj – tylko w niej zakochany, kogo innego ma się wystrzeżać? Przyjrzała się każdej z osób, które spotkała w tym towarzystwie, i nie miała żadnych podejrzeń w stosunku do którejkolwiek z nich, z wyjątkiem oczywiście tych w niemieckich mundurach.

Jeśli jednak Numer 1 z Pielgrzymem mieli rację, a inspektor kryminalny i Hauptsturmführer Waldhorst był zwykłym mężczyzną ze swoimi wadami i słabościami, który się w niej po prostu zakochał? Z jednej strony byłaby to dobra wiadomość, z drugiej niewiele jej to ułatwiało. Nic już nie było dla niej łatwe, tkwiła w tym wszystkim po same uszy i nie miała nawet siły zastanawiać się, jak z tego ująć z życiem. „I jeszcze te nudności” – pomyślała, kładąc rękę na brzuchu. Już nie miała czym wymiotować.

Zabrakłoby jej słów, żeby opisać, jak koszmarne był ten weekend. Dopiero w ostatnich dniach pojęła, że musi być w ciąży i że ojcem jest

Pielgrzym, bo Lande zawsze się zabezpieczał. To cud, że ten weekend jakoś przetrwała: sobotę spędziła nad muszlą klozetową. Na szczęście Lande był cały tydzień w Berlinie i wrócił do domu dopiero po południu, bo jakby ukryła przed nim te torsje? Jeśli dalej będzie wymiotować co rano, jej narzeczony w końcu zrozumie, co się święci. Służąca Caspersen chodziła za nią krok w krok. Za każdym razem, kiedy Agnes miała wyjść z domu, była przez nią nieomal przesłuchiwana. Z pozoru Caspersen tylko okazywała zainteresowanie, ale było jasne, że żywi w stosunku do Agnes jakieś podejrzenia.

Spojrzała na zegarek – już była spóźniona. W środy chodziła do fryzjera, a Numer 1 poprosił, żeby przy okazji zjawiała się w pewnym mieszkaniu na Kirkeveien. Raz jeszcze przywołała w pamięci nazwisko na dzwonku i hasło: „Dziś wieczorem będzie padać”.

„I jeszcze te nudności” – pomyślała, uścisnęła Cecilie i szybko zeszła na dół.

– Czy mogę spytać, dokąd się pani wybiera? – usłyszała za sobą głos, powtórzony przez echo w pustym holu.

Kilka miesięcy temu Agnes bardzo się spodobała ta nowoczesna architektura willi, ba, przypisywała nawet Gustawowi Lande pewien antyhitlerowski zamysł, bo proste linie domu, otwarte przestrzenie i światło stanowiły dla Niemców wyraźne wyzwanie, ale teraz białe i przezroczyste płaszczyzny zdały jej się chłodne i pozbawione życia. Czuła się, jakby ją zamknęto w białej trumnie ze szklanym wiekiem.

Rozluźniła palce zaciśnięte na klamce. Pod bukiem za furtką czekała taksówka, a nad drzewem wisiały ciemne chmury, z których w każdej chwili mógł spaść deszcz. Niechby spadł i zatopił wszystkich: Niemców, norweskich nazistów i zwolenników rządu londyńskiego!

– A pana Landego pyta pani, po co jeździ do miasta? – spytała, obracając się do służącej, która stała w drzwiach kuchni.

Służąca wytrzymała jej spojrzenie. Jej odrażająca, ptasia twarz budziła u Agnes żywiołową niechęć. Czaił się w niej jakiś obłąd. Uśmiezek, który miała na ustach, doprowadzał Agnes do szału.

– Wracam wieczorem – powiedziała najciszej, jak mogła.

– W tej rodzinie jest tylko jedna pani, ale ona, niestety, nie żyje!

Agnes postanowiła nie reagować. Odłożyła na półkę czerwony kapelusz i zamiast niego wzięła czarny, bo kobieta w czerwonym kapeluszu zwracałaby na siebie pewnie za dużo uwagi.

– Kim on jest? Ten drugi mężczyzna? – spytała służąca, zrobiła parę kroków w jej stronę i zaczęła ścierać kurz z komody obok niej.

Agnes spojrzała na siebie w lustrze i zobaczyła, że służąca stoi teraz za nią. Odwróciła się, napotkała jej spojrzenie i szybko uniosła rękę.

W dużym, pustym pomieszczeniu odgłos uderzenia dłonią w policzek zabrzmiał jak trzaśnięcie z bata.

Johanne Caspersen chyba nie bardzo rozumiała, co jej się przydarzyło. Zgięła się wpół i chwyciła za twarz.

Agnes zaczęła palić dłoń. Z mocno bijącym sercem spojrzała w górę, na klatkę schodową, ale na szczęście Cecilii tam nie było.

Służąca wyprostowała się ostrożnie, trzymając się wciąż za policzek. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Możesz się z tym domem już żegnać – powiedziała cicho Agnes. – Rozumiesz to? Kiedy wyjdę za Gustava, wyniesiesz się stąd.

Kiedy chwyciła za klamkę, jej dłoń drżała i piekła. Chłodny metal złagodził to uczucie, ale tylko na chwilę.

– Biedactwo – powiedziała już na progu. – Skazane na życie niezamężnej służącej...

Wydawało jej się, że każdy krok jest ostatnim. Kiedy wreszcie dotarła do furtki i z samochodu wysiadł szofer, nogi ledwo ją niosły.

Jadąc w stronę kościoła Fagerborg, musiała zagryźć policzek, żeby się nie rozplakać. Na domiar złego znów poczuła nudności i instynktownie położyła dłoń na brzuchu. Nagle wszystko pokazało się jej od jaśniejszej strony.

„Może to nie jest najgorsze wyjście?” – pomyślała potem, idąc powoli wzdłuż Kirkeveien. Kazano jej kluczyć i celowo mylić drogę, żeby upewnić się, że nie jest śledzona. „Może właśnie misja samobójcza nie jest najgorszym wyjściem?” No bo przecież wpakowała się w niewiarygodne tarapaty.

Kiedy wchodziła do sieni domu, któremu daleko było do elegancji jej kamienicy na Hammerstads gate, miała za sobą co najmniej pół godziny celowego błądzenia po okolicznych ulicach. Uznała, że tyle wystarczy, żeby stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że nikt za nią nie idzie. A zwłaszcza Peter Waldhorst. Kiedy weszła na drugie piętro, uderzyło ją po raz pierwszy, że Carl Oscar, Pielgrzym, w ogóle o nim nie wspomniał. Jak on, który był aż przesadnie ostrożny, mógł tak zaryzykować?

„Nie” – pomyślała. „Nie”. Zapukała do drzwi: dwa szybkie stuknięcia, przerwa i znów dwa szybkie. Za drzwiami dały się słyszeć szurające kroki.

Drzwi otworzył starszy mężczyzna z ciemnymi workami pod oczyma. Ubrany był nienagannie w garnitur i koszulę z krawatem, jakby przyszedł prosto z jakiegoś biura. Z twarzą pozbawioną wyrazu przyjął hasło.

Agnes była tak zmęczona i głodna, że nie była w stanie głośno mówić. Zdanie „Dziś wieczorem będzie padać” wypowiedziała szeptem.

Mężczyzna bez słowa skinął głową. W przedpokoju Agnes oparła się o framugę drzwi. Dobiegający z salonu zapach dymu z cygar spowodował, że chwyciła się dłonią za usta.

– Coś pani jest? – spytał mężczyzna nie bez współczucia w głosie.

Agnes potrząsnęła głową, opuściła rękę i zdjęła rękawiczki. Nawet zapach czarnej skóry, z której były zrobione, spowodował, że podeszła jej do gardła ta odrobina jedzenia, którą miała w żołądku.

– Toaleta – szepnęła. – Muszę do toalety.

Przeszła przez salon. Nawet nie ukłoniła się żonie mężczyzny, która siedziała na krześle z pozornie obojętną miną, trzymając w ręku robótkę. Kątem oka zauważyła Kaja Holta, który blady jak śmierć stał w progu kuchni w białym podkoszulku, ze staniem w rękach.

W toalecie odkręciła zimną wodę i klękła przed klozetem. Miała odruchy wymiotne, kapelusz omal nie wpadł jej do środka.

Holt czekał na nią w kuchni. Miał pusty wzrok, jakby wojna była już przegrana, jakby oni wszyscy byli martwi za życia.

– Źle się czujesz? – spytał, gasząc papierosa w przepelnionej popielniczce. Z powodu zaciemnienia twarz oświetlało mu tylko światło świecy. W drzwiach służbówki ukazał się Pielgrzym. Na jego widok Agnes próbowała się opanować, ale i tak poczuła uniesienie, jak bardzo młoda dziewczyna. On posłał jej szybki uśmiech; w oczach znów miał błysk, jaki pamiętała z czasów, zanim przyszła do nich wojna. Chwilę później jego twarz się ściągnęła, rysy stwardniały. Ale Agnes ten krótki moment i tak wystarczył, żeby przeżyć cały następny tydzień.

– Coś mi zaszkodziło – odparła.

Holt wstał i wskazał głową służbówkę. Pielgrzym odsunął się, pozwalając im wejść do środka. Agnes prawie zapomniwała, jak on pachnie: od ostatniego razu minęły trzy tygodnie, a kto wie, czy w ogóle będzie następny raz?

Holt zamknął za nimi drzwi i wskazał jej krzesło przy biurku. Stena położył obok siebie na łóżku. Pokoik był tak mały, że Pielgrzym też musiał tam usiąść. Na jego końcu znajdowały się drzwi, które prowadziły na kuchenne schody, wychodzące na podwórko. Agnes pomyślała, że dlatego

Numer 1 jako mieszkanie wybrał sobie właśnie tę służbówkę.

– Niezłą służącą sobie ci ludzie znaleźli – powiedziała, siadając.

Holt zaśmiał się, położył palec na ustach i usiadł na biurku obok Agnes. Nawet dziecko zgadłoby, że nie jest z nim dobrze. W świetle lampy twarz miał trupioblada, oczy podkrążone. Przesunął palcem po zasłonie na oknie i przyjrzał się kurzowi, który zebrał.

– Wyglądasz, jakbyś to ty źle się czuł – szepnęła Agnes.

– Tracimy za dużo ludzi – powiedział oschle. – A ja za wszystkich odpowiadam.

– To nie twoja wina – odezwał się z łóżka Pielgrzym.

Holt ukrył twarz w dłoniach i głowa zatrzęsała mu się w czymś, co mogło być tylko płaczem.

– Kaj... – powiedział cicho Pielgrzym.

Holt wytarł palce o podkoszulek, wstał, włożył wiszącą na krześle koszulę i wziął się w garść.

Agnes patrzyła na Pielgrzyma, który na wpół leżał na łóżku, przystojniejszy niż kiedykolwiek. „Jak ja cię kochałam” – pomyślała. „I nadal kocham. Ale gdybyś wiedział to, co ja wiem, to byś mnie zabił. Strasznie cię zawiodłam. Jak mogłam zająć w ciążę? I nie mogę ci o tym powiedzieć. W każdym razie nie teraz, może później. A może nigdy”.

– Dobra – powiedział, a właściwie wyszeptał Holt. – Agnes, Londyn cię wyznaczył. Mówiąc, że najlepiej się nadajesz, a ja ufam twojemu oficerowi prowadzącemu... który kiedyś był także moim. – Patrzył na nią spokojnym wzrokiem, jakby skądś, z sobie tylko wiadomych źródeł, zaczerpnął nowych sił. Na jego wargach błąkał się lekki uśmiezek i Agnes widziała w nim tego chłopca, którym kiedyś był: w gorącej wodzie kąpiącego, ale przede wszystkim prawego.

Agnes skinęła głową.

„Obyś smażył się w piekle” – przeklęła w duchu Christophera Bratcharda.

– Londyn postanowił, że trzeba usunąć Rolborga, dyrektora działu badawczego... I uznał, że nikt nie zrobi tego lepiej niż ty, Agnes.

– Ale jak...

Holt położył jej rękę na ramieniu.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Skinęła głową.

– Skoro tu jesteś i wiesz, gdzie się ukrywam, nie możesz się wycofać.



Rozumiesz?

Wykonał gest ręką w stronę Pielgrzyma, który przyklęknął, schylił się i obluzował dwie deski pod łóżkiem. Po chwili ostrożnie wy dobył ze skrytki dwa pakunki i podał Holtowi. Potem poczęstował Agnes angielskim papierosem, ale ona pokręciła głową. Ich oczy się spotkały. „W brzuchu” – pomyślała. „Mam cię w brzuchu”.

Holt położył pakunki na pustym blacie biurka i ostrożnie odwinął je z papieru. Zawartością pierwszego z nich był dziwny przedmiot, najwyraźniej jakiś rodzaj broni. Składał się z całkiem czarnej, trzydziestocentymetrowej metalowej rury, wyposażonej pod spodem w uchwyt – kolbę i prosty mechanizm spustowy. Wyglądał jak długi, długi tłumik.

– Pokaż mi, jak to działa – powiedział, podając jej rurę. Była dziwnie lekka, jakby nic nie ważyła.

– Nazywają to welrod – powiedział Holt prosto w jej ucho. – Jest to pierwszy i jedyny egzemplarz, jaki mamy. Dlatego też musi się to udać. – Kucnął obok niej.

Agnes tym razem nie skinęła głową. Oglądała broń przez minutę, a potem lekko przekręciła znajdujące się na jej końcu moletowane pokrętło, odciągnęła zamek, wcisnęła z powrotem, przekręciła pokrętło w odwrotną stronę, ryglując, a na koniec nacisnęła palcem twardy spust.

– Znakomicie – powiedział Holt. – Zapewne rozumiesz, że nie mamy czasu tego przestrelać. Podejź do Rolboga na pół metra i traf go w korpus. Potem przeładuj i strzel mu w głowę. Przeładuj jeszcze raz i dla pewności strzel mu drugi raz w głowę. Uważaj, żeby się nie zachłapać krwią. Jedyna droga na zewnątrz jest przez główne wejście. Zakrwawisz się, jesteś załatwiona. Pamiętaj, żeby w komorze mieć nabój. Potem musisz przeładowywać.

– Zaraz – powiedziała. – Zaraz!

Holt uśmiechnął się, potrząsnął głową i powtórzył wszystko, tym razem powoli i spokojnie.

– A huk? – spytała Agnes cicho.

– Mógłbym do ciebie strzelić, a gdyby Pielgrzym siedział w kuchni, niczego by nie usłyszał. Przemycimy to do Knabena, bo mają dość szczelną ochronę. Nie zaprzataj sobie tym głowy, mamy tam swojego człowieka. Schowamy to do zbiornika w damskiej toalecie. Odwiedzisz ją, zanim pójdziesz na rozmowę. Najpierw jednak obszuka cię strażnik, dopiero potem

pójdiesz do toalety. Musisz grać i to dobrze... I nie myśl, że nie wiem, jaki ciężar kładę ci na barki.

– Ale jak... Mam jechać do Knabena? – Potrząsnęła głową, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc. Na jaką rozmowę ma iść? Czy ma iść do głównego biura Knabena na Rosenkrantz gate?

– Opatrzność nam sprzyja – powiedział Holt, wysunął szufladę biurka i wyjął wycinek z „Aftenposten”.

Było to skromne ogłoszenie zamieszczone przez Kopalnie Molibdenu Knaben, oddział Oslo, zatytułowane *Dział badawczy poszukuje sekretarki*. Dla zainteresowanych podano godziny przyjęć na rozmowę, jedyną możliwością był następny czwartek i piątek. „Proszę zabrać stosowne dokumenty”. Niżej wymieniono wymagane kwalifikacje.

– Rozmowę przeprowadzi sam Rolborg, bo chociaż to nie jest tu napisane, sekretarka ma pracować dla niego. Tak mówi nasz człowiek.

– Nasz człowiek? – powtórzyła Agnes – A czy on nie mógłby...

– Nasz człowiek nie mógłby nikogo zabić – wyszeptał Holt. – Nawet gdybym go przekonał, że Rolborg to nie człowiek, ale nazistowski potwór, którego produkty odbiorą życie tysiącom dobrych ludzi, nic by z tego nie wyszło. Ale ty, Agnes, możesz tego drania usunąć na dobre. Tak mówi Londyn. – Położył rękę na jej ramieniu i mocno ścisnął. – Czyż nie powiedziałaś kiedyś, że chciałabyś w tej wojnie zrobić coś naprawdę istotnego?

– Musisz tę sprawę sama przemyśleć. Może zaimprovizować – odezwał się Pielgrzym. – Ja bym sugerował... – nie dokończył.

Nagle w nieoczekiwany sposób przed oczyma Agnes stanęła służąca. „Jak ja mogłam?” – pomyślała, a potem sama siebie przeklęła za takie myśli.

– Ale to zadanie to samobójstwo – powiedziała. – Mogę tam spotkać Gustava albo dyrektora administracyjnego, albo jeszcze kogoś...

Przez dłuższą chwilę milczeli.

– Nigdy nie spotkałaś Rolborga – odezwał się wreszcie Holt. – Prawda? Agnes pokręciła głową.

– Lande rzadko bywa na Rosenkrantz gate, bo ma biuro na Majorstuen, a na ogół i tam go nie ma, bo jeździ po całym kraju. Ma tyle różnych interesów, niektórych nawet większych niż Knaben, więc dlaczego niby miałabyś go spotkać akurat tego dnia?

Skinęła głową.

– Poza tym nikt cię nie rozpozna, obiecuję ci to, Agnes. Przerobimy cię

na kogoś zupełnie, ale to zupełnie innego. Będiesz blondynką z niebieskimi oczyma... – przerwał i uśmiechnął się, jakby cała ta operacja była czymś najprostszym w świecie.

– No tak – powiedziała cicho.

Holt położył jej na kolanach stos papierów. Był tam dowód tożsamości, w którym brakowało zdjęcia, zgadła więc od razu, po co na regale stoi aparat fotograficzny. Przejrzała dokumentację fikcyjnego życia, które jej wymyślili.

– Przebranie przymierzysz później, teraz zrobimy ci zdjęcie i pstryk... – Wskazał ręką dowód tożsamości.

„No tak” – pomyślała. Wszystko to wyglądało na dopracowane, da sobie z tym radę, dlaczego nie, zresztą nie miała wyboru. Przecież o to w tym wszystkim chodziło? Zerknęła na Pielgrzyma, który stał pół metra od niej.

„To dla ciebie” – pomyślała. „Dla nas, dla naszej wolności. I dla naszego...”.

Sekundę później stalowym szponem chwycił ją za pierś lęk. To wszystko było naprawdę! Nagle cała operacja wydała jej się nieprzygotowana, źle zaplanowana, na łapu-capu. Tak, jakby Holtowi zależało tylko na sprzątnięciu Rolborga, bez względu na koszty i konsekwencje.

– Z tymi papierami na pewno dostaniesz tę pracę. Przebierzesz się tutaj, tylko musisz przymierzyć. Jak chcesz, możesz tu zostać na całą noc, ważne jest, żebyś przebrała się tu przed akcją. Mamy na to całą noc, ale w tamtym dniu musisz być wyspana, rozumiesz?

Holt wyjął z paczki blond perukę, która musiała być z prawdziwych włosów, i jakieś dwa pudełeczka o nieznannej zawartości.

– A nie mógłby to być ktoś z Anglii? Przecież oni mogliby... – nie dokończyła.

– Czas – powiedział Holt z odrobiną irytacji w głosie, ale szybko się opanował i przybrał łagodny ton. – Rolborg już spowodował znaczne szkody. Lande dał mu we wszystkim wolną rękę, a jemu z kolei dał wolną rękę Seeholz... Niemcy mu całkowicie ufają, przecież o tym wiesz, i pewnie nikt w tym kraju poza samym Rolborgiem nie wie, gdzie są te pokłady molibdenu. Bez niego będą musieli przekopać całe Hurdal, żeby je znaleźć.

– Oni się zorientują – powiedziała, głaszcząc welroda. – Niewiele osób o nim wie. O Rolborgu, znaczy się.

Holt znów położył jej rękę na ramieniu.

– Nie rozumiesz, że jesteś jedyną osobą, która może się z nim spotkać? Inaczej ryzykowalibyśmy utratę wszystkich, których mamy. Jedyne miejsce, gdzie go nie pilnują, to gabinet w biurach Knabena. Jesteś kobietą, a nikt nie

podejrzewa kobiet o to, że do czegokolwiek mogą strzelić!

– No tak – powiedziała tak cicho, że ledwo sama usłyszała swój głos. Tak, jakby jej zostały tylko dwa słowa: „No tak”.

Holt wziął jej twarz w dłonie. Były nerwowe, spocone i pachniały tytoniem.

– Liczę na ciebie, Agnes, bo wiem, że jesteś na coś takiego przygotowana.

Raz jeszcze skinęła głową i zamknęła oczy. Przed oczyma znów pojawiła się jej ta okropna twarz służącej, a w uszach usłyszała kłaśnięcie jak strzał z bata.

## **Czwartek, 19 czerwca 2003**

*Gustav Freytag Strasse*

*Berlin*

Peter Waldhorst odłożył sztućce na talerz i wyciągnął rękę po kartkę, którą podał mu Tommy Bergmann. Była to kopia skanu fotografii z wieczoru świętojańskiego 1942 roku, przysłanego mu e-mailem przez Finna Nystrøma. Z kieszeni na piersi swojej koszuli z krótkim rękawem Niemiec wyjął okulary.

Przez chwilę Tommy przyglądał się staremu człowiekowi po drugiej stronie stołu, patrzącemu bez słowa na stare zdjęcie.

– Pan znał kobietę, która siedzi po prawej stronie, to znaczy Agnes Gerner – odezwał się w końcu.

Waldhorst nie odpowiedział od razu. Zaciskał kartkę w palcach tak mocno, że zbieleły mu paznokcie.

– Naprawdę byłem kiedyś taki młody? – mruknął do siebie.

Tommy czekał. Waldhorst nie wydawał się zbyt chętny do współpracy, więc Tommy zaczął wątpić w celowość całej tej wyprawy.

– Sądząc z pańskiego spojrzenia, znał pan ją bardzo dobrze? – spróbował znowu.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Niemiec, nie podnosząc wzroku.

– Wygląda pan tam... na zakochanego.

Waldhorst spojrzał na niego z łagodnym uśmiechem, a Tommy łatwo mógł go sobie wyobrazić jako niewinnego chłopca, którym kiedyś był.

– Wyciąga pan daleko idące wnioski, panie Bergmann – oznajmił.

– Ale tę sprawę pan pamięta? Tych trzech zaginionych?

– Za dużo z tej sprawy nie pamiętam – odparł Niemiec z wahaniem. –

Byłem wtedy w Abwehrze, a to była sprawa dla policji. Niech pan pamięta, że w czasie wojny wiele się dzieje, i o trójce zaginionych osób szybko się zapomina. Stają się statystyką i tyle.

– A dlaczego przeszedł pan do gestapo? I to miesiąc po tym, jak je zabito?

Waldhorst zdjął okulary, podniósł do warg, dmuchnął na szkła, a potem dokładnie wytarł je połą koszuli. Nie dał żadnego znaku, który wskazywałby na to, że odpowie na to pytanie. Zamiast tego zapatrzył się na jezioro, jakby jego widok mógł mu dostarczyć nowych doznań albo chociaż odpowiedzi na pytanie Bergmanna. Cichy szum dobiegający z autostrady leżącej po jego

drugiej stronie był tylko tłem dla świergotu ptaków w drzewach między domem a jeziorem.

– Wiem, jak fatalnie to zabrzmiało, ale... gestapo było dla mnie w tamtym czasie dobrym miejscem. Abwehra już w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim była na równi pochyłej. Może pan o tym słyszał... O Canarisie? Więc właśnie...

– Słyszałem – powiedział Tommy.

– Chciałem przeżyć, rozumie pan?

Tommy nie skomentował tego.

– Na wojnie tylko o to chodzi, żeby przetrwać – ciągnął Waldhorst. – Jak się już zacznie, nie istnieje nic innego, tylko walka o przeżycie.

– Agnes Gerner nie przeżyła. Ani Cecilia Lande. Ani ta służąca.

– Nie, one nie przeżyły – zgodził się Niemiec.

– Kto je zabił? – spytał Tommy.

– Czy... pan sam nie powiedział, że to Carl Oscar Krogh?

Waldhorst zrobił gest w kierunku policjanta, a on zastanawiał się, czy Waldhorst kogoś zabił osobiście, czy ta jego ręka pozbawiła kogoś życia. „Na pewno” – pomyślał. „Zabijał sam, a innych posyłał na śmierć”.

– Bo przecież uważacie, że to Krogh, prawda?

– Prawda – odparł Tommy. – Ale coś mi się tu nie zgadza: Gerner nie była żadną nazistką, w takim razie więc wyrok wykonano by omyłkowo.

Waldhorst skinął głową. Tommy nie chciał mu na razie mówić o wszystkim, bo Niemiec i tak nie potwierdziłby teorii Faalunda o tym, że Krogh był podwójnym agentem.

– Mogła to być pomyłka – powiedział były gestapowiec. – Ale to by się wciąż zgadzało, Krogh mógł ją sprzątnąć, a wy możecie być na właściwym tropie.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał.

Waldhorst raz jeszcze przyjrzał się kopii zdjęcia i wyglądało na to, że przypomina sobie nazwiska obecnych na fotografii, bo jego wargi się poruszały.

– Co pan powiedział Holtowi w Lillehammer? – spytał nagle Tommy.

– A jak się panu wydaje? – odpowiedział pytaniem na pytanie Niemiec, nie podnosząc wzroku. Widać było, że identyfikacja obecnych na zdjęciu osób sprawia mu trudności. Zdjął okulary i złożył je, ale kartkę z wydrukiem fotografii zostawił sobie na kolanach.

– Nie może mi pan tak po prostu powiedzieć? – spytał Tommy

zniecierpliwiony. – Bo było to coś, przez co on w Sztokholmie trzy dni później stracił życie.

Gdy Waldhorst nalewał Tommy'emu kawę, drżała mu ręka. Nalał potem i sobie, ani razu nie patrząc na gościa. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby był tam sam. Siedział, martwo wpatrując się w jakiś punkt na ścianie.

– Cokolwiek by to było, to, o czym rozmawiałem z Holtem, zabiorę ze sobą do grobu – odezwał się w końcu. – I proszę mi uwierzyć, nie będzie to najgorsza z tych rzeczy, które ze sobą zabiorę...

– Powiedział mu pan, że to Carl Oscar Krogh zabił tę trójkę.

Waldhorst roześmiał się cicho. Nie było w tym pogardy, ale lekka rezygnacja, jakby Tommy był dzieckiem, które zadało banalne pytanie, z góry znając odpowiedź.

– Nie będę kłamał, panie Bergmann. Kłamstwo ma krótkie nogi i prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Kłamstwo zawsze się zemści, będzie dusić kłamcę powoli, nawet w moim wieku. O jednym mogę pana zapewnić: mimo że rozmawiałem z Holtem o sprawie wielkiej wagi, nie dotyczyła ona tej trójki. Chodziło o coś zupełnie, zupełnie innego.

– I to niby nie jest kłamstwo?

Waldhorst wygiął wargi w grymasie, a Tommy nie wiedział, czy to uśmiech, czy szyderstwo.

– Nie, to nie kłamstwo, panie Bergmann. – Wziął łyżeczkę i pomieszał kawę w filiżance. – A Holt odebrał sobie życie, czyż nie?

– Raczej go zabili – odparł Tommy. – Tak też uznał wtedy śledczy... Jego też zresztą zabito.

– No cóż, może pan sobie myśleć, co pan chce, ale ja nic więcej nie wiem – westchnął Waldhorst. – W noc śmierci Holta wyciągnięto mnie z celi w Lillehammer. A może było to poprzedniej nocy... nie pamiętam już. – Waldhorst uśmiechnął się smutno. – A tydzień później przyjęto mnie do pracy w biurze OSS <sup>1</sup> we Frankfurcie. Sądzę, że moje papiery zostały zniszczone.

– A pomiędzy tym?

– Zabrali mnie do Sztokholmu.

– Do Sztokholmu?

– Tak. Potem przenieśli na rok do Frankfurtu, a potem do Langley <sup>2</sup>.

– Więc pan był w Sztokholmie trzydziestego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego?

Waldhorst uśmiechnął się z rezygnacją.

– Ma pan bujną wyobraźnię, panie Bergmann. Czy opowiadałbym panu, że byłem w Sztokholmie w noc śmierci Holta, gdybym to ja go zabił? A niby jak miałbym to zrobić? Byłem więźniem, nie rozumie pan? Bez dokumentów, bez przeszłości, może też i bez przyszłości. Bez strażników nie mogłem nawet iść do toalety!

– A skąd pan wie, że zmarł w nocy? I że go jednak zabito? Waldhorst na moment znieruchomiał.

– Gazety, panie Bergmann, gazety! Czyż pan sam mi nie wyjawiał, że go zabito?

Tommy nie bardzo wiedział, co teraz ma powiedzieć. Waldhorst zbijał go z tropu za każdym razem, kiedy otwierał usta.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Obaj patrzyli na samolot Lufthansy, który niemal bezszelestnie opadał w stronę lotniska Tegel, leżącego po drugiej stronie jeziora.

– Wiedział pan, że Holt miał córkę? – spytał Tommy.

Waldhorst kiwnął głową, wstał nagle z krzesła i ruszył w drugi koniec werandy.

– Powiedział mi o tym w Lillehammer... – wymamrotał do siebie raczej niż do Tommy'ego. – To były jego słowa: „Czyż wszyscy nie mamy małych córeczek?”. – Przy balustradzie zatrzymał się, nagle wyglądał starzej, niż zanim zrobił te kilka kroków. Jego prawie dziewięćdziesięcioletnie ciało zgięło się nad kwiatami, ruchy, które wykonywały jego ręce, były powolne, jakby niechętne, jakby ręce miały już ochotę zeszywnieć na dobre. Nic nie mówiąc, z kwiatów zwisających z żelaznych skrzyń starannie oderwał kilka zwiędłych liści.

– Czy pan ją kiedyś spotkał? – spytał Tommy.

– A dlaczego pan o to pyta?

– Bo myślę, że to ona zabiła Krogha.

Waldhorst znieruchomiał na moment. Wyglądało na to, że intensywnie myśli. A potem powrócił do roli ogrodnika: skrzynia za skrzynią przesunął palcami po roślinach. Były w nich niebieskie kwiaty, których nazwy Tommy nie pamiętał.

– Nie – odezwał się wreszcie. – Jej nigdy nie spotkałem.

Tommy nic nie powiedział. Vera Holt mogła się wszystkiego dowiedzieć w jakiś inny sposób. Przez chwilę chciał skonfrontować Waldhorsta z tym, co powiedział mu Faalund, że Krogh pracował dla hitlerowców, ale uznał, że nie jest to dobry moment. Zdawał sobie sprawę, że dawny oficer wywiadu i tak



nie powiedziałby mu prawdy.

– Ta trójka... Agnes, dziecko i ta służąca... – zaczął Waldhorst. – Jak je znaleziono?

– Przypadkowo – odparł Tommy.

– Otóż to – stwierdził Niemiec. – Przez te lata nauczyłem się jednego: przypadek to nic innego, tylko przeznaczenie. A przeznaczenie to nic innego, tylko przypadek.

Z tyłu za Tommym otworzyły się drzwi. Obrócił się i zobaczył turecką gospodynię w fartuszkach w niebieską kratę.

Przeprosiła i po niemiecku powiedziała do Waldhorsta coś o czasie. I że czeka taksówka.

Waldhorst skinął głową i oddalił ją ruchem ręki.

– Zapomniałem panu wczoraj powiedzieć... – zaczął. – Muszę pana bardzo przeprosić. Chciałbym zobaczyć moją żonę, zanim skończy się czas odwiedzin. W tym wieku trudno powiedzieć, ile nam jeszcze zostało wspólnego czasu...

– Pańska żona jest chora? – spytał Tommy.

– Tak... Ale pan może tu zostać i poczekać, wrócę za godzinę, może półtorej. Niech pan zostanie na obiad, jeśli pan chce. – Rozłożył ręce i uśmiechnął się tak szeroko, że Tommy niemal mu uwierzył.

– Dziękuję, ale nie mogę, spieszę się na samolot.

– Aha. No to mogę pana kawałek podwieźć, bo ona leży w klinice Czerwonego Krzyża, a to jest po drodze na Tegel. Chyba że pan leci z tego okropnego Schönefeld?

– Z Tegel – powiedział Tommy, mimo że wcale nie była to prawda.

– No to ruszajmy.

Tommy przeszedł przez mieszkanie tą samą drogą, która tu wszedł, tyle że w odwrotnej kolejności.

„Na ścianach tylko obrazy” – pomyślał. „A jedyne zdjęcia to zdjęcia dzieci i wnuków”. Coś mu jednak powiedziało, że nie są to dzieci jego żony.

W holu zatrzymał się na marmurowej podłodze przykrytej ogromnym perskim dywanem. Na ścianie między drzwiami do salonów wisiało podłużne lustro. Tommy stanął przed nim i przyjrzał się sobie. Za swoimi plecami widział Waldhorsta, który przyglądał mu się, stojąc w drzwiach wyjściowych. Tommy spojrzął na schody wiodące na piętro.

– Coś nie tak? – spytał Waldhorst z za jego pleców. W jednej ręce trzymał opakowaną w celofan różę, w drugiej małą paczuszkę w kolorowym

papierze.

„Właśnie” – pomyślał Tommy, ale nie potrafił stwierdzić, co to jest.

– Macie państwo dzieci? – spytał. – Wnuki?

– Dzieci są z mojego pierwszego małżeństwa – odparł Niemiec.

Tommy skinął głową i wyszedł przed dom. Na zewnątrz upał był prawie nie do wytrzymania.

– Nie... – powiedział Waldhorst jakby w zamyśleniu, kiedy wsiedli do taksówki. – Dla mnie i Gretchen na dzieci było już za późno...

Tommy zatopił się wygodnie w siedzeniu i na moment przestał myśleć o tym, co opowiada mu siedzący obok mężczyzna.

---

1. OSS, Office of Strategic Services (Biuro Służb Strategicznych) – amerykańska agencja wywiadowcza działająca w latach 1942-1946, poprzedniczka CIA. [\[wróć\]](#)
2. Langley – siedziba CIA w stanie Wirginia. [\[wróć\]](#)

## ***Piątek, 25 września 1942***

*Kirkeveien*

*Oslo*

Agnes Gerner owinęła się ciasniej beżowym płaszczem, spojrzała w lewo, potem w prawo, a potem znów w lewo i przeszła Middelthuns gate w stronę Kirkeveien. Nie wiedziała, dlaczego tak się rozgląda, bo w mieście i tak nie było żadnego ruchu. Stwierdziła jednak, że jeśli ma dziś zginąć, na pewno nie będzie to na masce BMW jakiegoś nazisty albo pod kołami niemieckiej ciężarówki wypełnionej żołnierzami.

W drzwiach mieszkania na Kirkeveien przywitała ją ta sama pomarszczona twarz, co poprzednio. Stary poprowadził ją przez pokoje bez słowa, szurając znoszonymi pantoflami. W kuchni wykonał ledwo widoczny gest w stronę służbówki.

Pokoik był wysprzątnany i opuszczony, nie było tam śladu ani po Numerze 1, ani po Pielgrzymie. O tym, że ktoś tu mieszkał, świadczył jedynie zestarzały zapach dymu z papierosów. Agnes zapaliła światło, bo mimo wyjątkowo jasnego poranka, z powodu zaciemnienia niewiele było widać. W szafie znalazła to, czego szukała. Szybko przebrała się w niebieski kostium, a potem z brązowej plastikowej torby wyjęła metalową kasetkę i podniosła jej wieczko. W środku były prawie niewidoczne szkła kontaktowe. Strach opanował ją dopiero, gdy zakładała drugie z nich, równie twarde i bolesne jak pierwsze. Przysunęła palec do oka i patrzyła tępo w lustro stojące na stole przy oknie. Palec jednak nie chciał przysunąć się do źrenicy bliżej niż na pięć centymetrów. Zaczęła się trząść. Spróbowała raz jeszcze, ale trzęsła się tak, że założenie szkła okazało się niemożliwe. Jednocześnie szarpnęły nią torsje.

Przez kilka minut siedziała, patrząc na siebie, z jednym okiem niebieskim, a drugim brązowym. W końcu z kuchni dobiegło ją szuranie. „Muszę wziąć się w garść” – pomyślała. „Tak nie może być!”

Szuranie ustało gdzieś za jej plecami – to stary wszedł do pokoiku. Agnes nie odwróciła się. Pachniał tak, jak często starzy mężczyźni: alkoholem i tytoniem fajkowym. Prawdopodobnie spał całą noc w fotelu. Położył rękę na jej ramieniu.

– Wszyscy ci dziękujemy – odezwał się. – Kiedy to się wreszcie skończy. – I zdjął rękę z jej ramienia.

Z głębi mieszkania dobiegł ją odgłos spuszczonej wody – musiała zatem wstać jego żona.

Agnes zamknęła oczy i pokiwała głową.

Stary odwrócił się i szurając, poszedł tam, skąd przyszedł, a Agnes przestały drzeć ręce. Pewnym ruchem założyła szkło na drugie oko. „No” – pomyślała. „Mam dwoje niebieskich oczu”. Uznała, że z tymi szklami kontaktowymi to czysty paradoks. Pielgrzym opowiedział jej, że to właściwie niemiecki wynalazek, wprowadzony w amerykańskim przemyśle filmowym przy przejściu na kolor. „Teraz Niemcy posmakują swojego własnego lekarstwa” – pomyślała.

Następną czynnością było wysmarowanie włosów wazeliną i upięcie ich spinkami. Z blond peruką pomógł jej stary. Robił to niezwykle zręcznie i Agnes pomyślała, że zwerbował go dla Numeru 1 pewnie sam Helge K. Moen.

– Nie spadnie, chyba że za trzydzieści lat – powiedział i poszedł do kuchni, by po chwili wrócić z butelką lakieru. Wprawnymi ruchami spryskał perukę.

Agnes przesunęła dłonią po blond lokach spływających jej na ramiona. Nie było żadnych wątpliwości – perukę zrobiono z delikatnych, naturalnych włosów. Widok w lustrze przyprawił ją o dreszcze – to nie była ona. Włożyła jeszcze na nos rogowe okulary i obejrzała się dokładnie z lewej, a potem z prawej strony.

„To nie ja” – pomyślała, otworzyła torebkę i wyjęła ampułkę z cyjankiem. Przez moment trzymała ją pod światłem żarówki na suficie, patrząc na opalizującą, granatową zawartość. Czyż nie tak to było, że człowiek widzi światło, gdy ucieka z niego życie?

W toalecie zapakowała ampułkę w sztywny papier toaletowy, na którym wciąż odczytać można było fragmenty gazetowych nagłówków, i włożyła sobie pakuneczek do majtek. Sztywny papier ugniatał ją w podbrzusze, co spowodowało na nią torsje. Pochylając się nad klozetem, przytrzymała perukę.

„Stary miał rację” – pomyślała, przepłukując usta wodą. „Ta peruka w życiu nie spadnie”. Czyszcząc palce szczoteczką i bardzo uważając, żeby nie zachłapać niebieskiego kostiumu, raz jeszcze przyjrzała się obcej twarzy w lustrze. Uśmiechnęła się i to ją przeraziło jeszcze bardziej.

Zaczęła ją boleć prawa dłoń, ale pomyślała, że to bóle fantomowe. Myśli o służącej nie dawały jej spokoju. Każdego dnia, w każdej godzinie spędzonej u Gustava Lande prześladowało ją świdrujące spojrzenie jej oczu. Agnes przyjrzała się swojej dłoni, czując, jakby ją wciąż paliła. A wkrótce ta sama dłoń odbierze pewnemu człowiekowi życie...

Mimo to była opanowana, całkowicie opanowana. Pomyślała, że wszystko jest absolutnie tak, jak trzeba. Opłukała i wytarła ręce, i przez moment poczuła spokój, jakiego nie zaznała nigdy przedtem. Było tak, jakby to naprawdę nie ona stała w tej ciasnej toalecie na Kirkeveien. W pewnym sensie była już martwa, umarła dawno temu, może wtedy, gdy odszedł jej ojciec, a może nawet wcześniej. Gdyby miała dziś umrzeć, byłoby jej żal opuścić tylko dwoje ludzi na tym świecie – Pielgrzyma i Cecilie, nikogo więcej. Nawet nie to, co sprawiało, że każdego ranka wymiotuje. Dla dziecka nie było przecież żadnej przyszłości. Tak więc tylko Carla Oscara i Cecilie. Ale nawet tych dwoje mogła zapomnieć, wymazać z pamięci. Byle tylko jej nie torturowali, to wszystko się dobrze skończy.

W milczeniu zamieniła ze starym dokumenty. Popatrzył na nią przez moment i skinął głową. Agnes już miała powiedzieć: „Niech pan je dla mnie przechowa”, ale zrezygnowała. Może tak było lepiej? Przewiesiła przez ramię niebieski płaszcz.

Schodząc po schodach, powtórzyła sobie w pamięci wszystko. Iść jak najszybciej do toalety, do pierwszej kabiny od lewej. Stać na desce klozetowej. A jeżeli ktoś wejdzie? Nie, wtedy po prostu ona wyjdzie. „Byle szybko” – pomyślała. Welrod zapakowany był w szczelną folię. A jeżeli nie zadziała? Cóż, będzie musiała go nim uderzyć i zabić. Albo znajdzie coś lepszego, szybko, zanim on zacznie krzyczeć. Postanowiła rozejrzeć się na biurku Rolborga za nożem do listów.

Z lewej strony ostro świeciło słońce, wiatr igrał z liśćmi w rynsztoku, gdzieś za nią rozległ się radosny wrzask dzieci. Agnes wiedziała, że go zabije bez względu na wszystko, i to było w tym wszystkim najgorsze.

Nagle znalazła się na głównym skrzyżowaniu w Majorstua i zobaczyła schodki, na których po raz pierwszy spotkała Kaja Holta.

Rozglądając się za tramwajem, który mógłby zabrać ją do centrum, powtarzała sobie w myśli: „Zabiję cię bez względu na to, co się wydarzy”.

## **Czwartek, 19 czerwca 2003**

*Klinika DRK Westend*

*Berlin*

– Mówi pan dobrze po norwesku – odezwał się Tommy Bergmann, przyglądając się pałacom w dzielnicy, podczas gdy kierowca skręcił na skrzyżowaniu. „Aż za dobrze” – pomyślał. Ten człowiek mówił po norwesku tak, jakby od czasów wojny nie robił nic innego.

– Dziękuję – powiedział Peter Waldhorst.

– Muszę powiedzieć, że to niewiarygodne, zważywszy na to, jak dawno stacjonował pan w Norwegii...

Waldhorst zerknął na zegarek.

– Mówię siedmioma językami, panie Bergmann. Norweski jest z tych łatwiejszych, bo to język germański, jak mój własny.

– Więc pana żona nie jest Norweżką?

Waldhorst potrząsnął głową.

– Jest Szwedką. Moja Gretchen to Szwedka, panie Bergmann. Po szwedzku też mówię, jeśli to pana interesuje. – Zaśmiał się cicho, jak gdyby cała ta rozmowa o jego norweskim bardzo go bawiła.

– Rozumiem. – Tommy nagle poczuł, że coś mu się w głowie układa w całość, jak dwa brakujące klocki.

Jeśli żona rozmawia z nim po szwedzku, tłumaczyłoby to jego dobry norweski. Poczuł coś w rodzaju ulgi. Chciał Waldhorsta na czymś złapać, ale wzmianka o szwedzkiej żonie w jakiś sposób go uspokoiła. Jednocześnie jednak skierowała jego myśli na inną kobietę, na Verę Holt, która przebywała teraz w innej rzeczywistości, na oddziale psychiatrycznym szpitala Ullevål.

– Z tego, co pan przed chwilą powiedział, wynikałoby, że pragnął pan mieć dzieci? Z drugą żoną?

Waldhorst obrócił się ku niemu.

– Czasami pana wnioski daleko idą, panie Bergmann.

Tommy nic nie powiedział, pokiwał tylko głową, bo Waldhorst miał trochę racji.

– Ale kto mówi, że nie mam dzieci? Moje dzieci i moja pierwsza żona mieszkają w USA. Dokładniej mówiąc, moja żona mieszkała w USA, świeć Panie nad jej duszą. To dla mnie smutna sprawa, że jest tam pochowana, w Wirginii, dziewiczej kolonii Anglików... Zamiast spoczywać tutaj, w swoim rodzinnym mieście. – Waldhorst zrobił nieokreślony gest w kierunku przedniej szyby, jakby to mogło ułatwić Tommy'emu

zrozumienie.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Opuścili tymczasem Grunewald i wjechali w coś, co bardziej przypominało centrum. Stał tam kwartał za kwartałem białych kamienic, najwyraźniej była to jakaś zamożna dzielnica.

– Moje własne dzieci odwróciły się ode mnie – powiedział nagle Waldhorst. – Moja pierwsza żona i ja zostaliśmy naturalizowanymi Amerykanami. Wiele lat po tym, jak się rozwiedliśmy, tuż przed przejściem na emeryturę, powiedziałem w zaufaniu mojemu synowi i mojej córce prawdę. Że nie przybyłem do Ameryki jako uciekinier w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, ale że w czasie wojny byłem niemieckim oficerem. I to oficerem gestapo. I wtedy mnie odtrącili. Jakbym dla nich umarł.

Tommy wyprostował się. Uczucie ulgi zniknęło. Zamiast tego pojawiło się uczucie, że został wprowadzony w błąd, tak jak przedtem dzieci Waldhorsta. Albo i nie został. Coraz mniej z tej sprawy rozumiał.

– Czy był pan w Hitlerjugend? – spytał.

Waldhorst właśnie wdał się w rozmowę z szoferem na temat trasy, jaką ów wybrał. Tommy już miał zadać pytanie po raz drugi, ale Niemiec najwyraźniej dobrze je usłyszał.

– A dlaczego pan pyta?

– Tak sobie.

Waldhorst zamyślił się.

– Nie musi pan odpowiadać, jeśli pan nie chce.

– Nie – powiedział Niemiec. – Nigdy nie byłem w Hitlerjugend. Mój ojciec nie był zagorzałym hitlerowcem, jakoś mnie do tego zniechęcił, a mówimy tu o czasach, kiedy nie było to jeszcze obowiązkowe. Kiedy zostałem gestapowcem, pewnie przewrócił się w grobie...

– Do czegoś się panu przyznam – powiedział nagle Tommy, patrząc przez okno na miasto, które, jak już wiedział, na zawsze pozostanie dla niego zagadką. Parę godzin wcześniej miał jakieś wrażenie, ale teraz gdzieś znikło. Teraz wyglądało mu tak, jakby było przygniecione smutkiem, którego nigdy się nie pozbędzie. – Zacząłem mianowicie wątpić, czy to Krogh zabił tę trójkę.

– Naprawdę?

– A jeśli nie wiem, kto zabił Gerner, Cecilię i służącą, nie wiem też, kto zabił Carla Oscara Krogha. Bo wtedy nie może to być Vera Holt.

Waldhorst skinął głową.

– Więc dlaczego wcześniej był pan taki pewny tego powiązania?

– Ponieważ Krogha zabito zaraz po tym, jak znaleziono tę trójkę, i ponieważ on w ruchu oporu był pewnie tym, kto wykonał największą liczbę wyroków. Wydaje mi się, że znalezienie Gerner i dwóch pozostałych wyzwoliło coś w mordercy czy morderczynie. Furię. Wściekłość na Krogha. A Vera Holt... już wcześniej kogoś zabiła.

– Furię – powiedział Waldhorst do siebie.

Popatrzył na Tommy'ego, jego wargi się rozwarły. Były sine, spękane, suche, ale jednocześnie wilgotne. Z jego oczu wзираł smutek, jakby pokrywała je na stałe warstwa łez. Wyglądał, jakby miał się rozkleić, kiedy tylko policjant zniknie mu z oczu. Nagle opanował się i odwrócił twarz w stronę okna.

Tommy'ego zdziwiło, że chwycił się akurat słowa „furia”. Postanowił wspomnieć coś, co nie dawało mu spokoju od momentu, kiedy przeczytał o tym w Bibliotece Narodowej.

– Czy to Agnes Gerner zabiła kierownika działu badawczego fabryki molibdenu?

– O czym pan mówi? – zdziwił się Waldhorst.

Tommy tylko westchnął, patrząc na współpasażera.

– Panie Waldhorst... Pan jest starym oficerem służby bezpieczeństwa i wywiadu – zaczął. – I to na tyle skutecznym, że Amerykanie zdecydowali się wywieźć pana po wojnie z Norwegii. Tacy oficerowie nie zapominają swoich dawnych spraw. Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku zabito dyrektora Torfinna Rolborga w jego biurze na Rosenkrantz gate. Według Komisariatu Rzeszy był to akt terroru. O ile się zorientowałem, spowodowało to wściekłe polowanie na ludzi.

– No i?

– Taki ktoś jak pan od razu wie, o czym mówię.

Z plecaka utrzymanego między kolanami Tommy wyjął tekturową teczkę, a z niej wypis z „Aftenposten” z jesieni 1942 roku. List gończy za kobietą o blond włosach.

Waldhorst nawet nie spojrzał na papiery, potrząsnął tylko głową.

– Agnes Gerner nie była blondynką!

– Więc jednak pan sobie przypomniał... – stwierdził oschle Tommy.

– Niech mi pan wierzy, ta kobieta, panna Gerner, była nazistką. Gdyby była kimś innym, ja bym o tym na pewno wiedział!

– A skąd niby by pan wiedział?



Waldhorst cmoknął zniecierpliwiony. Wyglądał na bardzo zmęczonego, jakby w jego wieku lekkomyślnością było tyle grać przed południem w tenisa.

– Bo to moim zadaniem było ją rozpracować.

Tommy usiadł wygodniej.

– Mój przełożony przydzielił mnie do Gustava Lande, kiedy nasz wywiad doniósł o kobiecie, w dodatku pół-Angielce, w której on jakoby się zakochał. Miałem ją przeświecić.

– I? – spytał Tommy.

– Była czysta.

– Aha. – Tommy nie miał nic więcej do powiedzenia, bo temu stwierdzeniu mógł przeciwstawić tylko teorię Faalunda o tym, że Gerner nie była nazistką.

Taksówkarz włączył kierunkowskaz i zjechał w prawo naprzeciw wielkiego, starego budynku z czerwonej cegły, oplecionego dzikim winem. Tommy wyobraził sobie, że to prywatna klinika dla bogatych – samochody na parkingu były tam zdecydowanie z wyższej półki. Co prawda znajdował się w Berlinie, gdzie wszystkie samochody wydawały się o klasę wyżej niż w Oslo, ale tylu naraz luksusowych modeli BMW i mercedesów jeszcze w życiu nie widział.

– Przez jakiś czas sądziłem, że wpadliście na jej trop, zdemaskowaliście ją i zabili – powiedział Tommy.

Waldhorst potrząsnął głową, wyłowił z portfela banknot i podał szoferowi. Tommy’emu wydało się jednak, że dostrzega pewną zmianę w mowie jego ciała: przez moment jakby zeszywniał, jak zwierzę złapane w światło reflektorów samochodu. Po chwili jednak się opanował.

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować, panie Bergmann. Gdybyśmy uznali, że jest terrorystką, wtedy byśmy ją aresztowali, a nie zabijali gdzieś w lesie, nie uważa pan?

Z pewną trudnością Waldhorst wysiadł z samochodu, zanim szofer zdążył pospieszyć mu z pomocą. Tommy także wysiadł, żeby się ze swoim rozmówcą pożegnać. Waldhorst stał, prostując się po długiej jeździe samochodem. Z kieszeni popelinowej wiatrówki, którą mimo upału włożył, wyjął grzebień i zaczesał do tyłu siwe włosy. Przez chwilę patrzył na stojący po drugiej stronie ulicy budynek. Tommy także się odwrócił i popatrzył na jego okna, ale odbicie w szybie nie pozwalało dojrzeć, czy ktoś ich stamtąd obserwuje.

– Jest poważnie chora? – spytał.

– W naszym wieku wszystkie choroby są poważne, panie Bergmann. Dlatego staram się poświęcić jej jak najwięcej uwagi tu i teraz. – Wskazał głową na różę i paczuszkę w swoim ręku.

– Kiedy się poznaliście?

– A dlaczego pan pyta?

Tommy wzruszył ramionami. Sam tego nie wiedział.

– Kiedy w Berlinie był Kennedy i powiedział, że jest berlińczykiem, ja, prawdziwy berlińczyk, byłem w moim własnym mieście jako Amerykanin... To było okropne.

– Czyli spotkaliście się tu, w Berlinie?

Waldhorst ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

– Poznaliśmy się w hali odlotów na Tempelhof.– Popatrzył mu w oczy i skrzywił wargi jakby chciał dodać: „Tak, tak, to było całą wieczność temu”. Pokręcił głową. – No i tyle.

Odwrócił się i powiedział do szofera coś o dalszej jeździe na Tegel. Byli tak blisko lotniska, że Tommy słyszał ryk samolotowych silników na jego hamowni.

– Muszę się panu do czegoś przyznać – odezwał się nagle Tommy. – Mam dziwne uczucie, że coś przeoczyłem.

– Tak to już jest w pańskiej pracy – odparł Waldhorst – i tak było w mojej. Zawsze jest coś, co się przeoczyło. Coś prostego, zupełnie banalnego.

– Przeoczyłem coś banalnego? – upewnił się Tommy.

– Niech pan zacznie od początku i zapyta sam siebie – tu Waldhorst zrobił znaczącą pauzę – kim był Carl Oscar Krogh?

– Kim był Carl Oscar Krogh? – powtórzył Tommy.

Niemiec skinął głową.

– Pewien jestem, że odpowiedź znajduje się w tym pytaniu... Właśnie w pytaniu.

– Miał konta w Szwajcarii czy w Liechtensteinie? – spytał Tommy.

Waldhorst zrobił lekceważący ruch ręką.

Tommy zrezygnował z pytania, czy Krogh pracował dla Niemców, bo Waldhorst i tak zbyłby go byle czym.

– Pewnie odprowadził tam trochę pieniędzy ze swojej firmy, nie sądzi pan? – powiedział Waldhorst. – Niech pan nie robi z tego wielkiej sprawy, świat jest prostszy, niż nam się wydaje. – Spojrzał na zegarek. – Już późno,

panie Bergmann. Nie mam już wiele czasu do stracenia.

Wyciągnął prawą rękę do Tommy'ego, który opierał się o otwarte drzwi taksówki. Ich spojrzenia się spotkały. Oczy Niemca były teraz jak stalowy pancerz, jakby odnalazł nagle w sobie tego kogoś, kim był w Norwegii w czasie wojny. Tommy nawet nie chciał myśleć o tym, co on tam wtedy robił.

– Powodzenia – powiedział Waldhorst. – I przepraszam, że nie mogłem więcej pomóc.

– Ależ bardzo mi pan pomógł – powiedział Tommy. „Chociaż jeszcze nie wiem jak” – pomyślał.

– A w jednym miał pan rację – oznajmił nagle Waldhorst.

– Tak?

– Chodzi o... Agnes.

Tommy patrzył na niego wyczekująco. Spojrzenie Niemca nagle stało się puste.

– Kochałem ją... Chyba nigdy nie kochałem nikogo tak bardzo.

Tommy otworzył usta, ale nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Od pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłem – wyszeptał Niemiec, potem wykrzywił usta w grymasie podobnym do uśmiechu, po czym odwrócił się i powoli przeszedł na drugą stronę ulicy. Miał teraz chód kaleki. Z dziarskiego starszego pana, który kilka godzin wcześniej wrócił z partii tenisa, niewiele zostało.

Tommy stał i patrzył za Niemcem, który powoli szedł w stronę wejścia do kliniki Czerwonego Krzyża. Pomyślał, że jeśli Waldhorst się odwróci, on dowie się czegoś, czego mu dotąd nie powiedział.

Niemiec jednak się nie odwrócił i zamknęły się za nim automatyczne drzwi.

Tommy odchylił głowę do tyłu i przysłoniwszy dłonią oczy, patrzył po kolei na okna szpitala.

– *Mein Herr*, jedziemy? – spytał szofer.

„Kochałem ją” – szepnął Tommy do siebie.

## ***Piątek, 25 września 1942***

*Kopalnie Molibdenu Knaben AS*

*Rosenkrantz gate*

*Oslo*

Wysiadłszy z tramwaju, Agnes Gerner zatrzymała się na chwilę, spojrzała w dół ulicy, potem w górę. Nie było widać żadnego patrolu policji, na ulicy Karla Johana nie ustawiono żadnego punktu kontrolnego. Mężczyzna, który szedł ku niej, miał wyraźną ochotę poflirtować, ale uniknęła jego spojrzenia i nasunęła kapelusz głębiej na oczy. Niebieskie szkła były twarde i piękły w gałki oczne, jakby wysysając z nich całą wilgoć.

Doszła do rogu Rosenkrantz gate. Nie było odwrotu. Kiedy stała przed wejściem do biur Knabena, serce pod bluzką i płaszczem waliło jej tak mocno, że musiało to być dla wszystkich w jakiś sposób widoczne. W korytarzu tuż za drzwiami stał kapral Wehrmachtu uzbrojony w pistolet i szeregowiec ze schmeisserem na piersi. Znudzony kapral spytał ją o papiery. Obejrzał pobieżnie, a potem pogrzebał w jej torebce. Nie patrząc na nią, dał potem rozkaz szeregowemu, żeby ją zrewidował.

– W jakiej sprawie? – spytał, podczas gdy szeregowy nieporadnie ją obmacywał.

Agnes stłumiła w sobie nerwowość do tego stopnia, że czuła się tak, jakby Agnes Gerner nigdy nie istniała. Stojąc przed kontuarem recepcji biura Knabena w Oslo, była panną Irene Bjørnsen z Hamar, nikim innym. Nie rozglądając się po pomieszczeniu, wyłuszczyła swoją sprawę.

Echo stukotu jej wysokich obcasów na marmurowej posadzce holu zmieszało się z echem dzwoniących telefonów i ściszonych rozmów.

Recepcjonistka, pani w średnim wieku, przyglądała się Agnes przez kilka sekund sceptycznie, jakby chciała powiedzieć, że nie wystarczy ubrać się jak dziwka, żeby dostać pracę w jej firmie. Bo dyrektor Rolberg wcale nie był taki, w tej kwestii różnił się od innych mężczyzn.

– Ma pani jakieś listy polecające, świadectwa pracy?

Agnes uśmiechnęła się swoim najbardziej zniewalającym uśmiechem i wyjęła z torby kartonową teczkę.

– A dokumenty?

Agnes uśmiechnęła się raz jeszcze i położyła przed nią swoje papiery.

– Proszę pani. – Obok niej rozległ się czyjś głos.

Jakiś mężczyzna patrzył jej prosto w oczy i przez moment Agnes pomyślała, że przygląda się tym sztucznym, szklanym tęczęwkom za jej

okularami.

– Bardzo panią przepraszam, ale... – Wciąż patrzył jej prosto w oczy. Agnes uśmiechnęła się, a on zaczerwienił się po same uszy.

– Takie mam polecenie, proszę pani, zapewniam panią, że... – Nie skończył, tylko wyciągnął rękę ku jej torebce.

Dopiero teraz Agnes pojęła, że człowiek obok niej to ubrany po cywilnemu strażnik. Zrobiło jej się słabo i przez kilka sekund myślała, że za chwilę zemdleje i upadnie na marmurową posadzkę, ale on tylko zajrzał do jej torebki, nawet nie wkładając tam ręki. Przy każdym ruchu sztywny papier toaletowy gniótł ją w podbrzusze, ale tym razem nie powodowało to nudności. Kiedy po raz drugi tego dnia dostała z powrotem torebkę, była szczęśliwa. Strażnik ukłonił się jej bez słowa, tylko niepokojąco patrzył jej w oczy.

– Jest ktoś przed panią – poinformowała ją recepcjonistka. – To na górze, tamtymi schodami na lewo. Na drzwiach jest nazwisko. Proszę tam poczekać na krzesło, sekretarka pana dyrektora panią zawoła.

– Więc będzie tam sekretarka pana dyrektora? – cicho spytała Agnes.

– Tak – odparła recepcjonistka tonem, który zdradzał ogromne zdziwienie, że ktoś może zadać takie pytanie. – Naturalnie!

Agnes nie była na to przygotowana, nie pomyślała o takiej ewentualności. Żadne z nich o tym nie pomyślało. Cała ściana, którą Agnes odgradziła się od rzeczywistości, nagle zawałiła się od tego jednego słowa „naturalnie”. Nie miała nawet okazji wypróbować pistoletu, który trzeba było przeładować po każdym strzale. To co, będzie musiała zabić dwoje ludzi? „Jak to zrobić?” – zastanawiała się. „Kogo najpierw?”. Na dodatek tą drugą osobą była kobieta... „Może czyjaś matka? Pewnie nazistka” – pomyślała. Jak jej ojczym. Jak ten dyrektor.

Recepcjonistka, z głową przechyloną na bok, patrzyła na nią z niesmakiem, jakby była jakimś śmieciem.

– Przepraszam... – odezwała się Agnes, poprawiając okulary i uśmiechając się najmilej, jak umiała. – Toaleta?

Kobieta wskazała ręką na prawo i opuściła wzrok na papiery Agnes, kręcąc lekko głową. Agnes skinęła głową strażnikowi, który siedział teraz na krzesle po lewej stronie drzwi wejściowych. Z jego spojrzenia pojęła, że wcale nie patrzy na nią jakoś inaczej niż większość mężczyzn. Pewnym krokiem ruszyła do drzwi oznakowanych mosiężną tabliczką, czując jego spojrzenie na swoich plecach, a potem niżej. Kiedy chwyciła klamkę, jej ręka

nie drżała. W środku szybko się rozejrzała: nikt nie stał przed lustrem, nie było też widać niczyich stóp pod drzwiami kabin. Idąc do pierwszej kabiny od drzwi, w lustrze z lewej strony zobaczyła siebie jako niebieski cień. W środku zamknęła za sobą drzwi i stała przez chwilę odwrócona do nich plecami, czekając, aż serce zwolni swój rytm.

Kiedy był już zbliżony do normalnego, drzwi toalety nagle się otworzyły. Wstrzymała oddech, czekając, aż ten ktoś wejdzie do środka. „Strażnik” – pomyślała spanikowana. Po chwili drzwi zamknęły się, głosy z holu ucichły, a na posadzce zastukały czyjeś szpilki. Agnes przytuliła się do niebieskiej ścianki między kabinami. Usłyszała, że kroki się zatrzymują.

Nie słyszała niczego wyraźnie, trudno jej było oddzielić łomot własnego serca od innych dźwięków. Ten trzask... czy był to odgłos otwieranej torebki, czy w toalecie znajdowało się więcej osób i był to trzask odpinanej kabury? Czy to ten kapral złapał ją w pułapkę? Może kontakt Kaja Holta był zdrajcą?

Ta kobieta poruszyła się znów dopiero po mniej więcej minucie. Jej kroki oddaliły się powoli, potem trzasnęły drzwi.

Pistolet leżał tam, gdzie miał leżeć. Nie robiąc przy tym żadnego hałasu, Agnes usiadła na klapie sedesu i szybko zerwała z welroda folię. Wydawało się, że jest jej kilka metrów. Wrzuciła plastik do kosza na odpadki i przykryła zmiętym papierem toaletowym.

Przez kilka sekund przyglądała się temu niezwykle stalowemu obiektowi, modląc się, żeby w komorze tkwił nabój. Otworzyła torebkę i tak jak przewidział Kaj Holt, pistolet na długość idealnie się w niej zmieścił.

Przeżegnała się i wyszła.

**Czwartek, 19 czerwca 2003**

*Schönefeld*

*Berlin*

Lotnisko Schönefeld, położone na peryferiach dawnego Berlina Wschodniego, było małe i zapuszczone, ale Tommy Bergmann zupełnie nie zwracał na to uwagi. Wrzucając niedopałek do przepelnionej popielnicy przed halą odlotów, intensywnie myślał o czymś zupełnie innym.

W głowie wciąż dzwoniły mu ostatnie słowa Petera Waldhorsta: „Kochałem ją”.

Dlaczego on to powiedział?

Wszedł do środka i znalazł się między hordą skacowanych Anglików a ciasno objętą, zapłakaną parą. Staął, postawił torbę na posadzce i rozejrzał się dokoła. Najpierw dokładnie przestudiował tablice, na których żółtymi literami pokazane były kolejne odloty, potem popatrzył na przemierzający hol policyjny patrol. Przyjrzał się kaburze pistoletu jednego z funkcjonariuszy, a potem owczarkowi niemieckiemu, który żalonym wzrokiem spoglądał na kaganiec na swoim pysku.

Miał nieokreślone uczucie, że Waldhorst celowo zaciemnił cały obraz, postawił coś jak zasłonę dymną, przez którą nie dało się już niczego zobaczyć wyraźnie.

Zabrał swoją torbę i wyszedł z powrotem na zewnątrz.

„Kochałem ją” – po raz któryś tam powiedział do siebie Tommy. „Kochałem ją?”

Jeśli Krogh naprawdę zabił Agnes Gerner, a Waldhorst...

Drzwi otworzyły się, a Tommy usłyszał, że ktoś w hali wywołuje jego nazwisko. „Godzina” – pomyślał i spojrzął na zegarek. Jak długo siedział w tym kawiarnianym ogródku? Hadja znów do niego zadzwoniła, ale i tym razem nie odebrał.

Nagle poczuł, że te trzy czy cztery piwa, które wypił, by myśleć o czymś innym, zaczynają cisnąć mu na pęcherz. Pani przy bramce spojrzała na niego z dezaprobatą, a potem demonstracyjnie popatrzyła na zegar.

– Przepraszam – powiedział Tommy, kierując się w stronę toalet.

– Panie Bergmann! – krzyknęła za nim.

Tommy nie odwrócił się. Jeżeli nie polecą, świat się nie zawali. Może to byłby jakiś znak?

„Kochałem ją” – myślał, napełniając urynął berlińskim piwem.

Przyglądał się swojej twarzy w lustrze, kiedy zadzwoniła komórka.

Patrzył dalej w lustro: worki pod oczyma jakby się zmniejszyły, skóra też jakby nabrała trochę życia.

Po raz kolejny, zapewne ostatni, usłyszał w głośnikach swoje nazwisko.

– Co jest? – powiedział do telefonu, ignorując kompletnie panią w beżowym uniformie i idąc ku samolotowi Norwegian, który wciąż na niego czekał.

– Mamy nakaz rewizji u Very Holt.

– Nieźle – powiedział, stając w drzwiach samolotu. Nie miał już odwrotu.

– Idziemy tam jutro rano – poinformował go Fredrik Reuter.

Tommy szedł między fotelami, czerpiąc satysfakcję z niechętnych spojrzeń wszystkich siedzących w nich idiotów.

– Pójdziemy tam dziś wieczorem – spytał. – Jak tylko przylecę.

Reutera najwyraźniej zatkało.

– Wydawało mi się, że mamy mało czasu? – powiedział Tommy. Znalazł swoje miejsce, postawił torbę w przejściu wyłącznie po to, żeby zostawić kwestię jej umieszczenia i tak już zirytowanej stewardesie.

– *Boarding completed* – usłyszał w głośniku nad sobą.

– Dobra. Zadzwoń, jak wylądujesz – powiedział Reuter.

– Weź ze sobą Halgeira – odparł Tommy.

Z drugiej strony usłyszał stęknęcie. Żaden z nich nie przepadał za Halgeirem Sørvaagiem, ale był on niezastąpiony, jeśli chodziło o otwieranie zamkniętych drzwi i odnajdywanie w czasie rewizji skarbów.

– I co, spotkałeś się z tym Waldhorstem? – spytał Reuter.

Samolot już wycofał się spod rękawa i skręcał ku pasowi startowemu. Stewardesa ruszyła ku Tommy'emu ze spojrzeniem nie wróżącym niczego dobrego.

– Porozmawiamy, jak przyjadę – powiedział Tommy. – Muszę już kończyć.

– Słuchaj... – zaczął Reuter, a Tommy westchnął. – Mamy tu coś dziwnego. Może to nie jest ważne, ale...

– Czy w tej sprawie mieliśmy kiedykolwiek coś, co nie jest dziwne? – spytał z ironią Tommy.

– Dostaliśmy końcowy raport od medyków sądowych.

– Chodzi o Krogha?

– Nie, o tę trójkę z Nordmarki.

Tommy usiadł prosto.

– No i? – spytał cicho.



– To nie była służąca tam w tej trójce. To mężczyzna.

Tommy osłupiał. Jego odkryte ramiona pokryły się gęsią skórką.

– Nie służąca? – spytał. – Nie Johanne Caspersen?

– Nie. Kto wie, ona może wciąż żyje...

Zamilkli obaj, bo żaden nie wiedział, co teraz powiedzieć.

Tommy wyłączył komórkę i położył na kolanach. Kiedy samolot zaczął się rozpędzać na pasie, oparł głowę na podglówku. Był wyczerpany. Reuter dał do zrozumienia, że w Nordmarce znaleziono dwie kobiety i mężczyznę, więc służąca musiała jakoś uciec. Ciekawe jak?

Wiedziony niewytłumaczalnym odruchem sięgnął do kieszeni i wyjął kopię zdjęcia, na którym Waldhorst i Agnes Gerner siedzą po dwóch stronach stołu w wieczór świętojański 1942 roku. A obok Gerner siedzi ciemnowłosa mężczyzna, dziesięć lat od niej starszy: Gustav Lande.

Lande! To on był mężczyzną na fotografii w domu Waldhorsta! Mężczyzną na skale, z kobietą w zaawansowanej ciąży, zapewne swoją żoną. W ciąży z zamordowaną dziewczynką...

„Ale dlaczego?” – zastanawiał się Tommy, podczas gdy samolot oderwał się od ziemi. „Dlaczego Waldhorst ma w domu zdjęcie Gustava Lande i jego ciężarnej żony?”

## CZEŚĆ 4

**Piątek, 25 września 1942**

*Kopalnie Molibdenu Knaben AS*

*Rosenkrantz gate*

*Oslo*

Jej spojrzenie zatrzymało się na odwrotnej stronie dwóch ramek z fotografiami. Cóż mężczyzna z takim gabinetem mógł mieć na biurku, jeśli nie zdjęcie żony i dzieci?

Agnes Gerner przeklinała się za to, że dopuściła do siebie tę myśl. Ostrożnie poprawiała się na krześle stojącym naprzeciw biurka. Papier toaletowy w majtkach gniótł ją, jakby był z blachy. Skrzywiła się i szybko pokryła grymas bólu uśmiechem.

Obok niej na takim samym krześle siedziała sekretarka dyrektora. Ściskając mocno torebkę, Agnes skierowała teraz spojrzenie na tę kobietę.

– No właśnie, będziemy ewentualnie razem pracować, ja będę pani przełożoną – odezwała się sekretarka nieco niepewnym głosem.

Agnes nic nie powiedziała, zwróciła znów twarz w stronę dyrektora Rolborga. Siedział, czytając papiery, które mu podała, i nie wyglądało na to, żeby miał zaraz podnieść wzrok. Czytając, od czasu do czasu mruzczał coś do siebie, a wtedy jego skóra napinała się na kościach policzkowych i wyglądał trochę trupio.

Agnes czuła, że sama jest blada jak śmierć. Było jej zimno, jakby już zaczęła stygnąć. Jak mogła być tak naiwna i uwierzyć, że ujdzie z tego z życiem? Przecież z tego miejsca można było wyjść tylko w jeden sposób – tak, jak przyszła...

Przez chwilę myślała, że zemdleje. Kiedy uświadomiła sobie, że dyrektor może mieć więcej dzieci – trójkę, może czwórkę – poczuła, że słabnie jeszcze bardziej i że oczy uciekają jej w głąb czaszki.

– Kochanie, nie ma powodu do zdenerwowania – odezwała się zaniepokojona sekretarka, której nazwiska Agnes nie potrafiła sobie przypomnieć, choć przedstawiła się jej zaledwie kilka minut wcześniej.

Kobieta wstała i położyła rękę na ramieniu Agnes.

– Może jednak zdejmie pani płaszcz? Tu jest bardzo ciepło, nieprawdaż?

Przez chwilę było tak, jakby w Agnes ustały wszystkie funkcje życiowe – jej serce przestało pompować krew i zaczęła się gdzieś zapadać, jakby wciągało ją jakieś bagno.

– Może szklanke wody? – spytała sekretarka, która w ogóle nie była taka, jak Agnes ją sobie wyobraziła.

Miała łagodne oczy i takiż głos, w którym spod standardowego norweskiego przebijał miękki dialekt z południowego wybrzeża kraju. Zapewne była mężatką. I miała dzieci...

Agnes przestawała myśleć racjonalnie. Jeszcze chwila, a stanie się sentymentalna, cel, w jakim tu przyszła, będzie zupełnie niewyraźny, a zadanie wyda się niemożliwe do wykonania. Musi to zrobić teraz, bo jeśli tego nie zrobi już, nie zrobi tego nigdy!

Usłyszała, jak w przylegającej do biura łazience sekretarka napełnia wodą szklanke. Szybko spojrzała na dyrektora Rolborga: siedział naprzeciw niej z nosem w papierach dziewczyny, która była tu przed nią.

Głowę Agnes wypełniały dźwięki. Nie słyszała właściwie ani hałasu dobiegającego zza otwartego okna, ani słów, które wypowiadała w toalecie sekretarka, tylko kakofonię będącą wynikiem przebiegających jej przez mózg elektrycznych impulsów.

„W komorze jest nabój” – pomyślała. Przez kakofonię w jej głowie przedarł się nagle stukot obcasów na parkiecie: to sekretarka wychodziła z toalety w drugim końcu biura.

Szybko podniosła klapę torebki, nie myśląc nawet, co będzie, jeśli welrod nie wystrzeli. Rolborg wciąż siedział pogrążony w papierach i mrucał coś do siebie pod nosem.

Z ulicy dobiegł łomot przejeżdżającego Stortingsgata tramwaju. Jakby zesłał go sam Pan Bóg, zagłuszy dźwięk padającego ciała.

Od sekretarki dzieliło ją już mniej niż dwa metry. W ułamku sekundy kobieta pojęła, co takiego Agnes trzyma w ręku. Otworzyła usta, żeby krzyknąć.

Dźwięk rozbijającej się szklanki z wodą utonął w hałasie tramwaju przejeżdżającego właśnie pod samym oknem. Agnes stała na rozstawionych nogach, trzymając dymiącą broń oburącz. Już nigdy nie zapomni wyrazu oczu tej kobiety.

Powoli, jakby miała do dyspozycji mnóstwo czasu, obróciła się ku dyrektorowi działu badawczego. Światło padające z okna za nim sprawiło, że otaczała go teraz dziwna poświata, i Agnes nie widziała wyraźnie jego twarzy. Spojrzała na okna znajdujące się po drugiej stronie ulicy. Nie, nikt ich stamtąd nie zobaczy, szyby przysłonięte były siatkową roletą.

Szok sprawił, że Rolborg nawet nie otworzył ust. Siedział, jakby ktoś go

przybił do fotela z wysokim oparciem, a z jego krtani wydobył się zdławiony dźwięk jak u zranionego zwierzęcia. Agnes lekko przekręciła znajdujące się z tyłu pistoletu pokrętko zamka, odciągnęła go, a potem znów zaryglowała. Rolborg spróbował wreszcie podnieść się z fotela, zanim jednak jego organ głosowy zdołał wyprodukować jakiś słyszalny dźwięk, Agnes czterema szybkimi krokami pokonała przestrzeń dzielącą ją od biurka i lufa pistoletu znalazła się pół metra od niego.

Dał się słyszeć stłumiony trzask, który utonął w słabnącym hałasie tramwaju, wyjeżdżającego już ze Stortingsgata. Rolborg opadł z powrotem na fotel, wydając dziwne chrząknięcie. Spojrzał w dół na dziurę w pasiastej marynarce i podniósł rękę, jakby chciał zatrzymać wypływającą stamtąd krew. Agnes przeładowała broń raz jeszcze. On podniósł na nią oczy.

– Svein – wycharczał – Svein...

Agnes wycelowowała w jego pierś i pociągnęła za spust. W głowę jakoś nie potrafiła mu strzelić, ale nie miało to znaczenia. Druga kula w lewą pierś wystarczyła, by do końca wyciekło z niego życie.

Nagle zaczęła się trząść. Dwa metry od niej siedział martwy Rolborg z głową nisko zwieszoną nad biurkiem. Agnes powoli, bardzo powoli odwróciła głowę w prawo i jej spojrzenie padło na ciało kobiety i wypływającą spod niego ciemną kałużę.

Sprawdziła, czy na płaszczu nie ma śladów krwi, i wzięła z biurka swoje fałszywe papiery, zaplamione teraz na czerwono. Dwie łuski leżały pod jej stopami, schyliła się i podniosła je. Trzecia była bliżej krzesła, na którym niedawno siedziała. Owinęła łuski w papiery z biurka i włożyła je na dno torebki. Welroda wsunęła do lewego rękawa płaszcza i usiadła na krześle. Przez minutę czy dwie siedziała jak skamieniała. Nie wiedziała, ile w sumie spędziła tu czasu i czy to wystarczy. Musiała już iść! Uświadomiła sobie nagle, że w ogóle nie omówili kwestii jej wyjścia z budynku. To było czyste szaleństwo!

Co jakiś czas z korytarza dobiegały czyjeś kroki. Podłoga wokół ciała sekretarki była już cała ciemnoczerwona. Agnes próbowała sobie wmówić, że kobieta tylko śpi, potem starała się sama siebie przekonać, że gdyby tego nie zrobiła ona, zrobiłby to ktoś inny...

Musiała w końcu wyjść.

Na szczęście korytarz był pusty, ale skądś dobiegał kobiecy śmiech. Kiedy schodziła po schodach na parter, wydawały jej się strasznie strome. Ledwo trzymała się na nogach.

Na jej widok dama w recepcji zmarszczyła brwi.

– Już po wszystkim?

Agnes skinęła głową i podeszła bliżej kontuaru recepcji. Wiedziała, że twarz ma białą jak papier, ale z tym nic nie mogła zrobić.

– Tak – powiedziała cicho.

Recepcjonistka skinęła na kolejną kandydatkę, młodą damę mniej więcej w wieku Agnes.

– Pan Rolborg kazał przekazać, żeby przez kilka minut mu nie przeszkadzać. Jego sekretarka do pani zadzwoni – wyszeptała Agnes.

Recepcjonistka kiwnęła głową.

– Do widzenia – dodała Agnes.

Zadzwonił telefon, a recepcjonistka zawahała się: odebrać czy indagować tę młodą kobietę?

Agnes obróciła się na pięcie i zmusiła się, żeby pójść w stronę wyjścia, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo. Kątem oka zobaczyła gapiącego się na nią z lewej strony strażnika, który nagle poderwał się i otworzył jej drzwi. Agnes spróbowała uśmiechnąć się do niego, widziała, że coś do niej mówi, ale nie była w stanie tego usłyszeć. Bez słowa minęła kaprała z szeregowcem i wyszła na zewnątrz.

Asfalt ulicy był lekko mokry od deszczu. Agnes ruszyła w dół Rosenkrantz gate najwolniej jak mogła. Ze wzrokiem utkwionym w piekarnię znajdującą się na rogu Kjell Stubs gate, skupiała się tylko na tym, żeby stawiać jedną stopę przed drugą. Naprzeciw niej szedł jakiś mężczyzna, ale rozpląnął się tuż przed jej oczyma. Z tyłu na pewno już ją gonili, a nogi pomału odmawiały posłuszeństwa. Za kilka sekund kapral i szeregowy wybiegną pewnie z drzwi biur Knabena, żołnierz otworzy ogień ze schmeissera, a ona upadnie, podziurawiona kulami zaledwie kilka metrów od czarnej taksówki zaparkowanej przed piekarnią.

„Jeszcze dziesięć metrów” – szepnęła w myśli.

Z drzwi piekarni wyłoniła się postać wyglądająca jak Pielgrzym, jej kochany Pielgrzym, w nieco przyciasnym uniformie szofera. Nie patrząc na nią, podszedł do samochodu. Przechodząc przez ulicę, Agnes potrąciła kilka osób. Oczyma wyobraźni widziała, jak recepcjonistka puka do drzwi biura Rolborga, a sekundę później krzyknie tak, że usłyszy ją cała ulica. Za wszelką cenę musiała, musiała powstrzymać chęć obejrzenia się. Dlaczego ma na sobie ten niebieski płaszcz? Będzie przecież widoczna z pięćdziesięciu metrów!

„Zapał” – pomyślała. „Zapał wreszcie ten cholerny silnik”. Silnik taksówki zaskoczył z hałasem, a ona podbiegła ostatnie dwa, trzy metry, wiedząc, że nie powinna, ale nie mogła nic na to poradzić. Szybko zatrzasnęła za sobą drzwi i zanim się zorientowała, co się dzieje, już wyjeżdżali z Rosenkrantz gate.

Odwróciła się na tylnym siedzeniu i rzuciła ostatnie spojrzenie na ulicę. Nic podejrzanego się nie działo. Ulica była pełna ludzi. Skąd oni wszyscy się tam nagle wzięli? Był tam samochód, nie, dwa, ale żadnych biegnących ulicą żołnierzy ani policjantów czy członków Hirdu.

– Płaszcz! – rzucił Pielgrzym z siedzenia kierowcy. – Zdejmij go...

Zerknął na nią w lusterku wstecznym, wzrok miał zimny, ale zajrzawszy mu w oczy, Agnes na dnie jego duszy zobaczyła czysty strach. Przynajmniej tak jej się wydawało. „Tylko tego mi potrzeba” – pomyślała, ściągając z siebie niebieskie okrycie. Z papierowej torby pod siedzeniem pasażera wyjęła podobne, tyle że beżowe. Gdy wciskała pod siedzenie niebieskie, jej palce natrafiły tam na kolbę stena. Przez kilka sekund miała przed sobą twarz sekretarki Rolborga, łagodnej kobiety, która dobrze jej życzyła, i ten wyraz szoku, gdy stała ze szklanką w dłoni, a potem kałużę krwi.

– Zadanie wykonane? – spytał oschle Pielgrzym. Nacisnął gaz i samochód ostro ruszył w dół Rådhusgata.

– Tak... – wykrztusiła Agnes i nie patrząc na niego w lusterku, wrzuciła okulary do torebki, zdjęła kapelusz i wcisnęła za składane oparcie siedzenia obok, potem ściągnęła perukę. Spod siedzenia kierowcy wyjęła jasnobrązowy kapelusz o szerokim rondzie, włożyła go, usiadła prosto i z trudem powstrzymując łzy, wyjęła z oczu pałace ją szkła. Kątem oka zobaczyła, że jadą w kierunku Sagene lub Bjølsen. Przejechali kilka kwartałów i Pielgrzym nagle skręcił w ciasną bramę, którą natychmiast za nimi zamknięto. Gwałtownie zahamował, zatrzymując samochód.

Agnes rozejrzała się zdezorientowana. Musieli być w jakimś warsztacie samochodowym. Na zewnątrz rozległ się łomot – to tuż za stalową bramą przejechał tramwaj, hałasując jak tamten na Stortingsgata hałasował w biurze Torfinna Rolborga. „Kim jest Svein?” – pomyślała. „Synem. Tak, to musi być jego syn...”.

Pielgrzym otworzył tylne drzwi i kabinę samochodu wypełnił zapach oleju silnikowego i jeszcze czegoś, może farby, a jej powróciły mdłości. Nic nie mówiąc, Pielgrzym powyjmował wszystko spod siedzeń. Lufa stena otarła się o jej udo.

– Papiery – powiedział. – I łuski, jeżeli zdążyłaś...

Agnes otworzyła torebkę i podała mu pogniecione dokumenty wraz z łuskami. Krew Rolborga zamieniła się w czarne plamy na papierach.

Pielgrzym wyjął z welroda pozostałe naboje i podał mężczyźnie w zaplamionym kombinezonie. Po chwili jednak rozmyślił się, wziął pistolet i naboje z powrotem.

– Boże, Boże mój. – Schowała twarz w dłoniach, już nic nie było w stanie jej powstrzymać.

Pielgrzym usiadł przy niej.

– Obejmij mnie – poprosiła.

On rozejrzał się szybko po pomalowanym na zielono warsztacie, jakby było tam coś ciekawego do zobaczenia.

– Przecież wiesz, że nie mogę – powiedział cicho. – Musisz to zabrać ze sobą. To nie może tu zostać.

Podał jej welroda i naboje.

– Ja? Nie mogę tego zabrać!

– Tak będzie najlepiej. – Pielgrzym wysunął z rękojeści magazynek i ostrożnie załadował do niego naboje.

– A jeśli zrobią rewizję w mieszkaniu... Albo zatrzymają mnie do kontroli w drodze do domu?

– Szukają blondynki, nie ciebie. Schowaj go u Landego, kto będzie tam szukał? Jeśli nawet ktoś przypadkiem go znajdzie, połączą to z nim, a nie z tobą – powiedział spokojnie. Wsunął pistolet w rękaw płaszcza. –

W kantorku leży beżowa spódnica, biała bluzka i para nowych butów. – Kiwnął głową w stronę pomieszczeń za jej plecami.

Agnes odwróciła się. Wyglądało, jakby byli odcięci w tym warsztacie od reszty świata. Mężczyzna w kombinezonie stał na brudnej podłodze, zaglądając do papierowych toreb, które dał mu Pielgrzym.

– No i jak, dobrze się czujesz? – spytał Pielgrzym, nie patrząc na nią, zupełnie jakby była kimś mu obojętnym, jakby rozmawiali o czymś nieistotnym.

– Jak to: dobrze? – spytała cicho.

Pielgrzym otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

Agnes wysiadła z samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi, a metaliczny trzask odbił się echem od sufitu. Zapach oleju sprawił, że znów zebrało się jej na wymioty.

– Toaleta – powiedziała do człowieka w kombinezonie, który tymczasem

znalazł się przy drzwiach w końcu warsztatu. Patrzył na nią przez chwilę, a potem wskazał ręką galeryjkę po prawej stronie.

Agnes podniosła twarz i na chwilę oślepiło ją światło z rzędu okien tam, na pięterku. Ruszyła metalowymi schodkami w górę, mocno trzymając się poręczy, a Pielgrzym szedł za nią.

– Zostaw mnie w spokoju – szepnęła sama do siebie.

Toaleta znajdowała się za kantorkiem, była mała i brudna. Agnes nie zdążyła do niej wejść, zwymiotowała już na progu. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, przyjrzała się swoim wymiocinom.

Pielgrzym zatrzymał się za nią.

– Zmyj wazelinę z włosów – powiedział.

Agnes kucnęła i podniosła z podłogi kapelusz. Nie potrafiła powstrzymać łez.

– Będzie dobrze – odezwał się z tyłu Pielgrzym. Objął ją, wreszcie ją objął. – Będzie dobrze – powtórzył.

– Wymiotuję co rano – powiedziała cicho. – Rozumiesz, co to znaczy? Nagle ją puścił.

– Kochasz mnie? – szepnęła, wstając.

Pielgrzym ominął ją wzrokiem, spojrział w głąb ciemnej, brudnej ubikacji.

– Carl Oscar? Powiedz, że mnie kochasz. – Chwyliła jego twarz w dłonie. Ta twarz mocno się postarzała w ostatnich tygodniach: wokół oczu pojawiły się zmarszczki, a między brwiami powstała głęboka bruzda.

Zdjął jej ręce ze swojej twarzy, odwrócił się i wyszedł z kantorka. Po chwili Agnes usłyszała szcęknięcie metalowych schodków.

Przepłukała usta kilkanaście razy, wymiociny zostawiła na podłodze.

Z okienka zobaczyła małe podwórko. Mężczyzna w kombinezonie stał tam nad metalową beczką, z której unosiły się płomienie.

Pielgrzym był w warsztacie, pochylony nad maską samochodu. Agnes mogła się mylić, ale wyglądało na to, że płacze.



## **Czwartek, 19 czerwca 2003**

*Lotnisko Oslo*

*Gardermoen*

Drzwi do hali przylotów powoli się rozsunęły i Tommy Bergmann znalazł się naprzeciw grupy ludzi, którzy wyglądali na zawiedzionych faktem, że to właśnie on z nich wyszedł. Ich wzrok zaraz przesunął się na pasażerów, którzy szli za nim, a po chwili rzucili się tym ludziom na szyje.

Wybuchy powitalnej radości dookoła zepchnęły Tommy'ego głębiej w otchłań rozpacz. Hadja co prawda na niego czekała, ale musiał zakończyć ten związek, zanim zacznie się na dobre. Czekaając na bagaż, sprawdził komórkę. „Zadzwonisz? Tęsknię za tobą, Hadja”. Tak, musi z tym skończyć, najpóźniej dziś wieczorem.

Zobaczył Fredrika Reutersa, który stał z wyciągniętą do niego ręką. Wyglądał, jakby ostatnie dni dały mu się nieźle we znaki. Był nieogolony, a włosy, zawsze starannie zaczesane na mokro jak u harcerza, zwisały w strąkach na jego czole.

– Przepraszam, że nie zdążyłem kupić kwiatów – powiedział Reuter, wyjmując zza pleców plik papierów i podając mu je jak bukiet.

Tommy zignorował ten wątpliwy żart.

– Nie masz nic z tax free? – spytał Reuter, i nie było w tym ironii.

Tommy nie zwracał na niego uwagi.

– Samochód czeka – powiedział Reuter i wziął jego torbę.

Tommy ruszył powoli, wręcz z niechęcią, ku wyjściu, przeglądając po drodze dokumenty z medycyny sądowej.

„Najnowsze ustalenia: dziecko, przypuszczalny wiek 8-9 lat, kobieta około 20-25 lat i mężczyzna około 20-25 lat”.

– Cholernie do dziwne – skomentował.

Reuter zjechał na lewy pas i coś mówił, bardziej do siebie niż do Tommy'ego. Na niebie ukazał się samolot, a Tommy przyglądał się jego światłom lądowania, ciemniejszemu niebu i różowej poświacie, powoli spowijającej zarośnięte świerkami wzgórze na zachodzie.

– Ta służąca – powiedział Reuter – musiała jakoś uciec.

Tommy milczał.

– No bo tak: zgłoszono jej zaginięcie, ale musiał być powód, dla którego nigdzie nie wypłynęła. Jest przecież na liście zaginionych od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego?

– Może nie zdążyła wypłynąć, bo ją zabili – odezwał się Tommy.

Reuter potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

– Może ją zabito w jakimś innym miejscu – zasugerował Tommy.

Tym razem Reuter ledwie kiwnął głową.

– A kim, do kurwy nędzy, jest ten gość, którego pochowali z Gerner i dzieckiem? – spytał.

– Nie mam bladego pojęcia – odparł Tommy. – Ale może Krogh załatwił służącą gdzieś indziej.

– Więc dalej uważasz, że to Krogh?

Tommy kiwnął głową i chrząknął potwierdzająco. I nagle przyszedł mu do głowy zwariowany pomysł. Z wewnętrznej kieszeni wyjął swój notatnik i znalazł ostatnią zapisaną stronę.

Reuter zapalił mu oświetlenie kabiny.

– Gretchen – powiedział Tommy do siebie.

– Gretchen? – spytał Reuter.

Tommy podniósł głowę i wpatrzył się w tylne światła samochodu przed nimi.

– Jak ona się nazywała, ta służąca? – spytał.

– Johanne Caspersen – odparł Reuter.

– Nie miała drugiego imienia?

– Nie – powiedział Reuter. – Ale dlaczego...

– Nic, taka głupia myśl – odparł Tommy, odłożył notatnik na kolana, zagłębił się w fotelu pasażera i zamknął oczy. Nie dawało mu spokoju uczucie, że Waldhorst wystrychnął go na dudka. „Kochałem ją” – pomyślał znów. I: „przeoczyłem coś banalnego”.

– Vera Holt – odezwał się Reuter. – Właśnie takich podejrzanych lubię najbardziej: świrusów, z motywem jak cholera, i już pod kluczem.

– Rzeczywiście, lepiej być nie może – odparł Tommy. – Ale z tym Waldhorstem też jest coś nie tak.

Reuter westchnął i nacisnął gaz. Tommy’ego wcisnęło w siedzenie, a strzałka szybkościomierza minęła 140.

– Pewnie, że z dziadkiem jest coś nie tak. To gestapowiec, a wcześniej w Abwehrze. Gość musi być rąbnięty, ale to chyba wiedziałeś, zanim tam pojechałeś?

– Daj spokój – powiedział Tommy. – On coś kombinuje.

– Jakie jest pierwsze przykazanie każdego śledczego? – spytał Reuter.

Wyprzedził jakieś BMW prawym pasem, obrzucając jego kierowcę wyzwiskami.

– Nie komplikuj sprawy, jak nie musisz – powiedział Tommy.  
– Otóż to. Więc zostaw tego Waldhorsta w spokoju.  
– Jest coś... czego on nie chce mi powiedzieć.  
– No i dobrze. Waldhorst na pewno wie więcej o draństwie tego świata, niż my kiedykolwiek chcielibyśmy usłyszeć.  
– Musimy sprawdzić listy pasażerów do Berlina i z Berlina. Wypożyczalnie samochodów, pociągi, promy, wszystko. On się teraz nazywa Peter Ward, ale skoro pracował dla CIA, może mieć kilka paszportów. Możliwe nawet, że podróżował pod własnym nazwiskiem. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Reuter otworzył usta, ale się rozmyślił.  
– Po co to wszystko? – spytał po chwili.  
– Powiedział, że ją kochał.  
– Że co? – Reuter ostro zahamował, aż ich mondeo zarzuciło. Zjechali na stację Shell przy Skedsmokorset. – Kogo kochał?  
– Agnes Gerner – odparł Tommy. – Tuż przed naszym rozstaniem powiedział, że kochał Gerner od chwili, gdy ją zobaczył po raz pierwszy.  
– No to chyba nie on ją sprzątnął? – powiedział Reuter.

Tommy potrząsnął głową.  
– Nie wydaje mi się.  
– Nie wydaje mi się? Może byś powiedział: nie?  
– Nie – odparł Tommy. – Ale... coś się zdarzyło.  
– Nie może być – powiedział kpiąco Reuter.  
– Zdarzyło się coś, co sprawiło, że Waldhorst dowiedział się, kto ją zabił.  
– Myślisz więc, że Waldhorst mógł zabić Krogha?  
Tommy skinął głową.  
– Kto wie... Prawie się przyznał. Jeśli wiedział, że to Krogh zabił Gerner, możemy go dołączyć do krótkiej listy.  
– Co to znaczy: prawie się przyznał?  
– Powiedział... że przypadek to przeznaczenie, a przeznaczenie to przypadek.

Reuter zmełł w ustach przekleństwo.  
– Tommy, nic z tego nie rozumiem. Daję ci na to jeden dzień, a potem koniec z tym Waldhorstem i Bóg wie z kim tam jeszcze. Jeżeli jutro rano okaże się, że odciski palców na nożu są Very Holt, możesz sobie wziąć urlop do końca roku, OK? W komendzie stale mamy do czynienia z bajeczkami, jeszcze jedna nam niepotrzebna.

Reuter wysiadł z samochodu i rozejrzał się za Halgeirem Sørvaagiem.

– To nieduży gość – odezwał się Tommy.

Reuter potrząsnął głową.

– I co z tego?

– Może nosić numer czterdzieści jeden.

„Ale tego nie sprawdziłem” – pomyślał.

## **Czwartek, 19 czerwca 2003**

*Kolstadgata*

*Oslo*

– Więc chcesz, żeby sprawdzić listy pasażerów z Berlina? – spytał w zamyśleniu Fredrik Reuter. Wyglądało na to, że krótki odcinek między Skedsmokorset a Tøyen wystarczył mu na przemyślenie sprawy i doszedł do wniosku, że jednak Peterowi Waldhorstowi warto przyjrzeć się bliżej. Wjechał na chodnik przy Kolstadgata i zaciągnął ręczny.

– Musimy też sprawdzić ewentualne wynajęcie samochodu na nazwisko Peter Waldhorst albo Ward – uściślił Tommy Bergmann. Ten przeklęty Niemiec w tajemniczy sposób spowodował chaos w jego małej układance. „Kochałem ją”. Co on chciał przez to powiedzieć?

– A jeśli to nie ma żadnego związku? – odezwał się z tylnego siedzenia Halgeir Sørvaag.

Pochylił się i wsadził głowę między przednie fotele, a smród jego nieświeżego oddechu trafił Tommy’ego prosto w twarz, zmuszając do naciśnięcia przycisku opuszczającego boczną szybę.

– A jeśli było odwrotnie? Jeśli to Kaj Holt powiedział Waldhorstowi, kto sprzątnął tę trójkę? To wydaje się bardziej naturalne – dywagował Sørvaag. – Wtedy masz wytłumaczenie, Tommy.

– Dosyć – powiedział Reuter. – Nie mieszaj nam, Halgeir. Trzymajmy się faktów, dobrze? Tu mieszka nasza dama.

W radio skończył się blok reklamowy i zaczęły wiadomości.

– Dobra, dobra – mruknął do siebie Sørvaag, złożył ręce jak do modlitwy, splótł palce i wygiął je pod kątem prostym, aż zatrzeszczały. Tylko on potrafił coś takiego zrobić. – Znajdziemy tego nieboraka, co pociachał starego Krogha. *Right or wrong.*

Na kolanach miał starą dyplomatkę, a w niej klucze, wytrychy i inne narzędzia, którymi dało się otworzyć prawie wszystkie zamki w tym kraju bez pozostawienia widocznych śladów. Kiedy pracowało się z Sørvaagiem, rzadko potrzebny był ślusarz.

Tommy obrócił się do Reutera, który uważnie słuchał wiadomości. Kiedy lektor wspomniał, że minęło już półtora tygodnia od morderstwa Carla Oscara Krogha, a policja wciąż jeszcze nie wpadła na trop zbrodniarza, Reuter zaklął szpetnie.

– Hieny – powiedział. – Damy im Verę Holt, to może się zamkną. Będziemy mieli odciski palców i parę butów w rozmiarze czterdzieści jeden,

a one będą pasować do tej jatki na Holmenkollen. – Tu spojrział wyzywająco na Tommy’ego.

– Amen – rzucił Sørvaag i otworzył drzwi samochodu.

Tommy został w środku, siedząc z ręką wywieszoną za okno. Może i się okaże, że to Vera Holt zamordowała Carla Oscara Krogha, ale ta myśl wcale go nie cieszyła. W ogóle nie cieszyło go aresztowanie ludzi, którzy zamordowali innych. Raczej przyprawiało go to za każdym razem o uczucie pustki i myśl, że świat nigdy nie nabierze sensu, ale w tym wypadku... Krogh aranżuje morderstwo Kaja Holta, a w innym czasie zostaje zabity przez córkę Holta?

Reuter uderzył dłonią w dach samochodu, a Tommy pomyślał: „Może po prostu nie chcę, żeby to była Vera Holt?”. Chociaż pewnie była... Oczyma wyobraźni zobaczył tę dziewczynkę zimą, na schodach kościoła na Kampen w roku 1959, w samej nocnej koszuli, z pewnością molestowaną i naznaczoną na całe życie. A Carl Oscar Krogh może kazał zabić jej ojca tylko tak, na wszelki wypadek... Jakże daleko było od córki Krogha, mieszkającej po królewsku na Bygdøy, do tego wykolejonego stworzenia, które skończyło w lokalu socjalnym na Tøyen? Dwa życia, dwa światy. Ale w dziwny sposób powiązane wspólnym przeznaczeniem. Tym samym, które spowodowało, że Krogh przeżył, a Holt nie.

Tommy potrząsnął głową i wysiadł z samochodu. Wokół Reutera i Sørvaaga zebrała się tymczasem wataha dzieci. Tommy spojrział na zegarek i pomyślał, że o tej porze od dawna powinny już być w łózkach, ale w końcu nie znał się ani na dzieciach, ani na czasie, w którym przyszło mu żyć, więc tylko wzruszył ramionami. Kiedy dotarli do klatki schodowej, Tommy zobaczył te same plastikowe torby, które leżały tu, kiedy był poprzednim razem. Sørvaagowi w jakiś niepojęty sposób udało się wystraszyć dzieciaki, które rozbiegły się nagle we wszystkich kierunkach. Z nieprzyjemnym uśmiechem na gębie oświadczył, że nie odpowiada mu towarzystwo bachorów zaglądających przez ramię, kiedy wytrychem otwiera cudze drzwi.

„Ciekawe, jak często to się zdarzało” – pomyślał Tommy.

Na klatce schodowej Reuter przeskakiwał przez leżące tam śmieci, podczas gdy Sørvaag, nie oglądając się na nic, pruł do przodu o pół piętra przed nimi.

– Ten zamek to obraza dla moich umiejętności – powiedział, gdy znalazł się przy drzwiach na czwartym piętrze. Z dyplomatki wyjął pęk kluczy i podniósł do neonowego światła, mamrocząc coś, co brzmiało jak magiczna

formuła.

– Okej – powiedział do siebie i do wybranego klucza.

W drzwiach po przeciwnej stronie korytarza szcęknął zamek.

– To znowu pan? – spytała sąsiadka Vera Holt, widząc Tommy’ego.

Reuter odwrócił się do niej i pokazał jej blachę.

– Mam to gdzieś – powiedziała.

– Wie pani może, czy ona była w domu w Zielone Świątki? – spytał Reuter. – Vera Holt znaczy?

Sąsiadka obrzuciła go spojrzeniem, którego Tommy postanowił nie interpretować.

Reuter otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Kobieta zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Reuter podniósł rękę, żeby zapukać, ale gdy Sørvaag oświadczył, że drzwi Very Holt stoją otworem, zrezygnował.

W przedpokoju mężczyzna uderzył w nozdrza amoniakowy smród zestarzałego moczu. Po kilku sekundach stało się jasne, że smród dobywa się także z niezliczonych reklamówek w salonie. Wszędzie widniały porozrzucane ubrania, na niskim stole, takim, jakiego nikt nigdy nie chce kupić na pchlim targu, stały brudne szklanki i talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia. Podłoga zasłana była gazetkami reklamowymi, a stary koc na starej skórzanej kanapie wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpaść. Na kuchennym stole stało co najmniej dwadzieścia otwartych puszek karmy dla kotów „Landlord”.

– Kurczak – obwieścił Reuter, ostrożnie trzymając jedną z puszek między palcami. – Może ciut pozieleniały, poza tym w porządku.

– Ona chyba się tym żywi – zgadł Tommy.

Otworzył jedną z szuflad. Sztućce były plastikowe, w różnych kolorach i wyglądały na dziecinne.

– No, ona przynajmniej jada – powiedział Reuter, wkraczając do kuchni.

– To zawsze coś.

Tommy czuł, że od smrodu w kuchni zaczyna tępieć i że zaraz może dostać torsji. Poszedł za Reuterem do pokoju dziennego, gdzie zaciągnięte były cienkie zasłony. Wymacał kontakt i zapalił światło, potem rozsunał zasłony i z trudem otworzył okno, które słabo trzymało się na zawiasach. Przez moment bał się, że spadnie na plac zabaw. Widok był na miasto, ciągnące się aż do horyzontu, czyli Holmenkollen. Z Grønland dobiegła go syrena radiowozu, z mieszkania niżej słychać było muzykę typu bangra.

– Daj se spokój z tym Waldhorstem – odezwał się gdzieś za nim Sørvaag. Stał w przedpokoju z uśmiechem na ustach, w rękę trzymał sportowy but. – Vera Holt nosi numer czterdzieści jeden.

– O kurwa – powiedział Reuter. – No to chyba ją mamy.

Tommy skinął w milczeniu głową, nie miał ochoty nic mówić. Zamiast tego wychylił się przez okno i spojrzał w kierunku wzgórza Holmenkollen.

„Ona mogłaby stąd zobaczyć jego dom” – pomyślał.

– Słyszałeś, Tommy? – odezwał się Reuter. – Mamy ją, co? Możliwy motyw, szajba i pasujący numer butów.

– Potrzebujemy chyba trochę więcej niż buty, zresztą to nie są te same buty.

– Koniecznie chcesz wszystkim zepsuć imprezę? – Reuter podszedł do drzwi na krótkiej ścianie pokoju. – O kurde. Któryś z was potrzebuje brudnej pościeli? – Zniknął w sypialni, zatykając ramieniem nos.

Tommy zignorował go i podszedł do regału stojącego obok drzwi do sypialni. Walił z nich nieopisany smród, kto wie, może ona tam się załatwia? Albo jej kot. Albo oboje. Ten zapach to nie mogło być nic innego, tylko odchody.

„Jak oni mogą ją wyprawiać z powrotem do takiego domu, i to raz za razem?” – pomyślał i przesunął spojrzeniem po grzbietach książek. Stara encyklopedia, oprawni w skórę klasycy, kilka książek o drugiej wojnie światowej, a między nimi poupychane reklamówki i plastikowa szklanka z mlekiem, na powierzchni którego uformowały się zielone cętki.

Reuter wyszedł z sypialni, trzymając w rękach kotka. Mimo że w mieszkaniu było tyle karmy dla kotów, zwierzę wyglądało na wygłodzone. Nawet nie próbowało drapać Reutera, jego wielkie oczy patrzyły na Tommy’ego.

Reuter postawił kotka na podłodze, a ten od razu śmignął do kuchni. Reuter już miał coś powiedzieć, ale zrezygnował, patrzył tylko na Tommy’ego, który zaczął zrzucać na podłogę zawartość półek. Najpierw spadły książki z najwyższej półki, ale za nimi niczego nie było, tylko kurz. Potem opróżnił następną półkę.

– Przestań – powiedział Reuter. – Może chociaż je przekartkujesz?

Kiedy Tommy doszedł do trzeciej półki i usunął z niej wszystkie książki, w większości podniszczone podręczniki psychologii, a także torbę ze stosem ręcznie zapisanych kartek, odsłoniło się przed nim stare pudełko po butach.

– Bingo – obwieścił.



Reuter obejrzał dokładnie pokrywkę pudełka. Brak kurzu wskazywał na częste jego używanie.

– Widzieliście, kurwa? – spytał, gdy Tommy wyjął z niego poskładane strony gazet, które leżały na wierzchu. – Nie musimy dalej szukać. Mamy ją tu jak na talerzu.

Tommy trzymał w rękach cztery strony z „Dagbladet”, wszystkie zawierały artykuły dotyczące morderstwa Krogha. Przyjrzał się tym stronom i nagle wzdrygnął się, trafiając na to, co przed chwilą spowodowało ten mały wybuch satysfakcji u Reutera.

Na jednej ze stron było duża fotografia Carla Oscara Krogha, jeszcze z czasów wojny. Miał na niej charakterystyczne, delikatne rysy i uśmiech na ustach, włosy gęste i ciemne. Tyle że ktoś wydłubał mu oczy. Tam, gdzie powinny być, widniała dziura o nierównych brzegach.

Podszedł do nich Sørvaag.

– Wyciachała gościowi oczy – powiedział.

Na Tommy'ego mimo wszystko spłynęło uczucie ulgi.

„Vero Holt” – pomyślał. „To jednak byłaś ty”.

## ***Piątek, 25 września 1942***

*Hammerstads gate*

*Oslo*

Agnes Gerner leżała w częściowo zaciemnionym salonie. Szlafrok miała rozchylony, a jej ręka ostrożnie głaskała brzuch. Promienie słońca wpadające między storami igrały na jej odsłoniętych nogach. Spomiędzy kamienic dobiegały stłumione krzyki dzieci.

Oczy miała szeroko otwarte, przez brudną szybę widziała skrawek błękitnego, bezchmurnego nieba. Jak niebo może być takie niebieskie w taki dzień jak dziś?

Jak długo tak leży, wpatrując się w ten bezsensowny niebieski skrawek? Tego nie wiedziała, wiedziała natomiast co innego – że nie może zamknąć oczu. Zrobiła to niedawno pod prysznicem, namydlając sobie włosy, i w tym samym momencie na plecach poczuła rękę tej sekretarki, w jej uszach zabrzmiał miękki głos tej kobiety, a potem ten jej bezgłośny krzyk, odgłos upadającej na podłogę szklanki, no i martwe oczy...

Nagle rozległ się dobrze znajomy, ale jednak zaskakujący dźwięk. Gwałtownie wstała z kanapy. Dźwięk rozpoczął się w środku, jakby od miejsca, w którym nagle urwał się za pierwszym razem.

„Syreny przeciwlotnicze” – pomyślała.

Groteskowy dźwięk powoli wypełnił całe miasto. To musiał być próbny alarm, bo było jeszcze jasno, do zmroku brakowało wiele godzin.

Agnes pomyślała, że jeżeli to prawdziwy alarm, to ona będzie sobie leżeć i czekać, aż ją zabiorą do nieba albo do piekła. Że jeżeli kamienica legnie w gruzach, będzie to dla niej wyzwolenie.

A potem zdarzyła się niesamowita rzecz. Wciąż patrzyła na skrawek błękitu, kiedy dźwięk syren zmienił ton, bo gdzieś z góry dołączył do nich hałas samolotowych silników. Agnes klęknęła na kanapie, odchyliła storę i przycisnęła twarz do szyby.

„Zabijcie mnie” – pomyślała. „Proszę bardzo, zabijcie mnie. Niech zabiją mnie nasi”. Na dole zobaczyła grupkę ludzi biegnącą ku wejściu do jej domu, żeby schować się w piwnicy. Jakiś mężczyzna, wlokący za sobą ociągającą się dziewczynkę, zgubił kapelusz.

Z centrum miasta dobiegł Agnes huk wybuchu. I jeszcze jeden. Z tuzin razy. A potem rozległ się przenikliwy grzechot działek przeciwlotniczych. To musiało się dziać w okolicy Victoria Terrasse. Spojrzała na zegar – kwadrans po czwartej. Coś jej się tu nie zgadzało.

To dlatego Numer 1 nalegał na pośpiech tej akcji, musiał wiedzieć, co się święci!

Z lewej strony na niebie zobaczyła nagle coś, co wyglądało na trzy bombowce Mosquito, ścigane przez chmarę niemieckich myśliwców. Po chwili nad parkiem Frogner zauważyła czarną smugę – to jedna z angielskich maszyn została trafiona i powoli traciła wysokość. Śledziła jej lot, podświadomie składając ręce do modlitwy. Wybuchnęła płaczem. Sto metrów za bombowcem leciał niemiecki myśliwiec, plując w angielski samolot pociskami. Agnes wyobraziła sobie, że pilot już został trafiony, ale wciąż żył, skoro samolot przestał tracić wysokość. W końcu angielska maszyna skręciła ostro w prawo i zniknęła za dachami domów. Po mniej więcej minucie daleko, daleko stamtąd w niebo wzniósł się słup czarnego dymu. W mieście panował chaos: pędzące na sygnale karetki, wozy strażackie i samochody policji robiły wszystko, żeby zagłuszyć syreny przeciwlotnicze.

Po półgodzinie zrobiło się cicho.

Agnes położyła się z powrotem na kanapie, jakby była do niej przykuta łańcuchem i już nigdy miała jej nie opuścić. Minęło jeszcze pół godziny i było tak, jakby ten nalot nigdy się nie wydarzył. Jedyne, co się zdarzyło, to to, co zrobiła ona sama.

Leżała tak aż do zmroku.

Kilka razy kładła sobie dłoń na ramieniu – było to ostatnie miejsce, gdzie dotknął ją Pielgrzym. Za każdym razem, kiedy się tam dotykała, paliła ją skóra i wtedy czuła się tak, jakby on był obok niej.

Nie chciała myśleć o niczym innym, a już zwłaszcza o tym, jak wyminął ją wzrokiem, jak sobie poszedł, by później stanąć nad samochodem i płakać.

Kiedy w końcu do niego zeszła, wręczył jej tylko puszkę z suchym szamponem, szybkim krokiem podszedł do stalowej bramy, bez słowa otworzył wycięte w niej drzwi i wyszedł. A ona miała dziwne uczucie, że widzi go po raz ostatni.

Leżała w ciemności, słuchając własnego oddechu. W końcu zasnęła i zapadła w głęboki sen, w którym twarz sekretarki zmieniła się w pysk jej setera, a ona nie mogła przestać krwawić, stała w toalecie na Sagene i krwawiła, krwawiła...

Nagle otworzyła oczy. Jak zwiastun nadchodzącego prawdziwego dźwięku usłyszała bardzo ciche dzwonienie w uszach, a po chwili śmiech dzieci piętro wyżej zmieszał się z szumem toczących się po asfalcie ulicy

opon.

Jej pierwszą myślą było znalezienie torebki. Welroda włożyła do skrytki w kuchni, gdzie już leżała książka kodowa, i wyciągnięcie go zabrałoby za dużo czasu. Skoczyła na równe nogi i pobiegła poszukać torebki. Nie było jej w salonie, wpadła do kuchni, szukała jej oczyma na stole, przy zlewie, sprawdziła przedpokój, tam też jej nie było, więc gdzie? Niepewnym krokiem powędrowała do sypialni i mimo że była boso, czuła się tak, jakby miała na nogach szpilki i wypila całą tacę szampana, jak tego wieczoru, gdy odprowadził ją do domu *attaché*... Tamto chwilowe oczarowanie doprowadziło ją w konsekwencji do tego momentu, kiedy oszołomiona błąka się po mieszkaniu w poszukiwaniu torebki zawierającej ampułkę zdolną wyprawić ją na tamten świat, odebrać jej życie, zanim zaczęło się na dobre.

W następnej chwili usłyszała dźwięk zatrzasniętych drzwi samochodu. Tak późno? W godzinie policyjnej?

Słyszała, jak czyjeś kroki zbliżają się do drzwi kamienicy, drzwi, które – jak pamiętała – nie były zamknięte na klucz, bo gdy wróciła do domu, nie działał zamek.

– Gdzie torebka? Gdzie ona jest? – szepnęła.

Wychodząc z sypialni, zobaczyła ją wreszcie, na wpół schowaną pod leżącą na podłodze kapą. Musiała rzucić ją na podłogę, a potem zerwać z łóżka kapę, ale nic z tego nie pamiętała. W pamięci miała tylko twarz sekretarki, pytanie, jak ona może spać z otwartymi oczyma, z głową spoczywającą w kałuży krwi, i czarną dziurę w pasiastej marynarce Rolborga...

Drzwi na dole otworzyły się i zatrzęsły. Kroki na schodach były lekkie, ledwo słyszalne, jakby ktoś stawiał stopy na samym brzegu stopni.

Jednym szarpnięciem Agnes otworzyła torebkę, na jej dnie zobaczyła smugi krwi należącej do dyrektora działu badawczego Rolborga. Pewnie poplamilo się od papierów. Wymacała sztywne zawiniątko papieru toaletowego i dzięki Ci, Panie Boże, jak zbawienie błysnęła w nim podłużna szklana ampułka wypełniona trującym, granatowym proszkiem.

Włożyła fiolkę do ust, była zimna i obca, i mimo że pozbawiona była smaku, omal nie spowodowała torsji. Od śmierci oddzielała ją teraz cienka, zaledwie milimetrowa warstwa szkła. Chwyciła torebkę i poszła do przedpokoju, nadsłuchując kroków na zewnątrz. Pokonywały już ostatnie stopnie.

„Jedna osoba” – pomyślała. „Tylko jedna. Ale gestapo przecież nigdy nie

przychodzi w pojedynkę?”

**Czwartek, 19 czerwca 2003**

*Kolstadgata*

*Oslo*

– Ile osób wie, że Krogh miał oczy pocięte na kawałki? – spytał Halgeir Sørvaag.

– Nikt nie wie – powiedział Tommy Bergmann, podając Sørvaagowi strony gazet.

Przez moment znalazł się znów w salonie Krogha na Dr. Hoilms vei. Ależ to był widok... Stary wyglądał jak rozplątane zwierzę w rzeźni, z lewą stroną piersi, której właściwie nie było.

– Super – odezwał się Fredrik Reuter. – Zaraz zadzwonię do siostry przełożonej, niech szykuje szampana.

„Co za idiota” – pomyślał Tommy.

– Jest tu jaki komputer? – spytał Sørvaag. – Musiała kupić ten kordzik w sieci.

– Stoi w sypialni – powiedział Reuter.

Tommy popatrzył na kolegów, którzy zniknęli za drzwiami obok. Po chwili usłyszał, jak Reuter znów przeklina smród. Sørvaag nic początkowo nie mówił, a potem nagle krzyknął radośnie, jakby wygrał w totka, że komputer podłączony jest do modemu.

„Czy to naprawdę ty, Vero Holt?” – zadawał sobie to pytanie Tommy, przeszukując pudełko po butach. Najpierw usiadł na starej kanapie z kilkunastoma wycinkami gazet, w których były wywiady z Carlem Oscarem Kroghem i artykuły o nim. Na wszystkich zdjęciach Krogh miał oczy albo wyklute długopisem, albo wydłubane ostrzem noża.

Przeszukał resztę zawartości pudełka. Było tam co najmniej pięćdziesiąt kartek z najróżniejszych notesów, w większości formatu A5 lub A6, spiętych dużym, staroświeckim spinaczem. Zawierały jakieś bazgroły, rysunki, niektóre datowane, inne nie. W środku tego pliku znajdowało się coś, co pośród nich się wyróżniało: była to złożona na czworo, pożółkła, sztywna kartka z papeterii.

Tommy ostrożnie wysunął ją z pliku i rozprostował. Nie czuł już dłużej smrodu resztek obiadu, który Vera Holt pozostawiła na stole.

W złożony arkusz wpięta była karteczka papieru innego rodzaju i Tommy odczytał to, co na niej napisano:

„Przepraszam. Kaj”.

Jego dwaj koledzy myszkowali dalej po sypialni. Tommy siedział,

trzymając w ręku zaginiony list samobójczy Kaja Holta. Nie trzeba było być grafologiem, aby zauważyć, że charakter pisma tego liściku zasadniczo różnił się od pisma na pozostałych kartkach w pudełku. Litery domniemanego listu samobójcy stawiane były pewną, szybką ręką i były symetryczne, podczas gdy notatki i rysunki na kartkach wyszły spod ręki zaszczutego, nerwowego, człowieka, udręczonego natrętnymi myślami.

Tommy wyjął karteczkę spod spinacza, którą była przypięta do papeterii, i odczytał napisany po szwedzku liścik:

*Stockholm, 31. mai 1945.*

*Bästa fru Holt.*

*Mina kondolanser.*

*Det hela är mycket smärtsamt.*

*Ers trogna,*

*G. Persson <sup>1</sup>*

„To ten zabity inspektor” – pomyślał. „A więc pogłoski krążące w sztokholmskiej policji się potwierdziły. A żona Holta musiała zobaczyć, że na domniemanym liście samobójczym jest cudze pismo”.

Nagle stało się jasne, że inspektor Persson wysłał do niej rzekomy liścik męża właśnie po to, żeby zobaczyła, że to nie jego pismo. Ale czy ona coś z tym zrobiła? Czy pokazała to Kroghowi? Czy to dlatego zadawał on Szwedom niewygodne pytania?

A może pokazała go Kroghowi, a on spowodował, że sprzątnięto także Perssona? Tommy odłożył oba listy na stół i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w zapleśniałe resztki jedzenia na stole.

Może było właśnie tak? Żona Holta idzie do Krogha, mówi, że to nie jego pismo, Krogh dziękuje jej, kłania się, a następnego dnia, w biały dzień, na sztokholmskiej ulicy zostaje zastrzelony inspektor Persson. I nikt nigdy się nie dowie, że to Carl Oscar Krogh zlikwidował tę trójkę w Nordmarce.

„Nie, nikt by w to nie uwierzył” – pomyślał Tommy. „I właśnie dlatego Krogh mógł to zrobić. Nikt by nie uwierzył, że to może być prawda”.

Powrócił do pudełka po butach i wyjął z niego spięty plik luźnych kartek z notesów. Na niektórych powtarzały się proste rysunki dziwnych, jakby diabelskich twarzy. Kolejność stroniczek wydawała się zupełnie przypadkowa. Tu i ówdzie była data, na niektórych były pojedyncze zdania, jakieś adresy, kawałki czegoś, co wyglądało na próby poetyckie. „Taki dzień, że ciężko uwierzyć w nadejście lata” – przeczytał Tommy. Styczeń 1941. „Dotrę do nieba, które nawet Bóg opuścił”. Tommy odczytywał gorączkowe

notatki, jak sądził Kaja Holta, przedzierał się przez niezliczone nazwiska, pseudonimy i kombinacje cyfr. Obok niektórych nazwisk widniał krzyżyk, na dole jednej strony zauważył rysunek łzy. Nigdzie jednak nie znalazł Agnes Gerner, Carla Oscara Krogha ani Pielgrzyma. Na marginesie jednej z kartek widniały słowa „Vera, będzie miała na imię Vera”.

Doszedł już prawie do końca pliku, kiedy z sypialni rozległy się przekleństwa. To Sørvaag niechcący wyrznął głową o blat biurka.

Tommy uśmiechnął się lekko i wziął do ręki ostatnią kartkę. Wyglądała, jakby pochodziła z tego samego notesu, co wiele innych, ale była mocno pomięta.

Kilka razy odczytał słowa widniejące na papierze w czerwonej kratkę. „Mamy w koszu zgniłe jabłko”.

– W koszu? – powtórzył. – W jakim znów koszu?

Obok tych słów widniał ślad po czymś, co wymazano gumką, i to tak mocno, że papier był niemal przedziurawiony. Tommy wstał i spojrział na kartkę pod światło padające z lampy na suficie. Nacisk ołówka był tak mocny, że litery w lustrzanym odbiciu wciąż dały się odczytać na odwrocie kartki. Dużymi literami, dziecięcym prawie charakterem pisma napisano tam KROGH.

Tommy omal nie usiadł z wrażenia.

A więc Ivar Faalund miał rację... To Krogh był tą czarną owcą. Ale kto napisał na tej kartce jego nazwisko, a potem je wymazał? Vera Holt? Tommy westchnął. W takim razie jedynymi osobami, które twierdziły, że Krogh zdradził, był pijaczyna z Uddevalli i psychotyczna kobieta z wyrokiem za morderstwo. Nie była to drużyna marzeń, ale Tommy nie miał innego wyboru: musiał wierzyć, że tak to właśnie było.

– Mamy ją – powiedział Reuter z dumą małego chłopca w głosie.

Sørvaag stał z twardym dyskiem w ręku. Podniósł go do góry, jakby to był łup wojenny z jakiejś innej epoki.

„Te kilka słów na małej kartce wszystko zmienia” – pomyślał Tommy. Ale jednocześnie nie zmienia niczego.

Peter Waldhorst oczywiście wiedział o tym od samego początku. Bo cóż innego mógł powiedzieć Kajowi Holtowi w Lillehammer niż to, że nie kto inny, tylko Krogh wbił nóż w plecy całemu podziemiemu jesienią roku 1942?

I to właśnie zrozumiała Vera Holt.

A Tommy rzeczywiście przeoczył coś absolutnie banalnego – że pijaczyna z Uddevalli i świruska z Kolstadgata mogą mieć rację. Cała ta



sprawa umocniła go w przekonaniu, że to Carl Oscar Krogh polecił sprzątnąć Kaja Holta.

– Ano mamy – powiedział Tommy. – Ale ja na twoim miejscu jeszcze bym nie dzwonił do matki przełożonej.

Podał szefowi kartkę. Ten zmarszczył brwi i spojrzał na podwładnego pytająco. Tommy kiwnął głową, wstał i niemal siłą wcisnął mu kartkę do ręki.

Stali przez chwilę, mierząc się wzrokiem, po czym Reuter rozprostował kartkę i wyjął z kieszeni na piersi okulary.

– To na pewno napisał Holt – wyjaśnił Tommy. – Gdzie indziej wymienia imię „Vera”.

– „Mamy w koszu zgniłe jabłko” – przeczytał Reuter, zastanowił się i powtórzył te słowa do siebie.

– Zobacz, co jest napisane obok, ale wymazane.

Reuter podniósł kartkę do światła, odwrócił ją, odwrócił raz jeszcze.

– Chcesz przez to powiedzieć...

Tommy patrzył w zamyśleniu przed siebie.

– Wygląda na to, że Vera Holt wie o czymś, o czym nie wie nikt w tym kraju – powiedział.

– Nóż?

Tommy skinął głową.

– No tak – powiedział Reuter. – Dlatego zabiła go właśnie takim nożem, kordzikiem Hitlerjugend.

– I dlatego Krogh musiał sprzątnąć Agnes Gerner – dodał Tommy.

– Czyli to nie była żadna omyłkowa egzekucja – powiedział do siebie Reuter. – Może ten twój gość z Uddevalli jednak miał rację...

– Może Holt dostał w Lillehammer odpowiedź na dwa pytania? – zastanawiał się głośno Tommy. – Kiedy Waldhorst powiedział mu, kim był zdrajca, dowiedział się w ten sposób, kto zabił Gerner i pozostałą dwójkę. No i dowiedział się jednocześnie, kto wydał siatkę Milorgu i wywiadu brytyjskiego jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Bo za obie rzeczy odpowiadał jeden człowiek – Carl Oscar Krogh.

Reuter popatrzył na Tommy’ego smutnym wzrokiem.

– To dlatego Krogh na łeb na szyję uciekł do Szwecji – ciągnął Tommy. – Musiał nabrać nie tylko swoich. Kto wie, może przeszmyglowali go tam sami Niemcy, by znów znalazł się po właściwej stronie. W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego udało mu się zwalić winę na innego –

Gudbranda Svendstuenta i sam przeszedł zieloną granicę, by go zlikwidować.  
I od tego momentu siedział w Sztokholmie i czekał na koniec wojny.  
– Cholera, aż trudno w to uwierzyć – powiedział Reuter.

---

1. Sztokholm, 31 maja 1945. / Droga pani Holt. / Moje kondolencje. / To bardzo bolesna sprawa. / Szczerze oddany, / G. Persson. [\[wróć\]](#)

## **Piątek, 25 września 1942**

*Hammerstads gate*

Oslo

Agnes Gerner przyłożyła ucho do drzwi wejściowych, nadsłuchując kroków na schodach.

„Boże” – modliła się. „Zmiłuj się nade mną”.

Nagle jej nozdrza wypełnił zapach wody po goleniu Christophera Bratcharda. To były jego słowa, zupełnie jakby wiedział, że to się stanie – że na jej barki spadnie zbyt duża odpowiedzialność. I że to będzie oznaczało śmierć.

– *May God have mercy on your soul* – szepnęła.

Ale kroki nigdzie się nie zatrzymały.

Jeszcze dziewięć stopni. Policzyła wszystkie stopnie, musiało zostać tylko dziewięć.

Zostało jej dziewięć stopni życia.

Ampułka gniotła ją w dziąsło. „Teraz” – pomyślała. „Zrobię to teraz”.

Osiem stopni, siedem, sześć, pięć, cztery, ale nadal była to jedna osoba. Coś jej się tu nie zgadzało.

Podczas gdy liczba stopni malała, rosło jej tętno. Po chwili nie było już kolejnych uderzeń serca, tylko jednostajne drżenie całego ciała.

Jak to się mogło tak skończyć?

– Jak? – szepnęła, gdy zadzwonił dzwonek.

Uklękła na wycieraczkę, złożyła ręce, opuściła głowę i zaczęła się modlić. Była to modlitwa, którą zmawiała, gdy była małą dziewczynką. Gdy jeszcze żył ojciec, wtedy, gdy mieszkali w tym mieście.

Po chwili ręce miała mokre od łez.

Ampułka wciąż była cała. Włożyła do ust dwa palce i wsunęła ją między zęby trzonowe.

– Agnes? – odezwał się głos za drzwiami.

Było tak, jakby ktoś uderzył ją w głowę.

– Agnes?

I wtedy go rozpoznała. Popatrzyła na swoją lewą rękę.

„Twój na zawsze” – pomyślała.

Wypluła fiolkę do torebki, zamknęła ją i otworzyła drzwi.

W progu stał Gustav Lande. Miał twarz koloru swojej beżowej marynarki. Krawat rozluźniony, kapelusz ledwo trzymał mu się na głowie, włosy zwisały na czoło. Zapachu alkoholu nie można było pomylić z niczym

innym.

Nie zauważył nawet, że Agnes płakała.

– Słyszałaś? – spytał.

Długo stał na progu i patrzył na nią, jakby była dzieckiem, które straciło matkę albo ojca. Jak jego córka.

Agnes przyciągnęła go do siebie.

– Tak – szepnęła. I podziękowała Panu Bogu.

– Nie chcę cię stracić – powiedział. – Obiecuj, że nigdy cię nie stracę.

Przez długą, długą chwilę stali tak w drzwiach.

– Obiecuję – powiedziała Agnes.

## ***Piątek, 20 czerwca 2003***

*Komenda Policji*

*Oslo*

Kiedy już zaplombowali mieszkanie Very Holt i zwieźli zarekwirowane przedmioty na komendę, Tommy pozostał w biurze. Zgasił światło i siedział beczynnym z nogami na biurku, przyglądając się, jak w przeciągu tańczą pionowe żaluzje na oknie. Ciepły wietrzyk powinien go wprowadzić w dobry humor, uwieść złudzeniem, że tym razem lato trwać będzie wiecznie, ale tego dnia ta nieoczekiwana fala ciepła podziałała na niego przygnębiająco.

Nie mógł tego już dłużej odkładać. Znalazł komórkę i otworzył wiadomość od Hadji.

– Ja też za tobą tęsknię – szepnął i westchnął z rezygnacją. Długo szukał właściwych słów na odpowiedź, a skończyło się na pytaniu „Jesteś w domu?”, które wysłał bez większego zastanowienia. Zerknął na zegar, była już prawie pierwsza w nocy, ale wcale go to nie uspokoiło.

Właśnie usiadł na parapecie z dopiero zapalonym papierosem, kiedy komórka zadzwoniła. Pogłaskał go ciepły wietrzyk, zupełnie jak głos Hadji po drugiej stronie.

– Nie chciałem cię obudzić – powiedział.

– Mam dyżur, wręcz nie wolno mi spać. – W jej głosie słychać było radość i ulgę, że wreszcie nawiązał z nią kontakt.

Nie odpowiedział, bo nie miał pojęcia, jakich użyć słów.

– Znowu gdzieś wyjeżdżałeś? – spytała.

– Do Berlina.

– Tak jak mówiłam, masz ciekawą pracę – powiedziała.

Zaśmiał się cicho.

– Być może – odparł.

– Dużo o tobie myślałam.

– Aha – powiedział Tommy, jakby to mogło stanowić jakąś odpowiedź.

Zapadła cisza.

– Coś... nie tak? – spytała Hadja.

– Nie – odparł. – Albo... może zajrzę do ciebie, jeśli mogę?

Odczekała chwilę.

– Dobrze... wpadnij. – W jej głosie dało się wyczuć wyraźną niepewność.

Do Maridalsveien podrzucił go radiowóz. To pozwoliło mu przez kilka minut myśleć o czymś innym. Policjanci w radiowozie byli młodzi

i beztroscy, tacy jak on sam kiedyś. Rozmowa toczyła się płynnie, jeden z policjantów słyszał o nim, bo wśród mundurowych wciąż krążyła opowieść o słynnym zatrzymaniu, jakiego dokonali kiedyś z Bentem. Tommy postarał się, żeby legenda nabrała nowego życia, i dorzucił jeszcze jedną anegdotę z dawnych czasów.

Kiedy stał na Maridalsveien i patrzył za oddalającymi się światłami samochodu, zupełnie jak tamtego dnia, kiedy po wyjściu Hadji stał i patrzył z okna sypialni, nie był już taki pewny siebie.

Kiedy zobaczył ją po drugiej stronie drzwi wejściowych, ogarnęło go ogromne przygnębienie. Hadja zamachała do niego ręką, ale stała dalej w jaskrawym świetle przy recepcji, czekając na niego. Tommy westchnął i wszedł do środka. Biały strój Hadji przypominał mu Hege i uzmysłowił, jakie one są od siebie różne.

Weszli na klatkę schodową, stanęli i stali przez chwilę, patrząc na siebie.

– Uważasz, że wywieram na ciebie presję? Nie chciałam, Tommy... Po prostu nie potrafię ukryć uczuć. Oddaję się cała od razu...

On zrobił tylko jakiś grymas i odszukał paczkę papierosów.

– To moja słabość – powiedziała, podniosła rękę i pogłaskała go po policzku.

Tommy stał, przestępując z nogi na nogę. Równie dobrze mógł powiedzieć, że chce to ciągnąć dalej, że chce z nią dzielić całe życie, ale czuł, że to by się dobrze nie skończyło. Jeszcze nie teraz.

Zapalił i poczęstował ją, ale ona potrząsnęła głową, szukając jego spojrzenia. Tommy odetchnął głęboko.

– Tyle że... – zaczął.

– Nie możesz o niej zapomnieć – powiedziała cicho.

Nie wiedział, co ma na to powiedzieć.

– Hadjo... – odezwał się ledwo słyszalnym głosem.

– Chodzi o Hege, prawda?

– Jest parę spraw... które muszę uporządkować, Hadjo.

Kiwnęła głową, zamrugła, a jej oczy napełniły się łzami. Znów zamrugła, a wtedy po każdym policzku spłynęła mała strużka.

– Przepraszam cię – powiedział i uniósł rękę ku jej policzkowi.

– Idź – powiedziała z zamkniętymi oczyma. – Proszę cię, możesz już sobie pójść?

**Piątek, 20 czerwca 2003**

*Szpital Ullevål*

*Oslo*

Tommy Bergmann, Fredrik Reuter i Georg Abrahamsen w ciszy podążali do wejścia budynku nr 32 szpitala Ullevål.

Stare ceglane budynki psychiatrii zawsze oddziaływały na Tommy'ego przygnębiająco. Przypominały mu z przeszłości coś, czego nie był w stanie umiejscowić w czasie: może było to wspomnienie, które pragnął wyprzeć ze świadomości albo takie, które sięgało czasu zbyt odległego, by je teraz w pełni przywołać. Niekiedy bowiem budził się, mając w głowie resztki snu z rozmigotanymi fragmentami samego siebie z wczesnego dzieciństwa, biegnącego po zielonym linoleum korytarza budynku jak ten.

Jego nastroju nie polepszał fakt, że nie mógł w nocy zasnąć i leżał z otwartymi oczyma do czwartej, a może nawet piątej rano. Nie odważył się na dalsze życie z Hadją, nie bardzo odważał się też na dalsze życie z samym sobą. Coś takiego u wszystkich skutkowałoby bezsennością.

Vera Holt siedziała w białej szpitalnej koszuli w pokoju odwiedzin na pierwszym piętrze. Towarzyszyli jej pielęgniarz, pielęgniarka i mężczyzna w garniturze. Spojrzenie miała puste i szkliste, a ostrożny półuśmiech w każdej chwili gotów był przerodzić się w krzyk. „Albo to tylko moja wyobraźnia” – pomyślał Tommy. Wziął jej rękę, jednocześnie chłodną i wilgotną.

– Vera Holt – powiedziała ledwo słyszalnym głosem i nieznacznie skinęła głową.

Jej skóra była niewiarygodnie blada i Tommy pomyślał, że gdyby za tą kobietą umieścić lampę, pewnie stałaby się przezroczysta. Włosy miała świeżo umyte, bo pachniało od niej szamponem, ale było w nich coś martwego, jakby karma dla kotów nie dostarczała im dość składników odżywczych. Tommy zauważył, że miała krótko obcięte paznokcie – może chodziło o to, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Na skórze rąk widać było czerwone naczynka.

Łysy młodzieniec w garniturze wstał, przedstawił się jako pełnomocnik adwokata Erik Birkemoe i wyjaśnił, że jest prawnym opiekunem Very Holt. Zamienił z Reuterem kilka słów na temat przeszukania jej mieszkania oraz jej statusu jako podejrzaney.

– Widzieliście Baltusa? – spytała nagle Holt ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

– Baltusa? – powtórzył Reuter, marszcząc czoło.

Kobieta nie odpowiedziała. Podniosła szklisty wzrok i spojrzała przed siebie.

– Kota – szepnął Tommy.

– Tak, naturalnie – powiedział Reuter. – Daliśmy mu jeść i... – Nie skończył.

Vera Holt uśmiechnęła się nieobecny uśmiechem, jakby była z nimi, ale nie do końca.

– A więc dokonaliśmy przeszukania w miejscu zamieszkania Very Holt – powiedział Reuter, kiedy już wszyscy gdzieś się usadowili.

Ton głosu miał przesadnie urzędowy, a Tommy pomyślał, że chce w ten sposób zatrzeć wrażenie wywołane na samym początku przez podejrzaną pytaniem o kota. Spojrzał na ręce Very Holt. Siedziała, splatając je i rozplatając, ale absolutnie bez pośpiechu. Pod mankietami koszuli widać było bandaże na jej przegubach. Tommy nie wiedział, dlaczego tam są, ale też nie chciał wiedzieć.

Reuter położył sobie na kolanach teczkę i wyjął z niej średniej wielkości plastikową kopertę zamykaną na strunowy zamek. Na kopercie znajdowało się białe pole, na którym czarnym tuszem wypisany był numer sprawy i numer obiektu. Wewnątrz Tommy zauważył jeden z gazetowych wycinków znalezionych w mieszkaniu Holt. Carl Oscar Krogh miał tam wyklute oczy, co znów przypomniało mu widok w jego mieszkaniu.

– Czy to pani zrobiła? – zwrócił się Reuter do pacjentki.

Splatając i rozplatając palce, otworzyła usta i zaczęła szeptać, może była to piosenka albo jakieś zaklęcia. Tommy wyteżył słuch, żeby zrozumieć, co to takiego, ale słowa zagłuszał szum wentylacji.

Reuter zerknął na Tommy'ego, potem na pielęgniarkę, który siedział obok kobiety. Pielęgniarka wzięła kopertę z wycinkiem. Reuter zrobił gest, jakby chciał go powstrzymać, ale rozmyślił się i oparł wygodniej.

Zza drzwi znajdujących się za plecami Tommy'ego dobiegło ich głucho stuknięcie, a potem krótki krzyk, po czym nastąpiła cisza. Słyszać było tylko wentylację.

– Słyszałaś, co powiedział? – spytał pielęgniarka Very Holt.

Żadnej reakcji. Kobieta wpatrywała się w swoje palce.

– Czy pokazywała pani to innym? – spytał Reuter.

– Nigdy – odparła szybko, nie podnosząc wzroku.

Po chwili podniosła głowę i roześmiała się w sposób, od którego



Tommy'ego przeszły ciarki.

Równie nagle jak zaczęła, przestała się śmiać. Pełnomocnik adwokata kręcił się niespokojnie na krześle, sprawiając wrażenie, że żałuje decyzji o wzięciu w tym wszystkim udziału.

– Boisz się mnie? – spytała Vera Holt, po raz pierwszy patrząc wprost na Reutera.

– Nie – odparł Reuter. – Dlaczego miałbym się bać?

– Wszyscy się mnie boją – oznajmiła. – Czy to nie dziwne?

Głos miała cienki jak u dziecka.

– Ja się pani nie boję – powiedział spokojnie Reuter.

– Nowy mąż mamy... Za pierwszym razem miałam tylko cztery lata.

W końcu go zabiłam, rozumiesz? Zabiłam – powtórzyła głosem tak słabym, że ledwo go było słyhać.

Nikt przy stole nie kwapił się, żeby zabrać głos. Vera Holt znów zaczęła splatać i rozplatać pokryte bliznami palce.

Reuter wziął w rękę kopertę z fotografią Krogha.

– Czy dostała to pani od kogoś?

Vera Holt nieznacznie pokręciła głową.

Reuter odłożył kopertę, a z teczki wyjął inną. Była w nim jedna z kartek z notesu, które znaleźli w jej mieszkaniu. Reuter podał ją pełnomocnikowi, który podniósł ją do światła.

– „Mamy w koszu zgniłe jabłko” – przeczytał.

– I jeszcze te litery obok – powiedział Reuter i spojrział na Tommy'ego. Było rzeczą oczywistą, że Reuter uważał sprawę właściwie za zamkniętą.

„Nie przyszło ci do głowy, jakie będą konsekwencje” – pomyślał Tommy. „Jaka z tego zrobi się sprawa, że córka Kaja Holta zabiła Carla Oscara Krogha, dlatego że on sprzątnął w Sztokholmie Holta albo zlecił komuś jego zabójstwo”.

– Czy to napisał pani ojciec? – spytał Reuter.

Vera Holt skinęła głową.

– Dostałam to od niej, zanim umarła.

– Od niej?

– Od mamy.

– Chciałbym coś skonsultować z klientką – odezwał się Erik Birkemoe, oddając kopertę Reuterowi.

Zdjął okulary i pomasaował sobie grzbiet nosa. Był młody, pewnie jakieś osiem, dziesięć lat młodszy od Tommy'ego, i było oczywiste, że jeśli sprawa

okaże się medialnie efektowna, obronę Very Holt przejmie jego partner, adwokat.

Reuter skinął głową.

– Chciałbym jedną rzecz potwierdzić – powiedział. – Pańska klientka nie ma alibi na Zielone Świątki, prawda?

Birkemoe włożył z powrotem okulary i potrząsnął głową.

– Jak wiadomo, znaleźliśmy też pewną liczbę wycinków gazetowych związanych z morderstwem na trzech kobietach w Nordmarce – ciągnął Reuter.

Birkemoe mruknął coś, co zapewne miało oznaczać, że powtarzanie tego wszystkiego jest zupełnie niepotrzebne.

– Czy była pani w domu Carla Oscara Krogha w niedzielę ósmego czerwca?

Nie wyglądało na to, że pytanie dotarło do Very Holt. Zacisnęła szczęki, a potem wróciła do swoich szeptanych zaklęć, wpatrując się w swoje ręce i ruchy, które cały czas wykonywały.

– Cóż, jest podejrzana – powiedział Reuter do pełnomocnika – i jeśli możemy zdjąć odciski palców, to...

Tommy nachylił się do niej nad stołem.

– Czy pani rozmawiała kiedykolwiek z Niemcem o imieniu Peter? – spytał.

Vera Holt znieruchomiała na moment.

– Z Peterem Waldhorstem – sprecyzował Tommy. – Albo też Peterem Wardem?

Cisza. Nagle kobieta znów zacisnęła szczęki, a jej palce zaczęły się miarowo poruszać w tym samym geście, co przedtem.

Pełnomocnik Birkemoe ponownie zdjął okulary i zaczął masować grzbiet nosa. Przez jakiś czas siedział z zamkniętymi oczyma, a potem włożył okulary i ręką wskazał policjantom drzwi.

Kiedy wyszli na korytarz, Reuter westchnął z rezygnacją i trącił Tommy'ego w ramię.

– Nie do końca wymarzona klientka, co? – powiedział cicho.

Georg Abrahamsen siedział nieruchomo na krześle przed drzwiami, czytając gazetę. Podniósł na nich wzrok.

– No i jak? – spytał.

Tommy odczuł nagłą potrzebę wyjścia na świeże powietrze. Spojrzał w głąb korytarza, z tą jego podłogą pokrytą świeżo wypastowanym linoleum,

i na końcu zobaczył kwadratowe, zakratowane okienko. Ruszył tam, wiedząc, że gdzieś obok jest klatka schodowa.

Na zewnątrz stanął pod daszkiem przy wejściu. Lało rzęsiście i wszędzie stała woda, jakby właśnie trwała powódź stulecia.

Po kilku minutach drzwi za nim się otworzyły i wyszedł z nich Reuter. Popatrzył na zalany wodą świat.

Tommy zorientował się, że chlapiący deszcz zmoczył mu buty, jeszcze chwila, a będą przemoczone na wylot.

– To co, do domu? – odezwał się za plecami Reutera Abrahamsen. Na twarzy miał triumfalny uśmiezek. – Dwa całe paski odcisków, co za nie dostanę, Tommy? Ten młody ma nadzieję, że za taką współpracę z organami ona dostanie niższy wymiar.

– Stawiam kawę – powiedział Reuter, dając Tommy’emu kuksańca.

„Aleś się wysilił” – pomyślał Tommy.

Stali, patrząc, jak Abrahamsen gna w stronę parkingu, przyciskając swoją lotniczą torbę do piersi, jakby to było jego nowo narodzone dziecko.

– Rozpęta się piekło – powiedział Tommy, wrzucając niedopałek papierosa do wody tryskającej z końcówki rynny koło jego nogi.

– Nie martwmy się na zapas – odparł Reuter i podniósł kołnierz nowej wiatrówki polo, którą na pewno kupiła mu żona, żeby wyglądał przyzwoiciej.

– Dziś będziemy się delektować sukcesem, Tommy. A zmartwienia zostawimy matce przełożonej.

Pobiegli ku najbliższemu budynkowi i natychmiast przemokli. Kiedy dotarli do drzwi, Reuter śmiał się jak chłopiec.

Patrząc na niego, Tommy miał nieokreślone przecucie, że Reuter przestanie się śmiać jeszcze tego samego dnia. Może i Vera Holt w jakimś przebłysku zrozumiała, albo jej powiedziano, że to Krogh był zgniłym jabłkiem w koszu, ale skąd niby miała wziąć taki nóż? I jak zdołała zniknąć z Dr. Holms vei niezauważona? Ona, która nie bardzo wiedziała, co się dzieje poza jej głową? Ona, która nie była nawet w stanie zająć się sama sobą?

## ***Niedziela, 27 września 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Vinderen*

*Oslo*

Dopadła do drzwi, za sobą mając niemal zupełnie ciemny korytarz z kinkietami na ścianie, które dawały jednak tak mało światła, że równie dobrze mogłoby ich w ogóle nie być. Biegła tym korytarzem w jakimś pensjonacie czy może hotelu godzinami, może nawet całymi dniami. Po raz ostatni odwróciła się i zobaczyła sylwetki dwóch mężczyzn bez twarzy, którzy wyłonili się z mroku i mówili coś do niej niezrozumiałym językiem. Jeden z nich nachylił się do niej, oddech miał zgniły, jak u umierającego. Słowa, które wyszły z jego ust, były wymówione od tyłu. Krzyknęła, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Odwróciła się do drzwi, które teraz miały witrażowe okienko; po ich drugiej stronie było jaskrawe światło. Nagle na ramieniu poczuła ciężką rękę jednego z tych mężczyzn. Sięgnęła do klamki i jednym szarpnięciem otworzyła drzwi. Oślepiło ją jakieś niepojęte światło, a z tego światła powoli wyszła kobieta w jej wieku z wyciągniętymi ramionami.

Poczuła, że stoi w jakiejś lepkiej cieczy, która powoli się podnosi i sięga jej już do kostek.

„To światło” – pomyślała. „To światło”.

Nagle usiadła na łóżku.

Przez kilka sekund myślała, że to tylko sen... I nagle wszystko wokół niej rozpadło się na kawałki.

To była prawda. Wszystko było prawdą.

Zaciemniające zasłony były do połowy zaciągnięte i łopotały w otwartym oknie sypialni. Na spoconej skórze na karku poczuła chłód i nagle cała zaczęła się trząść z zimna, więc owinąwszy się kołdrą, szybko podeszła do okna i starannie je zamknęła. Drzewa w ogrodzie wyglądały, jakby lada chwila miały zrzucić liście, a wysokie krzesło dla sędziego na korcie tenisowym smętnie zwiesiło głowę. Chociaż pogoda była piękna, nie było wątpliwości, że zima jest tuż, tuż.

„To śmierć jest tuż, tuż” – pomyślała.

Jaki to dziś dzień? Niedziela. Od jak dawna tu jest? Od wtedy. Od piątku wieczór.

Jak, jak... mogła...

Wczoraj mieli dom pełen Niemców, przez cały dzień roiło się tu od ludzi z Sipo, a ona siedziała wśród nich i porozrzucanych na stołach gazet. „To straszne” – powiedziała do Brigadeführera Seeholza. „To wręcz potworne”. On zaś zapewnił ją, że na pewno znajdą tę koszmarną zamachownicę, koło dziesięciu osób już przywieziono na Möllergata, a dwoma zajęto się na Victoria Terrasse.

Agnes poratowała się wtedy toaletą dla gości. W szafce za lustrem odkryła paczuszkę żyletek. Oparłszy się plecami o drzwi, wiedzioną jakimś impulsem przejechała sobie lekko żyletką po przegubie. W osobliwy sposób ta metoda wydała jej się lepsza niż połknięcie cyjanku z ampułki. Napełniła nawet umywalkę ciepłą wodą, ale w końcu zdołała przekonać samą siebie, że naprawdę może jej się udać jakoś z tego wszystkiego się wyplątać.

Poszła spać dopiero o wpół do drugiej. Aby nie wzbudzać ich podejrzeń, siedziała i piła z Seeholzem, jego adiutantem i człowiekiem z Sipo nawet po tym, jak Gustav Lande poszedł spać.

Z ogrodu dobiegły ją jakieś głosy.

„I nikt” – pomyślała, wodząc oczyma za Cecilią, która nie wiadomo dlaczego przy tej pogodzie ubrana była w sztormiak i gumki i kuśtykając, goniła po trawniku służącą. „Nikt nie rozumie, co się stało”.

– Może z wyjątkiem ciebie – szepnęła do siebie samej.

Popatrzyła na służącą. Wyraźnie coś było z nią nie tak. Mimo swojego nierozgarniętego wyglądu była o wiele bystrzejsza, niż się wszystkim wydawało.

„Jakie to paradoksalne” – pomyślała. Wczoraj późnym wieczorem Brigadeführer Seeholz, pijany jak tylko on być potrafił, ucałował ją w oba policzki, strzelił obcasami i pożegnał gromkim *Heil Hitler*, co naturalnie odwzajemniła. Tylko jedno piętro oddzielało esesmana od welroda, który zabił dyrektora działu badawczego i jego sekretarkę, i tylko kilka centymetrów oddzielało go od kobiety, którą tak desperacko ścigał.

Agnes zrobiła tak, jak jej kazał Pielgrzym, to znaczy ukryła broń w domu Landego. Długi pistolet leżał schowany w pokoju Cecylii, na samej górze w szafie, której nikt nigdy nie używał, owinięty w stare ręczniki. Ukrycie go akurat w tym domu było albo genialnym pomysłem, albo czystym szaleństwem – sama nie wiedziała. Nie pojmowała też, dlaczego niby to właśnie ona miała przechowywać tę broń... Poprzedniego dnia chciała go zabrać z powrotem do swojego mieszkania, ale nie odważyła się wyjść z domu. Gdyby Waldhorst ją śledził, oznaczałoby to koniec wszystkiego.

Właściwie nawet nie odważyłaby się tam pojechać, musiała teraz zostać tutaj, ukryć się właśnie tu, między myśliwymi, żeby żaden z nich nie wpadł na to, że to ona jest tą łowną zwierzyną.

Jakiś dźwięk zakłócił jej myśli.

Zakręcono prysznic w łazience. Czy na to zareagowała?

Drzwi do łazienki były zamknięte, ale sądząc po odgłosach dochodzących spomiędzy drzwi i progu, on już zaczął się golić.

Kiedy to odlatywał jego samolot do Berlina? Nie pamiętała. Wróciła do łóżka, położyła się i przykryła kołdrą. W dziwny sposób tak czuła się bardziej bezpieczna. W samym oku cyklonu nikt nie mógł jej dosięgnąć.

Absolutnie nikt. W każdym razie nie tego dnia, kiedy zarówno Gustav, jak i Seeholz lecieli do Berlina. To da jej dobieć do namysłu.

Przesunęła się na jego stronę łóżka i spojrzała na stojące tam małe zdjęcie jego żony.

„Zaopiekuję się dla ciebie Cecilią” – pomyślała. „Mimo że nie wiem dlaczego, zaopiekuję się nią”.

– Obiecuję... – szepnęła do siebie.

Po kilku minutach Lande przyszedł z łazienki, szlafrok miał rozwiązany, a zapach jego wody po goleniu na chwilę ją oszołomił. Schylił się i pocałował ją. Agnes zamknęła oczy, sekretarka patrzyła na nią, krzyknęła bezgłośnie, szklanka upadła, na dębowym parkiecie rozlała się ciemna plama krwi. Martwe spojrzenie.

– Chodź – powiedział i ścisnął ją za rękę. – Zjedz ze mną śniadanie, zanim wyjadę.

„I już cię więcej nie zobaczę” – pomyślała. „To będzie ostatni raz”.

## ***Piątek, 20 czerwca 2003***

*Szpital Ullevål*

*Oslo*

Tommy Bergmann nie był zadowolony, że w kantine szpitala siedzą tak na widoku. Reuter uparł się, żeby usiedli przy stoliku najbliżej recepcji, a Tommy nie miał wyboru, musiał się zgodzić. Powodem, dla którego chciał się schować, była obawa przed spotkaniem z Hege. Nie wiedział, co prawda, czy dalej tu pracuje, czy może jest na urlopie macierzyńskim, ale jedno wiedział na pewno: że zwłaszcza teraz nie ma ochoty się z nią widzieć.

Spróbował przeczytać coś w „Dagbladet”, które ktoś zostawił na stoliku, ale szybko z tego zrezygnował.

Reuter zerwał tymczasem opakowanie z lodu w rożku, którego sobie kupił, i próbował doszukać się dodatku sportowego w „VG”. Tommy nie mógł pojąć, jak Reuter może mieć ochotę na loda, skoro jest przemoknięty do suchej nitki. Poruszył palcami w bucie i poczuł, jak w nim chlupocze. Reuter zaczął ostrożnie jeść loda, szukając jednocześnie okularów w wewnętrznej kieszeni marynarki. Tommy przyjrzał się mu uważnie. Zważywszy na jego brzuszysko, akurat loda mógł sobie Reuter oszczędzić. Jednak nie łakomstwo szefa go brzydziło, ale sposób, w jaki je loda. Miał pewność, że Reuter już za moment zacznie tego loda obracać i oblizywać, szybko wysuwając i chowając język jak jakaś baba.

– No co tam? – spytał Reuter, nie podnosząc wzroku.

– Nic. Pada deszczyk, pada, pada sobie równo – powiedział Tommy, próbując znaleźć papierosa, który byłby na tyle suchy, że dałoby się go zapalić.

Reuter zachichotał i przewrócił kolejną stronę.

Kiedy Tommy wstał z niezapalonym papierosem w ustach, na blacie stołu zaczęła wibrować komórka szefa.

„Coś wcześniej” – pomyślał Tommy. Czyżby Abrahamsen już zdążył sprawdzić odciski?

Reuter podniósł telefon i wysłuchał uważnie osoby po drugiej stronie.

– Zadzwoń później – powiedział w końcu.

– Nic? – spytał Tommy.

Reuter bez słowa pokręcił głową.

– Jeśli to Vera Holt, będzie niezłe piekło – zauważył Tommy Bergmann.

– Jak się przyzna i będzie dla wszystkich oczywiste, że to świruska, nie musi wyjść z tego żadna tragedia – odparł Reuter, wracając do swojego loda.

Tommy wyszedł i zapalił papierosa przy głównym wejściu. Jakiś dziadek o pożółkłej skórze oparł się na balkoniku parę metrów od niego, próbując wsadzić sobie do ust skręta.

Tommy patrzył na niego przez chwilę, potem odwrócił wzrok. Pomyślał, że być może Reuter ma rację, że Vera Holt jako winna w tej sprawie to w gruncie rzeczy dla wszystkich błogosławieństwo?

– Wiesz, jak się nazywa stadion Racing Santander? – spytał Reuter, kiedy Tommy powrócił do kantyny.

Tommy wzruszył ramionami.

– „El Sardinero” – powiedział Reuter i wykrzywił wargi w czymś w rodzaju uśmiechu. – Co ty na to?

– Wolałbym wiedzieć, czy dzwonił Georg.

Reuter potrząsnął głową, a sekundę później nagle się wyprostował, bo jego komórka znów zaczęła wibrować.

– *Speak of the devil* – powiedział i spojrzał na Tommy’ego z wyrazem twarzy podeksytowanego pięciolatka przy choince w Wigilię. Odebrał telefon.

– No, co masz dla mnie?

Tommy usłyszał wysoki głos Abrahamsena wystarczająco wyraźnie, żeby zrozumieć wyniki daktyloskopii.

– No ale... – zaczął Reuter.

Wyraz jego twarzy powiedział Tommy’emu wszystko. „Nawet nie ma sensu sprawdzać jej profilu DNA” – pomyślał. Odcisk palca na kordziku Hitlerjugend nie był jej. I tyle.

– Żaden... – bąknął Reuter. Włosy mu tymczasem wyschły i ułożyły się w fale, jak u jakiegoś młodocianego chórzysty. – Żaden nie pasuje?

Tommy włożył papierosa do kieszeni na piersi, odwrócił się, wyszedł bez słowa i ruszył ku parkingowi nieopodal oddziału psychiatrycznego.

Rzęsisty deszcz zamienił się tymczasem w gęsty kapuśniaczek, a Tommy’emu zrobiło się zimno. Może niekoniecznie dlatego, że był przemoknięty, a dlatego, że został całkowicie wytrącony z równowagi. Czuł, że przywrócić ją może Peter Waldhorst.

O ile zechce.

– Dokąd idziesz?! – krzyknął za nim Reuter.

Kobieta zmierzająca do sklepu Kiwi obejrzała się ze strachem na Tommy’ego i mężczyznę, który za nim wybiegł.

– A jak myślisz? – spytał Tommy, zatrzymując się



Reuter zrównał się z nim. Twarz miał czerwoną, oczy rozbiegane. Wyraźnie nie miał pojęcia, co powiedzieć. Stał tak przez chwilę.

– To nie ona, Tommy. To nie Vera Holt – wydusił wreszcie z siebie to, co było już oczywiste.

– Każ Lindzie zamówić mi hotel – rzucił Tommy i wyciągnął do Reutera rękę. – Kluczyki.

– Kluczyki? – zdziwił się Reuter.

– Do samochodu. Jedź taksówką – powiedział Tommy i poklepał się po kieszeniach. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął paszport, którego nie zdążył wyjąć po podróży.

Dopiero teraz do Reutera doszło, że jego podwładny wraca tam, skąd niedawno przyjechał. I że bardzo mu się spieszy.

– Ale Waldhorsta nie ma na listach pasażerów! – wykrzyknął. – Promowych też nie! Ani w wypożyczalniach samochodów! Ani...

Tommy zignorował go.

– Żadnego Waldhorsta ani Petera Warda – ciągnął Reuter, kiedy doszli do samochodu.

Tommy odwrócił się i spojrzał na budynek psychiatrii. Wyrzuty sumienia, które czuł z powodu oskarżenia Very Holt o morderstwo, które według drugiej księgi Mojżesza być może miała prawo popełnić, ustąpiły. Ona pewnie nigdy nie opuści tego szpitala, ale może to i lepiej dla niej oraz dla ludzi na zewnątrz...

Wyciągnął kluczyki z ręki Reutera, który tylko potrząsnął głową, ale nic już nie mówił.

– Kiedy Kennedy był w Berlinie? – spytał Tommy, naciskając guziczek na pilocie. Srebrnoszare mondeo wydało cichy gwizd.

Reuter przekrzywił głowę i przyjrzał się uważnie Tommy'emu, jakby sprawdzając, czy i jemu nie przydałby się pobyt w budynku obok.

– *Ich bin ein Berliner* – przypomniał mu Tommy. – Kiedy on to powiedział?

Jego szef nadal nic nie mówił, ale teraz już było po nim widać, że pracuje nad odpowiedzią.

– No więc kiedy Kennedy to powiedział?

– Zaraz – odezwał się Reuter. – Pozwól mi pomyśleć...

Tommy włożył do ust wilgotnego papierosa i zapalił go z niejaką trudnością.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim – powiedział w końcu

Reuter, patrząc pytająco na Tommy'ego. – W czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego.

Tommy otworzył swój notatnik. Połowa stron była mokra od deszczu, ale tusz nie rozmazał się na tyle, żeby nie dało się odczytać pisma. Przekartkował je, wodząc palcem po kolejnych stronach.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci – powtórzył do siebie.

Było to lato, w którym Bente Bull-Krogh zdała maturę, a parę miesięcy później zadzwonił ktoś, kto zdaniem żony Krogha był kobietą, i nie powiedział ani słowa.

Popatrzyli na siebie. Reuter zmarszczył brwi.

– Co jest? – spytał.

Tommy nie odpowiedział.

– Tommy?

Jego podwładny dalej nie odpowiadał, stał z nieobecną miną.

– Do cholery, Tommy... Dlaczego pytasz o to... *ich bin ein Berliner*?

– Nic, po prostu Waldhorst coś takiego powiedział...

– O roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim?

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci – powtórzył w roztargnieniu

Tommy.

– O co chodzi z tym Berlinem? – nie dawał za wygraną Reuter.

– Medycy sądowi nie mogli się pomylić, prawda? – spytał nagle Tommy.

– Co?

Tommy dalej był w swoim własnym świecie. Reuter poszukał jego wzroku.

– O czym ty mówisz?

– Służąca – powiedział Tommy. – Johanne Caspersen. Ona może ocalała.

Zgiął się wpół i wszedł do samochodu. Na moment zamknął oczy, przypominając sobie, jak stał z Waldhorstem przed szpitalem, obok czekającej taksówki.

„Przypadek to nic innego, tylko przeznaczenie. A przeznaczenie to nic innego, tylko przypadek”.

Wrzucił wsteczny i przez moment bał się, że przejeżdża właśnie po stopach Reutera, który stał tam, machając rękami. Spuścił szybę, wydmuchnął dym i wcisnął na desce rozdzielczej włącznik syreny.

Pół godziny później stał już przy okienku SAS-u na Gardermoen.

Dwa duże piwa w barze obniżyły mu tętno do akceptowalnego poziomu. Rozbawił go SMS od Arnego Drabløsa, w którym kolega zastanawiał się, czy

Tommy już całkowicie abdykował jako naczelny trener. Przyszło mu do głowy, że po zawodach w Göteborgu może rzeczywiście powinien zrezygnować z tej funkcji. Po tym wszystkim z Hadją... Myśli o niej odepchnął od siebie, spakował je gdzieś na samym dnie mózgu.

Na serwetce napisał dwa słowa:

„Kochałem ją”.

I szybko złożył serwetkę na czworo.

Potem przez kilka minut patrzył przez okno, przyglądając się kolejce ludzi wsiadających do samolotu linii Norwegian. Siedział tak i uśmiechał się lekko do siebie, nie wiedząc właściwie, dlaczego.

Musiał zacząć wszystko od początku, jakoś inaczej powiązać wątki w tej sprawie.

Jesienią 1963 roku zaczynają się tajemnicze telefony do Krogha.

W czerwcu tego roku Peter Waldhorst spotyka swoją obecną żonę na Tempelhof.

Służąca jednak nie zginęła.

Waldhorst kochał Agnes Gerner.

A Carl Oscar Krogh ponoć pracował dla Niemców.

I w końcu: Agnes Gerner go przejrzała i została zlikwidowana.

Wpatrywał się w pustą szklankę po piwie, jakby spodziewał się, że na jej dnie znajdzie rozwiązanie. Zaczynał tracić nadzieję, wszystko mu się już mieszało. Czy Waldhorst spotkał na Tempelhof kogoś, kto przypominał mu Agnes Gerner? Kto przypominał mu, że Krogh zabił ją w 1942 roku?

Kiedy stał w kolejce do bramki, przyszła mu do głowy wariacka myśl.

Czy na Tempelhof w 1963 roku Waldhorst spotkał służącą?

Czy jego żoną, kobietą, którą nazywał Gretchen, mogła być właśnie Johanne Caspersen?

## ***Niedziela, 27 września 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Vinderen*

*Oslo*

Kiedy Agnes Gerner weszła do kuchni, nagle wszystko stało się dla niej przeraźliwie jasne. Służąca Johanne Caspersen stała odwrócona do niej plecami, dokładając polana do pieca. Mimo to, kiedy Agnes weszła do pomieszczenia, nagle zeszywniała – zupełnie jakby miała oczy z tyłu głowy. A Agnes wiedziała, po prostu wiedziała, że była nieostrożna, cholernie lekkomyślna. I to odrażające stworzenie przejrzało ją na wylot! Agnes nie mogła tylko pojąć, jaki zrobiła błąd? Co naprowadziło tę Caspersen na trop?

Gdzieś za zamkniętymi drzwiami zadzwonił dzwonek telefonu.

„To już koniec” – pomyślała Agnes. „Dzwonią do Gustava, żeby mu powiedzieć, kim jestem naprawdę”.

– Odbiorę! – zawołał Lande, a coś w jego głosie podziałało na nią uspokajająco.

Przy stole siedziała Cecilia pogrążona w swoim własnym świecie. W centrum jej uwagi znajdował się blok rysunkowy, po którym zgrabnie poruszały się jej kredki. Agnes przyglądała się dziewczynce przez chwilę. Mała jeszcze jej nie zauważyła.

„Papier” – pomyślała nagle Agnes. „Peter Waldhorst. Papier. Waldhorst”.

Coś podeszło jej do gardła. Przez moment przygniotła ją myśl, że on zwabił ją w jakąś pułapkę. Właściwie powinna czuć ulgę, że od tak dawna nie daje znaku życia. Może jednak to właśnie jego milczenie tak bardzo pogarszało jej samopoczucie? Miała bowiem świadomość, że on może zjawić się za jej plecami w każdej chwili, zerwać z siebie maskę udawanej życzliwości i pokazać jej się takim, jakim pewnie jest naprawdę, czyli potworem.

– Czy pani będzie jadła śniadanie?

Agnes spojrzała jej prosto w oczy, dziwne ptasie oczy w ptasiej twarzy. We wzroku służącej było coś takiego, co potrafiło w mgnieniu oka pozbawić ją spokoju i poczucia, że kontroluje sytuację. Johanne Caspersen patrzyła na nią tak, jakby już była prawdziwą panią domu. Jakby Agnes już była martwa.

– Przepraszam... – wyszeptała Agnes, nie chcąc, by słyszała ją Cecilia. – Nie powinnam... – Tu się zacięła. Co właściwie próbuje zrobić? Przeprasić, że dała jej w twarz?

Służąca już stała przy piecu, z hukiem rzuciła na płytę żelazną patelnię.

Otworzyły się drzwi i wszedł Lande. Stał na środku kuchni w jednym ze swoich najlepszych garniturów, tym, który wkładał na spotkania z najważniejszymi osobistościami. Na szyi wisiał nie zawiązany jeszcze krawat. Agnes nie wiedziała, z kim oprócz Seeholza leci do Berlina, może z samym Terbovenem? Nie miała najmniejszego zamiaru tego dociekać – już nigdy nie miała zamiaru niczego takiego robić. Miała tylko dwa wyjścia: albo dostanie się do Szwecji, Bóg jeden wie jak, albo się tu przyczai, będzie siedziała cicho jak mysz pod miotłą, dopóki czegoś nie wymyśli, albo dopóki ktoś tam nie zrozumie, że trzeba ją wywieźć z kraju...

Cecilia podbiegła do ojca. Lande pochylił się i ją uściskał, a potem delikatnie popchnął z powrotem do stołu i rysunków. Cały czas patrzył na Agnes smutnym wzrokiem, jakby utracił wszystko, na co całe życie pracował.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział.

Na krótką chwilę Agnes zamknęła oczy i mignął jej na siatkówce obraz, wspomnienie z dzieciństwa. Była na karuzeli gdzieś w Anglii, nie wiedziała gdzie. Stała tam matka z ojcem, machając do niej.

– Nie chcę cię stracić – szepnął jej Lande na ucho, a jej serce nagle zwolniło rytm.

„Dzięki Ci, Boże kochany” – pomyślała i przez chwilę napawała się zapachem jego wody kolońskiej.

Lande objął ją ramieniem i wyprowadził do salonu. Było tam tak zimno, że kiedy usadził ją na kanapie, Agnes zaczęła się trząść. Lande okrył jej ramiona pledem. Agnes popatrzyła na puste krzesła wokół stołu, ciemny dębowy parkiet, białe ściany i ciężkie obrazy, które dziwnie do tego wnętrza nie pasowały.

„Jak ja sobie z tym poradziłam?” – zastanawiała się.

– Dzwonił Seeholz. – Lande podał jej paczkę papierosów, a Agnes pokręciła głową.

Lande zapalił, a ona zapatrzyła się w deszcz bijący w taras za oknem i zobaczyła samą siebie, jak siedzi tam razem z tym drobnym Niemcem, Waldhorstem.

– Powiedział mi, że w nocy aresztowano jakieś dziesięć osób z ruchu oporu.

Agnes zamknęła oczy.

– I wiesz co? – ciągnął Lande. – Ten fryzjer, do którego chodziłaś...

„Pielgrzym. Zabrali Pielgrzyma” – to była jej jedyna myśl.

– Helge K. Moen – powiedziała cicho.

– On jest jednym z nich. Cholerny lojalista. – W jego głosie nie było gniewu, raczej rezygnacja.

Miała nadzieję, że Lande nie widzi, jak jej nagie ramiona pokrywają się gęsią skórką.

– Ernst powiedział, że nie minie tydzień, a ci terroryści zawisną. To tylko kwestia czasu, kiedy znajdą tę zabójczynię i jej współników. – Lande patrzył tępo przed siebie, zapomniał o papierosie, który dopalał się powoli w jego palcach.

Agnes skinęła głową, nachyliła się i wyjęła papierosa spomiędzy jego palców.

Ocknął się.

– To straszne – powiedziała Agnes, nie patrząc mu w oczy.

Do salonu weszła Cecilia i wdrapała się Agnes na kolana. Agnes pogłaskała ją po włosach, a Cecilia splótła paluszki z jej palcami i otworzyła książeczkę, którą ze sobą przyniosła. Była to stara i podniszczona książka dla dzieci.

– Zanim zapomnę: mogłabyś dziś pozamykać wszystko w Rødtangen? – spytał Gustav. Spojrzenie miał znów przytomne. – Powinniśmy to zrobić w zeszłą niedzielę... Dacie sobie radę. Weź ze sobą Johanne, ona najlepiej wie, jak to się robi.

Agnes nie odpowiedziała, patrzyła na swoje odbicie w szybie. Cecilia przewracała kartki książki. Jej ciepłe ciało i wyczuwalne w nim tętno nagle nią wstrząsnęło.

– Czy on miał dzieci? – spytała w przestrzeń. – Ten dyrektor od badań, Rolborg?

Lande obrócił się ku niej. Kończył zawiązywać krawat. Skinął głową.

– Syna. – Znów odwrócił się w stronę tarasu.

Po policzku Agnes spłynęła łza.

– Kto miał dzieci? – zainteresowała się Cecilia.

– Nikt – powiedziała szybko Agnes.

– Rødtangen – powiedział Gustav Lande. – Rozmawialiśmy o Rødtangen, Cecilio. Pojedźcie tam dzisiaj.

– Rødtangen! – wykrzyknęła radośnie Cecilia. – Jedziemy do Rødtangen!

– Tak – szepnęła Agnes i pogłaskała ją po włosach. – Dzisiaj jedziemy do Rødtangen...

## ***Piątek, 20 czerwca 2003***

*Tegel / hotel „Berlin”*

*Berlin*

Kiedy drzwi do hali przylotów rozsunęły się, w Tommy’ego Bergmanna uderzyła fala ciepła. Wilgotne powietrze spowodowało, że koszula z długimi rękawami, którą miał na sobie, przylepiła mu się natychmiast do ciała. Chwilę później wrzucił do taksówki torbę z dopiero zakupionymi bokserkami i skarpetkami, po czym zatopił się w fotelu.

– Hotel „Berlin” – powiedział szoferowi.

Nazwa była tak całkowicie pozbawiona polotu, że wątpił, czy taki hotel w ogóle może istnieć.

– Lützowplatz – odparł taksówkarz tonem sugerującym, że chętnie wdałby się z pasażerem w rozmowę.

Żeby wybić mu to z głowy, Tommy zamknął oczy i oparł głowę o boczną szybę.

Hotel było świeżo wyremontowany i jak na jego gust zbyt nowoczesny, ale widok na skąpane w popołudniowym słońcu ciemnozielone korony drzew Tiergarten i pozłacaną Victorię na Kolumnie Zwycięstwa sam w sobie wart był tej podróży. Otworzył wychodzące na ulicę okno i przez chwilę napawał się szumem wielkomiejskiego życia.

Z biurka odezwała się jego komórka.

– Niczego nie rób, zanim nie skontaktujemy się z niemiecką policją, rozumiesz? Żadnego przesłuchania Waldhorsta, dopóki nie będziesz miał przy sobie Derricka albo któregoś z jego kumpli. – Głos Reutera nie pozostawiał cienia wątpliwości, że jakikolwiek protest ze strony Tommy’ego zostanie natychmiast odrzucony.

Spojrzał na zegar i pomyślał, że to będzie długi, bardzo długi weekend. Szanse na to, że komuś w Oslo późnym piątkowym popołudniem uda się wysmażyć formalne podanie do berlińskiej policji, były mikroskopijne. A gdyby jakimś cudem to się udało, słyszał wystarczająco wiele o niemieckiej biurokracji by mieć nadzieję, że jeszcze tego samego dnia by na nie zareagowała.

Przejrzał swój futurystyczny pokój pod kątem znalezienia jakiegoś minibarku, ale ponieważ poszukiwania nie dały rezultatu, zszedł do hotelowego baru, gdzie zamówił duże piwo i podwójną whisky.

Była już dziewiąta, kiedy zdecydował się, mimo wszystko, pojechać na Grunewald do Petera Waldhorsta. A co? Czy poruszanie się po tym mieście

było nielegalne? Jadąc do celu, stopniowo rozpoznawał ulice, widział, jak modne kamienice powoli ustępują miejsca patrycjuszowskim willom i parkom.

Kiedy skręcili w Gustav Freytag Strasse, jego plecy były mokre od potu. Na szczęście, kiedy wysiadł z taksówki, na chodniku owionął go błogosławiony wietrzyk. Przez chwilę stał i patrzył w ślad za czerwonymi światłami wracającego do centrum mercedesa.

Obrócił się w stronę willi. W słabym świetle zmierzchu wyglądała na opuszczoną, w żadnym z okien nie było widać światła. Nie paliły się też lampy na zewnątrz, choć z pewnością sterowane były fotokomórką.

„Dziwne” – pomyślał Tommy. Znalazł w komórce numer, wystukał go i słuchając dzwoniącego w środku telefonu, przyglądał się uważnie domowi.

Okna pozostały ciemne, wewnątrz nadal nikt nie dawał znaku życia. W końcu włączyła się automatyczna sekretarka, ale nie usłyszał powitania – ani Waldhorsta, ani jego żony Gretchen. Tylko szum, po którym nastąpił charakterystyczny pisk z informacją, że dzwoniący może teraz zostawić wiadomość.

Tommy przerwał połączenie.

Uderzyła go myśl, że się spóźnił, że Waldhorst opuścił dom na zawsze.



## ***Niedziela, 27 września 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Vinderen*

*Oslo*

Kiedy Gustav Lande odjechał w kawalkadzie samochodów Wehrmachtu, Agnes Gerner powlokła się schodami na górę i zamknęła w łazience. Nie będąc w stanie klarownie myśleć, położyła się na podłodze i leżała tak przez kilka minut, starając się nie zamykać oczu. Bo kiedy je zamykała, powracał koszmar. Trzymała więc oczy otwarte, wpatrując się w ściany i biały sufit i myśląc o tym, co będzie, jak Waldhorst zdecyduje się ją aresztować i każe powiesić na suficie w katowni Victoria Terrasse. Na dłuższą metę było to nie do wytrzymania, zamknęła więc oczy. Natychmiast seterka Bess przekrzywiła łeb i zamieniła się w sekretarkę, a krew tryskająca z dyrektora od badań trafiła ją w usta i spłynęła do brzucha, który rozciął nożem Waldhorst – od miednicy do mostka.

Z oddali usłyszała, że ktoś puka do sypialni. Po chwili zza dwóch par drzwi dobiegł ją głos służącej, podpełzła więc bliżej drzwi łazienki.

– Tak? – odpowiedziała słabym głosem.

– Pod drzwiami stoi jakiś niemiecki żołnierz – poinformowała ją służąca.

## ***Poniedziałek, 23 czerwca 2003***

*Tiergarten*

*Berlin*

Tommy Bergmann przewiesił się przez barierę nad wybiegiem dla niedźwiedzi w zoo. Powinien w sobotę wrócić do domu, ale został i łąził po Berlinie. W ten weekend przeszedł pewnie więcej kilometrów niż przez ostatnie dziesięć lat. Kupił sobie w tym celu nowe adidasy i plan miasta, po czym ruszył w Berlin, przy okazji odświeżając swoją szkolną niemczyznę i jedząc zdecydowanie za dużo. I mimo że łało przez większość weekendu, dobry humor go nie opuszczał.

Zapasy małych niedźwiadków poniżej tak go zafascynowały, że kiedy w kieszeni zaczęła wibrować jego komórka, niemal upuścił na nie loda.

– Za dwie godziny przyjdzie do ciebie jeden facet – oznajmił Fredrik Reuter po drugiej stronie. – Ale co tam u ciebie się dzieje? W cyrku jesteś czy co?

Tommy nie spuszczał oczu z niedźwiadka, który podczas zabawy spadł ze skarpy. Drugi niedźwiadek zsunął się za nim, jakby chciał się upewnić, że z kumplem wszystko w porządku.

– W zoo – odparł.

– To czujesz się jak w domu, nie?

– Powinieneś zostać komikiem – powiedział mu Tommy.

– Wiem... Tak czy owak za dwie godziny przyjdzie do ciebie ten gość.

– No, no, zaimponowałeś mi – powiedział Tommy.

– To nie ja. Złożyłem zamówienie w piątek, zaraz po twoim wyjeździe.

Jak ci wiadomo, Niemcy to porządny kraj. Tam kryminalni mają ostre dyżury.

– Coś podobnego – powiedział Tommy.

– To niejaki Udo Fritz – wyjaśnił Reuter.

– Fryc? Jaja sobie robisz? – spytał Tommy i rzucił na wybieg resztę loda, który rozbił się tam, nie wydając żadnego dźwięku.

Mimo zamieszania niedźwiadki zauważyły, że coś z góry do nich spadło. Tommy w duszy kibicował temu, który przegrał zapasy, ale naturalnie lód dostał się temu, który je wygrał. Przegrany oddalił się ze zwieszonym łebkiem.

– Sam bym tak pomyślał – powiedział Reuter.

– Udo Fritz... – powtórzył Tommy.

Po zjedzeniu obiadu pozostał w hotelowym lobby, czekając na niejakiego

Fritza. Przez jakiś czas zastanawiał się, co powiedzieć Waldhorstowi. Musi to być coś zaskakującego, coś, co od razu zbije go z tropu. Na przykład, że wie o Carlu Oscarze Kroghu i jego pracy dla Niemców. Ale dla Waldhorsta nie będzie to niczym nowym, że on wie. Pomyślał bowiem, że Waldhorst jest z tych, co nie tylko zawsze są o kilka ruchów do przodu, ale także o kilka partii do przodu. Zdał sobie sprawę, że podświadomie brak mu wiary w to, że on, Tommy Bergmann, ze swoimi dwoma kursami technik dochodzeniowych ze szkoły policyjnej jest w stanie wywieść w pole starego cwaniaka z Abwehry i gestapo.

A może to sam Waldhorst zabił Krogha? Musi w jakiś sposób zdobyć jego odciski palców, nie powinno to być takie trudne. Jako dowód to by się nie nadawało, ale przynajmniej przekonałoby Reutera, że zabójcą był Waldhorst.

Funkcjonariusz Fritz dał się łatwo zlokalizować: od strony recepcji dobiegł Tommy'ego czyjś głos wypowiadający jego nazwisko.

Wstał z fotela w strefie barowej i podszedł do kontuaru, jeszcze zanim recepcjonistka zdążyła go znaleźć w rejestrze gości.

– Państwo mnie szukają, zdaje się?

Fritz obrócił się. Tak jak Tommy na pierwszy rzut oka rozpoznał w nim glinę, tak i on najwyraźniej od razu zobaczył kolegę w Tommym.

W drodze do Grunewald wymienili kilka grzecznościowych uwag. Fritz sprawiał wrażenie całkowicie niezainteresowanego tym, co Tommy'ego sprowadziło do Berlina, a jemu to bardzo odpowiadało. Zagłębił się więc w fotelu, słuchając w policyjnym radiu trzasków i krótkich meldunków po niemiecku. Starając się zrozumieć pojedyncze słowa, wyobrażał sobie, jak to było, kiedy niemiecki panował jako język komend w jego własnym mieście. W czasach, w których Peter Waldhorst zakochał się w Agnes Gerner.

I ją potem zabił?

Myśl, że to sam Waldhorst mógł zabić Gerner, nie była mu całkiem obca już wcześniej. „Może zgadłem prawdę” – przyszło mu teraz do głowy. „Ale pomyliłem się co do motywu?”

## ***Niedziela, 27 września 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Oslo*

Młody podoficer SS zerknął na nią w lusterku wstecznym, a Agnes Gerner odwróciła twarz. Próbowwała przekonać siebie, że z ust pachnie jej pastą do zębów, a nie wymiocinami. Kiedy służąca powiedziała, że pod drzwiami stoi niemiecki żołnierz, Agnes najpierw nachyliła się nad umywalką i najciszej jak można opróżniła sobie żołądek, a dopiero potem zeszła na parter. Służąca miała minę, jakby chciała powiedzieć: „Wiedziałam, że tak będzie!”. Jeszcze na schodach Agnes zauważyła czarne spodnie przybysza i zrozumiała, że to nie jest zwykły żołnierz Wehrmachtu. Omal wtedy nie zemdląła i musiała się mocno przytrzymać poręczy.

Jej ręka poszukała torebki. Spanikowana nie zdążyła wyjąć z niej ampułki z cyjankiem, a teraz bała się ją otworzyć: obawiała się, że esesman natychmiast zatrzyma samochód i przeszuka jej torebkę, wyrzucając na tylne siedzenie całą jej zawartość.

Na skrzyżowaniu przy Majorstua przyjrzała się salonowi fryzjerskiemu Helge K. Moena. „Kto cię wydał?” – zastanawiała się. Modliła się, żeby esesman pojechał w prawo w dół Kirkeveien, a nie prosto. Bo jazda prosto, w Bogstadveien, mogła oznaczać tylko jedno. Agnes popatrzyła na dziewczynkę, która przechodziła z matką przez ulicę. Dziewczynka podskakiwała, jakby grała w klasy. Kiedy żołnierz nacisnął na pedał gazu i przejechał skrzyżowanie na wprost, Agnes była pewna, że Cecilii już w życiu nie zobaczy.

„No tak, Victoria Terrasse” – pomyślała. „Zamkną mnie obok celi Pielgrzyma, żebym słyszała, co z nim wyprawiają”. Może będzie go katował sam Brigadeführer Seeholz? Wiedział już pewnie, że Pielgrzym to jej wielka miłość. Czyż nie powiedział jej, że ma być dobra dla Gustava Lande? A ona co popełniła? Nawet nie jedno morderstwo, a dwa! I to tego samego dnia, kiedy Anglicy wykonali ten swój kretyński nalot, próbując zbombardować Victoria Terrasse!

Kiedy wjechali we Frederiks gate, Agnes była o sekundy od przyznania się. Zanim zamknęła oczy, zobaczyła jeszcze ciemne chmury nad pałacem i wiszącą nad nim, czekającą na pierwsze krople deszczu flagę ze swastyką. Obrazy, na które czekała, wcale jej się przed oczyma nie pojawiły: ani dzieciństwo, ani ojciec, ani matka, nic z czasów przed tymi wszystkimi

okropieństwami. Nie zobaczyła nawet bezgłośnego krzyku sekretarki dyrektora.

Samochód skręcił w prawo, w Drammensveien.

„Następny zakręt będzie w lewo” – pomyślała. „Już za kilka metrów...”.

Samochód szarpnął, kiedy na małym wzniesieniu żołnierz wrzucił trójkę.

Agnes nie potrafiła się powstrzymać: otworzyła oczy i gwałtownie obróciła się na siedzeniu. Przez krótką chwilę widziała ten biały, otoczony zasiekami budynek w nienaruszonym stanie. Z jednej z sąsiadujących z nim, zawalonych kamienic, unosiła się wciąż smużka czarnego dymu.

Obróciła się z powrotem i w lusterku napotkała spojrzenie młodego podoficera SS. Zaczerwieniła się. Kiedy skręcili w Bygdøy allé, nie było już żadnych wątpliwości. Agnes pomyślała, że może powinna powiedzieć coś w stylu „Jakie to straszne z tą Victorią Terrasse”, i że Anglicy z pewnością przegrają wojnę... Ale nie udało jej się niczego wykrztusić.

– *Kommen Sie, bitte?* – powiedział esesman, kiedy zaparkowali przed białą kamienicą, w której mieszkał Peter Waldhorst. Dookoła nie było żywej duszy. Zerknęła w kierunku kościoła Frogner i pomyślała, że pewnie nie będzie miała pogrzebu. I że jej matce będzie wszystko jedno.

Za sobą słyszała stukot podkutych butów esesmana.

„Co zrobili z Pielgrzymem?” – zastanawiała się, naciskając guzik dzwonka. „Czy dlatego on wiózł mnie obok Victoria Terrasse? Żebym zrozumiała?”

– *Fräulein Gerner für den Hauptsturmführer* – powiedział żołnierz do domofonu.

Drzwi otwały się. Schody pachniały mydłem, a Agnes pomyślała, że to pewnie ostatni zapach, który przyjdzie jej pamiętać. Kiedy stanęła przed drzwiami na górze, nie mogła sobie przypomnieć, jak pokonała te cztery piętra. Na mosiężnej tabliczce wciąż widniało nazwisko „Berkowitz”. Waldhorst najwyraźniej czerpał z tego jakąś perwersyjną przyjemność.

Patrząc na klamkę, usłyszała, jak w masywnych drzwiach przekręcany jest zamek. Naszła ją nagła chęć, żeby się cofnąć o kilka kroków, a potem runąć cztery piętra w dół i roztrzaskać się na granitowej podłodze parteru. Zastanawiała się tylko, czy jest w stanie zrobić te kilka kroków. Za sobą usłyszała trzaśnięcie obcasami – to w drzwiach stanął Waldhorst. Miał na sobie szary garnitur, idealnie pasujący do koloru jego twarzy. Pomyślała, że przypuszczalnie nie zmrużył tej nocy oka. Waldhorst machnął ręką, odsyłając esesmana, i szczechnął coś po niemiecku, czego nie udało jej się zrozumieć.

W ręku trzymał rozłożone „Aftenposten”, a ona doskonale wiedziała, co jest w widocznym tam artykule. Zdążyła tylko przeczytać w nagłówku wyraz BLONDYNKA, a po chwili Waldhorst stanął tuż przed nią i położył rękę na jej ramieniu.

– To dziwne, właśnie siedziałem i czytałem gazetę, a tu pani... – powiedział szorstkim tonem, nie takim, jaki pamiętała. Jego oddech pachniał pastą do zębów, a policzki wodą kolońską, ale to nie wystarczyło, żeby zamaskować zapach alkoholu z poprzedniej nocy.

Jakimś cudem udało jej się zrobić kilka kroków i drzwi za nią się zatrzasnęły.

Na niskiej komódce po lewej stronie wejścia leżał kordzik Hitlerjugend, którego tu wcześniej nie widziała. Agnes przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał na świeżo wyczyszczony, wręcz nieużywany. Nie, z całą pewnością wcześniej go tu nie było. Nie wiedziała, dlaczego tak stoi i patrzy na ten nóż. Może nogi odmówiły jej posłuszeństwa? Spróbowała wysunąć do przodu prawą stopę, wykręcić nieco piętę.

– To mojego brata – powiedział Waldhorst. – Mojego jedyne go brata. Agnes nic nie powiedziała.

– Nawet nie wiem, gdzie go pochowali. Przysłali mi to, opowiadałem może pani ostatnim razem?

– Tak, wspomniał pan... Bardzo mi przykro... – powiedziała cicho Agnes. Ta sytuacja w jakiś absurdalny sposób sprawiła, że jej tętno zwolniło.

– Płaszcz? – spytał Waldhorst.

Potrząsnęła głową. Jej dłonie ścisnęły pasek torebki.

– Toaleta... – szepnęła.

– Nie – odezwał się z tyłu Waldhorst.

Poprowadził ją przez pierwszy salon do drugiego, a dalej do biblioteki. Na stoliku między głębokimi fotelami stała srebrna taca ze srebrnym imbrykiem i dwoma porcelanowymi filiżankami malowanymi we wzór Ascot. Przez głowę przeleciały jej te same obrazy, co w piątek wieczorem: ona na wolno obracającej się karuzeli, podnoszący się i opadający konik, kiwający do niej rodzice, letni dzień tak ciepły, jak może być tylko w Anglii.

– Skoro pani jest pół-Angielką... – podał jej dzbanuszek z mlekiem.

Jedyne, co była w stanie zrobić, to kiwnąć głową.

– Dlaczego pani tak ścisną tę torebkę, panno Gerner? – Waldhorst wstał i wyciągnął torebkę z jej rąk.

I wtedy zobaczyła to wyraźnie: jedynym jej zmartwieniem będzie ten

nagły ból, a potem wszystko znów będzie dobrze.

– Rozmawiałem w nocy z kilkoma pani znajomymi – powiedział Waldhorst, patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie. Rozłożył na stole „Aftenposten” i wysypał na gazetę zawartość jej torebki. Za oknami dał się słyszeć hałas przejeżdżającej kawalkady.

Agnes przeczytała odwrócony do góry nogami tytuł w rozłożonej gazecie: ANGLIKOM SIĘ NIE UDAŁO. Obok było zdjęcie nietkniętego Victoria Terrasse. A jeszcze obok, nad jednoszpaltowym artykułem po prawej stronie: AKT TERRORYSTYCZNY. POSZUKIWANA KOBIETA.

Zamknęła oczy, a on rozkładał na stoliku między nimi przedmiot po przedmiocie z jej torebki.

Otworzyła oczy i patrzyła, jak mężczyzna obok niej zagląda do jej pustej już torebki. Z najwyższym trudem powstrzymywała śmiech. Najwyraźniej miała na tyle przytomności umysłu, żeby zawinąć ampułkę w papier toaletowy i włożyć sobie do majtek. Widok esesmana tak ją jednak przestraszył, że o tym po prostu zapomniała. Poczowała, jak papier uwiera ją w podbrzusze, i spłynął na nią całkowity spokój, a takiej przyjemności, jaką nagle odczuła, nie doświadczyła od lat. „Oszukałam cię” – zaśpiewała sobie w myśli, patrząc na Waldhorsta i wszystkie te nieistotne przedmioty wydobyte z jej torebki.

On zaś zachował kamienną twarz. Bez słowa włożył wszystko na miejsce: szminkę, zapalniczkę, klucze do willi, klucze do letniego domku, dowód tożsamości, papierosy, list od siostry...

A potem umieścił torebkę z powrotem na jej kolanach, jakby nic nie zaszło, i zamieszał łyżeczką w swojej filiżance.

– Jestem narzeczoną Gustava Lande – odezwała się z udanym gniewem – i mam...

Niemiec położył dłoń na jej ustach. Drugą ręką podniósł gazetę, nie spuszczać jednak wzroku z Agnes.

Cisza była nie do wytrzymania. Waldhorst cofnął rękę, przerzucił strony w gazecie, ominął strony omawiające angielski nalot na Victoria Terrasse i doszedł do strony, na której policja państwowa wypowiadała się na temat tego, co nazywali aktem terrorystycznym, to znaczy zabójstwa dyrektora działu badań Torfinna Rolborga i jego sekretarki.

Spokój, który czuła Agnes, odpłynął gdzieś równie szybko jak przedtem na nią spłynął.

– Jutro Sipo ogłosi nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy koron

– odezwał się Niemiec. – To więcej, niż trzeba, żeby ktoś zaczął mówić.

Przed oczyma Agnes znów pojawiły się obrazy. Siedziała na karuzeli, machała ręką, ale ani matka, ani ojciec do niej nie zamachali. Nie było ich. Nikogo tam nie było.

– A co to ma wspólnego ze mną? – spytała spokojnie. Mimo wszystko.

Waldhorst nie odpowiedział. Wodził wzrokiem po błyszczącym parkiecie, perskich dywanach, obrazach z pejzażami przedstawiającymi dziką naturę zachodniej Norwegii, ciężkich bibliotecznych szafach pełnych książek, których rodzina Berkowitzów nigdy już nie przeczyta.

– A więc – odezwał się nagle Waldhorst i wstał z fotela. – Usiłuję... – Nie mogąc dobrać słów, zaczął dreptać w kółko przed oknami. W końcu zrezygnował i oparł się o parapet. – Żeby wykonać czarodziejską sztuczkę, człowiek jest zależny od publiczności, która chce w nią uwierzyć – powiedział, nie patrząc na nią. – Która naprawdę chce uwierzyć. Zgadza się pani ze mną, panno Gerner?

Siedziała nieporuszona.

– I to właśnie zrozumiał nasz Wódz. I to powiedzie nas na zatracenie.

– Nie wiem, do czego pan zmierza.

– Oni chcą mu wierzyć, nieprawdaż?

Agnes potrząsnęła głową.

– Wodzowi? – wyszeptała.

– Nie, nie Wodzowi... Nie rozumie pani, kogo mam na myśli? –

Waldhorst wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem.

– Naprawdę, nie mam czasu...

– *Der Pilger* – powiedział cicho Niemiec. Zakrył twarz dłońmi, a potem przeczesał nimi włosy. – Rozumie pani wreszcie? Ten, z którym pani chce mieć dziecko!

Agnes pokręciła głową. Musiała natychmiast wyjść z tego domu wariatów!

Waldhorst podszedł do biurka.

– Niech pani poczeka – wymamrotał. – Sama pani zobaczy.

– Coście z nim zrobili? – usłyszała swój głos. Trzymając mocno podłokietnik kanapy, dźwignęła się jakoś i ruszyła w stronę biurka, mimo że nogi pod nią drżały.

Gestapowiec stał pochylony nad mahoniowym blatem biurka, w którym wyciągnięte były wszystkie szuflady. Przeglądał jakąś teczkę pełną papierów.

„Nie słyszał, co powiedziałam” – pomyślała Agnes. Gdyby miała pistolet,



natychmiast zastrzeliłaby tego szaleńca.

– Co to pani mówi? – spytał cicho Waldhorst, nie ruszając się z miejsca.

Agnes zatrzymała się na środku pokoju. Przy zaciągniętych do połowy zasłonach pograżony był w półmroku, paliła się tylko lampa na biurku, rzucając światło na ciemne tapety i obrazy. Nie miała pojęcia, do czego Waldhorst zmierza.

Kiedy zrobiła krok w jego stronę, obrócił się ku niej. W ręku trzymał plik papierów.

– Niech pani sama zobaczy. – Upuścił papiery na podłogę. – Proszę!

Stali tak, patrząc na siebie, a papiery leżały między nimi. Agnes cofnęła się instynktownie, mimo że nogi nie bardzo były jej posłuszne.

Waldhorst przyklęknął, podniósł jeden z arkuszy i wręczył jej bez słowa. Agnes patrzyła na niego. Kiedy Waldhorst położył rękę na jej policzku i ostrożnie pogłaskał, Agnes odwróciła głowę. W końcu jednak spojrzała na papiery, ale litery zlewały się ze sobą i nie mogła nic odczytać. Widziała tylko liczby i litery, które tańczyły jej przed oczyma.

– Dlaczego pan mi to pokazuje?

– To dowody wypląt – powiedział cicho Waldhorst. – Pokwitowania. Więcej pieniędzy, niż pani widziała w całym swoim życiu. Franki szwajcarskie, szwedzkie korony, Reichsmarki.

– No i?

– Wystawionych na Santiago. – Znów przybliżył dłoń do jej policzka, a ona podniosła rękę i odsunęła ją.

– Santiago?

– Tak, Santiago – powiedział Niemiec. Odwrócił się, usiadł przy biurku i z wewnętrznej kieszeni wyjął papierosa.

Agnes pokręciła powoli głową.

Twarz Waldhorsta była poważna. Z biurka wziął stołową zapalniczkę i przypalił sobie papierosa.

Zaciągnąwszy się kilka razy, zmienił pozycję. Agnes poczuła, że w brzuchu znów zbiera jej się na śmiech. Czy to ona zwariowała, czy on? Dziwny typ ten Waldhorst.

Nagle wstał, podszedł do okna i rozsunął ciężkie story. Młody chłopak na zdjęciu z biurka uśmiechnął się do niej. Brat Waldhorsta, jeszcze chłopaczek.

Przez dłuższą chwilę stał przy oknie i palił w ciszy. Nad miasto nadciągnęła chmura i spadł lekki deszcz, a jego krople spływały po szybach.

– Kto wędruje do Santiago de Compostela? – spytał Waldhorst, mówiąc

jakby do siebie.

Oparł czoło o szybę, a Agnes podeszła do niego, nie mając siły zastanowić się nad jego pytaniem.

Niemiec miał zamknięte oczy.

„Santiago de Compostela... Apostoł Jakub... O Boże... Boże miłosierny” – pomyślała Agnes. „Powiedz, że to nieprawda”.

– *Der Pilger*... Myślę, że on wymieni pani nazwisko, może już jutro – szepnął jej do ucha Waldhorst.

Jego dłoń znów pogłaskała jej policzek. Przez moment opuściła ją panika, przez ten ułamek sekundy pragnęła, by nie zabierał ręki, żeby ją ocalił.

I nagle to wszystko minęło.

Odrzuciła jego rękę.

– Co pan tu wygaduje, pan jest chory! – krzyknęła. – Chory!

Waldhorst stał nieruchomo, trzymając ją za ręce w żelaznym uścisku.

– Jestem narzeczoną Gustava Lande, nie rozumie pan?

– No to dlaczego chce mieć pani dziecko z Pielgrzymem?

W pokoju zapadła cisza.

Co ona najlepszego zrobiła?

Waldhorst miał kamienną twarz, ale puścił jej przeguby.

– Jutro wyznaczymy nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy koron. Jutro też Pielgrzym ma swoje kolejne spotkanie ze swoim niemieckim oficerem prowadzącym.

Waldhorst wyjął z kieszeni chustkę i otarł sobie twarz.

– Skąd pan to wie? – Jej głos był prawie niesłyszalny.

Wziął ją za rękę.

– Bo to ja jestem jego oficerem prowadzącym – wyszeptał.

Wyszarpnęła rękę i cofnęła się o krok.

Waldhorst nie próbował jej przytrzymać. Stał nieruchomo na środku pokoju wśród porzucanych pokwitowań od Pielgrzyma. Kiedy Agnes cofnęła się do drzwi salonu, nie wykonał żadnego gestu. Stał apatycznie, z rękoma zwisającymi wzdłuż ciała.

Agnes odwróciła się i przeszła przez oba salony.

Za jej plecami panowała całkowita cisza.

Przekręciła gałkę zamka i zerknęła na nóż Hitlerjugend leżący na komódce. W jakimś wariackim odruchu wyciągnęła po niego rękę, ale rozmyśliła się i zostawiła go tam, gdzie był.

Odgłos jej kroków odbijał się echem po klatce schodowej i uniemożliwił

usłyszenie, czy on idzie za nią. Na ulicy zalał ją deszcz, ale odchyliła głowę do tyłu, pozwoliła kapeluszowi spaść i wodzie spłynąć po swojej twarzy.

Ruszyła w kierunku placu Solli. Powoli, jakby nic się nie stało.

Odwróciła się tylko jeden jedyny raz: na skrzyżowaniu z Niels Juels gate.

– Nie – powiedziała na głos do siebie.

A może jednak za sobą zobaczyła jakiś cień? Cień człowieka, który ją prześladowuje?

– Nie – szepnęła prosto w deszcz.

## ***Poniedziałek, 23 czerwca 2003***

*Gustav Freytag Strasse*

*Berlin*

Kiedy Tommy Bergmann przedstawił się do domofonu, Peter Waldhorst po drugiej stronie tylko westchnął z rezygnacją.

– To nie Vera Holt – poinformował go Tommy. Oparł się o zamkniętą żelazną furtkę i próbował dojrzeć, czy w domu panuje jakiś ruch.

– Przykro mi – powiedział Waldhorst. – Niestety, w tej sprawie nie mam nic do dodania.

Tommy nie wiedział, co ma powiedzieć. Spojrzał na Fritza, który stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami i ściągniętymi brwiami, najwyraźniej próbując zrozumieć ich dziwny język.

– Czy pojechał pan do Oslo sam? – spytał Tommy w mikrofon.

Zamiast odpowiedzi musiał się zadowolić kilkoma trzaskami.

Spojrzał znów na Fritza, który zdawał się mieć zbyt wiele szacunku dla tej dzielnicy, żeby w czymkolwiek mógł mu pomóc. Teraz wzruszył ramionami i zrobił obojętną minę.

– Nie byłem w Oslo od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku – odezwał się głos z całkiem bliska.

Tommy podniósł głowę i zobaczył, że stary wyszedł z domu i stoi na schodkach, trzymając się poręczy. Po chwili ruszył powoli wyłożoną płytami ścieżką w stronę furtki. Opierał się na lasce z wypolerowanego, szlachetnego drewna i wyglądał na dużo starszego niż wtedy, kiedy Tommy widział go po raz ostatni. Bordowy sweter miał powypychany, a jasne, nieco za krótkie spodnie były pomięte i nieodpowiednie na tę porę roku.

– Niech ta laska pana nie zwiedzie – odezwał się Waldhorst. – Wczoraj skręciłem sobie nogę na korcie.

Kiedy zobaczył, że Tommy nie jest sam, pokręcił głową. Twarz miał białą jak papier. Nawet poświata wieczornego słońca rozjaśniająca ogród nie potrafiła nadać skórze Waldhorsta pozoru życia. Wyglądał, jakby był kimś innym niż jeszcze kilka dni temu.

– Czy coś się stało? – spytał Tommy.

– W moim wieku niewiele się dzieje, panie Bergmann, jeśli nie liczyć tego, że pan pojawia się tu niezapowiedziany i przeprowadza przesłuchanie.

Tommy otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale Niemiec powstrzymał go ruchem ręki.

– Cóż, pewnie będę musiał zadzwonić na policję, panie Bergmann... Czy

naprawdę muszę panu przypominać, że jest pan tylko norweskim policjantem na niemieckim terytorium?

Tommy wskazał ręką Fritza. Ten włożył rękę między pręty furtki i przedstawił się, po czym zamienili kilka krótkich zdań po niemiecku. Z tej krótkiej rozmowy Tommy zrozumiał, że Fritz prawie płaszczy się przed starym oficerem.

– Pańska żona... Lepiej się czuje? – spytał, odwołując się do istotnego pytania.

– Gretchen – powiedział cicho Waldhorst i potrząsnął głową. – Nie, nie czuje się lepiej, panie Bergmann.

– Czy Gretchen to... Johanne Caspersen? – spytał Tommy i czekał na reakcję.

„Mam cię” – pomyślał i przestąpił z nogi na nogę jak chłopczyk, który nie może ukryć swojej niecierpliwości.

Waldhorst potrząsnął głową i zmarszczył brwi, jakby naprawdę nie rozumiał, o co Tommy’emu chodzi.

– O czym pan mówi? – zdziwił się. – Johanne Caspersen? A kto to jest?

Tommy wymienił spojrzenia z Fritzem, który rozłożył ręce.

Po chwili Tommy spróbował przywołać na twarz pojednawczy uśmiech, ale czuł, że się czerwieni. Zaczęły piec go policzki. Myślał, że zatriumfuje nad Waldhorstem, całkowicie go obnaży. Zamiast tego widział zbitego z tropu, nic nie pojmującego starego człowieka.

– Proszę pana, możemy wrócić jutro – powiedział Fritz do Waldhorsta. – Jest już późno.

– No dobrze – odparł Waldhorst. – Tak czy owak nie jestem dziś w nastroju, żeby zaprosić was do środka. – Odwrócił się do nich plecami. – Do widzenia, panowie.

– To nie Vera Holt zabiła Krogha – odezwał się Tommy. – Dlatego przyjechałem. Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Ach tak? – Waldhorst stanął, ale nie odwrócił się.

– Dlaczego pan mi powiedział, że pan kochał Agnes Gerner?

– To była głupota – odparł Niemiec. – Zwykła głupota.

– Więc to nieprawda?

Waldhorst wrócił i chwycił ręką za furtkę.

– Powiedziałem, co powiedziałem, i nie mogę tego cofnąć. – Na jego wargach pojawił się przelotny uśmiech.

– Jeśli pan ją kochał – zaczął Tommy – i jeśli to prawda, że to Carl Oscar Krogh ją wtedy zabił w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku... czy

jest pan pewien, że te doniesienia o znalezisku w Nordmarce... mocno pana nie poruszyły?

Drżącą ręką Waldhorst wyjął z kieszeni swetra klucze. Przez chwilę sprawiał wrażenie mocno dezorientowanego, jakby się zastanawiał, co ma z nimi zrobić, jakby cierpiał na starczą demencję.

– Czy był pan w Oslo w Zielone Świątki, panie Waldhorst? – spytał Tommy oficjalnym tonem.

– Jak już mówiłem... nie byłem w Oslo od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, panie Bergmann. A moja ostatnia podróż za granicę była do Austrii, nie dalej. A teraz, jeśli pan mi wybaczy... Ale proszę wrócić jutro po lunchu, to spróbuję panu pomóc.

– Nigdzie się stąd nie ruszę – oświadczył Tommy.

– Ale ja... nie mam zamiaru pana wpuścić.

– Musiał pan pojechać samochodem do samego Oslo – nie dawał za wygraną Tommy.

Waldhorst odwrócił się raz jeszcze i ruszył w stronę domu.

Tommy spojrział na Fritza, ale niemiecki policjant rozłożył bezradnie ręce: wyglądało na to, że do niczego innego się nie nadaje. Całym sobą dawał do zrozumienia, że chce jak najszybciej znaleźć się w domu.

– W Lillehammer powiedział pan Kajowi Holtowi, że Krogh był niemieckim agentem – oznajmił Tommy i ogarnęło go uczucie, że już kiedyś był w bardzo podobnej sytuacji. Miał serdecznie dosyć ludzi, którzy w ten sposób utrudniają mu życie. – Niemieckim agentem! – powtórzył bardzo głośno, kiedy Waldhorst dotarł do schodków. – Czy to Krogh sprzątnął Holta?

Policjanci stali nieruchomo, patrząc w kierunku drzwi willi. Tommy już miał coś powiedzieć do kolegi po angielsku, ale dał sobie z tym spokój. Im mniej Fritz wiedział, tym lepiej.

Waldhorst dotarł tymczasem do drzwi, włożył klucz w zamek i zorientował się, że drzwi nie są zamknięte. Potrząsnął głową zirytowany, że o tym zapomniał.

– Nie – odezwał się wreszcie.

Trzymał mocno za klamkę. Wyglądał jeszcze starzej niż przed chwilą, jeśli to w ogóle możliwe. Zapadł się w sobie i sprawiał wrażenie, jakby teraz był o dwie głowy niższy od Tommy'ego i Fritza.

– Krogh był w bardzo trudnej sytuacji... Chciał ratować swojego ojca, który stał na skraju bankructwa – wymamrotał. – Ale Carl Oscar Krogh nie

zabił tego biednego Kaja Holta.

Przez chwilę wszyscy trzej milczeli.

– To Szwedzi – powiedział w końcu Waldhorst i przeczesał ręką włosy. – Wykończyli go Szwedzi.

– Zamordowano go, bo pan odpowiedział mu na jakieś pytanie – zgadł Tommy.

– Tylko dureń nie uważa na to, co mówi – powiedział Waldhorst. Łapał powietrze, jakby rozmowa na odległość dziesięciu metrów go dobijała. – Gdyby Holt pozwolił Szwedom spokojnie użyć Krogha tak, jak chcieli, może nadal by żył.

– Krogh był zdrajcą, który pozwolił Szwedom sprzątnąć Holta.

– Widziałem gorsze rzeczy – powiedział Waldhorst – o wiele gorsze.

A akurat za Holta niech pan go nie wini. Krogh nie miał pojęcia, co się stało z jego przyjacielem i dowódcą... Przyjacielem, którego zdradził, to fakt.

– To dlatego Krogh był tak poruszony śmiercią Kaja Holta – domyślił się Tommy. – Ale żonę jednak wysłał, żeby potwierdziła wersję o samobójczych myślach Holta...

Waldhorst uśmiechnął się z goryczą. Po raz kolejny zszedł ze schodków i podszedł do furtki, wymachując ręką. Kiedy doszedł do Tommy'ego i Fritza, miał twarz jeszcze bledszą niż wcześniej, a na czole kropelki potu.

– Karen Eline Fredriksen była kochanką Håkana Nordenstama, Szweda z tak zwanego Referatu C. On był jednym z najlepszych kontaktów Holta w Szwecji. – Waldhorst patrzył teraz Tommy'emu prosto w oczy i nie było wątpliwości, że mówi prawdę.

– Czy to ten... Nordenstam zabił Holta?

Waldhorst potrzasnął głową.

– Jeśli pan nie ma nic więcej, to ja muszę odpocząć – powiedział.

Trzymając się jednego z prętów ogrodzenia, powiedział coś po niemiecku do Fritza. Tommy zrozumiał dwa czy trzy słowa, więc nie próbował nawet sklecić z tego sensownej wypowiedzi.

– Czy pan wie, kto zabił Kaja Holta? Muszę to wiedzieć!

– Ale dlaczego? – spytał Waldhorst.

Był tak śmiertelnie blady, że Tommy obawiał się teraz o jego życie. Wyobrażał już sobie, jak Niemiec umiera na jego oczach.

– Bo mogłem się kompletnie mylić – powiedział.

– Człowiek, który zabił Holta, od dawna nie żyje. To jest bez znaczenia. Nic z tego nie ma już znaczenia, panie Bergmann. A jeśli chodzi o Carla

Oscara Krogha... On był jak ryba, którą się złapie i z powrotem wypuszcza... Taka jest wojna, panie Bergmann, wszystko jest na sprzedaż: życie, śmierć, lojalność, prawda, wszystko... To prawda, co powiadają, że wszystko da się kupić... Tylko nie tę przeklętą miłość.

Waldhorst obrócił się na pięcie i poszedł raz jeszcze w stronę domu. Było jasne, że stary bardzo się teraz wysiłał, żeby wyglądać na spokojnego. Ciężkie drzwi powoli się za nim zamknęły.

– Kto zabił Agnes Gerner? – krzyknął Tommy tak głośno, że z pewnością usłyszała go cała ulica. Niemiecki policjant obok niego poruszył się niespokojnie. – Kto zabił Agnes?! – wrzasnął Tommy jeszcze głośniej. – Czy pan, panie Waldhorst?!



## ***Niedziela, 27 września 1942***

*Willa Landego*

*Tuengen allé*

*Oslo*

Agnes Gerner położyła dłoń na klamce, ale nie nacisnęła jej. Przebiegł ją zimny dreszcz, jednak otrząsnęła się z niego, przekonując siebie samą, że jest jej zimno z powodu mokrego ubrania i tyle. Nagle zadała sobie pytanie: dlaczego właściwie wróciła do willi Landego? Czy nie mogła sobie stąd pójść? Po prostu zniknąć?

Ale dokąd miała pójść?

Za sobą usłyszała jakiś dźwięk i odwróciła się. Taksówka już dawno odjechała i na opustoszałej, jakby wymarłej ulicy panowała cisza.

„Nie” – powiedziała sobie. „To tylko urojenie”.

Za drzewami nie czaiły się żadne cienie, na ulicy nie było żadnych obcych samochodów. Był tylko deszcz, niekończący się deszcz.

„Waldhorst mnie nie śledzi” – powiedziała sobie. Nie pojmowała, dlaczego tak jest, ale teraz już musiała pogodzić się z tym, że Niemiec dał jej wolną rękę.

„Dokąd mam pójść?” – zastanawiała się. „Dokąd mogę pojechać?”

Nie wiedziała, gdzie znajduje się Numer 1, może on też już był na Victoria Terrasse? Czy może pojechać na Kirkeveien, do tego starszego małżeństwa? Do tego staruszka, który położył jej rękę na ramieniu i natchnął nadzieją, że pewnego dnia to wszystko się skończy?

Coś ścisnęło jej się w brzuchu. Przez krótką, niespodziewaną chwilę pomyślała, że Pielgrzym jakoś przesznuje ją do Szwecji, a po paru tygodniach spotkają się w Sztokholmie. Kto wie, może za parę miesięcy spędzą wspólnie Boże Narodzenie? Mogliby razem uciec od tej wojny, od tego... nie, nie mogli... to kłamstwo... Waldhorst był ordynarnym kłamcą, niczym innym! Mógł podrobić te kwity, żeby mocniej zacisnąć pętlę na jej szyi, ale nie, to mu się nie uda, nigdy w życiu!

Zanim zdążyła nacisnąć klamkę, drzwi się otworzyły. Agnes stała na schodkach, cała drżąca i zdezorientowana niczym jakieś pisklę, i spojrzała prosto w twarz Johanne Caspersen. Odrażająca kobieta nie odezwała się. Zaczęła skubać swój fartuszek.

Agnes wślizgnęła się do środka, ściągnęła z siebie płaszcz, rzuciła go za sobą na podłogę i poszła prosto do salonu.

Przestąpiwszy mokry płaszcz leżący na podłodze, służąca poszła za nią.

Agnes szybko przeszła przez salon, otworzyła drzwi do biblioteki, weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą.

Na stoliku leżała paczka tureckich papierosów, pozostawionych tam przez Brigadeführera Seeholza. Wytrząsnęła jednego z paczki, ale upadł na stolik. Ręka tak jej drżała, że z trudem zdołała go podnieść. Przez kilka sekund grzebała w torebce w poszukiwaniu zapalniczki, a potem nagle znieruchomiała i siedziała tak, patrząc w przestrzeń. To, co Waldhorst powiedział jej o Pielgrzymie, nie mogło być prawdą. To było po prostu niemożliwe. Takie rzeczy się Agnes Gerner nie przydarzały. Nigdy nie bywała zaślepiona, zawsze na końcu jej było na wierzchu. Zawsze. I tak miało zostać.

„Nie” – pomyślała, stanęła przy oknie, mocno zaciągnęła się tureckim papierosem. W tamten sierpniowy sobotni wieczór nikt w tym salonie nie uwierzyłby, że ona pracuje dla Anglików, więc ten mały Hauptsturmführer też nie powinien w to wierzyć. Oszołomiona i znieczulona mocnym papierosem Agnes czuła, że ten koszmar się skończy i że ona w ostatnim momencie jakoś się z tego wywinie. Kiedy Gustav wróci z Berlina, poważnie z nim porozmawia, a Waldhorst wyląduje na wschodnim froncie, zanim zdąży wypowiedzieć słowo „Pielgrzym”.

Otworzyły się drzwi. Agnes nawet nie spojrzała na służącą.

– Czy nie miała pani jechać do Rødtangen, panno Gerner? – spytała Caspersen. – Mam jechać całkiem sama?

Agnes wstała, wyszła z biblioteki, przeszła przez salon i weszła do kuchni, a służąca podreptała za nią. W kuchni Agnes usiadła przy stole i patrzyła przez okno na furtkę, jakby oczekując, że Waldhorst wkrótce się przy niej pojawi.

– Nie – powiedziała do służącej. – Nie jedziemy do Rødtangen.

– Pan Lande będzie niezadowolony. Za tydzień już październik... Rødtangen zawsze zamykamy przed październikiem.

Agnes patrzyła na służącą przez dłuższą chwilę.

– Jestem przyszlą żoną pana Landego i nikt inny tylko ja wiem, czy będzie niezadowolony, czy nie. A jeśli będzie, to są sposoby, żeby przestał być.

I pogłaskała swoją obrączkę zaręczynową, a potem obróciła ją kilka razy, jakby to miało ochronić ją przed złem. Takim jak Peter Waldhorst, który jak tylko się pozbiera, z pewnością na nią zapoluje.

Na krótką chwilę dopadła ją okropna myśl: skąd Niemiec mógł wiedzieć,

że ona jest w ciąży z Pielgrzymem? Jego pseudonim mogli wydobyć torturami od kogoś z aresztowanych, nawet jego prawdziwe nazwisko, ale przecież nie to?

Odgoniła tę myśl od siebie.

„Jestem przyszłą żoną pana Landego” – szepnęła do siebie. I powtórzyła to zdanie jeszcze pięciokrotnie, raz za razem, jakby to mogło zakłąć rzeczywistość. „Jestem przyszłą żoną pana Landego”.

Caspersen patrzyła na nią, jakby była zwierzęciem, które wtargnęło do ich domu.

– Cecilia tak się cieszyła – wymamrotała.

„Las” – pomyślała Agnes. „Dla odświeżenia umysłu”.

– Weźmiemy samochód i pojedziemy na Frognerseteren – powiedziała, nie patrząc na służącą. – Spacer po lesie dobrze nam wszystkim zrobi.

Poszła do przedpokoju i podniosła z podłogi mokry płaszcz. Przez jakiś czas stała apatycznie w holu, niezdolna do sensownego myślenia. Skąd Waldhorst mógł to wiedzieć? Oczyma wyobraźni zobaczyła Pielgrzyma i rysy jego twarzy, które w ostatnich miesiącach wyraźnie stwardniały. Służąca coś powiedziała, ale Agnes słyszała tylko niezrozumiałe dźwięki. Mimo wszystko spojrzała na nią. Czyżby wymieniła nazwisko Waldhorsta? Agnes nie wiedziała, czy przypadkiem to ona sama go nie wykrzyczała.

Stały tak, patrząc na siebie. Wargi służącej poruszały się, ale do Agnes nie dochodził żaden dźwięk. Mimo to widziała, że wargi kobiety ułożyły się właśnie w to słowo.

„Waldhorst”.

A potem w całe zdanie:

„Pan Waldhorst prosił, żebym miała panią na oku”.

„Nie” – pomyślała Agnes, patrząc na służącą. „Niemożliwe, żeby powiedziała coś takiego”.

W końcu obróciła się na pięcie i poszła na górę, do pokoju Cecylii.

Dziewczynka siedziała przy oknie, przeglądając album ze starymi fotografiami swojej matki.

Agnes zauważyła, że powrócił jej słuch, bo słyszała szelest cienkich bibułek między kartami albumu. Podeszła do małej, pogłaskała ją po włosach i powiedziała, że pojedą do Frognerseteren i przejdą się po Nordmarce. I że do Rødtangen pojedą innego dnia.

– Ale pada deszcz? – Cecilia zatrzymała się przy jednym ze zdjęć, z początku lat trzydziestych, na którym Gustav Lande siedział obok żony.

– To nic, deszcz nam nie przeszkodzi – powiedziała Agnes.

Dopiero teraz zauważyła, że żona Landego na zdjęciu jest w zaawansowanej ciąży. Siedziała obok niego na płaskiej skale, uśmiechając się do fotografa. Paluszek Cecylii przesunął się najpierw po brzuchu matki, a potem dotknął jej twarzy.

Cecilia musiała już zejść na dół, bo kiedy Agnes się odwróciła, dziewczynki nie było w pokoju. Agnes popatrzyła na pomalowane na biało ściany, na regał z książkami, niezliczone porcelanowe laleczki na obu komodach, na małe łóżko z baldachimem, starego pluszowego misia i wiklinowy fotelik w rogu.

Nie myśląc, co robi, wzięła stołeczek stojący obok biurka, podeszła do szaf i otworzyła środkową z nich.

Welrod leżał nietknięty tam, gdzie go umieściła, za stosikiem starych zabawek na najwyższej półce. Szybko odwinęła pistolet z ręcznika i włożyła do lewego rękawa płaszcza.

W drzwiach stanęła i raz jeszcze omiotła spojrzeniem pokój Cecylii. A potem szybko podeszła do biurka, wzięła album ze zdjęciami matki dziewczynki i wsadziła sobie pod pachę.

Przy drzwiach znów się zatrzymała: album był zbyt ciężki. Co ona sobie wyobraża? Otworzyła go i odszukała kartę ze zdjęciem młodego Landego z uśmiechniętą żoną u boku, siedzących na płaskiej skale. Kiedy oderwała je od karty i schowała do wewnętrznej kieszeni płaszcza, było tak, jakby rozerwał się wokół niej cały świat.

**Wtorek, 24 czerwca 2003**

*Hotel „Berlin”*

*Lützowplatz*

*Berlin*

Miał dziwne uczucie, że to już mu się kiedyś przydarzyło. Ale teraz naprawdę Tommy’emu Bergmannowi wydawało się, że budzi go alarm przeciwlotniczy. Resztki snu rozwiały się, przez sekundę jeszcze wszystko pamiętał, a potem zniknęło na dobre.

Po minucie dotarło do niego, że to nie alarm przeciwlotniczy, tylko jego komórka, dzwoniąca i poruszająca się teraz na nocnej szafce. Klnąc i pomstując, Tommy poszukał ręką zegarka.

– No i co tam u naszego typka? – spytał Fredrik Reuter prosto w jego ucho. – Co, zapałeś?

– Za dobrze mnie znasz – odparł Tommy.

Usiadł na łóżku i owinał się kołdrą. Ni stąd, ni zowąd wyobraził sobie, że za chwilę z łazienki wyjdzie Hege, mokra od prysznicza, pocałuje go w czoło i powie, że go kocha i że nigdy nie zrobił jej nic złego. Na myśl o tym parsknął gniewnie.

– I co, doszedłeś do czegoś? – chciał wiedzieć Reuter.

– Przyznał się, że Krogh w czasie wojny dla niego pracował, ale nic poza tym. Może w Zielone Świątki to jednak stary Waldhorst pociachał Krogha? – Tommy włożył sobie do ust papierosa. – Jeśli Krogh zabił Agnes Gerner, a Waldhorst się w niej kochał, to miał przynajmniej motyw, chociaż to było tak dawno temu. Pojadę do niego jutro i spróbuję zdobyć jego odciski.

– Może to nie będzie konieczne – powiedział Reuter.

– A czemuż to?

– Mam tu w biurze jednego faceta.

Tommy zaklął, bo popiół z papierosa spadł mu na kołdrę. Strzepnął go na podłogę.

– A co to za facet? – spytał.

– Bardzo opalony dekarz. Polak.

– O czym ty mówisz?

– Był na dachu w sąsiednim domu, kiedy ktoś poszatkował Carla Oscara Krogha. Tej samej nocy pojechał do Polski – wyjaśnił Reuter. – Tak czy owak widział, jak od Krogha wyjeżdżał samochód.

Tommy wyjął z ust papierosa i trzymając go między palcami, przyjrzał mu się dokładnie.

– Dlaczego nic o tym wcześniej nie powiedział?

– Przecież mówiłem, że był w Polsce. Tam nie mają „Dagbladet”, Tommy. Tam mają tylko krzyż nad łóżkiem i wychodek na podwórku, nie rozumiesz? Nie czytał norweskich gazet, on nawet nie zna norweskiego. Kiedy wrócił, zobaczył zdjęcie domu w gazecie i rozpoznał to miejsce.

– Mogę z nim porozmawiać? – spytał Tommy.

Nastąpiła krótka przerwa.

– Samochód – powiedział nagle czyjś głos kiepską angielszczyzną.

– Samochód?

– Samochód, *for rent*.

– Wynajęty samochód... – powiedział Tommy cicho do siebie. „Mogą tam być ślady krwi”.

– Jaki samochód?

– Czerwony.

– Czerwony?

Głos po drugiej stronie zamilkł. Tommy poczuł, jak w skroniach pulsuje mu krew, i stwierdził, że jest bardzo podekscytowany. Wcale mu się to nie podobało.

– Avis – odezwał się Polak.

– Że co? – Minęło kilka sekund, zanim Tommy zrozumiał, o co mu chodzi. Wypożyczalnia samochodów.

– Jakiej marki?

– Mały ford albo opel...

– Skąd pan wie, że to ten samochód? Przecież na tamtej ulicy było wtedy więcej samochodów?

– Niedużo samochodów – powiedział głos po drugiej stronie. – Niedużo. Jechał powoli, prawie stał. Jakby kierowca był smutny... nie wiem...

– Stary człowiek? – spytał Tommy. – Czy w samochodzie był stary człowiek?

Z drugiej strony nastąpiła chwila ciszy.

– Nie wiem... Byłem wysoko. Nie widziałem dobrze, ale chyba było dwóch.

– Dwóch? – powtórzył Tommy. – Dwóch ludzi?

– Tak, dwóch ludzi.

Tommy zamknął oczy.

– Kurwa... – wyrwało mu się. – To cudownie, właśnie tego mi potrzeba, żeby było ich dwóch! Daj telefon inspektorowi Reuterowi – powiedział po

norwesku.

Reuter przejął słuchawkę.

– To najlepsze, co dotychczas mamy – powiedział.

– Zadzwońcie do wszystkich biur Avisy – rozkazał Tommy. – Niech wam prześlą kopie praw jazdy od wszystkich samochodów, które zwrócono w niedzielę 8 czerwca. Zaczynajcie od stacji Oslo Centralne, przez lotnisko Gardermoen, po Lillestrøm.

Reuter odczekał chwilę.

– Myślisz, że tu pracują sami idioci?

Tommy już miał potwierdzić, ale się rozmyślił.

– I prześlijcie mi to faksem.

– Spokojnie...

Ale Tommy już rzucił się do hotelowej broszury na biurku i znalazł numer faksu. Przewidywał go Reuterowi, który niechętnie zanotował. Tommy wyobraził go sobie, czerwonego na twarzy, z jedną połą mundurowej koszuli wystającą ze spodni, z piórem w ręce, notującego numer na jakiejś przypadkowej kartce.

– Tylko niczego nie rób bez Fritza, pamiętaj! – powiedział Reuter.

– Dobra, dobra – odparł z niechęcią Tommy.

Kiedy Reuter znów zadzwonił, Tommy siedział w ogródku kawiarni na bocznej ulicy od Kurfürstendamm. Spokojnie wychylił resztę sznapsa i spojrzał na światło przesączające się przez żółtą zawartość jego szklanki z piwem. Gdy Reuter zrezygnował, Tommy zapalił nowego papierosa i pomyślał, że ta sprawa jest już zakończona. Że zanim upłynie następna godzina, w taki czy inny sposób zostanie rozwiązana. Komórka znów się rozdzwoniła.

– Jesteś w hotelu? – spytał Reuter.

– Nie.

– No dobra, jak tam wrócisz, znajdziesz niezły stos kopii, skoro tak się uparłeś, żeby je wszystkie dostać. W głosie Reutera była rezygnacja i Tommy poczuł, że podniecenie z ostatnich godzin powoli zaczyna ustępować rozczerowaniu i że jedyne, co go czeka, to kolejne tygodnie poruszania się po omacku. To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe, żeby przełom w sprawie nastąpił dzięki jakiemuś polskiemu dekarzowi.

„Niezły zestaw kluczowych postaci” – pomyślał. „Stary pijak, wariatka i polski dekarz”.

– No więc – powiedział – żadnego Waldhorsta, żadnego Petera Warda?

– Nie.  
– Mógł użyć innego prawa jazdy albo odwieźć samochód w inne miejsce.  
– Mógł – zgodził się Reuter. – Albo oddał go dzień później. Mogę sprawdzić hotele. – W jego głosie nie było wiary, że to cokolwiek da: jeśli dokonano się zabójstwa w innym kraju, regułą było opuszczenie tego kraju najszybciej, jak to możliwe. – Spójrz na te kwity – ciągnął. – Ale ja tu nie widzę nikogo, kto by wyglądał na blisko pięćdziesięcioletniego Niemca.



## ***Niedziela, 27 września 1942***

*Frognerseteren/Nordmarka*

*Oslo*

Kiedy przebywały w Nordmarce już z dziesięć czy piętnaście minut, niebo nad nimi nagle pociemniało.

Pierwsza szła Cecilia, a kilka metrów za nią służąca. Agnes zamykała pochód, co jakiś czas oglądając się, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Czy Caspersen tam, w domu, naprawdę powiedziała to o Waldhorście? Nie, musiała się przesłyszeć.

– Zmęczyłam się... – odezwała się Cecilia z przodu.

– Spacer dobrze ci robi – powiedziała Agnes.

Patrzyła teraz pod nogi, bo korzenie na dróźce były mokre i śliskie, a wilgotna ziemia zapadała się pod jej stopami. Przez moment miała wrażenie, że coś chwyciło się jej prawego buta i że to coś za chwilę wciągnie ją głęboko do wnętrza Ziemi. Szarpnęła i wyciągnęła stopę. Plecak, który uparła się nieść, był ciężki, jakby pełen kamieni, a nie wafli usmażonych na resztkę masła, które Lande zdobył dzięki swoim niemieckim znajomościom.

Zatrzymała się i spojrzała na dziurę w ziemi, która została po jej wyciągniętym bucie. Powoli wypełniała się czarną, bagienną wodą.

Przez moment zobaczyła siebie, jak siedzi na podłodze w ciemnej bibliotece Waldhorsta.

Jak mogła tak stracić głowę?

Było tak, jakby dopiero głęboko w tym cichym lesie doszło do niej, że wszystko, co powiedział Waldhorst, jest prawdą.

W brzuchu przy samej miednicy nagle coś ją dźgnęło, a potem ból przemieścił się w stronę lewej piersi. Może to kopnęło w jej brzuchu dziecko, dając jej znak, że wszystko wie?

Raz jeszcze się odwróciła, jak to zrobiła już tyle razy od chwili, gdy weszły na ścieżkę przy Frognerseteren. Popatrzyła na las, wypatrując pary oczu. Ciemnych oczu Waldhorsta.

„Nie” – powiedziała sobie. „Tu nikogo nie ma. Ani na ścieżce, ani między drzewami. Zupełnie nikogo”. Obejrzała się i zlustrowała dróźkę, a potem las po obu jej stronach. Na czubek nosa spadło jej kilka kropel deszczu. Zamknęła oczy, które piekły ją ze zmęczenia. Musi z tym skończyć, uwierzyć wreszcie, że Waldhorst ich nie śledzi. Nikt ich nie śledzi, las jest pusty! Przypomniała sobie, że na parkingu Frognerseteren stały tylko trzy samochody, a jedyjni ludzie, których dotąd spotkali, to starsza para z pustym

wiaderkiem na jagody. W takiej pogodzie nikt nie wybrałby się na spacer. A przez to panujące w czasie wojny desperackie zbieranie runa leśnego, w Nordmarce pod koniec września nie było już nic, o czym wszyscy doskonale wiedzieli.

Zarówno Cecilia, jak i Johanne Caspersen były już od niej oddalone o jakieś dwadzieścia metrów.

Agnes zatrzymała się na dróżce i popatrzyła za nimi.

To, co nie tak dawno wydawało się niemożliwe, teraz było nieuniknione.

Czy zauważą, jeśli ona nagle się odwróci i zacznie biec w stronę Frognerseteren? Naturalnie, że tak. A Caspersen natychmiast zgłosi jej zniknięcie. Poza tym dokąd? Dokąd ma pobiec? Zaaresztują ją jeszcze tego samego dnia.

Zmusiła się do ruszenia z miejsca i powłokła się za tamtymi dwoma. Po dziesięciu metrach przystanąła raz jeszcze i obejrzała się przez ramię. Dróżka za nią była jakby węższa, niebo bez światła, ziemia bez zapachu.

Jakiś dźwięk?

Chyba nie...

Ktoś za nimi idzie? Tam, w cieniu? Między drzewami?

„Nie” – szepnęła do siebie. „Trzy samochody, dwoje ludzi, to wszystko”.

Przyspieszyła i wkrótce dołączyła do dwójki przed nią. Cecilie, z tym jej bioderkiem, było bardzo łatwo dogonić. Zbyt łatwo.

Pogłaskała małą po głowie i ręka zaczęła jej drżeć.

Padło coraz mocniej. Kiedy doszły do wyrębu po lewej stronie, Agnes się zatrzymała. Na końcu wyrębu w bok odchodziła wąska ścieżka, a las wydawał się gęstszy niż przy głównej dróżce.

– Skręcamy – powiedziała Agnes i natychmiast pożałowała. Popatrzyły na siebie w milczeniu.

– Musimy wracać, zanim zrobi się zbyt ciemno – odezwała się Caspersen. Jej zielony anorak był tak przemoczony, że wydawał się czarny. – Cecilia już nie ma siły.

Agnes spojrzała w niebo. Za godzinę będzie tak ciemno, że jeśli skręcą w wąską ścieżkę, będą miały kłopoty z dotarciem później do domu.

– Ależ skąd – powiedziała. – To piękna ścieżka, Cecilio, nieprawdaż? Ciekawe, dokąd prowadzi?

Dziewczynka spojrzała na nią z porozumiewawczym uśmiechem, ale Agnes odwróciła wzrok. Nie potrafiła go odwzajemnić.

Nie czekając na służącą, weszły w wąską ścieżkę. Po kilku krokach

Agnes usłyszała, że Caspersen idzie za nimi. Zwolniła i położyła rękę na ramieniu dziewczynki. Cecilia uśmiechnęła się do niej chytrze. Agnes czuła, że mała ma wielką ochotę na dalszy spacer. Pomyślała, że powinny robić to częściej, że Cecilia byłaby od tego zdrowsza i radośniejsza. Potem pomyślała, że gdyby się teraz odwróciła, nie zobaczyłaby twarzy służącej, tylko bujną zieleń przy Westerham Ponds... I natychmiast pożałowała, bo przed oczyma stanęła jej roztrzaskana czaszka setera, a potem bezgłośny krzyk sekretarki Torfinna Rolborga. Chwyciła Cecilię mocniej za ramię.

Po mniej więcej dziesięciu minutach okazało się, że ścieżka prowadzi do polanki w lesie. Kawałek przed nimi Agnes zobaczyła zagajnik podobny do tego, w którym już kiedyś była, tyle że otoczony świerkami. Przystanęła i pozwoliła służącej się wyprzedzić. Kiedy stała, patrząc na maszerującą dziarsko dziewczynkę i podążającą za nią kobietę, jej buty zagłębiły się powoli w rozmokłej ziemi. Popatrzyła na polankę.

„Już tu kiedyś byłam” – powiedziała do siebie.

Kiedy doszła do polanki, służąca już na nią czekała. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, jakby chciała zagrozić jej wstęp. Cecilia stała metr za nią. Agnes próbowała wyminąć Caspersen, ale służąca zaszła jej drogę. Jej źrenice zwężyły się, a nos wydawał się większy niż przedtem.

– Powinnyśmy zawrócić – powiedziała cicho. – Chyba że pani chce ją nieść.

Agnes nie odpowiedziała. Pomyślała, że kobieta ma rację. Musiały zawrócić. Jeśliby miały zawrócić, to właśnie teraz. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Dokąd nas pani prowadzi? – spytała Caspersen.

Agnes nie miała na to żadnej odpowiedzi.

– Pani myśli, że ja nie wiem, kim pani jest?

Cecilia wychyliła się zza jej pleców.

– Próbuje pani nas wciągnąć najgłębiej, jak się da, w las? – spytała służąca głośno.

„Nie bój się” – pomyślała Agnes. Zaczęła szybciej oddychać. Bała się i było to słychać.

– *Herr Waldhorst* prosił, żebym miała panią na oku – powiedziała kobieta, ale cicho, jakby te słowa były niebezpieczne. Na jej wargach pojawił się uśmiezek.

Agnes powoli pokręciła głową. Już było za późno. Na wszystko było za

późno. Nie było odwrotu.

– Naprawdę pani myśli, że nie wiem, kim pani jest? Że się pani boję? To o pani było w gazecie, prawda? Panu Landemu spadną łuski z oczu, jak tylko wrócimy.

Ale Agnes już jej nie słuchała, patrzyła tylko na Cecilię, która chwyciła się anoraka służącej. Kolba welroda wpijała się w jej lewą pierś. Deszcz pewnie sprawił, że można było zauważyć jego kształt w rękawie.

„To wcale nie miało się tak skończyć, moja mała”.

– Powinnaś być moją córeczką – szepnęła Agnes. – Jego i moją. Pielgrzymka i moją.

– Uciekaj, Cecilio! – krzyknęła służąca. – Uciekaj!

## CZEŚĆ 5

**Wtorek, 24 czerwca 2003**

*Hotel „Berlin”*

*Lützowplatz*

*Berlin*

Przez otwarte okna pokoju hotelowego wdzierał się szum deszczu.

Tommy Bergmann ocknął się i leżał przez kilka minut, wpatrując się w biały sufit. Nie pamiętał, jaki jest dzień, w jakim jest mieście i co w nim robi.

Musiał zasnąć wcześniej – albo z wyczerpania, albo z rozczarowania. Teraz sobie przypomniał: z poczucia obowiązku odebrał stos wydruków, które recepcjonista rzucił na kontuar, gdy tylko Tommy wszedł do hotelu.

Już miał powiedzieć: „Dziękuję, nie potrzebuję ich”, ale zmienił zdanie i zabrawszy kopie formularzy, poszedł do swojego pokoju bez słowa, nawet bez podziękowania.

Szybko przekartkował wtedy prawie pięćdziesiąt stron otrzymanych od Avisa, które przefaksowano mu z Komendy Policji. Po tym, jak dokumenty dwa razy przeszły przez faks, ich jakość nie była najlepsza. Wystarczyła jednak, żeby wśród tych, którzy wypożyczyli samochody z Avisa i w niedzielę 8 czerwca 2003 roku odstawili je na Oslo Centralne, do Lillestrøm lub na lotnisko Gardermoen, Tommy stwierdził brak Petera Waldhorsta ewentualnie Petera Warda.

Wstał z łóżka, zapalił papierosa i podszedł do okna wychodzącego na szeroką aleję. Na chwilę wystawił rękę za okno, pozwalając ją zmoczyć deszczowi o temperaturze ciała.

Potem spojrzął na stosik kopii leżących na biurku po drugiej stronie chłodnego, modernistycznego pokoju. Ociągając się, przeszedł przez pokój z uczuciem, że to nie ma sensu, a już z całą pewnością nie warto poszerzać poszukiwań o kolejne dni po morderstwie. Stanął przy biurku, wziął wydruki do ręki i pobieżnie je przekartkował. Żadna z wymienionych osób nie wydała mu się interesująca.

Wrzucił cały plik do kosza na śmieci pod biurkiem. Kilka kartek wylądowało na podłodze, a on z trudem oparł się pokusie, by podrzeć je na strzępy i wyrzucić przez okno.

Rozczarowanie sprawiło, że zrobiło mu się ciężko na duszy. Tyle tygodni pracy na marne! Przygłębiało go także, że pozwolił Waldhorstowi grać ze sobą w kotka i myszkę. Czuł się przez niego ośmieszony.

Spróbował strząsnąć to wszystko z siebie i pogodzić się z myślą, że musi zacząć wszystko od nowa.

Potem stanął przy oknie obok biurka i spróbował znaleźć na mapie Bendlerblock, gdzie w lipcu 1944 rozstrzelano von Staufenberga. Pomyślał, że zwiedzenie tego miejsca będzie przynajmniej jakąś wymierną korzyścią z jego pobytu w Berlinie. Szybko jednak zrezygnował z poszukiwania: w tym mieście było za dużo różnych budynków. Popatrzył na rulon papierów w koszu, a potem pochylił się i zebrał z podłogi te, które tam nie trafiły. Pierwsze dwie kartki zawierały dane czterdziestoletniego Brytyjczyka, który w piątek 6 czerwca wypożyczył na Gardermoen opła astrę i odstawił na to samo miejsce w niedzielę. Gość był równie mało interesujący jak pozostałe 24 osoby, które w ten weekend skorzystały z wypożyczalni. Porwał jego dane na drobne kawałki i pozwolił im opaść na podłogę.

Kiedy wyszedł za drzwi, zatrzymał się i przez chwilę balansował na palcach stóp, bo ogarnęło go intensywne uczucie, że zapomniał o czymś istotnym. Ale o czym?

„Nie” – powiedział sobie i potrząsnął głową. „Chyba mi się wydaje”.

Jednak gdy doszedł do wind, uczucie pojawiło się ze zdwojoną siłą.

„O czym, kurwa, zapomniałem?” – zastanawiał się, kiedy drzwi windy rozsunęły się w holu.

Kiedy otworzył pożyczony w recepcji parasol i wziął kurs na Bendlerblock, pokazany mu na planie przez recepcjonistę, to dziwne uczucie wciąż gdzieś tkwiło mu z tyłu głowy.

Doszedł do kanału i kilkaset metrów od siebie zobaczył żółty budynek, wpasowany między dwa inne.

O dziwo, szum samochodów jadących szeroką aleją za jego plecami wcale nie przeszkodził mu w koncentracji, wprost przeciwnie. Wbił wzrok w kanał, a dźwięk kropel uderzających w powierzchnię wody pomógł mu formułować jasną myśl. Myśl o tym, o czym zapomniał.

„Zabito trzy osoby” – skonstatował, przeskakując głęboką kałużę na chodniku. „Dziewczynkę, kobietę i mężczyznę. I tego właśnie nie rozumiem”

Przywołał w pamięci twarz Petera Waldhorsta, kiedy spytał, czy jego Gretchen to Johanne Caspersen. Może to idiotyczne, ale Waldhorst sprawiał wtedy wrażenie, jakby od lat na to pytanie czekał... Od dziesiątków lat.

„Zaraz, zaraz. Waldhorst spotyka swoją drugą żonę na Tempelhof latem 1963 roku. Kilka miesięcy później do Kroghów zaczyna wydzwaniać

tajemnicza kobieta. Dzieje się to pod koniec września, może w rocznicę śmierci Agnes Gerner, Cecylii i nieznanego mężczyzny”.

I wtedy to do niego dotarło.

Przeglądając dane ludzi, którzy wypożyczyli samochody na Gardermoen, mimochodem zapamiętał sobie jedno z imion.

„Ależ jestem idiotą!” – pomyślał.

Gretchen.

Gretchen to zdrobnienie. Konkretnego imienia...

## ***Poniedziałek, 28 września 1942***

*Stacja kolejowa Kornsjø*

*Granica norwesko-szwedzka*

Stukot podkutych butów niósł się echem po całym korytarzu pociągu. Nagle nastąpiła chwila ciszy, a potem otwarły się drzwi któregoś z przedziałów.

Jej ręka zmierzająca ku wargom zatrzymała się w powietrzu, a ona wpatrzyła się w płomień zapalniczki. W oknie widziała swoje niewyraźne odbicie: twarz pod rondem kapelusza, zwisający z warg biały papieros.

Buciory zastukały bliżej jej przedziału i zatrzymały się. Usłyszała odgłos jeszcze jednych odsuwanych drzwi, a potem przytłumione głosy, ale bez typowych dla niemieckiego twardych dźwięków. Drzwi zamknęły się i niemieccy żołnierze znów ruszyli korytarzem. Na słuch stwierdziła, że jest ich czterech: zapewne oficer i trzech żołnierze.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i dokładnie obejrzała ślad czerwonej szminki na filtrze. Spojrzała za okno na stację, na której stali. Zaciemnione od góry światło nad tablicą z napisem KORNSJØ odbijało się w jednej z kałuż na peronie, a w zwieńczonych łukiem drzwiach budynku stacyjnego stało w milczeniu trzech żołnierzy Wehrmachtu. Jeden z nich trzymał na smyczy owczarka, a kiedy kawałek dalej z drugiej klasy kogoś wyprowadzono, pies zaczął się szarpać. Nie widziała, co tam się dzieje, zobaczyła jedynie, że żołnierz z psem szarpnięciami przywołał go do porządku. Gdzieś daleko, przy północnym końcu pociągu, jakiś mężczyzna zawył jak zranione zwierzę. W dziwny sposób to zdarzenie podziało na nią uspokajająco: przez moment była w stanie coś poczuć. Może więc któregoś dnia stanie się na powrót człowiekiem?

Zaciągnęła się raz jeszcze, mechanicznym ruchem strzepnęła popiół do wiszącej na ścianie popielniczki i dopiero wtedy wyjęła z teczki swoje papiery i przepustkę. Powoli popadała w ośpienie, ale mimo wszechogarniającego zmęczenia trzymała oczy otwarte. Już nigdy nie zaśnie ani nie zamknie oczu na dłużej niż na ułamek sekundy. Bo wtedy zobaczy tylko jedno: siebie samą stojącą nad nieruchomo leżącym na mokrym mchu dzieckiem. Jego oczy nie były przerażone, a jedynie szeroko otwarte, jakby to, co widzi, było tylko snem.

Po krótkiej chwili wycie mężczyzny na peronie ustało i zapanowała cisza. Otwarto drzwi przedziału obok i znów słychać było głos, zapewne niemieckiego oficera. Zapanowała taka cisza, że usłyszała szelest kartek



przewracanych w papierach pasażerów za ścianą.

Kiedy przyszła jej kolej, siedziała z obojętną miną, bawiąc się papierośnicą. Przez moment była zupełnie gdzie indziej – na tarasie domu Gustava Lande, patrząc, jak papierośnicę z wewnętrznej kieszeni smokinga wyjmuje stojący przed nią mężczyzna.

Drzwi otworzył porucznik o miękkich rysach twarzy. Nic nie powiedział, zrobił tylko gest ręką w stronę jej siedzenia. Podniosła roztargniony wzrok i wyciągnęła w jego stronę swoje papiery, ale nie na tyle daleko, żeby nie musiał zrobić kroku do środka przedziału. Chcąc pokazać mu swoją całkowitą obojętność, spokojnymi ruchami zapaliła nowego papierosa. Porucznik stał, przeglądając jej dokumenty. Na wypadek, gdyby ktoś chciał jej zadawać jakieś pytania, wyuczyła się danych na pamięć. Oficer jednak nie zdecydował się na indagacje.

– *Bitte, Fräulein* – powiedział, z lekkim ukłonem oddając jej przepustkę. Potem spojrzał na nowy paszport i papiery świadczące o tym, że podróżna jest sekretarką przy niemieckim poselstwie w Oslo.

Przepustka, którą odłożyła na siedzenie, stwierdzała, że celem jej podróży jest tymczasowe zatrudnienie, w charakterze referentki, w konsulacie niemieckim w Göteborgu.

Porucznik trzasnął obcasami i oddał jej resztę dokumentów.

– Życzę pani przyjemnej podróży!

Wstała, położyła na półce kapelusz i patrząc na swoje odbicie w szybie, przygładziła ręką włosy. Peron opustoszał, zostały na nim tylko kałuże.

Kiedy pociąg znów ruszył, usiadła, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na spoczywającą na siatce półki walizkę. Gdyby porucznik kazał ją otworzyć, byłby to koniec: pod kilkoma sztukami odzieży leżały tam jej prawdziwe dokumenty i tysiąc koron w używanych szwedzkich banknotach.

Przez kilka minut siedziała, nad słuchując stukotu kół. Kiedy do wagonów weszli szwedzcy policjanci, siedziała i gładziła palcami papierośnicę, którą tamten wetknął jej w kieszeń na Dworcu Wschodnim.

„Pe-wu” – przeczytała.

P.W.

Kiedy szwedzki policjant wyszedł z przedziału, po raz pierwszy tego dnia spojrzała na zegarek i skonstatowała, że przed godziną wylądował w Oslo Gustav Lande. Może właśnie wkładał klucz w zamek? A może już chodził po domu i nawoływał, może podniósł słuchawkę, dzwonił do domku letniego, do znajomych...

Wstała, włożyła rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjęła zdjęcie Landego z żoną. Miała ochotę powiedzieć coś do tej ciężarnej kobiety, która siedziała na płaskiej skale z uśmiechem, nie wiedząc, co się kiedyś zdarzy.

Powiedziała nawet coś do tej twarzy na zdjęciu, ale sama nie usłyszała, co to było.

Następną rzeczą, którą zapamiętała, był gwizd lokomotywy na jakimś przejeździe, parzący ją w palce papieros i popiół, który spadł jej na kolana. Sukienka była może zniszczona, ale nie miało to najmniejszego znaczenia.

Jej twarz oświetlił księżyc, który nagle wypłynął zza chmur.

Przycisnęła dłonie do brzucha, w którym pulsowało życie, nowe życie.

*May God have mercy on my soul.*

**Wtorek, 24 czerwca 2003**

*Hotel „Berlin”*

*Lützowplatz*

*Berlin*

Tommy Bergmann głośno zaklął. Już trzy razy próbował otworzyć drzwi swojego pokoju kluczem-kartą. W końcu, po czwartej próbie, zamek ustąpił. Tommy przebiegł przez pomieszczenie i opadł na kolana. Najpierw chwycił dokumenty z Avisa wciąż leżące na podłodze, ale po chwili je odrzucił. „Nie, żaden z tych” – powiedział do siebie, wziął kosz na śmieci i opróżnił go na łóżko. Zanim jednak zaczął szukać w papierach, w bałaganie na biurku odnalazł wizytówkę Udo Fritza.

„Gdzie?” – zastanawiał się, czekając, aż policjant odbierze telefon. „Gdzie widziałem to imię?” Zaczął przeglądać papiery na łóżku. Te, w których nic nie znalazł, odkładał na bok. „Ta starsza pani” – mruczał do siebie. „Jak mogłem ją przeoczyć?”

Fritz wreszcie odebrał.

– Gretchen – oznajmił mu Tommy.

– Gretchen? – zdziwił się Fritz.

– To zdrobnienie, prawda?

Po tamtej stronie nastąpiła chwila ciszy. Tommy przeglądał dalej papiery, odłożył na bok formularze jakiejś Japonki.

– No... owszem – odezwał się wreszcie Fritz.

Tommy’emu zostało jeszcze jakieś dziesięć kartek.

– To może być zdrobnienie od Grety... albo Gretel – dodał Fritz. – Ale dlaczego...

Tommy dotarł do ostatnich formularzy i po chwili patrzył w twarz kobiety na zdjęciu z niemieckiego prawa jazdy. Zaczęła mu drzeć ręka.

Dlaczego nie zareagował? Może dlatego, że jako rok urodzenia kobiety, obywatelki szwedzkiej, podane tam było 1919, a nie 1918? I dlatego, że jako adres domowy widniała Odengatan w Sztokholmie, a nie Gustav Freytag Strasse w Berlinie?

– Kurwa mać, ale ze mnie debil! – wyrwało mu się.

– *Bitte?* – nie zrozumiał Fritz.

– A Margaretha? – spytał Tommy tak cicho, że sam ledwo siebie usłyszał. – Może być od Margarethy?

Po drugiej stronie znów zapadła cisza.

– No... – odezwał się wreszcie Fritz. – Od Margarethy też może być.

Tommy poczuł, jak na jego mokrej od deszczu ręce jeżą się włoski.

Nawet na tej kiepskiej kopii z faksu widać było to samo spojrzenie, które zobaczył u młodej kobiety na zdjęciu w „Aftenposten”. I zdjęciu z przyjęcia u Gustava Lande.

„Margaretha...” – szepnął Tommy do siebie. To drugie imię widział tylko w jednym jedynym miejscu, a było to w Archiwum Państwowym, w komunikacie o zaginięciu zamieszczonym przez komisariat policji Vinderen we wrześniu 1942.

„Margaretha Fredriksson” – przeczytał na niemieckim prawie jazdy, wystawionym w grudniu poprzedniego roku. Dopiero teraz zobaczył, że data urodzin jest taka sama, jak w komunikacie o zaginięciu, zmieniono tylko rok urodzenia. A więc to dlatego idąc do szpitala w poprzedni czwartek, Waldhorst miał ze sobą prezent i kwiaty...

– Kiedy pan może tu do mnie dojechać? – spytał Tommy.

– Ale... Nie rozumiem... – zaczął Fritz.

– Wyjaśnię wszystko po drodze – przerwał mu Tommy. – Pojedziemy do kliniki Czerwonego Krzyża na WestEnd, DRK.

Stali w korku za korkiem na tych pozornie niekończących się, zalanych deszczem bulwarach, a gdziekolwiek Tommy spojrzał, widział tylko paciorki złożone z białych i czerwonych świateł samochodów. W rękę trzymał dwie kartki z Avisa świadczące o tym, że w Zielone Świątki Margaretha Fredriksson przebywała w Norwegii.

Słuchając wyjaśnień Tommy’ego, Fritz kiwał w milczeniu głową z umiarkowanym zainteresowaniem, ale kiedy kłął cicho, wyłączając silnik na skrzyżowaniach, Tommy wyczuwał u niego pewne napięcie.

Gdy w końcu dotarli do kliniki DRK, było już ciemno. Deszcz przybrał jeszcze na sile i niebo nad nimi stało się ciemnoszarą masą, z której na ludzi na tej ziemi nieubłaganie lały się łzy gorzkości. Fritz wysadził Norwega przed wejściem, a sam pojechał szukać miejsca do parkowania. Tommy stał pod okapem, patrząc w kierunku parkingu. To właśnie tutaj Waldhorst wypowiedział te kilka słów, z których Tommy powinien wyczytać całą prawdę, a których wtedy nie zrozumiał.

„A może tak naprawdę już wtedy zrezygnowałem?” – zastanawiał się, zapalając papierosa. Z budynku za nim wyszły dwie ubrane na biało pielęgniarki, które z uśmiechem skinęły mu głowami, a potem otworzyły czarne parasole, każda swój, i truchtem ruszyły prosto w deszcz.

Pojawił się Fritz, który strzepnął z siebie wodę i skinął w stronę wejścia.

Tommy zaciągnął się dwa razy, zgasił papierosa i wszedł za nim do środka.

– Moment – powiedziała młoda kobieta w recepcji. Miała ciepłe, brązowe oczy, a na sobie strój pielęgniarki. Przewróciła jakieś papiery, wypełniła jakiś formularz, odłożyła go na bok, a potem spojrzała na Tommy'ego.

– Chcielibyśmy porozmawiać z Margarethą Fredriksson – oznajmił.

– Przykro mi, ale czas odwiedzin już się skończył – odparła.

Podszedł do nich Fritz, powiedział coś cicho po niemiecku i położył na kontuarze swoją legitymację. Młoda kobieta wzięła ją i oglądała przez dłuższy czas, a w pokoiku za recepcją natrętnie dzwonił telefon. Tommy patrzył na jej dłoń trzymającą prostokątny kawałek plastiku i miał dziwne wrażenie, że już raz mu się to przydarzyło. Podniósł wzrok i na ścianie za pielęgniarką zobaczył litografię z Matką Boską.

– Margarethą Agnes Fredriksson – uściślił.

Telefon za recepcją umilkł.

Młoda kobieta oddała Fritzowi legitymację i zrobiła oficjalną minę.

Odchrząknęła.

– Pani Fredriksson jest bardzo chora – oświadczyła.

– Bardzo chora? – powtórzył Tommy.

– Pani Fredriksson ma nowotwór.

– Od kiedy?

Młoda kobieta spojrzała na Tommy'ego pytającym wzrokiem.

Fritz zrobił ponaglący ruch ręką.

– To chyba nie ma znaczenia? – odparła. – Jej stan pogorszył się, bo zamiast stawić się tu na zabiegi, pojechała w podróż.

Fritz powiedział coś do pielęgniarki lekko poirytowanym tonem, a Tommy zrozumiał, że kolega nakazał jej zaprowadzić ich natychmiast do pacjentki.

Gdy jechali na drugie piętro, Tommy musiał oprzeć się o ścianę windy. W lustrze naprzeciwko z trudem rozpoznawał swoją białą twarz. Jak mógł to przeoczyć? Waldhorst przecież podał mu odpowiedź na tacy, ale on nie chciał jej zobaczyć.

Dlaczego pojechała do Oslo?

Polski dekarz powiedział, że w czerwonym samochodzie z wypożyczalni były dwie osoby. Kto więc pojechał tam razem z nią?

Kiedy drzwi windy otworzyły się na biały korytarz, Tommy nie był już w stanie myśleć sensownie.

Podłużny pokój był ciemny, a twarz leżącej w nim starej kobiety

oświetlało tylko słabe światło lampki do czytania. Tommy zatrzymał się zaraz za drzwiami, przyglądając się jej w milczeniu. Obok niego stał Fritz, ciężko oddychając przez nos, jakby coś w pomieszczeniu bardzo mu doskwierało. Biała kołdra chorej unosiła się i opadała w regularnym rytmie, ale był on zbyt szybki, żeby sen mógł dać tej starej, wymizerowanej istocie jakiegokolwiek ukojenie. Tommy pomyślał, że być może należy ona do tych, którzy nie życzą sobie środków przeciwbólowych, bo chcą do swojego kresu dowieść się na kolanach.

Na nocnym stoliku stała podniszczona ikona z wizerunkiem, który – jak Tommy zgadywał – przedstawiał świętego Jerzego w walce ze smokiem.

Gdy zrobił kilka kroków w głąb pokoju, pielęgniarka ostrzegawczym ruchem położyła mu rękę na ramieniu, ale nie przytrzymała go.

Staruszka przed nim sprawiała wrażenie bardziej martwej aniżeli żywej. Aparatura EKG nie była nawet do niej podłączona, a do ręki miała umocowaną zwykłą kroplówkę. Może poinformowała ich, że skoro i tak ma umrzeć, nie należy jej w tym przeszkadzać? Może chciała leżeć, nie mając nikogo u swego boku? Twarz miała skurczoną nie do poznania. Jediną jej częścią, którą Tommy pamiętał z fotografii w gazecie w 1942 roku, były piękne brwi. Wciąż były ciemne i równe jak u młodej dziewczyny, zostawiając w jej twarzy jakiś okrucuch nadziei i znak, że życie jeszcze z niej nie wyciekło.

„A więc tak oto kółko się zamknęło” – pomyślał Tommy, próbując pogodzić się z faktem, że polowanie na mordercę Agnes Gerner zakończyło się fiaskiem. Przeszedł przez pokój i stanął przy oknie. Patrząc na samochody w dole, pomyślał, że to wszystko było takie przypadkowe – gdyby Marius Kolstad nie wymówił imienia Kaj, to on, Tommy, dziś by tu nie stał. Dwoje ludzi u progu śmierci i żadnemu z nich nie będzie dane zabrać swoich tajemnic do grobu, to znaczy, o ile staruszka za jego plecami zaraz nie umrze...

Przez dłuższą chwilę, być może nawet kilka minut, Tommy stał pogrążony we własnych myślach, które na końcu nie miały już nic wspólnego ze starą kobietą z tyłu.

Usłyszał za sobą jakieś słabe dźwięki, ale nie odwrócił się.

– A już myślałam, że pan mnie nie znajdzie... – odezwała się nagle kobieta z łóżka.

Tommy stał dalej odwrócony.

– Agnes Gerner – powiedział tylko.

Może patrząc dalej na parking w dole, chciał zrobić na niej wrażenie, a może jeszcze do końca nie dotarło do niego, że to naprawdę Agnes Gerner leży w tym łóżku?

– Tak – odparła staruszka i odetchnęła bardzo, bardzo głęboko.

Przez moment Tommy bał się, że to jej ostatnie tchnienie.

– Nie pojmuję – powiedział, odwracając się powoli.

Kobieta, która niegdyś nazywała się Agnes Gerner, leżała z zamkniętymi oczyma, oświetlona słabą lampką.

– Zawsze jest coś, czego się nie rozumie... Tak mi kiedyś powiedział mój mąż.

– Aha.

– Ponoć powiedział to kiedyś pewnemu Norwegowi... Norwegowi, którego bardzo poważalam. A teraz... sama czasem nie pojmuję, dlaczego życie potoczyło się tak, jak się potoczyło. – Rozchyliła lekko powieki.

Stojąc przy oknie, Tommy oparł się o framugę i skierował wzrok na ikonę przy łóżku Agnes Gerner. Święty Jerzy, przebijając włócznią paszczę smoka, miał opiekować się tymi, których wiara była słaba, czyż nie?

– Kto... zabił tę trójkę w Nordmarce? – spytał wprost. – Kto zabił Cecilie?

Agnes Gerner zamknęła z powrotem oczy.

Tommy otworzył usta, żeby zadać pytanie na nowo, ale ona go ubiegła.

– To może dlatego nie chcę umrzeć – powiedziała cicho, prawie niesłyszalnie. – Bo po drugiej stronie nie czeka mnie nic dobrego, panie Bergmann.

Jej oddech stawał się coraz płytszy.

Tommy potrząsnął głową, nie bardzo rozumiejąc.

– Nic dobrego?

Agnes Gerner podniosła rękę, a na jej twarzy odmalował się wysiłek. Pielęgniarka szybko podeszła i podała jej szklankę wody ze stołu.

Tommy przez chwilę myślał o swojej matce, zobaczył siebie, jak po raz ostatni podaje jej coś do picia.

Agnes Gerner piła ze szklanki jak dziecko i woda zaczęła jej spływać po szyi. Pielęgniarka próbowała to zetrzeć, ale Agnes delikatnie ją odsunęła.

– Myśli pan, że ona tam na mnie czeka? Cecilia znaczy się? Nie sypiam od wielu lat, panie Bergmann. Czy po tym wszystkim, co zrobiłam, wciąż jestem człowiekiem? Może pan mi odpowiedzieć na to pytanie?

– Nie bardzo rozumiem...

Agnes Gerner odetchnęła głęboko i wyszeptała kilka słów, których Tommy zupełnie nie spodziewał się usłyszeć. Przez kilka chwil wydawało mu się, że linoleum pod jego stopami się wydyma. „To niemożliwe” – pomyślał. „Przecież nie ta kobieta!”

– A co miałam z nią zrobić... Zostawić ją w lesie samą? Nie sądzi pan chyba, że nie myślę o tym codziennie, że nie zastanawiam się, czy nie powinnam była pozwolić jej żyć...

W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał.

Tommy powolutku przysiadł na krześle przy jej łóżku. Agnes na moment położyła dłoń na jego ręce, jakby chciała go pocieszyć.

– Co pani robiła w Norwegii? – spytał cicho.

Pielęgniarka wskazała ręką drzwi na znak, że muszą wyjść, ale Tommy ją zignorował.

– Chciałam go zobaczyć... Po raz ostatni.

Tommy potrząsnął głową.

– Pielgrzymka? – spytał.

Kiwnęła na niego palcem, żeby się przybliżył. Tommy nachylił się ku niej, jego twarz znalazła się tuż obok gładkiej twarzy świętego Jerzego i zniżyła się jeszcze bardziej, aż do powalonego smoka.

– Pojechałam tam, żeby Pielgrzymka zabić – szepnęła mu do ucha.

Przez chwilę pomyślał, że ona pachnie tak, jak pachniała wtedy, że jest równie piękna jak na tych zdjęciach. Położyła dłoń na jego karku. Była miękka i chłodna.

– To była jego wina, to wszystko była jego wina, rozumie pan? Dlatego musiałam go zabić.

Z wysiłkiem powtórzyła to zdanie po niemiecku i sekundę później zapadła się w sobie, jakby zemdląca i pogrążyła się w pozbawionym świadomości śnie.

Tommy Bergmann siedział jeszcze kilka minut, patrząc na umierającą kobietę. Pytanie jej, kto pojechał z nią do Oslo, nie miało już sensu.

Fritz rozmawiał cicho, ale gorączkowo z pielęgniarką, która nagle się zachnęła. Tommy zrozumiał, że rozmawiają o postawieniu tu kogoś na straży. Przeniósł wzrok na świętego na poślacanej desce. Święty Jerzy. St. Göran, smokobójca. A potem wziął rękę Agnes, potrzymał ją chwilę w uścisku i pogłaskał kobietę po policzku, jakby ze wszystkich ludzi to właśnie on miał prawo udzielić jej rozgrzeszenia. Następnie wstał i położył rękę na ramieniu swojego niemieckiego kolegi.



– Zawieź mnie na Grunewald – poprosił.

\* \* \*

**Wtorek, 24 czerwca 2003**

*Gustav Freytag Strasse*

*Berlin*

W wielkim holu domu na Grunewald pachniało świeżymi kwiatami. Na zabytkowych konsolach pod ścianami i na dwóch masywnych, mahoniowych komodach flankujących wejście do salonu stały kryształowe wazon, a w nich z tuzin bukietów tulipanów.

Udo Fritz zatrzymał się na środku holu, a Tommy Bergmann przyjrzał się wazonom i kwiatom. Wazon, były identyczne, kwiaty również pochodziły od jednego dostawcy: wszystkie były krwistoczerwone.

Drzwi do salonu otworzyły się. Tommy spodziewał się zobaczyć starą twarz Petera Waldhorsta, ale to wróciła turecka gospodyni. Ściszone głosem powiedziała coś do Fritza. Ten skinął na Tommy'ego i ruszył przez ciemne pomieszczenia, a Tommy podążył za nimi.

Po chwili weszli do biblioteki, gdzie przy zdjęciu Gustava Lande i jego pierwszej żony paliła się świeca. Podeszli do otwartych drzwi prowadzących na taras i zatrzymali się.

Waldhorst siedział w jednym z foteli na werandzie, wpatrzony w czarne wody Hundekehlesee, w które deszcz bił z góry jak grad odłamków. Na horyzoncie widać było samolot z zapalonymi światłami, spływający z nieba ku Tegel.

– Więc to Agnes Gerner – odezwał się Tommy.

– Muszę powiedzieć, że zabrało to panu sporo czasu, *Herr Bergmann* – powiedział Waldhorst, patrząc w przestrzeń.

Tommy zignorował pytający wzrok Fritza i wyszedł na taras. Waldhorst zrobił gest w stronę stojącego tam kompletu wypoczynkowego. Tommy ostrożnie usiadł na kanapie w pewnej odległości od starego, którego widział teraz z profilu. Niemiec trzymał w ręku zgasłe cygaro, na stoliku obok niego stała wysoka, pusta szklanka. Jego nogi przykrywał wielki, wełniany pled.

– Już nawet nie chce, żebym do niej przychodził... – wymamrotał. – Poszła do szpitala, żeby tam umrzeć.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Kiedy zniknął nóż mojego brata, od razu zrozumiałem, co się święci... – odezwał się w końcu Waldhorst.

– Kordzik Hitlerjugend – powiedział Tommy.

Waldhorst uciszył go gestem ręki, strzepnął coś z pledu i sięgnął na stół po zapalki. Wymamrotał też po niemiecku coś, co skłoniło Fritza do

dołączenia do Tommy'ego na kanapie.

– Tak... ja wiedziałem – powiedział.

W płomieniu zapalki jego twarz była śmiertelnie blada. Ssał przez chwilę cygaro, którego koniec wreszcie się rozjarzył.

– Co pan wiedział? – spytał Tommy.

Waldhorst zaciągnął się cygarem, przez chwilę wyglądał, jakby był stracony dla tego świata.

– Kiedy tamtego ranka zszedłem do kuchni i zobaczyłem „Aftenposten” z tym... znalazłbym w Nordmarce na pierwszej stronie, wiedziałem, że ona pojedzie do Norwegii.

Znów nastąpiła chwila ciszy.

– Powiedziała, że zabiła Carla Oscara Krogha za wszystkich. Za siebie, za Cecilie, za Kaja Holta. Za Verę Holt. Za wszystkich, którzy przez niego umarli.

– A więc kontaktowała się...

– Z Verą Holt? Tak – przyznał były gestapowiec. – W ostatnich latach kilka razy... Boże, jak Agnes tego człowieka nienawidziła! Próbowałem jej wytłumaczyć, że taka właśnie jest wojna, że zdrada jest w nią niejako wpisana, ale... ona mnie oszukała. A już myślałem, że się z tym pogodziła. –

Waldhorst potarł twarz ręką i gorzko się zaśmiał. – Kiedy w tamtą niedzielę wieczorem wróciła do domu, powiedziała: „Pielgrzym się o mnie upomniał”. A teraz, jak pan wie... ma już wszystkiego dosyć.

Tommy zapalił papierosa. Fritz siedział obok niego bez ruchu i bez słowa. Obaj patrzyli na horyzont, gdzie zza deszczowych chmur wyłonił się kolejny samolot i bezgłośnie opadł w kierunku lotniska.

– A jak... – zaczął Tommy, ale przerwał, nie wiedząc, jak skończyć pytanie.

Znów nastąpiła cisza.

– Przyszła pod moje drzwi – odezwał się po chwili Waldhorst.

Pokiwał kilka razy głową i spojrzał na swoje gasnące cygaro.

– Zadzwoń do moich drzwi – poprawił się. – Do domofonu. Miałem w Oslo piękne mieszkanie, panie Bergmann. Bardzo piękne. Na Bygdøy allé, na górcie naprzeciw kościoła.

Znów umilkł. Minęła może minuta.

– Otworzyłem od razu...

Tommy czekał.

– Stała przede mną zalana łzami, *Herr Bergmann*. W ręku miała taką...

stalową rurę, taki dziwny pistolet.

Waldhorst spojrział teraz Tommy'emu prosto w oczy.

– Anioł... Była jak anioł.

– Ale dlaczego? Dlaczego przyszła właśnie do pana?

– Ja ją już dawno osaczyłem i ona o tym wiedziała. Chciała dać się aresztować... Chciała umrzeć – odparł Waldhorst. – Zabiła dziecko. Dziecko, które kochała.

– I co pan zrobił? – spytał Tommy.

– Przekonałem, że mogę ją wydostać z kraju. I że jej śmierć nie przywróci Cecilii życia... Podszedłem do niej, wyjąłem jej ten pistolet z ręki, to była angielska robota, wcześniej niczego takiego nie widziałem.

– A potem?

– Zdjąłem z jej palca obrączkę zaręczynową i włożyłem do kieszeni.

Opowiedziała mi, gdzie leżą ciała. Trzeba było iść główną dróżką do zrębu po lewej stronie i skręcić. Wystarczyło mieć dobrą latarkę. Wziąłem kluczyki od samochodu Landego i pojechałem na Torshov, gdzie mieszkał jeden z moich konfidentów. Samotny, zgorzkniały drań gdzieś z północy, o którym wiedziałem, że nikt go nie będzie szukał... przynajmniej póki trwa wojna. Przez godzinę kopaliśmy w lesie w całkowitej ciemności i w cholernym deszczu. Najpierw do dołu wrzuciliśmy to biedne dziecko, potem służącą. Ona dla mnie pracowała, ale tylko ja o tym wiedziałem. Przynajmniej po śmierci dostała od Landego obrączkę... A potem wyjąłem z płaszcza tego welroda Agnes i strzeliłem biednemu sukinsynowi w głowę. Do końca się nie zorientował, co się dzieje, nie widział nawet pistoletu... Stał wtedy wsparty na łopacie i patrzył na tę dwójkę, która tam leżała. Płakał... „Takie dziecko” – powiedział. „To małe, biedne dziecko”. Kiedy powiedział to po raz drugi, nacisnąłem na spust, a potem wepchnąłem i jego do grobu. Po wszystkim pojechałem do miasta, zaparkowałem w Maserud allé, poszedłem pieszo do mojego mieszkania. Czekala tam na mnie.

– Więc dlatego samochód znaleziono na Maserud allé... – powiedział Tommy.

Waldhorst kiwnął głową.

– Wiedziałem o wszystkich punktach kontrolnych, więc je ominąłem. Poza tym nikt nie wygląda przez okno w mieście, w którym panuje zaciemnienie... Akurat to było moim najmniejszym problemem, panie Bergmann.

Tommy odpalił nowego papierosa od starego. Próbował sklecić jakies

zdanie, ale zrezygnował.

– Pamięta pan, co panu powiedziałem, kiedy był pan tu pierwszy raz? – spytał gospodarz.

– Nie – odparł Tommy.

– Że na wojnie chodzi tylko o jedno...

– Żeby przeżyć? – dokończył Tommy.

Waldhorst kiwnął głową.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Agnes przeżyła – odezwał się Tommy.

– Wtedy to ja miałem jej życie w swoich rękach. I to ja chciałem, żeby przeżyła – powiedział Niemiec. – Tylko na tym mi wtedy zależało. –

Wyciągnął rękę po zapalniczkę i po raz kolejny zapalił cygaro.

Tommy wstał, podszedł do słupa podtrzymującego daszek, oparł się o niego i odprowadził wzrokiem kolejny samolot lądujący na Tegel.

– Myślę, że pan kłamie – powiedział i odwrócił się do Waldhorsta.

Przez chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Każde słowo, które wypowiedziałem, było prawdą – oświadczył Niemiec.

– Jeśli chodzi o wojnę, pewnie tak – przyznał Tommy.

– No więc? – spytał cicho Waldhorst.

– Tamtego dnia u Krogha były dwie osoby – oznajmił mu Tommy. – Na Dr. Holms ve i czerwonym samochodem z wypożyczalni przyjechały dwie osoby, panie Waldhorst. Jedną była Agnes Gerner, ale kim była ta druga? Kogo Gerner miała ze sobą?

Waldhorstowi zaczęła drżeć dolna warga. Otworzył usta, ale rozmyślił się i nic nie powiedział. Zamiast tego wpatrzył się w ciemne wody jeziora i padający na nie deszcz.

– Carla Oscara Krogha zabito przy użyciu siły, zadano mu ponad sześćdziesiąt ciosów – ciągnął Tommy. – Chce pan powiedzieć, że osiemdziesięcioletnia, schorowana kobieta była do tego zdolna? I to czym, kordzikiem Hitlerjugend?

Waldhorst milczał i nic nie wskazywało na to, że zaraz coś powie.

Tommy Bergmann miał dużo czasu, pozwolił więc staremu siedzieć bez słowa.

– Czy zauważył pan, że ja nigdy nie wywierałem na pana żadnej presji? – odezwał się po długiej chwili Niemiec.

– Presji? – zdziwił się Tommy.

– Żeby się dowiedzieć, dzięki komu pan do mnie trafił? – Waldhorst chwycił poręczę fotela i wstał powoli, ale zdecydowanie. A potem wszedł do salonu.

Tommy zapalił nowego papierosa i czekał, milcząc. Fritz także nie powiedział ani słowa. Po chwili Waldhorst wrócił, trzymając w ręku jakąś fotografię, ale zatrzymał się w drzwiach do salonu. Tomy zaprosił go gestem, żeby wszedł, ale Niemiec stał tam dalej. W lewym oku zatrzymała się łza. Tommy podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Bez niego pan by mnie nie znalazł, a beze mnie by pan do niego nie wrócił – odezwał się cicho Waldhorst, podając mu zdjęcie. – Parę tygodni przed Zielonymi Świątkami skończył sześćdziesiąt lat. Nie byliśmy u niego wtedy, ale Gretchen... Agnes... chciała go zobaczyć po raz ostatni i opowiedzieć mu prawdę o tym, co się wtedy stało w Nordmarce. Oddała mu całe swoje pieniądze, a ja... oddałem mu nóż mojego brata.

Tommy wstrzymał oddech i odwrócił fotografię. Zrobiono ją niezbyt dawno temu. Widniały tam trzy osoby. Dopiero po dwóch czy trzech sekundach Tommy pojął, dlaczego krajobraz za nimi wydaje mu się znajomy i kim jest mężczyzna w środku.

– Czy pan przypadkiem nie mówił, że nie był w Norwegii od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku? – spytał, oddając zdjęcie Waldhorstowi.

– Powiedziałem, że nie byłem w Oslo – powiedział Niemiec, patrząc w kierunku jeziora.

– Chcę pana prosić, żeby się pan z nim nie kontaktował – powiedział Tommy.

– Ona... Gretchen, Agnes, i tak zabiła o jedno dziecko za dużo. Więc go urodziła, ale... kilka tygodni później oddała do domu dziecka. Odnalazła go dopiero dziesięć lat temu...

Tommy pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Waldhorsta.

– Nie chcę, żeby pan myślał, że ona... nie była dobrym człowiekiem, panie Bergmann.

**Środa, 25 czerwca 2003**

*Schronisko Steinbu*

*Vågå*

Tommy Bergmann włączył kierunkowskaz w lewo i wjechał na ostatni stromy podjazd. W dolinie po prawej stronie miał jezioro, którego tafla w późnych promieniach słońca migotała, jakby była sreberkiem z czekolady. W radio trąbka Cheta Barkera spróbowała zagłuszyć szum samochodowego wentylatora, ale Tommy wyłączył odbiornik, bo ta muzyka przypominała mu coś, o czym wcale nie chciał pamiętać.

Fotografia, którą dostał od Waldhorsta, tkwiła za mocowaniem wstecznego lusterka. Tommy wrzucił dwójkę i spojrzał na trzy osoby widoczne na zdjęciu: stały na tle tego właśnie krajobrazu, otoczone potężnymi formacjami górskimi, emanującymi spokojem niespotykanym nigdzie indziej na ziemi. Zarówno duży mężczyzna w środku, jak i para starszków po bokach – Peter i Agnes – uśmiechali się do fotografa, jakby świat był dla nich zawsze życzliwy.

W lusterku wstecznym Tommy widział dwa radiowozy miejscowej policji, siedzące mu na ogonie. Pewnie zaraz wcisną guziki włączające syreny... Szef policji na okręg Vestoppland dał nawet komendantowi, który sam prowadził jeden z radiowozów, zezwolenie na zabranie ze sobą broni. Tommy mógł tylko kręcić z dezaprobatą głową na to wszystko, ale nic nie mógł zrobić.

Schronisko wyglądało na w dużej mierze opustoszałe. Przy aneksie, w którym nocował nie dalej jak dwa tygodnie wcześniej, stały tylko trzy samochody. Wszystkie okna były ciemne, a jedynym zapalonym światłem była lampa nad tablicą informującą, że to schronisko Steinbu. Para seterów właściciela skakała na siatkę wybiegu dla psów po północnej stronie głównego budynku, i był to jedyny znak życia w całym kompleksie.

Tommy stanął na środku podwórza i spojrzał na gładką taflę wody poniżej schroniska, a potem zadarł głowę i popatrzył na wieczorne niebo.

„Że też to musisz być właśnie ty... A niech to szlag trafi” – pomyślał.

Wokół niego zgromadziło się pięciu mundurowych. Miejscowy komendant, świeżo mianowany ambicjoner z Østfold, już zdążył wydobyć pistolet. Wszyscy funkcjonariusze mieli na sobie kevlarowe kamizelki. Tommy'ego chroniła wyłącznie koszula, w której ostatnio chodził po Berlinie. Kuloodporna kamizelka była ostatnią rzeczą, o której by pomyślał. Dał komendantowi znak, żeby schował pistolet do kabury.

Gdy przeszedł przez próg, w recepcji zobaczył żonę Finna Nystrøma, która właśnie schylała się pod ladę. Na widok Tommy'ego uśmiechnęła się przyjaźnie, ale gdy umundurowani policjanci wypełnili pomieszczenie, jej twarz przybrała wyraz bezdennego smutku. Widoczne przedtem w jej rysach ślady po młodej dziewczynie zniknęły, przypuszczalnie bezpowrotnie.

– Jest w kuchni – powiedziała cicho.

Tommy kiwnął głową. Miejscowy komendant dyszał mu za plecami.

– Musicie zrobić to tutaj? – spytała żona Nystrøma.

Tommy miał ochotę coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział, co by to mogło być. Wybrał więc milczenie i ruszył w dół schodami prowadzącymi do jadalni. Napierającego na niego komendanta starał się trzymać na odległość wyciągniętej ręki. Kątem oka zobaczył jeszcze, że dwóch policjantów wybiegło, żeby przypilnować dolnych drzwi na taras i do kuchni.

„Tak, jakby w górach można było dokądś uciec” – pomyślał Tommy, zatrzymując się na ostatnim schodku.

W jadalni znajdowała się rodzina, która jadła obiad przy stole po jego prawej stronie. Składała się z małżeństwa w średnim wieku i młodej dziewczyny. Mężczyzna nagle zauważył cień funkcjonariusza, który ustawił się za drzwiami na zewnątrz. Po kolei cała trójka odkładała sztucce i zwracała głowy w kierunku policjantów na schodkach.

Nagle Tommy usłyszał ciche dźwięki z radia w kuchni po lewej stronie. Ostrożnie przeszedł po terakotowych płytkach i przez okrągłe okienko w białych, wahadłowych drzwiach zajrzał do wnętrza. Finn Nystrøm stał pochylony nad garnkami na dużym kuchennym piecu. Krótko przystrzyżone włosy sterczały jak siwa szczotka nad jego ogorzałą twarzą.

„A więc Finn Nystrøm...” – pomyślał Tommy, mając świadomość, że wykonał kiepską robotę. Gdyby mu się chciało go sprawdzić, zajrzeć do rejestru ludności, może by powziął jakieś podejrzenie. Nie tylko powinien go znaleźć i dowiedzieć się, że przybył do Norwegii jako dziewiętnastolatek i że jako dwudziestolatek zmienił nazwisko z Nystrøm na Nystrøm, ale powinien także zgadnąć, że ten słaby obcy akcent to resztki szwedzkiego...

„Ale może by to i tak niewiele pomogło?” – pomyślał, pchając drzwi.

W końcu Finn Nystrøm nie nosił nazwiska Gerner ani w domu dziecka, ani u żadnej z przybranych rodzin. A jego matka powinna umrzeć dawno, dawno temu... Mimo wszystko Tommy czuł, że nie odrobił porządnie lekcji.

Nystrøm podniósł na niego wzrok znad garnków.

– Dlaczego pan mnie doprowadził do Petera Waldhorsta? – spytał



Tommy i zrobił dwa kroki po białych płytkach podłogi. Trzymał za sobą rękę, dając znak, że komendant ma pozostać na zewnątrz kuchni. – Gdyby pan tego nie zrobił, nigdy bym pana nie znalazł. Ani Ivera Faalunda, ani... – Zamilkł, to nie miało większego sensu.

– Nigdy by mnie pan nie znalazł... – odezwał się Nystrøm, schylając się znów nad garnkami. – Tak pan to powiedział?

W kuchni pachniało mięsem i sosem z pieczeni.

Tommy nie odpowiedział.

– Wiedziałem, że po mnie przyjdziecie – oznajmił Nystrøm i zgasił radio na półce nad swoją głową. – A pan jest pewnie głodny po tej podróży z Berlina i długiej jeździe samochodem?

Zdjął z siebie niebieski fartuch i odłożył na kuchenny stół.

– Odcisk buta... Był jej? – spytał Tommy.

– Agnes... znaczy matka, weszła tam raz jeszcze po tym, jak ja wyszedłem... cały w jego krwi.

Nystrøm podszedł bliżej do Tommy'ego z dłońmi wzniesionymi ku górze, by pokazać, że ma pokojowe zamiary.

– Ale dlaczego? – spytał bezradnie Tommy.

– Dlaczego? – Nystrøm prychnął. – Bo dobrze wiedziałem, czym się zajmował w czasie wojny. I dlatego, że był moim ojcem. I dlatego... że ja właściwie nigdy tego wszystkiego nie rozumiałem, dopiero wtedy, w Zielone Świątki... I było mi wstyd za siebie... On się od tego wszystkiego wykupił, rozumie pan? Dwadzieścia lat temu, kiedy po raz ostatni wróciłem ze Sztokholmu, tuż przed tym, zanim uciekłem z uniwersytetu, Pielgrzym dał mi dwieście tysięcy koron jako „zadośćuczynienie”, jak się wyraził. A ja je wziąłem, bez słowa... Nie był głupi. Już podczas naszego pierwszego spotkania zrozumiał, że jestem jego synem, że już wiem o nim o wiele za dużo, ale że w gruncie rzeczy jestem tylko nędznym łachudrą, który potrzebuje pieniędzy, pieniędzy na picie... – Nystrøm zatrzymał się, oparł ręką o stół z nierdzewnej stali, a drugą ręką delikatnym ruchem przejechał po garnkach i sprzęcie kuchennym, który wisiał nad stołem na stalowej rurze. Ten ruch spowodował dziwny, niepokojący hałas. – Gdyby Agnes nie przyjechała tu z Berlina, gdyby nie przyjechała tu samochodem z Oslo, to wszystko by się nie zdarzyło... Chyba zrobiło mi się jej żal, nie wiem, była strasznie przybita tymi doniesieniami o szkieletach w Nordmarce. Ale nie chciała, żebym myślał, że to Pielgrzym... Krogh... ich zabił.

– Agnes powiedziała panu, że to ona?

Nystrøm skinął głową.

– Tak, chciała, żebym wiedział. Powiedziała mi też, że ją wykorzystano, że plan zabicia Rolborga nigdy nie został skonsultowany z Londynem, że to było coś, o czym Kaj Holt i Pielgrzym zdecydowali na własną rękę. Sukces był ich, ale to ona poniosła jego koszty, a była w ciąży. A teraz była właściwie za słaba, żeby tu przyjeżdżać, była już umierająca, ale chciała zobaczyć swoje dziecko jako sześćdziesięciolatka... Tak mi powiedziała. Miała ze sobą nóż po bracie Petera. Wiedziała, że mam hyzia na punkcie wszystkiego, co się wiąże z wojną. Wie pan, nazywała mnie ostatnim pielgrzymem... Chciała, żebym miał ten kordzik, Peter też tego ponoć chciał. – Na jego wargach pojawił się przelotny uśmiech. – Pojechałem z nią do Oslo, bo Agnes życzyła sobie, żebyśmy... my troje... przed jej śmiercią... się pogodzili.

Nystrøm podniósł rękę do twarzy.

– Niech pan na mnie spojrzysz – powiedział. – Widzi pan, jaki ja jestem do niego cholernie podobny?

– I wtedy? – spytał Tommy – Co się stało?

– Ja... pożałowałem od razu, jak tylko tam dojechaliśmy. Nie powinniśmy... nigdy. Ona w ogóle nie powinna mnie odnaleźć, rozumiesz? Z czegoś takiego nigdy nic dobrego nie wynika!

– Czy on coś powiedział? Krogh, znaczy?

Nystrøm podszedł jeszcze bliżej. Śmiał się cicho, ale Tommy widział, że jego oczy zaraz wypełnią się łzami, że tkwiące w nim dziecko szarpie się i chce wydostać się na wierzch.

– Nawet nas nie wpuścił ten stary, zdradziecki drań, a to, co powiedział do Agnes... do mamy... i do mnie... On się bał, że ktoś nas u niego zobaczy! Nazwał mnie bękartem, trząsał się ze złości, że śmieliśmy do niego przyjechać! Miałem w kieszeni nóż od Petera i już wtedy miałem ochotę go zabić... Ale powiedziałem do mamy, że musimy jechać, i poszliśmy z powrotem do samochodu. Kiedy wsiadła, zaczęła strasznie płakać, nie mogłem jej pocieszyć. To wtedy zrozumiałem, że drań po prostu musi umrzeć... Zamknął drzwi na zamek, więc obszedłem dom. Najpierw poderznąłem gardło temu cholernemu psu, bo nie mogłem znieść myśli, że on też ma setera... Drzwi od tarasu były otwarte, więc... – Nystrøm zamilkł.

– Więc? – odezwał się Tommy.

– Chciałem go rozciąć na pół... Tylko o tym myślałem... Przeciąć tego skurwysyna na pół, żeby nic z niego nie zostało, rozumiesz? Zawsze go

nienawidziłem za to, co zrobił, a siebie za to, że jest moim ojcem i że wtedy wzięłem od niego te krwawe pieniądze...

Zapadła cisza. Wahadłowe drzwi za Tommym poruszyły się, ale on dał tym z tyłu znak, że wszystko jest w porządku.

– Oni naprawdę myślą, że i ciebie zabiję? – spytał Nystrøm i podniósł rękę, żeby położyć ją na ramieniu Tommy’ego.

– Nie rób tego – ostrzegł go Tommy – bo zginiemy obaj.

Nystrøm skinął głową, cofnął się i podniósł dłonie do góry, żeby pokazać policjantowi za drzwiami, że ma zamiar tylko porozmawiać.

– I Agnes tam weszła?

Nystrøm kiwnął głową.

– Kiedy wyszedłem, cały ochlapany krwią Carla Oscara... Ona wysiadła i obeszła dom, a ja siedziałem w samochodzie i czekałem. Kiedy odjeżdżaliśmy stamtąd, powiedziała mi, że mu wybaczyła... Ona, ze wszystkich ludzi właśnie ona!

Nystrøm się roześmiał, ale jego śmiech szybko przeszedł w płacz.

Do kuchni wszedł komendant, jednak Tommy gestem kazał mu się zatrzymać. Podniósł wzrok na Nystrøma.

– Muszę ci coś powiedzieć... – powiedział. – Jest mi naprawdę przykro, że to właśnie ty.

– Naprawdę? – chlipnął Nystrøm i popatrzył na swoje wielkie dłonie, jakby nie mógł pojąć, że to one pocięły na kawałki własnego ojca.

Tommy kiwnął głową.

– Cóż, musisz pójść ze mną, Finn – odezwał się teraz komendant.

Nie zwracając na niego uwagi, Nystrøm wyszedł z kuchni i przeszedł przez jadalnię, gdzie jak skamieniała wciąż siedziała rodzina urlopowiczów. Komendant poszedł za nim, z ręką na czarnej kaburze swojego pistoletu, a na końcu powoli, ociągając się, wyszedł Tommy.

Przez otwarte drzwi tarasu widział, jak Nystrøm kieruje się ku jezioru. Komendant i młody funkcjonariusz szli za nim, a kiedy Nystrøm nagle puścił się biegiem, policjant ruszył za nim. Gdy dopadł Nystrøma przy samym brzegu, ten osunął się na kolana, schylił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

## Spis treści

# Spis treści

[Niedziela, 8 czerwca 2003](#)

[Dr. Holms vei](#)

[Oslo](#)

[CZEŚĆ I](#)

[Poniedziałek, 28 maja 1945](#)

[Piątek, 16 maja 2003 \(trzy tygodnie przed Zielonymi Świątkami\)](#)

[Wtorek, 29 maja 1945](#)

[Piątek, 16 maja 2003](#)

[Noc z 29 na 30 maja 1945](#)

[Noc z piątku na sobotę, 17 maja 2003](#)

[Środa, 30 maja 1945](#)

[Sobota, 17 maja 2003](#)

[Środa, 30 maja 1945](#)

[Poniedziałek, 19 maja 2003](#)

[Czwartek, 31 maja 1945](#)

[Poniedziałek, 19 maja 2003](#)

[Czwartek, 31 maja 1945](#)

[Poniedziałek, 19 maja 2003](#)

[Piątek, 1 czerwca 1945](#)

[Wtorek, 20 maja 2003](#)

[Piątek, 23 maja 2003](#)

[Niedziela 8 czerwca 2003 \(Zielone Świątki\)](#)

[CZEŚĆ 2](#)

[Czwartek, 24 sierpnia 1939](#)

[Niedziela, 8 czerwca 2003 \(Zielone Świątki\)](#)

[Niedziela, 3 września 1939](#)

[Niedziela, 8 czerwca 2003 \(Zielone Świątki\)](#)

[Wtorek, 10 czerwca 2003](#)

[Wtorek, 10 czerwca 2003](#)

[Środa, 6 września 1939](#)

[Wtorek, 10 czerwca 2003](#)

[Wtorek, 10 czerwca 2003](#)

[Piątek, 7 maja 1942](#)

[Środa, 11 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 21 maja 1942](#)  
[Środa, 11 czerwca 2003](#)  
[Środa, 11 czerwca 2003](#)  
[Noc z piątku na sobotę 22 maja 1942](#)  
[Środa, 11 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 28 maja 1942](#)  
[Czwartek, 12 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 13 czerwca 2003](#)  
[Sobota, 14 czerwca 2003](#)  
[CZEŚĆ 3](#)  
[Sobota, 22 sierpnia 1942](#)  
[Sobota, 14 czerwca 2003](#)  
[Czwartek, 27 sierpnia 1942](#)  
[Niedziela, 15 czerwca 2003](#)  
[Niedziela, 6 września 1942](#)  
[Wtorek, 17 czerwca 2003](#)  
[Środa, 18 czerwca 2003](#)  
[Środa, 18 czerwca 2003](#)  
[Czwartek, 19 czerwca 2003](#)  
[Poniedziałek, 14 września 1942](#)  
[Czwartek, 19 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 25 września 1942](#)  
[Czwartek, 19 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 25 września 1942](#)  
[Czwartek, 19 czerwca 2003](#)  
[CZEŚĆ 4](#)  
[Piątek, 25 września 1942](#)  
[Czwartek, 19 czerwca 2003](#)  
[Czwartek, 19 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 25 września 1942](#)  
[Czwartek, 19 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 25 września 1942](#)  
[Piątek, 20 czerwca 2003](#)  
[Piątek, 20 czerwca 2003](#)  
[Niedziela, 27 września 1942](#)  
[Piątek, 20 czerwca 2003](#)

[Niedziela, 27 września 1942](#)

[Piątek, 20 czerwca 2003](#)

[Niedziela, 27 września 1942](#)

[Poniedziałek, 23 czerwca 2003](#)

[Niedziela, 27 września 1942](#)

[Poniedziałek, 23 czerwca 2003](#)

[Niedziela, 27 września 1942](#)

[Wtorek, 24 czerwca 2003](#)

[Niedziela, 27 września 1942](#)

[CZĘŚĆ 5](#)

[Wtorek, 24 czerwca 2003](#)

[Poniedziałek, 28 września 1942](#)

[Wtorek, 24 czerwca 2003](#)

[Wtorek, 24 czerwca 2003](#)

[Środa, 25 czerwca 2003](#)